

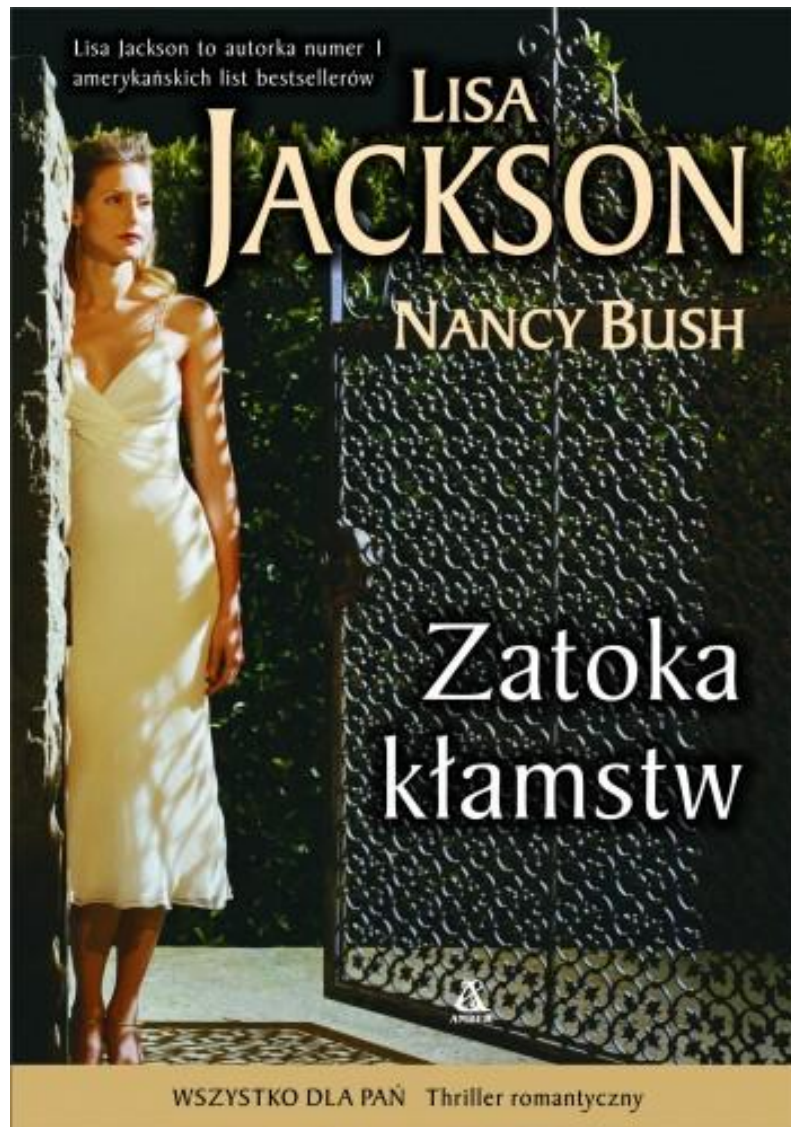


Lisa Jackson

Nancy Bush

Zatoka kłamstw

Tytuł oryginału Wicked Game



Prolog

Szkoła Świętej Elżbiety luty 1989 północ...

Najświętsza Panienko, pomóż mi! Błagam... ratuj mnie!

Dziewczyna pędziła przed siebie labiryntem wśród gęstniejącej mgły. Potknęła się. Wystająca gałąź uderzyła ją w twarz. - Cholera.

Przycisnęła dłoń do policzka i natychmiast poczuła pod palcami ciepło spływającej krwi. Przyspieszyła. Gnała, pędziła, z trudem łapiąc oddech. Bolały ją mięśnie łydek, paliło w płucach, chłostał zimny, okrutny deszcz.

To nie tak. O Boże, to nie tak miało być.

Powinno być zupełnie inaczej. To niemożliwe!

Zerkając przez ramię, nasłuchiwała, ogłuszona biciem swojego serca. Nie zabłądziła. Wiedziała, gdzie jest. Znała drogę do środka labiryntu, a stamtąd na pewno było inne wyjście, może nawet dwa, chociaż minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz je widziała. Nagle przyszło jej do głowy, że może sprowadzając go tu, działała na swoją zgubę i teraz wpadnie we własną pułapkę. Musiała biec, przypomnieć sobie wszystkie przejścia...

Ale było tak ciemno.

A on się zbliżał. Wyczuwała go. Jakby jego oddech już muskał jej skórę.

Strach chwycił ją za gardło; potknęła się, skręcając obok drżącego wawrzynu. Wiedział o niej i w końcu ją odnalazł.

Skąd wiedział? Przecież ona potrzebowała wielu lat - chyba całego życia - żeby poznać prawdę o sobie!

A potem głupio go sprowokowała. Rzuciła mu wyzwanie. Sama zaprosiła go do labiryntu, bo miała nadzieję, że dowie się czegoś więcej, zdemaskuje go. Wierzyła, że role się odwróciły, że zdoła zapobiec przeznaczeniu, któremu teraz miała stawić czoło. Ale nic nie potoczyło się tak, jak zaplanowała, myślała, kiedy jej buty ślizgały się po bujnej trawie. Jakimś cudem myśliwy stał się zwierzyną.

Ale skąd on mógł wiedzieć o niej... chyba że... chyba że był jednym z nich?

Jezu Chryste!

Usłyszała coś. Hałas... Syczenie... Włosy zjeżyły jej się na karku. Co to, u diabła, było?

Zamarła w bezruchu z uniesionymi rękami, jakby chciała osłonić się przed niebezpieczeństwem. Drżała, stojąc na czubkach palców i cicho dysząc. On tu jest! Tuż

za nią! Już wszedł do labiryntu. Teraz doskonale go słyszała, bo nawet nie starał się ukryć, że się zbliża.

Jej serce boleśnie tłukło się o żebra.

Jest sam? Miała nadzieję, że tak. Powinien być sam. Tak wszystko zaaranżowała, żeby był sam, ale teraz nie miała pewności. Już nic nie wiedziała.

I wtedy nadszedł strach, bo przecież zawsze wiedziała. Na tym polegał jej dar. A może i przekleństwo.

To dlatego nie byli w stanie ukryć przed nią prawdy. To dlatego dowiedziała się, kim są kim ona jest, chociaż tak bardzo starali się do tego nie dopuścić.

Dla jej własnego dobra, tak powiedzieli.

A teraz... teraz zaczynała rozumieć, co mieli na myśli.

To przez niego.

Z drżącym sercem nasłuchiwała, coraz bardziej przerażona. Szedł przez labirynt. Niespiesznie. Niezrażony. Skręcał pewnie, jakby znał drogę. Czy słyhać jeszcze czyjeś kroki? Nie tylko jego? Nie była pewna.

Nie mogła tu zostać. Zerknęła w górę ponad wysoki żywoplot i gdy chmury przesunęły się po tarczy księżyca, zobaczyła promień bladego światła. Dzwonnica kościelna rozblęła surowym, złowrogim światłowieniem, a tuż obok niej, trochę na południe, zarysował się dach klasztoru.

Znała na pamięć te charakterystyczne punkty orientacyjne.

Z kołaczącym sercem, odzyskawszy pewność siebie, wślizgnęła się w przejście między żywoplotami. Ukradkiem. Szła uparcie przed siebie; obesza łąwkę i skręciła ostro w stronę środka labiryntu, do posągu.

Zawsze trochę nieufnie traktowała widmową figurę Madonny, ale teraz z całego serca chciała do niej dotrzeć. Potrzeba odnalezienia jej była jak głód; mogłaby niemal krzyczeć z pragnienia, gdyby się odważyła w tę ciemną, złą noc.

Azyl.

Bezpieczeństwo.

A przynajmniej o to się modliła. Lód wypełnił jej żyły, miała wrażenie, że zaraz krew jej się zetnie.

Bezgłośnie pokonała ostatni zakręt i gwałtownie zatrzymała się, gdy ujrzała posąg Marii z uniesionymi rękami, witającą ją w bieli. Wśród drżących gałęzi i zbutwiałej woni opadłych liści oraz błota posąg jaśniał upiornie.

Na widok Madonny gwałtownie zaczerpnęła tchu i potknęła się, niemal padając na plecy. Gałązka trzasnęła pod jej butem.

Z przerażeniem zerknęła do tyłu. Przykucnęła i zamarła jak ścigane zwierzę. Usłyszała? Czują za sobą w labiryncie pogrążonym w mroku nocy, że nadchodzi. Pewnie. Spokojnie. Bez wahania wybierał zakręty. Jego kroki powtarzały echem rytm jej serca, wybijając godzinę jej śmierci. Przełknęła ślinę i oblizwała usta, zmuszając nogi do ponownego wysiłku. Jeden zakręt... kilka kroków... drugi zakręt.

Gdzie, u diabła, jest wyjście?

Przegapiła je?

Chciała krzyknąć z przerażenia i frustracji, kiedy musiała cofnąć się po swoich krokach, chociaż wiedziała, że on jest tuż-tuż - tak blisko, że dostała gęsiej skórki.

Nie było przejścia, przerwy w gęstwinie gałęzi.

Ogarnęła ją panika. Musi być jakaś droga wyjścia, kryjówka, sposób, żeby odzyskać przewagę... O Boże. A on cały czas szedł. Zbliżał się.

Jego kroki rozbrzmiewały głośno na błotnistej ziemi. Nieubłaganie. Gdzie? Gdzie, do licha, jest to przejście?

Przebiegła wzdłuż ścian żywopłotu, przesuwając dłońmi po liściach, szukała. .. szukała. Serce jej kołatało, waliło jak oszalałe; w uszach słyszała ryk wody, fale uderzające o odległy klif... chociaż w zamkniętym labiryncie znajdowała się daleko od oceanu. Ale zawsze tak się działo. Zawsze rozpoznawała te dziwnie znajome dźwięki, zawsze wyczuwała to odległe miejsce z powietrzem gęstym od soli...

Nie znalazła przejścia. Żadnej drogi ucieczki. Nic, tylko grube, mocne gałęzie.

Z trudem przełknęła ślinę, walcząc ze strachem. Więc to tak. Nie ma ucieczki.

Przyklękając przed posągami, modliła się bezgłośnie: - Matko Boża, zbaw moją duszę... Nie była dobra. O Boże, nie była.

Ale nie była też całkiem zła.

Usłyszała za sobą zbliżające się kroki. Niespieszne, wręcz powolne.

Wiedział, że ją dopadł. Przerażenie przebiegło jej dreszczem po plecach.

Żarliwie modliła się w myślach. Matko Boża, Mario, zbaw mą duszę. I wtedy odezwał się inny głos. Głęboki. Chrapliwy. Rozbrzmiewający pustym echem w jej czaszce: „Ona ci nie pomoże. Nie masz duszy do zbawienia”.

To jego słowa? Czy to jego okrutny głos słyszała w głowie?

Pomyślała z nagłą jasnością: Mam szesnaście lat i zaraz umrę.

Była głupia, prowokując go. Drażniąc się z nim. Rzucając mu wyzwanie.

Co chciała osiągnąć?

W tym tkwiło sedno jej problemu: nie tylko potrafiła zobaczyć przyszłość, czasem próbowała ją zmienić.

A teraz on ją zabije. Pośrodku labiryntu, na mrozie odbierze jej życie. Zdesperowana wsunęła rękę do kieszeni kurtki i zacisnęła palce na schowanym scyzoryku.

Ze wszystkich sił modliła się o ocalenie życia, zbawienie duszy. Ponad biciem serca słyszała kroki myśliwego. Coraz wyraźniejsze. Zbliżające się nieubłaganie. Podniosła się, odwróciła twarzą do przejścia w gęstym żywopłocie, jedynej drogi ucieczki. Z głębin mroku wynurzyła się postać.

Wysoka.

Groźna.

Lucyfer Wcielony. Jej początek i koniec.

- Odejdź - rozkazała, unosząc nóż. Nadal szedł.

- Przysięgam, że cię zabiję.

Powolny, pełen zadowolenia uśmiech wypłynął na jego twarz. „Myślisz, że mnie tu zaprosiłaś, dziwko, podczas gdy to ja cię odnalazłem, to ja cię ścigałem i ja będę zabijał”. Nie wypowiedział ani słowa, a jednak jego głos wibrował w jej umyśle.

- Nie żartuję - ostrzegła go, wymachując małym scyzorykiem, który ukradła z szuflady ojca.

„Ani ja”.

Rzuciła się na niego. Dźgnęła nożem, zamierzając rozciąć mu brzuch. Błyskawicznie jak atakująca żmija jego palce zacisnęły się na jej nadgarstku. -Aj!

„Głupia cipa”. Wygiął jej rękę do tyłu.

Ból sparaliżował jej przedramię. Krzyknęła i upadła na kolana. Napotkała jego spojrzenie.

Silne palce wykręcały jej nadgarstek.

- Przestań! - wrzasnęła.

Oddech z sykiem wydobył się spomiędzy jego zębów. Zdecydowanym ruchem złamał jej kości nadgarstka.

Krzyknęła cicho. Nóż wypadł z odrętwiałych palców. Jego ciemne oczy były jak lasery, kiedy podniósł scyzoryk i wbił między jej zębra.

- Nigdy więcej - wychrypiał.

Wczepiła się w niego, ale to nic nie dało. Patrząc mu w oczy, szepnęła:

- To dopiero początek...

Widziała, jak jego twarz wykrzywia się z wściekłości, kiedy gwałtownie pokręcił głową, wbijając nóż jeszcze głębiej.

Noc zawirowała wokół niej. Dziewczyna skuliła się na ziemi u stóp posagu, świadoma, że napastnik, patrząc na nią, szczyrzy zęby. Jego oddech zamieniał się w obłoczki pary, rozplywające się nad nią, gdy leżała w kałuży własnej krwi.

W końcu znieruchomiała u stóp Madonny. Wycofał się, znikając z jej coraz węższego pola widzenia. Rozłożone ręce Madonny wyciągały się ku niebu. Gdzieś w dali rozległ się dźwięk dzwonu.

Złożono mnie w ofierze, pomyślała.
A potem nadeszła ciemność.

Szkola Świętej Elżbiety luty 2009 północ...

Kyle Baskins przystawił latarkę do brody, podświetlając płaszczyzny i zagłębienia twarzy.

- Krwawy Szkielet wszedł do domu - szepnął swoim najniższym, najbardziej upiornym głosem. Rozejrzał się po kręgu chłopców siedzących u jego stóp na ziemi. Słuchali uważnie z przerażeniem na twarzach. - Krwawy Szkielet wszedł na schody. Rozejrzał się i zobaczył dzieci przez ściany.

- Jak w prześwietleniu rentgena? - pisał Mikey Ferguson.

- Zaniknij się. - James, jego starszy brat, rzucił mu karcące spojrzenie. Gałęzie nad ich głowami zadrżały. Świecił księżyc, ale nie było go widać zza ściany żywopłotu, tworzącego labirynt. Ledwie odrobina światła sączyła się przez liście.

- Jestem na pierwszym stopniu - zaintonował Kyle z wahaniem dla większego efektu.

Spojrzał ponad światłem latarki na dzieciaki, które przyprowadzili z Jamesem do labiryntu. Mieli ich pilnować, ale to było piekielnie nudne.

- Jestem na drugim stopniu. - Ostrożnie nabrał powietrza i powoli powiedział: - Jestem... na... trzecim stopniu...

Mikey zerknął przerażony przez ramię i przysunął się do brata; Kyle doskonale widział krzywy uśmieszek na twarzy Jamesa. Tyler, mały gnojek, zaczął popłakiwać.

- Jestem... na... czwartym... stopniu...

- Ile jest tych stopni?! - krzyknął Mikey, łapiąc Jamesa za rękę.

- Zamknij jadaczkę. - James próbował odtrącić jego dłoń.

- Ja chcę do domu! - zawył Tyler.

- Jestem na... piątym stopniu!

- Dzwonię po tatę.

Preston, fajtlapa z nadwagą, wstał. Jego zwykle beznamiętny głos odrobinę drżał.

- Telefon został w samochodzie, kretynie.

- Jestem na szóstym stopniu, jestem na siódmym stopniu, jestem na ósmym stopniu! - wymieniał pospiesznie Kyle.

Chłopcy poderwali się jak szarpnięci za sznurki, krzyząc, rzucając wokół trwożliwe spojrzenia, szukając drogi ucieczki, ale wszędzie wokół wznosił się żywopłot, gałęzie wyciągały się do nich jak ręce szkieletów.

- Jestem na dziewiątym stopniu. - Głos Kyle'a zniżył się do szeptu. James zaczął się trochę niepokoić. Nie mogli pozwolić, żeby te ciemniaki rozbiegły się im po nocy po całym labiryncie.

- Siadać!

- Jestem na dziesiątym stopniu... i teraz idę korytarzem... stoję przed twoimi drzwiami... otwieram je... skrzyyyyyyp!

To skrzypienie zabrzmiało trochę głupio, uznał James, ale podziałało jak trzeba. Dzieciaki rozbiegły się jak karaluchy, odskakując od starego, brudnego posągu Madonny, krzycząc i szlochając. James i Kyle wybuchnęli śmiechem. Nie mogli się powstrzymać. Chłopcy wpadli w histerię, a Mikey potknął się, wpadł na posąg - co za kretyn - i prawie go przewrócił. Buldożery już tu były. Wyburzano szkołę i przy okazji też labirynt. To dlatego Kyle wpadł na pomysł, żeby tu przyjechać. Ostatni numer z duchami, żeby gówniarze posikali się ze strachu.

- Kretynie, przewróciłeś starą panią - powiedział James tonem anielskiej cierpliwości.

Podszedł, żeby podnieść brata, podczas gdy Kyle złapał Tylera i Prestona. Chłopcy mazgaili się jak małe dzieci, ale przecież nimi byli. Mikey sam niemal zamienił się w posąg. Zamarł, wskazując na kopczyk ziemi poruszonej, gdy posąg się przechylił.

- Krwawy Szkielet - szepnął, wskazując coś dygocącym palcem. James spojrzał

w tamtą stronę. Z ziemi wystawała ręka szkieletu; brudne i jednocześnie dziwnie białe kości dłoni wyciągały się w górę, jakby błagały o pomoc.

James wytrzeszczył oczy. Zaczął wrzeszczeć jak potępieniec i nie mógł przestać.

Kyle spojrzał na niego.

- Cholera - zaklął roztrzęsiony.

Mały Mikey złapał Jamesa za rękę i wyciągnął ich obu z labiryntu. Reszta gangu pobiegła za nimi. Wszyscy pędzili na złamanie karku, cały czas czując na plecach zimny dotyk Krwawego Szkieletu.

Rozdział 1



Czuję to... zmianę wiszącą w powietrzu, subtelną, lecz wyraźną, jak delikatny sygnał wstrząsów wtórnych. Wiem, co to znaczy.

Wiadomo było, że to nastąpi.

Czekało na właściwy moment.

Odrzucam przykrycie na starym łóżku i nasłuchuję wycia wiatru, wiejącego z zachodu, znad ładu, burzącego wodę. Nie zawracam sobie głowy ubraniami, kiedy otwieram drzwi mieszkania starego latarnika, które prowadzą do samej latarni. Szybko wbiegam po krętych schodach, pędząc po zardzewiałych stopniach, ignorując jęki metalu pod moim ciężarem.

Szybciej! Szybciej!

Serce mi wali i cały tłumiony niepokój, wszystkie nerwy, trzymane do tej pory na wodzy, uwalniają się.

Schody zwijają się coraz ściślej, w miarę jak zbliżam się do platformy, gdzie śpi jaśniejąca niegdyś latarnia. Jej ogromne soczewki już nie świecą, nie ostrzegają żeglarzy przed mieliznami.

Otwieram drzwi i wychodzę na sfatygowaną kratę. Deszcz opluwa mnie z chmur przewalających się po niebie, wiatr szarpie moimi włosami, a noc jest ciemna i gęsta od zimy. Czterdzieści metrów niżej fale burzą się i kotłują białą-grzywej furii wokół tej małej, skalistej wysepki, opuszczonej pół wieku temu.

Nikt tu nie mieszka.

Obowiązuje zakaz wstępu; latarni strzegą Straż Przybrzeżna, stare, splątane ogrodzenie z siatki i niebezpieczny przybój. Niewielu ośmieliło się tu wtargnąć.

Niejeden zginął w zdradzieckich prądach wokół tego żalostnego kawałka skały.

Kiedy odwracam się, nawet w ciemnościach widzę ład. Wiem, że tam są. Zabiłem ich tyłu, ilu się dało. Można przełamać obrony ich fortecy, ale nadal noszę blizny po walce i muszę zachować ostrożność.

Dziś wieczór żadne światło nie płonie w ich oknach. Las wszystko zasłania.

Kiedy patrzę na morze, przechylam głowę, wystawiam nos na wiatr, ale nie czuję niczego poza słonym zapachem Pacyfiku, który kotłuje się dziesiątki metrów przede mną. Zamykam oczy i skupiam się. Kiedy wiatr targa mi włosy, a od zimnego powietrza dostaję gęsiej skórki, krew w moich żyłach zaczyna płonąć.

Wyobrażam sobie zapach jej skóry. Jak obmyta deszczem plaża. Co za udreka...

Prawie czuję ten zapach. Prawie.

Ale nawet bez tego wiem, gdzie jest. Wiem o niej od kogoś, kto nieświadomie wskazał mi drogę. Dobrze.

Nadszedł czas naprawić dawny błąd. Tym razem nie będzie żadnej pomyłki.

Po kręgosłupie Becki Sutcliff przebiegł dreszcz. Odetchnęła nerwowo i zerknęła za siebie. Dziewczyna przy ladzie w Mutts & Stuff rzuciła jej spojrzenie kątem oka.

- Wszystko w porządku?

- Ciarki mnie przeszły, jakby ktoś przeszedł po moim grobie - mruknęła Becca.

Dziewczyna uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: Aha, jasne. Podliczyła zakupy i wrzuciła je do torby. Dziękując, Becca przełożyła torby, które już miała, żeby wziąć jeszcze nowe zakupy. To prawda, że w ten sposób rekompensowała inne potrzeby. Biegała po sklepach, jakby to była dyscyplina olimpijska. To skutek uczuć, z którymi wciąż nie radziła sobie po rozstaniu z Benem. A teraz Ben nie żył. Odszedł. Nigdy już nie wróci. I to było... dziwne uczucie.

Wyszła z centrum handlowego nieco przygnębiona wesołymi czerwonymi i różowymi serduszkami na wszystkich wystawach sklepowych. Walentynki. Najżałośniejszy dzień w roku dla tych, którzy nagle zostają sami.

No dobra, nie była tak całkiem nieszczęśliwa. Od dłuższego czasu wiedziała, że nie przetrwają z Benem. Nigdy nie byli w sobie zakochani. Nie w taki sposób, jakiego pragnęła, na jaki miała nadzieję, jaki sobie wymarzyła. Kiedy dowiedziała się, że on spotyka się z kimś innym, była wściekła. Głównie na siebie. Nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, co w ogóle doprowadziło do ich małżeństwa. Czego chciała? Czego pragnął Ben? Po prostu nie chciała dłużej czekać - bo „jeśli nie Ben, to kto”?

Potem dowiedziała się, że umarł w ramionach swojej nowej miłości. Na atak serca.

Odszedł, odszedł... odszedł.

Wciąż próbowała to ogarnąć. Nadal przywykała do myśli, że odszedł do innej kobiety. Zostawił ją... kiedy ona jeszcze wierzyła, że może, może jednak istnieje dla nich jakaś szansa. Szansa, że stworzą rodzinę. Będą mieli dziecko. Ich własne dziecko. Jej dziecko...

Nagle zobaczyła przed sobą wystawę sklepu Pink, Blue and You dla niemowląt i matek. Zajrzała tam wcześniej i wybrała prezent dla koleżanki z pracy, która była w ciąży. Robienie tam zakupów było prawdziwą torturą. Chciała mieć dziecko. Zawsze tego pragnęła. Wszystko w niej się skręcało na wspomnienie, że straciła nienarodzone dziecko dawno, dawno temu.

Jednak w takich chwilach jak ta ból powracał, równie świeży i ostry, jak zaraz po poronieniu.

Łzy napłynęły jej do oczu. Ale, na miłość boską nie zamierzała się załamywać. Nie teraz. I tak za długo rozpaczała. Powstrzymała idiotyczne łzy, odwracając twarz od wystawy z pastelowymi różami, błękitami i cytrynowymi żółciami. To dlatego wyszła za Bena? Żeby mieć dziecko? Żeby zastąpić to, które jej odebrano?

Powtarzała sobie, że powinna odpuścić. Dręczyła się tym pytaniem mnóstwo razy, zadreślała się i zamartwiała odpowiedzią. Ale teraz to już tylko akademickie rozważania. Ben odszedł. I zostawił swoją dwudziestodwuletnią nową miłość w ciąży. Z Beccą nigdy nie chciał rodziny.

- Nie chcę dzieci - oświadczył. - Wiedziałaś o tym, kiedy za mnie wychodziłaś. Wiedziała? Nie przypominała sobie.

- Tylko ty i ja, Beck. Ty i ja.

Może rzeczywiście wyszła za niego, żeby mieć dziecko. Poprawka. Żeby zastąpić utracone dziecko. Może zmyśliła sobie całą romantyczną część ich związku. Może po prostu chciała, żeby to wszystko wyglądało lepiej, niż było w rzeczywistości.

- Niech to szlag.

Nie miała czasu na uzalanie się nad sobą. To koniec. Koniec! Odwróciła się od wystawy. Nie ma potrzeby dłużej się zadreślać. Najmniejszej.

Knajpki znajdowały się po jej lewej stronie; zerknęła ku nim, ale ruszyła w przeciwnym kierunku. Chciała przyspieszyć, ale nagle wzrok jej się zamglił. Musiała zwolnić kroku i w końcu się zatrzymała. Tętno gwałtownie jej przyspieszyło. Cholera. Zaraz zemdleje. Już to przechodziła, więcej razy niż zamierzała przyznać. Ale tak naprawdę nie mdlała. Nie. To było bardziej jak... uleganie czarowi. Jak sen na jawie. Ale od lat nie miała już z tym problemów. Od wielu lat!

Dlaczego teraz? - zapytała siebie na pół sekundy przed tym, gdy palący ból przeszył jej mózg. Zatoczyła się i padła na kolana; zakupy rozsypały się wokół niej. Pochyliła głowę, odruchowo chowając twarz przed ciekawskimi gapiami, nim nadeszła wizja.

Przemiana, zarazem znajoma i przerażająca, sprawiła, że Becca nie znajdowała się już w centrum handlowym, nie czuła bólu po stracie dziecka. Nie przebywała w rzeczywistości, ale w wodnistym, niematerialnym świecie, który nawiedzał ją w młodości i - co ciekawe - zniknął na większość jej dorosłego życia... aż do dzisiaj.

Kawałek przed nią nastolatka stała na urwisku ponad szarym, wzburzonym morzem; jej długie, jasnobrązowe włosy powiewały na porywistym wietrze, który szarpał jej koszulkę i dzinsami. Patrzyła na wysepkę pośród kotłujących się fal, zamazaną przez deszcz. Becca powędrowała za spojrzeniem dziewczyny, jak ona skupiła się na wyspie, opuszczonej skale, która była niegościnna jak obca planeta. Dziewczyna zadrdzała i Becca także. Od przenikliwego zimna dostała gęsiej skórki na rękach.

Dziewczyna wydawała się znajoma. Bez wątplenia znajoma...

Becca przyglądała jej się uważnie, wkładając w to wszystkie siły.

Znam ją skądś?

Próbowała sobie przypomnieć. Kim była? Gdzie się znajdowała? Dlaczego wciągała Beccę w swój świat?

Prawie nie zwracała uwagi na zawroty głowy - przykre ostrzeżenie, że za chwilę zemdleje. Nie, nie, nie! Uwięziona między dwoma światami, gdy jej ciało słabło w jednym, a umysł desperacko szukał odpowiedzi w drugim, Becca skupiła się na dziewczynie.

- Kim jesteś?! - zawołała, ale zrywający się wiatr wcisnął jej słowa z powrotem do ust.

Widmowa dziewczyna zrobiła krok do przodu; czubki butów wysunęły się za krawędź urwiska. Becca wyciągnęła rękę.

- Stój! Stój!! - krzyknęła. Chciała się rzucić?

Becca skoczyła ku niej w chwili, gdy dziewczyna odwróciła się przodem. Teraz ujrzała nie tylko jej profil, ale całą twarz.

- Jessie? - szepnęła zszokowana; w głowie jej się zakręciło.

Jessie tylko popatrzyła na Beccę, a Becca bezradnie odpowiedziała tym samym. Wiatr tańczył we włosach Jessie i wokół jej drobnej, poważnej twarzy. Serce Becki zabiło boleśnie.

Jessie Brentwood? Zaginiona koleżanka z klasy? Zniknęła dwadzieścia lat temu...

A teraz pojawiła się w wizji Becki.

- Stoisz za blisko krawędzi! - ostrzegła ją Becca. Widmowa dziewczyna uniosła palec do ust i coś powiedziała.

- Co? - Becca próbowała oczyścić umysł. - Co?!

W gęstniejącej mgle obraz dziewczyny zaczynał blednąć. Becca chciała zrobić krok naprzód, ale miała wrażenie, że jej stopy ugrzęzły w miejscu.

- Jessie! - krzyknęła.

Dziewczyna stopiła się z deszczem i wodnisty świat rozmył się w nieskończonej szarości.

Becca poczuła łzy na rzesach i tępe łupanie w głowie. Nadpłynął skądś męski głos:

- Proszę pani? Nic pani nie jest?

Becca z trudem otworzyła oczy. Znajdowała się w centrum handlowym. Leżała na zimnej podłodze. Wokół rozsypane zakupy. Żadnego oceanu. Żadnego wiatru. Żadnej Jessie.

O Boże, zrobiła z siebie idiotkę!

Podkurczając nogi, Becca próbowała zebrać się w sobie. Z trudem wracała do rzeczywistości. Zawsze tak było po wizjach. Niech to szlag. Myślała, że ma już je za

sobą. Że to symptom z dzieciństwa. Nie miała żadnej wizji od szkoły średniej, a teraz skończyła trzydzieści cztery lata..

Ale nie zapomniała, jak to jest. Nie całkiem.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała nieswoim głosem. Odchrząknęła, zwalczając oślepiające dżgnięcia bólu rozbłyskującego w czaszce. Kolejna niemiła rzecz związana z wizjami. - Potknęłam się.

- Tak?

Młody pochylający się nad nią mężczyzna nie uwierzył. Wokół zebrało się kilka dziesięcio-, jedenastoletnich dziewczynek - niewielka grupka, więc Becca wiedziała, że nie odpłynęła na długo, może tylko na kilka sekund. Jedna dziewczynka patrzyła na nią oczami wielkimi jak spodki. Becca nadal słyszała echo dziewczęcego krzyku - rozległ się, kiedy Becca się przewracała. Mała trzymała oranżadę z pobliskiej budki z jedzeniem. Becca przypomniała sobie, że zerkała w tamtą stronę, zanim nadpłynęła wizja.

- Pani miała atak - odezwała się inna dziewczynka.

Nosiła kapelusz, który przyciskał jej grzywkę do czoła, więc musiała zerkać spomiędzy pasemek jasnych włosów. Wszystkie wyglądały, jakby w każdej chwili gotowe były odskoczyć i pognać biegiem. Przez chwilę Becca zastanawiała się, czy nie wrzasnąć „buu!”, żeby uciekły od starej wariatki, potykając się o własne nogi.

Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Becca usłyszała trzask zamykanej komórki. Jakiś chłopak zrobił jej serię zdjęć, kiedy leżała zemdlna. Dość tego! Głupi smarkacz. Wstała niepewnie i rzuciła mu wściekle spojrzenie. Nie wiedział, stawiać się czy uciec. Już miała mu powiedzieć, co o tym wszystkim myśli, ale oszczędziła jej wysiłku krepa kobieta w szaroniebieskim mundurze, która pędziła w ich stronę.

- Cofnąć się! - rzuciła do chłopaka, który próbował popisywać się przed kumplami, chociaż w każdej chwili gotowy był zwiewać. Dzieci, podbiegając, ruszyły do knajpek i budek z jedzeniem, a potem do wyjścia.

- Nic pani nie jest? - zapytała kobieta z ochrony.

Czerwona ze wstydu, Becca pokręciła głową zbierając paczki. Wcale nie czuła się dobrze.

- Źle pani wygląda. Może powinna pani usiąść.

- To mi się czasem zdarza. Nie dość tlenu. Nerw błędny, wie pani. Czasem wyłącza cały system.

Kobieta niewiele zrozumiała z tego bełkotu, a poza tym to było wierutne kłamstwo. Lekarze już kiedyś pocierali brody w zamyśleniu, spekulując, co powoduje u Becki omdlenia i wizje. Zignorowali wizje, skupiając się na przyczynie omdleń; sugere-

rowali, przypuszczali i teoretyzowali przed rodzicami Becki, Barbarą i Jimem Ryanami, ale nigdy nie znaleźli satysfakcjonującego wyjaśnienia.

- Nic mi nie jest - zapewniła raz jeszcze kobietę z ochrony, próbując ratować resztki godności osobistej.

Zanim posypały się następne pytania, wyszła z centrum handlowego i uciekała przed krojącym deszczem do samochodu, niebieskiego volkswagena jetta wciśniętego między dwa ogromne SUV-y. Z ręką obolałą po upadku przecisnęła się do drzwi kierowcy, wrzuciła paczki na siedzenie pasażera i wsiadła do auta. Nadal czuła mrowienie w ciele, jakby cała zdrętwiała. Oparła czoło o kierownicę i wzięła kilka głębokich oddechów. Ta wizja była inna. Niemal namacalna. Naprawdę wyciągnęła rękę do dziewczyny. To nigdy wcześniej jej się nie przydarzyło.

To była Jessie? Naprawdę?

Becca odgarnęła z oczu mokre włosy, każąc sobie odpuścić, a potem podniosła głowę i bezmyślnie zapatrzyła się przez przednią szybę na kremowy tynk centrum handlowego. Kobieta około dwudziestki stała pod daszkiem przy drzwiach, paląc papierosa i rozmawiając przez komórkę. Jednak zamyślona Becca ledwie ją dostrzegła.

Nie miała wizji od ostatniego roku w szkole średniej. Ani razu. Zdołała wmówić sobie w ciągu minionych lat, że nie jest dziwadłem. Jakimś odmieńcem. Że nie wariowała.

Ale wizja z Jessie była bardziej realna od wszystkiego, czego wcześniej doświadczyła. I o niebo bardziej przerażająca.

Co to znaczyło?

- Nic! Spójrz prawdzie w oczy, jesteś dziwadłem - mruknęła do siebie pod nosem.

Ostatnie, czego potrzebowała teraz w swoim życiu, to dziwaczne wizje, ataki czy jak to nazwać. Tyle lat wierzyła, że wizje skończyły się, umarły śmiercią nagłą i ostateczną.

Starając się otrząsnąć z dziwnego wrażenia, które nie chciało jej opuścić, wyjechała z parkingu. Wycieraczki zgarniały deszcz. Niebo pociemniało, zmierzch zapadał szybko. Jedna z toreb z zakupami przechyliła się i prezent dla dziecka, który dzisiaj kupiła, wypadł na siedzenie - kolorowa, wymyślna marionetka w kształcie syrenki, uszyta ze srebrnej lamy z różowymi i zielonymi cekinami.

Bała się, że znowu powrócą smutne myśli, ale im na to nie pozwoliła. Prowadząc jedną ręką, upchnęła lalkę do torby i pojechała prosto do domu, który kiedyś dzieliła z Benem. Teraz mieszkanie z dwiema sypialniami należało tylko do niej - całe osiemdziesiąt metrów kwadratowych „czarującej architektury z połowy wieku”, jak zachwalano w ulotkach. W języku laika oznaczało to, że osiedle powstało pod koniec lat

pięćdziesiątych i zostało przebudowane pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Ale to był jej dom. Nawet bez Bena.

Nim zaparkowała na swoim miejscu, zdołała odepchnąć na bok przekłętą wizję i niechciane smutki, ale zmrok zapadał szybko i znowu lunęło.

Z nieba spływały drżące ściany deszczu, kiedy szła do drzwi frontowych, szukając kluczy. Wieczorna gazeta leżała na progu w plastikowej torbie. Schyliła się po nią, zonglując zakupami i weszła do mieszkania. Rzuciła wszystkie rzeczy na stolik w małym przedpokoju, potem zdjęła przemoczony płaszcz i powiesiła go w szafie, kiedy usłyszała stukanie pazurów Ringa o dębowy parkiet.

- Cześć, staruszkule - powiedziała, gdy kundel z czarno-białą, kręconą sierścią, wyczekująco zamerdał do niej ogonem. Patrz, co dla ciebie mam.

Wyjęła niebieską obrózkę z ozdóbkami w kształcie małych, białych kostek, ale Ringo nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Interesowało go tylko jedzenie.

- No dobrze - poddała się i ruszyła do kuchni.

Wyjęła słoik z psimi przysmakami. Ringo wesoło zaszczekał dwa razy, kiedy odkręciła pokrywkę i wyłowiła kilka ciasteczek. Rzuciła je psu, który podskakując, łapał je po kolei w zęby, jedno po drugim, a potem popędził na posłanie, gdzie je obwąchał i schrupał.

- Zaraz wyjdziemy na spacer - oznajmiła, dokładając trochę zwykłej karmy do psiej miski.

Ringo szybko skończył smakołyki i popędził do miski, zjadając posiłek z takim samym entuzjazmem, z jakim chrupał ciasteczka. Nie był wybrednym psem.

Wyjrzała przez kuchenne okno, które wychodziło na okno w mieszkaniu po drugiej stronie rozległego trawnika. Widziała kuchnię naprzeciwko ozdobioną czerwonymi i różowymi serduszkami z folii. Młoda dziewczyna siedziała przy stole, zlizując lukier z babeczki ozdobionej cukrowymi sercami.

Przypomniała sobie ubiegłoroczne walentynki. Czekwała na Bena. Chociaż wyczuwała - a w gruncie rzeczy wiedziała - że ich małżeństwo dogorywa, w spontanicznym odruchu kupiła tort i butelkę szampana. Tort był w kształcie serca i miał czerwony napis „Bądź ze mną”.

Ben w ogóle nie zjawił się tego wieczoru i Becca sama otworzyła szampana, wypila pół kieliszka, a resztę wylała do zlewu. Nie odpowiadał na jej telefony ani na wiadomości. Dopiero późnym wieczorem odpisał: „Coś mi wypadło. Nie martw się. Nic mi nie jest”. Spanikowałyby i zadzwoniła na policję, gdyby w głębi serca nie wiedziała, co się kroi. Pojawił się następnego dnia z nowinami - powiedział, że kocha kogoś innego i że ten ktoś jest w ciąży.

Chociaż mówiła sobie, że spodziewała się czegoś podobnego, i starała się nie okazać, że ją zaszokował, zranił i zdenerwował, to nic jej z tego nie wyszło.

Podejrzewać męża o romans to jedno.

Ale usłyszeć o romansie i jeszcze o ciąży to całkiem co innego.

- Mówiłeś mi, że nie chcesz dzieci - przypomniała mu, starając się nie wrzeszczeć na całe gardło.

- Widocznie zmieniłem zdanie - odparł, unikając jej oskarżycielskiego spojrzenia.

- Widocznie?

- Słuchaj, przykro mi. Nie chciałem, żeby tak wyszło.

- Skoro nie chciałeś, to trzeba było używać prezerwatywy.

- A kto mówi, że nie używałem?

- A używałeś? - naciskała. Brał ją za kompletną kretynkę?

Prawie jej skłamał. Widziała, że zastanawia się, czy zdoła jej to wmówić, czy mu uwierzy. Ale znał ją niemal tak dobrze, jak ona jego.

- To nie tak miało być - wymamrotał w końcu, idąc do sypialni po walizkę.

Poszła za nim; czuła się oszukana i nie mogła mu tak po prostu odpuścić. Szarpnięciem ściągnęła drugą torbę i wypchała ją jego ubraniami. Wściekłość, wszechogarniająca furia pomogły jej zwinąć jego koszule BrookBrothers w małe kule.

- Zabierz wszystko. Wszystko. Nie wracaj. Nigdy.

- Becca, po prostu jesteś zła. Muszę wrócić po...

- Nie staraj się być rozsądny, Ben. Przysięgam na Boga, nie baw się w racjonalność, bo zacznę wrzeszczeć. - Spiorunowała go wzrokiem, ale widziała tylko dziecko. Dziecko, które miał... z kimś innym. - Jeśli nie możesz zabrać czegoś teraz, znajdziesz to przed wejściem.

- Nie bądź śmieszna!

- Ja jestem śmieszna?! -Upuściła jedną z białych koszul na podłogę sypialni.

Ben, tchórz, nie potrafił spojrzeć jej w oczy. W napiętej ciszy podniósł koszulę, wepchnął ją do torby i wypadł z mieszkania. Wyrzuciła za nim drugą walizkę, nie dbając, czy ją weźmie, czy nie. Neseser stał na ganku przez dwa dni, w ciągu których Becca ułożyła wokół niego resztę rzeczy Bena, koronując stos najcenniejszym trofeum golfowym. Spodziewała się, że stowarzyszenie właścicieli mieszkań poskarży się na bałagan, ale Ben zdołał wszystko zabrać, zanim do tego doszło. Zjawił się, kiedy jej nie było, więc nie padło już więcej słów w gniewie. Właściwie to nie padły żadne słowa przez kilka następnych miesięcy. Becca już miała się z nim skontaktować, przygotowując się do nieuniknionego rozwodu, kiedy odebrała telefon od Kendry

Wallace -tego „kogoś innego” - która wśród szlochów, krzyków i łez wyjaśniła, że Ben zmarł w jej ramionach na atak serca. W wieku czterdziestu dwóch lat.

Przez dobre dziesięć minut do Becki nic innego nie docierało. Nic poza tym, że Ben nie żył. W końcu ochłonęła na tyle, żeby usłyszeć, że Kendra jęczy w kółko „o ja biedna, co ja teraz zrobię”.

- Dziecko - powiedziała Becca, powracając do rzeczywistości. Ben miał zostać ojcem...

- Dziecko jest moje! - ostro warknęła Kendra, jakby wiedziała, że Becca marzy o własnym.

- Masz rodzinę? Kogoś, kto ci pomoże?

- A co to ma do rzeczy?

- Potrzebujesz kogoś...

- Potrzebuję Bena, a on nie żyje! - oświadczyła, pociągając nosem i łkając. - A z tobą... tobą... skontaktuje się mój prawnik.

- Prawnika? Dlaczego... - I wtedy to do niej dotarło. Rozwodu nie doprowadzono do końca, zgoda na rozdzielenie majątkową nie została przypieczętowana. Jezu Chryste.

Kendra rzuciła słuchawkę.

Becca siedziała i gapiła się w przestrzeń. Zdawała sobie sprawę, że Kendra dobierze się do jej pieniędzy, ale skoro dziecko miało być Bena, to niech tak będzie. Po tem, po dwóch miesiącach milczenia zadzwoniła do Kendry pod numer, który wyświetlił się wcześniej na aparacie i dowiedziała się, że to telefon jej matki. Kobieta poinformowała Beccę, że Kendra przeprowadziła się do Los Angeles z nowym chłopakiem.

- A co z dzieckiem? - zapytała Becca.

Matka chłodnym tonem poinformowała ją, że chłopak Kendry adoptował chłopczyka i że to... nie... jej... sprawa. Wszystkim zajmą się prawnicy.

I zajęli się. Ostatecznie ustanowiono rachunek powierniczy dla dziecka Kendry z połowy polisy na życie Bena. Wszystko załatwił prawnik Becki, który był przyjacielem jej zmarłego męża. Becca zgodziła się, że dziecku należą się pieniądze, ale jeśli Kendra zamierzała dopominać się o coś więcej, Becca gotowa była walczyć.

Teraz przytuliła na chwilę Ringa, założyła mu nową obrozę i przypięła smycz. Włożyła ulubioną kurtkę przeciwdeszczową związała włosy w ogon i wcisnęła na głowę czapkę z daszkiem. Ringo już tańczył pod drzwiami.

Na zewnątrz zapadła noc, ciemna od deszczu i zimna. Spacerowali po terenie osiedla. Ringo zamierzał do kilku psów, ale nie wydał głosu. Nie licząc jednego, dwóch szczeknięć, gdy dawano mu jedzenie, był raczej cichym psem. Rzadko kiedy

warczał czy hałasował. Na spacerach zwykle wystarczało mu wsadzenie nosa w różne miejsca i podnoszenie łapy przy każdym interesującym drzewku.

Dzisiejszy dzień nie różnił się niczym od pozostałych; było trochę mniej przechodniów, pewnie z powodu deszczu. Chowając głowę w kołnierz, Becca przeszła kilka przecznic w stronę rzeki, po czym zawróciła, dając Ringowi czas na załatwienie swoich spraw.

Mniej więcej przecznicę od domu pies nagle zatrzymał się, zeszywniał i warknął gardłowo. Becca pociągnęła za smycz, ale Ringo nawet nie drgnął.

- Chodź - mruknęła, kiedy włosy zjeżyły jej się na karku. To było zachowanie zupełnie nie w stylu Ringa.

Pies gapił się w punkt jakieś sto metrów od niego, gdzie rósł gęsty jodłowy zagajnik; gałęzie poruszały się jak przywołujące ręce, drzewa stały wysokie i ciemne w zacinającym deszczu. Serce zabiło jej szybciej. Coś było nie tak. Rozejrzała się nerwowo, jakby spodziewała się, że wyskoczy na nią potwór.

Ringo szczeknął głośno i szarpnął się na smyczy.

- Straszysz mnie - zbeształa go Becca i szybko pochyliła się do psa.

Wzięła mokrego zwierzaka na ręce i szybko wróciła do domu. Ringo obrócił łeb i nie spuszczał oka z drzew. Czuła niskie powarkiwanie wibrujące w jego ciele.

Już w mieszkaniu zatrasnęła drzwi, odpięła smycz, wyjęła ręcznik z szafy w przedpokoju i chciała wytrzeć Ringa, ale pies śmignął do najbliższego okna. Stał na tylnych łapach z nosem przyciśniętym do szyby i odsłoniętymi kłami, cicho powarkując.

- Przestań! - krzyknęła na psa i poszła do kuchni.

Nalała wody do czajnika. To pewnie tylko wiewiórka. Albo ten tłusty rudy kocur, który przesiaduje na tarasie na piętrze. Nic takiego. Weź się w garść!

Otrząsnęła się i zaczęła grzebać w szafce. W te walentynki nie będzie żadnego szampana. Wystarczy herbata.

Kiedy wróciła do salonu, Ringo siedział już na zadku, ale nadal nie spuszczał z oczu drzew za oknem.

Becca próbowała go przywołać, żeby usiadł obok niej na kanapie, ale kiedy chciała wziąć go na ręce, wyrwał się i zaczął dreptać przed oknem. Podenerwowana jego zachowaniem, wzięła gazetę i wyjęła ją z plastiku. Jej wzrok padł na zdjęcie przedstawiające posąg Madonny z labiryntu przy szkole Świętej Elżbiety. Wielkimi literami napisano: „Chłopcy odkrywają w labiryncie ludzki szkielet”.

Ze zdumienia rozdziawiła usta.

Czajnik zagwizdał, a ona aż krzyknęła. Ringo zaczął szczekać jak opętany. Potrzebowała dłuższej chwili, nim uspokoila psa i własne rozkołatane serce na tyle, żeby

przeczytać artykuł o ciele odnalezionym na terenie prywatnej szkoły średniej, do której sama kiedyś chodziła, a którą teraz wyburzano.

Kiedy skończyła, serce nadal waliło jej jak młotem. Zagapiła się na płynące po szybie strumyki wody. Myślami była daleko od żalonych walentynek, zmarłego męża i tego, co wystraszyło Ringa.

Powróciła do czasów, kiedy chodziła do szkoły. Wiedziała że szkielet należał do Jessie Brentwood. Dziewczyny z jej wizji, szkolnej przyjaciółki, która zniknęła bez śladu. Dziewczyny Hudsona Walkera, w którym Becca podkochała się po kryjomu, ojca jej nienarodzonego dziecka, o którym nie miał pojęcia.

Jezebel „Jessie” Brentwood. Miała szesnaście lat, gdy zniknęła.

Powróciła dziś do Becki w wizji.

Coś powiedziała. Coś ważnego. Kiedy wiatr odgarnął jej włosy z twarzy i stanęła nad urwiskiem. Wyszepiała słowa, które coś znaczyły. Coś, co Becca powinna zrozumieć, ale czego jeszcze nie pojmowała.

- Jessie... - powiedziała na głos, patrząc na gazetę i widmowe zdjęcie Madonny. - Co się z tobą stało?

Rozdział 2

Sam McNally stał na deszczu, przyglądając się ogrodzonemu taśmą miejscu zbrodni, które technicy policyjni pracownicy przeczesywali przez ostatnie dwadzieścia godzin. Tłum się przerzedził, dziennikarze dawno zniknęli, większość policjantów wróciła do domów albo zajęła się innymi obowiązkami. Dziś wieczór okolica była mroczna, mokra i błotnista. Szczątki zabrano. Teraz pracowali nad nimi technicy, robiąc wszystko, co w ich mocy. Wstępne badania mówiły, że kości należały do dziewczyny w wieku piętnastu, szesnastu lat. Jeśli nie była nią Jezebel Brentwood, to niech zjem kangura, jak to często mówił jego syn, kiedy jeszcze był mały.

Rozejrzył się po zaniedbanym labiryncie, gdzie winorośle zarastały niegdyś przystrzyżony żywopłot. Lata temu krążyły plotki, że labirynt założył niesubordynowany ksiądz, toczący walkę z biskupem i archidiecezją że zielona gęstwina skrywa tajemnice. Ludzie rozmawiali o tym i śmiali się z pogłosek. Legenda nie umarła, podtrzyma-

wana przez zwolenników teorii spiskowych. Ale potem miało tu miejsce prawdziwe morderstwo - wiele lat temu zabito ucznia. Chłopiec, który nazywał się Jake Marcott, dosłownie zaliczył strzał w serce - i to akurat w walentynki. Co za ironia. Zginął właśnie tutaj ponad dwadzieścia lat temu.

A teraz te kości.

Dziewczyna, nastolatka. Technicy znaleźli jej miednicę, ale reszta kości była rozrzucona; szkielet nie zachował się w całości, brakowało fragmentów. Niektóre leżały rozrzucone, jakby zwierzęta rozkopały płytki grób i roz-włóczyły ciało. Jedną z kości łokciowych odkryto dwa metry dalej, pod żywo-płotem, wyciągniętą z prawej ręki. Znalezione też inne rozrzucone kości i wszystko zabrano w torbach do poskładania w kostnicy. Ponura robota, która zdaniem Sama przyprawiała o mdłości.

Kogo ja oszukuję? Już sama myśl o jej pięknym ciele rozrywającym na części sprawia, że człowiekowi wszystko przewraca się w żołądku.

Skrzywił się w ciemnościach.

- Niech to diabli - mruknął i spojrział tam, gdzie wykopano kości, płytki grób u podnóża posągu Marii. Jaki chory sukinsyn zabił ją i pogrzebał w takim miejscu?

Pochował ją tu, żeby wracać i odtwarzać w myślach morderstwo? A może przychodził tu dla pokuty? Kładł kwiaty na jej nieoznaczonym grobie? Takie rzeczy czasem się zdarzają; nawet dziś u stóp Madonny leżały resztki uschniętych róż, zmoczone deszczem i zabłocone. Zabrano je do laboratorium.

Ty skurczybyku, pomyślał. Znajdę cię, wiem, gdzie szukać.

- Ej, Mac!

Technik pracujący w pobliżu posągu pomachał do niego. Madonna, choć przechylona, stała nadal spokojna, z rękoma uniesionymi do nieba, to znaczy, teraz... niezupełnie do nieba, ale można było to sobie wyobrazić.

Lodowate krople spływały mu po karku, ale zignorował to i ruszył przez lepkie błoto. Buty ważyły dwa razy więcej niż normalnie, tak były oblepione ziemią.

- Aha?

Nikt nie zwracał się do niego: Sam. Nigdy tak na niego nie mówiono i pewnie się to nie zdarzy.

- Myślisz, że to ona, prawda?

W upiornym oświetleniu policyjnych lamp Mac spojrział chłodno na mężczyznę. Mówiono o tym w wydziale od dwudziestu lat - o jego potrzebie wyjaśnienia sprawy Jessie Brentwood. Chociaż zwykle niespecjalnie mu to przeszkadzało, dziś wyjątkowo drażnił go fakt, że technicy, zamiast pracować, teoretyzowali, mielili ozorami i komentowali jego upór. Wkurzało go to jak diabli.

Nie żeby się mylili. Nie chciał się do tego przyznać, ale rzeczywiście miał obsesję na punkcie tej dziewczyny. Żadna inna sprawa nigdy go tak nie pochłonęła.

- Masz coś dla mnie? - zapytał. - Czy tylko chcesz pogadać?

- Chyba ci się udało, tylko tyle. Naprawdę wygląda, jakby to mogła być ona, Jaime.

- Jessie.

- Od początku mówiłeś, że została zamordowana. Zabiło ją kilku chłopaków, a potem ukryli ciało. Dwadzieścia lat... - Z niedowierzaniem pokręcił głową. - Dwadzieścia cholernych lat.

Niemal co do dnia, pomyślał Mac, ale wołał nie dolewać oliwy do ognia.

- Co teraz zrobisz?

Mac odszedł od ciekawskiego technika.

- To właściwie nie jest już moja sprawa - odparł, wzruszając ramionami.

- Nie pleć. Byłeś przy tej sprawie od samego początku.

No cóż... Mac wrócił do służbowego wozu, czarnego sedana, włożył mniej zaślone buty, siadł za kierownicą i odjechał z miejsca zbrodni. W oddali zarys ciężkiego sprzętu budowlanego rysował się na tle odrobinę jaśniejszego nieba. Wyburzano szkołę Świętej Elżbiety. Nawet bez dzieciaków, które odkryły grób Jessie, jej szczątki z pewnością zostałyby znalezione.

Wrzucił bieg i wyjechał z parkingu o dziurawej nawierzchni, który oddzielał klasztor od szkoły. W kilku oknach zakonnice nadal paliło się światło, w budynku, który ocalono przed buldożerami. Klasztor wciąż należał do Kościoła i tak miało pozostać przynajmniej do chwili, kiedy firma budowlana nie złoży archidiecezji lepszej propozycji.

Gdy przejeżdżał obok pozostałości budynku szkolnego, policyjne radio trzeszczało, a deszcz zacinął w przednią szybę, Mac szybko zajrzał w głąb swego umysłu. Robił to automatycznie. Nauczył się analizować swój stan psychiczny, kiedy obrzucało go kpinami i szyderstwami po tym, gdy oskarżył chłopaków, z którymi Jessie Brentwood się przyjaźniła, że byli zamieszani w jej porwanie. Teraz wiedział, że miał rację. Nie zwariował, to tamta grupa chłopaków - Nadętych Gnojków, jak ich ochrzcił - wpadła w poważne tarapaty.

Wszyscy znali Jessie. Wszyscy twierdzili, że są niewinni, i nie przyznawali się do udziału w sprawie.

Pamiętał ich zaskakująco dobrze. Christopher Delacroix III, obrzydliwie bogaty dzieciak, który chował się za pieniędzmi tatusia. Trzeci, jak na niego wołano, wyglądał na szefa paczki. Obecnie był adwokatem w Portland i niezłym sukinsynem. Mitch Bellotti, zwalisty futbolista i prawdziwy mądrała, nadal mieszkał gdzieś w okolicy i

podobno został mechanikiem jak się patrzy. No i Scott Pascal - wyjątkowo szczwany lis. On i jego kumpel - Glenn Staf-ford - otworzyli razem elegancką restaurację. Inni też pozostali w okolicy, ich nazwiska i twarze pojawiały się w myślach Maca: Jarrett Erikson, Zeke St. John i Hudson Walker.

Lubił kontrolować swoje emocje. Dzięki temu nauczył się panować nad sobą. Nauczył się, jak nie okazywać żadnych uczuć.

Ale nigdy nie przestał podejrzewać, że któryś z Nadętych Gnojków - jeśli nie kilku - był odpowiedzialny za zniknięcie i śmierć Jessie Brentwood. Może byli w to zamieszani i inni spoza ścisłej paczki. Mac zamięczał wszystkich, którzy przyjaźnili się albo tylko znali z Jessie. Ale Nadęte Gnojki przodowały na jego liście. Dwadzieścia lat temu zmienił ich życie w piekło, teraz mógł się do tego przyznać. Miał dwadzieścia pięć lat, był zadufany w sobie, zuchwały, zarozumiały. Prawdziwy wrzód na tyłku. Lecz nie zdołał ich złamać. Nie potrafił znaleźć luki w ich zeznaniach. I w końcu stał się pośmiewiskiem wydziału. Niewiele brakowało, a wyleciałby z działu osób zaginionych i został przeniesiony do papierkowej roboty. Potrzebował wielu lat, żeby zostać szanowanym detektywem z wydziału zabójstw, ale nadal niektórzy z przełożonych zerkali na niego podejrzliwie, a partnerzy odchodzili najszybciej, jak się dało. Sprawa Jezebel Brentwood, jego obsesja, wycisnęła na nim piętno.

A teraz... odkryto jej kości.

Jeśli to były szczątki Jessie. Wierzył całym sercem, że tak. Przednie światła samochodu odbiły się od mokrej, pokruszonej nawierzchni i zalśniły w oczach tłustego szopa, który czmychnął w krzaki okalające zapomnianą główną bramę szkolną.

Badając swoje uczucia, Mac spodziewał się odkryć coś w rodzaju satysfakcji, rodzającego się „a nie mówiłem”. Może i znalazł odrobinę tych emocji, ale przede wszystkim obudziła się w nim ciekawość, uśpiona bestia, która zaczynała się wiercić w legowisku i węszyć.

Wjechał na autostradę biegnącą kanionami, które przecinały zachodnie wzgórza Portland. Wysokie jodły rosły wzdłuż drogi, a eleganckie domy z początku XX wieku wcinały się w strome zbocza.

Zastanawiał się, co się przytrafiło Jessie. Żart wymknął się spod kontroli? Sprzeczka miłosna potoczyła się za daleko? Wypadek? A może morderstwo? Zimne, wyrachowane morderstwo na ładnej dziewczynie.

Gula rosła mu w gardle, jak zawsze, kiedy miał do czynienia z przemocą wobec młodej osoby albo śmiercią kogoś takiego. Niewinnej istoty. Chociaż z tego, co wiedział o Jessie Brentwood, była starsza, niż wskazywałyby na to jej lata, i na pewno nie niewinna... To była intrygująca niepełnoletnia kobieta, równie zręczna w manipulacji jak ponętna. Doskonale знаła swoje przymioty i wiedziała, jak wykorzystać wielkie,

piwne oczy i szeroki uśmiech, żeby dostać to, czego chce - nawet jeśli oznaczało to igranie z ogniem.

Zadał sobie pytanie, które najwyraźniej męczyło innych: dlaczego ta sprawa tak go zafascynowała? Zwykły przypadek zaginięcia, tak mówili. Dlaczego Mac tak się nią przejął?

Nadal nie potrafił odpowiedzieć. Może się w niej zadurzył, może pragnął tej pięknej, tajemniczej dziewczyny, której nigdy nie poznał. Zajmował się dziesiątkami spraw zaginionych dzieci, ale ta była inna. Dziewczyna była inna. Sprawdził wszelkie możliwe tropy, myślał o niej nawet we śnie. Fantazjował na jej temat i nieźle się przy tym nakręcał. W tamtym okresie kumple z policji uważali, że całkiem mu odbiło. Była szesnastolatką która związała z domu. A on był błyskotliwym, utalentowanym detektywem, który miał obsesję na punkcie ducha.

Patrząc z perspektywy czasu, może wcale się tak bardzo nie mylili.

Teraz, dwadzieścia lat później, samotny ojciec pracujący w wydziale zabójstw, Mac zdecydowanie złagodniał. W granice rzeczy nie chciał już tej sprawy. To stare rany. I same kłopoty.

Ale Nadęte Gnojki nadal żyły na wolności. Zastanawiał się, jak się czuli, wiedząc, że znaleziono ciało Jessie. Co najmniej jednemu z nich musiało się teraz zrobić naprawdę gorąco.

Mac uśmiechnął się leciutko. W końcu tak właśnie powinno być. Należało odgrzać starą sprawę i przypalić tyłki tym zadowolonym z siebie łajdakom.

Z każdą minutą podobało mu się to coraz bardziej.

Becca odłożyła gazetę na stolik i zapadła się głębiej w poduszki kanapy, gapiąc się na złożone strony, jakby to był pamiętnik szatana. Zrobiło jej się zimno. Co to było? Co to miało znaczyć?

Ringo krążył koło jej stóp; ciche, niemal niesłyszalne warczenie wydobywało się z jego gardła.

- Przestań, tam niczego nie ma - powiedziała, żeby uspokoić nie tyle psa, ile własne skołatane nerwy.

Jessie Brentwood zniknęła dwadzieścia lat temu, kiedy miała szesnaście lat i była uczennicą w Świętej Elżbiecie, prywatnej katolickiej szkole, która zaledwie kilka lat wcześniej stała się koedukacyjna. Becca również chodziła do Świętej Elżbiety, ale była rok niżej, w pierwszej klasie. Przyjaźniła się jednak ze znajomymi Jessie i bardzo dobrze pamiętała, jak skrycie podko-chiwała się w chłopaku Jessie, Hudsonie Walke-rze. Miał ciemne, przydługie włosy, łagodny, spokojny uśmiech i nieco zaciągał z kowbojska. Różnił się od rówieśników; wydawał się trochę starszy, bo miał cyniczne

poczucie humoru i dystans do samego siebie, które sprawiały, że był bardziej interesujący. Zupełnie, jakby wiedział, kim ludzie są naprawdę, jakby zdzierał z nich maski i bawiły go ich dziecinne wygłupy.

A może tylko sobie wmawiała, że jest dojrzalszy, bardziej inteligentny i seksowny od kolegów. Teraz wiedziała, że była w nim zakochana po uszy i ukrywała to przez całe lata.

Ale to się zmieniło, prawda? Kiedy Jessie zniknęła... wtedy wykonałaś swój ruch. Ty, Becca, byłaś równie wyrachowana jak ona.

O Boże...

Zażenowana, przycisnęła dłonie do zaczerwienionych policzków. Znowu poczuła się winna, bo wiedziała, że wykorzystwała zniknięcie Jessie oraz zagubienie i rozpacz Hudsona. Oczywiście, to się wydarzyło dużo później, kiedy oboje już skończyli szkołę średnią a Jessie zniknęła lata temu, ale Becca zdawała sobie sprawę z tego, że nie miała najczystszych motywów. Była zakochana w Hudsonie. I kiedy pojawiła się dla niej szansa, chwyciła ją obiema rękami i przysięgła sobie nigdy jej nie puścić.

Teraz to wydawało się głupie, a jednak - chociaż minęło ponad dwadzieścia lat, odkąd pierwszy raz go zobaczyła - stare uczucia potrafiły odżyć w niej w jednej chwili. Czytała kiedyś, że pierwsza miłość nigdy do końca nie umiera, że po prostu kryje się pod powierzchnią, czeka jak sucha hubka, którą wystarczy musnąć zapałką trzeba tylko jednej iskry, aby zapłonęła.

Nadal pozostało coś z tych dawnych uczuć? Miała nadzieję, że nie. Miała nadzieję, że jej pierwsza miłość została dawno za nią.

A jednak nie mogła przestać myśleć o Jessie. I Hudsonie. I o szkolnym zadurzeniu, które uważała za prawdziwą miłość. Ukrywała swoje uczucia, a potem wykorzystwała pierwszą szansę, żeby urzeczywistnić marzenia.

Becca właśnie skończyła szkołę średnią a on był po pierwszym roku college'u, kiedy pojawiła się okazja. Po prostu „wpadła” na niego pewnego letniego wieczoru - chociaż tak naprawdę przejeżdżała koło domu jego rodziców tak często, że nauczyła się rozkładu dnia Hudsona na pamięć. Pojechała za nim do pizzerii Dino's, którą otwarto tamtego roku, miejsca popularnego wśród nastolatków i świeżo upieczonych absolwentów.

Okazało się, że Hudson siedział w pizzerii z Zekiem St. Johnem i kiedy Becca beztrąsko weszła do środka, z trudem ukryła rozczarowanie. Liczyła, że Hudson będzie sam ze swoim olśniewającym uśmiechem. Zeke i Hudson przyjaźnili się w szkole średniej i Becca nie zdziwiła się, że nadal trzymają się razem. Dopiero później się dowiedziała, że ich przyjaźń już wtedy dogorywała.

Ale kiedy tamtego wieczoru weszła do pizzerii, wiedziała tylko, że chce się spotkać z Hudsonem. Serce biło jej szybko i gwałtownie. Chociaż uśmiechała się szeroko, w środku dygotała. Gdyby się nie pilnowała, usta drżałyby jej z lęku i podniecenia, a nie mogła sobie na to pozwolić. Wyczuwała, że w jego paczce jest zaledwie tolerowana. Bliźniacza siostra Hudsona, Renee, właściwie ją ignorowała i tylko starannie pielęgnowana przyjaźń z Tamarą Pitts pozwoliła Beccie wejść do ich zamkniętej grupy. Fakt, że była rok niżej od nich, był jak skaza albo gorzej: jak blizna wypalona na czole, jak napis „dziwaczna gówniara”. Więc tego wieczoru musiała zachowywać się jak pewna siebie, panująca nad sytuacją sympatyczna dziewczyna.

Udawała, że nie od razu zauważyła Hudsona i Zeke'a. Podeszła do lady i zagapiła się na listę tradycyjnych i egzotycznych pizz. Zamówiła małą pepperoni i dietetyczną colę i z plastikowym numerkiem w ręku rozejrzała się za stolikiem. Dopiero wtedy „dostrzegła” Hudsona i uśmiechnęła się - niby zaskoczona - na powitanie. Hudson pomachał do niej. Podeszła, a on wskazał krzesło obok siebie.

- Dzięki - rzuciła. - Zawsze tu taki tłok.

Zeke St. John był jeszcze przystojniejszy od Hudsona, przynajmniej w klasycznym rozumieniu: miał ciemne włosy, szare oczy i wyrazistą szczękę. Nie uśmiechnął się, kiedy Becca się pojawiła, ale Hudson spojrzał na nią ciepło. I z rozbawieniem. Cholera, jakby czytał w jej myślach.

Co było kretyńskim przypuszczeniem.

Nie potrafiła sobie przypomnieć, co potem powiedziała. Siłiła się na niezobowiązujące pogaduszki, chociaż zadała kilka kluczowych pytań, a potem chłoneła informacje, których Hudson udzielił na swój temat, żeby je przeanalizować. Dowiedziała się, że właśnie skończył pierwszy rok biznesu na uniwersytecie Oregon, tak jak Zeke. Za dwa miesiące obaj wracali do szkoły. Zeke spędzał lato, pracując w firmie ojca, która zajmowała się częściami samochodowymi, podczas gdy Hudson pomagał na ranchu ojca w okolicy Lau-relton, na odległym, zachodnim krańcu przedmieść Portland.

Becca robiła za popychadło w kancelarii prawnej - przynosiła kawę, kopiowała dokumenty, odbierała telefony w czasie lunchu. Zamierzała zacząć naukę w miejscowym college'u, bo nie miała dość pieniędzy, żeby już opuścić dom.

Po ich „przypadkowym” spotkaniu, Hudson zadzwonił do Becki. Nadal pamiętała, jak dłoń jej się pociła, gdy trzymała słuchawkę. Zapytał, czy nie wybrałaby się z nim na jakąś głupawą komedię, a ona natychmiast przyjęła propozycję. Z filmu nie pamiętała już nic; zapamiętała tylko profil Hudsona i błahą rozmowę na temat nieświeżego popcornu i braku gazu w napojach. No i oczywiście to, że do niej zadzwonił.

- Pojechałaś za mną do Dino's tamtego wieczoru - powiedział, odwożąc ją do domu rodziców.

Gwałtownie pokręciła głową i ze wszystkich sił starała się nie zdradzić rumieńcem. O Boże, nawet nie zaczęła jeszcze flirtować. Może nigdy nie zacznie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Pewnie, że masz. - Włączył migacz i skręcił przy końcu jej przecznicy.

- Nie, serio...

Uśmiechnął się jednym kącikiem ust. Ten uśmieszek sprawiał, że chciała go albo pocałować, albo zdzielić.

- Po prostu miałam ochotę na pizzę.

- Minęłaś trzy pizzerie w drodze z domu do Dino's. Więc wiedział, gdzie mieszkała. Zrobiło jej się ciepło.

- Chciałam coś specjalnego.

- Aha, pepperoni to rzeczywiście wyjątkowy wybór.

- W Dino's dają najlepszą. Ego cię trochę poniosło.

Zaśmiał się zuchwale, wjechał na podjazd i zgasił silnik. Zapadła cisza. Zakłócały ją tylko świerszcze i głosy z podwórza sąsiadów, na którym - sądząc po śmiechach, strzępkach rozmów i zapachu węgla drzewnego, unoszącego się nad parkanem - znajomi spotkali się przy grillu.

- Masz rację - przyznała Becca. - Wiedziałam, że tam będziesz.

- Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy.

- Więc teraz uważasz, że jestem natrętna.

- Uważam, że... to była doskonała intryga.

- Boże. Intryga. Skrzywiła się w duchu.

- Przepraszam, że nie pomyślałem o tym pierwszy. Mogłem poznać twoje ulubione miejsca i chodzić za tobą zamiast czekać na ciebie.

- Nabijasz się ze mnie? - zapytała, mrużąc oczy.

- Nie.

- Powiedziałeś Zeke'owi, że twoim zdaniem chodzę za tobą? - Nagle się przeraziła.

- Niewiele mu mówię - uspokoił ją.

- Więc powiedziałaś Renee.

- Siostrze też się nie zwiergam. - Dotknął jej karku. Przebiegł ją dreszcz i już wiedziała, że wpakowała się w niezłe kłopoty. - Za jakiego faceta mnie uważasz?

- Właściwie to chyba cię nie znam, co?

- A chcesz mnie poznać?

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Serce biło jej mocno.

- Może...

Potem wysiadła z samochodu i pospiesznie wróciła do domu, żeby nie zrobić z siebie jeszcze większej idiotki. Powiedziała sobie, że piłka jest teraz po jego stronie i wszystko zależy od niego. Śmiertelnie się bała, że Hudson zawali sprawę. Ale nie. Zadzwoił do niej jeszcze tego samego wieczoru, zanim zasnęła, i umówił się z nią na następny dzień.

Dwa tygodnie później pocałował ją na dobranoc przed domem, a ona znowu kompletnie straciła głowę. Czuła, że się zakochała, i nie próbowała specjalnie walczyć z przyływem adrenaliny na każdą myśl o nim.

Myślała o tym, jakby to było, gdyby się kochali. I wiedziała, że dłużej już nie potrafi czekać.

Miała rację.

Kilka wieczorów później poszli razem na koc pod gwiazdami, z dala od świateł domu na ranczu jego rodziców. Całowali się, dotykali, wzdychali i potem pojawił się ten żar... niewiarygodny żar i pożądanie, które sprawiły, że odrzuciła wszelkie wątpliwości równie łatwo, jak zdjęła z Hudsona T-shirta i dżinsy. Nawet teraz, niemal dwadzieścia lat później, pamiętała ten pierwszy raz, jego sprężyste ciało, napięte mięśnie, kiedy poruszał się nad nią, ciepło jego ust, kiedy otworzyła się dla niego. Nie wielki ból, który pojawił się, gdy w nią wszedł, zniknął szybko w uniesieniu i pragnieniu. Jej pierwszej miłości. To było cudowne. Tak niesamowite, że serce jej zamarło. Objęła go całą sobą zacisnęła powieki i przysięgała, że będzie jej już na wieki.

Teraz, kiedy o tym myślała, z zimną herbatą na stole, psem śpiącym obok na kanapie, posągami Madonny doskonale widocznym na złożonej gazecie, Becca wiedziała, że była potwornie głupia. Smarkuła snująca naiwne marzenia o idealnym życiu z idealnym facetem. W te walentynki doskonale zdawała sobie sprawę z szaleństwa wiary w idealnego mężczyznę. Dajcie spokój. Jakże była naiwna. Jak cholera, pomyślała, drapiąc Ringa za uchem. Pies zamruczał szczęśliwy, nawet nie otwierając oka.

Tamto lato upłynęło błyskawicznie i z intensywnością pożaru na prerii. Becca i Hudson spędzali każdy możliwy wieczór, kochając się. Na piaszczystych brzegach strumienia, podczas gdy ich wędki i stroje kąpielowe leżały porzucone. Na kocu na strzyszku z sianem, nad końmi parskającymi pod nimi w stajni. Na tylnym siedzeniu samochodu Hudsona albo w jego łóżku, gdy nie było rodziców, przy otwartym oknie, żeby wpuszczać ciepłą, łagodną bryzę i łopot nietoperzych skrzydeł.

Nie mogli się sobą nasycić, choć mijały miesiące. Oczywiście spędzali też czas z innymi znajomymi, a Zeke, najlepszy kumpel Hudsona, zawsze kręcił się gdzieś w pobliżu. Jednak w miarę upływu tygodni Zeke odsuwał się i przyjaźń ochłodziła. Wtedy

Becca myślała, że jej związek z Hudsonem wprawiał Zeke'a w zakłopotanie. Potem dowiedziała się, że to zniknięcie Jessie wpłynęło na ich przyjaźń.

Jessie, zawsze Jessie.

Becca ostrożnie wzięła do ręki gazetę, jakby dotyk papieru mógł jej zaszkodzić. Raz jeszcze przejrzała artykuł. Nie wspomiano o płci szczątków. Nic poza tym, że znaleziono kości. Ale to musiały być kości Jessie? Musiały.

Powinnaś do kogoś zadzwonić.

Położyła rękę na telefonie. Podniosła słuchawkę i przycisnęła do ucha, a wtedy rozległ się dzwonek i Becca prawie ją upuściła. Przez jedną szaloną chwilę pomyślała, że to Jessie dzwoni do niej z otwartego grobu.

Na miłość boską, Becca, weź się w garść!

- Słucham? - powiedziała, odchrząknawszy. Chciała otrząsnąć się z nostalgii i podenerwowania.

- Becca? Rebecca... Sutcliff? Rebecca Ryan w szkole średniej?

Zacisnęła palce na słuchawce. Znała ten głos. Cholera, ale przecież właśnie o nim myślała! Hudson Walker. Serce zabiło jej mocniej - tak samo jak w szkolnych czasach. Zbeształa się w duchu.

- Tak, przy telefonie.

- Och, dobrze. Ehm... Jak się masz?

- Świetnie - skłamała. - W porządku. - Jakby dzwonił, żeby pytać ją o zdrowie. Jasne, na pewno. Po tych wszystkich latach. - Podejrzewam, że widziałeś wiadomości.

- Włączyłem telewizję po telefonie od siostry.

Oczami wyobraźni zobaczyła siostrę Hudsona - wysoką i chudą z ciemnymi włosami, które w szkole średniej przysłaśniały jej wielkie oczy, brązowe, choć brata były niebieskie. Renee nigdy nie lubiła Becki i niespecjalnie się z tym kryła.

- Więc zadzwoniła, żeby ci powiedzieć, co dzieciaki znalazły w labiryncie u Świętej Elżbiety? O kościach?

- Aha. - Zniżył nieco głos, a ona wyobraziła sobie, jak Hudson ściąga brwi; kiedyś zawsze tak robił, gdy coś go gryzło.

- Myślisz, że to Jessie.

Nie było powodu owijać w bawełnę. W końcu kiedyś to on chciał, żeby byli ze sobą szczerzy... a przynajmniej dopóki nie zaczęło się między nimi psuć. Gdzie wtedy podziła się uczciwość?

- Może.

- I zadzwoniłaś do mnie?

- Dostałem numer od Tamary. Rozumiem, że nadal się widujecie? Tamara - dziewczyna o kręconych, rudych włosach i porcelanowej cerze, która wierzyła we

wszystko, co mistyczne - była jedną z nielicznych osób, z którymi Becca nadal utrzymywała kontakt. W szkole Tamara znajdowała się kilka kroków od głównego nurtu, ale mimo to nadal trzymała się paczki Hudsona. Dzielnie znosiła nieustanne docinki ze strony pozostałych dzieciaków, z Christopherem Delacroix na czele, najbogatszym dzieciakiem w szkole i jedynym, który miał cyferkę po nazwisku, ponieważ nazywał się tak samo jak ojciec i dziadek. Stąd jego przydomek Trzeci. Becca go pamiętała. Trzeci był uprzywilejowanym chłopakiem, który lubił nabijać się z innych. Jednym słowem, konserwatywny dupek. Ciągłe wbijał Tamarze szpile.

- Jesteśmy z Tamarą w kontakcie. Czasem się widzimy - przyznała Becca.

- Renee jest wstrząśnięta odkryciem szkieletu i chce, żebyśmy się wszyscy spotkali - powiedział Hudson, ale sądząc po jego głosie, nie był zachwycony pomysłem.

Założę się, że nie życzyła sobie mojej obecności, pomyślała Becca, ale zachowała to dla siebie. Naprawdę starała się skupić na rozmowie zamiast na osiemnastoletnich pytaniach, które chciała mu zadać. Nie widziała się z Hudsonem od lat, od tamtego pamiętnego lata wpadła na niego raptem dwa razy. Ale za każdym razem była z Benem, więc tylko wymieniali się uprzejmym „cześć”.

I pewnie dobrze.

Nie budź licha, Becca. Nie ma powodu wyciągać z przeszłości spraw, nad których pochowaniem tyle się namęczyłaś.

- A co ona sobie wyobraża? Że co to da? - zapytała Becca, kiedy Ringo otworzył oczy i przeciągnął się na kanapie.

- Nie wiem. Uważa, że to kości Jessie. Ja też. Dlatego miałam wizję.

- A co ty myślisz?

- Zawsze uważałem, że uciekła - przyznał Hudson. - To nie byłby jej pierwszy raz.

- Pamiętam.

To było surrealistyczne doświadczenie. Jej pierwsza rozmowa telefoniczna z Hudsonem i proszę, znowu mówili o Jessie. Po tych wszystkich latach.

- Renee jest reporterką w „Valley Star”.

Tyle to Becca sama wiedziała. „Star” to lokalna gazeta, nie do końca wielka kariera, o której Renee mówiła wiele lat temu. Nawet w szkole średniej ambicje Renee Walker sięgały daleko, o wiele dalej niż łamy drugorzędnej gazety.

- Już rozmawiała z dziećmi, które znalazły ciało, chociaż policja ostrzegła ich rodziców. Ale znasz ją, zawsze dostaje to, czego chce.

Oprócz wymarzonej pracy.

- W każdym razie Renee badała sprawę. Chce, żebyśmy spotkali się w Blue Note w czwartek.

- W restauracji? Dlaczego? Prośba była jak grom z jasnego nieba.

- Żeby sprawdzić, czy ktoś pamięta coś, co pomogłoby zidentyfikować kości.

- Jeśli to kości Jessie, chciałeś powiedzieć.

- No cóż, to pierwsze, co się nasuwa.

Becca nie była przekonana, czy zwoływanie z powrotem starej paczki, z powodu grobu i szczątków na terenie szkoły, to dobry pomysł, ale odparła:

- W porządku.

- Blue Note należy do Scotta i Glenna. Jest na Raleigh Hills. Mam tu gdzieś adres...

Rzucił nazwę ulicy, a ona przypomniała sobie okolicę na zachodnich wzgórzach, raptem kilka minut jazdy przez tunel w stronę centrum Portland.

- Scott Pascal i Glenn Stafford mają na spółkę restaurację? - zdziwiła się, myśląc o dwóch chłopcach, których знаła ze Świętej Elżbiety.

Nie słyszała, że razem zajęli się biznesem, i nie kojarzyła, żeby przyjaźnili się w szkole szczególnie mocno, ale to było dawno temu. Wiele się zmieniło. Partnerzy w interesach nie muszą koniecznie oznaczać najlepszych przyjaciół albo kochanków.

- Nie tylko Blue Note. Mają też chyba restaurację w Lincoln City.

- Nie pomyślałabym - stwierdziła.

Ale z drugiej strony nie pomyślałabym, że zadzwonisz do mnie po tych wszystkich latach albo że ciało, które mogło należeć do Jessie, zostanie odkryte na terenie szkoły...

- Renee chce, żebyśmy wszyscy spotkali się w czwartek po pracy, około siódmej, w miarę możliwości.

Becca usłyszała wahanie w jego głosie, jakby nie pochwałał pomysłu siostry.

- Mogę wpaść.

- Świetnie.

- Tak?

Znowu usłyszała wahanie, kiedy powiedział:

- Kto wie? Renee najwyraźniej uważa, że żadne z nas z tym się nie pogodziło.

- Z tym, to znaczy ze zniknięciem Jessie?

- Aha.

A ty? - zastanawiała się Becca pełna wątpliwości.

- Uważa, że może moglibyśmy coś zrobić, żeby dowiedzieć się, czy to Jessie.

- Na przykład pójść na policję - rzuciła sucho Becca.

- Policja nie traktowała nas szczególnie ciepło - zgodził się Hudson. Becca opadła na oparcie kanapy i wyjrzała przez okno salonu. Noc była ciemna. Gęsta. Deszcz nadal spływał po szybie. Z roztargnieniem podrapała kudłaty łebek Ringa i się zamyśliła. Po zniknięciu Jessie policja godzinami ich przesłuchiwała. Władze skupiły się na chłopcach, ale dziewczyny też sprawdzano. Chociaż powszechnie w szkole i na policji uważano, że Jessie po prostu uciekła, był jeden gliniarz, który upierał się, że została zamordowana. Przepuścił Hudsona i chłopaków z ich paczki przez wyżymaczkę, przesłuchiwał ich raz za razem, aż w końcu ojciec Trzeciego, prawnik z Portland i właściciel kilku budynków przy nabrzeżu, zagroził, że pozwie wydział za nękanie.

Gliniarz trochę przystopował, a przynajmniej tak się wydawało, jednak Becca miała wrażenie, że to była jego osobista wendeta.

Po groźbach ze strony Christophera Delacroix Juniora, przy braku dowodów i ciała sprawa umarła.

- Zobaczymy się w czwartek - powiedział Hudson, wybijając Beccę z zadumy.

- Tamara też będzie?

- Chyba tak.

- Dobrze. Ehm, zanim się rozłączysz... jak się nazywał tamten gliniarz? Ten, który nie wierzył w ucieczkę Jessie?

- Sam McNally - odpowiedział chłodno Hudson.

- Mac - przypomniała sobie Becca.

Policjant - raptem dziesięć lat starszy od dzieciaków, które przesłuchiwał - ją właściwie zostawił w spokoju, ale resztę prześladował na każdym kroku po zniknięciu Jessie.

- Więc teraz myślisz, że miał rację? Że Jessie zamordowano?

- Nie wiem - odparł sucho. Nagle znowu wydawał się oschły. - Mam szczerą nadzieję, że nie.

- Ale gdyby nadal żyła... to gdzie by się teraz podziewała?

- Gdzieś.

- Jasne...

- Muszę zadzwonić jeszcze do paru osób, sprawdzić, czy też wpadną

- W porządku.

Zawahał się sekundę i dodał:

- Miło było cię usłyszeć.

I rozłączył się. Becca ostrożnie odłożyła słuchawkę.

- Wzajemnie - odpowiedziała cicho w pustym pokoju.

Rozdział 3



Hudson rozejrzał się po stajni, po raz ostatni doglądając koni. Stały w boksach, gotowe do snu; wszystko wyglądało jak należy, nie zauważył niczego niepokojącego. Zgasił górne światło, zamknął drzwi i chowając głowę, popędził po żwirze, który oddzielał stodołę, stajnię i szopę na maszyny od domu. Oświetlenie budynków nadawało nocy błękitny odcień. Mimo deszczu dostrzegł nad głową sowę podlatującą na wyższą gałąź starej wierzby, na którą często wspinał się z siostrą.

- Chodź, Renee, nie bądź tchórzem! - wołał do niej, a ona nigdy nie odrzuciłaby wyzwania, więc się męczyła, wchodząc po splątanych gałęziach, po których on wdrapywał się z łatwością. To ją wkurzało, że jej brat - młodszy o cztery minuty - był mocniejszy i bardziej wysportowany. Nie miała szansy mu dorównać.

Ale za to ona była bystrzejsza.

Przez całą szkołę, aż do college'u, nie bardzo interesował się szkolnymi pracami. Z kolei Renee z dumą czekała na każdą kartę ocen przysyłąną pocztą ze szkoły i rozpromieniała się, kiedy matka patrzyła na rząd piątek obok listy przedmiotów. Hudson radził sobie przyzwoicie, ale karty ocen miał w nosie, bawiły go tylko komentarze od nauczycieli. „Nie wykorzystuje swojego potencjału” albo: „Radzi sobie na testach, ale nie przykłada się do pracy w klasie”, albo jego ulubiony tekst: „Nie potrafi pracować w zespole”. Cóż. Było to równie prawdziwe teraz, jak wtedy gdy matka czytała na głos te uwagi w starej kuchni, jakieś dwadzieścia pięć lat temu.

Dzisiaj wieczór wierzba nie miała liści, więc sowa poszukała lepszego schronienia - wleciała przez otwarte okno na stryszek i przysiadła na krokwi w stodole, w budynku, który należał do Walkerów od ponad stu lat. Hudson minął biegiem drzewo. Powróciło do niego kolejne wspomnienie, pełne żaru, namiętności i szczypty lęku, że zostaną przyłapani z Beccą na kochaniu się pod gęstymi, opadającymi gałęziami i baldachimem drżących liści. Boże, ale się zadurzył w tej dziewczynie.

Może nawet bardziej niż w Jessie?

Przypieszył kroku i wrócił na ganek, strząsając krople z włosów. Deszcz zaczął zacinać jeszcze ostrzej, uderzając w stary gont dachu i bulgocąc w rynnach. Hudson nie chciał myśleć o Jessie. Miał głęboką nadzieję, że znalezione na terenie szkoły kości nie należą do niej, że Jessie po prostu mieszka gdzieś daleko, nadal jest intrygująca i tajemnicza. Jak zawsze.

Ale w głębi duszy czuł, że to nieprawda.

Wszedł do domu, który wydawał się dzisiaj dziwnie pusty, bardziej niż do tej pory.

- To wszystko siedzi w twojej głowie - powiedział sobie, wieszając kurtkę na kołku i zrzucając buty.

W samych skarpetkach wszedł na wytarte linoleum, które przyrzekł wymienić tego lata. Zrobi też nowy dach, przebuduje łazienki i starą kuchnię. Dom był już podniszczony. Zmęczony. Wyglądał tak samo, jak przez ostatnie trzydzieści lat. Rodzice „odświeżyli” go na początku lat siedemdziesiątych i teraz wymagał gruntownej odnowy.

Widząc telefon, przypomniał sobie krótką rozmowę z Beccą. Jej głos sprawił, że powrócił do tamtego lata po pierwszym roku na uniwersytecie stanowym. Ależ był napalony, a ona, cóż... podniecił się na wspomnienie ich związku.

- Zbyt gorąca, żeby ją utrzymać - powiedział na głos i sięgnął po piwo do lodówki.

Zabawne: kiedy Renee uparła się przy spotkaniu „starej paczki” i w końcu ostrzegła Hudsona, że je zorganizuje, czy mu się to podoba, czy nie, zaproponował, że zadzwoni do Becki. Nie do Zeke'a, Mitcha czy Glenna, tylko właśnie do niej. A Renee wiedziała, że Becca go zwabi. W jej oczach pojawiła się wręcz satysfakcja, kiedy z oporami zgodził się i zaproponował zadzwonić.

- Założę się, że Tamara ma jej numer- dodała, rzucając mu swoją komórkę z numerem i nazwiskiem Tamary Pitts na ekranie. - Zadzwoń do niej.

Nie dodała, że to wyzwanie, ale nie musiała. Oboje to wiedzieli, ale nie dlatego, że są bliźniętami. Renee po prostu potrafiła manipulować ludźmi.

- Nie jest już mężatką, wiesz? Jej mąż zmarł w zeszłym roku i zostawił nie tylko wdowę, ale też na dokładkę dziewczynę w ciąży. Becca nie zdażyła się nawet rozwieść, gdy łajdak kopnął w kalendarz. Prawdziwa perełka ten Ben Sutcliff.

Nie pytał, skąd wygrzebała wszystkie brudy na temat męża Becki. Renee nie tłumaczyła. To część jej natury - coś, co lubiła nazywać „instynktem reportera”. Hudson uważał, że to po prostu wsadzanie nosa w cudze sprawy i zwykłe wścibstwo.

- No więc dzwoń do niej. Zobacz, czy wdówka znajdzie czas - judziła Renee, wykrzywiając znacząco usta. - Wiesz co, jeśli idzie o nią, to nigdy tak naprawdę ci nie przeszło. To samo z Jessie. Uznałabym, że to żalosne, ale ze względu na obecny stan mojego małżeństwa, wyszłabym na hipokrytkę.

Nie ciągnęła tematu, a Hudson wiedział, że lepiej nie drażnić. Jego zdaniem mąż Renee, Tim, to skończony nieudacznik. Od początku tak uważał.

- Tak się zastanawiam, jeśli ten szkielet to rzeczywiście Jessie, to co jej się przytrafiło?

Hudson nie chciał się zagłębiać w te mroczne tematy. Zawsze zakładał, że Jessie żyje. Że po prostu uciekła. Po raz kolejny. Miał nadzieję, że się nie myli.

- Później zadzwonię - powiedział, zapisując numer Tamary. Nie chciał, żeby Renee słuchała, jak rozmawia z Beccą.

Teraz siedząc w kuchni, która kiedyś należała do rodziców, otworzył butelkę bu-dweisera i starał się nie myśleć ani o Becce, ani o Jessie. Dwóch kobietach, które kochał. Dwóch kobietach, które zmieniły bieg jego życia. Dwóch kobietach, których wołałby nigdy nie poznać.

Nici ze snu. Nie, kiedy deszcz uderzał w szyby, a gałęzie drzew kołysały się za oknem jak oszalałe. Becca patrzyła, leżąc w ciemnościach. Ringo zwinięty obok niej na łóżku pochrapywał cicho. Nie była do końca przekonana, kiedy Ben zaproponował, żeby wzięli jakieś zwierzę, a potem zakochała się w kundlu i uratowała go ze sklepu ze zwierzętami, gdzie mnóstwo szczeniaków kręciło się, przyciskając nosy do krat klatek. Chociaż to był jego pomysł, Ben odnosił się do psa chłodno. Sam chciał wybrać czworonoga. Becca nie zdawała sobie wtedy z tego sprawy, ale teraz wiedziała, że nie chodziło o zwierzę. Po prostu Ben chciał tego, co jemu odpowiadało, nie oglądając się na Beccę. Tak samo było z meblami, jej samochodem i z mieszkaniem. Jedy-ny wybór, którego dokonała całkiem sama, to Ringo. I Benowi to nie odpowiadało.

Objęła psa, który westchnął, jak to psiak. Starła się nie myśleć o telefonie od Hudsona, ale jego spokojny głos rozlegał się w jej głowie jak zapętlo-na taśma.

Becca? Rebecca... Sutcliff? Rebecca Ryan w szkole średniej?

Zacisnęła mocniej powieki, walcząc ze zdradzieckimi myślami. Była za stara na sentymentalne rojenia o Hudsonie Walkerze. To już odległa przeszłość. I nawet jeśli skontaktuje się ponownie z niektórymi ze starych znajomych, nawet jeśli zobaczy Hudsona teraz, kiedy... kiedy owdowiała i wobec tego była wolna - to nie znaczy, że powinna snuć romantyczne myśli na jego temat. Ich romans to stare czasy. Miała to dawno za sobą a jednak, proszę, ta sprawa drażyła jej mózg, łapała ją i nie chciała puścić.

Nawet teraz, w ciemnej sypialni z psem chrapiącym obok, Becca myślała o miesiącach po ukończeniu Świętej Elżbiety jak o punkcie zwrotnym w swoim życiu. To upiornie gorące lato z Hudsonem było jednym z tych magicznych momentów, kiedy wszystko działało jak należy. Becca miała Hudsona i nawet jeśli nie wyznał jej wiecznej miłości, naprawdę ją lubił, a ona zadurzyła się w nim po uszy. Z kilku skradzionych chwil ich związek szybko przerodził się w codzienny nawyk: gdy tylko kończyli pracę, spotykali się, padali sobie w ramiona i kochali się na kocu pod jasnymi gwiazdami na ranczu Walkerów albo po kryjomu w jego sypialni, kiedy rodzice spali, albo gdziekolwiek indziej, gdzie mogli być sami.

We wrześniu Hudson szykował się do powrotu na uniwersytet stanowy w Corvallis, jakieś półtorej godziny autostradą 1-5 z Portland. Becca nie uważała, że jego powrót do college'u stanowi problem, ale w miarę jak lato się kończyło, Hudson coraz bardziej się od niej oddalał. Chociaż wcześniej był równie entuzjastyczny jak ona, wydzwaniał dniami i nocami, nagle zaczął stygnąć, gdy rozedrgany od upałów sierpień przeszedł w chłodniejszy wrzesień.

No a potem była ciąża.

Braku pierwszej miesiączki niemal nie zauważyła, ale przy drugiej już się zaniepokoiła. Zawsze miała nieregularny okres, ale tym razem czuła się inaczej. W końcu zebrała się na odwagę i kupiła test ciążowy. Siedziała na brzegu wanny w domu rodziców i modliła się, by nie miała racji - ale zobaczyła dowód, że rozwija się w niej dziecko - dziecko, którego zawsze pragnęła. A Hudson?

O Boże. Paliło ją w gardle. Łzy napłynęły jej do oczu, zanim zdążyła nad tym zapanować. Zawinęła wszystkie ślady po teście w papierową torbę i spaliła ją w piecu, zanim rodzice wrócili z pracy. Ani Jim, ani Barbara Ryan nie ucieszyliby się z nieplanowanego wnuka niezamężnej córki.

Becca przełknęła łzy i powiedziała o ciąży tylko Fritterowi, szylkretowej kociej przybłędzie, która bardzo się do niej przywiązała.

Przestraszona, zdesperowana, wyczuwając zmianę w Hudsonie, Becca starała się nie czepiać go zbyt rozpaczliwie. Ćwiczyła rozmowę o dziecku. Raz za razem w samochodzie, kiedy była sama, albo szepcząc kotu w sypialni. Chciała poczekać na właściwy moment, wołała nie wyskakiwać z tym znienacka. W końcu to on miał prerogatywy... zazwyczaj.

Wreszcie kiedy jesienny księżyc w pełni zawisł nisko na nocnym niebie, przyrzekła sobie: teraz albo nigdy - musiała mu powiedzieć. Zasługiwał na to, żeby wiedzieć. Miał do tego prawo. Ale nim wydusiła z siebie słowo, wspomniał, że ostatnio był trochę powściągliwy i że to nie jej wina - po prostu prześladowały go myśli o Jessie.

Znowu... Jessie.

Wyjaśnił jej to, kiedy siedziała obok niego na huśtawce na ganku, na ran-czu jego rodziców. Miał na sobie dzinsy, koszulę do pracy i wysokie buty, a we włosach zabłąkane źdźbło siana. Pił lemoniadę, kiedy Becca zatrzymała się na podjeździe. Jego matka, wysoka kobieta o ciemnych, siwiejących już lekko włosach, zapytała, czy też się napije. Becca uprzejmie potwierdziła i usiadła obok Hudsona na huśtawce. Niepokój przepływał jej pod skórą jak prąd. Coś było nie tak. Nie wiedziała, czy odważy się mu powiedzieć. Ale musiała, choć nie mogła znieść myśli, że on uzna, iż specjalnie go

usidlila. Nie mogła znieść myśli, że może rzeczywiście tak zrobiła, trochę... aby mieć jego dziecko.

Chociaż siedziała obok niego, nie dotknęli się. Wyczuwała między nimi niewidzialną barierę. Może domyślał się i nie chciał odpowiedzialności? Ale nikomu nie powiedziała, absolutnie nikomu i specjalnie nawet kupiła test w wielkim sklepie w Portland, nie w miejscowej aptece, gdzie ktoś mógłby ją rozpoznać.

Hudson dopił lemoniadę. Zapadła nieprzyjemna cisza, kiedy bujali się delikatnie na huśtawce, a ukośne promienie popołudniowego słońca ogrzewały ich ciała. Bryza poruszyła jej włosami i uniosła kilka suchych liści na podjeździe. Hudson milczał. Był nie tyle nachmurzony, ile po prostu nieobecny, myślami gdzieś daleko. Wpatrywał się w przestrzeń i Becca miała wrażenie, że zapomniał o niej, siedzącej raptem o włos od niego. Jak mógł zachowywać się, jakby była niewidzialna, kiedy ona tak skupiała się na nim, chciała go pocałować, objąć i wyznać, że go kocha?

To ją bolało i prawdę mówiąc, wkurzało.

Mieli dziecko!

- Co się dzieje? - zapytała go, kiedy w końcu zebrała się na odwagę.

Nim zdążył odpowiedzieć, długim podjazdem, podskakując i rżąc silnikiem, nadjechał samochód. Za kółkiem siedziała siostra Hudsona. Wcisnęła hamulec i z piśkiem opon zatrzymała się kilka stóp od ganku. Podniósł się obłok kurzu. Renee wysiadła z samochodu, odrzuciła krótkie, ciemne włosy. Z jej torebki wystawał mały notatnik i Becca przypomniała sobie, że Renee chodzi na zajęcia z dziennikarstwa. Pewnie była najlepsza. Wbiegła po schodkach na ganek, ledwie zerkając na Beccę. Nie były przyjaciółkami w szkole średniej, ale Becca nie wyczuwała wówczas tak dużej niechęci jak teraz.

A może tylko jej się wydawało, wmówiła sobie, że jest odrzucana, lekceważona? To dlatego, że rozpadał się jej związek z Hudsonem?

- Cholerne hamulce - mruknęła do siebie Renee. - Ej - rzuciła, zerkając na Hudsona - dałbyś radę je naprawić?

Pokręcił głową.

- Lepiej zadzwoń do Mitcha.

- Bellottiego? Tego kretyna?

- Nieźle radzi sobie z samochodami.

- Aha, pewnie pomyśli, że chcę się z nim umówić, dam się poobmacywać albo...

- Udała, że się wzdryga.

- Zareczył się.

- Moje kondolencje dla dziewczyny. Nie, nie będę gadać z Mitchem. Świetny pomysł, Hud. Naprawdę mi pomogłeś.

- Zapytałaś.

- Zapomnij. Nie chcę mieć długu wdzięczności u tego osiłka. Słyszałam, że już wyleciał z uniwerka. Co za niespodzianka. - Otworzyła drzwi z siatki i spojrzała na szklankę Hudsona z kilkoma kroplami lemoniady na dnie. - Zostało coś jeszcze?

- Chyba tak.

Weszła do środka, nie odzywając się słowem do Becki. Ale z drugiej strony, Renee zawsze była wredną suką. I bardzo ambitną.

Hudson odstawił pustą szklankę na stolik obok huśtawki. Spojrzał na Beccę. Twarz miał w cieniu, nie widziała jego oczu.

- Wiesz, trochę mi przypominasz Jessie - odezwał się w końcu. Becca wytrzeszczyła oczy.

- Co? - zapytała drżącym głosem.

To porównanie ją zabolalo, zapiekło o wiele bardziej, niż chciałyby przyznać. Najwyraźniej myliła się co do Hudsona, wyobrażając sobie, że ją kocha, podczas gdy on cały czas myślał o Jessie. Instykt podpowiadał jej, że nie ma sensu walczyć ze wspomnieniami. Dziewczyna zniknęła ponad trzy lata temu, ale nadal była obecna w ich życiu.

- Nie jestem Jessie - odparła ostrożnie.

- Wiem.

- Tak? To dlaczego powiedziałaś...? - W gardle jej zaschło, a twarz poczerwieniała ze wstydu.

Kogo ona oszukiwała? Podejrzała, nie, raczej miała pewność, że Hudson nigdy nie przestał kochać Jessie. Ale żeby ją porównywać z zaginioną... albo nawet gorzej: fantazjować i udawać, że Becca jest jak Jessie - to było po prostu chore.

W żołądku, z którym i tak miała ostatnio kłopoty, wszystko jej się przewróciło. Zbierało jej się na mdłości.

- Nie wiem - odparł Hudson. - Czasem myślę...

- Chyba nie chcę tego słuchać - szepnęła, wiedząc, że jej marzenia rozpadają się w proch.

- Becca, posłuchaj, za dwa tygodnie wyjeżdżam do szkoły. Rozmawiałem z Zeke'em i wyjedziemy razem.

Wścikła się na Zeke'a, bo wyczuwała, że miał spory wpływ na obecny stan Hudsona, na to jego zastanawianie się nad sobą. Jednak nie mogła tego powiedzieć.

- Rozmawialiśmy parę dni temu o Jessie, a nigdy właściwie o niej nie gadaliśmy.

- Pochylił się i westchnął, opierając ręce na udach i zatrzymując stopami huśtawkę. - Tak się zastanawiałem...

Becca zacisnęła drżące usta. Cisza się przeciągała, a ona czekała, umierając po trochu.

- Pomyślałem, że powinniśmy trochę zwolnić. Przetrawić pewne rzeczy. Co o tym myślisz?

Myślę, że jestem z tobą w ciąży, a ty siedzisz obok mnie i rozpaczasz z powodu miłości do innej dziewczyny, której nigdy nie będziesz miał. Więc teraz wszystko przewróciłeś do góry nogami. Myślę sobie, Hudson, że jestem idiotką, cholerną idiotką, która zakochała się w niewłaściwym facecie.

Spojrzała w jego niebieskie oczy, widząc w nich własne odbicie. Samotnej dziewczyny chwytającej się kurczowo marzeń. Żaloszne. Wyprostowała się, nie pozwalając sobie na łzy, i rzekła spokojnie:

- Może masz rację. To było wariactwo. Skinął głową.

- Nie chcę się spieszyć.

- Oczywiście. - Głos jej się łamał. Była wściekła, przede wszystkim na siebie.

Ale nie mogła się powstrzymać, żeby nie dodać: - Zobaczymy się, kiedy znowu przyjedziesz do domu.

- Jasne.

Żalosz. Smutek do szpiku kości i rozpacz. W duchu kompletnie się załamała. Zdołała wymyślić jakiś pretekst, żeby wrócić do domu. Zachowała godność osobistą, ale nie pamiętała jazdy powrotnej, nawet jednej sekundy. Jakoś udało jej się dotrzeć do domu tego wieczoru. Dopiero później, kiedy była w łazience, puściła prysznic, żeby zagłuszyć dźwięki, i się rozpłakała. Fritter siedział na parapecie malutkiego okna nad toaletą, a ona ryczała, ryczała i ryczała. Łzy lały się z jej oczu. Szloch szarpał jej wnętrznościami. Mdlilo ją... okropnie mdlilo... była w ciąży i czuła się zdruzgotana.

Ale została jeszcze nadzieja.

Nosiła w sobie życie, które czekało, żeby się narodzić. Nie mogła teraz powiedzieć Hudsonowi. Może przy następnym spotkaniu. Za kilka tygodni. Kiedy przyjedzie do domu albo zadzwoni. Do tego czasu weźmie się w garść. Nie zamierzała być jedną z tych płaczliwych, żalosznych, słabych dziewczyn, którymi zawsze pogardzała.

Ale on nie zadzwonił. Czas mijał. Beccę przytłoczyło uczucie nadciągającej katastrofy, ciemna chmura, która zamieniła się w jej ostatnią wizję, ostatnią aż do chwili, kiedy zemdląca tego popołudnia w centrum handlowym.

Zaczął się listopad po ich rozstaniu. Jechała do domu z Seaside. W samochód uderzał silny, porywisty wiatr. Kurczowo trzymała kierownicę, starając się nie zjechać z pasa. Nagle oślepił ją obraz fali uderzającej o skalne urwisko. Jedyne, co mogła zrobić, to zjechać na pobocze, nim ból eksplodował jej w głowie, a wizja odcięła ją od rzeczywistości.

Kiedy samochód stał już na jałowym biegu na wąskim, żwirowym poboczu, ujrzała wściekle, miotane sztormem morze, a ponad nim, z wysokiej wieży promieniowała ciemna, wroga siła, niemająca postaci, żadnej formy, ucieleśnienie czystego zła, które przyprawiło ją o gęsią skórę. Nie dostrzegając twarzy potwora, nie wiedziała, czy w ogóle jakąś ma, ale czuła, że ktokolwiek to był... cokolwiek to było, z pewnością chciał ją skrzywdzić.

Życie jej dziecka było zagrożone.

Nie słyszała niczego prócz szumu wiatru i ryku fal uderzających o zalany deszczem brzeg, ale odebrała groźbę; rozbrzmiewała echem w jej umyśle. Ostrzeżenie dla niej i jej dziecka.

Jestem tu.

I zniszczę was oboje; upewnię się, że nieczysty łańcuch został przerwany.

Czuję twój zapach, Rebecca. Jesteś tak blisko...

Becca oprzytomniała z krzykiem przerażenia na ustach. Zamrugła. Ścisnęła kierownicę tak, że jej knykcie pobieleły jak stare kości, w głowie huczało.

- O Boże. O Boże. O Boże. Nie wolno jej panikować. Nie będzie panikować.

Wizja nic nie znaczy. Absolutnie nic!

Drżała, ale wiedziała, że musi jechać, jak najszybciej wrócić do domu. Tak, właśnie. Obmyje twarz chłodną wodą, zastanowi się, co zrobić, jak zadbać o dziecko, czy w ogóle zdradzić coś Hudsonowi, co powiedzieć rodzicom...

Ostrożnie przycisnęła pedał gazu.

Droga była pusta i mogłaby przysiąc, że wiatr uderzający w samochód właśnie ucichł. Żadne ptaki nie śpiewały, świerszcze nie grały, do jej uszu nie dobiegały żadne dźwięki odległego ruchu samochodowego. Nawet jej silnik ucichł. Cisza.

I wtedy usłyszała.

Silnik.

Głośny.

Dudnił.

Jakaś półciężarówka zbliżała się szybko, wyjeżdżała zza zakrętu przed nią. Becca nie śmiała wyjechać na jezdnię, dopóki samochód jej nie minie. A jednak...

Serce jej waliło, dłonie się spociły. Coś było nie tak. Bardzo nie tak! To ta wizja. Przez nią się nakręciłaś. I tyle.

I wtedy ciemny pikap wyjechał zza wirażu z szaleńczą szybkością, z kołami niemal unoszącymi się nad nawierzchnią.

- Nie! - wrzasnęła, kiedy kierowca stracił kontrolę nad wozem.

W ułamku sekundy pikap skręcił na nią; ogromna krata z przodu w lusterku wydawała się jeszcze większa.

Becca docisnęła pedał gazu, ale było już za późno. Półciężarówka skręciła, mocno się przechylając.

Becca krzyknęła. Wóz uderzył w jej samochód, miażdżąc tył i drzwi toyoty. Metal wyginał się z potwornym zgrzytem. Szkło pękało. Drzwi od strony kierowcy wyleciały z zawiasów, kiedy samochód zwinął się w harmonijkę. Ból zapłonął w jej ciele. Patrzyła, jak półciężarówka odrywa się od jej auta, niemal nie zwalniając. Wizja powróciła... ciemne, wściekłe morze, ogromny, wznoszący się kształt i śmiertelna groźba... Becca traciła i odzyskiwała świadomość.

Pojawiły się policja, karetka, gapie. Samochód rozcinano nożycami do metalu i wyciągano ją z wraka. Ludzie krzyczeli, szeptali, wołali przez krótkofalówki, ale wszystko rozplywało się jak za mgłą. Zaniesiono ją do karetki.

Proszę, pozwól mi zachować dziecko, modliła się do sufitu karetki, kiedy syreny wyły rozdierająco. Proszę! Proszę!

Obudziła się w szpitalu. Siedzieli przy niej rodzice, umęczeni i przerażeni. Matka z zaczerwienionymi oczami, zapłakana, przysiadła na krzeselku obok łóżka; gniotła chusteczkę w palcach. Ojciec, który wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat w ciągu ostatnich dziesięciu godzin, stał obok krzesła żony i trzymał uspokajająco dłoń na jej ramieniu.

- Dziecko? - zapytała głosem, który zabrzmiał, jakby znajdowała się miliony kilometrów stąd.

Czuła się pusta w środku i walczyła z własnym ciałem; płyny z kroplówki wciekały przez jej nadgarstek, a za lekko uchylonymi drzwiami prywatnej sali zobaczyła wielkie, półokrągłe biurko - stanowisko pielęgniarek.

Rodzice spojrzeli na nią i pokręcili głowami. Łzy popłynęły z oczu matki, a ojciec zacisnął usta.

Jej modlitwy nie zostały wysłuchane, a ponury lekarz, raptem kilka lat starszy od niej, wytłumaczył, że siła uderzenia przy wypadku sprawiła, że pękło łożysko. Dziecko nie dało się uratować, a Becca miała „szczęście”, bo wyszła jedynie ze złamanym obojczykiem, potłuczonymi żebrami i skaleczeniami na twarzy od szkła.

Szczęście? Kiedy moje dziecko nie żyje?

Rozpacz wypełniła jej serce. Rodzice zaopiekowali się załamaną córką, która nie chciała im zdradzić nazwiska ojca dziecka, chociaż z pewnością sami odgadli. Nigdy nie przedstawiła Hudsona jako swojego chłopaka; z punktu widzenia jej rodziców zwykle wychodziła z całą paczką w której było kilku chłopców, ale z pewnością się domyślali.

Po prostu po pierwszych tygodniach nigdy więcej nie pytali.

Kilka miesięcy później matka wyznała jej, że „tak naprawdę to nie ma żadnego znaczenia”, kim był ten chłopiec. Najwyraźniej Becce nie zależało na nim wystarczająco, żeby go przedstawić albo powiedzieć mu o dziecku.

Becca skrzywiła się w duchu, ale obstawała przy swoim i ani razu nie wspomniała o Hudsonie Walkerze. Powoli dochodziła do siebie. Bała się, że przez wypadek nigdy już nie będzie mogła mieć dzieci. Obojczyk zrósł się, żebra i twarz zagoiły. Zapewniono ją że nic jej nie będzie. To, co się wydarzyło, to jedynie nieszczęśliwy wypadek. Nie ma powodu, żeby nie mogła mieć następnych dzieci.

Policja nigdy nie wpadła na trop półciężarówki, a ponieważ Becca nie widziała osoby za kierownicą i nie zapamiętała tablicy rejestracyjnej, a żaden z miejscowych warsztatów nie zgłosił pojawienia się pikapa z uszkodzeniami wskazującymi na udział w wypadku, nikogo nie pociągnięto do odpowiedzialności.

Becca nigdy nie wspomniała o „wizji”. Wróciła do szkoły w semestrze zimowym i spróbowała zapomnieć o bólu związanym z utratą dziecka. Hudson nie zadzwonił, ona też nie odezwała się do niego. Zastanawiała się nad tym, ale uznała, że powinna pozwolić umrzeć przeszłości. Kilka miesięcy później przeprowadziła się do mieszkania i dalej pracowała w firmie prawniczej, chociaż nie zamierzała zajmować się tym przez resztę życia. Jednak czas mijał, w firmie pojawił się Ben i... i teraz miała wrażenie, jakby lata skurczyły się, zniknęły, jakby trwała tamta jesień, kiedy Hudson z nią zerwał i miał miejsce wypadek samochodowy, który odebrał jej dziecko.

Wyparła większość wspomnień. Celowo. Nigdy nie powiedziała Hudsonowi o ciąży. Nie zdążyła dobrze się zastanowić, czy mu powiedzieć, czy jednak nie, kiedy już było po wszystkim. Zmusiła się, żeby patrzeć w przyszłość, nie za siebie.

W końcu wyszła za Benjaminą Sutcliffa. Spotykali się, zbliżyli do siebie, pobrali. Miała nadzieję na założenie prawdziwej rodziny, której - jak się okazało - on nie chciał. Ale ten rozdział w jej życiu też już był zamknięty.

I teraz tamta część przeszłości - z Hudsonem i Jessie, którą głęboko zakopła i zalała betonem, nagle ożyła, przebiła się przez wszystkie pieczołowicie ustawione barykady i podniosła wredny łeb.

Becca nie mogła zasnąć. Odgarnęła włosy z oczu i włączyła lampkę przy łóżku. Nie mogła żyć przeszłością i nie zamierzała. Nawet jeśli będzie musiała zmobilizować w sobie każdy gram siły, nie powróci na ciernistą drogę własnej przeszłości. Nie, niech to diabli, skupi się na swoim życiu takim, jakie jest teraz. Jakim się stało. Na rzeczywistości. Była wdową. Prawie rozwódką. Po odrzuceniu ze strony Bena spędziła resztę zeszłego roku i początek tego na dziwnym ćwiczeniu - wymuszonym ruchu naprzód. Jedną stopę stawiasz przed drugą. Krok za krokiem. Do przodu. Żeby wy-

walczyć sobie drogę przed siebie i mieć nadzieję, że ostatecznie wyjdzie z tego mocniejsza, mądrzejsza i może nawet szczęśliwsza.

To była trudna walka. Pracy dla sekretarki w firmie Bennett, Bretherton i Pfeiffer było coraz mniej, ponieważ tracili klientów. To skutek tego, że jeden ze starszych partnerów podupadł na zdrowiu, a pozostali nie dbali o interesy. Teraz Becca pracowała głównie w domu. Dzięki maszynie do faksów odbierała bazgrane odręcznie notatki od najstarszego szefa, a za pomocą poczty elektronicznej ściągała projekty umów, kontraktów, prawne dokumenty, listy i memoranda, które przepisywała, wygładzała i odsyłała skończone z powrotem przez Internet. To dość bezosobowy sposób pracy, a poza tym na dłuższą metę nie da rady się z tego utrzymać. Firma zaostrzała przepisy; szefowie woleli, żeby informacje nie wychodziły poza firmę ze względów bezpieczeństwa.

Becca znalazła się na rozstaju dróg. Musiała dokonać wyboru. Może jej wcześniejsza wizja z Jessie to efekt stresu, którego istnienia nie dopuszczała do siebie. A może to dlatego, że jest dziwadłem, tylko nie chciała się do tego przyznać.

- Niech to wszystko szlag trafi - zaklęła, zgasiła światło i opatulila się kołdrą po szyję.

Wzdychając, Ringo wyprostował łapy i odepchnął się od niej.

Myślała dziś wieczór o różnych rzeczach, ale cały czas powracał do niej obraz Jessie na urwisku, z włosami targanymi przez wiatr, łomotem fal zagłuszającym jej słowa. Co starała się jej powiedzieć? Co chciała, aby Becca wiedziała? Czy to jej własna podświadomość próbowała jej coś powiedzieć, czy coś więcej?

Becca zamknęła oczy, ale obraz dziewczyny na urwisku pozostał, na stałe wyryty pod zaciśniętymi powiekami. Czy szkielet, który odkryto w labiryncie, należał do Jessie? Tak właśnie podejrzewała, i to ją przerażało do szpiku kości.

Miało wydarzyć się coś złego.

Wyczuwa mnie...

Kiedy jadę w deszczu, patrząc na drogę lśniąca w przednich światłach, krew gotuje mi się w żyłach z niecierpliwości. Muszę poczekać na właściwą chwilę. Poczekać w odosobnieniu.

Ale teraz przyciągnęła mnie tu jeszcze jedna. Ta, którą trzeba będzie zająć się później. Wtrąciła się i tym samym dała mi to, czego szukam: tę kobietę! Zniknęła na długie lata, ponieważ nie mogłem wyczuć jej zapachu. Ale teraz... wiem, gdzie mieszka... mogę ją znaleźć.

Ona też mnie wyczuwa, prawie słyszę bicie jej serca. Czuję w ustach jej strach. To się powinno zakończyć lata temu, ale się odwlekło. Z powodu błędu.

Zaciskam zęby do bólu, myśląc o tym. Kiedy zerkam we wsteczne lusterko, prawie widzę własną porażkę na drodze za mną.

Ale nie będę myśleć o porażce, kiedy nareszcie ponownie mnie wezwano... chociaż kobieta ocalała, jej diabelski pomiot zginął, moja misja po części została wypełniona.

Teraz nadszedł czas drugiej szansy, czas, aby naprawić błąd.

Nie zawiodę.

Nie tym razem.

Nigdy więcej.

Jeśli ktokolwiek wejdzie mi w drogę, zniszczę go. Tu nie ma miejsca na błędy.

Opony samochodu śpiewają na mokrej nawierzchni, gdy z żalem oddalam się od niej. Byłem blisko, ale muszę trzymać się planu. Jednak już niedługo...

Rebecca. Jej imię z łatwością wypływa na moje usta i czuję żar w żyłach - wy-czekiwane wyzwolenie, które wreszcie nadejdzie, kiedy ona przestanie oddychać, a bicie jej serca, które słyszę we własnych uszach, ustanie raz na zawsze.

Rebecca...

Rozdział 4

Becca wjechała na zalany deszczem parking. Wycieraczki z trudem zgarniały wodę. Kiedy wyłączyła zapłon, neonowy napis układający się w „Blue Note” zamazał się w niewyraźną błękitną poświatę. Więc Scott Pascal i Glenn Stafford byli właścicielami tego ceglanego budynku na obrzeżach Portland, w okolicy nazywanej Raleigh Hills, nieprzyjemnie blisko szkoły Świętej Elżbiety. Nadal dziwiło ją, że ci dwaj zostali współnikami. W szkole średniej Scott trochę się popisywał, kroczył dumnym krokiem, mrugał, flirtował i tak dalej, zawsze robił aluzje do czegoś błyskotliwego, niegrzecznego albo nieprzyzwoitego, podczas gdy Glenn... ledwo go pamiętała. Należał do paczki, ale trzymał się z boku. Zawsze trzymał się blisko Trzeciego jak mały, zagubiony szczeniak, mający nadzieję, że ktoś go zauważy. A z kolei Trzeci przypominał wrzód na tyłku, zawsze ją irytował; nawet jego przezwisko ją drażniło.

Ale od chwili telefonu to Hudson zajmował jej myśli. Może to dobrze, że w końcu go zobaczy - zostawi wreszcie za sobą starą nostalgię i żal. Nie sądziła, żeby się ożenił, a w każdym razie nic o tym nie mówił, ale kto wie? Może się roztył i wyłysiał,

może dorobił się trzech żon i ośmiorga albo dziewięciorga dzieci, odkąd ostatni raz go widziała.

Ale jakoś w to wątpiła.

Uznała, że Hudson pewnie należy do tych mężczyzn, którzy przystojnieją z wiekiem, a jeśli idzie o obecne żony, były małżonki i dzieci, to nigdy nie słyszała, żeby w ogóle był w jakimś związku. Więc teraz masz szansę się dowiedzieć. Zaciśnęła dłoń na kierownicy. Miała wrażenie, że całą wieczność siedzi w samochodzie. Bała się odechnąć, bo czuła, że czeka ją coś nieprzyjemnego albo wręcz złego. Tym razem spotka się ze starymi znajomymi ze szkoły średniej. „Z paczką”. Swoich kumpli.

I kochankiem.

Becca nabrała powietrza, zatrzymała je przez chwilę i powoli wypuściła. Hudson Walker nigdy do niej nie należał. Tak, kochała się z nim. Owszem, pragnęła go. Ale on zawsze myślał o Jessie Brentwood, od samego początku, a po jej zniknięciu byli sobie bliscy tylko przez krótką chwilę. Musiała przypominać sobie o tym.

Schowała kluczyki do kieszeni, wysiadła z volkswagena, zamknęła drzwi i nasunęła kaptur na głowę. Szybkim krokiem ruszyła w deszczu do głównego wejścia do Blue Note, podczas gdy auta przejeżdżały sąsiednią ulicą prowadzącą ze wschodu na zachód. Trzy kroki przez parking i już przemoczyła nogi w czarnych czółenkach.

Cztery następne i straciła czucie w palcach.

Co za wieczór.

Minęła podwójne drzwi i podeszła do małego podium dla kierownika sali. Młoda kobieta w obcisłej sukience w kolorze indygo powitała ją promiennym uśmiechem.

- Witamy w Blue Note.

- Dziękuję. - Becca zsunęła kaptur z włosów. - Mam się tu spotkać z grupą ludzi, taki zjazd absolwentów. Zapowiedzieli się także Glenn i Scott, właściciele restauracji. Chyba Renee Walker to zorganizowała...

- Ma pani na myśli Renee Trudeau.

- Jasne. - Becca wiedziała, że Renee wyszła za mąż, ale zapomniała, jak się teraz nazywa.

- Wszyscy są w prywatnej sali. Tędy proszę.

Hostessa poprowadziła Beccę po wypolerowanym parkiecie w jodełkę przez kilka „pokoi”, które tak naprawdę były rozległymi salami, rozdzielonymi zasłonami. Sprawiały, że atmosfera w restauracji była intymna, a lokal wydawał się bardziej luksusowy, niż Becca sobie wyobrażała. Niemal wszystkie stoliki były puste w czwartkowy wieczór; wysokie świece mrgały zachęcająco w kryształowych świecznikach mimo braku klientów, którzy mogliby rozkoszować się nastrojem. Delikatny jazz, są-

czący się z dyskretnych głośników, rozbrzmiewał wśród pustych krzeseł, podczas gdy na zewnątrz wiatr ciskał deszczem o szyby wstawione w jedną ścianę.

- Tutaj - oznajmiła dziewczyna, popychając mosiężne uchwyty w przeszklonych mleczną szybą drzwiach.

Za nimi stał długi, czarny stół o ciężkich, rzeźbionych nogach. Wokół masywnego mebla na ciemnoszarych fotelach siedzieli przyjaciele Becki ze szkoły. Wszyscy spojrzeli na nią, gdy weszła. Na blacie stały szklanki z wodą, kilka kieliszków z winem i parę staromodnych, niskich szklaneczek.

- Becca! - zawołała Tamara.

Becca jednak nadal przyglądała się twarzom obecnych.

Powróciły do niej wspomnienia - natłok wrażeń jak w przyprawiającym o zawrót głowy kalejdoskopie; trochę przypominało to jej wizje. Mruknęła tylko „cześć” w odpowiedzi na chóralne powitanie i niezgrabnie podeszła do wolnego fotela.

- Zastanawiałam się, kiedy dotrzesz - powiedziała Tamara z przyjaznym uśmiechem.

Opalona mimo środka zimy miała taką samą dziką, rudą czuprynę jak w szkole średniej. „Jaskrawa”, takim słowem opisałyby ją Becca, i wtedy, i teraz. Na rękach połyskiwały i pobrzękiwały rzędy bransoletek, loki okalały jej twarz, która niewiele się postarzała przez dwadzieścia lat, które upłynęły, odkąd była wrzodem na tyłku zakonnic i nauczycieli u Świętej Elżbiety.

- Becca Ryan. Boże, kopa lat! - powiedział blondyn z krótko przyszyżonymi włosami, nim Becca zdążyła mruknąć do Tamary coś więcej niż „cześć”.

Serce jej się zacisnęło. Wszędzie poznałaby ten głos, nawet gdyby nie rozpoznała ostrych rysów twarzy Christophera Delacroix III. Trzeci nie zmienił się bardzo przez dwadzieścia lat od zniknięcia Jessie. Był starszy, może trochę cięższy, chociaż każdy dodatkowy kilogram wyglądał jak mięśnie. Nadal miał w sobie coś z lidera - a może po prostu „przekonanie, że wszyscy powinni wypełniać jego rozkazy” - co sprawiało, że odgrywał rolę ich nieoficjalnego, ale bezsprzecznego przywódcy. W przeszłości Hudson nie przejmował się despotycznymi zapędami Trzeciego, ale też nie rywalizował z nim o rolę szefa. Nie był zainteresowany rozgrywkami w grupie. Stanowił jej część, ale nie do końca. Pozostawał sobą i niejedną raz kazał Trzeciemu „wypchać się”. Pomimo pogardy dla autorytetów - a może właśnie dzięki niej - pozwolono mu zostać. A Becca kochała go właśnie za to.

- Minęło trochę czasu - przyznała. - Teraz Becca Sutcliff.

- A racja, wyszłaś za męża. - Strzelił palcami, jakby sobie przypomniawszy. - Pracujesz dla Bennett, Bretherton, prawda?

Trzeci był prawnikiem w innej firmie prawniczej i Becca rozmawiała z nim kilka razy przez telefon.

Już żałowała, że zjawiała się na spotkaniu. Wystarczyły dwie minuty z Trzecim, żeby przypomniawszy sobie, za co nienawidziła go w szkole.

- Właściwie to jestem wdową.

Nie powiedziała nic więcej, nie chciała się odsłaniać. Niech sobie myślą co chcą. Parsknął, uważnie przyglądając się jej intensywnie niebieskimi oczami.

- A ja jestem rozwiedziony. Nawet nie wiem, czemu myślałem, że mogę się związać z kimś prócz pracy.

Zmusiła się do uśmiechu i odważyła spojrzeć na innych. Nie było jeszcze Hudsona, ale jego siostra, Renee, już siedziała przy końcu stołu. Ciemne włosy miała obcięte na krótko tak samo jak za szkolnych czasów. Odpowiedziała Rebecce powściągliwym uśmiechem, ale Becca nie odniosła wrażenia, żeby stało za tym coś osobistego. Renee jak zawsze była sztywna i obojętna.

Ale to ona zarządziła spotkanie, pamiętasz? Według Hudsona ten zjazd to jej pomysł. Na stole przed Renee obok nietkniętego kieliszka wina leżały stos papierów oraz schludnie złożona gazeta ze zdjęciem posągu Madonny.

- Hudson się zjawi? - zapytała Tamara.

- Tak. Trochę się spóźni. - Renee spojrzała na Beccę w oczy, która po raz pierwszy w życiu poczuła, że nie jest dla niej niewidzialna.

- Pewnie, że się pojawi - stanowczo oznajmiła kobieta przy drugim końcu stołu.

Becca usiadła w pustym fotelu między Tamarą a mężczyzną, w którym rozpoznała Jarretta Eriksona, jednego z kumpli Trzeciego. Ciemnowłosy i śniady, uwielbiał razem z Trzecim bezlitośnie nabijać się z Mitcha i Glenna. Na Glenna wołali „dziwadło z kompleksami”.

- Wszyscy musieliśmy przyjść, prawda? - odezwała się ta sama kobieta.

Była drobną, nerwową blondynką; trzymała za rękę mężczyznę, który siedział po jej lewej stronie. W świetle wiszących nad stołem lamp na jej dłoni lśnił ogromny brylant.

- To był właściwie rozkaz. - Spojrzała ponuro na Renee.

Becca potrzebowała chwili, żeby ją sobie przypomnieć: Evangeline Adamson, „Vangie”. Siedziała obok Zeke'a St. Johna, który powitał Beccę skinieniem głowy. Z tego, co pamiętała, Evangeline zawsze ganiała za Zekiem, ale on najwyraźniej nie miał ochoty na związek. Wyglądało na to, że po ponad dwudziestu latach wreszcie spełniło się jej życzenie, bo bez wątplenia brylant, który nosiła, to pierścienek zaręczynowy. Po Zeke'u widać było, że ma swoje lata. Ostro zarysowana szczeka z wie-

kiem się zaokrągliła, wysportowana sylwetka nieco zwiotczała, a niegdyś ciemne włosy stały się szpakowate.

Najlepszy przyjaciel Hudsona, który nawet się do niej nie odzywał, kiedy miał dziewiętnaście lat.

Renee odsunęła się od stołu; krzesło zazgrzytało o podłogę z ciemnego drewna.

- Zaczynamy, dobrze? Nie musimy czekać na Huda.

- Strasznie się nakręciłaś z powodu tego szkieletu znalezionego u Elżbiety - uważał Trzeci. - To o to chodzi, co? Myślisz, że to Jessie.

Można się było spodziewać, że Trzeci od razu przejdzie do rzeczy i zniszczy cały efekt dramatyczny. Becca i reszta grupy spojrzeli na Renee.

- Tak - przyznała, ale nim powiedziała coś więcej, Evangeline wpadła jej w słowo:

- To nie może być szkielet Jessie. No bo... ona uciekła, nie? Zawsze uciekała.

Powiedziała mi, że zamierza uciec.

Vangie była jedną z najbliższych przyjaciółek Jessie - należała do wewnętrznego kręgu szerszego koła, jak to nazywała Becca.

Jarrett Erikson spojrział chłodno na Vangie.

- Nie myśl, że zapomnieliśmy, co powiedziałaś policji.

- A co niby powiedziałam? - zapytała urażona.

- Właśnie to. Byłaś jej najbliższą przyjaciółką i Jessie powiedziała ci, że zamierza uciec.

- Nie byłam jej najbliższą przyjaciółką.

- Wszyscy byliśmy przyjaciółmi - wtrąciła obcesowo Renee, zamierzając skierować rozmowę na zaplanowane tory. - Byłam jej dobrą przyjaciółką

- Aha, ale Vangie zachowywała się, jakby były z Jessie o tak - powiedział Trzeci, krzyżując palce.

- Nie wiem, dlaczego się mnie czepiasz! - Vangie pociągnęła nosem.

- Trudno uwierzyć, że to Jessie - wtrącił Zeke.

Jego wzrok padł na palce Evangeline wczepione w jego rękę. Zabrał dłoń na kolana, jakby zawstydzony.

Odezwał się dzwonek telefonu. Trzeci sięgnął do kieszeni i wyciągnął blackberry, sprawdził numer, a potem wyłączył telefon.

- Przepraszam.

- No dobra - rzuciła oschle Renee - jeśli to nie Jessie, to kto? - Rozejrzała się wokół stołu, ale nikt nie odpowiedział. - Dajcie spokój. Czy nam się to podoba, czy nie, wszyscy wiemy, że to musi być ciało Jessie Brentwood i już za kilka dni, jeśli nie szybciej, policja doda dwa do dwóch.

- Więc to o to chodzi? Żeby pójść na policję?

Przez ułamek sekundy Trzeci wydawał się podenerwowany. Chwycił niską prawie pustą szklaneczkę, zadzwonił kostkami lodu, wypił ostatni łyk i zgryzł kostkę w zębach.

Renee pokręciła głową.

- Nie. Ale policja na pewno znowu do nas przyjdzie. Zawsze tak robi. -

Rozejrzała się po twarzach siedzących wokół. - Dajcie spokój, wszyscy wiemy, że ta sprawa gryzła nas całymi latami. Każdy z nas mówił: „ciekawe, co się stało z Jessie, dokąd uciekła”. - Renee napiła się wina. - Teraz wygląda na to, że ją znaleziono.

Część tajemnicy się wyjaśniła.

- Mnie nic nie gryzło - odparł Trzeci i znowu się rozluźnił. Grał? Czy mówił prawdę? - I nie mam pojęcia, o co, u diabła, chodzi z tą tajemnicą. Vangie ma rację. Jessie uciekła.

- Zamówimy coś czy nie? - zapytał Scott; jego łysa głowa lśniła w przyćmionym świetle. Becca zauważyła, że zostało mu niewiele włosów, więc wołał wszystkie zgolić. - Co powiecie na kilka butelek wina? Chyba przydałyby się nam dolewka i kilka nowych kieliszków. Glenn... - Zerknął znacząco na współnika.

Widać było, że Glenn Stafford rozkoszuje się owocami własnej kuchni. Kiedyś chudy, niemal wymizierowany, teraz przybrał na wadze. Koszula opinała mu się nieco na brzuchu. Z kolei Scott był równie szczupły jak w szkole średniej, a jego twarz pozostała zadziwiająco gładka. Czoło Glenna przecinały głębokie zmarszczki, jakby wszystkie troski świata spoczywały na jego barkach. Włosy miał nadal brązowe, krótko i schludnie przycięte. Rzucił Scottowi chmurne spojrzenie, a potem wstał i ruszył do drewnianych drzwi wahadłowych, które zapewne prowadziły prosto do kuchni.

- Zamawiamy też jedzenie czy tylko coś do picia? - ostrożnie zapytał Mitch Bellotti.

- Och, jasne. - Scott zdecydowanie skinął głową. - Glenn, przynieś kilka talerzy z przystawkami na spróbowanie, pochwalmy się naszymi specjalnościami. Może kiedyś do nas wrócą.

Glenn skrzywił się i wyszedł, a Mitch wyglądał na zadowolonego. Eks--obrońca był jeszcze szerszy w pasie od Glenna, ale z drugiej strony, zawsze był dużym facetem. Kochał samochody, co przełożyło się na karierę w zawodzie mechanika. Kochał też kobiety i według tego, co sam mówił, już dwa razy się rozwiódł. Becca poczuła na sobie jego zainteresowane spojrzenie, ale je zignorowała. Chciała, żeby znał swoje miejsce, ale też wolała uniknąć pełnych rozbawienia spojrzeń Trzeciego i Jarretta Eriksona. W szkole średniej Mitch robił za klauna w ich paczce, zawsze żartował.

Trzeci i Jarrett Erikson nazywali go za jego plecami Wioskowym Głupkiem i Becca czuła, że mimo upływu lat nadal nim pogardzali.

Rzuciła z ukosa spojrzenie na siedzącego po lewej Jarretta. Czarne włosy i czarne oczy pod krzaczastymi brwiami sprawiały, że wyglądał jak ktoś, kto ukrywa różne sekrety. W szkole najtrudniej było go rozszyfrować i najwyraźniej nic się nie zmieniło.

Jeszcze kilka innych osób trzymało się paczki, ale pozostawały na uboczu. Ich nie zaproszono na przedstawienie. Jedyne wolne krzesło czekało na Hudsona.

Ta grupa znajomych, rdzeń paczki, składała się z ludzi, na których najbardziej wpłynęło zniknięcie Jessie.

Ale Becca nadal nie pojmowała, dlaczego Renee tak zależało na spotkaniu. W końcu nie mogli już niczego zrobić dla Jessie. Zerknęła raz jeszcze na notatki schludnie zebrane na stole przed Renee, bliźniaczą siostrą Hudsona, która była jego dokładnym przeciwieństwem.

Drzwi się otworzyły, wpuszczając przeciąg, który owiał jej kark.

- Cześć.

Usłyszała głos Hudsona i odruchowo napięła wszystkie mięśnie, czekając, aż pojawi się w zasięgu jej wzroku.

- Najwyższy czas, Walker - powiedział Trzeci, obrzucając Hudsona spojrzeniem i ostrożnie go oceniając.

Becca starała się rozluźnić; bała się, że widać po niej, jak się spięła.

- Straszny korek na Sunset - odparł.

- Jechałeś z zachodu - rzucił Jarrett, kiedy Hudson obszedł stół i pojawił się w polu widzenia Becki.

Wypłowiące dzinsy. Zamszowa, brązowa koszula. Gęste, ciemne włosy sięgające kołnierzyka. Postawa „mam to wszystko serdecznie gdzieś” absolutnie bez zmian.

- Z tamtego kierunku nie powinno być żadnego ruchu. - Jarrett przyjrzał mu się uważnie.

- Myślisz, że kłamię?

Jarrett wycofał się, wzruszając ramionami.

- Po prostu myślę, że się spóźniłeś.

- No dobra, skoro już barany zderzyły się rogami, możemy zająć się czymś innym? - zapytała Renee.

- Jak już się przywitamy - powiedziała Tamara. Odwróciła się do Hudsona. - Hudson Walker. Nic a nic się nie zmieniłeś.

- Och, parę rzeczy się zmieniło.

Usiadł obok Zeke'a, dokładnie naprzeciwko Becki. Kiedy spojrzął na nią przelotnie, przypomniała sobie aż za dobrze, jak wielkie potrafią się robić źrenice tych niebieskich, bardzo niebieskich oczu. Było w nim coś męskiego i bliskiego naturze, czego nie da się zignorować. Oczywiście, tak jak się spodziewała, wyglądał nawet lepiej, niż go zapamiętała. Od razu zbesztła się za to, że to zauważyła. Serce zaczęło jej szybciej bić.

- Cześć, Becca.

- Cześć.

Uśmiechnęła się na powitanie, mając nadzieję, że ukryje prawdziwe uczucia, kiedy on witał się z resztą. Udała, że nic a nic ją nie obchodzi, ale to było cholernie trudne. Chyba urósł jeszcze ze trzy, cztery centymetry, ale pewnie tylko jej się tak wydawało. Nadal miał w sobie coś z kowbojskiego stylu, nie zmienił się nawet jego cyniczny, wyzywający uśmiech. A to było cholernie seksowne.

Cudownie. A miała nadzieję, że się na niego uodporniła.

Ale ten dojrzały, bardziej swobodny, pewniejszy siebie Hudson był jeszcze bardziej intrygujący niż dwadzieścia lat temu; w życiu nie spotkała seksowniejszego faceta. Podczas gdy z urody Zeke'a niewiele zostało, Hudson tylko zyskał.

- Chodzi o to - odezwała się Renee - że piszę o odkryciu szczątków. Tekst o średniej szkole, o tym, jak to jest, kiedy ktoś z bliskich znika, i jak to na nas wpływa. Wszyscy mierzyliśmy się przez dwadzieścia lat z tymi samymi pytaniami. Gdzie jest Jessie? Co się z nią stało? Odeszła z własnej woli czy została nam odebrana? Teraz być może poznamy kilka odpowiedzi.

Evangeline spojrzała na nią wstrząśnięta.

- Nie mówisz poważnie! Jarrett głośno wypuścił powietrze.

- Kompletna bzdura. Dopóki nie dowiesz się, kto gnił w labiryncie u Elżbiety, ten tekst to czysta fikcja literacka. Nie sądzę, żeby „Valley Star” wysoko ceniło hipotezy.

- Mogę poteoretyzować, nagiąć fakty do potrzeb tekstu - odparła Renee. - Już rozmawiałam z dziećmi, które znalazły kości. Świetna historia. Starszy brat i jego koledzy próbowali nastraszyć dzieciaki, opowiadając w labiryncie historie o duchach, kiedy jedno z nich zobaczyło wystającą z ziemi rękę szkieletu.

- Och, na miłość boską. - Evangeline zacisnęła usta. - Próbujesz czerpać z tego zyski?

- Chcę to wyjaśnić. - Renee spojrzała na nią chłodno. - Chcę, żebyśmy wreszcie mieli to za sobą. Mój sposób to pisanie. Utrzymywałam kontakt z rodzicami Jessie przez wszystkie te lata, bo naprawdę byłam jej dobrą przyjaciółką - powiedziała to

wprost do Evangeline. - Myślę, że zginęła w labiryncie u Elżbiety i chcę opowiedzieć jej historię. Dla niej, dla nas wszystkich.

- W swojej gazecie? - zdumiał się Scott.

- Na mnie nie licz! - Trzeci spiorunował ją wzrokiem. - Jessie uciekła, w porządku? Nie wierzę, że to jej kości. I mam wyżej uszu awantur z policją w związku z tą sprawą. Te skurczybyki w życiu nie zostawią nas w spokoju.

- McNally nie zostawi nas w spokoju - poprawił go Mitch.

- A kogo to obchodzi? Nie dam się w to znowu wciągnąć. - Sięgnął po szklanę, ale zdał sobie sprawę, że jest pusta, więc odstawił ją z powrotem na stół.

- Policja rozwiąże sprawę - ciągnęła Renee. - To są czyjeś kości, a ja zgaduję, że Jessie. Wszędzie o tym mówią. Jeśli ja o tym nie napiszę, zrobi to ktoś inny.

- Jasne, jesteś naszą wybawicielką- zadrwił Jarrett. - Pisziesz to gównem, żeby zgarnąć parę dolców. - Machnął ręką na jej argumenty. - Albo zwrócić na siebie uwagę. Tylko o to ci chodzi, więc nie chrzań.

- Chciałbym się dowiedzieć, czy ciało znalezione przez gliny to naprawdę Jessie.

- Hudson spojrzał Jarrettowi w oczy. - A jeśli tak, to chciałbym wiedzieć, co się z nią stało.

Renee przełknęła ostrą replikę i trochę się rozluźniła, kiedy Hudson przyszedł jej z pomocą.

- Sporo ostatnio myślałam o Jessie. Przypominałam sobie, co mówiła. Zbadałam parę spraw.

- Jakich spraw? - zapytała Becca.

Wizja Jessie na urwisku wydawała się taka bliska. Za dużo tego wszystkiego jak na zbieg okoliczności. Zrobiło jej się słabo.

- Brentwoodowie nigdy się nie wyprowadzili po zniknięciu Jessie. Chcieli zostać w miejscu, gdzie mogłaby ich odnaleźć, ale teraz oni też myślą, że to jej kości. Powiedziałam im, co zamierzam zrobić, i sporo rozmawialiśmy o Jessie. Oni też pragną zamknąć tę sprawę. - Renee spojrzała w zamyśleniu na Evangeline. - Pamiętają że byliście blisko.

- Rety. Wszyscy mi mówią jak było. Zabawne, bo ja to pamiętam całkiem inaczej. - Evangeline odwróciła wzrok od Renee i rozejrzała się po sali, najwyraźniej starając się odsunąć od sprawy zaginionej dziewczyny. - Mogę dostać kieliszek wina czy coś?

Scott skinął głową i poirytowany zerknął na drzwi kuchni.

- Glenn powinien zaraz wrócić. Renee nie dała się zbyć.

- Nim zniknęła... Jessie sama coś badała, wręcz miała obsesję na tym punkcie.

Próbowała odkryć, kim naprawdę jest. Zorientować się, co ją nakręca.

Naprawdę? Becca nigdy wcześniej o tym nie słyszała.

- Hudson ją nakręcał - rzekł Trzeci i zaśmiał się oblesnie. Jarrett roześmiał się, a Scott wyszczerzył zęby.

Renee, trzymając się wyводу, uparcie ciągnęła:

- Mieszkała w kilku różnych miejscach, zanim wylądowała tutaj. Została adoptowana przez Brentwoodów, a oni często się przeprowadzali.

- Pewnie za nią gonili - parsknął Mitch.

- Ale ona zawsze wracała, dopóki nie zjawiła się w Świętej Elżbiecie. Nie znikala bez powodu. Jeśli to są jej kości, coś jej się stało.

Scott spochmurniał.

- Coś? Chcesz powiedzieć, że została zamordowana? Do tego zmierzasz? Zupełnie jak McNally. Zachowywał się, jakbyśmy zawiązali jakiś tajny spisek. - Scott zaśmiał się nerwowo. - Co za kretyn. Napalił się na Jessie, a nawet jej nie znał.

- Pewnie ją zabił. - Evangeline była całkiem poważna. - Gliniarz, który ma obsesję na punkcie dziewczyny. Takie rzeczy się zdarzają. Słyszysz się o tym. Czyta. Widziałam to w filmach tyle razy!

- Jasne. - Jarrett spojrział na nią pogardliwie.

- Myślałem, że nie wierzysz w jej śmierć - wytknął jej Scott.

- McNally nic nie wiedział o Jessie, dopóki nie zaginęła - przypomniał jej Hudson.

- No, nie wiem. Może się z tym nie zdradził. - Pociągnęła nosem.

- Trzymaj się swojej teorii, że żyje - poradził jej Trzeci. - Nie jest tak dziwaczna, jak teoria „o policjancie z obsesją, który zamordował Jessie”.

To się robi z każdą minutą coraz bardziej dziwaczne, pomyślała Becca. Rozmowa prawie zagłuszyła muzykę, która miała stworzyć spokojną, relaksującą atmosferę, podczas gdy w sali wszyscy już prawie wariowali.

Tamara pokręciła głową i uniosła rękę; bransoletki zabrzęczały melodyjnie.

- Ja też nie wierzę, że to kości Jessie - powiedziała do Renee. - W Jessie było zbyt wiele życia. Nie mogła umrzeć. Jest gdzieś w świecie. Ona była... inna. Nie pamiętacie? Wiedziała różne rzeczy.

- No i znowu zaczynamy z tym bełkotem. - Trzeci rozsiadł się wygodnie, a Jarrett poszedł za jego przykładem.

Idealny przyboczny, pomyślała Becca, lubiąc go coraz mniej. Miała ochotę uciec. Nigdy nie pasowała do ich paczki i nic się nie zmieniło. Najwyżej to, że teraz pasowała jeszcze mniej.

- Ostatnim razem, kiedy czytałam z tarota, przysięgam, że chodziło o Jessie. Pamiętasz? - Tamara spojrziała na Renee, oczekując potwierdzenia. - Ty też to widziałas.

- Wierzycie w te bzdury? - Trzeci rozejrzał się po ludziach, szukając poparcia, z miną, jakby chciał powiedzieć „co za idiotki”.

- Och, naucz się bawić - warknęła na niego Tamara.

- Ty też bawiłaś się w te bzdury z tarotem? - zapytał Jarrett Renee. Zbyła to machnięciem ręki.

- Robiłam mnóstwo rzeczy. Wszyscy robiliśmy. Na miłość boską, minęło dwadzieścia lat. I nie wszystko jest czarno-białe, ściśle i mierzalne. Stawiałyśmy tarota i Tamara zadała kilka pytań o Jessie.

- Ty też - przypomniała jej cierpko Tamara. Renee pokiwała głową.

- To sprawiło, że zainteresowałam się historią Jessie.

- Więc nie nawróciłaś się tak całkiem? - Scott uniósł brew.

- Zamknij się. - Tamara posłała mu cierpki uśmiech. - Powiedz im, czego się dowiedziałaś.

Renee zawahała się, a potem powiedziała:

- To było coś na temat tego, że zacznę szukać wiedzy. Że ktoś z przeszłości próbuje do mnie dotrzeć. Że powinnam zadbać, aby to nie zawładnęło moim życiem.

Becca i Hudson przyjrzeni jej się uważnie. To mówi Renee? Dziennikarka? Dziewczyna, która zawsze trzeźwo trzymała się faktów? Co tu się działo? O co naprawdę chodziło Renee?

- Więc postanowiłaś poszukać ducha Jessie? - Trzeci rozglądał się po znajomych, jakby uważał, że Renee odbiło.

- Chyba tak - rzuciła chłodno, odpowiadając mu twardym, chmurnym spojrzeniem.

- Od jak dawna grzebiesz się w tej historii? - zainteresował się Hudson.

- Jakaś chwilę. To dziwne, że teraz pojawiły się kości.

- Znak? - zapytał z przesadną ciekawością Trzeci.

- Może ktoś z nas powinien zadzwonić do tego gliniarza. McNally'ego. Maca - zasugerowała Renee.

- Co?! - wyrwał się Trzeci.

- Wie o sprawie Jessie więcej niż ktokolwiek inny.

- To jest proszenie się o kłopoty - warknął Jarrett, kiedy reszta wołała, że się nie zgadza.

Becca musiała się z nimi zgodzić, ale się nie odezwała. Zauważyła, że Hudson też milczał. McNally nie był wrogiem, niezależnie od teorii Evangeline.

Ale Jessie coś się przytrafiło. Coś złego. Becca czuła, że powinna się dowiedzieć, co. Dreszcz przeszedł jej po plecach, kiedy dokładnie przypomniała sobie wizję z cen-

trum handlowego: Jessie, ocean uderzający o brzeg z takim hukiem, że nie mogła usłyszeć ostrzeżenia, stopy Jessie na krawędzi urwiska nad ryczącymi wodami. Przypomniała sobie, jak jej serce zadrżało ze strachu i spokój, z jakim Jessie spojrzała na nią i zawołała...

- Becca?

Podskoczyła, przytomniejąc, i spojrzała na Renee.

- Tak?

- Zapytałam, co myślisz. - Przyjrzała jej się, mrużąc oczy. - Uważasz, że to ciało Jessie?

Czy tak uważała?

- Oczywiście - odparł Glenn, wracając z tacą z czterema butelkami wina, dwoma czerwonego i dwoma białego.

Za nim szedł kelner z kieliszkami, które zaczął rozstawiać na stole. Kelnerka wniosła półmiski z zestawem owoców morza - począwszy od smażonych kalmarów, do krabów i sosu z karczochów, crostini z wędzonym łososiem, pomidorami i kawałkami mozzarelli. Po nich przyszły smażone małże, duszone na parze omułki i ostrygi z grilla.

Podczas gdy kelnerzy rozstawiali talerzyki, kieliszki i serwetki, Glenn dodał:

- Ona nie uciekła. Może to planowała, ale coś ją powstrzymało. Tamara obrzuciła spojrzeniem tace zjedzeniem.

- Mam skromny budżet.

- Ja stawiam - powiedział Trzeci zblazowanym tonem, sugerującym, że zawsze brał na siebie rachunek i już go to nudziło.

Glenn pokręcił głową i usiadł.

- To na koszt firmy.

Tamara uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- W Blue Note wszystko jest za darmo - mruknął Scott, a potem machnął ręką na własne słowa, jakby tylko żartował.

- Chciałabym wiedzieć, czy to kości Jessie - powiedziała Evangeline, kiedy kelnerzy zniknęli za drzwiami, a ona poczęstowała się kalmarem.

- Więc to nie gliniarz ją zabił? - zapytał Jarrett, udając ciężko zaszokowanego.

- Nie wiem - rzuciła rozdrażniona Vangie. - Nikt z nas nie wie.

- Ona żyje - rzekła Tamara z przekonaniem.

- A pewnie, jasne, kto ma wiedzieć, jak nie ty. Czytasz z tarota, gwiazd, tabel i liści herbaty... - Zeke właściwie nie szydził, chociaż było w tym nieco uszczypliwości. Nałożył sobie na talerz.

Pozostali również się częstowali.

- Ani trochę się nie zmieniłeś, St. John - stwierdziła Tamara, przyglądając dłonią ogniste loki. Bransolety zadzwoniły i zaśpiewały. - Owszem, potrafię komunikować się na wszelkie sposoby z duchami i umarłymi... - Zniżyła głos do szeptu i pomachała rękoma nad stołem, udając, że przewraca oczami i błyska białkami.

Becca uśmiechnęła się, słysząc ripostę Tamary, a Scott, Jarrett i Trzeci spiorunowali ją wzrokiem. Całe to wydarzenie wydawało się surrealistyczne - zajadanie się owocami morza i popijanie wina przy rozmowie o ponurym znalezisku w szkole, kościach, które być może są szczątkami Jessie Brentwood. Podano jej tacę, ale Becca podziękowała; nie miała apetytu.

Renee podniosła rękę, żeby przywołać wszystkich do porządku.

- A co ty myślisz, Mitch?

Mitch, który właśnie skubał ostrygę, wyprostował się jak pociągnięty za sznurek.

- O Jessie? Zawsze myślałem, że uciekła. Robiła to już wcześniej. Wszyscy o tym wiedzieli. Może znowu uciekła. - Wrzucił ostrygę do ust.

- Ludzie zwykle mają powód do ucieczki - powiedział Hudson.

- Na przykład grubszą chryję? - odgryzł się Trzeci. - O co tym razem się pożarliście? Jessie wkurzyła się, bo dobierałaś się do innej dziewczyny?

- Pięknie - zachnęła się Tamara.

- Nic w tym guście - odparł Hudson.

Strzały i ciosy Trzeciego nigdy nie były w stanie przebić jego emocjonalnej zbroi i Becca ucieszyła się, widząc, że nadal tak jest. Evangeline zacisnęła usta.

- Nie zdziwiłoby mnie to w jej przypadku. Uciec, żeby postawić na swoim. Jessie była podstępna. I podła.

Becca nie wierzyła własnym uszom. Evangeline była jedną z najbliższych przyjaciółek Jessie.

- Jessie robiła wrażenie trochę skrytej, może...

- Nie znałaś jej tak naprawdę - przerwała jej Evangeline. - Miała w sobie sporo... okrucieństwa, naprawdę miała w sobie mroczną stronę.

- Aha, pewnie, była szatanem - wtrącił Trzeci znudzonym tonem.

- Nie żartuję, w porządku?! Było w niej coś zwyczajnie... - Evangeline z trudem przełknęła ślinę i wyjrzała przez szybę, którą nadal zalewał deszcz.

- Zwyczajnie co? - dopytywał Zeke.

- Przeróżającego. Ciemnego. Sama nie wiem. Złośliwego albo złego, czy jak to nazwać. - Rozejrzała się wokół stołu i wzruszyła ramionami. - Wszyscy to wiemy. Bałiśmy się to powiedzieć, bo zaginęła i mogło jej się przytrafić coś potwornego, ale w głębi duszy wszyscy wiemy, że z Jessie Brentwood było coś zdecydowanie nie tak.

Becca nie mogła tego znieść ani sekundy dłużej. Potrzebowała powietrza. Odsunęła krzesło, a Jarrett aż podskoczył.

- Przepraszam.

Szybko otworzyła szklane drzwi i ruszyła labiryntem sal. To wszystko ją osaczało. Robiło się klaustrofobicznie. I było w tym tyle... jadu. Ruszyła w stronę łazienek, ale zmieniła zdanie i wyszła przez frontowe drzwi w chłodną noc. Deszcz zelżał i przeszedł w mżawkę, wiatr ucichł, ale powietrze gęstniało i mgła podnosiła się z parkingu. Becca spojrzała na zaparkowane samochody oraz na jodły i dęby, które rosły na końcu parkingu. Deszcz bębnił o maski, a przednie szyby odbijały światło z lamp jarzących się w górze. Słysząc było przejeżdżające drogą auta i jazz, stłumiony i prze-filtrowany przez noc.

Becca szła wzdłuż frontu restauracji, pozwalając, żeby chłód lutego oczyścił jej umysł; mówiła sobie, że nie może nikomu przyznać się do wizji z Jessie. Wszyscy pomyśleliby, że jej odbiło. Ale wibracje, które wyczuwała w sali, dławily ją. I szczątki znalezione na terenie szkoły. Czy Jessie naprawdę zabito i tam pochowano? Złożono w płytkim, upiornym grobie u stóp posągu? Ale kto ją zabił? I dlaczego? Rozcierając ramiona, raz jeszcze rozejrzała się po parkingu. Kobieta w długim płaszczu przeciw-deszczowym szła szybko między samochodami, omijając kałuże. Szczupła postać z jasnobrązowymi włosami opadającymi na twarz, tak jak u Jessie w wizji.

Becce zabrakło tchu. Tętno jej przyspieszyło. To niemożliwe. A jednak. ..

Jessie?!

W tej samej chwili kobieta odwróciła twarz i nawet w słabym świetle na parkingu widać było, że to nie jest dziewczyna z wizji. Owszem, istniało pewne podobieństwo, ale osoba, teraz naciskająca pilota do samochodu, zdecydowanie nie była Jezebel Brentwood.

Zaczynasz się sypać, Becca.

Widzisz duchy.

Jeśli Jessie naprawdę nie żyje, jeśli ciało w labiryncie to rzeczywiście jej ciało...

Drzwi za nią się otworzyły. Odwróciła się, spodziewając się Hudsona, ale rozczarowała się, widząc Mitcha Bellottiego z niezapalonym papierosem w kąciu ust i zapalniczką w ręku. Podszedł do niej.

- Dziwna sytuacja, co? - powiedział, pstrykając zapalniczką i pochylając się nad płomykiem. Zaciągnął się głęboko.

- Aha.

Drzwi same się zniknęły.

Wypuścił smugę dymu i sięgnął do wewnętrznej kieszeni, żeby wyjąć nieco zgniecioną paczkę Marlboro.

- Masz ochotę?

- Nie, dzięki. - Pokręciła głową i paczka zniknęła. - Po prostu musiałam odpocząć.

- Ja też. - Wskazał brodą restaurację. - Muszę przyznać, że ta rozmowa o Jessie, czy jest żywa, czy martwa... pochowana przy szkole, gnijąca... cholera... To chore. - Zaciągnął się raz jeszcze i pokręcił głową patrząc na drogę, na której ruch słabł. - Nie potrzebuję tego.

Becca mruknęła potakująco.

Drzwi otworzyły się znowu, szum rozmów i muzyka popłynęły w noc. Becca zerknęła przez ramię i tym razem zobaczyła Hudsona. Z ponurą miną wyszedł na zewnątrz.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Hm. To znaczy... w pewnym sensie. - Pokręciła głową. - To wszystko jest zbyt niepojęte. Wyprowadziło mnie z równowagi.

Mitch potakiwał, zerkając zza dymu papierosowego. Na drodze niecierpliwy kierowca w sportowym wozie trąbił na furgonetkę, która nie ruszyła na skrzyżowaniu, chociaż miała już zielone światło.

- Więc Renee uparła się przy pisaniu? Hudson skinął głową.

- Chciałbym wiedzieć, czy to kości Jessie.

- Hm. No tak. - Mitch wzruszył ramionami. Hudson spojrzał na Beccę.

- Wracasz?

Potwierdziła i weszła przez drzwi, które dla niej przytrzymał.

- Zaraz przyjdę... - powiedział Mitch, ale resztę słów odcięły drzwi zamykające się ze stłumionym odgłosem.

Becca i Hudson znaleźli się sami w korytarzu. Nie tłoczyli się tu klienci, czekający w kolejce, nawet hostessa zniknęła z małego podwyższenia. Zza zasłon dobiegały szepty rozmów, a wszechobecna muzyka szybowwała w tle przez mroczną restaurację.

- Cudne okoliczności ponownego spotkania - rzucił Hudson z bladym uśmiechem i bardziej sarkastycznie, niż miał kiedyś w zwyczaju. - Chcesz wyjść?

- Teraz?

- Uhm.

- Z tobą?

Wzruszył ramionami.

Ciekawa propozycja, ale wiedziała swoje. Już raz się sparzyła. Hudson Walker był mężczyzną, któremu nie mogła ufać. I jeszcze ta sprawa Jessie.

- A mówiłeś, że powinniśmy wziąć w tym udział.

Uśmiechnął się blado, a jego twarz stała się nieco mniej pochmurna.

- Może po prostu próbowałem pozbyć się Mitcha.

- Tak?

Nie pozwól mu się oczarować. Nie! Pamiętaj, jak cię zostawił. Pamiętaj, że nigdy nie przestał kochać Jessie. Pamiętaj, że nawet teraz Jessie istnieje. Zawsze tak będzie.

- Myślę, że powinnam zostać i wysłuchać do końca Renee - odpowiedziała, nie dając się skusić Hudsonowi. - To dziwne... te kości...

Hudson pochylił głowę, a ona ruszyła do prywatnej jadalni. Czas wrócić do wal-ki. Kiedy doszła do drzwi, zawołała przez ramię:

- Chodź, Walker, miejmy to za sobą!

Ale on już szedł za nią, złapał klamkę, przykrywając dużą dłonią jej rękę, zaci-
skając mocne palce na uchwycie.

- Miejmy nadzieję, że Renee nie będzie tak długo przynudzać, jak planowała -
powiedział, otwierając drzwi.

Najpierw Becca, pomyślała Renee. Potem Mitch.

A teraz, zgodnie z przewidywaniami, Hudson.

Trzy osoby opuściły pokój. Nie chcieli słuchać o Jessie.

Renee patrzyła. Zapamiętywała różne rzeczy. Coś gryzło Becce, a według Renee, ta dziewczyna zawsze była dziwna, trochę z innej bajki. Dwadzieścia lat temu Rebecca Ryan też trzymała z nimi, chociaż była o rok młodsza, jedyna pierwszoklasistka, której pozwolono kręcić się przy drugoklasistach. Rzecz jasna nie istniały żadne regu-
ły, tylko niepisany kodeks. Renee myślała, że to dlatego, że ta gąska zadurzyła się po uszy w Hudsonie; po to wkręciła się do paczki. Podejrzenia okazały się słuszne po ro-
ku od ukończenia szkoły, kiedy Hudson wrócił z college'u, a Jessie Brentwood dawno zniknęła.

Becca i Hudson zaczęli się spotykać, przez jakiś czas byli nierozłączni. Renee zobaczyła ich przez okno swojej sypialni, tarzających się nago po ziemi; widziała po-
między długimi, kołyszącymi się gałęziami wierzby, jak się kochali.

To było zaskakujące, wręcz desperackie, pomyślała Renee, ponieważ jej brat, czy się do tego przyznawał, czy nie, nigdy nie przebolewał straty Jessie Brentwood.

Jessie. Renee niespokojnie zerknęła przez ramię. Nie mogła nic na to poradzić. Sekrety, które ostatnio poznała, sprawiły, że zdała sobie sprawę, że trafiła na rewela-
cyjną historię. Miała jednak mnóstwo złych przeczuc bez żadnych konkretnych pod-
staw.

Teraz już nie była tak pewna jak wcześniej, że Jessie Brentwood uciekła. Może przydarzyła jej się tragedia. Czy nie to właśnie sugerowała ta dziwna staruszka na wy-
brzeżu? Że Jessie pisana była śmierć i jeśli Renee ruszy jej śladem, to też umrze?

Renee uznała, że stara kobieta to jeszcze jedna wariatka, dopóki nagle nie znaleziono kości w szkole. Teraz już nie była pewna, co jest grane. Chociaż to dziwnie brzmiało w jej ustach, potrzebowała pomocy przyjaciół, tych najbliższych Jessie, żeby trzymać się obranego kierunku, żeby oprzeć się dziwnemu uczuciu... uczuciu... strachu. W rezultacie chciała porzucić tę sprawę, ale to było po prostu idiotyczne. Nie pozwoli, żeby cokolwiek ją zniechęciło.

Ale... dała się nastraszyć. Bez wątpienia. Jeśli była jej „pisana śmierć”, to najpierw się dowie, z jakiego powodu. A przyjaciele jej pomogą.

Rozdział 5



Renee już miała wstać i pójść po brakującą trójkę, kiedy Hudson i Becca weszli do sali. To było do przewidzenia. A zaraz za nimi wpadł Mitch; pachniał dymem papierosowym. Otworzyła usta, żeby kontynuować, ale Tamara odezwała się pierwsza.

- Może powinniśmy po kolei powiedzieć, co pamiętamy o Jessie - zaproponowała. Zeke jęknął, ale go zignorowała. - Renee może napisać artykuł, a my wszyscy możemy jej w tym pomóc. Renee ma rację. Wszyscy nosiliśmy to w sobie zdecydowanie zbyt długo. Jestem za zamknięciem sprawy. Becca, ty pierwsza.

Becca właśnie siadała obok Jarretta; prawie się zadławiła.

- Nie znałam jej aż tak dobrze.

- Nie? - rzuciła Renee. Evangeline wpadła jej w słowo.

- Ja zacznę. Ponieważ wszyscy uważacie, że Jessie była moją najlepszą przyjaciółką.

- Twoją złą najlepszą przyjaciółką - przypomniał jej Trzeci.

- Jessie miała dużo problemów - odparła cierpko. Trzeci parsknął.

- Poza ciemną stroną miała jeszcze inne problemy?

- Dość tego - rzucił Zeke, patrząc Trzeciemu w oczy. - Daj jej mówić. Evangeline mocniej zacisnęła palce na dłoni Zeke'a.

- Miała kłopoty w domu. Poważne, o których nie chciała mówić. A poza tym... żyła w dziwnym urojonym świecie.

- Nie ma w tym nic dziwnego - sprzeciwiła się Renee.

- Uważała, że wszyscy faceci chcą ją przelecieć, jasne? - Evangeline obrzuciła spojrzeniem wszystkich mężczyzn przy stole. - Miała obsesję na tym punkcie. Flirtowała i podpuszczała facetów, drażniła się z nimi. Sami wiecie.

- To było dawno temu - przyznał trochę skrępowany Mitch. Evangeline spiorunowała go wzrokiem.

- To było dawno temu, ale właśnie dlatego tu jesteśmy, nie? W każdym razie to właśnie zapamiętałam na temat Jessie. Możecie rysować jej serduszka, kwiatuszki i wzdychać „biedna Jessie”, jeśli chcecie, ale prawda jest taka, że Jessie nie była bardzo miła.

Becca, zamyślona, spojrzała na Vangie. Pamiętała szept, że Zeke był zafascynowany Jessie i widywał się z nią za plecami najlepszego przyjaciela, Hudsona. Becca lekceważyła te plotki wtedy i teraz, uznając, że to efekt obsesji Evangeline na punkcie Zeke'a.

- A ty co myślisz, Walker? - przycisnął go Trzeci. - Twoja dziewczyna chciała nas wszystkich?

- Zamknij się - zirytował się Hudson.

- Ona była dziewczyną Walkera, wszyscy to wiemy - odparł stanowczo Zeke.

Tamara przesuwiała bransoletkę na nadgarstku.

- Szkoła średnia to dawne dzieje. Całe życie temu, ale pamiętam, jak myślałam, że ty, Hudson... - Spojrzała mu w oczy. - Że ty i Jessie byliście idealną parą. Widziałam, jak staliście przy szafkach, tacy zapatrzeni w siebie.

- Cóż... byliśmy dziećmi w szkole, jak sama powiedziałaś. Co myśmy wiedzieli o życiu?

Becca leciutko się uśmiechnęła pod wpływem nagłej nostalgii i zdała sobie sprawę, że Tamara przebrnęła przez męki szkolne zakochana w Hudsonie. Cóż, witamy w klubie. Połowa dziewczyn w klasie przyznała się, że miała do niego „słabość”. Przecież większość wybrała go na faceta, z którym chciałyby wylądować na bezludnej wyspie. To samo dotyczyło Jessie. Wszyscy chłopcy jej pragnęli, a ona to wykorzystywała. Tylko Evangeline naprawdę zależało na Zeke'u, reszta napalała się na Hudsona. Renee też o tym wiedziała. Uczyła się najlepiej w klasie i mnóstwo dziewczyn starało się z nią zaprzyjaźnić, żeby się zbliżyć do jej brata. Ale Renee rozszyfrowała je i nie dawała się podejść.

- Wiecie, co pamiętam? - odezwał się nagle Mitch. - Jak Jessie zawsze powtarzała te teksty. Te dziwne cytaty czy coś. Pamiętacie? Zawsze miała jakiś kawałek piosenki czy czegoś.

- Wciąż wytykała nam nasze potknięcia, w taki czy inny sposób - dorzuciła Evangeline.

- Cieszę się, że nie jesteś moją najlepszą przyjaciółką - krzywiąc się, mruknął Glenn.

- Właśnie, co ona takiego ci zrobiła? - zapytał Mitch. Evangeline potrząsnęła krótko obciętymi blond włosami.

- Żadne z was nie znało jej tak naprawdę, więc mnie nie osądzajcie. Jessie była popularna. Lubiła mnie dołować tylko po to, żeby samej poczuć się lepiej. Szkoła średnia, wiecie... człowiek dorasta i dociera do niego, jakie to było potworne.

- To nie były cytaty. To były dziecięce rymowanki - wtrącił Glenn, kiwając głową do wtóru dźwięczącym szklaneczkom.

Mitch z zapalem przytaknął.

- Zgadza się! Zawsze coś nuciła. Mruczała. Powtarzała je nam, facetom. Taki jej zarcik czy coś. Jeden z jej ulubionych był właśnie o chłopcach.

- O Boże... - Evangeline przewróciła oczami.

- Zapomniałem o tym - powiedział Trzeci, marszcząc czoło.

- Rymowanki? - powtórzyła z niedowierzaniem Renee. - Nie pamiętam niczego takiego.

- Ja też nie - przyznała Becca.

- To było takie gładzenie w jej stylu, flirtowanie. - Jarrett się zniecierpliwiał. - Te kawałki o niegrzecznych chłopcach. Jak powiedzieliśmy, uwodziła wszystkich facetów siedzących przy tym stole.

Evangeline zacisnęła zęby i wbiła palce w dłoń Zeke'a. Hudson wypuścił powietrze. Chyba wolał być gdziekolwiek, tylko nie tutaj, w sali, z tak zwanymi przyjaciółmi.

- Z tego, co jampamiętam, to mnóstwo facetów do niej startowało. Względność percepcji. Czasem trudno powiedzieć, kto co komu robi.

- Och, daj spokój, Walker. - Trzeci się wściekł. Twarz miał zaczerwienioną, oczy pałały wyzwaniem. - To musiało cię dobijać, sposób, w jaki się zachowywała. To dlatego się pokłóciliście? Z naszego powodu?

- Aha - odparł Hudson z cynicznym uśmiechem. - Poszło o ciebie, Delacroix.

- Więc o co poszło, do licha? Hudson się skrzywił.

- Nie wiem. Ona zaczęła. To samo powiedziałem wtedy glinom, McNally'e-mu. Jessie była rozdrażniona i rozkojarzona, chciała się pokłócić. Większość słyszeliście. Kiedy poszliśmy do mnie, wyglądało to mniej więcej podobnie.

- Uważała, że w twoim życiu jest inna dziewczyna? - zgadywała Tamara.

- Miała szesnaście lat. Myślała o mnóstwie różnych rzeczy.

- Może był ktoś inny? - zasugerowała Evangeline.

- McNally podejrzewał, że to ty ją zabiłeś - przypomniał mu Scott. Złapał butelkę czerwonego wina. Becca patrzyła, jak wino wypełnia kieliszek, lśniąc jak krew pod wiszącymi lampami. - Miał teorię, że zabiłeś ją po tym, kiedy dowiedziałeś się, że spała... z kimś innym?

- McNally miał obsesję, chwycił się byle czego, próbował zrobić zabójstwo ze sprawy zaginięcia, chciał przyszpilić każdego z nas - wygłosił Hudson tonem, jakby miał tego wszystkiego wyżej uszu. - Bóg jeden wie. Może to było zabójstwo.

- I myślisz, że zrobił to ktoś z nas? - Scott spojrzał na niego wojowniczo.

- Nie.

- Ale on myślał, że to ty ją zabiłeś? - zapytała brata Renee. - Nie żebym tego nie pamiętała.

- To nie była sprawa o zabójstwo - wtrąciła Becca. - Nie mieli ciała.

- Ale McNally nakręcił się na to - dorzucił Glenn. - Niech to szlag, to był czubek.

- A teraz mają ciało. Niezależnie od tego, czy to ciało Jessie, czy nie, znowu się zacznie... - westchnął Trzeci.

- Nie sądzę, żeby to była Jessie. Myślę, że uciekła. Powiedziała, że jest nieszczęśliwa - przypomniała im Evangeline. - I że musi zniknąć.

- Powiedziała, że musi zniknąć? - zdziwiła się Becca.

- Aha, jakby coś wiedziała. - Vangie odgarnęła jasne kosmyki z twarzy. - Ona taka była, wiecie? Tak jak mówiła Tamara, ona wiedziała pewne rzeczy. Jakby była jaśnowidzem, czy jak to tam nazwiecie. Ale to było dziwne. Straszne. Kiedy powiedziała, że musi zniknąć, uwierzyłam jej.

- Co dokładnie powiedziała? - zapytała Renee.

- Powiedziała: „muszę się stąd wynosić, zanim stanie się coś złego”, czy jakoś tak.

- Nigdy nam tego nie mówiłaś - rzekł z lekką naganą w głosie Trzeci. - Kiedy nas wszystkich maglowano.

- W każdym razie to było coś takiego - oznajmiła Evangeline, czerwieniejąc. - Nie układało im się z Hudsonem. Może to dlatego.

Wszyscy spojrzeli na Hudsona, a on przytaknął.

- Jessie miała swoje sprawy.

- Na przykład? - zapytał Scott.

- Nie wiem. Z pewnością coś ją gryzło.

Renee spojrzała na brata i Becca miała wrażenie, że dziewczyna coś kalkuluje, jakby się zastanawiała, czy zdradzić pewną informację, czy zachować ją dla siebie. W końcu powiedziała:

- Mam kilka tropów do sprawdzenia. Jadę na wybrzeże. Może spotkamy się za dwa tygodnie...

- Poczekajmy z tym chwilę - zaproponował Trzeci. Już miał coś dodać, ale zawahał się, gdy kelner wszedł, zebrał kilka brudnych naczyń i zniknął ponownie. - Wiecie, że McNally znowu na nas wsiądzie, zacznie nas zamęczać.

- Nie ma mowy. Musiał już przejść na emeryturę. - Scott pokręcił głową. - To będzie ktoś inny.

- Tacy faceci nigdy nie przechodzą na emeryturę. I nie może być aż tak stary. Ale chodzi o to: i co z tego? Teraz nie może nam nic zrobić. Musimy zachować spokój. McNally, albo ktoś jemu podobny, zacznie zadawać pytania. Jakakolwiek nieścisłość, jakakolwiek, tylko pogorszy sprawę. Ale proszę... oto znowu jesteśmy razem. - Uniósł kieliszek w toaście i wszyscy poszli za jego przykładem, chociaż z oporami, jakby nie do końca wiedząc, dokąd to zmierza. - Jesteśmy przyjaciółmi. Musimy częściej się widywać i zakończyć sprawę Jessie Brentwood. Nie ma się czego obawiać.

- To tyle, jeśli idzie o pomysł, żeby każdy z nas coś o niej powiedział - zakpiła zde gustowana Tamara.

Miała rację. Spotkanie i pomysł Renee, żeby każdy powiedział coś o Jessie, zaczynały się sypać. Becca spróbowała przystawek i napiła się nieco białego wina, słuchając rozmów toczących się wokół. Scott chwalił się Blue Ocean, restauracją na wybrzeżu, chociaż Glenn nie ekscytował się równie mocno ich nowym lokalem. Marudził, że prace nad restauracją w Lincoln City trwają, ale Scott machnął na to ręką oznajmiając, że trzeba tylko zmienić menu. Było zbyt „wyrafinowane” jak dla plażowiczów. Mitch narzekał na przepracowanie, Jarrett, sprzedawca nieruchomości, skarżył się na ekonomię. Pod tymi niezobowiązującymi rozmowami kryło się coś więcej, niepokój, a Becca wiedziała, że to Jessie, wspomnienia o niej, jej duch, który nadal ich prześladowuje.

Trzeci powtarzał, jakby to była mantra, że powinni częściej się spotykać, chociaż wiedzieli, że nic z tego nie wyjdzie. Bez klasowego zjazdu albo pogrzebu, albo odkrycia kości w labiryncie Świętej Elżbiety członkowie szkolnej paczki nie szukaliby swojego towarzystwa.

Tamara starała się podtrzymać rozmowę z coraz bardziej milczącym Hudsonem. Becca raz, może dwa razy poczuła na sobie spojrzenie Renee i zastanawiała się, czy powie wszystkim o ich krótkim romansie po szkole. Może już wiedzieli, ale zachowywali się, jakby o niczym nie mieli pojęcia.

Zeke podszedł do Hudsona, żeby pogadać, kiedy wszyscy wstali od stołu, ale Becca nie mogła ich podsłuchać, bo gdy szli do drzwi, dołączył do niej Mitch.

- Dość dziwne okoliczności do ponownego spotkania - powiedział, przytrzymując drzwi.

- Pewnie dowiemy się więcej, kiedy kości zostaną zbadane.

- Od jak dawna jesteś wdową?

- Och... chwilę już... nie za długo... - Nie miała zamiaru zaczynać teraz tego tematu.

Ostatnie, czego chciała, to myśleć teraz o Benie.

- Mój rozwód z Sherri zakończył się dwa lata temu.

Trzeci i Jarrett dogonili ich i Becca zauważyła rozbawienie w oczach mężczyzn, gdy usłyszeli niezbyt wyrafinowane próby podrywu w wykonaniu Mitcha. Miała dość ich wszystkich, siebie zresztą też.

Nie chciała z nikim rozmawiać, może z wyjątkiem Hudsona, ale nie zamierzała czekać, żeby zwrócić jego uwagę. Jak chciał się z nią spotkać w ciągu ostatnich szesnastu lat, to mógł, do licha, podnieść słuchawkę. Ale tego nie zrobił. Podeszła do drzwi, wyszła na zewnątrz, gdzie powietrze lepilo się od wilgoci. Na słabo oświetlonym parkingu stało jeszcze mniej samochodów. Schodząc z krawężnika, weszła prosto w błotnistą kałużę.

Cudownie.

- Becca! - Głos Renee dogonił ją tuż przy samochodzie.

Obejrzała się. Renee oderwała się od grupy. Wysoka, charakterystyczna sylwetka Hudsona malowała się na tle wielkich oświetlonych okien restauracji.

- Chciałabym kiedyś z tobą porozmawiać - powiedziała Renee, kołysząc w rękę aktówkę.

To coś nowego.

- O Jessie?

Becca otworzyła auto pilotem.

- Uhm.

- Nie znałam jej tak naprawdę. - Wizja ożyła w jej głowie, prowokując, żeby powiedzieć o niej Renee, ale trzymała język za zębami.

- Znałaś ją równie dobrze jak większość nas. Pewnie o niebo lepiej niż jej rodzice.

Becca zobaczyła, że Evangeline siada na przednim siedzeniu klasycznego mustanga Zeke'a.

- W porządku. Chcesz się spotkać w ten weekend?

- Jutro jadę na kilka dni na wybrzeże - odparła Renee, zerkając nerwowo na chodnik przed restauracją gdzie stali Jarrett, Trzeci i Mitch. Trzeci rozmawiał przez komórkę, Mitch zapalił papierosa, a Jarrett rozglądał się po parkingu i właśnie spojrzał

na nie. Było coś w jego wzroku, co wywołało u niej gęsią skórę, coś bezwzględne, czego nie pamiętała ze szkoły średniej.

- Słuchaj - mówiła Renee - nie wspominałam o tym przy nich wszystkich, ale mamy z Timem, moim mężem, kłopoty...

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. I kłamałam. To nie są proste kłopoty. Jesteśmy w separacji i dlatego spędzam sporo czasu na wybrzeżu. Samotnie. No wiesz, żeby spojrzeć na sprawy z odpowiedniej perspektywy. - Oderwała wzrok od mężczyzny pod daszkiem. - Może dlatego znowu zaczęłam myśleć o Jessie. Niedokończone sprawy. W każdym razie chciałam porozmawiać z tobą o kilku moich pomysłach.

- Tylko ze mną czy z resztą też?

- Chyba z każdym. Pomyślałam, że moglibyśmy to zamknąć.

Szło o coś więcej, czego Becca nie pojmowała, ale to nie miało znaczenia, skoro już zgodziła się na spotkanie.

- Może zadzwonię po weekendzie? - zaproponowała Renee. - Może byśmy się spotkały. Mam... kilka teorii... kilka dziwnych informacji...

- Dziwnych? To znaczy?

Renee zerknęła w stronę grupy. Mitch z kluczykami w ręku szedł w stronę SUV-a zaparkowanego w pobliżu volkswagena jetta Becki.

- Zadzwonię - szepnęła Renee, a potem popędziła do czarnej toyoty, podczas gdy Mitch rzucił papierosa na ziemię i wszedł do tahoe.

Becca otworzyła drzwi samochodu i już miała wsiąść, kiedy Hudson, z głową pochyloną przed deszczem, ruszył w jej kierunku. Zawahała się. Przestrzegała samą siebie, przekonywała, że powinna sobie odpuścić. Cokolwiek wydarzyło się między nimi, niezależnie od powodu, z jakiego nie zadzwonił do niej nigdy więcej, to nieważne. To koniec. Historia.

Mam to w nosie, pomyślała i wysiadła z samochodu, kiedy Mitch wyjeżdżał z parking. Chce z nim pogadać.

Zdała sobie sprawę ponieważ, że Hudson nie wszedł do niej, tylko biegł do swojego podniszczonego wozu. Szkoda. Stała na wysepce z zaniedbanymi krzaczkami oddzielającymi jeden parking od drugiego i dogoniła Hudsona akurat, kiedy otwierał drzwi do starego pikapa. Zauważył ją i podszedł do niej, z grzeczności, a może z ciekawości, trudno powiedzieć.

Renee przejechała obok; opony jej samochodu rozpryskiwały wodę. Lekko się zawahała, wjeżdżając na ulicę, ale dodała gazu i śmignęła przez skrzyżowanie, kiedy żółte światło zmieniało się w czerwone.

- Któregoś dnia się zabije - powiedział Hudson, odprowadzając wzrokiem toyotę siostry. - Czasem mam wrażenie, że prosi się o śmierć.

Zerknął na Beccę, która nagle poczuła się jak idiotka, bo goniła za nim i po drodze przemokła.

- Więc co o tym myślisz?

- Jakbym znowu wylądował w szkole średniej.

- Wolałabym tego uniknąć. Przytaknął jej.

- To nawet ciekawe znowu spotkać ich wszystkich.

- Ciekawe... uhm. - Hudson obejrzał się.

Jarrett i Trzeci pożegnali się umówionym sygnałem i każdy skręcił do swojego samochodu.

- Nie wszystko aż tak bardzo się zmieniło.

- Fakt - zgodziła się, patrząc, jak Trzeci siada za kółkiem bmw z tablicami na zamówienie, na których napisano III. - Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- Może niektóre owszem. Zerknęła na niego z ukosa.

- Czasem zmieniamy się na lepsze. Przynajmniej odrobinę.

- Do czego zmierzasz?

Zastanowił się dłuższą chwilę i nagle powiedział:

- Zachowałem się jak idiota dwadzieścia lat temu. Powinienem był zadzwonić.

Wiem. Chciałem, żebyś wiedziała.

- Och. - Nie potrafiła ukryć zaskoczenia. - Właściwie to było szesnaście lat temu.

Ale kto by to liczył.

Uśmiechnął się.

- Byłem dupkiem. Interesowałem się tylko sobą i tym, co życie dla mnie szykuje.

- Przesunął ręką po karku, kiedy deszcz znowu się rozpadał i mżawkę zastąpiły wielkie, ciężkie krople. - Cały ten ponownie wskrzeszony bajzel dał mi przynajmniej szansę na wyznanie tego.

Becca pomyślała o dziecku, które straciła, i nie mogła złapać tchu.

Hudson spojrzał na nią, jakby próbował odczytać jej myśli. Napięcie między nimi nagle wzrosło i przez szaloną chwilę Becca miała wrażenie, że zaraz ją pocałuje.

- Hudson! Poczekaj!

Czar prysł i oboje odwrócili się do Tamary, która próbowała schować się przed deszczem i walczyła z parasolką, idąc w ich stronę.

- Lepiej już pójdę - mruknęła Becca.

- Nie powinniśmy byli pozwolić, żeby upłynęło tyle czasu. - Uniósł rękę na pożegnanie, kiedy Tamara podeszła, a Becca się wycofała.

Zadzwoń, pomyślała, ale nie potrafiła tego powiedzieć. Odwróciła się i pośpiesznie wróciła do samochodu, który stał teraz samotnie. Na parkingu zostały tylko jej volkswagen, półciężarówka Hudsona i dwa sedany zaparkowane przy frontowym wejściu.

Interesy w Blue Note zdecydowanie nie kwitły.

Wsiadła do samochodu i zapaliła silnik. Przez zalaną deszczem przednią szybę patrzyła, jak Tamara nadal walczy z parasolką uśmiechając się szeroko do Hudsona i kręcąc głową z powodu własnej niezręczności. Ewidentnie flirtowała.

I co z tego?

Hudson wziął parasolkę i przytrzymał drzwi Tamarze.

Nieproszona i niechciana zazdrość zawrzała w sercu Becki.

Nie ładuj się w to, przestrzegła samą siebie, ale mimo to obserwowała, jak Tamara wsiada do auta. Jej rude włosy pociemniały od deszczu; kapąła z nich woda, ale uśmiech miała promienny jak tropikalne słońce.

Becca wściekła się na siebie za to, że zauważa takie rzeczy. Wrzuciła wsteczny bieg i wyjechała z parkingu. Hudson włączał silnik, kiedy przejeżdżała obok niego. Starła się nie zerkać na niego kątem oka. Zdusiła idiotyczne podejrzenie, że nadal jest dla niej kimś ważnym. Brutalna rzeczywistość była taka, że cokolwiek łączyło ją z Hudsonem, skończyło się, a i tak głównie istniało w jej głowie.

Zapaliło się zielone światło, ale Becca tego nie zauważyła, dopóki nie stanął za nią samochód i nie zatrąbił. Aż podskoczyła. Przycisnęła pedał gazu, zostawiając za sobą Blue Note i myśli o Jessie i Hudsonie.

Wieczór dla Hudsona zaczął się źle, a potem robił się coraz gorszy.

Jakby kłapa w Blue Note nie była sama w sobie wystarczająco zła, musiał jeszcze odwieźć Tamarę do domu, prowadząc uprzejmą rozmowę o niczym, podczas gdy ona próbowała z nim flirtować. Podrzucił ją do mieszkania i wrócił do siebie. Pod drzwiami zastał swojego pomocnika.

Grandy Dougherty nie miał dobrych wieści.

- Coś się stało? - zapytał Hudson.

- Aha.

- Długo tu czekasz?

- Skąd, z piętnaście minut, akurat, żeby sprawdzić, co u zwierząt. Starszy mężczyzna stał na tylnym ganku domu Hudsona. Woda kapąła

z daszka jego bejsbolówki. Wyglądał równie rozpaczliwie, jak brzmiał jego głos.

Na dworze było ciemno, że oko wykol, deszcz zacinał, wpadając na ganek mimo da-

chu. Grandy pochylił głowę, chowając się przed kolejnym gwałtownym atakiem ulewy.

- Przykro mi, ale muszę wyjechać. Wnuczka ma poważne kłopoty i powinienem zająć się nią i synem. Chciałem powiedzieć ci osobiście, zamiast po prostu zadzwonić, zwłaszcza że to wypadło tak nagle.

- W porządku - odparł Hudson, choć wiedział, że sam z trudem poradzi sobie z bydłem. - Może wejdiesz, zamiast tak stać na deszczu?

Hudson wskazał na drzwi, ale Grandy pokręcił głową.

- Nie mam czasu. Żona czeka. - Zerknął na Hudsona i odwrócił wzrok. - Ach, do diabła! Lisa, najstarsza wnuczka, wpakowała się w kłopoty. - Przesunął dłonią po czołe, poprawiając czapkę. - Mieszka pod Bellingham, w stanie Waszyngton, przy granicy, razem z ojcem i młodszym bratem. Jedziemy tam z żoną.

- Dobrze - powiedział Hudson.

- Możesz zadzwonić po Emile'a Rodrigueza, wiesz. Facet zna się na pracach na ranczu, a zawsze szuka dodatkowego zarobku. Może ci pomóc, jeśli nie wrócę, zanim Boston się ożrebi.

- Pomagałem przy żrebieniu się raz czy dwa razy - rzekł Hudson, myśląc o swojej klaczy rasy Appaloosa. - Dla Boston to też nie pierwszy raz.

- No tak, wobec tego... Dam ci numer Emile'a na wszelki wypadek, gdybyś potrzebował kogoś do pomocy.

Grandy zszedł z ganku i zniknął w atramentowej nocy, nim Hudson zdążył zaprotestować. Słyszając, jak krztusi się i wreszcie zaskakuje silnik ciężarówki Grandy'ego, zamknął drzwi na ganek, żeby deszcz nie wpadał do środka, i oparł się o framugę. Wiatr potrząsał ościeżnicami okien w starym domu. W ciągu ostatnich dziesięciu lat, odkąd przejął ranczo, ciągle coś naprawiał, ale trudno było nie zauważyć, że budynek był stary, sypał się i wymagał ciągłych prac i nakładów. Pewnie powinien go wyburzyć i postawić nowy, ale nie miał na to ani czasu, ani ochoty. Poza tym kochał ten stary dom, z jego starymi dźwigarami, odłóżką farbą, latami ciężkiej harówki, odcisniętymi w drewnie.

Ranczo należało do jego rodziców, a po ich śmierci - ojciec zmarł na serce, a matka na raka - przypadło jemu i siostrze. Renee nie chciała swojej części. Dla Hudsona, który przez kilka lat po college'u zajmował się handlem nieruchomościami, możliwość wyrwania się z wyścigu szczurów, zajęcia się ranczem i życia na prowincji była cudowną odmianą. Wykupił część Renee i zaczął nowe życie, które trwało już cztery lata. Nadal czuł, że to właściwy wybór. Ciężka praca fizyczna to ulga po stresie związanym z „zawieraniem umów” i „negocjowaniem kontraktów”.

Kiedy wszedł do kuchni, odruchowo rozejrzał się za mało rasowym labradorem, ale Booker T. odszedł dawno temu. Zdechł zeszłej jesieni i Hudson uznał, że to chyba dobrze. Biedny zwierzak był już na wpół ślepy i całkiem kulawy; jego śmierć była spodziewana i chyba w tym wypadku powitana z ulgą.

Ale odejście starego psa zostawiło pustkę w życiu Hudsona. Może ta pustka zawsze była, nawet w młodości, ale z czasem stawała się coraz większa. Utrata psa nie pomogła, a strata Jessie... cóż, nadal go męczyła. Zastanawiał się nad ciałem znalezionym przy szkole. To Jessie? Czy to ona umarła u stóp Madonny w zarośniętym labiryncie? Jeśli tak, to z pewnością ktoś ją zabił.

- Chryste - szepnął i odgarnął włosy z oczu.

Zrzucił buty i postanowił nalać sobie coś mocniejszego, szklaneczkę szkockiej. Słuchanie opowieści o Jessie, a potem rozmowa sam na sam z Beccą znowu wyprzewadziły go z równowagi. Sądził, że już się z niej wyleczył, ale najwyraźniej się mylił. Oczywiście myślał o niej w ciągu minionych lat, ale z uporem odpychał te myśli od siebie. Becca, Jessie, wspomnienia ze szkoły - wszystko to starał się stłumić i, ogólnie rzecz biorąc, udawało mu się.

A potem Renee zadzwoniła z wiadomością o zdarzeniu przy szkole i natychmiast wszystko powróciło. Odciał się od przyjaciół ze szkoły średniej. Nie chciał już ich znać. Nie chciał o nich myśleć. Nie chciał myśleć o Jessie. Ale kiedy Renee opowiedziała mu o odnalezieniu kości, powróciło czyste - nigdy do końca niepokonane - przerażenie. Jego siostra też nigdy nie otrząsnęła się z tego, co się stało; całe lata pisała dziennik na temat tamtych wydarzeń, wymyślała historie o tym, co mogło się stać z zaginioną Jessie Brentwood. A teraz okazuje się, że naprawdę coś się stało.

- Grupa dzieciaków znalazła kości u podnóża posągu Madonny w labiryncie przy Świętej Elżbiecie - powiedziała. - Ludzkie kości. Ludzka ręka wynurzyła się z grobu i wyciągnęła do nich, a przynajmniej tak myśleli. To Jessie. Teraz już wiemy. W końcu wiemy.

Hudson ścisnął telefon tak mocno, że kostki mu zbieleły, a Renee ciągnęła, że zamierza zorganizować spotkanie w restauracji Scotta i Glenna, żeby omówić wszystko ze starą „paczką”. Hudson słyszał ją, jakby mówiła z oddali, podczas gdy obrazy Jessie Brentwood, te same, które nosił w sercu przez dwadzieścia lat, rozbrły w jego pamięci.

- Zamierzam o tym napisać - oznajmiła Renee. - Już właściwie zaczęłam. To niesamowita historia.

- Tak? - zapytał.

- Przyjdiesz, prawda? - odpowiedziała pytaniem.

- Pogadać, czy to kości Jessie, czy nie? - Z trudem przetwarzał informacje.

- I o paru innych rzeczach. Sporo się dowiedziałam w związku z tą sprawą. To w pewnym sensie... osobiste poszukiwania.

Hudson, zdziwiony, zerknął na telefon, ale nim zdążył zapytać, co ma na myśli, Renee powiedziała:

- Cholera, Hudson, mam już dość pisania bredni do „Star”. Czuję, że jeśli przyjdzie mi napisać jeszcze jeden nudny tekst o tym, czyj dom jest na sprzedaż, kto dostał mandat albo kto jest zły na sąsiada za ścięcie drzewa, to się porzygam. Ta historia miała w szkole to coś wielkiego, a ja jestem tego częścią. Wszyscy jesteśmy. Myślę, że wreszcie znaleźliśmy Jessie.

Starał się słuchać, ale emocje wzięły górę i zaczął myśleć o Jessie. Miała szesnaście lat. Pierwsza kobieta, z którą spał.

- Złap mnie, jeśli potrafisz - nuciła Jessie, biegnąc przez labirynt z gęstego wawrzynu.

Jej kroki były lekkie, oddychała płytko, ale z łatwością ją śledził, kiedy próbowała go zgubić na krętych ścieżkach. Oczywiście nie udało jej się, może nawet specjalnie pozwoliła mu się dogonić. Dla Jessie wszystko, nawet leżenie na gęstej trawie pod gwiazdami w cieniu wieży kościelnej i zdzieranie z Hudsona ubrań, było grą.

Jessie, nie żyjesz? To twoje szczątki? Umarłaś u stóp Madonny?

- Kości, które znaleziono, należą do kobiety? Młodej? - zapytał.

- Na razie nikt nic nie mówi. Ale do kogo innego, jak nie do niej?

- To może być ktokolwiek...

- Nie, Hudson, nie może. To Jessie, uwierz mi. I to ma sens, prawda?

- Nic nie ma sensu.

- Jestem w pobliżu rancza, wpadnę za minutkę. I chwilę potem zjawiała się, mówiąc:

- Muszę zadzwonić jeszcze do paru osób, może byś mi pomógł?

- Zadzwonię do Becki, ona знаła Jessie. Ale to wszystko. Reszta to twoja zabawa.

To zwróciło jej uwagę.

- Becca - powiedziała, ale nie wyjaśniła, co tak naprawdę chodziło jej po głowie, chociaż pewnie coś w stylu tekstów, które rzucała, kiedy zaczęli się spotykać rok po skończeniu szkoły.

- Rebecca Ryan? Odwalilo ci? Boże, Hudson, oprzytomnij. Jesteś sadystą czy co? Becca jest raptem jeden krok dalej od wariatkowa, niż była Jessie. Co z tobą masz słabość do ślicznych i oderwanych od rzeczywistości kobiet?

- Dość - warknął, ale Renee nie zamierzała się zamknąć.

- Wiesz co, kochany braciszku? Mógłbyś lepiej trafić, gdybyś się postarał. O wiele lepiej.

Hudson był innego zdania dwadzieścia - nie, szesnaście - lat temu i nadal nie zgadzał się z siostrą. Kiedy wyszła, zadzwonił do Tamary po numer do Becki, a potem do Becki, by zaprosić ją na spotkanie. Chciał znowu ją zobaczyć. Osobiście stawić jej czoło, stawić czoło własnym uczuciom...

I niech to diabli, okazała się równie intrygująca i piękna jak kiedyś. Jeśli nie bardziej. Renee pewnie miała rację, pomyślał, grzebiąc w szafce i wyciągając do połowy pełną butelkę szkockiej. Odkręcił zakrętkę, znalazł szklanekę i nalał whisky.

Nikt, nawet on sam, nie potrafił oddzielić Becki od tego, co stało się z Jessie. Zawsze będą połączone. Jedyne dwie dziewczyny ze Świętej Elżbiety, z którymi się spotykał i z którymi spał.

Jedna od niego uciekła, być może zginęła.

Drugą sam odepchnął.

- Och, niech to szlag - mruknął pod nosem, unosząc szklanekę, i wypił. Dostrzegł swoje blade odbicie w oknie nad zlewem i zauważył napięcie malujące się w zmarszczkach na twarzy. Miał nadzieję, że niezgrabne przeprosiny dziś wieczór wystarczą, aby wyjaśnić jego zachowanie; nie spodziewał się wybaczenia.

Ponieważ prawda była taka, że potraktował Beccę bezmyślnie. Gorzej, rozmyślnie potraktował ją bezmyślnie. Niezły oksymoron, co? Chciał, żeby go znieubiła. Tak go pociągała, nawet kiedy był z Jessie, że kiedy rzeczywiście zaczęli się spotykać, nie potrafił tego zaakceptować. Po części wierzył, że Jessie żyje i go obserwuje. Rzuciła oskarżenie, że Becca go pociąga. To o to pokłócili się ostatnim razem - kiedy widział ją ostatni raz przed zniknięciem.

Opierając się biodrem o blat, zakręcił kran, który przeciekał już chyba wieczność, i przypomniał sobie, jak to było dwadzieścia lat temu w dużym pokoju na dole. Niosąc drinka, zszedł po zniszczonych stopniach do piwnicy z niskim sufitem i ogromnym piecem, a potem przeszedł do dużego pokoju wypoczynkowego, gdzie nadal stał stół bilardowy przykryty starą bordową sztuczną skórą.

Oczami wyobraźni zobaczył Jessie. Siedziała na stole i patrzyła na niego. Powoli i z rozmysłem rozpięła bluzkę i zsunęła ją z ramion.

Uniósł dłoń w proteście; złość jeszcze wisiała między nimi w powietrzu.

- Czekaj...

- Ćśś! - uspokoiła go, kładąc palec na ustach, po czym pochyliła się do przodu, pokazując dekolt. Rozpięła stanik i zrzuciła go, uwalniając przepiękne piersi. Jej piwne oczy były zimne od wyrachowania i płonęły złością.

- Jess...

- Napaliłeś się na Beccę - powiedziała niskim, chrapliwym głosem, który go podniecał.

To samo oskarżenie zapoczątkowało ich wcześniejszą kłótnię tego dnia. Wszyscy w szkole wiedzieli o tej awanturze, jak się później zorientował, kiedy odnalazła go policja i zapytała o przyczyny sprzeczki.

Przez chwilę miał wrażenie, jakby znajdowała się razem z nim w pokoju. Nadal szesnastoletnia. Nadal wściekła. A on nie potrafił jej się oprzeć. Nada-sana bawiła się nim, a potem złapała go za koszulę i pociągnęła ku sobie, na stół. Usta miała gorące i wilgotne, językiem obwodziła jego wargi, zręcznymi palcami ściągnęła mu koszulę przez głowę i muskała jego mięśnie lekko jak piórkiem.

Potem już wszystko działo się szybko. Oboje ściągnęli z siebie bieliznę. Objął ją, całował jej piersi i wbrew składanym sobie obietnicom, kochał się z nią całą namiętnością młodości. Zaparł się kolanami o pokryty filcem blat i zagubił w słodczy, w tajemnicy, dał się zniewolić, jak zawsze od ich pierwszego razu.

Potem, kiedy spocony, zadyszany leżał nago na twardej powierzchni, ona odsunęła się od niego i szybko ubrała.

- Nie musisz iść - powiedział, podnosząc się na łokciu.

- Właśnie, że muszę.

- Jessie...

- Nic nie mów, dobrze? - upierała się, wiedząc, że zaraz przysięgnie jej, że ją kocha, i przez chwilę rzeczywiście chciał to zrobić... ale tylko przez chwilę. Oboje to wiedzieli.

Ubrała się pospiesznie i spojrzała na niego trzeźwo, kiedy jeszcze leżał na bordowym stole i gapił się w sufit, zagubiony w lękach nastolatka.

- Idę - oświadczyła, wyjmując włosy spod kołnierzyka koszuli i rozrzucając długie pasma.

- Możesz zostać.

- Nie sądzę. Ruszyła przez pokój.

- Zobaczymy się jutro.

- Może - odparła tonem fatalistki.

- Och, na miłość boską przestań - wściekał się znowu. Nie cierpiał tego, że czasem zachowywała się, jakby mieli żyć tylko jeden dzień bez jutra. - Dlaczego zawsze to robisz?

- Bo ty masz to gdzieś! Hudson zaklął pod nosem.

- Nie okłamuj się - rzuciła, dochodząc do schodów. - I przestań udawać, że jesteś porządnym facetem. Chcesz wyrwać się z tego... cokolwiek nas łączy.

- To ty chcesz się wyrwać - zaatakował, nim zdążył nad sobą zapanować.

- Och, racja - zaśmiała się. Sięgnął po spodnie.
- A co z Beccą? - zapytała.
- Co z nią?
- Myślisz, że nie wiem? - zawołała oskarżycielsko, z jedną nogą już na schodach.

Odwróciła się do niego akurat, gdy męczył się z zamkiem błyskawicznym. - Widzę pewne rzeczy, wiesz? Naprawdę. I zauważyłam, jak na nią patrzysz.

- Mam już dość kłótni - mruknął, zły na nią. Na siebie. I na to, że było więcej niż ziarno prawdy w jej oskarżeniach.

- Ja też. Ale... muszę ci coś powiedzieć.

- Nie mogę się doczekać.

- Przestań się zachowywać jak drań. Boję się, że... wpakowałam się w poważne kłopoty...

Widział tylko jej sylwetkę w aureoli światła ze schodów, ale coś w niej sprawiło, że zamilkł. Coś mroczniej szego niż głupia sprzeczka, coś, co spowodowało, że zagryzła usta, jakby bała się słów, które zaraz wypowie. Zagapiła się na ostatni schodek, który ojciec niedawno wymienił, ale nie widziała nowych desek i lakieru. Myślami była gdzieś indziej. Odplynęła.

- Co?-zapytał.

- Kłopoty. Poważne kłopoty. Nie spojrzała na niego.

Z trudem przełknął ślinę i przygotował się na wyznanie, że może być w ciąży. Niezależnie od tego, co ci powie, musisz zachować się jak mężczyzna, Walker. Trzymaj fason.

Spojrzała na niego z troską - przerażeniem? - w oczach.

- Kłopoty przyjdą po mnie - powiedziała tak cicho, że prawie nie słyszał jej przez huk pieca i szaleńcze bicie własnego serca.

- Jakie kłopoty?

- Poważne. - Nerwowo przeczesła włosy, odgarniając złotobrazowe pasma z twarzy. Palce lekko jej drżały. - Nie wiem, co sobie myślałam... powinnam. .. powinnam była się powstrzymać. Ale nie potrafiłam.

- Powstrzymać od czego?

- Od szukania.

- Szukania czego?! - zapytał, nic nie rozumiejąc.

Nie była w ciąży? Ulżyło mu, ale nadal nie rozumiał. Podeszedł do niej, sięgnął do jej dłoni na poręczy schodów.

Zamiast wyjaśnić mu coś więcej, zmieniła wyraz twarzy - już wpadła w zupełnie inny nastrój, zmienna jak żywe srebro. Całą siłą woli zmusiła się, żeby się wyprostować. Mrugnęła do niego szelmowsko i powiedziała:

- Nadal coś do mnie czujesz, choćbyś nie wiem co sobie myślał. Jesteś mój.
Hudson zagapił się na nią. Cała ona. W jednej chwili taka, w drugiej kompletnie inna.

- Masz mnie we krwi - dorzuciła. I już jej nie było.

Wbiegła po schodach i wypadła z domu. Kiedy ruszył za nią, na ganku, usłyszał silnik jej samochodu. Patrzył na tylne światła wozu, znikające w wirującej mgle.

Teraz podreptał na górę, stare deski skrzypiały pod jego ciężarem. Nigdy więcej jej nie zobaczył.

A co zrobił po zniknięciu Jessie tamtej nocy dwadzieścia lat temu? Rozpaczał? Lamentował? Tęsknił?

Może trochę tak, na początku. Potem przyszły pytania gliniarzy i zastanawianie się, wieczne zastanawianie się, co się stało z dziewczyną, którą rzekomo kochał.

Ale w końcu znalazł ukojenie, pocieszenie, szansę na zapomnienie w seksie z Beccą. Tak, kilka lat później, ale mimo to nie wydawało się to w porządku. Chciał się w niej zatracić, ale twarz Jessie, jej głos, jej sposób bycia... to nigdy nie odeszło, nigdy do końca.

Zzerało go poczucie winy? Na pewno. Ale było wystarczająco prawdziwe i silne, żeby zmusiło go do porzucenia Becki. Zmusiło do odkrycia nowego życia. Do ruszenia naprzód.

Widzę pewne rzeczy... Tak powiedziała, a Tamara powtórzyła to tego wieczoru w restauracji. Zupełnie jakby oni, jej przyjaciele, znali ją, wiedzieli, że jest trochę inna, odrobinę nie z tego świata.

Dopił szkocką, postawił szklanekę w zlewie, poszedł do salonu i klapnął na sofę. Pusty ekran telewizora gapił się na niego, ale w umyśle Hudson odtwarzał film własnej produkcji.

Czy to szczątki Jessie znaleziono w labiryncie? Według jedynej informacji puszczanej do mediów kości należały do młodej kobiety. Nikt nie mówił, czy leżały dwadzieścia lat, czy o wiele krócej. Policja siedziała cicho, a sprawę szybko przyćmiły nowsze lokalne wiadomości: morderstwo prawdopodobnie w wyniku nieudanego włamania, powódź na niższych terenach z powodu gwałtownie topniejących śniegów w górach, oskarżony, który w czasie procesu nagle rzucił się i uderzył w twarz własnego obrońcę.

Hudson westchnął. Latami uciekał od myśli o Jessie... i Bece. Latami uciekał przed własnymi uczuciami. Niezależnie od tego, co zostanie postanowione w związku z kośćmi u stóp Madonny, nadszedł czas, żeby sobie przypomnieć i może nawet postawić kilka hipotez. Zorientować się, co się stało, o ile to możliwe.

Nadszedł czas, aby przestać uciekać.

Rozdział 6



Ej, Mac!

McNally udawał, że nie słyszał rozkazującego, piskliwego głosu detektyw Gretchen Sandler. Na miłość boską, ta kobieta miała głos, jakby ktoś drapał paznokciami po tablicy. Prawda była taka, że wkurzała go jak nikt.

Siedział pochylony nad monitorem komputera, chociaż nie był nawet w połowie tak dobry w szperaniu w sieci, jak udawał. Jasne, potrafił znaleźć to, czego potrzebował, za pomocą elektronicznego sprzętu, który rozrósł się, rozszerzył i objął cały departament jak obca roślina, oplatająca każdy aspekt wymierzania prawa, nawet tu, w Laurelton. Ale nadal wolał badać prawdziwe dowody, kręcić się po miejscu zbrodni, a potem składać w myślach wszystkie kawałki układanki, aż dochodził do tego „aha!” - chwili olśnienia.

- Mac!

- Co? - Nie oderwał wzroku od ekranu.

- Nie udawaj, że mnie nie słyszysz - syknęła zza biurka, które stało niecały metr za nim. - Nie ma nic w zaginionych od piętnastego do dwudziestego czwartego roku życia w 1993 roku. Albo nikt się nie przejął zniknięciem dziewczyny, albo powinniśmy bardziej się cofnąć.

- Cofnij się bardziej - odparł, starając się nie warknąć.

Wyczuł za sobą coś cichego, narastającego. Zerknął i zobaczył, że Gretchen ledwo powstrzymuje rozbawienie, tak samo jak kilka młodszych osób w wydziale, które widząc jego mroczne spojrzenie, wycofały się na swoje miejsca. Gretchen, najnowsza partnerka Maca, zdobyła pozycję detektywa w wydziale zabójstw, ponieważ była cholernie dobra w swojej robocie. Cholernie dobra. Sami ją zapytajcie. I czuła rozgoryczenie, że dali ją do seniora, czubka z obsesją, który dostał awans tylko dlatego, że siedział w wydziale odpowiednio długo. To, oczywiście, zdanie Gretchen, nie Maca.

Ale możliwe, że reszta wydziału też tak myślała.

- Może powinnam wrócić do 1989 - zasugerowała. - Nie było wtedy ofiary, która nazywała się... och, nie wiem, czy pamiętam... - Pstryknęła palcami. - Jezebel Brentwood?

Nie wytrzymał i w końcu warknął:

- Może powinnaś była od tego zacząć.

- I oderwać cię od twojej obsesji? W życiu. Pozwolę ci zacząć z drugiego końca, to spotkamy się w połowie.

- Gdybym miał próbkę DNA Jessie Brentwood, wystarczyłoby poczekać na wyniki z kości.

Obrócił się na krzesło i rzucił Gretchen spojrzenie, które miał nadzieję, było stosownie zimne, ale czuł, jak mu pracują szczęki.

Gretchen przekroczyła trzydziestkę, miała kremowobrazową skórę, proste, czarne włosy, spadek po matce Brazylijce, i błękitne jak lód oczy, zimniejsze niż oczy Maca, prawdopodobnie spadek po ojcu, którego Gretchen nigdy nie poznała. A przynajmniej tak twierdziła.

- Taki jesteś pewien.
- Masz jakieś zaginione dziewczyny ze Świętej Elżbiety?
- Mam kilka z okolicy.
- Strasznie się męczysz, żeby udowodnić swoją rację.

Mac odwrócił się do komputera, kiedy Wes Pelligree, wysoki czarnoskóry detektyw, na którego wołano Łasica, pchnął opornego, przemoczonego podejrzanego w mokrej bluzie, brudnych dżinsach i kajdankach w stronę biurka. Aresztowany miał ręce skute za plecami, brudne stopy, tłuste strąki, pryszczatą twarz, oczy na wpół przymknięte; w drwiącym uśmiešku pokazywał popsute zęby; cuchnął rzygowinami. Ewidentnie ćpun. Ale z drugiej strony, Łasica miał talent do przyskrzyniania szumowin, które handlowały metą i koksem. Według plotek jego starszy brat - ten, który nadał mu przywisko jeszcze w podstawówce, zanim Wes wyrósł na metr dziewięćdziesiąt - zmarł od przedawkowania, nim Wes skończył Akademię. Od tej pory Pelligree miał misję.

Co nie wróżyło dobrze przemoczonemu białasowi, twierzącemu, że jest niewinny.

Gretchen, która stała blisko biurka Maca, patrzyła, jak tamci przechodzą. Zmarszczyła nos, kiedy podejrzany głośno klapnął na krzesło przy biurku Łasicy. Telefony dzwoniły, trwały rozmowy, policyjni pracownicy w mundurach albo cywili krążyli w labiryncie biurek i przegródek, które wciśnięto do centralnego pomieszczenia niemal bez okien, pozostawiając niewiele prywatności. System ogrzewania, który „poprawiono” gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych, zgrzytał i buchał zbyt gorącym powietrzem.

- Kiedy dostaniemy jakieś dane, które moglibyśmy wykorzystać? - dopytywała się Gretchen. - Technicy z laboratorium są na wakacjach czy co?

- Cierpliwości. - Mac zaczynał mieć dość tłumaczenia jej wszystkiego. Ona zresztą sama to wiedziała, ale lubiła słuchać własnego głosu.

- Mam czekać cierpliwie dwadzieścia lat? Nigdy.

Odeszła, a Mac powiódł za nią wzrokiem. Miło było na nią popatrzeć. Świetna figura, ładny tyłek, szczupła talia, w miarę przyzwoite piersi, jak przypuszczał, ale naprawdę bardzo się starała, żeby nie dało się jej polubić. Widział, jak kilku innych detektywów zerkano na nią gdy przechodziła. Żadne spojrzenie nie wydawało się szczególnie ciepłe. Może i trochę nabijano się z Maca z powodu jego obsesji na punkcie Jessie Brentwood, ale Gretchen unikali wszyscy. Zero poczucia humoru. Zero myślenia na szerszą skalę. Zero zabawy. Była skrupulatna i wychodziła z siebie, żeby dorwać głośne sprawy - te nieliczne, które tu trafiały.

Rozpierała ją ambicja i nie obchodziło jej, kogo staranuje w drodze na szczyt.

- Ech - mruknął Mac, patrząc na ekran.

Chociaż miał w nosie, co inni sobie myślą, jeśli to rzeczywiście kości Jessie Brentwood, z pośmiewiska wydziału awansuje na bohatera. Mało prawdopodobne, by spotkało to Gretchen Sandler.

Popołudnie było szare, wiatr hulał pod okapem. Becca skończyła pracę przy komputerze dla firmy Bennett, Bretherton i Pfeiffer i na szczęście nie straciła żadnego dokumentu, kiedy na chwilę siadł prąd. Wstała od biurka i wymasowała obolały kark. Ringo, który spał zwinięty pod biurkiem, też się podniósł i przeciągnął. Wzięła kubek z letnią już herbatą i wylała resztki do zlewu. Było jej zimno w środku i na zewnątrz, a burza nie poprawiała sytuacji.

Postanowiła się wykapać, żeby nieco się rozgrzać. Odkręciła kurki, wzięła radio na baterie, zapaliła trzy świece w ołowianym świeczniku, który postawiła na blacie z kafelków, tak na wszelki wypadek. Ringo obserwował jej poczynania z zainteresowaniem, przechylając łeb to w tę, to w tamtą stronę.

Wyłączyła światła, podciągnęła roletę w oknie nad wanną żeby mieć widok na niebo i już miała wejść do parującej wody, kiedy znowu siadła elektryczność. Całe mieszkanie pograżyło się w mroku, jeśli nie liczyć migoczących płomyków.

Cudnie.

Przez okno widziała gałęzie drżących brzoź, uderzające o szybę. Spojrzała między nimi na ciemne chmury, a potem ku jodłom po drugiej stronie drogi, drzewom, na które Ringo czekał w walentynki, jakby wyczuwał seryjnego mordercę czającego się w mroku. Tego samego dnia miała wizję i tego samego dnia dowiedziała się, że odnaleziono kości na terenie szkoły.

Drżąc, włączyła radio i zauważyła butelki z olejkami do kąpieli na blacie. Kupiła je głównie dla kolorów, od jaśniejszego błękitu po głębokie złoto, ale teraz wzięła jedną, otworzyła i wlała trochę płynu pod strumień z kranu. Właśnie zanurzała się w

wodzie, kiedy przeszedł ją dreszcz, który nie miał nic wspólnego z wilgocią na skórze. Zerknęła przez okno na jodły.

Ktoś tam był?

Obserwował ją?

Widział światło świec na jej skórze?

Natychmiast spuściła roletę. Serce biło jej jak szalone. Poniosła ją wyobraźnia?

Przy każdym ruchu czuła na sobie spojrzenie.

- Przynajmniej ty nie wariujesz - mruknęła do psa.

Zakręciła kran i siedziała cicho, niemal jak skamieniała, w gorącej wodzie. Olejek do kąpieli był aromatyzowany, więc delikatny, rześki zapach wypełnił jej nozdrza. To było kojące i po kilku minutach znowu się rozluźniła, słuchając przytłumionego, klasycznego rocka płynącego przez pomieszczenie.

Ringo podszedł do maty przy wannie i zwinął się w kłębek. Cieszyła się, że ma towarzystwo, bo nigdzie człowiek nie czuje się tak odsłonięty jak w wannie, nagi i mokry. Ale czy istnieje cudowniejsze uczucie, niż kiedy każdy napięty mięsień rozluźnia się jeden po drugim?

Becca zamknęła oczy i pozwoliła myślom swobodnie płynąć. Powędrowały do naturalnego dla siebie miejsca: Hudsona Walkera o wyrazistych rysach, szerokim, leniwym uśmiechu, lekceważeniu malującym się na twarzy. Nim zdążyła pofantazjować na jego temat choćby przez ułamek sekundy, pojawił się obraz Jessie; przesłoniła Hudsona, wchodząc między nich, jak to zrobiła wiele lat temu. Becca z roztargnieniem wzięła myjkę i przesunęła nią po szyi.

Dwadzieścia lat temu McNally pytał ją, kiedy ostatni raz widziała Jessie Brentwood. Wszystkich wypytywał o najdrobniejsze szczegóły z tygodnia przed ucieczką Jessie.

- Uciekła - powtórzyła teraz Becca.

Wierzyła, że to właśnie przydarzyło się Jessie. Mimo wszystkich spekulacji święcie wierzyła, że Jessie po prostu uciekła. To było najbardziej logiczne wytłumaczenie. Robiła to już wcześniej, każdy o tym wiedział. Jessie sama tego nie ukrywała.

Ale jeśli kości w labiryncie należały do Jessie, to znaczy, że nie uciekła. Przez cały czas była na terenie szkoły Świętej Elżbiety. Tuż pod ziemią. U stóp Madonny. Coś się tam wydarzyło, co zakończyło jej życie.

Becca ściągnęła brwi. Nie podobała jej się ta nowa perspektywa. Co właściwie wiedziała o Jessie? Doskonale pamiętała ostatni raz, kiedy rozmawiały. To było w szkole. I dotyczyło Hudsona. Jessie stała na frontowych schodach szkoły, kiedy Becca wychodziła, zarzucając plecak i popychając ramieniem szklane drzwi; dzień był pochmurny.

- Cześć, Becca - powiedziała Jessie cicho, jakby w zamyśleniu. Becca zerknęła na nią z ukosa. Nie były z Jessie bliskimi przyjaciółkami, ale miały wspólnych znajomych. A ponieważ Jessie była z Hudsonem, Becca zawsze czuła się przy niej niezręcznie. Nie zbliżyły się nigdy do siebie. Właściwie to rzadko kiedy rozmawiały. Machnęła ręką w kierunku, w którym szła.

- Właściwie... jestem spóźniona...

- Coś wiem - oświadczyła Jessie. - Coś, czego może nie powinnam wiedzieć.

Przyjrzała się uważnie Becce, jakby na coś czekała. Wiatr powiał, targając włosami Becki, która zdała sobie sprawę, że są całkiem same. Ścieżki i trawniki przed szkołą były puste, nigdzie żywej duszy.

- Co masz na myśli? - zapytała, starając się nie zwracać uwagi, jak dziwnie wyglądało niebo tego późnego popołudnia. Stalowszare chmury o fioletowych, rozrastających się brzuchach wisiały nisko nad ziemią.

- Czasem masz wrogów, o których istnieniu nawet nie wiesz. Czasem są tuż pod twoim nosem.

- Nie bardzo rozumiem... o czym mówisz... - Wzdrygnęła się, nieco zaniepokojona.

Zupełnie jakby Jessie czytała jej w myślach i знаła uczucia do Hudsona.

- A czasem nie - dodała Jessie, nagle odwracając wzrok, patrząc na parking albo raczej w dal, bo na pewno nie patrzyła na chryslera po stłuczce stojącego za blisko hydrantu. - Mam przeczucie, wiesz? Jakby nadchodziła burza. Myślisz czasem w ten sposób? Masz przeczucia, które się sprawdzają?

- Burza naprawdę nadciąga - zauważyła Becca, zerkając na ciemne niebo i udając głupią.

Wiedziała o wizjach? Ktoś jej powiedział? Jessie przeszła ją niedowierzającym spojrzeniem.

- Nie taką burzę mam na myśli. Dobrze wiesz.

O Boże. Strach ściał Becce krew.

- Hm, muszę iść. Serio.

Jessie nie odwróciła twarzy, chociaż wiatr zdmuchnął jej włosy na oczy.

- Nie bądź zbyt ufna - ostrzegła ją. - Uważaj na siebie. Becca praktycznie zbiegła po schodach, uciekając od Jessie.

A potem Jessie zniknęła. Tajemniczo. Uciekła. A przynajmniej tak wszyscy myśleli, łącznie z Beccą. A jej rodzice zaczęli się strasznie bać i jeszcze bardziej ją chronili. Nigdy nie znali Jessie, nie były bliskimi przyjaciółmi. Ale wiedzieli, że Jessie lubiła uciekać i najwyraźniej uznali, że Becca nabrała coś z jej nawyków. Nieustannie sprawdzali, czy córka jest szczęśliwa.

Szczęśliwa.

Pomyślała o ostatniej wizji. W której Jessie coś do niej mówiła, coś, czego Becca nie dosłyszała. Stała na brzegu urwiska, z palcami stóp za krawędzią, nadal miała tyle lat, ile w chwili zniknięcia, jakby zatrzymała się w czasie. To dlatego, że Becca tak ją zapamiętała? Czy dlatego, że w tym wieku umarła...?

Wiatr pchnął gałęzie brzoź w jej okno; stukały i obijały się o szybę. W radiu zmienili repertuar i Rick Springfield zaczął śpiewać o tym, że chciałby mieć dziewczynę Jesse'a. Becca uśmiechnęła się ironicznie. Ona chciała mieć chłopaka Jessie.

I żałowała, że nie urodziła jego dziecka.

Z wysiłkiem odepchnęła tę myśl. Nic dobrego nie wyniknie z biadolenia i łudzenia się nadziejami, że przeszłość się zmieni. Nic z tego.

Znowu włączono prąd. Światło lamp w sypialni wpadało przez otwarte drzwi łazienki. Wychodząc z wanny, Becca szturchnęła mokrą stopą Ringa, żeby zszedł z maty i zrobił jej trochę miejsca. Wytarła się, wzięła bieliznę, džinsy i niebieski sweter. Idąc do sypialni, naciągnęła skarpetki i mocne buty turystyczne. Nie bardzo wiedząc, co zamierza, wzięła płaszcz przeciwdeszczowy, klucze, torebkę i ruszyła do samochodu, po drodze zerkając w stronę jodeł.

Nikogo tam nie było. Żadnej wrogiej siły. Tylko gałęzie, kołyszące się na porywistym wietrze, szumiały z żalem.

Wsiadła do volkswagena i ruszyła w mrok pod nabrzmiałym niebem, które z każdą minutą coraz bardziej ciemniało. Zerknęła na zegarek. Czwarta. A już było ciemno jak w piekle.

Skręcając na zachód, powiedziała sobie, że musi napić się kawy albo czegoś z bąbelkami. Ale przejeżdżała obok kolejnych kawiarenek i restauracji z fast foodami, a noc się zbliżała. Ścisnęła mocniej kierownicę, nie odrywając oczu od mokrej nawierzchni, drżącej w blasku przednich świateł. Mijała samochody i ciężarówki, jadące w przeciwnym kierunku. Zjechała z głównej drogi, jakby kierowana niewidzialną siłą, ponieważ ani razu nie przyznała świadomie, dokąd jedzie, dokąd ją ciągnie.

Pojechała prosto do szkoły Świętej Elżbiety. Teren otoczono siatką, a żółte znaki ostrzegały intruzów, żeby trzymali się z daleka. Ale w ogrodzeniu była przerwa, żeby samochody mogły wjeżdżać i wyjeżdżać. Dziura, której najwyraźniej nikt nie miał potrzeby łątać. Przejechała przez nią, jakby teren był jej własnością, i zaparkowała na drugim końcu parkingu, najbliżej labiryntu. Widziała, że za frontowym budynkiem trwa wyburzanie. Kilka wielkich maszyn z łyżkami i zębami stało bezczynnie przy nierównych stosach gruzu, wysokich jak kabina niewielkiego dźwigu.

Żółta taśma policyjna łopotała wściekle przy wejściu do labiryntu. Minęło dość czasu, więc Becca uznała, że taśma po prostu została, ale już nie służy żadnemu celo-

wi. A nawet jeśli labirynt nadal miał być zamknięty, nic jej to nie obchodziło. Chciała zobaczyć miejsce, w którym odnaleziono ludzkie szczątki.

Szcątki Jessie...

Ledwie zrobiła dwa kroki w labiryncie, mokra gałąź uderzyła ją w twarz. Krzyknęła z zaskoczenia i natychmiast skrzywiła się, słysząc własny głos. Nawet przy rwanym wyciu wiatru jej zduszony krzyk wydawał się za głośny.

Jakby w odpowiedzi lunął deszcz, który szybko zamienił się w grad, walący w ziemię z gwałtownym pośpiechem. Becca, potykając się, ruszyła naprzód; nasiąknięta wodą ziemia chlupotała pod jej butami. Koniec lutego, parszywa pora. Doszła do rozwidlenia i pospiesznie skrzywiła w lewo; wiatr złośliwie rzucał jej lodem w twarz, ziemia pod stopami zabieliła się od gradu.

Trzy zakręty później zabłądziła. Zamarła, drżąca, zaskoczona pomyłką. Za szkolnych czasów trafiłaby do środka z zawiązanymi oczami. Teraz nie była pewna, w którym kierunku ma iść. Pogoda i ciemność nie pomagały, ale wierzyła, że znajdzie Madonnę.

W myślach odtworzyła drogę i zdała sobie sprawę, że mogła pomylić się przy drugim zakręcie. Przytrzymując płaszcz, żeby nie zaplątał się w chwytlive palce gałęzi i szkielety winorośli, cofnęła się do drugiego zakrętu i znowu ruszyła do wnętrza labiryntu. Grad ustał, teraz padały ciężkie krople deszczu.

Jessie była mistrzynią labiryntu. Kochała flirt i niebezpieczeństwo; czasem kiwała palcem na chłopców z ich paczki, zapraszając, żeby poszli za nią. Biegli z wywieszonymi ozorami jak psy. Ale to wszystko robiła na użytek Hudsona; chciała, żeby okazał zazdrość, ale nie działało. Hudson był zbyt wyluzowany. Tolerancyjny. Może za mało zainteresowany. Machinacje Jessie nie sprowokowały go do niczego i Becca czuła podziw. Tak łatwo było go pokochać.

Miłość, zastanawiała się teraz, odsuwając długą gałąź. Miłość piętnastolatki, która trwała latami. Można to jeszcze nazwać miłością? Może to obsesja. Albo nawyk. Albo.

Usłyszała za sobą trzask gałązki. Jak w filmach. Sygnał niebezpieczeństwa. Ale w labiryncie nie było nikogo poza nią. Mogła przysiąc.

Mogła? Mogła?!

Zamarła w pół kroku, nasłuchując. Ktoś tu był? Coś?

Po kilku minutach nasłuchiwania wiatru szumiącego w gałęziach i własnego szaleńczego bicia serca, uspokoiła się nieco i znowu ruszyła, ciągle nadstawiając uszu.

Trochę ślizgała się w mokrych butach. Wreszcie pokonała ostatni zakręt i nagle znalazła się w środku labiryntu z widmowym, bladym posągami Madonny. Ziemia była zryta. Becca zadrżała na widok wielkiej, mokrej dziury u stóp Marii. Posąg prze-

chylał się na bok, wciśnięty w ziemię, pokryty białymi granulkami gradu. Czy pochowane tu kości to naprawdę Jessie?

Spojrzała poprzez zasłonę deszczu na pozostałości grobu i zadrżała na myśl, że Jessie latami leżała w tej ciemnej dziurze. Ale czy na pewno? Czasem Becca była pewna, że odnalezione ciało należało do jej dawnej koleżanki, a czasem sądziła, że szuka po prostu logicznego wyjaśnienia tajemniczego zniknięcia.

Nic nie było pewne.

- Pomóż mi - westchnął wiatr. Zamarła.

Na pewno tylko to sobie wyobraziła...

I wtedy to poczuła. Delikatną zmianę otoczenia.

Dostała gęsiej skórki na rękach. Zamrugła, żeby pozbyć się lodowatego deszczu z oczu.

Serce jej waliło, jakby za chwilę miała zobaczyć następną wizję, ale pozostała przytomna i czujna. Zbyt czujna. Niespokojna. Jakby zaraz miała wyskoczyć ze skóry.

Padł na nią cień i wyczuła czyjaś obecność. Coś jeszcze było w labiryncie. Gardło jej się zacisnęło, obróciła się gwałtownie, szykując się na kolejny widmowy widok.

- Jessie? - szepnęła. Mokre wawrzyny zadrżały. Niecałe trzy metry od niej.

Becca otworzyła usta w bezgłośnym krzyku.

Serce waliło jej jak młotem.

Zrobiło jej się słabo i trochę niedobrze.

Spodziewała się, że zaraz Jessie zmaterializuje się przed nią.

Przygotowała się na to.

Czekała na pojawienie się ducha.

Minęła chwila, podczas której liczyła uderzenia serca.

Nic się nie stało.

Wiatr umilkł.

Deszcz rozwiął się w mgłę.

Nikogo tam nie było. Nie było Jessie... nikogo.

A jednak...

Becca niezaprzeczalnie czuła czyjaś obecność. Wyczuwała coś o wrogich zamiarach. Co czaiło się w gęstym cieniu. Coś, co chciało ją skrzywdzić.

- Kto tam? - zapytała, ale jej głos był ledwie szeptem.

Lodowata kropla deszczu spłynęła jej za kołnierz i dalej po karku. Otrząsając się jak ze snu, Becca próbowała skupić się na Jessie, ale nie potrafiła. Czuła oddech na karku. Czegoś niebezpiecznego. Czegoś groźnego.

I wtedy kątem oka zobaczyła cień. Ogromny, ciemny. Groźny. O Boże. Odwróciła się szybko i potwór się cofnął. Ale poczuła na sobie jego wzrok.

Z krzykiem uwiecznym w gardle czmychnęła z labiryntu. Pędziła na oślep, czując gałązki drapiące jej twarz. Ślizgała się na zakrętach. Biegła, jakby gonił ją sam diabeł. Jej oddech zamieniał się w obłoczek, strach ją poganiał.

Kto wszedł za nią do labiryntu?

Nie kto, tylko co? Co śledziło ją spośród przerośniętych krzewów i winorośli?

Biegła, szukając w kieszeni kluczyków. Wypadła z labiryntu na zarośnięty trawnik i zniszczony parking, gdzie stał jej mały volkswagen jetta.

Upuściła kluczyki przy drzwiach, zdarła palce o asfalt, kiedy gwałtownie po nie sięgnęła. Trzęsąc się, ociekając deszczem, zdołała otworzyć auto. Dopiero kiedy wsiadła, zamknęła zamki drżącymi palcami, wyjrzała przez częściowo zaparowane okna na labirynt i prawie poczuła się bezpieczna.

- Kim jesteś? - zapytała tańczące i wymachujące gałęzie przed sobą. - Kim, u licha, jesteś?

Włączyła przednie światła, ale niczego nie zobaczyła. Trzęsącymi się rękami skręciła kierownicą i ruszyła do wyjścia. We wstecznym lusterku zobaczyła postać wychodzącą z labiryntu.

Docisnęła gaz, mrugając. W jednej chwili postać zniknęła.

Ale ktoś tam był! Ktoś ją śledził!

Ktoś jej nienawidził.

Prawie popłakała się ze strachu, gdy wyjeżdżała długą, wyboistą drogą z kampusu. Królik pochwycony w światła samochodu przekicał szybko przez jeżyny. Becca minęła go w pędzie. Prawie nie zwalniając, włączyła się do ruchu na głównej drodze. Chciała uciec od szkoły jak najdalej.

Czasem łatwo je znaleźć. Czasem to dziecinna zabawa. Patrzę na tylne światła jej samochodu, jak znikają za zasłoną deszczu.

Rebecca, ty zepsuta dziewczyno, jakaś jesteś przewidywalna. No jasne, że musiałaś przyjść do labiryntu. Pewnie, że musiałaś pójść jej śladem.

Przestraszyłaś się, co? Dobrze wiesz, że jesteś inna. Że jesteś jedną z Nich. Czujesz to, tak jak ja wyczuwam ciebie.

Jeszcze nie zgadłaś?

Widzę, jak drżysz, jak się trzęsiesz i dygocesz. Słyszę, jak krzyczysz. Wiesz, że tu jestem? Patrzę. Czekam.

Znasz swoje przeznaczenie, ty diabli pomioście?

A teraz uciekaj... Uciekaj...

Śmiało... uciekaj tak szybko, jak zdołasz.

Patrzę, jak znikają tylne światła twojego samochodu, gdy uciekasz, i nic na to nie poradzę, że się uśmiecham wśród deszczu. Twoja ucieczka nic nie da i dobrze to wiesz.

Złapię cię.

Kiedy nadejdzie czas.

Rozdział 7



Detektywie...

Mac, który z telefonem przyciśniętym do ucha czekał, aż prokurator okręgowy odbierze, podniósł wzrok na komisarza Aubreya D'Annibala. Dawał mu znak z gabinetu, przeszklonego boksu na końcu pokoju odpraw. Mac odłożył słuchawkę i ruszył do biura komisarza bez jednego słowa, a D'Annibal zamknął za nim drzwi.

D'Annibal miał gładkie, siwe włosy, przenikliwe niebieskie oczy oraz słabość do garniturów od Armaniego, za które płacił z okazałego funduszu powierniczego bogatej żony. Był też piekielnie dobry w swojej robocie i oczekiwał doskonałej pracy od wszystkich członków zespołu. Mac patrzył, jak komisarz opiera nogę o brzeg biurka i krzyżuje ręce.

Czas na wykład. Zły znak.

- Właśnie rozmawiałem z laboratorium - powiedział z ledwie wyczuwalnym akcentem z zachodniego Teksasu. - Prześlę PDF-y z kilkoma zdjęciami kości, które tak cię interesują.

- Tak?

Nareszcie. Minął prawie tydzień, odkąd odnaleziono ciało, ale laboratorium było „przeciążone”. Żadna nowina. W tym czasie Mac zmuszał się do cierpliwości.

D'Annibal powoli pomasaował szczękę, co oznaczało, że zastanawia się, jak przekazać wieści. Mac naszykował się na najgorsze i po chwili komisarz ciągnął:

- Wiesz, nie było mnie tu, kiedy ta dziewczyna zaginęła. Nie przeprowadziłem się jeszcze z Teksasu do Oregonu. Szczebel po szczebli awansowałem, pokazywałem, ile jestem wart, trzymałem się prostej ścieżki, realizowałem cel. W tym czasie ty narobiłeś sobie tutaj masę kłopotów. Twierdziłeś, że miało miejsce morderstwo, chociaż nie znaleziono ciała. Oskarżałeś uczniów prywatnej szkoły o zamordowanie dziewcz-

czyny, a niektórzy z nich pochodzili z zamożnych i powszechnie szanowanych rodzin. Dziewczyny, która lubiła uciekać z domu. Z tego, co rozumiem, narobiłeś wokół sprawy hałasu. Zgadza się?

- Jest w tym trochę prawdy - przyznał Mac, chociaż czuł, że wszystkie mięśnie karku mu się napinają.

- Narobiłeś tu sporego smrodu. Wielu ludziom nie podobały się twoje metody. Arogancki. Uparty. Obsesyjny. Niedoinformowany. Padało mnóstwo określeń. Żadne z nich nie brzmiało jak komplement.

Mac pokiwał głową, zastanawiając się, ile to potrwa. On najlepiej pamiętał, przez 40 przeszedł. I owszem, przesadził z entuzjazmem, za bardzo wierzył w swoją rację, a miał za mało dowodów, pomyślał teraz. W szklanym boksie nagle zrobiło się bardzo duszno.

- W laboratorium ustalono wiek dziewczyny na podstawie kości?

- Daj mi chwilę - odparł D'Annibal. - Muszę najpierw wyjaśnić pewne rzeczy. I muszę usłyszeć od ciebie kilka szczegółów.

Mac zapanował nad zniecierpliwieniem, ale kosztowało go to piekielnie dużo wysiłku. Odliczył w myślach do dziesięciu i zapytał:

- Co chce pan usłyszeć?

- Że nie wyskoczysz z niczym przedwcześnie. Że nie będziesz się zachowywał, jakbyś chciał obić pistoletem niewinnych ludzi. Chcę usłyszeć, że poprowadzisz porządne śledztwo.

- Nigdy w życiu nikomu nie przyłożyłem pistoletem, komisarzu. - Mac z trudem nad sobą panował.

- Ale oskarżeniami owszem.

- Niech to szlag, co mam powiedzieć?

- Że jeśli przekażę ci śledztwo, to zajmiesz się nim i wszystkimi, których będziesz przesłuchiwał, z szacunkiem. Nie chcę, żeby jakiś oburzony kuta-sina marudził mi na temat brutalności policji. A ja wiem - uniósł dłoń, żeby uciąć protesty Maca - że nie stosujesz siły. Ale potrafisz być upierdliwy, a ja nie chcę żadnych upierdliwych zagrań.

Tętno Maca zaczynało zwalniać; z roztargnieniem zdał sobie sprawę, że po drugiej stronie zamkniętych drzwi dzwoni telefon.

- Przekazuje mi pan śledztwo?

Komisarz zawahał się, a Mac czekał. Nie mógł w to uwierzyć. Po prostu nie mógł. Po tych wszystkich spojrzaniach z ukosa i śmiechach, sprawa do niego wracała. Może oni nie wierzyli, że to szczątki Jessie, ale on to czuł w kościach.

- Jest twoja, jeśli tego chcesz. - Komisarz nie czekał na reakcję. - Myślę, że obaj znamy odpowiedź.

Jezu! Nareszcie.

- To wszystko? - zapytał Mac, nie mogąc się doczekać, kiedy weźmie się do roboty. Od razu chciał podjąć poszukiwania w miejscu, w którym musiał wiele lat temu je przerwać.

- Nie całkiem. Nie bez powodu przypominałem ci o tym wszystkim. Pojawiły się pewne... opory w związku z dopuszczeniem cię z powrotem do sprawy i specjalnie wstrzymywano informacje, dopóki nie podjęto decyzji.

D'Annibal na pewno nie chodził wokół sprawy na paluszkach, ale Mac domyślał się, jakiego rodzaju spotkania odbyły się za zamkniętymi drzwiami, nim zdecydowano, żeby przekazać mu sprawę. Postanowił dowiedzieć się nieco więcej.

- Ile lat miała denatka w chwili śmierci? Wiemy już?

- Około szesnastu.

- Więc to są szczątki Jezebel Brentwood - stwierdził Mac. Albo niech zjem kangura.

- Brak dowodów, które by to potwierdzały.

Jednak komisarz nie powiedział tego tak, jakby się nie zgadzał. Po raz pierwszy przyznał, że Mac może mieć rację. Odkąd zjawił się w policji Laurel-ton, starał się, jak wszyscy inni w wydziale, trzymać nadzieje Maca na wodzy, poza tym podtrzymywał mit, że szesnastoletnia Jezebel Brentwood zwyczajnie uciekła z domu, Ale te szczątki pokazały inną, bardziej oczywistą odpowiedź, tę samą, którą Mac powtarzał od lat: Jessie Brentwood została zabita.

- Jak długo te kości leżały w ziemi? - zapytał Mac.

- Ponad dziesięć lat, prawdopodobnie bliżej dwudziestu.

- Więc to są kości Jessie, dopóki nie usłyszę czegoś innego - odparł beznamyślnie.

- Musisz to tylko udowodnić.

- Bułka z masłem.

Spodziewał się kolejnego kazania na temat opierania się na założeniach zamiast na faktach, ale komisarz zaskoczył go, powstrzymując się od udzielania rad. Najwidoczniej jednak miał coś jeszcze do powiedzenia, bo pocieranie brody przeszło w żywiołowe polerowanie.

- Jest coś jeszcze...

Jeszcze więcej pocierania. Mac zastanawiał się, czy facet nie zedrze sobie zaraz skóry. Czekał, obserwując D'Annibala, który zastanawiał się, rozważał za i przeciw

przed przekazaniem jeszcze jednej informacji. To musiało być coś sporego, pomyślał Mac, a komisarz wziął głęboki oddech i powiedział:

- Nikt nie chciał ci tego powiedzieć, ponieważ byłeś przekonany, że to twoja stara sprawa, więc trzymaliśmy to w tajemnicy, dopóki nie zorientujemy się, czy kości rzeczywiście należą do zaginionej Brentwood. Nadal nie wiemy, ale zważywszy na czas i lokalizację... cóż...

- Myśli pan, że moja obsesja może mieć pewne podstawy - przycisnął go Mac. Dość tego odpuszczania. - Więc co macie?

- Przy pierwszym szkielecie znaleziono drugi, mniejszy.

- Mniejszy... - Mac spoważniał. - Dziecko? Komisarz skinął głową.

- Była w ciąży, kiedy ją zabito. Jeśli to ta twoja dziewczyna, Jessie, to pewnie wiedziała. Laboratorium twierdzi, że była w czwartym miesiącu.

Becca nie spała od prawie tygodnia.

Ciągle śnili jej się Jessie, Hudson i jakiś ciemny kształt unoszący się nad nimi.

- Wariuję - wyznała pewnego popołudnia psu..- To się właśnie ze mną dzieje, wiesz? Wariuję.

Było już po piątej, zanim skończyła pracę nad nowymi kontraktami dla firmy prawniczej, robiąc poprawki we wskazanych miejscach i odsyłając je e-mailem do administratora w Bennett, Bretherton i Pfeiffer. Sprawdziła po raz ostatni e-mail i wyjrzała przez okno - kilka ukośnych promieni słońca przebiło się przez chmury.

- Dobry znak - zwróciła się do Ringa i poszła do kuchni sprawdzić jego miskę z wodą.

Wybrała na komórce numer do Renee i posłuchała serii dzwonek, aż głos Renee powiedział, żeby zostawić wiadomość, a ona oddzwoni.

- Renee, cześć, tu Becca. Mówiłaś, że zadzwonisz, jak wrócisz z weekendu na wybrzeżu. Ponieważ się nie odezwałaś, pomyślałam, że może ja zadzwonię. W każdym razie odezwij się, jak będziesz mogła. Trzymaj się.

Wyłączyła się i rzuciła telefon na stolik.

- Idiotyczna wiadomość - powiedziała do Ringa. - Wyszło to tak, jakbym desperacko chciała się zaprzyjaźnić. A teraz tłumaczę się tobie. Naprawdę potrzebuję prawdziwego życia.

Tak naprawdę to wcale nie zależało jej na kontakcie z Renee, siostrą Hudsona, ale nie podobało jej się to poczucie zawieszenia.

Przypięła smycz do obroży Ringa i wzięła psa na spacer. Wiatr i deszcz właśnie ustały i chodnik był suchy. Poszli do parku kilka przecznic dalej.

Dęby i klony nadal nie miały liści i tylko paru przechodniów szło betonowymi ścieżkami biegnącymi przez gęstą trawę i krzewy. Minał ją rower; rowerzysta trzymał kubek kawy ze Starbucksa, kable biegły od jego uszu do schowanego w kieszeni iPod-a. Ringo załatwił swoje sprawy, zaplatał się smyczami z dwoma mopsami, które wywiodła nastolatka, a potem naszczeakał na wiewiórkę, która miała czelność przebiec mu przed nosem.

Ale nie spotkali żadnej czarnej postaci w trenczu, nikt się nie czał, nie pojawiło się żadne niejasne zło.

Zanim Becca otworzyła drzwi do mieszkania i weszła do środka, zrobiło się ciemno i znowu straszło deszczem. Ringo tańczył jak opętany, do-praszając się jedzenia, a Becca sprawdziła wszystkie drzwi, okna i zamki, nim odmierzyła pół kubeczka psiej karmy. Potem raz jeszcze sprawdziła frontowe drzwi i przesuwane, prowadzące na małe patio. Nie tylko zachowuję się jak desperatka, ale teraz też jak chora na zaburzenie obsesyjno--kompulsywne, pomyślała. Od chwili odnalezienia kości, spotkania ze starą paczką i Hudsonem i przerażającego przeżycia przy szkole, czuła się uwięziona w pętli czasowej - wciąż wracała do szkolnych lat i tego, co stało się z Jessie Brentwood.

Leżąca na stole komórka zadzwoniła i zaczęła się przesuwać po twardej powierzchni. Becca podniosła aparat i zobaczyła numer Renee.

- Słucham?

- O, cześć, Becca. Odebrałam twoją wiadomość. Byłam strasznie zajęta od powrotu z plaży. Kupa roboty i... cóż, sporo osobistych spraw do załatwienia. Przepraszam, że się nie odezwałam.

- Nie ma sprawy. Po prostu miałam wrażenie, że jest coś, o czym chcesz ze mną porozmawiać.

- Aha... - zawahała się i Becca wyczuła, że Renee poważnie się zastanawia.

Becca przygotowała się na to, że zaraz usłyszy coś o Hudsonie. Kiedy jednak cisza się przedłużała i stawała już niezręczna, sama się odezwała:

- Pojechałam do Świętej Elżbiety, do labiryntu.

- Serio? - Renee osłupiała. - Dlaczego?

- Dobre pytanie. Sama nie bardzo potrafię to wytłumaczyć. Więc po co próbować? I to jeszcze Renee?

- Więc... nadal był ogrodzony taśmą?

Becca skinęła głową i włączyła kominek. W ciągu kilku sekund płomienie zaczęły lizać ceramiczne pniaki.

- Aha, obeszłam ją. Nikogo nie było ani w labiryncie, ani w pobliżu starej szkoły. Wokół prawie ciemno. Właściwie to zrobiło się całkiem ciemno, kiedy dojechałam na miejsce.

- Chciałaś zobaczyć... grób?

- Chyba chciałam wszystko sama sprawdzić, zobaczyć na własne oczy... może nawet chciałam, sama nie wiem, skontaktować się z Jessie.

Kiedy tylko to powiedziała, pożałowała swoich słów.

- I udało ci się? Skontaktować się z nią? - W głosie Renee było mniej sarkazmu, niż można się było spodziewać.

Becca pomyślała o wrogiej obecności w labiryncie. To wydarzyło się naprawdę? Czy to tylko echo jej wizji?

- Nie wiem.

- Chcesz się spotkać przy kawie? - zapytała nagle Renee. - Albo kieliszku wina? Naprawdę chciałabym porozmawiać z tobą osobiście, a dziś wieczorem znowu jadę na wybrzeże.

Becca przez chwilę myślała.

- Mogę się spotkać.

- Powiedzmy za godzinę? W Java Man?

- Będę.

Java Man to kawiarnia-winiarnia niedaleko Blue Note. Becca przebrała się w dzinsy, włożyła buty i solidną kurtkę z kapturem. Pół godziny później jechała już na miejsce spotkania. Była przed Renee bity kwadrans. Po drodze cały czas zerkała we wsteczne lustro. Na wszelki wypadek.

Na wypadek czego? Demonicznego drapieżcy, który cię śledzi? Jakiegoś złego człowieka albo bestii, obecności, którą wyczułaś w labiryncie? Oprzytomniej, Rebecca. Weź się w garść. Tylko dlatego, że miała tę cholerną wizję...

- Przestań - ostrzegła siebie na głos.

Nie mogła się posypać, nie teraz. Nie przed spotkaniem z siostrą Hudsona, kobietą, której chyba nawet nie lubiła. Włączyła radio i zaczęła słuchać piosenek z lat osiemdziesiątych - co okazało się kiepskim pomysłem. Szkoła średnia. Jessie. Hudson. Stare emocje powróciły gwałtowną falą. Ze złością przełączyła stację na dyskusję o środowisku.

Bezpieczny temat.

Becca zamówiła kieliszek merlota i mały talerz serów, owoców i krakersów. Usiadła przy stoliku z widokiem na ręcznie malowane naczynia, świece i różne ozdóbki. Nie należała do osób, które kolekcjonują rzeczy. Jej mieszkanie było zadziwiająco puste, zwłaszcza że nawet nie zdając sobie z tego sprawy, systematycznie

usuwała wszystkie ślady po Benie. Nadal zostało jeszcze kilka drobiazgów: zdjęcie, które jej zrobił w czasie wypadu weekendowego, haftowany podnózek jego babci, który zapomniał ze sobą zabrać, szara kurtka, wisząca w pralni; czasem zarzucała ją na siebie przy wyjątkowo paskudnej pogodzie.

Rozejrzała się i zobaczyła kelnerkę wycierającą bar. Kilka par siedziało przy kawie, trzy kobiety około trzydziestki skupiły się przy małym stoliku i popijały wino; jazz sączył się z głośników nad stojakiem z winami, kieliszki pobrzękiwały.

Renee wpadła do środka z parasolką, którą wiatr próbował jej wyrwać. Zdecydowanym ruchem złożyła ją i rozejrzała się, przeczesując dłonią potargane włosy. Kiedy zobaczyła Beccę, uniosła brodę na powitanie, podeszła do baru i zamówiła filiżankę kawy bez mleka.

- Wracasz na wybrzeże, he? - powitała ją Becca, kiedy Renee przyniosła filiżankę do stolika.

Renee rzuciła jej spojrzenie, łapiąc za krzesło.

- Powtarzamy z Timem, że chcemy to wszystko jakoś pozlepić, ale sama nie wiem. Niemal każdy weekend spędzam w domku na plaży, starając się wszystko poukładać. Pracuję nie tylko nad historią Jessie. Zaczęłam pisać tekst o małym miasteczku, wiesz, o największym świerku sitkajskim na świecie? O tym przed Seaside, który niedawno połamał się w czasie burzy?

Becca skinęła głową. Upiła łyk wina i powiedziała:

- Pamiętam, że widziałam coś w wiadomościach.

- Ludzie przysyłali mi zdjęcia z życia swojego, rodziców, dziadków... wszystko, co działo się wokół tego drzewa. Naprawdę świetne fotografie. W każdym razie to tekst do lokalnej gazety, ale mogłby też trafić do ogólnokrajowej gazety. - Powoli obróciła filiżankę z kawą, popychając uszko jednym palcem.

Becca wyczuła, że Renee papie, żeby zebrać się na odwagę i porozmawiać o tym, po co naprawdę się spotkały, więc czekała. W końcu Renee rozluźniła się i rzuciła:

- Cała ta okolica tchnie atmosferą małego miasteczka, coś cudownego. Siedzenie teraz w domu z Timem to piekło, więc staram się tam bywać jak najrzadziej. Szkoda, że się nie wyprowadził.

Potarła skronie palcami, jakby już mówienie o mężu przyprawiało ją o ból głowy.

- Nie dlatego chciałaś ze mną rozmawiać - rzuciła Becca w ciszy, która nagle zapadła. Podsunęła talerz z serem i owocami. — Poczęstuj się.

Renee machnęła ręką.

- Ostatnio dokucza mi żołądek. Wiem, wiem, kawa też nie pomaga, ale nie chcę zasnąć. Mam kłopoty ze spaniem. Wszystko przez tę sprawę z Timem. Muszę być

przytomna, jadąc na wybrzeże. Na przełęczy leżał śnieg, a ja nie mam łańcuchów.
Koniec kropka.

- Uhm.

Renee nabrała powietrza, wstrzymała je przez chwilę, a potem powoli wypuściła.

- Wiesz... to... dość zaskakujące... na co się można napatoczyć. Jakby przeznaczenie się wtrącało. Nie chcę mówić jak Tamara - dodała szybko. - Po prostu najpierw pracowałam nad historią Jessie, a potem pojawił się ten szkielet w labiryncie. - Zawałała się. - Miło byłoby mieć wtyczkę w wydziale policji i zwęszyć co nieco, nie?

Becca skinęła głową.

Renee się skrzywiła.

- Czasem... To zabrzmiało dziwnie, bo naprawdę chcę napisać tę historię, ale czasem zastanawiam się, czy powinnam otwierać tę puszkę Pandory. Może lepiej zostawić złe rzeczy w spokoju. Skupić się na nostalgicznych wspomnieniach o świerku i nie grzebać w grobach.

- To ty zwołałaś spotkanie w Blue Note - przypomniała jej zaskoczona Becca.

- Wiem. Nie poddaję się. - Przeczesała dłońmi krótkie włosy. - Sama nie wiem, czemu się waham w tej sprawie. - Zmieniła zdanie i wzięła mały kawałek sera edamskiego. - Chyba spróbuję. - Odgryzła kęs. - Więc opowiedz mi coś więcej o swojej wyprawie do labiryntu.

Jak się powiedziało a, trzeba powiedzieć b.

Becca posłusznie opowiedziała o wycieczce do Świętej Elżbiety, łącznie z chwilą, kiedy czuła, że coś tam jest, coś nawet jeśli nie złego, to z pewnością nie dobrego. Renee słuchała uważnie, a Becca skończyła słowami:

- Nie chcę wyjść na wariatkę ani nic w tym stylu. Padał deszcz, grad, wiało i pewnie byłam bardziej przeczulona niż zwykle. Ale to coś więcej. Naprawdę miałam wrażenie, że nie jestem sama.

- Myślałaś, że Jessie tam jest?

Becca rzuciła jej spojrzenie, próbując zorientować się, czy Renee ją podpuszcza, ale wyglądała absolutnie poważnie, kiedy podmuchała na kawę, a potem wypła łyk.

- Nie. Nie Jessie.

- Więc kto?

- Pewnie nikt. W każdym razie nikogo nie widziałam. To było tylko wrażenie, może jestem przeczulona. Ta atmosfera: ciemność, labirynt, Madonna. Przestraszyłam się.

- Nie musisz się tłumaczyć - powiedziała Renee. - Wierzę ci. Sama doświadczyłam kilku rzeczy, których... nie da się wyjaśnić.

Zerknęła w bok, sprawdzając, czy trzy kobiety przy drugim kieliszku wina nie podsłuchują. Za bardzo się zagadały, żeby choć zerknąć w stronę Renee i Becki.

- Na przykład? - dopytywała Becca. Renee się zawahała.

- Wiem, że nigdy nie byliśmy najbliższymi przyjaciółkami. Może to bardziej moja wina niż twoja, ale... teraz to wszystko powinno już przejść do przeszłości. - Zmrużyła oczy, jakby znowu chciała coś powiedzieć, ale odpuściła. W końcu dodała: - Czasem czuję, że coś mi grozi. Jakby ktoś próbował mnie dopaść. Ale z drugiej strony, napisałam parę artykułów, które naprawdę wkurzyły kilka osób, więc może to one!

Zaśmiała się i Becca po raz pierwszy zauważyła podobieństwo Renee do Hudsona.

- Myślisz jak Tamara, że Jessie żyje?

- Nie. To na pewno są kości Jessie - odparła z przekonaniem Renee, natychmiast poważniejąc. Dojadła ser. - Jestem pewna, że nie żyje. Od dawna.

- Zerknęła na Beccę. - Ktoś mi to powiedział.

- Kto?

- Zwariowana staruszka, która wierzy, że potrafi odczytywać przyszłość.

- Uśmiechnęła się blado.

- Och. - Becca patrzyła, jak Renee znowu powoli obraca filiżankę. - Myślisz, że to mógł być po prostu wypadek?

Jakby nagle przypomniała sobie, do czego służy filiżanka, Renee podniosła ją do ust i napiła się kawy.

- Może Evangeline miała rację. Może Jessie planowała ucieczkę. Powiedziała, że grozi jej coś złego. Kłopoty. Tym razem nie wygłupiała się, jak to czasem miała w zwyczaju. Właściwie jak to zwykle miała w zwyczaju. Tym razem nie żartowała. Mówiła serio. Powiedziała: „Kłopoty mnie odnajdą”.

- Powiedziała ci tak?

Renee skinęła głową i Becca zdała sobie sprawę, że Renee opowiada o jednej z ostatnich, jeśli nie ostatnią rozmowę z Jessie.

- Powiedziałaś to temu gliniarzowi?

- McNally'emu? Żartujesz? Nie zamierzałam mu nic mówić. - Renee pokręciła głową na to wspomnienie. - Byłam zbyt przerażona. Twierdziłam, że pewnie uciekła, ponieważ naprawdę tak myślałam. Nie zamierzałam mówić mu o naszej ostatniej rozmowie. Wtedy uważałam, że to nasz sekret. Miałam szesnaście lat - przypomniawszy Beccę z odrobiną ironii. - Jessie była moją przyjaciółką, a ja chyba chciałam ją chronić. Jej rodzice byli dziwni. Pamiętasz?

Becca pokręciła głową.

- My byliśmy tylko znajomymi. Renee uniosła brew.

- Najbardziej przyjaźniłaś się z Tamarą, prawda? Byłaś od nas rok niżej...? - zawiesiła pytająco głos, ponieważ w Świętej Elżbiecie, jak w każdej innej szkole średniej, uczniowie trzymali się swoich klas, jakby między rocznikami istniały niewidzialne mury.

- Miałyśmy z Tamarą wspólne zajęcia - wyjaśniła Becca. - Pracowałyśmy razem przy kilku szkolnych pracach i tak się zaczęła nasza przyjaźń.

To właściwie było kłamstwo, ale Becca nie potrafiła się przyznać, że ciężko walczyła o tę przyjaźń. Wszystko po to, żeby stać częścią ich grupy i dotrzeć do Hudsona. Teraz to wydawało się tak dziecinne i absolutnie żenujące! Wciąż rumieniła się ze wstydu. Napila się wody, mając nadzieję ukryć zażenowanie.

- Mój brat podobał ci już wtedy?

Becca otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale rozmyśliła się i rzuciła tylko Renee spojrzenie z ukosa. Na twarzy siostry Hudsona widziała czyste zaciekawienie, więc skinęła głową

- Aha, szkolne zauroczenie. Wzięła cząstkę pomarańczy.

- Tak myślałam. Jessie też była o tym przekonana i sądziła, że Hudson odwzajemnia te uczucia. Może tak było.

- Nic się między nami nie wydarzyło.

- Dopiero po szkole - przytaknęła Renee. - A teraz?

- Co?

- Nadal jesteś zainteresowana?

- Hudsonem?

- Och, daj spokój, nie udawaj głupiej.

- Nie bardzo teraz myślę o angażowaniu się w związek - odpowiedziała ostrożnie. - Moje ostatnie doświadczenia z mężczyznami były... dalekie od ideału.

- To żadna odpowiedź - zauważyła Renee, a potem machnęła ręką, jakby odpuszczała temat. - Mówię tylko, że Jessie chyba uważała, że między tobą a Hudsonem coś się działo już wtedy. Myślę, że pewnie próbowała mu odplącić. Z pewnością starała się wzbudzić w Hudsonie zazdrość, ale on nie dał się złapać na takie zagrania.

- Zdecydowanie nic między nami nie było. Hudson nawet na mnie nie spojrzał.

Renee uniosła z niedowierzaniem brew, ale nie drażyła tematu.

- Wiesz, rodzice Jessie byli naprawdę... naprawdę się martwili... to znaczy przed jej zniknięciem. Byłam u nich w domu na kolacji tydzień wcześniej, Jessie już wtedy dziwnie się zachowywała. Mam na myśli dziwniej niż zwykle. Musiała już wiedzieć, że będzie uciekać, i chyba martwiła się tym, jak bardzo zrani rodziców. Ale nic na to nie mogła poradzić. Jeśli ja teraz czuję, że coś mi zagraża, to z pewnością ona wtedy

tym bardziej. Jakby coś deptało jej po piętach, a ona starała się zawsze być o jeden krok z przodu.

Becca pomyślała o wrazeniu, że ktoś ją ściga w labiryncie, i wizji z Jessie na urwisku, kiedy próbowała ją ostrzec... przed czym?

- Masz pojęcie, co jej groziło?

- Bóg jeden wie. Jessie z pewnością nie wiedziała. Jej rodzice też nie. Prawie wyszli z siebie po jej zniknięciu, zupełnie jakby przeczuwali, że tym razem jest inaczej. Jakby się bali. Widziałam ich, kiedy Mac, ten detektyw, rozmawiał z nimi i nie tylko się zamartwiali, ale byli śmiertelnie przerażeni. - Pokręciła głową. - A jedyną rzeczą którą Jessie mi powiedziała przed zniknięciem, kiedy zachowywała się tak dziwnie, było to, że chodzi o sprawiedliwość. Wiesz, jakby o odpłatę albo coś takiego? Żałuję, że jej o to nie wypytałam, ale co ja wtedy wiedziałam? Cały czas powtarzała, że musi uciekać, a ja myślałam, że to jej gierki. Jak wcześniej, kiedy chciała zwrócić na siebie uwagę. Oto jej zawsze chodziło, żeby być w centrum wszechświata. Bardziej niż inne nastolatki. W każdym razie do tego wniosku doszłam po latach rozmyślań.

- Myślisz, że to, czego się obawiała, dopadło ją, zanim zdążyła uciec? Renee zaśmiała się bez przekonania.

- Naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówię. Ale rzeczywiście wierzę, że to szczątki Jessie. To po prostu ma sens, nie?

- Pewnie niedługo się dowiemy.

- Tak? Będą mieli DNA z kości, ale czy mogą porównać je z DNA Jessie?

- To albo porównają zęby. Muszą mieć takie dane, nie? - zapytała Becca. Renee wzruszyła ramionami.

- A jak policja się dowie, to nam powie? Czy znowu staniemy się podejrzanymi? Nie chciałabym przytakiwać Trzeciemu, ale jeśli sprawa zostanie ponownie otwarta, to wezmą nas pod lupę, zwłaszcza Hudsona.

Becce nie podobała się ta myśl.

Renee dopiła kawę i przyjrzała się badawczo Becce, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Co? - zapytała Becca.

- Przypominam sobie ostatnio mnóstwo drobiazgów. Początkowo zmuszałam się ze względu na historię, a teraz, sama nie wiem... - Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. - Naprawdę chcę to napisać, ale... przekazano mi ostrzeżenia.

- Ostrzeżenia?

- Od tej starszej kobiety, o której już wspomniałam.

- Tej od tarota?

- Tak jakby. - Chciała coś dodać, ale się zawahała. - To nie była przyjaciółka Tamary.

- Rozumiem.

- Pojechałam na wybrzeże i pytałam o Jessie w okolicach Deception Bay. Znasz to miejsce? - Becca pokręciła głową. - No wiesz, „zatoka kłamstw”, to małe miasteczko. Przytulne. Wydaje się takie... rozleniwione.

- Dlaczego tam pojechałaś?

- Brentwoodowie mają tam dom. Pomyślałam, że może stamtąd pochodzi Jessie. Tak naprawdę. Byłam w okolicy, więc zaczęłam pytać i nawiązałam kontakt z tą nawiedzoną kobietą. Ale kiedy ją poznałam, sprawiła, że poczułam się, jakbym rozgniewała bogów albo coś w tym stylu. To spotkanie było błędem. Po prostu zagrała na moich lękach; lękach, o których istnieniu nawet nie wiedziałam.

Becca pokiwała głową, czekając, aż powie coś więcej, ale Renee jakby nie bardzo wiedziała, co mówić dalej. W końcu dodała:

- Wiem, że nie byliście z Jessie najbliższymi przyjaciółkami. Może z powodu Hudsona, może z innego, ale jak dobrze ją pamiętasz? Mam na myśli naprawdę.

Widziałam ją w wizji.

- Miała włosy blond, długie, była ładna. - Becca dopiła wino. - Pamiętam, że spotykała się z Hudsonem i że trudno było ją rozgryźć.

- Jak ciebie.

- Nie całkiem - szybko zaprzeczyła Becca.

- Może nie do końca, ale w pewnym sensie tak, nie uważasz? Skąd to się bierze?

- Jessie była zamknięta w sobie i tajemnicza. Mam nadzieję, że nie jestem taka.

Myślisz, że jestem?

- Nie... Właściwie sama nie umiem tego wytłumaczyć. - Wzruszyła ramionami. - Jessie zawsze potrafiła rzucić jakąś dowcipną uwagę. Komentarz. Nie sposób było się do niej zbliżyć. Pewnie, miała mnóstwo sekretów, ale z drugiej strony lubiła walić prosto z mostu. I Vangie nie myliła się, mówiąc, że Jessie wiedziała pewne rzeczy. Miała dar jasnowidzenia. Przeczucia, które się sprawdzały. Wiele razy.

- Jak to, że coś jej grozi?

- Może... a ty miałaś wizje, prawda? - przypomniała jej Renee i Becca zrobiło się gorąco.

- Miałam nadzieję, że ludzie o tym zapomnieli.

- Teraz może i tak. Ale wtedy tego typu rzeczy roznosiły się po szkole lotem błyskawicy. Ta plotka żyła własnym życiem. Nigdy się nie dowiedziałam, ile z tego było prawdą a ile fikcją.

- Miewałam je kiedyś - powoli odpowiedziała Becca. Wizja z Jessie niemal pło-
nęła jej pod powiekami, ale nie potrafiła o niej rozprawić. Nie teraz. Jeszcze nie. Nie,
dopóki nie zrozumie, o co chodzi Renee.

- Już nie masz?

- Nie.

Renee pochyliła głowę.

- No dobra... Mówię jak wariatka, nie? Słyszę, jak opowiadam, że jakieś zło chce
mnie dorwać, i nie wierzę własnym uszom. Zapomnij. To przez te kości Jessie. Za-
czynam bać się własnego cienia i dostrzegam znaczenie tam, gdzie go nie ma. Idio-
tyzm. Pieprzyć to. Muszę się napić wina. - Wstała. Wyglądała na zde gustowaną samą
sobą. Podeszła do baru i zapłaciła za kieliszek chardonnay. Przy stoliku, upiwszy łyk,
powiedziała: - To rozumiem.

- Co to za „dziwne” rzeczy, o których chciałaś porozmawiać?

- A, tak. - Wypiła pół kieliszka i pokręciła głową. - Nie masz pojęcia, jak to
wszystko... cokolwiek to jest... jak się na mnie odbija. Boję się własnego cienia,
wszystko analizuję. Zerkam za siebie, jakby ktoś mnie śledził.

- Tak właśnie się czułam w labiryncie.

- W porządku. - Urwała. - Może nam obu udzieliła się atmosfera. Becca zastano-
wiła się nad tym i już miała przyznać się, że miała wizję
z Jessie tego dnia, kiedy dowiedziała się o strasznym znalezisku u Świętej Elż-
biety, ale nie zdażyła. Renee dopiła wino, zerknęła na zegarek i się skrzywiła.

- O Boże, jeśli nie wyjdę od razu, będzie prawie dziesiąta, zanim tam dojadę. -
Złapała torebkę i się zerwała. - Bądźmy w kontakcie - rzuciła pogodnie, ale w jej po-
śpiechu było coś, co sprawiło, że Becca nie uwierzyła, by Renee rzeczywiście zamie-
rzała dotrzymać słowa.

Co, u diabła, jest z tą Rebeccą Ryan Sutcliff? Renee zadawała sobie to pytanie,
dociskając pedał gazu w toyocie camry i przejeżdżając na żółtym świetle, które wła-
śnie zmieniło się w czerwone. Jechała na zachód; dołączyła do ruchu na Sunset High-
way, fragmentu autostrady numer 26.

Uciekasz, upierał się jej umysł, przekrzykując ból głowy, łomoczący u podstaw
czaszki.

- Nie - odpowiedziała na głos, włączając migacz i mijając wieśniaka w starej cię-
żarówce, która nie chciała przekroczyć sześćdziesiątki; ciężarówka miała niewiele
mniej lat od pikapa, którym jeździł kiedyś jej ojciec.

Od niczego nie uciekała, uciekała do tego, co było obietnicą nowego życia; życia bez męża i „Valley Star”.

Nędzny szmatławiec. Właściwie pasował do nędznego męża i nędznego życia. Ale to nie wystarczy. Żadna z tych rzeczy. Nie teraz, nie, kiedy wiedziała, że wreszcie wielka nagroda znalazła się w zasięgu jej ręki.

Zawsze szukała historii, tej właściwej historii, która umożliwi jej prawdziwy start, i dzięki Jessie Brentwood Renee wreszcie miała szansę. Nikt jej nie powstrzyma. Żaden marudny mąż, który stracił większość jej spadku na giełdzie, żaden wydawca, który nie dostrzegał jej talentu.

Nie pozwoli też, żeby powstrzymały ją jakieś dziwaczne przepowiednie i uczucie zagrożenia. Co sobie myślała przed Blue Note, kiedy zapytała Beccę, czy mogłyby się spotkać i pogadać? Czego się spodziewała po byłej dziewczynie Hudsona? To, że przypominała jej Jessie - pewnie z powodu Hudsona - nie znaczyło, że zna odpowiedź. Gorzej, wydawało się, że Becca ma własne problemy związane ze zniknięciem Jessie.

Zwolniła do setki z powodu mżawki i ponieważ naprawdę nie stać jej było na kolejny mandat za przekroczenie prędkości. W tym problem, pomyślała Renee, reszta świata wlekła się dziewięćdziesiątką podczas gdy ona przyspieszyła do stu pięćdziesięciu. Czasem miała wrażenie, że ciągnie wszystkich przez życie i że świat ciąży jej jak bezwładna masa.

Rozpadało się na dobre, więc zwiększyła tempo pracy wycieraczek. Zgarniały z zapałem krople, a ona zastanawiała się nad Beccą. Wyglądało na to, że Hudsona znowu wzięło. Na pewno. Renee zauważyła to tamtego wieczoru w Blue Note. Nie zdziwiłaby się, gdyby znowu zaczęli się spotykać, chociaż Renee tego nie rozumiała.

Becca była dość ładna. Jasnobrązowe włosy z bladymi pasemkami, wielkie, piwne oczy, wpadające trochę w zieleń, trochę w szarość i uśmiech odsłaniający zęby, które nie były idealnie proste, ale może trochę seksowne. Miała wyraziste kości policzkowe, wysokie łuki brwi i długą szyję jak Audrey Hepburn. Zdecydowanie była w jego typie. Zawsze miał słabość do jasnowłosych tajemniczych dziewczyn.

Poważna wada, zdaniem Renee. Ale z drugiej strony, jej brat miał ich wiele.

Wskazówka prędkościomierza dotarła do stu dwudziestu pięciu; opony zaczęły się ślizgać na mokrym asfalcie, więc w końcu zwolniła. Nie mogła się doczekać, kiedy dojedzie na to cholerne wybrzeże. Zerkała we wsteczne lusterko, bojąc się, że mogła śmignąć obok gliniarzy, i oczywiście, zobaczyła jadący za sobą samochód z jasnymi światłami przednimi.

Cudownie.

Zwolniła, nie dociskając hamulca, ale zdejmując nogę z gazu, aż znowu jechała przepisowe osiemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Samochód za nią też zwolnił. Pewnie spisywali tablice rejestracyjne.

Toyota należała do Tima. Renee zebrała się w sobie, przygotowała uśmiech, gotowa do numeru w stylu „ojej, co ja zrobię, panie policjancie” i opracowała sobie wy-mówkę, ale żadne czerwone i niebieskie światła nie rozświetliły nocy, żadna syrena nie zaryczała, żeby zjechała na bok. A samochód nadal siedział jej na ogonie. Może nie zmierzili prędkości i tylko czekali, aż znowu przyspieszy.

Pieprzyć to!

Zjechała na prawy pas, a tamten gość oczywiście zjechał za nią, wciskając się za mniejsze auto. Więc to nie gliniarz.

A przynajmniej nie gliniarz, który byłby nią zainteresowany. Zero świateł. Zero syreny.

Może to tylko jej wyobraźnia, może przeczulenie. Włączyła starą płytę Springsteena i patrzyła, jak mniejsze auto zjeżdża z autostrady przy Hillsboro. Kolejnych kilka kilometrów, wyjechali za North Plains i Laurelton, a samochód nadal był za nią. Przyspieszyła, on też, zwolniła, on też.

Dostała gęziej skórki na rękach, ale powiedziała sobie, że zachowuje się jak paranoiczka. Nikt jej nie śledził. Nikt nie wiedział, co planuje. Nie mógł wiedzieć. Nie powiedziała ani jednej osobie.

A jednak była niemal pewna, że ktoś za nią jedzie. Zerknęła do torebki. Wyjęła komórkę. Jeśli ma do kogoś zadzwonić, to teraz, bo potem straci zasięg - zanikał na kilku odcinkach wzdłuż autostrady.

Do kogo chcesz zadzwonić? I co powiesz? Że podejrzewasz, że ktoś cię śledzi? Dlaczego? Bo grzebiesz w tajemnicy Jezebel Brentwood?

Parsknęła zde gustowana i wrzuciła komórkę z powrotem do torebki.

Głowa coraz bardziej jej dokuczała. Coraz bliższy rozwód też ją męczył. Denerwowały ją rozmowy o Jessie. I ta dziwna przepowiednia staruszki z De-ception Bay - to ją naprawdę dręczyło. Myśl, że ktoś ją skrzywdzi, cały czas nie dawała jej spokoju.

Bzdura, powiedziała do siebie, podczas gdy muzyka grała, a wycieraczki pracowały. Chrzanienie. Nic więcej.

Ale wiedziała swoje.

Zagryzła usta i z trudem przełknęła ślinę.

Odplata?

Sprawiedliwość?

Za co?

Co ja takiego zrobiłam?

- Najświętsza Panienko, ratuj. - Renee się przeżegnała. Nie modliła się od czasu ostatniej klasy u Świętej Elżbiety, ale ulga, jaką kiedyś dawało jej wypowiedzenie szybkiej modlitwy, teraz się nie pojawiła. Przypomniała jej jedynie o kościach, które znaleziono u stóp posągu Madonny.

Znowu zerknęła w lusterko. Światła jadącego za nią samochodu wydały się jeszcze jaśniejsze niż wcześniej, bardziej intensywne.

- To nic takiego - mruknęła pod nosem, kiedy kolejna niezrozumiała piosenka Springsteena popłynęła z głośników. Ledwie zauważyła muzykę. Patrzyła na przemian na zalaną deszczem przednią szybę i we wsteczne lusterko; rozbłyskujące światła wypalały jej mózg. - Łajdak - stwierdziła.

Ktokolwiek to był, zgubi go w górach. Nie chciała, żeby ktoś wiedział, dokąd jedzie, że jeszcze raz zebrała się na odwagę, by odwiedzić tę starą wiedźmę przepowiadającą przyszłość. Że zamierzała dowiedzieć się czegoś więcej o swoim losie i sprawdzić, czy ta kobieta wie coś o Jessie.

Na miłość boską, zaczynała myśleć jak Tamara i to było przerażające. Jak diabli.

Zerknęła znowu w lusterko i zacisnęła zęby. Nie zamierzała przez następne dwie godziny martwić się facetem. Albo kobietą. Jeśli za nią jechał - jechała - to musi się bardziej wysilić.

Renee docisnęła pedał gazu.

Toyota strzeliła do przodu, ku podnóżom Gór Nadbrzeżnych, gdzie każdy, nawet reporterka z wiejskiej gazety, może zniknąć pośród wijących się kanionów, mrocznych tuneli i podnoszącej się mgły.

Rozdział 8



Motyw, pomyślał Mac z ponurą satysfakcją. Motyw.

Zrobiło się późno. Nie było nikogo w tej części budynku poza woźnym, który w korytarzu nucił fałszywie wiązanek przebojów Elvisa. Zmieniał jak popadło zapomniane słowa, a zdarzało mu się to co trzecią linijkę. Mac słuchał tej wymęczonej wersji *Con 't Help Falling in Love*, przeglądając dowody znalezione w pobliżu Madonny.

Znał je już na pamięć - można rzec, że nawet brajlem, bo dotykał ich tak często - ale czuł, że odkryje coś nowego, jeśli nie przestanie ich przeglądać.

„...Mądrzy mówią, że tylko głupcy się spieszą... ale nic na to nie zaradzę, że się zakopuję... ”

- Ale nic na to nie poradzę, że się w tobie zakochuję - poprawił woźnego Mac, nadal zadowolony.

Jessie Brentwood była w ciąży. No dobra, poprawka: szczątki w grobie świadczyły o tym, że ofiara była w ciąży, ale Mac gorąco wierzył, że kości należały do Jessie Brentwood. Jeśli to wszystko prawda, to wreszcie znalazł motyw zniknięcia Jessie i jej morderstwa: jeden z Nadętych Gnojków nie chciał zostać tatusiem.

Tego właśnie nie mógł znaleźć wtedy, kiedy dziewczyna zaginęła. Motywu. Mac wyczuwał znacznie więcej, niż powiedziały mu te małeletnie skurczybyki, ale nie miał dowodu... ani motywu. Klótnia z chłopakiem - z Walkerem - to nie dość. Teraz zastanawiał się, dlaczego był taki pewny, dlaczego zawsze był pewny, chociaż dowody wydawały się tak kruche.

Po prostu wiedział, że coś się stało. Czuł to w kościach. Wiedział. Żył tym. Ale nie mógł tego udowodnić.

Może teraz... może... teraz...

I sprawa była jego.

Nareszcie.

Maty stos przed nim składał się z kawałków liści, kilku niedopałków, rozkładających się papierków od cukierków, niezidentyfikowanego kawałka białego plastiku i małego scyzoryka. Scyzoryk wyglądał na narzędzie zbrodni, bo na żebrach ofiary znaleziono wcięcie, wskazujące, że została co najmniej raz dźgnięta. Nie zdołano zdjąć odcisków palców z nożyka; zbyt długo leżał w ziemi. Laboratorium pracowało nad DNA ze szpiku kości, ale jeśli nie dopasują czegoś z bazy danych, nie ma szansy na identyfikację szczątków tą metodą. Jeśli to były kości adoptowanej Jezebel Brentwood, oznacza, że muszą szukać biologicznych rodziców, którzy mogą być gdziekolwiek, albo rodzeństwa czy innych krewnych, pod warunkiem że i ich dane są w systemie. Mac skontaktował się z Brentwoodami, którzy potwierdzili - czego się spodziewał - że nie wiedzą nic o biologicznych rodzicach Jessie. Nie byli zachwyceni rozmową z nim, bo pamiętali jeszcze jego brutalne metody prowadzenia śledztwa, więc na razie zostawił ich w spokoju.

Ale kości dziecka - o ile nie rozłożyły się za bardzo - to zupełnie inna sprawa. Jeśli uda się wyodrębnić DNA albo chociaż określić grupę krwi i jeden z tych Nadętych Gnojków okaże się ojcem... Uśmiechnął się do siebie. Jak to się mawia? Coś o zemście - że najlepiej smakuje na zimno? Niech to diabli, ta sprawa miała dwadzieścia

lat na ostygnięcie. Można uznać, że już zamarzła. I owszem, zemsta już smakowała słodko.

Dwadzieścia pieprzonych lat obrywania po dupie.

A teraz wreszcie odzyska twarz.

Wypchaj się, Sandler, pomyślał, nadal słysząc ostatnie złośliwości partnerki. Nie mógł się doczekać, kiedy udowodni jej, że przez cały czas miał rację.

Ale martwiło go coś jeszcze.

Mac wziął notatkę od technika, który stwierdził, że istnieje anomalia w strukturze kostnej zarówno dorosłego, jak i dziecka. Wyrostek kostny.

- Anomalia - mruknął po raz setny.

Zadzwoił do technika, który był zawalony robotą i nie bardzo chciał rozmawiać.

- Ma dodatkowe dolne żebro, właściwie częściowe, zlało się z żebrem wyżej.

Nigdy nie widziałem czegoś takiego - powiedział z wyczuwalnym akcentem ze Środkowego Wschodu.

- To pomoże nam ją zidentyfikować, jeśli zachowało się gdzieś jakieś prześwietlenie...? - rzucił pośpiesznie Mac, wyczuwając, że technik zaraz się rozłączy. - To po urazie?

- U dziecka też? - zadrwił technik. - Bardziej prawdopodobne, że to po prostu dodatkowe żebro.

- Więc to genetyczne?

- Prawdziwy geniusz z ciebie, wiesz? Mac zignorował złośliwość.

- A to nie jest tak, że kobiety często mają dodatkowe żebro? O jedno więcej niż mężczyźni po obu stronach?

- Tak - rzucił technik, już wyjątkowo zniecierpliwiony. - Więc nazwij to sobie dodatkowo-dodatkowym żebrem i to tylko po jednej stronie. Jakaś wada wrodzona.

I się rozłączył.

Patrząc na zdjęcie, nie sposób było cokolwiek stwierdzić. Fotografie zębów też niewiele pomogły, bo jak Mac dowiedział się od Brentwoodów, Jessie należała do tych szczęśliwców, którzy nie mieli problemów z zębami. Przyznali, że nigdy nie zabrali jej do dentysty. Mac pomyślał, że w pewnych kręgach uznano by to za poważne zaniedbanie wobec dziecka, ale technicy laboratoryjni potwierdzili, że zęby ofiary były „bez ubytków”. W pewnym sensie można to uznać za dowód, że szczątki należą do Jessie.

Nie znaleziono na miejscu żadnych osobistych rzeczy. Żadnej torebki. Portfela. Ale z drugiej strony, minęło wiele lat i to także sugerowało, że kości należą do Jessie. Kiedy zaginęła, rodzice powiedzieli, że nie zabrała torebki, choć zawsze ją miała, gdy

uciekała z domu. To umacniało Maca w przekonaniu, że skrzywdzono ją albo zabito, że nie zniknęła z własnej woli.

Coś się przydarzyło Jezebel Brentwood, a teraz był więcej niż pewien, że przytrafiła jej się śmierć.

- Jeden z Nadętych Gnojków dźgnął ją i zabił. To właśnie jej się przydarzyło.

„...jesteśmy w pułapce... nie mogę odejść... bo za bardzo szlocham...”

- Bo za bardzo cię kocham. Jezu Chryste. - Mac skrzywił się w stronę korytarza.

Czy to za duże wymagania, żeby woźny chociaż znał słowa? Naprawdę za duże?

Może powinien wracać do domu. Dziś wieczór nic więcej nie wymyśli. Był zmęczony i tracił cierpliwość. Został tylko dlatego, że w domu nic na niego nie czekało. Była żona opiekowała się ich jedynym synem, Levim, i chociaż Mac spędzał z nim większość weekendów, teraz, kiedy wchodził w wiek dorastania, chłopak zaczynał mieć własne plany i nawet w weekendy nie zawsze się widzieli. Pod pewnymi względami to Macowi odpowiadało, bo jego godziny pracy bywały nieprzewidywalne. Ale ostatnio nie miał czym wypełniać sobie wolnego czasu po pracy. I jeszcze pojawiło się to uporczywe wrażenie, że nie robi wszystkiego, co powinien jako ojciec, że Levi może zmierzać niewłaściwą ścieżką, ale żadne próby rozmowy z synem nic nie dawały. Zupełnie jak grochem o ścianę. Zły znak. Wspomnił o tym swojej byłej, ale Connie odpowiedziała mu: „A czego się spodziewałeś, supertato? W końcu ile dla niego zrobiłeś”. A kiedy Mac próbował zaprotestować, przerwała mu, mówiąc: „Nie, daruj sobie to gładzenie o pracy i długich godzinach w biurze. Inni policjanci jakoś znajdują czas dla dzieci i żon”.

Ten weekend źle się zapowiadał. Levi już coś przebąkiwał o nocowaniu u Zeno - czy to prawdziwe imię? Mac pierwsze słyszał o tym dzieciaku. A Connie wręcz przeciwnie.

Na szczęście miał całą listę ludzi do przesłuchania. Nadęte Gnojki i ich dziewczyny.

Kiedy zbierał rzeczy, usłyszał:

- .. chodź, zatańczymy... niech wszyscy tańczą... wszyscy w celach... tańczymy więziennego rocka... - Kolejny przebój Elvisa.

Wychodząc, Mac próbował wychwycić błąd w tekście, ale chyba tym razem wszystko było dobrze. Może dlatego, że facet sprzątał posterunek, swoje prywatne więzienie. Może o to właśnie chodziło.

„... Jimmy Jannie Jerry i puzon, ta ra ra, ta ra ra na ksylofonie...”

- Dobry Boże - jęknął Mac, wychodząc w zalaną deszczem noc.

Następnego dnia po tym, gdy goniła duchy u Świętej Elżbiety i piła z Renee, Becca skończyła pracę wczesnym popołudniem. Odebrała telefon od El-tona Pfeiffera, jednego ze starszych partnerów w firmie prawniczej i prawdziwego powodu, dla którego cieszyła się, że pracuje w domu. Elton, dobrze po sześćdziesiątce, nadal uważał się za podrywacza. Trzykrotnie rozwiedziony, miał czerwone porsche, mieszkanie na wybrzeżu i niewyczerpany zapas viagry, jeśli wierzyć jego sekretarce. Kilka razy zapraszał Beccę i nawet raz próbował ją pocałować, kiedy przyniosła mu do gabinetu papiery do podpisania.

Było późno. Z przeszklonego gabinetu na dwudziestym pierwszym piętrze rozciągał się panoramiczny widok na światła miasta i ciemną Willamette River, płynącą powoli pod mostem Morrisona. Cuchnący szkocką Pfeiffer zaszedł ją od tyłu, objął i przyciągnął do siebie, muskając ustami jej kark. Natychmiast odwróciła się, odepchnęła go z całej siły i zagroziła, że przykopie mu kolanem, jeśli się nie odsunie. Odsunął się. Zamiast pozwać go o molestowanie seksualne, Becca złożyła rezygnację. To było takie upokarzające i cholernie przewidywalne.

Pfeiffer, odprawiony z kwitkiem, zaproponował jej pracę w domu, a ona natychmiast z tego skorzystała. Mówiła sobie, że to tylko tymczasowe rozwiązanie, ale zyska trochę wolności, będzie mogła sama ustalać sobie plan zajęć. W ciągu ostatnich kilku tygodni tylko raz była w biurze, kiedy zawoziła syrenkę dla koleżanki w ciąży.

Dziś Elton Pfeiffer zadzwonił całkiem oficjalnie - potrzebował kontraktu na nieruchomości, małe centrum handlowe. Trzeba było przepisać papiery z pewnymi poprawkami.

- Już wszystko wysłałam e-mailem. Proszę zapytać Colleen - odparła i się rozłączyła.

Chociaż nigdy nie była dobra w wybieraniu sobie mężczyzn, Becca od początku wiedziała, że „El” - jak lubił, aby go nazywać - to osoba, której trzeba unikać. Nie szukała ojca zastępczego i nie zamierzała tego zmieniać. Pod pewnymi względami jej praca była teraz idealna.

Ale poza pracą czuła się zestresowana i napięta. I myślała o Hudsonie. Zastanawiała się, czy do niego nie zadzwonić.

Znowu.

Niezależnie od tego, co wmawiała Renee.

- Kłamczucha - mruknęła do siebie.

Odkąd tydzień wcześniej zobaczyła Hudsona w Blue Note, nie potrafiła przestać o nim myśleć.

Więc czemu do niego nie zadzwonić? Czemu nie przejąć inicjatywy? Nie bądź niepewną siebie uczennicą. Kiedyś byliście przyjaciółmi. Kochankami. Mało brakowało, a mielibyście dziecko.

Becca trzy razy podnosiła słuchawkę i odkładała, nim w końcu, zniecierpliwiona, wybrała numer Hudsona tak szybko, jakby klawiatura płonęła. Zdecydowanie zbyt dużą wagę przywiązywała do tej rozmowy. No dobra, zadzwoni do niego - i co z tego? Chciała go zobaczyć. Jest wdową. Nie ma w tym nic złego.

Dzwonek rozległ się sześć razy, nim włączyła się automatyczna sekretarka, a nagrany głos Hudsona sprawił, że Becce dech zaparło. Co było cholernie głupie! Kiedy tylko zadźwięczał sygnał nagrywania, powiedziała:

- Cześć, Hudson. Mówi Becca Sutcliff. Myślałam ostatnio... - o tobie – o różnych sprawach... i trochę się niepokoję... tymi kośćmi znalezionymi w szkole. Cały czas myślę... - o tobie - o Jessie. Jeśli masz czas, może moglibyśmy się spotkać i pogadać? Mój numer to... - błyskawicznie podała numer, prawie na jednym oddechu, a potem odłożyła słuchawkę z bijącym sercem.

A później kilka razy uderzyła głową o ścianę w kuchni. Czuła się jak idiotka.

- To nie może być zdrowe - mruknęła do Ringa, który przekrzywił łebek z zaciekawieniem.

Włożyła buty do biegania i narzuciła lekką kurtkę. Złapała smycz Ringa i wybiegła z nim na dwór. Raz za razem powtarzała w myślach swoje słowa, gdy zaczęła biec. Ringo chciał się zatrzymywać i obwąchiwać każdą gałązkę, listek, źdźbło trawy, ale Becca mu na to nie pozwoliła. Nie dała mu zająć się swoimi sprawami, tylko skręciła w stronę parku. Pies dzielnie za nią podążał. Uderzała piętami w chodnik; woda w kałużach rozpryskiwała się, ale ona biegła dalej, czując, że jej serce zaczyna bić coraz szybciej. Minęła apartamentowiec i kilka domów na dużych działkach, oryginalnych budynków z lat dwudziestych i trzydziestych, które nie zostały podzielone. Przypomniała sobie, jak czuła w mieszkaniu, że ktoś ją obserwuje z krzaków, a w labiryncie czai się ktoś zły, ale zacisnęła zęby. Nie pozwoli, żeby strach zapanował nad jej życiem. Nie.

Ringo, który bywał nerwowy, dziś biegł spokojnie. Cieszył się z ruchu tak samo jak ona.

Powietrze było chłodne, popołudniowe chmury - ledwie smugi - wisiały wysoko. Zakręciła przy końcu parku w dębowym zagajniku i prawie wpadła na dzieciaka na skuterze. Posłał jej garść inwektyw, jakie słyszała już milion razy, więc nawet nie zwolniła kroku. Pokonała pagórek, przebiegła mostkiem nad strumieniem i zawróciła w stronę mieszkania. Teraz już czuła, jak wszystkie mięśnie pracują złapała rytm; pies bez trudu biegł za nią.

W sumie pokonała prawie pięć kilometrów i kiedy weszła do domu, twarz miała zarumienioną czoło i kark zlane potem mimo chłodu na dworze.

Pierwsze, co zrobiła, to sprawdziła wiadomości. Zero.

A czego się spodziewałaś? Że oddzwoni, ledwo usłyszysz twój głos? Idiotka.

Mruczając do siebie pod nosem, poszła pod prysznic, a potem postanowiła znowu sprawdzić komputer. Ucieszyła się, widząc, że Colleen z Ben-nett, Bretherton i Pfeiffer przysłała kolejny stos papierkowej roboty. Świetnie. Chciała zakopać się na wieczność w obowiązkach.

Był wczesny wieczór, kiedy uniosła głowę, zastanawiając się, kiedy ostatnio coś jadła. Wstała z krzesła, przeciągnęła się i usłyszała niepokojący chrzęst. Starła się ignorować tłukące się po jej głowie słowa: nie zadzwonił. .. nie zadzwonił... nie zadzwonił...

Kiedy telefon zabrzączał, Becca skoczyła, jakby ktoś ją dźgnął nożem. Złapała słuchawkę z biurka i zapytała:

- Słucham?

- Cześć, Rebecca, mówi Tamara - wesoło powitała ją przyjaciółka. Serce Becki stanęło.

- Jesteś zajęta? Wybieram się na kolację i zastanawiałam się, czy się dołączysz?

- Pewnie - odparła Becca, mając nadzieję, że powiedziała to bardziej entuzjastycznie, niż czuła. Przypomniała sobie Tamarę wsiadającą do samochodu Hudsona. Wielkie rzeczy. I co z tego? Nic. Równie dobrze może wyjść z domu. Nie będzie czekała na telefon, jakby znowu miała trzynaście lat.

Ustaliły, że spotkają się w meksykańskiej restauracji kilka kilometrów dalej, przebrała się, nakarmiła Ringa i właśnie szła do drzwi, kiedy telefon znowu zadzwonił.

Rozpoznała numer i jej głupie serce zaczęło bić mocniej, kiedy odebrała.

- Becca? - powitał ją głos Hudsona i fala ciepła popłynęła jej żyłami.

- Cześć - odpowiedziała, udając, że nie ma nerwów napiętych jak postronki. No i proszę, znowu jakby miała trzynaście lat. Żenada.

- Widziałem, że dzwoniłaś. Odebrałem wiadomość. Ja też zastanawiałem się nad różnymi rzeczami i myślę, że powinniśmy się spotkać, pogadać. Nie sędzę, żeby to był zły pomysł.

Jej głupie serce waliło tak, że tłukło się o żebra.

- Świetnie.

- Co powiesz na dziś wieczór?

- Jasne, po kolacji - powiedziała, zła, że już się umówiła z Tamarą. - Mam wcześniejsze plany, ale może spotkamy się gdzieś...?

- Może u mnie, pamiętasz, gdzie to jest? Stare ranczo? Jakby to było wczoraj.

- Jasne. Będę trochę po ósmej.

Zauważyła, że gdy się rozłączała, ręce jej się trzęsły.

- Może nawet gorzej niż trzynastolatka - zwierzyła się psu, kiedy pędziła do łazienki.

Spotkała się z Tamarą w małej knajpce z kolorowymi tynkami na ścianach, udającej dom w Meksyku; nie zabrakło nawet lazurowego oceanu i łodzi rybackich. Jakby tu, na południowych wzgórzach Portland, mogły mieć widok na Morze Corteza. Starała się nie patrzeć na zegarek i nie jeść pośpiesznie, ale łapała się na tym, że trudno jej rozkoszować się talerzem fajity na spółkę i wesołą, tak szybką że prawie szaleńczą muzyką.

Zaraz po tym, gdy podano skwierczący półmisek z krewetkami i warzywami, powrócił temat Jessie.

- Myślisz, że nie żyje? - zapytała Tamara.

Była przy drugiej margaricie, podczas gdy Becca sączyła pierwszą. Becca wzruszyła ramionami. Miała dość tego pytania. Dość niewiedzy.

- Myślę, że jak zwykle z nami pogrywa. - Tamara wyłowiała krewetkę, cebulki i papryczki na ciepłą tortille. - To, że zaginęła i chodziła do Świętej Elżbiety, nie znaczy, że nie żyje.

- Więc kto to jest?

- Bóg jeden wie. - Oblizwała palce. - A co myślisz o Vangie i Zeke'u?

- Jakbym miała déjà vu.

Tamara parsknęła. Jej rude włosy rozblęły w świetle. Kelner wykrzykiwał zamówienia po hiszpańsku do kucharza widocznego w okienku kuchni.

- Ewidentnie popisywała się pierścieniem. Myślisz, że to coś poważnego?

- Zachowywała się, jakby byli zaręczeni.

- Ciekawe, czy poradziła sobie z zazdrością? - Tamara uniosła brew. - Jasne jak słońce, że w szkole trzymała go na krótkiej smyczy.

Becca pamiętała, że Evangeline szalała za Zekiem w szkole średniej; pojawiała się na każdym meczu, zawodach, na wszystkim, w czym brał udział, a było tego sporo, ponieważ był gwiazdą ligi atletów w czymś tam... w bejsbolu?

- Dziwne, co? Czekać tyle lat, prawie dwadzieścia, i cały czas ganiać za tym samym facetem. Powinna zbadać sobie głowę albo dać powróżyc z ręki, niech ktoś sprawdzi jej linię serca.

Becca uśmiechnęła się leciutko.

- Myślisz, że to widać na dłoni?

- Śmieję się. Z jakiegoś powodu astrologia, alternatywne religie i wierzenia przetrwały tyle wieków. Musi być w nich coś na rzeczy.

- Przekonałaś Renee. Tamara pokręciła głową

- Renee... Nie bardzo wiem, co o niej myśleć; to ostatnia osoba, po której bym się spodziewała, że zainteresuje się mistycyzmem. Spotkała się z kimś, kto ją nieźle nastraszył.

- To ta kobieta z wybrzeża.

- Nie wiem, co takiego powiedziała, że tak wstrząsnęła Renee, ale fakt, że dziewczyna ma sporo problemów. Z pracą i Timem... facet właściwie ją prześladowuje, a przynajmniej tak mówiła. Przyłapała go z kimś innym i powiedziała, żeby spadał, a on teraz zachowuje się, jakby musieli być razem.

- Na dobre i na złe.

- Mówiła ci? - Tamara zerknęła na Beccę.

- Byłyśmy na kawie i winie w Java Man.

- Bogu dzięki, że nigdy nie wyszłam za mąż. Zaręczona dwa razy i raz prawie uciekłam do Rena z jednym facetem, ale udało mi się najpierw odzyskać zdrowy rozsądek.

Ludzie przy sąsiednim stoliku zaczęli się kłócić z powodu córki, która cały czas pisała wiadomości na komórce w czasie tego, co jej ojciec z uporem nazywał „rodzinnym posiłkiem, czasem na rozmowę”.

Zerkając na ich stolik Tamara przysunęła się trochę bliżej do Becki i szepnęła:

- Chodzi mi o to, że musi być gorzej, jak już to zrobisz. Kiedy pójdziesz do ołtarza, wymienisz się przysięgami, zaplanujesz przyszłość i założenie rodziny.

- Znam to z pierwszej ręki - mruknęła Becca.

- Och, przepraszam, ale ze mnie idiotka.

- W porządku. W życiu nie wyszłoby mi z Benem.

Tamara wzniosła toast, a potem wypila solidny haust margarity. Odstawiając kieliszek, przyjrzała mu się krytycznie.

- Muszę z tym skończyć, to naprawdę nie służy człowiekowi. Piję tylko wtedy, gdy jestem rzeczywiście zestresowana, jak teraz z powodu tej sprawy z Jessie. Choć wierzę w duchy, to dziwne, że wszyscy uważają, że ona akurat może być jedną z tych dusz, co nie mogą przejść na drugą stronę.

- O czym ty mówisz? Przecież uważasz, że ona nadal żyje.

Kelner wrócił z rachunkiem. Zapłaciły, wyszły i ruszyły do swoich samochodów, walcząc z podmuchami lutowego wiatru. Jeszcze słyszały meksykańską muzykę za sobą, gdy Tamara powiedziała:

- No dobra, przyznaję się: miałam ukryty powód, żeby się z tobą dziś spotkać. To nie ma nic wspólnego z Jessie i tym, czyje kości znaleziono w labiryncie.

- Bogu dzięki.

- Może tak, a może nie. - Tamara grzebała w ogromnej torebce, szukając kluczyków. - Chodzi o Hudsona. Wyczułam wibracje między wami w Blue Note. Nadal między wami iskrzy?

Becca nie potrafiła skłamać, ale nie mogła też przyznać, że nigdy jej nie przeszło.

- Co masz na myśli?

- Nie byliście razem? Zawsze sądziłam, że tak. Mam na myśli kilka lat po zniknięciu Jessie, nie w szkole. Vangie chyba raz coś powiedziała na ten temat.

Evangeline zawsze lubiła plotkować.

- Wpadłam na Hudsona i Zeke'a raz, może dwa po szkole - przyznała Becca, dochodząc do samochodu. - I trochę czasu spędziłam z Hudsonem. Renee o tym wiedziała. Vangie też. Chyba.

- Po prostu spędziliście trochę czasu? - Tamara uniosła brew. Becca wzruszyła ramionami.

- To było wieki temu.

- Ale nadal coś do niego czujesz? Daj spokój. Dla mnie to oczywiste. Iskrzyło między wami cały wieczór, chciałam tylko zapytać, czy to jest aktualne. Widujesz się z nim? Nie chcę ci wchodzić w paradę.

- Ja... nie... my...

Nie wiedziała, jak ma powiedzieć, że właśnie jedzie do niego, że ekscytuje ją myśl, że znowu będzie mogła pobyć z nim sam na sam, chociaż to może okazać się emocjonalnym samobójstwem. Tak bardzo go kochała, z tym dziecinnym oddaniem, które potrafi być śmiertcionośne.

- Co? - dopytywała Tamara, a lodowaty, zimowy wiatr znowu hulał.

- Właśnie do niego jadę - przyznała w końcu Becca, unosząc ręce w geście podania.

Pasmo włosów opadło jej na twarz, kiedy wiatr przeganiał mokre liście po parkingu.

- Ach. - Tamara pokiwała głową i westchnęła, otwierając swoją mazdę. - Miałam nadzieję, że mój radar się myli, ale to rzadko się zdarza.

Pozdrów go ode mnie. Jeśli wam nie wyjdzie, daj mi znać. On jest najlepszy z całej paczki. Zdecydowanie. Wszystkie zazdrościłyśmy trochę Jessie, nie?

- Aha, trochę.

- Więc... skoro spotykasz się z Hudsonem...

- Nie spotykam się.

- Jeszcze nie, ale może wobec tego powinnam skupić się na Trzecim. Becca jęknęła.

- Albo Mitchu. Obaj są samotni.

- Jarrett chyba też.

- Nie jestem masochistką - odparła Tamara, powstrzymując uśmiech -ale proszę, błagam, nie pytaj mnie o sadyzm.

Pomachała i wskoczyła za kierownicę.

Becca, której auto stało dwa miejsca dalej, zrobiła to samo. Wyjechała z parkingu i skręciła na zachód do Hudsona. Zastanawiała się, czy właśnie popełnia największy życiowy błąd.

Rozdział 9

Hudson włożył do zamrażalnika butelkę białego wina, które właśnie kupił. To było chardonnay. W średniej cenie. *Powinno* być w porządku, ale nie miał pojęcia, ponieważ jeśli coś pił, to piwo. Ewentualnie szkocką. Wino leżało poza jego zainteresowaniami, a całą wiedzę na ten temat streściłby w dwóch słowach: białe i czerwone.

Ale zauważył, że Becca popijała białe wino w Blue Note, więc uznał, że je lubi. Przeczesał dłonią włosy.

- Dobry Boże - westchnął.

Przez cały tydzień walczył z pokusą, żeby do niej zadzwonić, i już miał się poddać, kiedy usłyszał jej głos na sekretarce. Powiedział sobie, że powinien się wycofać, trzymać na dystans, że teraz, kiedy być może odnaleziono ciało Jessie, to najgorszy możliwy moment - absolutnie najgorszy - na rozpalanie na nowo starych uczuć. Uczuć, które niecałkiem umarły, chociaż minęły lata.

Becca... Boże, była piękna.

Tak jak Jessie.

Czasem, w snach, w tych erotycznych, niemal niezdrowych snach, po których budził się z erekcją, kochał się z jedną z nich, zwykle z Jessie. Jej długie włosy blond rozsypywały się wokół głowy, jej piwne oczy robiły się okrągłe z podniecenia, źrenice rozszerzały, kiedy dotykał ją między nogami.

- Więcej - szeptała mu do ucha, kiedy ją obejmował, rozsuwając kolana nogami.

Szczerzyła szatańsko zęby, jakby wiedziała coś, o czym on nie miał pojęcia, a potem blakła, a na jej miejscu pojawiała się twarz Becki. Sceneria wokół gwałtownie się zmieniała. Zamiast leżeć na bilardowym stole albo w jego łóżku, najczęściej znajdowali się pod starymi krokwiami stodoły albo pod konarami wierzby. W oddali, między kołyszącymi się długimi gałęziami i drżącymi liśćmi, dostrzegał bladą, eteryczną postać Jessie. Obserwowała ich. Duch. Była martwa, a jednak istniała.

I uśmiechała się.

Znacząco.

Oskarżając go bez słów, sarkastycznie, o zdradę.

Jakby wiedziała, że nawet w szkole Rebecca go pociągała.

Jezu, to było przerażające. Budził się spocony, z opadającym członkiem, sercem kołoczącym z pożądania, na zawsze rozdarty między dwiema kobietami.

Nic dziwnego, że nigdy nie miał mokrych snów. Jessie podglądająca go szeroko otwartymi oczami już o to zadbała.

Wziął piwo, zdjął kapsel i wypił kilka sporych łyków. Pomyślał o Becce. Z nią było to gorąco, to zimno. Raz go pragnęła, innym razem wycofywała się, podobnie jak on.

Z Rebeccą Ryan, nie, Beccą Sutcliff nigdy nie wiedział, czego się spodziewać.

Ale niedługo się dowie, pomyślał, otwierając odrobinę okno, żeby wpuścić chłodne, nocne powietrze. W kuchni robiło się duszno, kiedy paliło się w piecu; zapach płonącej dębiny bywał nieznośny. Powinien sprawdzić przewody, wyczyścić je albo wyrwać i wymienić. To była część planu, ale dzisiaj wystarczy mu odrobina chłodnego, zimowego powietrza. Zauważył pajęczynę, zgarnął ją, a potem pomyślał, niech to diabli. Jeśli Becce nie spodoba się sposób, w jaki mieszka, to będzie musiała się z tym pogodzić.

Usłyszał silnik i przez okno dostrzegł światła samochodu na starym garażu. Dopił piwo.

Czas na przedstawienie, powiedział do siebie, zostawiając pustą butelkę na wyszczerbionym blacie.

Ściskając kierownicę wilgotnymi dłońmi, Becca skreśliła z dwupasmowej jezdni, która wiała się między zarośniętymi polami. Zjechała na zwirowy podjazd, który naj-

pierw prowadził przez zagajnik, a potem odgałęział się w stronę uprawnego pola i kończył przed szarym, piętrowym domem i grupą budynków gospodarczych.

Światła na frontowym ganku się paliły. Becca zaparkowała z boku, wzięła głęboki oddech, wyjęła kluczyki ze stacyjki i pomyślała sobie, teraz albo nigdy. Wysiadła z samochodu, przeszła po żwirze do trzech szerokich, drewnianych schodów prowadzących na ganek. Wspomnienia zaatakowały ją chociaż nie było już starej huštawki, na której siadywała z Hudsonem. Zerknęła w stronę pól i na samotną wierzbę z opadającymi gałęziami.

Poczuła ból w sercu, poruszenie gdzieś w środku. Ile razy kochali się w tym miejscu? Dziesięć? Dwadzieścia? Więcej? Pamiętała, jak całowała Hudsona, jego gorące wargi, dłonie, przyciśnięte do jej kręgosłupa, mocne i duże.

- O Boże - szepnęła, otrząsając się z tych myśli.

Przez frontowe drzwi, w które wstawiono prostokąt szkła, widziała cały korytarz. Przycisnęła dzwonek, który ponuro zadzwieczał w domu.

Pojawił się Hudson, szedł do drzwi, stawiając wielkie kroki na dębowych deskach. Chwilę potem już jej otwierał.

- Trafiłaś.

- Bez problemu.

- Wydaje się, jakby upłynęło niewiele czasu, co?

- Fakt - przyznała, wchodząc do środka i rozglądając się wokoło. Niektóre zmiany dostrzegła od razu: zniknął zapach ulubionych cygar ojca Hudsona. Ale meble matki nadal stały w całej ich kwiecistej krasie.

Becca się uśmiechnęła.

- Co? - zapytał.

- Przypominam sobie - odparła, wskazując pokój i zdejmując płaszcz. Powiesił go na wieszaku, który stał u podnóża schodów. Rozejrzał się, próbując zobaczyć pokój jej oczami, a potem zaprowadził ją do kuchni, gdzie piec i telewizor jasno wskazywały, że tu znajduje się serce domu.

- Któregoś dnia wszystko tu pozmieniam - powiedział.

- Dlaczego? Zaśmiał się.

- Nie wiem. Może już czas porzucić lata siedemdziesiąte. Napijesz się wina? - zapytał, idąc do kuchni.

Becca powoli szła za nim.

- Amoże masz jeszcze jedną taką? - rzuciła, wskazując podbródkiem na pustą butelkę obok zlewu.

- Hm.

Bratnia dusza. Jak zawsze...

Sięgnął do lodówki, otworzył dwie butelki piwa i wrócił do stołu, obracając krzesło tak, żeby siedzieć przodem do oparcia. Becca uśmiechnęła się do siebie. Tak samo siadał jako nastolatek. Zupełnie, jakby szesnaście lat gdzieś zniknęło, kiedy tak rozmawiali o niczym. Zapytał ją o pracę, a ona opowiedziała mu trochę o tym, czym się zajmuje, i spytała o ranczo. Wspomniał, że właśnie zatrudnił nowego pomocnika i porzucił karierę sprzedawcy nieruchomości, w której, co prawda, nieźle mu szło, ale wołał się cieszyć owocami ciężkiej pracy na hektarach u stóp Gór Nadbrzeżnych.

Kiedy zrobiło się spokojnie, przeturlał między dłońmi prawie pustą butelkę, spojrzął na Beccę i powiedział:

- Dobra, teraz kiedy mamy już to z głowy, powiedz mi, co naprawdę myślisz.
- O czym? - zapytała ostrożnie Becca.
- O Jessie. Kościach. Spotkaniu z naszymi dawnymi... przyjaciółmi...
- Muszę?

Zerknął na nią pobłaźliwie, ale zaraz rozbawienie zniknęło z jego twarzy.

- Myślę, że ona tam umarła. W labiryncie. Myślę, że ktoś jązabił. W końcu nie dostała ataku serca, wpadła do dziury, a potem sama się zakopła.

- Ale to nie musi być Jessie.
- To najbardziej prawdopodobna odpowiedź.
- Sama nie wiem...
- Myślisz, że żyje.

Becca napiła się budweisera.

- Nie. Chyba jak reszta poza Tamarą zakładam, że nie żyje, chociaż i ona się waha. Nie chcę, żeby to była prawda, ale nie potrafię znaleźć innego wytłumaczenia, dlaczego Jessie zostawiłaby rodziców, żeby się dręczyli, co się z nią stało, martwili, zadawali pytania, czy nadal żyje. Dwadzieścia lat to kawał czasu. Renee jest przekonana, że to kości Jessie.

Hudson ściągnął brwi.

- Rozmawiałaś z Renee?
- Spotkałyśmy się przy drinku.
- Serio? - To go kompletnie zaskoczyło. - Takie z was świetne kumpelki?
- Z powodu Jessie i całego zamieszania.
- Mówiła ci o Timie? O separacji?

- Trochę. Głównie rozmawiałyśmy o Jessie i naszych uczuciach w związku z nią.

- Hm. - Hudson dopił piwo i odstawił butelkę na stół. - Nie próbowała cię nawrócić na tarota? - zapytał sucho.

- Próbowała. Stawiałam opór.

Hudson spojrzał jej w oczy i uśmiech wypłynął mu na usta.

- Brakowało mi ciebie - przyznał powoli.

Becca miała wrażenie, że oczy jej płoną, więc spuściła wzrok. Nie zamierzała dać się zawstydzić. Nie.

- Więc myślisz, że Jessie zamordowano i zostawiono w tym grobie?

- Myślę, że wpakowała się w... kłopoty... i z ich powodu zginęła. Nigdy się ze mną nie skontaktowała - dodał. - Może mam za duże mniemanie o sobie, ale zawsze uważałem, że odezwałaby się, gdyby żyła.

- Nigdy nie myślałeś, że uciekła?

- Pewnie, że tak. Na początku. Nie chciałem wierzyć, że odeszła na zawsze, i za diabła nie chciałem wierzyć w teorie McNally'ego. I nie dopuszczałem myśli, żeby ktoś z nas był w to zaplątany - dodał po namyśle.

- Ale teraz...? - zapytała, czując narastający strach. - Myślisz, że któryś dzieciak ze szkoły był w to zamieszany?

- Mam nadzieję, że nie.

Ale brzmiało to tak, jakby chciał sam w to uwierzyć.

- A jeśli to nie Jessie? - spytała Becca. - To znaczy... co jeśli to naprawdę ktoś inny?

- Ale kto? I gdzie, u diabła, podziewa się Jessie? Co robiła do tej pory? Jak ułożyła sobie życie? Wyobrażasz ją sobie jako mężatkę? Z dziećmi? Żyjącą normalnie?!

- To by było coś.

- Ona naprawdę była taka dziwna, jak ją zapamiętałem? - zapytał nagle Hudson, jakby już dłużej nie mógł się powstrzymać.

Wstał i zaczął krążyć po kuchni, aż zatrzymał się przy krześle Becki. Odwróciła się lekko, żeby na niego popatrzeć.

- Cały czas rozmawiamy o niej i zamieniamy ją w żywą legendę, ale kiedyś była po prostu dziewczyną, której zdarzało się uciekać z domu. Wiemy tylko to, że znaleziono kości w labiryncie. Jeśli to nie Jessie, to kto?

Becca uniosła rękę.

- Nie chcę już o tym myśleć - powiedział Hudson. - Wolałbym porozmawiać... o czymś innym. Jest coś, o czym chciałabyś porozmawiać? Ekonomia? Globalne ocieplenie? Czy Zeke i Vangie naprawdę się pobiorą?

- Wybieram numer trzy.

- Nie.

- Nie?

- Nie.

Poczuła się niezręcznie i wstała, ale znalazła się zbyt blisko Hudsona, więc podeszła do blatu. Oparła się biodrami.

- No dobra, więc co jest grane? Miała przecież pierścionek.
- Zeke nigdy jej nie kochał.
- Ale dał jej pierścionek zaręczynowy.
- Znajdzie jakiś powód, żeby się z tego wyplątać. Nie zaangażuje się do końca.

To nie w jego stylu.

- Ach...

- Kiedyś obu nam to nie wychodziło. Lubię myśleć, że ja już z tego wyrosłem. -

Oparł się obok niej o blat. Zapadła cisza. Becca doskonale zdawała sobie sprawę, że jego szczupłe łądzwie są bardzo blisko niej. - Przepraszam, że nigdy nie zadzwoniłem.

- Już przeprosiłeś. W pewnym sensie. Ja też mogłam się odezwać.

- Nie, to ja powinienem - odparł nerwowo. - Chciałem. Szkoda, że tego nie zrobiłem.

- Myślałam, że nadal kochasz Jessie - z trudem przyznała Becca. - Nie jestem pewna, czy nadal tak nie jest.

- To jak Zeke i Vangie, nawet nie wiem, czy kiedykolwiek ją kochałem. Mieliśmy po szesnaście lat.

- Niektórzy zakochują się w tym wieku.

- Ale ja chciałem... być z tobą. Becca zerknęła na niego, zaskoczona.

- Kiedy Jessie jeszcze była?

- Wiedziała, że coś czuję do ciebie, chociaż nigdy nic takiego nie powiedziałem. Po prostu wiedziała.

- A ja nie - rzuciła, z trudem oddychając. Serce biło jej jak szalone. Nie mogła uwierzyć własnym uszom!

- Nie potrafiłem wyjawić swoich uczuć, nie wiedziałem, jak z nią zerwać. Myślałem o tym, a potem ona zniknęła. Cały czas spodziewałem się, że wróci i uda mi się z nią rozstać, jak należy. Kiedy cię zobaczyłem tamtego lata, już się nie przejmowałem. Zeke uważał, że próbowałem przywołać z powrotem Jessie. Nie miał racji, ale pozwoliłem mu tak myśleć.

- Namówił cię, żebyś przestał się ze mną widywać - zdała sobie sprawę Becca. Hudson się skrzywił.

- Zeke nie chciał, żebym z kimkolwiek się spotykał, ale jego słowa sprawiły, że przemyślałem kilka spraw. Nie byłem gotowy, żeby z kimś się wiązać na poważnie. Byłem głupim dzieciakiem z college'u. A zniknięcie Jessie nadal było takie świeże.

- A już nie jest?

- Nie.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Widziała, jak jego niebieskie oczy ciemnieją, lśnią uczuciem, które tak dobrze rozumiała.

- Lepiej pójdę, zanim zrobię coś, czego będę żałować - mruknęła, czując lekki zawrót głowy.

Chyba chciał ją powstrzymać, ale tylko zwiesił głowę.

- Nie postarasz się bardziej? - zapytała; jej słowa zabrzmiały obco nawet w jej uszach.

Ze zmysłowym uśmiechem powoli sięgnął po nią, obrócił ją do siebie, przesuwał dłońmi po jej plecach. Przeciągnęła rękoma po jego piersi i przez chwilę ich usta znalazły się raptem o włos od siebie.

- Chyba chciałbym cię pocałować.

- Chyba... powinieneś...

Poczuła jego wargi na swoich. Były jak obietnica żaru. Zaczęła topnieć w środku. Nie pragnęła niczego więcej, tylko żeby wziął ją w ramiona i zaniósł po skrzypiących starych schodach do swojej sypialni.

- Hudson... - szepnęła.

- Hm?

- Mnie ciebie też brakowało.

I w ułamku sekundy jej fantazja stała się rzeczywistością: podniósł ją i zaniósł po starych schodach do pokoju, którego okno wychodziło na góry - niegdyś sypialni jego rodziców. Bez żadnego słowa padli na materac, który zapadł się i jęknął pod nimi.

Hudson całował ją, jakby to była jego jedyna szansa.

Becca się poddała.

Porzuciła poczucie winy.

Zahamowania.

Zdrowy rozsądek.

Rozchyliła usta, ciesząc się znajomym i zmysłowym smakiem. Jego zapach przywoływał kolejne wspomnienia rozkoszy. Jego dłonie zsunęły się po jej żebrach, jakby ją dobrze znał. Kiedy zdejmował jej ubranie, odwzajemniła się tym samym, całując jego odkrytą skórę, czując siłę napiętych mięśni. Badała mocne, twarde ramiona i żyłaste ręce.

Jego usta dotykały wszystkich miejsc, które odkrył lata temu. Za uchem, na szyi, między piersiami. Czowała jego żar, rozpalony do białości jak krew w jej żyłach.

Powiedziała sobie, że będzie żałować, że nic tak niesamowitego nie przychodzi bez bólu, ale miała to gdzieś. Pragnęła go zbyt mocno i rozkoszowała się namiętno-

ścią, która sączyła się z jego ciała. Jego język prześlizgiwał się po jej piersiach, drażnił się z sutkami, przesuwał niżej, podczas gdy ona zanurzyła dłonie w jego włosach i zaciągnęła się jego zapachem.

Uważaj, Becca... nie powiedziałaś mu o dziecku. Jego dziecku...

Nie chciała słuchać głosu w swojej głowie, więc poddała się przyjemności, skupiła na gorącym oddechu Hudsona na swojej skórze, jego dłoniach ugniatających jej ciało, języku i ustach przyprawiających o gorączkę.

W gardle jej zaschło, ale w środku topniała, wypełniał ją żar, a w głowie pulsowała żądza. Zamknęła oczy, kiedy poczuła pierwszy spazm, potem nadszedł drugi i wtedy krzyknęła, zaciskając palce na prześcieradle, drżąc konwulsyjnie.

Wtedy wszedł w nią, ciałem i duszą Odnalazł jej usta. Całowała go z siłą wszystkich lat pożądania i nienawiści do siebie za to pragnienie, za marzenie o nim. Hudson... to zawsze był Hudson, nawet kiedy wyszła za innego mężczyznę, a teraz... teraz...

Jęknęła, kiedy w nią wszedł, odruchowo oplótła go nogami. Jego usta były gorące i wilgotne. Poruszył się w niej raz, potem znowu, a ona krzyczała, podczas gdy on przesunął się, unosząc ją, tak że teraz siedziała twarzą do niego, z jego nogami pod sobą Przyciskał jej pośladki mocno do siebie.

- Och... O... Boże - szepnęła, kiedy poruszał się coraz szybciej i szybciej.

Żar ją pochłoniął, ogarnęła żądza. Pot spływał po jej ciele. Dopasowała się do niego rytmem, coraz szybszym. Pokój jakby wirował. Obejmowała Hudsona mocno, trzymając dłonie na poruszających się mięśniach jego pleców. Z trudem łapała oddech, serce waliło jej tak, że mało nie eksplodowało, kiedy on zeszywniał i krzyknął. Jej ciało odpowiedziało, zacisnęło się wokół niego i świat rozpadł się na miliony świetlistych kawałków.

Kiedy było po wszystkim, padli na zmiętą pościel, nadal ciężko dysząc.

- Dobrze ci było? - zapytał Hudson i oboje się zaśmiali.

- Najgorszy seks w moim życiu. Nie zorientowałeś się? - odpowiedziała, sapiąc.

- Może gdybyś nie była taka zimna.

Uśmiechnął się, kiedy oparła głowę na jego ramieniu, i wsunął palce w jej włosy.

- Powiedz mi, dlaczego czekaliśmy tak długo? Zamknęła oczy i wciągnęła jego zapach.

- Zbyt długo...

Poczuła, że Hudson się uśmiecha.

- Co?

- Nigdy więcej nie będziemy tak długo czekać - powiedział, przetaczając się na nią, rzucając jej zmysłowe spojrzenie.

- Dobrze - westchnęła, odpychając na bok wszelkie inne myśli.

Rozdział 10



Renee zmrużyła oczy, gdy następnego wieczoru wjeżdżała do małego nadmorskiego miasteczka - Deception Bay. Podróż przeciągnęła się poprzedniego dnia, bo najpierw opóźnił ją telefon od Tima z piekielną awanturą potem podjechała po zakupy do całodobowego sklepu, no i wreszcie musiała zwolnić z powodu deszczu ze śniegiem na krętych, górskich drogach. Przez cały dzień siedziała w domku, żeby się uspokoić.

Nadal miała wrażenie, że ktoś ją śledzi przez całą drogę przez Góry Nadbrzeżne i po zakręcie na południe, wzdłuż wietrznej autostrady 101, która przecinała strome wzgórza nad Pacyfikiem. Musiała się wlec, żeby utrzymać wóz na drodze. A jednocześnie cały czas zerkalała we wsteczne lustro, czy nie ma tam znowu jasnych świateł, które śledziły ją jak oczy wielkiego, drapieżnego potwora.

- Daruj sobie - mruknęła do siebie, kiedy uliczne światła miasteczka wynurzyły się z mgły.

Nadal myślała o kłótni z Timem. Jezu, to dopiero był okaz. Wykombinował sobie, że może mieć romans z koleżanką z pracy i oczekiwać, że Renee wykaże zrozumienie i mu wybaczy. Teraz nie godzi się na rozwód, podobno wszystko sobie przemyślał i doszedł do wniosku, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli pozostaną małżeństwem.

Jakby to było takie proste.

Renee nie sądziła, by potrafiła szybko zapomnieć zdradę, chociaż ją też kusilo raz, może dwa, żeby przekroczyć pewną granicę. Ale tego nie zrobiła. Była blisko, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Choć teraz to bez znaczenia. Tim może sobie gadać i wrzeszczeć, przypominać jej, że „należy do niego” aż do nadejścia królestwa niebieskiego. To koniec. Koniec! Tak mu powiedziała tego wieczoru, jasno i wyraźnie.

Wpadł w szal i po raz pierwszy przekonała się, do czego jest zdolny. Ucieszyła się, że nie mają broni w domu. Oczywiście nie obawiała się, że naprawdę mógłby ją skrzywdzić...

Ale stracił nad sobą panowanie. Naprawdę. Jego twarz, niegdyś chłopięco przystojna, zrobiła się czerwona jak burak. Zacisnął pięści w teatralnym geście. Posunął się do tego, że wybił dziurę w ścianie holu wejściowego. I wtedy wyjechała. Bardzo pośpiesznie. Zatrzymała się tylko, żeby kupić kilka niezbędnych rzeczy w Hillsboro.

Jechał za nią?

Postanowił spróbować raz jeszcze? Nie ośmieliłby się chyba?

Wróciła na zwirowy podjazd prowadzący do domku, do którego uciekała w weekendy. Znajdował się trzy przecznice od plaży, w odległości spaceru od miasteczka. Należał do przyjaciela jej ojca, mężczyzny, który po śmierci żony rzadko kiedy spędzał tu czas. Jego dzieci rozjechały się po świecie, jeden syn mieszkał w Miami, drugi w Denver, córka próbowała zostać aktorką w LA. Nikt nie bywał w domku, który odnowił własnymi rękami na początku lat osiemdziesiątych.

Zaparkowała pod wiatą. Pospiesznie we mgle weszła na ganek, gdzie zawsze paliło się światło, ale akurat żarówka musiała się przepalić.

- Niech to szlag - mruknęła, szukając kluczy i wymacując stary, zardzewiały zamek.

Usłyszała kroki. Odwróciła się szybko z sercem w gardle, żeby zobaczyć, kto wynurzy się z mgły. Krzyknęła i wtedy zobaczyła wielkiego psa obok mężczyzny; pewnie wyszli na wieczorny spacer.

Weź się w garść, powiedziała w duchu. Wreszcie otworzyła zamek i weszła do środka. Rzuciła rzeczy na materac w wyblakłym, kwiecistym pokrowcu, który służył jako kanapa, a potem poszła do samochodu po dwie siatki zakupów.

W ciągu kilku sekund wróciła do domu. Zamknęła za sobą drzwi, włączyła światła, zapaliła gaz i kazała własnemu sercu się uspokoić. Wrzuciła walizkę do sypialni na dole, a potem włączyła laptop i czekała, aż system się załaduje.

Miała sporo szczęścia, że mogła się podłączyć do Internetu sąsiadów, bo w tym domku ledwie działała elektryczność, nie wspominając już o bardziej zaawansowanych wytworach techniki jak router; nie było nawet linii telefonicznej. Właściciel nie chciał żadnych pieniędzy od Renee, prosił tylko, żeby trochę „zadbała o dom”, kiedy tam będzie wpadać, więc nie nalegała i uznała domek za miejsce ucieczki od Tima i rozpadającego się małżeństwa.

Właśnie tu po raz pierwszy zdecydowała, że napisze tekst o zaginionej Jezebel Brentwood.

I to właśnie z powodu przyjaciółki czuła, że coś jej zagraża. Jakby ktoś ją obserwował i śledził. A wszystko z powodu pierwszego wyjazdu do Deception Bay.

Rodzice adopcyjny Jessie, Brentwoodowie, niechętnie rozmawiali z Renee, kiedy przedstawiła im pomysł napisania o ich zaginionej córce. Znali Renee i lubili. W pew-

nym sensie nadal łączyła ich z Jessie jako jej dawna przyjaciółka, która przez długie lata utrzymywała z nimi kontakt, ale nie podobał im się pomysł wyciągania wszystkiego na światło dzienne. Nadal wierzyli, że pewnego dnia Jessie stanie w progu. Zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

Renee delikatnie upierała się przy swoim, ale kiedy zapytała o biologicznych rodziców Jessie, oboje zacisnęli usta, jakby bali się wyjawić tajemnicę państwową. Zapytała ich wprost, dlaczego tak się zachowują, dlaczego nie chcą mówić o adopcji, ale żadne z nich się nie odezwało. Jedyny strzęp informacji, jaki zdobyła, to fakt, że adopcję załatwiono prywatnymi kanałami w małym miasteczku nadmorskim Deception Bay. Brentwoodowie mieli tam dom, ale od dawna do niego nie jeździli. Renee zapytała, czy Jessie o tym wiedziała. Bywała tam kiedyś przy jakiejś okazji? Mogła tam uciec? Brentwoodowie zapewnili ją, że nie, Jessie nigdy nie jeździła do tego domu. Poza tym zaczęli poszukiwania właśnie od tego miejsca, ale nie znaleźli nawet śladu i z pewnością nie pojawiła się tam od czasu zaginięcia.

Ta informacja sprawiła, że Renee trafiła na wybrzeże i do Deception Bay. Zadała kilka pytań miejscowym na temat okolicy, jak tu jest, kto z jakiej rodziny pochodzi - pytała o cokolwiek, co przyszło jej do głowy, aby podtrzymać rozmowę. A wtedy wspominała mimochodem, że знаła rodzinę, która adoptowała córkę z okolic Deception Bay i że przyjaźniła się z nią w szkole. Nikt niczego nie wiedział, ale jeden stary wilk morski, który spędzał czas na ławce nad oceanem i karmił mewy - denerwując tym ludzi z miasteczka, którzy uważali ptaki za żerujące na śmieciach szkodniki - powiedział jej, że powinna zobaczyć się z Szaloną Maddie.

- Szaloną Maddie? - powtórzyła niepewnie.

- Tam mieszka... - Machnął na skalisty pagórek. - Kiedyś było tam parę ładnych hoteli. Teraz ruina. Maddie ma jeden z nich. A przynajmniej w nim mieszka. Któregoś dnia jakaś wielka firma hotelowa wykupi to wszystko i wybuduje coś wielkiego. Żeby tam mieszkać, trzeba będzie wywalić fortunę, ale na razie nic się nie dzieje.

- Myśli pan, że Szalona Maddie pomoże mi znaleźć biologicznych rodziców przyjaciółki?

- Ma naprzytkane we łbie, kompletnie jej odbiło. Czyta przyszłość. - Zachichotał. - Opowie pani mnóstwo bajeczek.

- Jest jasnowidzem? Parsknął śmiechem.

- A niech to sobie pani nazywa, jak chce. Ona i jej zwariowana rodzinka. Renee pojechała kretą drogą na szczyt pagórka i musiała przyznać rację

staremu rybakowi, że widok stamtąd był piękny. Pewnego dnia jakaś firma może rzeczywiście wybuduje tu coś „wielkiego” i będą mieli cudowny widok na Pacyfik. Ale na razie z motelu niewiele zostało poza szarym, zniszczonym ciągiem partero-

wych budynków z wałącymi się wiatami i zarośniętym żwirowym parkingiem. Stało tam też parę równie smutnych samochodów, wypożyczanych na dzień, tydzień albo miesiąc według ręcznie wypisanej tabliczki opartej o ścianę.

Renee zgadła, że budynek na końcu to dom Szalonej Maddie, bo przed frontowymi drzwiami stały różne rzeczy: używane meble, stare plastikowe zabawki, kuchenka na butlę, która pamiętała lepsze czasy, najróżniejsze sprzęty kuchenne i łazienkowe, kilka krzeseł ogrodowych ustawionych tak, żeby było widać zbliżających się gości i zasłaniających widok na tyły po zachodniej stronie. Raj dla kolekcjonera szpargałów.

Zapukała do drzwi, na których wisiała przekrzywiona tabliczka: „Biuro”. Chwilę trwało, nim Szalona Maddie otworzyła drzwi. Renee zobaczyła kobietę o siwych włosach zebranych w kok i nieprzytomnej, pozbawionej wyrazu twarzy. Wyglądała na dobrze po sześćdziesiątce, ale Renee uznała, że równie dobrze mogła być dziesięć lat starsza lub młodsza.

- Pani jest... Maddie?
- Szuka pani pokoju?
- Właściwie to... powiedziano mi, że pani... czyta? Coś zmieniło się w jej szarych oczach.

- Pani do madame Madeline. Odsunęła się na bok i wpuściła Renee.
- Tak.

I Szalone Maddie, znana też jako madame Madeline, usadziła Renee na kanapie ze sztucznej skóry, w której sprężyny prawie wystawały na zewnątrz przez zniszczone pokrycie. Potem wyciągnęła równie zniszczone karty tarota. Renee była zafascynowana. Przeszedł ją dreszcz. Wyczuwała coś niesamowitego i autentycznego w tej starej kobiecie, z czym niemal sterylnej, fałszywej tarocistki, którą odwiedziła z Tamarą, nawet nie mogła się równać. Tu, zamiast przyprawiającego o ból głowy zapachu kadzi-dełka pachniało gnijącym drewnem i solą morską.

Dziwne przecucie ogarnęło ją chłodem i Renee odruchowo roztarła ręce. Szalona Maddie spojrzała na nią beznamiętnie i serce Renee zabiło szybciej. Kobieta nawet nie patrzyła na karty. Spoglądała prosto na nią.

- Czego chcesz?

Renee zaczęła paplać o przyjaciółce, że szuka jej biologicznych rodziców, że chodziły razem do szkoły, do Świętej Elżbiety, i że dziewczyna zniknęła lata temu, i Renee jej szuka. Powiedziała więcej, niż planowała, nieco podenerwowana milczeniem Maddie. Tylko raz kobieta poruszyła się w trakcie opowieści. Spojrzała przez ramię na tyły motelu. Renee odruchowo też tam zerknęła, ale niczego nie zobaczyła. Powiew zimnego wiatru uderzył o szyby i Renee prawie podskoczyła.

- Nie żyje-powiedziała Maddie.
- Jessie? Jezebel? - Poczuli się zaszokowani tym śmiałym stwierdzeniem.
- Jezebel... - Wtedy właśnie Maddie zerknęła ze strachem przez ramię.
- Widzi to pani?

Maddie jednak wróciła do kart, do banalnych wróżb, ale sens jej słów zamazywał się, jakby zapominała, co mówiła, zanim skończyła myśl. Uwagę Renee bardziej przyciągało pomieszczenie i wydawało jej się, że zobaczyła cień podpełzający do uchylonych drzwi na tyłach.

I wtedy Maddie powiedziała, że pisana jest jej rychła śmierć. Tak po prostu. Jej albo jednej z przyjaciółek ze szkoły.

I na tym skończyło się czytanie z kart.

Teraz już Renee nie była pewna, czego właściwie się dowiedziała. Zaczęła wierzyć, że Maddie rzuciła „nie żyje” tylko po to, aby nią wstrząsnąć. Taka sztuczka. Cholernie skuteczna, ponieważ Renee nie mogła się od tego uwolnić. I wtedy odkryto szkielet w labiryncie i Renee przeszły solidne ciarki.

Jessie nie żyła?

Czy to mógł być zbieg okoliczności?

Nawet teraz dreszcze ją przechodziły na to wspomnienie i z trudem nad nimi zapanowała. Obiecała sobie, że nie będzie się tym przejmować, i ruszyła do kuchni. Pokroiła ser i jabłka, ułożyła na talerzu z krakersami, znalazła kawę, którą zostawiała w szafce podczas ostatniego pobytu, zaparzyła dzbanek bezkofeinowej i postawiła na starym biurku w kącie, gdzie położyła też laptopa. Sącząc kawę i jedząc owoce z serem, zaczęła pracować nad tekstem.

Zamiast skupiać się na wrażeniach i uczuciach, zaczęła tak jak zwykle przy przygotowywaniu tekstu. Od notatek ze spotkania w Blue Note - co myślała o dziewczynach, które rzekomo były najlepszymi przyjaciółkami Jessie i które najlepiej ją znały, i o chłopcach, którzy jej pragnęli i których uznał za podejrzanych detektyw Sam McNally, obecnie gliniarz od zabójstw. Kiedy Jessie zniknęła, McNally zajmował się jej sprawą. Uparł się, że odnajdzie dziewczynę, która słyndła z ucieczek z domu. Prawie się w niej zadurzył. Renee zanotowała sobie, żeby sprawdzić, czy McNally miał jakieś powiązania z Jessie, zwłaszcza coś natury romantycznej albo seksualnej. O, ten aspekt historii z pewnością zainteresuje ludzi. Chociaż Jessie była dziewczyną Hudsona, Renee domyślała się - ze względu na jej prowokacyjne zachowanie - że sypiała też z innymi chłopcami i mężczyznami. Nie miała pojęcia z iloma i jak często, ale może powinna sprawdzić McNally'ego.

Zmarszczyła brwi, zapominając o kawie. Problem polegał na tym, że nikt tak naprawdę nie znał Jessie. Ani jej rodzice, ani chłopak, który rzekomo ją kochał, ani jej przyjaciele. Była tajemnicą za życia, a po śmierci stała się nią jeszcze bardziej.

Renee zerknęła na imiona chłopców i w zamyśleniu zatrzymała się na swoim bracie: Hudson Walker. Nigdy nie lubił mówić na temat Jessie. Kiedyś Renee myślała, że po prostu nie chce zdradzać „tajemnic alkowy” - Hudson miał własny kodeks honorowy - ale może tak naprawdę nigdy nie był tak zaangażowany uczuciowo, jak wszyscy myśleli.

Zanotowała coś sobie i przy imieniu Becki postawiła znak zapytania. Jej brat bardzo się na nią napalił kilka lat po zniknięciu Jessie i wyglądało na to, że ten ogień nie zgasł.

Kątem oka dostrzegła cień za oknem.

O Boże! Zamarła, kiedy ciemna postać poruszyła się. Serce zabiło jej gwałtownie. Za oknem pojawiła się zacieniona przez kaptur twarz o martwych oczach - w życiu nie widziała równie martwych oczu.

Jezu!

Serce jej stanęło.

Powstrzymała krzyk i zerwała się z krzesła tak szybko, że runęło na podłogę.

Szukając nerwowo jakiejś broni, czegokolwiek, spodziewała się, że w każdej chwili szkło rozprysnie się na kawałki. Omal nie przewróciła się o krzesło, pobiegła, potknęła się w ciemnym korytarzu.

Wyobrażasz to sobie, wyobrażasz sobie, do jasnej cholery, po prostu wyobrażasz sobie! Zakradła się do ciemnej kuchni, gdzie tylko odrobina światła sączyła się przez okna i tylne drzwi... O, do diabła, czy były zamknięte? Podeszła i sprawdziła zasuwkę, a potem z gęsią skórką na rękach złapała nóż rzeźniczy ze stojaka na blacie i popędziła z powrotem do korytarza, w którym nie było okien.

Zimny pot spłynął jej po kręgosłupie. Wiatr gwizdał w krokwiach. Komórka! Do cholery, zadzwoń z niej!

- O Boże - szepnęła, kiedy dotarło do niej, że telefon leży w torebce na biurku.

Poruszając się bezszelestnie, ogłuszana własnym tętnem w uszach, posuwała się korytarzem krok za krokiem. Dłoń, w której ścisnęła trzonek noża, stała się wilgotna. Renee była pewna, że w każdej chwili ktoś - albo coś - skoczy na nią z sypialni albo ze schowka na szczytce.

Ostrożnie, z tętnem walącym w skroniach, weszła z powrotem do salonu. Ledwie śmiała oddychać, kiedy wychyliła głowę, żeby rozejrzeć się po pokoju i zerknąć za okno.

Żadnej postaci.

Żadnego cienia.

Nic, tylko mrok za oknem przy drzwiach. Zniknął?

A może skołowany umysł spletał jej potwornego figla?

Pogasiła światła w domu i - nie licząc delikatnej poświaty od ekranu komputerowego - zrobiło się całkiem ciemno. Czekwała, aż oczy przyzwyczają się do mroku i po-deszła do okna. Wyjrzała.

Żadnej twarzy.

Żadnych martwych oczu.

Nikt się nie czał do skoku.

Widziała tylko drżące cienie jodeł w pobliżu ganku. Ale z ciebie paranoiczka, kompletna wariatka!

Odłożyła nóż, a potem szybko pozamykała żaluzje, sprawdziła raz jeszcze okna i zasuwki, i wróciła do komputera, nadal czujnie zerkając za siebie jednym okiem. W Internecie wyszperała wszystko, co się dało, na temat Jezebel Brentwood, szkoły średniej Świętej Elżbiety, dziewczyn, które zniknęły w tym samym czasie co Jessie, i detektywa Samuela McNally'ego z wydziału policji w Laurelton.

Nie położyła się przed drugą a przedtem sprawdziła raz jeszcze wszystkie zamki. Położyła nóż rzeźnicki na nocnej szafce i zapadła w niespokojny sen; wspomnienia ze szkoły średniej sprawiały, że przez całą noc rzucała się i przewracała z boku na bok.

Następnego ranka, gdy już nie mogła dłużej spać, zobaczyła wielki nóż, który zostawiła przy łóżku, i w duchu wyśmiała swoją paranoję.

- Idiotka - mruknęła.

Nadal pozwalała, aby wpływały na nią różne dziwne rzeczy związane z historią Jessie.

Postanowiła, że otrząśnie się z tego wszystkiego; wzięła prysznic, włożyła kostium i przez blisko dwie godziny spacerowała samotnie po zamglonej plaży, czując słoną mgiełkę na nosie i policzkach. Potem wróciła do domu i raz jeszcze przejrzała notatki, mając nadzieję, że coś rzuci jej się w oczy. Miała adres domu Brentwoodów. Przyjechała na wybrzeże między innymi po to, żeby go odnaleźć, więc wsiadła do samochodu. Próbowwała kierować się mapą okolicy i żałowała, że nie ma systemu GPS. Chwilę błądziła, wjechała w kilka ślepych ulic, ale wreszcie znalazła właściwe miejsce. Budynek był podniszczony, jak wiele innych w tej okolicy. Przyjrzała mu się uważnie - niski dom w stylu rancza z wielkim oknem i, przy ładnej pogodzie, z niewiarygodnym widokiem na ocean. Dzisiaj jednak było szaro i pochmurno, mgła oblepiała okoliczne wzgórza, przesłaniając horyzont. Morze w kolorze stali zlewało się z mgłą a opuszczona latarnia na skale przy brzegu była całkiem niewidoczna.

Czy Jessie kiedykolwiek tu zaglądała w czasie ucieczek? Renee miała ochotę pokreć się przy domu i obejrzeć go lepiej, ale zmieniła zdanie, kiedy pojawiła się ekipa sprzątaczy w furgonetce, i zaparkowała na podjeździe. Zerknęli na Renee, która wróciła do samochodu. Najwyraźniej dom wynajmowano. Nie było tam miejsca dla Jessie.

Renee wróciła do Deception Bay i stanęła przy cukierni, gdzie kilku klientów popijało poranną czarną kawę z cynamonowymi bułeczkami, croissantami i drożdżówkami. Wnętrze Sands of Thyme było ciepłe i pachniało kawą oraz przyprawami. Na kilku stolikach leżały rozłożone gazety, a ściany obwieszono półkami z kawą, herbatą, przyrządami do ich parzenia oraz kubkami - wszystko na sprzedaż.

- Zna pani madame Madeline? - zapytała dziewczynę przy kasie.

Dziewczyna prychnęła lekceważąco.

- Ona ma nie po kolei w głowie, skoro już mnie pani pyta. Przy niej ci nawiedzeni z Pieśni Syreny wydają się całkiem normalni.

- Ej! - krzyknął mężczyzna na tyłach. Zapakował pokrojony bochenek chleba, rzucając dziewczynie znaczące spojrzenie, żeby nie plotkowała z klientami. Maszyna do espresso zawyła, plując pianą do wielkich kubków.

- Pieśń Syreny?

- Ten wielki dom na urwisku. - Wskazała na ocean po drugiej stronie autostrady, gdzie ląd przechodził nagle w Góry Nadbrzeżne.

- Wszyscy tam noszą dziwne rzeczy i głupio się zachowują. Mam wrażenie, że głowy im się obróca o sto osiemdziesiąt stopni, jak człowiek będzie się im za długo przyglądał.

- Ale pilnują swojego nosa - rzucił głośno i znacząco mężczyzna na tyłach.

Kasjerka powiedziała bezgłośnie: „Przykro mi”. Renee wzięła cappuccino do stolika, przejrzała nagłówki w gazecie i uznała, że w porównaniu z „Coastal Clarion” taki szmatławiec jak „Star” wydaje się wręcz wyrafinowany. Myśląc, że lepiej będzie odwiedzić Maddie później, spędziła trochę czasu na rozwiązywaniu krzyżówki. Zorientowała się, że starsi państwo przy sąsiednim stoliku musieli podsłuchać jej rozmowę z kasjerką, bo usłyszała, jak kilka razy wspomnieli o Pieśni Syreny. Starsza kobieta rozwinęła plastikowy kapelusz przeciwdeszczowy i oświadczyła cierpko:

- .. moim zdaniem tylko z nimi kłopoty. Jak z tymi w Waco albo... Arizonie. Pod każdym względem zachowują się dziwnie. I tak już ponad sto lat.

Towarzyszający jej mężczyzna w grubych okularach, ubrany w kraciatą kurtkę i czapkę kierowcy, skinał głową. Wstał i schował pod ramię złożoną gazetę.

- To nic dobrego. Na szczęście trzymają się z boku.

Wyszli z cukierni - on o lasce, ona trzymając go pod rękę - na drobny deszcz, a Renee podsłuchiwała teraz rozmowę trzech kobiet. Najwyraźniej wyrwały się z domów na weekend. Ze śmiechem opowiadały sobie zabawne wybryki swoich małych dzieci.

Darowała sobie słuchanie, wyszła z cukierni i ruszyła przez miasto. Jej oddech zamieniał się w mgiełkę w chłodnym powietrzu; wszędzie pachniało morzem. Od czasu do czasu widać było ocean wzdłuż uliczek biegnących ze wschodu na zachód. Kilka samochodów niespiesznie przejechało wąskimi uliczkami, ale bardzo niewielu pieszych odważyło się stawić czoło zimowej marznącej mżawce. Zmarnowała trochę czasu w przytulnym sklepie z antykami, którego właścicielka - kobieta w średnim wieku z krótko obciętymi siwiejącymi włosami - cały czas uważnie ją obserwowała. Renee zaczęła rozmowę, pytając o dom zwany Pieśnią Syreny, ale kobieta odpowiedziała szybko:

- To sekta. Głównie kobiety. Są tu dłużej, niż istnieje Deception Bay. Może to pani sprawdzić. Słyszałam, że kilka dziewczyn pracowało w miasteczku, ale szybko zabrano je stąd z powrotem.

- Macie tu trochę ciekawych postaci - zauważyła Renee. - Wpadłam kiedyś na madame Madeline.

- Madame Madeline? - parsknęła. - Jeśli jest jasnowidzem, to ja jestem królową Sabą.

Renee nie wiedziała, czy po tym stwierdzeniu powinna czuć się lepiej, czy gorzej. Ale kiedy zauważyła na zegarku, że już dziesiąta, wróciła do samochodu i pojechała do starego motelu Maddie. Opony zazgrzytały na zarośniętym chwastami żwirze, a kiedy zatrzymała się, ciemna chmura odcięła resztki białych, słonecznych promieni. Wsiadła z wozu i znowu się zawahała. Po co tak naprawdę tu przyjechała? Co ta stara kobieta mogła jej powiedzieć, czego Renee już nie wiedziała?

Zła na siebie wróciła do samochodu i ruszyła do domku, w ostatniej chwili zjeżdżając w stronę Pieśni Syreny. Po dłuższej chwili znalazła wielki dom osłonięty od drogi przez jodły. Dojrzała tylko okna, gont, kamienne kominy. Budynek przypominał jej stare domy na północnym zachodzie, jak ten zbudowany w Crater Lake albo Timberline, tyle że był o wiele mniejszy.

W domu siadła przed laptopem, zastanawiając się, czy powinna zostać i jeszcze popracować, czy wracać do Portland i tysiąca problemów z Timem, które na nią czekały. Schowała laptopa do pokrowca i poszła do sypialni. Wzięła T-shirt, który pełnił funkcję koszuli nocnej, i wrzuciła go do torby. Spakowała kilka drobiazgów z łazienki, a potem rozejrzała się po sypialni, zamierzając skończyć pakowanie.

Omiotła wzrokiem nocną szafkę i natychmiast do niej podeszła.

Nie było noża.

Sprawdziła dokładniej. Nie znalazła go na szafce ani na podłodze obok łóżka.

Odetchnęła głęboko i wróciła do kuchni. W stojaku znajdowały się wszystkie noże oprócz rzeźnickiego. Renee krzyknęła ze zdumienia. Gdzie, u diabła, podział się ten nóż? Dobry Boże... jak? Kto? O, cholera.

Nasłuchując wiatru hulającego w starym domu, skrzypienia drewna, delikatnych uderzeń deszczu o dach i łomotu własnego serca, próbowała wychwycić obcy dźwięk. Czy w domu krył się ktoś obcy? Pomyślała o poddaszu, drugiej sypialni, do której nigdy nie zaglądała, i jej krew zamieniła się w lodowatą strużkę.

Musiała pójść na górę i sprawdzić. Ta myśl ją przerażała. Już była u stóp schodów, kiedy zmieniła zdanie, zawróciła, złapała torbę, laptopa i torebkę i pobiegła do drzwi. Zamknęła je za sobą na zamek.

Widziała twarz w oknie. Naprawdę widziała. Ciemną postać o nieruchomych oczach.

Widziała... prawda?

Siadła za kierownicą toyoty, wycofała się podjazdem, niemal przewracając skrzynkę na listy, wrzuciła bieg i jeszcze raz zerknęła na dom. Zasłony na poddaszu poruszyły się delikatnie. Renee była absolutnie pewna, że za nimi chowało się coś mrocznego i złowieszczonego.

Dopiero kiedy przejechała wiele kilometrów na północ, dociskając gaz na krętych drogach wysoko ponad poziomem morza, a latarnia morska stała się ledwie widoczna na maleńkiej skale, zaczęła oddychać.

Przez okno na górze obserwuję, jak odjeżdża.

Przerażona.

Drżąca.

Biega jak przestraszony kurczak, który ucieka przed lisem. Rzuca torby na tylne siedzenie. Już za późno. Wiem, co miała na ekranie komputera, wiem, gdzie była, co robiła. Za bardzo się zbliża - zatrzymała się w sklepie tej starej, zadawała pytania. Ta cholerna starucha. Nie można jej ufać. To było do przewidzenia, dawno trzeba było załatwić tę starą wiedźmę.

Myślę o tym - o zabiciu tej starej, tej zdrajczynie. Nie pierwszy raz o tym myślę, podejrzewam, że więcej wie, niż udaje, ale tutaj, w tym małym, plotkarskim miasteczku to może nie być takie proste.

A teraz są jeszcze inni, jedna z nich właśnie ucieka.

Ale nie ucieknie daleko.

Wiem, dokąd pojedzie.

Z powrotem do tamtych.

Zaprowadzi mnie do nich.

Stojąc za firanką, dotykam długiego noża, który trzymam, i czekam, aż tylne światła jej samochodu znikną za rogami. Pojedzie na wschód, oddalając się od morza, potem autostradą która biegnie równoległe do oceanu, biorąc kolejne wiraże na północ, aż dojedzie do skrzyżowania, a wtedy pojedzie w głąb lądu.

Do innych.

Kiedy znika, przesuвам kciukiem po ostrzu jak brzytwa, wyobrażając sobie, co potrafi taka stal. Szybko i czysto, gładkie ciecie przez tętnicę szyjną.

Ale to nie jest dobry czas. Najpierw musi zaprowadzić mnie do pozostałych.

Chociaż ona nie ma zapachu, nie cuchnie.

Jest jednak jedną z nich.

Muszę ją śledzić.

Muszę ją powstrzymać.

Kiedy już nie będę jej potrzebować.

Rozdział 1 1

Glenn Stafford zbiegał po schodach w domu - ogromnej budowli w angielskim stylu o powierzchni ponad trzystu metrów kwadratowych, przy której kupnie uparła się Gia. Miał nadzieję, że żona nie złapie go przed wyjściem. Spóźni się do restauracji. Spóźni się z robotą. Spóźniony, wечно spóźniony.

I jeszcze dzwonił ten dupek, McNally, chciał się spotkać. Powiedział, że musi się spotkać ze wszystkimi. Ale czy mówił prawdę? A może wybrał tylko Glenna? Jakby miał ku temu jakiś powód. Dobry Boże, skąd. Glenn ledwo znał Jessie Brentwood. Była dziewczyną Hudsona, chociaż lubiła flirtować. Ale nie interesowała się poważnie Glennem, żadnym z nich, no może... Zeke? Ale to nie trwało długo. Nie, ta dziewczyna zwróciła uwagę tylko na Hudsona Walkera, wtedy, teraz i pewnie na wieki wieków.

Glenn przeszedł na tyły domu. Spławił McNally'ego. Boże, nie potrzebował dodatkowych stresów. Restauracja mu wystarczała. Przecież tyle razy słyszał, że prowadzenie restauracji jest strasznie ciężkie, nie? Nie? Jednak wierzył w siebie, wierzył w

Scotta. Ale, Jezu... zaczęli tracić pieniądze. Jak? Jak przyciągnąć ludzi, jak lepiej się zareklamować? Potrzebowali więcej reklam w Internecie? Co powinni zrobić, żeby restauracja stała się „modna”, znalazła „na fali”, czy jak to się teraz mówiło? Za mało ludzi wiedziało o Blue Note. Ta cholerna knajpa w Lincoln City jeszcze nawet nie wystartowała, a Glenn już czuł, że okaże się klapą Studnia bez dna. Scott bardziej wierzył w sukces, to on wystartował na wybrzeże, żeby „poszerzyć wpływy”. Ale Glenn odpowiadał za Blue Note, a to był kiepski interes. Kiepski, słaby interes.

I... coś się nie zgadzało w finansach. Coś nie grało, dosłownie się nie bilansowało. Mieli jakiegoś szemranego pracownika, który znalazł sposób, żeby podciągać im pieniądze, kręcić w księgach albo inwentarzach? Rachunki zwyczajnie się nie zgadzały, ale Glenn jeszcze nie wiedział, skąd się bierze rozbieżność. Na razie. To tylko kwestia czasu.

Minął kuchnię i już stał z ręką na drzwiach do garażu, kiedy zauważył stos wczorajszej korespondencji. Cholerna Gia. Nawet jej nie przejrzała. Pewnie to góra rachunków, których nie mają zapłacić. I ta cholerna dzierżawa na restaurację. Rozbój w biały dzień. Po prostu tonęli w długach. Tonęli.

Glenn poczuł, że pali go w gardle. Zgaga. Żołądek pewnie miał cały we wrzodach. Już nawet nie miał ochoty zadawać się z Gią, ale z drugiej strony, od ostatniego poronienia zamieniła się w zapłakaną, obzerającą się czekoladą lalkę szmaciankę. Niech to diabli, kiedy się pobierali, przysięgała, że nie będzie chciała dzieci, a teraz ganiała za nim w koronkowej bieliźnie, dysząc zachłannie. Tylko tyle energii potrafiła w sobie wskrzesić - a wszystko w imię ciąży przez duże „C”.

Na szczęście ostatnimi czasy Pan Gotowy przez większość czasu siedział skulony i zwiotczały.

Co nie robiło najlepiej ich małżeństwu, ale Glenn miał ważniejsze problemy na głowie.

Był tak wściekły na Gię, że prawie zignorował pocztę. Jeśli w grę nie wchodził seks, była bezużyteczna. Jak królowa pszczół. Nadawała się tylko do kopulowania i składania jaj. Niech inni się nią zajmują. Któreś z tych odrażających owadów - może termity - mają królową, która jest białym, trzęsącym się glutem. Nie może się nawet sama poruszać, robotnice muszą ją popychać i szturchać. Cóż, taka właśnie ostatnimi czasy była Gia. Glut.

- Glenn?

Spojrzał. Proszę, oto glut. Wstał z łóżka. Miała zaczerwienione oczy i potargane włosy. Kiedyś była ładna, jeszcze nawet nie tak dawno temu, ale teraz już jej nie zależało. Po prostu nie zależało.

- Dokąd idziesz?

- Do pracy.
- Myślałam, że dziś wieczór masz wolne - zaczęła jęczeć.
- Nigdy nie mam wolnego. Nigdy. Pracuję cały czas. To się nazywa być właścicielem interesu, rozumiesz?

A co ty robisz?!

- Dlaczego nie możesz dzielić się obowiązkami ze Scottem?
- Bo Scott jest w Blue Ocean, próbuje dopasować menu do klienteli. A w Blue Note same problemy.

- Nie mamy życia, Glenn. Zero życia! - Załamana ręce. - Co my zrobimy?
- Nie wiem, co ty zrobisz, ja idę do pracy.
- Kiedy Scott wraca?
- Nie wiem - wymamrotał.

Kłamał. Scott zwykle wracał w niedziele, pod koniec weekendu, a potem jak w banku pojawiał się w Blue Note. Ten człowiek był wszędzie, zaglądał Glennowi przez ramię, krytykował, wytykał rzeczy, które go nie zadowalały. Glenn nie mógł mieć do niego pretensji, chociaż chętnie by miał. W tej chwili chciałby móc mieć do kogoś pretensje. Do kogokolwiek. Naprawdę nie chciał dziś stawiać czoła Scottowi, chociaż wspólnik zapowiedział, że zjawi się później. No dobrze. Muszą porozmawiać. Poważnie. Trzeba coś zrobić, zanim interes padnie. Ponieważ osobiście zabezpieczał pożyczki pod Blue Note i Blue Ocean, wszystko, łącznie z tym ogromnym domem, przypadnie. Jak wtedy będzie się czuła Gia?

- Dlaczego nie przejrzałaś poczty?
- Co? Och. - Potarła czoło rękami.

Bezużyteczny ciężar, które spał przez cały dzień i noc. Glenn nie mógł sobie wyobrazić, co ona myślała - że co robi z dzieckiem? Z tego co słyszał, dzieci w ogóle nie dają spać.

- Nie-nie wiem. Wzruszyła tłustymi ramionami. Boże, była do niczego.

Glenn zgarnął stos i przejrzał listy, robiąc z tego wielkie przedstawienie, żeby wiedziała, że to on odwała całą robotę, on ich utrzymuje, tylko on.

- O której wrócisz?

Spuściła brodę i spojrzała na niego spod oka. Jeśli myślała, że to seksowne, to czekało ją wielkie rozczarowanie. Była równie seksowna jak zimny pasztet.

- Zadzwoń - mruknął. Rachunki, rachunki, rachunki.

Reklamówki nowych telefonii komórkowych, które pewnie kosztowały fortunę, gdy doliczyć ukryte koszty. Kilka uwag do „mieszkańca”, co było naprawdę wkurzające, jeśli się nad tym chwilę zastanowić. Nawet nie raczyli sprawdzić, kto tu mieszka. Te listy poszły prosto do śmieci.

Karta zaadresowana do niego bez adresu zwrotnego: „Glenn Stafford”.

Nie wspomniano w ogóle Gii.

Hę?

Gia odgarniała rozjaśnione włosy.

- Mogłabym na ciebie poczekać.

Wątpliwe. Padnie w godzinę, jeśli dorwie się do wina, a robiła to niemal co wieczór.

Aha. Małżeństwo doskonałe.

- Wrócę późno.

Glenn schował kopertę do kieszeni i wyszedł do samochodu. Honda. Porsche sprzedał w zeszłym roku. Za bezcen. To naprawdę bolało, ale nie stać go było na porsche, skoro miał dwie hipoteki na karku. Cały czas wierzył, że cholerna restauracja zacznie przynosić zyski, ale była jak głodny aligator, który wbił zębiska w tyłek Glenna. I odgryzała kawałek po kawałku, miesiąc za miesiącem.

Pojechał do Blue Note w ponurym nastroju. Zerkał we wsteczne lusterko częściej niż zwykle. Wszystkie te rozmowy i spekulacje na temat Jessie Brentwood sprawiły, że odzywał się w nim paranoik. Jakby życie z Gianie wystarczało, żeby zwariować. Nikt za nim nie jechał, przynajmniej dziś wieczór, ale ostatnio miał wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Gia. To Gia, idioto. W każdej sekundzie chce wiedzieć, gdzie jesteś.

Zaparkował na tyłach budynku. Wyłączył silnik i przez kilka chwil siedział i słuchał tykania stygnącego motoru.

Co ma zrobić?

Co, u diabła, ma zrobić?

Był w pułapce.

Bez wyjścia.

Wściekły na świat, zatrzasnął drzwi samochodu i zaklął, ale kiedy zerknął drugi raz, zorientował się, że to szop pracz, który skończył grzebać w śmietniku.

- Cholerne szkodniki - mruknął, obchodząc budynek i idąc do frontowego wejścia.

Lubił zaskakiwać pracowników. Widział wtedy, gdzie kto stoi, kto rzeczywiście pracuje, a kto tylko miele ozorem. Pete zdecydowanie się objął. Facet gadał i kręcił się, czarował klientów, ale w niczym nie pomagał, jeśli idzie o konkretną robotę. Dlaczego ludzie go lubili, stanowiło dla Glenna niepojętą zagadkę. Już przeleciał dwie kelnerki na zapleczu, jedną przy ścianie, według relacji Luisa. Kucharz ledwo mówił po angielsku, ale incydent opisał bez trudu. Glenn musiał porozmawiać z Pete'em, któ-

ry tylko uśmiechnął się krzywo i oznajmił, że nie mógł nad tym zapanować. Glenn z miejsca by go wywalił, ale Scott się wtrącił. Zwrócił uwagę, że Pete nakręca interes, i niech to cholera, miał rację.

Glenn poczuł, jak Pan Gotowy poruszył się na myśl o kelnerce na zapleczu. Jego uśpiona męskość potrafiła o sobie przypomnieć przy właściwej zachęcie. Takiej jak napalona kelnerka. Glenn chętnie przeleciałby jedną przy ścianie do nieprzytomności, ale nie miał odwagi. Prosiłby się o pozew sądowy. O molestowanie seksualne. A wtedy Gia rozwiodłaby się z nim i zabrała mu wszystko, czego nie pożarłby pozew.

Ugrzązł z Gią, jęczącą królową termitów, pomyślał po raz tysięczny. Od którejkolwiek strony by na to spojrzeć, tkwił w pułapce. Pomyślał o spotkaniu, które się tutaj odbyło. Becca, Tamara, Renee wyglądały rewelacyjnie. Zadbane. Zgrabne. Piękne. I interesujące. Jezu, każda z nich była lepsza od Gii.

W środku mroczne pomieszczenia rozbrzmiewały rozmowami, podzwanianiem szkła. Ludzie śmiali się, jedli... pili. Minał kilka salek oddzielonych zasłonami, gdzie klienci zajęci byli kolacją. W Blue Note panował wyjątkowo duży ruch i kiedy Glenn rozejrzał się wprawnym okiem, uznał, że cały personel jest na swoim miejscu. Tylko ludzie pod oknem na drugim końcu sali nieco go zaniepokoiłi. Wyglądało na to, że od dłuższej chwili nikt się nimi nie zajmował, a po ich przystawkach i aperitifach dawno nie zostało śladu. Glenn już miał naprawić ten błąd, kiedy zauważył, że dotykają się stopami pod stolikiem, i dotarło do niego, że obsługa dała im nieco czasu, ponieważ klientom nie jedzenie było w głowie.

Pewnie mają romans, pomyślał z odrobiną zazdrości. Ale był dumny ze swoich kelnerów. Wyczucie. Tego potrzebowała restauracja. Umiejętności odczytywania potrzeb klientów, niezależnie od tego, czy dotyczyły picia, jedzenia czy czegoś innego.

Przeszedł przez kuchnię. Luis i pozostali przygotowywali posiłki, pracując jak dobrze naoliwiona maszyna. Miesiąc temu stracili szefa kuchni, ale Patrick to był czubek, a nie szef. Luis, który miał niewiele doświadczenia, to tylko tymczasowe rozwiązanie. Szybko się uczył, ale restauracji brakowało popisowych dań, czegoś, co by ją wyróżniało spośród setek innych lokali w mieście.

Ajeśli nie znajdą czegoś niepowtarzalnego, co sprawi, że wszyscy zaczną mówić o Blue Note, będą mieli poważne kłopoty. Już mieli.

Glenn wziął szklanekę z baru, wsypał do niej lodu i nalał sobie trochę burbona. Wypił łyk i natychmiast poczuł się lepiej, a potem ruszył do biura na tyłach, gdzie usiadł w starym, skórzanym fotelu. Jego królestwo. Na ścianach wisiały stare zdjęcia. Jego zdjęcia. Scotta. Nawet kilka sprzed miliona lat - z kumplami ze Świętej Elżbiety. Na jednym uśmiechnięta twarz Zeke'a, Jarrett, Hudson, Trzeci, Scott i on sam... bez dziewczyn. Bez Jessie.

Zastanawiał się nad nią i naprawdę miał nadzieję, że to nie jej ciało znalezione przy starej szkole. Lubił myśleć, że uciekła, związała demonom, które ją ścigały. Dziewczyna Hudsona.

Aha, jasne.

Taka laska jak Jessie... tajemnicza i niebywale seksowna, nie należy do nikogo. Niech to szlag, to była naprawdę niezła sztuka. Naprawdę gorąca!

Więc co się z nią stało? Glenn znowu pomyślał o straconych okazjach, kiedy włączał komputer, żeby pośłęczec nad księgami. Boże, zalegali z mnóstwem płatności.

Żołądek mu się ścisnął, kiedy spojrział na sumę.

To szokujące, ile banków zaoferowało im kredyt, ale z drugiej strony, Scott potrafił bajerować, kiedy trzeba było. Wiedział, jak sfinalizować transakcję. Umiał czarować, namawiać, przyciskać sprzedawców jak wirtuoz. Czasem Glenn zastanawiał się, jak to wszystko się skończy. Jeśli sytuacja się nie poprawi, nie tylko nie spłaca dzierżawy, ale nie starczy im nawet na pensje. A przecież powinni mieć więcej funduszy. Jasne, że ostatnimi czasy w restauracji nie szło najlepiej, ale jak już zdarzał się dobry dzień, to był naprawdę dobry.

Wystarczy spojrzeć choćby dzisiaj.

Postanowił poszukać źródła ich problemów z gotówką, więc przejrzał rachunki wyjątkowo starannie. Nie miał fachowego wykształcenia w rachunkowości i finansach, ale wiedział, kiedy zalegał z opłatami i czy restauracja ma dość pieniędzy, żeby spłacić należność.

Dwie godziny później, kiedy skończył żonglować cyframi i dokonał minimalnych spłat zaległych rachunków, przypomniał sobie o liście. Wyjął go z kieszeni, obejrzał w świetle niebieską kopertę z napisanym na maszynie adresem. Wysłano go w Portland. Wyglądał na zaproszenie.

Rozciął kopertę nożykiem do listów i wyciągnął prostą, białą kartę:

„Z czego zrobieni są mali chłopcy? Z żab, ślimaków i psich ogonów. Z tego zrobieni są mali chłopcy”.

Glenn upuścił kartkę, jakby go sparzyła. Serce kołatało mu w piersi mocno i boleśnie. W ustach zaschło. Jessie!

Co jest, u diabła?

Spanikowany bez mała słyszał, jak Jessie nuci te słowa. Słyszał, jak wypowiada właśnie te wersy. „Z czego zrobieni są mali chłopcy...”

Starł się uspokoić, ale jak już obraz pojawił się w jego myślach, nie potrafił się go pozbyć. Jakby szkoła średnia była wczoraj. Doskonale pamiętał, jak bardzo pragnął pieścić krągłości Jessie. Pragnął jej żarliwie, z żądzą, która prześladowała go jak przekleństwo. Oczywiście, ona chciała tylko Hudsona. I nawet nie spojrzała na Glenna. Ale drażniła się z nimi. O, i to jeszcze jak. Tym seksownym nuceniem, kołysaniem biodrami, znaczącym spojrzeniem i czymś w sposobie mówienia, co wydawało się bardziej dorosłe niż u innych dziewczyn. Ona wiedziała pewne rzeczy. Właśnie to powiedziała Vangie tamtego wieczoru? Że Jessie wiedziała.

Przeszedł go dreszcz, kiedy jej obraz powrócił do jego umysłu.

Boże w niebiesiech, jakże chciał, żeby jej nogi oplotły go w pasie, chciał w nią wejść. Po prostu włożyć jej, z całej siły. Wyobrażał sobie, jak Jessie odrzuca głowę, jak rozchyła usta, jej oczy jak lśniące agaty.

Pan Gotowy stanął na baczność i Glenn już sięgnął, żeby się tym zająć, gdy dotarło do niego znaczenie kartki i pożądanie zwiędło - szybciej niżby uczynił to kubek zimnej wody.

Czy Jessie żyje?

Musi!

- Panie Stafford?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi gabinetu.

Glenn natychmiast przywołał się do porządku, schował kartkę do kieszeni i otworzył drzwi. Amy, jedna z niedawno zatrudnionych osób, która nie miała jeszcze nawet osiemnastu lat, spojrzała na niego jak zwykle wzrokiem przerażonej łani.

- Jest pan Pascal, ale rozmawia z policjantem. Prosił, żebym po pana przyszła.

- Zaraz będę - odparł.

Policjant...? McNally! To na pewno on. Co za człowiek. Musiał przyjść do nich do pracy?

Glenn przejrzał się w lustrze, wciągnął brzuch i obiecał sobie ograniczyć porcje makaronów. Wyszedł z biura spokojnym krokiem i pewny siebie poszedł do frontowej części restauracji, chociaż coraz bardziej się niepokoił.

Oczywiście, to był ten gliniarz. Teraz dwadzieścia lat starszy. Ale, Jezu, wyglądał lepiej niż wtedy, łajdak. Jak to możliwe? Wtedy był po dwudziestce, a teraz po czterdziestce, a wydawało się, że nie stracił ani jednego cholernego włosa na głowie. Wciąż ciemnobrązowe, tylko na skroniach lekko posiwiał. McNally spojrział na Glenna jasnymi, piwnymi oczami, świdrującymi jak stal. Robił wrażenie wysportowanego i twardego, i równie wrednego jak dwadzieścia lat temu.

Scott gładził łysą czaszkę gestem, który mógł znaczyć wszystko od zdenerwowania po rozbawienie. Uniósł brew, widząc Glenna. Lekko drwiącym tonem powiedział:

- Odwiedził nas detektyw Sam McNally.

- Pewnie nie jest to towarzyska wizyta - stwierdził krótko Glenn, starając się schować napięcie za uśmiechem. Miał nadzieję, że nie zazgrzytał zębami. - Chodźmy do mojego biura.

Amy i kilku innych pracowników patrzyło szeroko otwartymi oczami, jak idą korytarzem. Glenn miał ochotę zdzielić każdą z tych zachłannie gapiących się twarzy.

Siadając z powrotem za biurkiem, zauważył, że ręce mu trochę drżą. Niech to diabli. Położył jedną dłoń na drugiej na blacie biurka, podczas gdy Scott oparł się o ścianę, a McNally usadowił w jednym z klubowych foteli, jakby zamierzał zostać bardzo długo.

- Dzwoniłem do pana - powiedział, patrząc na Glenna.

- Aha, byłem... byłem zawałony robotą. - Cholera, czego wtedy chciał? -Nie miałem czasu na spotkanie z panem.

- Obaj jesteśmy zajęci - wtrącił Scott. - Wróciłem do miasta niecałe pół godziny temu. Mamy jeszcze jedną restaurację tuż pod Lincoln City, Blue Ocean, którą właśnie rozkręcamy.

- Nie zamierzam marnować waszego czasu - oznajmił McNally. - Jestem pewien, że panowie wiedzą o szczątkach znalezionych w Świętej Elżbiecie. Uważam, że to szczątki Jezebel Brentwood i chcę omówić raz jeszcze wasze oświadczenia z okresu, kiedy zniknęła.

- Ale nie ma pan pewności, że to Jessie - odezwał się z delikatnym naciskiem Scott.

- Nie ma jeszcze wyników badania DNA.

Glenn zaniepokoił się trochę bardziej. „Nie ma jeszcze wyników badania DNA”. Miał wrażenie, jakby kartka w kieszeni paliła go żywym ogniem. Powinien o niej wspomnieć? Dać im znać, że Jessie równie dobrze może nadal żyć? I co ta kartka może znaczyć? O co chodzi?

Zgodnie z zapowiedzią McNally nie marnował ich czasu. Omówił sekwencję wydarzeń poprzedzających zniknięcie Jessie, a Glenn był zaskoczony, jak dokładne notatki miał policjant. Ale z drugiej strony, dwadzieścia lat temu McNally przepuścił ich przez wyżymaczkę. Facet wiedział lepiej, co się wtedy wydarzyło, niż Glenn pamiętał.

- Znałem Jessie, wszyscy ją znaleźliśmy ze szkoły, ale mnie interesował sport i nie bardzo zwracałem uwagę na inne sprawy - oznajmił Scott, kiedy McNally skończył i

popatrzył na nich, czekając, aż któryś się odezwie. - Jessie była ładną fakt, ale szczerze mówiąc, była dziewczyną jednego z moich kumpli. Nie znałem jej tak naprawdę, Glenn też nie. Wtedy powiedzieliśmy to samo i nic się nie zmieniło.

- Zgadza się - przytaknął Glenn, nagle ciesząc się, że Pascal jest taki wygadany.
- Widzieliście się ostatnio z kimś z waszej grupy?

Glennowi serce stanęło i spojrzał na Scotta, oczekując wskazówki. To żadna zbrodnia, Boże uchojaj, ale nie chciał wpakować się w jakąś pułapkę, otwierając gębę w niewłaściwym momencie.

- Mitch to bliski kumpel - wypalił w końcu. Scott spojrzał na niego ponuro.

Zawsze czepiał się przyjaźni Glenna z Mitchem i czasem tylko po to, żeby uzyskać jakąś reakcję, Glenn lubił przypomnieć Scottowi, że nie jest pępkiem jego wszechświata. Czasem Scotta Pascala w ogóle trudno było uznać za przyjaciela.

- Wszyscy spotkaliśmy się w tej restauracji ze dwa tygodnie temu - oznajmił detektywowi Scott, a Glenn trochę się rozluźnił.

No pewnie. Nie ma powodu do zmartwienia. Trzeba tylko powiedzieć prawdę. Niech jego wspólnik zajmie się mówieniem. A wierszyki lepiej zostawić na boku...

- Usłyszeliśmy o kościach, więc się spotkaliśmy.

Scott pominął szczegóły spotkania - po prostu grupa zatroskanych przyjaciół martwiła się tragedią która dotknęła jedno z nich.

Glenn zapomniał o swoim drinku - lód się stopił i aromat burbona unosił się w zamkniętym pomieszczeniu.

McNally właściwie nie zareagował. Kupił to? Glenn nie mógł się zorientować, i to go zaniepokoiło. Zerknął na drinka, zauważył kątem oka, że Scott delikatnie kręci głową, więc zostawił burbona w spokoju.

McNally zadał kilka pytań na temat Jessie i jej związków z pozostałymi przyjaciółmi. Z punktu widzenia Glenna wszystko było bardzo banalne i podejrzewał, że McNally tylko ich sprawdza. Nie mógł się doczekać, kiedy detektyw wyjdzie. Glenn mógłby wreszcie pogadać ze Scottem.

W końcu Mac wyszedł. Zapisał kilka drobiazgów, z tego co widział Glenn, jakies bazygroły, zamknął notesik i schował do kieszeni czarnej, skórzanej kurtki. Glenn myślał nad tym, czy widać kartkę w jego kieszeni, czy odznacza się jak piętno. Z trudem powstrzymał się od sprawdzenia.

Kiedy Mac wstał do wyjścia, Scott powiedział:

- Zmiękł pan w ciągu tych lat.

McNally zatrzymał się i spojrzał na niego przeciągle.

- Czyżby?

Scott odpowiedział mu spojrzeniem. -

- Może nie.

Zapadło milczenie. Krew w żyłach Glenna zaczęła płynąć powolnym, mocnym rytmem. Zdołał jakoś wyjść ze Scottem, żeby odprowadzić detektywa, ale kiedy tylko zostali sami, ruszyli z powrotem do biura. Scott zamknął za nimi drzwi.

- Co jest? - zapytał nerwowo.

- Co masz na myśli?

- Jesteś biały jak ściana. McNally cię przestraszył. Co się, u diabła, dzieje?

- Nie przestraszył mnie.

- Jeśli ja to zauważyłem, to i on - zapewnił go Scott. - Daj spokój. Gadaj.

Zniecierpliwiony pomachał ponaglająco ręką.

- Mamy cholerne kłopoty, w porządku? Pieniądze nam wyciekają. Nie wiem, dokąd trafiają. Może ktoś nas okrada? Ktoś z personelu? Albo jakoś je defrauduje?

- Trzymasz wszystko pod kluczem, nie?

- Oczywiście. Nie jestem idiotą. - Zazgrzytał zębami.

Scott potrafił go wkurzyć, a ten gliniarz... O, cholera, nigdy nie czuł się dobrze w towarzystwie gliniarzy, zawsze myślał, że próbują go przy-skrzynić.

- Więc po prostu kiepsko przedziemy - mówił Scott. - Przychody są mniejsze niż powinny, a wydatki wyniknęły się spod kontroli.

- Kontroluję wydatki - warknął poirytowany Glenn. Scott zawsze zwał winę na niego.

- Tak?

- Tak.

Wspólnicy popatrzyli na siebie wyzywająco. Scott zamyślił się nad czymś bardzo, bardzo głęboko i Glenn z niechęcią zdał sobie sprawę, że kumpel nie jest tak odporny, jak starał się pokazać detektywowi. Też był spięty i przestraszony. Więc Glenn postanowił się przyznać.

- W porządku, posłuchaj, coś się stało. Widział, że Scott przygotowuje się na najgorsze.

- Nic w związku z restauracją- uspokoił go Glenn. - Chodzi o to. - Wyciągnął kartkę i podał ją Scottowi, który wziął ją z oporami. Czytając, zmarszczył brwi i zapomniiał o bożym świecie.

- Skąd to masz? Skąd to się wzięło? - zapytał po dłuższej chwili, kiedy nerwy Glenna przypominały postronki.

- Przyszło pocztą do mojego domu, zaadresowane tylko do mnie.

- Co to, do licha, ma znaczyć?

- Nie wiem, ale to jasne jak słońce, że nie zamierzam o tym mówić McNally'emu.

- Chryste, musimy zadzwonić do Trzeciego. W co sobie pogrywa ta suka? - Scott pokręcił głową. - Żyje. Boże. Ona żyje... więc kto jest w grobie?

Glenn uniósł ręce, jakby osłaniał się przed tym pytaniem.

- Nie wiem. Nie mam pojęcia.

Scott wyciągnął komórkę i zamarł w połowie wybierania numeru.

- A jeśli nie Jessie to przesłała? Może ktoś próbuje nas nastraszyć?

- Kto, do cholery, zrobiłby coś takiego?

- Nie wiem, ale... o, do diabła. Ktoś sobie z nami pogrywa.

Glenn gwałtownie pokiwał głową. Ta myśl o wiele bardziej mu odpowiadała.

- Ale dlaczego? Scott nabrał powietrza.

- Niech mnie szlag, jeśli wiem. - Opadł na fotel, na którym dopiero co siedział detektyw. - To wariactwo. Kretyński żart.

- To nie jest żart - zapewnił go Glenn. - Boże, napiłbym się czegoś. Sięgnął po rozwodnionego burbona i wypił do dna.

Scott nadal się zastanawiał.

- Dlaczego miałyby pisać do ciebie? Jessie. Gdyby żyła. - Nic z tego nie rozumiał. - Nie skontaktowałyby się z tobą, więc to musi być żart.

Glenn zacisnął zęby. W głębi ducha zadawał sobie to samo pytanie. Jessie właściwie go nie dostrzegala. Tym wierszykiem drażniła się z Trzecim, z Zekiem, może nawet z Jarrettem. Ale nie z nim. Dla niej był jak tapeta na ścianie, tło, nic więcej.

Scott parsknął, podążając za myślami Glenna.

- Przestań o tym myśleć - rzucił lekko. - Ten zasrany detektyw też mnie zdenerwował, ale to rutynowa rozmowa. Ten, kto przysłał kartkę... - Rzucił ją na biurko. - Nie zdziwiłbym się, gdyby to był Jarrett albo Trzeci. To w ich stylu. Próbować cię wkurzyć. Mamy poważniejsze zmartwienia.

- Na przykład interesy - powiedział Glenn, patrząc na biały kwadrat papieru.

- Na przykład popaprane interesy - zgodził się Scott. - Przyniosę nam po drinku. Wywał to.

Glenn mógł mu powiedzieć, że ma schowaną w biurku butelkę Bushmill-sa, zaproponować kieliszek, ale tego nie zrobił.

Kiedy Scott wyszedł z biura, Glenn wziął kartkę. Po chwili złapał nożyczki i pociął ją razem z kopertą na kawałeczki i wszystko wrzucił do kosza. Zamknął oczy, starając się wysiłkiem woli przejść nad tym do porządku.

Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy dziewczęcy chichot. Ktoś śmiał się z niego. Natychmiast otworzył oczy i rozejrzał się po pomieszczeniu.

Ale był sam.

Becca pracowała przy komputerze, kiedy zadzwonił telefon. Podskoczyła jak oparzona i wstała odebrać.

Hudson, pomyślała, uśmiechając się. Natychmiast zobaczyła go nagiego, leżącego w ciemnej sypialni, wyciągającego ręce, gdy próbowała wstać z łóżka.

- Nigdzie nie wychodzisz.

- Muszę. Mam psa w domu.

Złapał ją za rękę i wciągnął na siebie. Minęła kolejna godzina, nim wyplątała się z jego objęć i wróciła do domu.

- Słucham - powiedziała do słuchawki.

Nie poznała numeru dzwoniącego. Zerknęła na zegar. Było późne popołudnie, a na dworze już zrobiło się ciemno, że oko wykol. Jakby w reakcji na jej spojrzenie, z nieba lunęło - najpierw deszcz, potem grad; burza uderzała w okna. Rozpętała się z niesamowitą siłą, co znaczyło też, że pies nie będzie chciał wyjść na spacer.

- Becca? Tu Renee.

- O, cześć.

Usiadła prosto. Renee wiedziała o jej nocy z Hudsonem? Minęło raptem kilka dni, odkąd wylądowali w łóżku. Od tego czasu dzwonili do siebie kilka razy dziennie. To było podniecające. Niewiarygodne.

- Czuję się naprawdę dziwnie przez to wszystko - zaczęła Renee, jakby w odpowiedzi na myśli Becki. - Przez Jessie, kości i tak dalej. Chciałabym, żebyśmy raz i na zawsze dowiedzieli się, czy to kości Jessie.

- Wiem.

Pomyślała o obecności, którą wyczuła w labiryncie, i zastanawiała się, czy powinna powiedzieć Renee. W tamtej chwili czyste zło wydawało się aż zbyt realne. Nawet teraz dostała gęsiej skórki na wspomnienie i nerwowo obejrzała się przez ramię.

- Słyszałam, że ten McNally, gliniarz, który zajmował się zaginięciem Jessie, przesłuchiwał chłopaków. - Renee była bardziej spięta niż zwykle. - Zajrzał do Blue Note pogadać z Glennem i Scottem, potem zadzwonił do biura Trzeciego. Już zostawił wiadomość na moim telefonie. Oddzwoniłam, ale się rozminęliśmy.

Becca mocniej zacisnęła dłoń na słuchawce.

- Więc już wiedzą że to Jessie. Musieli sprawdzić DNA albo znaleźli inny dowód na to, że to jej ciało.

- Też tak pomyślałam. Boże... trudno w to uwierzyć. - Zamilkła na chwilę, a potem dodała: - Pomyślałam, że może warto znowu się spotkać.

- Wszyscy?

- Tylko dziewczyny. Właściwie to już jestem umówiona z Vangie i Tamarą w Java Man po pracy. Około siódmej.

Kolejne spotkanie? Po co? Bo policja węszy? I co z tego? To brzmiało prawie tak, jakby Renee chciała uzgodnić wersję wydarzeń. Idiotyzm. Nikt nie musiał niczego ukrywać.

Prawda?

- A co z Hudsonem... i Zekiem? Do nich też dzwoniła policja?

- Nie, nic takiego nie słyszałam, ale nie rozmawiałam z Hudsonem od kilku dni, a Vangie nic nie mówiła o Zeke'u, kiedy do niej zadzwoniłam. Myślę, że wspomniałaby. Zresztą to nie ma znaczenia. Na pewno sana liście. Wszyscy j esteśmy.

- Liście? Liście podejrzanych?

- Albo osób powiązanych ze sprawą jeśli wolisz tak to nazywać. Więc co do dzisiejszego wieczoru... dasz radę?

- Będę.

Becca odłożyła słuchawkę, a potem wyłączyła komputer. Sprawdziła raz jeszcze wszystkie drzwi i okna, przebrała się w czerwony sweter z szalowym kołnierzem i nałożyła trochę szminki. Zerknęła na zegarek i włączyła wiadomości, żeby przeczekać pół godziny do wyjścia. Wspominano o znalezieniu zwłok niezidentyfikowanej kobiety i Becca od razu skupiła się na telewizji. Okazało się jednak, że to ciało wypadło z samochodu po wypadku. Nie miało nic wspólnego z Jessie Brentwood.

- Oczywiście, że nie - powiedziała na głos, zła na siebie.

Włożyła płaszcz przeciwdeszczowy. Na świecie wydarzały się różne wypadki i przestępstwa. Świat był ogromny. To, że grupa jej znajomych powiązana była ze szczątkami odnalezionymi w labiryncie, nie znaczyło, że wiadomość pozostanie aktualna dla innych. Może kości nigdy nie zostaną zidentyfikowane. Może ten stan zawieszenia, w którym żyli, będzie trwał wiecznie.

Westchnęła i pomodliła się w duchu o rozwiązanie zagadki.

Rozdział 12



Becca jechała do Java Man, jednym okiem rzucając na lusterko wsteczne, ale żaden samochód nie wydawał się jej śledzić. Kiedy zaparkowała, włożyła kaptur i po-

biegła w deszczu, dostrzegając przez okno przyjaciółki. Rude włosy Tamary płonęły w świetle kafejki. Jasnowłosa Evangeline wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle, niemal chorobliwie biała. Twarz Renee była ściągnięta, ciemne włosy potargane, jakby cały czas przeczesywała je dłońmi.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała na powitanie Becca, strąsając nadmiar wody na matę przy drzwiach. - Byłam już gotowa i właściwie przeczekiwałam czas do wyjścia, a w końcu nie zdażyłam.

- Zamówiliśmy dla ciebie latte bezkofeinową. Dobrze? - zapytała Renee, wskazując parujący kubek z pianką.

- Dla mnie bomba.

- Więc najpierw kawa, potem wino - zapowiedziała Tamara.

Becca usiadła na wolnym miejscu obok Renee, naprzeciwko Evangeline i po skosie do Tamary. Wszystkie były teraz poważniejsze, ostrożniejsze niż w Blue Note, jakby napięcie zmuszało je do czujności. Renee wyglądała, jakby schudła ze trzy kilo w niecały tydzień.

- Więc co jest? - zapytała Becca, sącząc latte. Renee skrzywiła się i zaczęła obracać filiżanką

- Myślę, że coś się dzieje. Coś więcej niż widzimy. - Ostrożnie dobierała słowa, jakby bała się wywołać panikę. -1 myślę, że nam wszystkim grozi niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo? - Evangeline odsunęła się, jakby te słowa raniły.

- Jakiego rodzaju niebezpieczeństwo? - zapytała Tamara.

- No właśnie, jakiego rodzaju? - Evangeline siliła się na lekceważenie, jakby Renee przesadzała, ale miała zgarbione ramiona i oczy wielkie jak spodki.

- To samo, które zabiło Jessie. - Spojrzała na Evangeline. - Ona czasem potrafiła widzieć przyszłość. Dwadzieścia lat temu wiedziała, że ma kłopoty, i próbowała uciec, ale jej się nie udało. Zginęła w labiryncie. Ktoś ją zabił.

- Tego nie wiemy - sprzeciwiła się Evangeline.

- To ona. - Renee była całkowicie przekonana. - Jessie przeczuwała nadchodzące niebezpieczeństwo. „Kłopoty”, jak to powiedziała. I myślę, że ja też to czuję. Kłopoty.

- Więc teraz ty widzisz przyszłość. - Evangeline znowu próbowała zadrwić z Renee, ale słyhać było, że jest bardzo przestraszona.

- Wiesz to z tarota? - zapytała Tamara. Zmarszczyła niespokojnie brwi. - Bo na karty trzeba patrzeć jak na wskazówki. Nie można ich traktować dosłownie.

Renee parsknęła lekceważąco.

- Nie. Nie chodzi o moją wróżbę z tarota, chociaż byłam na wybrzeżu i spotkałam tę staruszkę... tę jasnowidzkę, która mnie nastraszyła.

- Dlaczego? Co takiego powiedziała? - spytała Tamara.

- Powiedziała, że jesteśmy... jestem... sama nie wiem...

- Co? - naciskała Tamara.

- Że pisana jest mi śmierć. Podoba wam się to? To wariatka. Całe miasto to wie, ale chciałam zapytać ją o Jessie. - Pokręciła głową. - To takie głupie, że nie mogę w to teraz uwierzyć. Nastraszyła mnie.

- Jessie? — zapytała ostrożnie Tamara.

- Nie. Słuchaj, wiem, że wierzysz, że ona żyje, ale to nieprawda. Nawet madame Madeline powiedziała, że ona nie żyje. Mam wrażenie, że... czegokolwiek ona się bała, to nadal stanowi zagrożenie. Sama nie wiem. Zrobiłam małe dochodzenie, badałam ostatnie dni Jessie, myślałam o wszystkich rzeczach, które powiedziała. Coś jej się przydarzyło albo czegoś się dowiedziała, co sprawiło, że chciała uciekać. Ty to wiesz, Vangie. Byłyście najbliższymi przyjaciółkami. Musiała ci powiedzieć.

- Dlaczego ciągle to powtarzacie? - dopytywała się Evangeline. - Nie byłam jej najlepszą przyjaciółką.

- Nie możesz zmienić przeszłości - warknęła Renee. - Byłyście z Jessie najlepszymi przyjaciółkami. Ja też byłam w tej szkole, widziałam. Tamara i Becca przyjaźniły się ze sobą i Tamara wprowadziła Beccę do paczki. Tak to było. Tak wyglądały układy między nami. Przykro mi, ale takie są fakty.

Usta Evangeline zadrżały lekko.

- Nie byliśmy najlepszymi przyjaciółkami - upierała się. - Byłyśmy w miarę dobrymi przyjaciółkami. Ale nie pamiętam, żeby „przewidywała przyszłość”. Może powiedziała raz albo dwa coś, co nas przestraszyło, kiedy okazało się prawdą, ale to wszystko.

- Dobra - westchnęła Renee. - Jak sobie chcesz. Ale pamiętasz, że Jessie mówiła nam, że jest w niebezpieczeństwie.

- Nie... nie sądzę. - Vangie wzruszyła ramionami.

- Dlaczego nie chcesz do tego wrócić? Co cię tak bardzo przerażyło?

- Do czego?

- Do przeszłości. - Renee nawet nie kryła zniecierpliwienia. - Do faktu, że coś naprawdę groziło Jessie. Udawała, że się nie przejmuje, ale mówiła rzeczy, które teraz... kiedy się nad nimi zastanowię z perspektywy czasu, nabierają coraz więcej sensu. - Przeczesała włosy palcami.

Becca przypomniała sobie wizję i Jessie z palcem na ustach.

- Powiedziała, że grozi jej niebezpieczeństwo - upierała się Renee. Tamara pokręciła głową.

- Co cię napadło?

- No dobra, zapomnijcie. Próbuję wytłumaczyć coś, czego nie potrafię. Mam wrażenie, że... jakby mi też coś groziło. To wszystko. I czuję to, od kiedy zaczęłam grzebać w przeszłości Jessie.

- Mam dziwne wrażenie, jakby ktoś mnie śledził - przyznała Becca.

- Ty też? - Zaskoczona Tamara patrzyła to na Beccę, to na Renee.

- Może to policja - zaryzykowała Evangeline.

- To nie policja - zapewniła ją sucho Renee.

- Nigdy nie sądziłam, że akurat ty potraktujesz ostrzeżenie z tarota tak dosłownie - powiedziała Tamara.

- Mówiłam ci, że to nie tarot - powtórzyła Renee z anielską cierpliwością, zniżając głos. - Wiesz, że badałam tę sprawę, próbowałam znaleźć jakiś punkt zaczepiania do historii o Jessie, ale... - Westchnęła ciężko, z głębi duszy, a potem przycisnęła dłoń do policzków. - Nie słuchasz. Żadna z was nie słucha. I nie wiem, jak do was dotrzeć.

- Nie mamy pojęcia, o czym, u diabła, mówisz - rzuciła cierpko Evangeline, ale twarz miała mizerną i szeroko otwarte oczy. Już się bała, niezależnie od tego, co mówiła.

- No dobra, więc tylko was ostrzegam. Siebie, nas. Jeśli wydarzy się coś dziwnego, natychmiast dajcie znać reszcie - naciskała. - Może uda nam się... uniknąć tego... jeśli będziemy współpracować. Jeśli będziemy nawzajem się pilnować.

„Uważaj na siebie, Becca...” Ostatnie słowa Jessie powróciły do niej echem.

Tamara parsknęła, ale Renee mówiła dalej, obracając niemal pełną filiżankę.

- Jakby poruszenie kości Jessie obudziło to coś.

- W porządku... To? - Tym razem ton Evangeline był tak lekceważący, jakby uznała, że Renee odbiło. - Strasznie to melodramatyczne.

- Boże, Renee - mruknęła Tamara. - Cokolwiek czujesz, to... to tylko twoje odczucia. Prawdziwe dla ciebie, owszem, ale daj spokój. To, przez co przechodzisz... z Timem czy w pracy, to wpływa na twój osąd. To nie w twoim stylu. Nie grozi nam żadna demoniczna siła.

- Nie powiedziałam, że jest demoniczna.

- Powiedziałas, że odkrycie kości Jessie obudziło to coś - przypomniała jej Tamara, biorąc torebkę i sięgając po płaszcz. - To brzmi wystarczająco złowieszczo.

- Mam nadzieję, że Jessie nie żyje - powiedziała nagle Evangeline. Renee zmarszczyła czoło, a potem spojrzała na Beccę.

- Ona nie żyje. Ty też tak uważasz, prawda?

Tamara się zawahała. Torebkę już miała na ramieniu, ale odwróciła się z powrotem do stolika, czekając na odpowiedź Becki. Właściwie wszystkie się na nią gapily.

- Wszystko sprowadza się do pytania, jeśli to nie kości Jessie, to czyje?

- Dobre pytanie - przyznała Renee.

- Minęło dwadzieścia cholernych lat - warknęła Tamara. - Nie wiem, czego się po nas spodziewałaś, Renee. Zupełnie jakbyś... się sypała. Zawsze byłaś tą mądrą! Naprawdę zaczynasz mnie przerażać. - Zerknęła na Beccę. - Ty też wyglądasz na przestraszoną.

- To... niepokojące. Nie wiem, co się stało z Jessie, ale policja to wyjaśni.

- A jeśli wcześniej coś nam się stanie? - zapytała Renee.

- Nic się nam nie stanie - szepnęła słabo Evangeline.

- Muszę lecieć - rzekła Tamara. Machnęła ręką i wyszła, pozostawiając za sobą powiew zimnego powietrza, które przejęło Beccę dreszczem.

Renee spojrzała na Evangeline, która odpowiedziała niemal wyzywająco.

- Nic się nam nie stanie - powtórzyła Vangie, kiedy drzwi zamknęły się z hukiem.

Renee odwróciła się do Becki.

- Uważaj na siebie - rzuciła, po czym też sięgnęła po torebkę i płaszcz.

- Ja także biorę udział w dochodzeniu - oznajmiła beznamyślnie Gretchen Sandler, opierając ręce na biurku Maca i stając przed nim. - Twoje ostatnie próby wyrzucenia mnie poza nawias są... co najmniej amatorskie.

Było już ciemno, ale z drugiej strony, o tej porze roku miało się wrażenie, że ciągle jest ciemno. Mac wiedział, że jego partnerka jest wściekła na niego, ale niespecjalnie się tym przejmował. Jak wielu przed nią, wytrzyma kilka miesięcy, może lat, a potem jedną nogą odepchnie się od jego pleców, drugą wskoczy na kolejny szczebel kariery i popędzi naprzód. Bardziej interesowało go, kiedy raport z sekcji zwłok i wyniki badań DNA wylądują na jego biurku i czy ekspert zdoła zrekonstruować twarz na podstawie czaszki, jeśli nie dopasują DNA. Dwadzieścia lat temu badania DNA dopiero raczkowały w policji, ale były możliwe i znaleziono próbkę włosów ze szczotki Jessie z nienaruszonymi cebulkami, które właśnie badano.

W głębi duszy czuł, że dziewczyna znaleziona w labiryncie to Jessie, i jej rodzice też to podejrzewali. Mogli nie chcieć z nim o tym rozmawiać, ale i tak usłyszał w ich głosie, że myślą podobnie.

Gretchen nadal nad nim stała.

- D'Annibal powiedział, żebyś miała na mnie oko? - Mac nawet nie podniósł wzroku znad notatek na temat Jarretta Eriksona. Ten facet był najbardziej śliski i najtrudniejszy do rozgryzienia. Co za skurczybyk.

- Jestem. Twoją. Partnerką- powtórzyła z naciskiem.

- Możesz to powtórzyć trochę wolniej? Chyba nie załapałem.

- Możesz sobie być dupkiem, jeśli chcesz. I tak biorę w tym udział. Mac spojrzał w jej bystre, niebieskie oczy, a potem odchylił się w krzesło.

Nie ma sensu bawić się w walkę na spojrzenia.

- No dobra, więc rozmawiałem z większością facetów z grupy.

- Muszę być przy kolejnych rozmowach. Potrzebujesz spojrzenia z innej perspektywy.

- Rozmawiałas z D'Annibalem. Perspektywa. To jego ulubiony tekst. Poruszyła się gwałtownie i Mac odruchowo się wzdrygnął. Spędził dość czasu z kryminalistami, żeby natychmiast wyczuwać groźbę, ale Gretchen tylko obróciła się jak robot i z hukiem wróciła do swojego biurka, które stało za nim, w drugiej połowie pomieszczenia. Kiedyś siedziała bliżej Maca, ale wówczas była za daleko od plotek rozsiewanych przez innych detektywów i policjantów. Może i była powszechnie nie lubiana, ale na Boga, zawsze musiała być w centrum wydarzeń. Współpraca ze starym McNallym nie mogła tego zmienić.

Zerknął na listę. Obok nazwisk Nadętych Gnojków, których już przepytał, były znaczki i notatki. Niewiele wyniknęło z tych spotkań, zauważył tylko, że nikt za nim nie przepada i wszyscy niechętnie udzielają informacji. Pewnie sobie na to zasłużył. Swego czasu przepuścił ich przez wyzymaczkę.

Nie spotkał się jeszcze z Hudsonem Walkerem i Zekiem St. Johnem. Nie zaczął też rozmów z dziewczynami z paczki - teraz już kobietami. Niewiele się od nich dowiedział dwadzieścia lat temu i teraz też nie spodziewał się rewelacji, ale nigdy nic nie wiadomo. Zatrzymał się przy każdym nazwisku.

Tamara... Renee... Evangeline... Rebecca.

Zakreślił imię Rebecki, czując, że coś mu się w związku z nią kojarzy. Była inna. Trochę dziwaczka. Ale miała coś, czego nie umiał sobie przypomnieć. Nie przyjaźniła się serdecznie z Jessie, ale najbardziej ją przypominała, chociaż nie umiał powiedzieć pod jakim względem.

- Co ty wiesz? - zapytał na głos, patrząc na stare zdjęcie.

- Co? - zawołała Gretchen z drugiego końca pokoju, jakby zwracał się do niej.

- Nic.

- Niech cię szlag, McNally, nie odcinaj mnie od sprawy. Jak zwykle Mac nie odpowiedział.

Becca przejechała ze trzy kilometry od Java Man, kiedy zadzwoniła jej komórka. Zobaczyła numer Hudsona na ekranie.

- Cześć - powitała go ciepło. - Słyszałam, że policja zaczęła dzwonić. Hudson prychnął z niechęcią.

- To musiało nastąpić. McNally dzwonił do mnie i rozmawialiśmy przez telefon, ale i tak chce się spotkać osobiście. I pewnie się spotkamy.

Becca pomyślała o Renee i poszukiwaniach, które doprowadziły ją na wybrzeże.

- Pewnie wszyscy będziemy musieli z nim porozmawiać.

- Kiedy się zobaczymy?

- Właśnie jestem wolna - rzekła z uśmiechem, włączając migacz i zjeżdżając na wolniejszy pas.

- Namówię cię na pizzę u mnie?

- Już namówiłeś. Będę za dwadzieścia minut.

Rozłączyła się. Skręciła na zachód na Sunset Highway w stronę Laurel-ton. Był spory ruch na wysokości Beaverton aż do Hillsboro, ale kiedy dotarła w okolice Laurelton, trochę się rozluźniło. Pojechała na ranczo Hudsona, a kiedy skręciła na zwirowy podjazd, powitały ją światła domu. Wbiegła po schodach i zadzwoniła.

- Otwarte! - zawołał Hudson, więc Becca weszła do domu. Zostawiła płaszcz na wieszaku i ruszyła do kuchni, skąd pachniało pomidorami, sosem, czosnkiem i cebulą.

- Cześć - powitał ją uśmiechając się leniwie.

Miał na sobie dzinsy i czekoladową, sztruksową koszulę z wysoko podwiniętymi rękawami. Popatrzyli na siebie i padli sobie w ramiona. Becca zaczęła się śmiać i nie mogła przestać, a Hudson odwzajemniał uśmiech.

I nagle przechylił ją tak mocno, że prawie zamiotła włosami po podłodze, i przycisnął wargi do jej ust. Wczepiła się w niego, bojąc się, że polecą do tyłu, ale rozchyliła usta, kiedy jego język wsunął się między jej zęby. Poczowała mrowienie na całym ciele.

Jęknęła cicho, a on uniósł głowę.

- Tęskniłem - powiedział.

- Ja też.

- Pizza może poczekać - rzucił, a jego niebieskie oczy zabłyśły.

- Uhm... - mruknęła, kiedy wziął ją na ręce i zaniósł na górę do sypialni, otwierając drzwi kopniakiem i zatrzaszkując je za sobą. Padli na łóżko.

Potem już niewiele rozmawiali. Szarpiąc guziki, zamki i zatrzaski, ściągnęli ubrania i rzucili się na siebie. Hudson całował ją od stóp do głów, co doprowadzało ją do szaleństwa, pieszcząc czasem delikatnie, czasem gwałtowniej, a ona odwzajemniała się tym samym. Zaskakiwała go tym, jak badała jego ciało palcami i ustami.

- Boże, Becca - mruknął w końcu, kiedy już dłużej nie mógł znieść tortury. Obracając ją na brzuch i trzymając jej piersi obiema rękami, wsunął się

w nią kochał ją jakby już nigdy nie miał przestać. Zamknęła oczy i zacisnęła się wokół niego, a jej skurcze odpowiadały echem jego, kiedy opadł, spocony i zdyszany.

- Słodki Jezu - szepnęła jej do ucha.

Sama ledwie łapała oddech, nie mogła zebrać myśli, kiedy obejmowała go, otulona ciepłą poświatą spełnienia, zatracając się w błogości.

Miała wrażenie, że minęły eony, nim uniósł się na łokciu i zamruczał:

- Czas na pizzę?

Odwróciła się do niego, delikatnie przyciągając jego głowę, tak żeby całował, ssał jej piersi i pieścił dłońmi plecy i pośladki.

- Jeszcze nie - odparła.

Kochali się znowu, tym razem wolniej. Becca zdziwiona była tym, jak bardzo go pragnie, jak rozleniwiona czuje się w jego objęciach, jak rośnie jej namiętność i znikają zahamowania. Kiedy w końcu oboje się uspokoili, ubrali i zeszli na dół, minęło kilka godzin.

- Obawiam się, że pizza jest już zimna - zauważyła Becca.

- Od tego są mikrofalówki.

- Ja się przecież nie skarżę.

Spojrzał na nią ciepło i włożył kilka kawałków pepperoni do mikrofalówki.

Wzrok Becki padł na psią miskę zepchniętą na tył ganku - coś, czego wcześniej nie zauważyła. Hudson chyba zgadł, o czym myśli, bo powiedział:

- Mój labrador, Booker T, zdechł w zeszłym roku.

- Przykro mi - odparła szczerze Becca.

- Był stary.

- Też mam psa. Kundla. Ringo. Jest moim... gwarantem normalności. Póki Ringo jest przy mnie, nawet jeśli wszystko się sypie, to jednak da się żyć.

Hudson zerknął na puste miski.

- Chyba powinienem je wyrzucić.

- Wyrzucisz, jak będziesz gotowy.

Kiedy pizza była już ciepła, wzięli talerze i usiedli na ławie w kącie, zniszczonej, ale zaskakująco wygodnej, zasłanej złotymi poduszkami.

- Zawsze lubiłam to miejsce - oznajmiła, wyglądając przez okno na stodołę.

Ile razy kochali się na sianie na pięterku?

- Aha... - odparł z zadumą, jakby pomyślał o tym samym. - Mówiłem ci, że mam nowego pomocnika? Poprzedni, Grandy, pracował u moich rodziców długie lata. Do tego stopnia stał się częścią tego rancza, że bez niego to całkiem nowy świat.

- Przeszedł na emeryturę?

- Miał prywatne sprawy do załatwienia, więc zaproponował kogoś na swoje miejsce. - Hudson wzruszył ramionami. - Ale to nie to samo. Mam nadzieję, że nie-
długo wróci.

- Sprawy osobiste mogą oznaczać wiele rzeczy - zauważyła Becca, myśląc o własnych problemach i jedząc pizzę.

- Jego syn samotnie wychowuje dzieci, złamał nogę, czy coś takiego, a wnuczka jest w ciąży. Cała rodzina uważa ojca za frajera, a być może dziewczyna przeprowadzi się do niego. Wygląda to dość paskudnie.

- Dziecko? - zapytała Becca, siląc się na neutralny ton.

- Grandy pojechał pomóc. To nie najlepszy pomysł urodzić dziecko i nie zapewnić mu odpowiednich warunków.

- Zatrzyma je?

- Chyba tak, ale nie podjęto jeszcze żadnej wiążącej decyzji. Przełknęła ślinę i odwróciła wzrok, zastanawiając się, czy kiedykolwiek

będzie w stanie powiedzieć mu o dziecku, które mogli mieć. Zastanawiała się, czy pogodziłby się z myślą że odebrano im możliwość zdecydowania.

Rozmowa zbieczyła z niebezpiecznego toru. Hudson dał Becce za dużą kurtkę i wyszli mimo deszczu do stodoły. Włączył światło. Becce powitał zapach suchego siana i starej skóry, zmieszany z ciepłym zapachem koni. Hudson pokazał jej trzy klacze: Christmas, Tallulah i żrebną Boston, klacz rasy Appaloosa.

- To właściwie bardziej hobby niż praca - przyznał.

Wiedziała, chociaż tego nie powiedział, że pieniądze zarobił gdzie indziej. Ta farma to marzenie, które zrealizował.

- Nigdy się nie ożeniłeś, prawda? - zapytała Becca, podczas gdy konie posapywały przy żłobach. Głaskała Boston po delikatnych nozdrzach. Gniada Tallulah też delikatnie domagała się pieściot, więc Hudson podrapał ją między ciemnymi uszami.

- Nie. - Zerknął na Becce. - A ty wyszłabyś drugi raz za męża?

- Może. - Wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Ben i ja, my... nie pasowaliśmy do siebie.

- Co było nie tak?

- A co nie było...

- Hm...

- Nie wiem, czemu za niego wyszłam - powiedziała, nie chcąc wyjść na zgorzkniałą. - Chyba chciałam spełnić marzenia. O mężu. Rodzinie. Dzieciach. Kiedy się pobraliśmy, wszystkim powtarzał, że nie chcemy dzieci, chociaż wiedział, że ze mną jest inaczej. Nigdy nie wiedziałam, co mam mówić przy ludziach. Nie mogłam zaprzeczyć: „Nie, mój mąż się myli. Chcę mieć dzieci. On kłamie. To on nie chce mieć dzieci”. Nie wiedziałam, jak to powiedzieć, nie zaczynając strasznej awantury, więc milczałam. Apotem on związał się z kimś innym i umarł w jej ramionach. Była w ciąży, kiedy zmarł. Więc teraz ona ma dziecko.

Becca wsadziła ręce do kieszeni kurtki. Czowała na sobie wzrok Hudsona, ale nie mogła spojrzeć mu w oczy.

- Nadal chcesz spełnić to marzenie?
- Tak, ale już się tego nie spodziewam.

Wyglądało, jakby chciał zadać jeszcze kilka pytań, ale w końcu pozwolił, by rozmowa wróciła na bezpieczniejsze tory. Zabawiał ją opowieścią jak Tallulah zrzuciła go z grzbietu i jak musiał wlec się do domu z obolałą kostką, gdzie zastał klacz wychekującą przed boksem na następny posiłek bez śladu skruchy.

Hudson zgasił światło. Kiedy wrócili do domu, omijając kałuże i chowając się przed deszczem, powiedział:

- To dziwne, ale najwyraźniej ta sprawa z Jessie pomogła nam wrócić do siebie.
- Aha. - Roześmiała się. - Co za ironia! - dodała, przekrzykując bębnienie deszczu o daszek ganku, kiedy szli po schodach.

Telefon już dzwonił, kiedy weszli do środka. Hudson pozwolił włączyć się automatycznej sekretarce.

- Mówi detektyw McNally - odezwał się niski głos. - Nadal chciałbym spotkać się z panem osobiście, Walker. Proszę oddzwonić. - Skończył, podając numer.
- Chyba się od tego nie wykręcę. - Hudson zmarszczył czoło, patrząc na aparat.
- Może ma jakieś nowe informacje.
- Raczej sam ich szuka.

Jednak oddzwonił. Zastał jeszcze McNally'ego i zgodził się spotkać z detektywem następnego dnia w porze obiadu kilka kilometrów od komisariatu.

- Nieformalne spotkanie, cokolwiek to znaczy - powiedział, sięgając do lodówki po kolejne piwo. - Chcesz pojechać ze mną?
- Skąd. Ale moje nazwisko na pewno jest na liście, więc...
- Więc jesteśmy umówieni - orzekł.

Zaśmiała się, wkładając zamiast kurtki własny płaszcz.

- Ty, ja i detektyw McNally.
- Na pewno będzie ubaw po pachy.

Rozdział 13



Ile czasu trwa zrobienie rysunku? - marudziła Gretchen, kiedy jechali z McNallym do jadłodajni Dandelion, gdzie mieli się spotkać z Hudsonem Walkerem.

McNally siedział za kierownicą. Mrużył oczy z powodu światła odbijającego się od mokrej nawierzchni.

- Rekonstrukcja twarzy na komputerze nie może być aż tak trudna. To tylko kwestia proporcji, pomiaru kości, nie? W końcu, jeśli to twoja specjalność, to dlaczego, do cholery, to tyle zajmuje? Kim właściwie są ci technicy?

Mac chrząknął, mijając wóz kempingowy, który zbliżał się do jego pasa. Po części zgadzał się z partnerką ale nie cierpiał jej monologów. Zupełnie jakby nie potrafiła zatrzymać myśli we własnej głowie. Jak już raz na coś wpadła, natychmiast to ujawniała i nic jej nie mogło powstrzymać. Ta kobieta nie miała żadnego regulatora. Wszystko z siebie wyrzucała.

I była przez to jak wrzód na dupie.

- Gdybyśmy wiedzieli, że te kości to twoja panna, moglibyśmy przenieść śledztwo na nowy poziom. A czekanie na chrzanione wyniki badań DNA to prawdziwa tortura. Nikt się nie spieszy z wykonywaniem zleceń, no chyba że sypiasz z laborantem. Ale nawet wtedy masz szanse pół na pół.

- Wiesz z doświadczenia? - spokojnie zapytał Mac, zatrzymując się na czerwonym.

Wóz kempingowy stanął obok, prowadzony przez starszą kobietę w czapce z daszkiem.

- I tak bym ci nie powiedziała. Twoje zadowolenie z siebie dosłownie mnie przeraża. Kiedy ci się tak porobiło?

Dwadzieścia lat temu, pomyślał. I to nie było zadowolenie z siebie. To tylko ostrożność, gorliwość i świadomość. Ale nie ma mowy, żeby zdołał w jakikolwiek sposób przekonać Gretchen, że być może nie wykorzystuje wszystkich swoich umiejętności detektywistycznych. Ona znała wszystkie odpowiedzi. Szkoda strzepić język.

Kiedy światło zamieniło się na zielone, jakiś idiota w fordzie focusie przeskoczył przed nich i ostro zahamował. Gretchen zakląła.

- Na miłość boską, trzeba zatrzymać tego kretyna!

- Chłopcy z drogówki nim się zajmą - rzucił Mac, dodając gazu, żeby zdażyć przed wozem kempingowym. Zaraz skręcił na parking przed jadłodajnią.

W środku Dandelion pomalowano jaskrawo na żółto, a siedzenia pokryto zielonym plastikiem. Mac usiadł przy jednym ze stolików przy oknie, a Gretchen usadowiła się naprzeciw niego. Kelnerka zaproponowała im kawę, obracając kubeczki stojące już na blacie i nalewając parujący płyn.

- Dam wam chwilkę - powiedziała, żując gumę. - Specjalności dnia są na tablicy.

Wskazała tablicę wiszącą nad ladą i poszła do stolika, gdzie siedziało czterech mężczyzn po sześćdziesiątce. Mac zagapił się przez okno na parking.

- O co ich pytasz? Tych „przyjaciół” Jessie Brentwood? - zapytała sarkastycznie Gretchen, biorąc menu oprawione w plastik. - Co to za śledztwo? Pewnie powinnam wiedzieć?

Poczuł, jak wzbiera w nim irytacja, ale zapanował nad sobą.

- Nie wkurzaj mnie.

- Co? Nie mogę zadawać pytań?

- Znasz procedurę. Nie rób z siebie idiotki.

- Ale z ciebie gnojek, McNally. Zachowujesz się jak Samotny Strażnik. Nie, gorzej, ty byś nie zaufał nawet Tonto. Uważasz, że to twoja sprawa i tylko twoja.

Była. Przez dwadzieścia lat.

Nie miał na to czasu. To było cholernie wkurzające musieć z nią pracować. Ale to nie potrwa długo, pocieszył się. Jego partnerka wkrótce straci cierpliwość i zajmie się czymś innym. Pamiętając o tym, postanowił być bardziej tolerancyjny.

- Po prostu rozmawiamy. O tym, co wydarzyło się dwadzieścia lat temu. Sprawdzamy, czy wyskoczy coś nowego, coś, o czym zapomnieli albo nie mieli ochoty mówić.

- Jakby byli częścią spisku? Wszyscy razem.

- Nie całkiem.

- A ten facet jest jednym z tych, których nazywasz Nadętymi Gnojkami.

Mac skinął głową. Jako dorośli mężczyźni nie wydawali się tak uprzywilejowani, jak kiedy byli nastolatkami, ale nie potrafił całkiem zapomnieć, jak się wtedy zachowywali.

- Odpisujesz sobie posiłek? - zapytała Gretchen, zamykając menu. - Wydział za niego nie zapłaci.

Spojrzała na niego i zdał sobie sprawę, że rzeczywiście chciała wiedzieć. Jakby mógł działać na specjalnych prawach.

- Wydział za niewiele rzeczy płaci. Tym razem ona mruknęła zgodnie.

Mac patrzył, jak na parking zajeżdża niebieski volkswagen. Chwilę potem z miejsca dla kierowcy wysiadła kobieta. Macowi żołądek się zacisnął, ale nie okazał żadnych emocji. Rebecca Ryan, obecnie Sutcliff. Natychmiast ją rozpoznał i przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę, jakby miała miejsce dziś rano.

- Nie rozmawiałam z nią przed jej zniknięciem - powiedziała mu Becca, siedząc na frontowych schodach szkoły.

Denerwowała się podczas spotkania. Ręce złożyła przed sobą, prawie jakby się modliła, plecak z książkami położyła obok, zerknęła na parking. Włosy miała długie i

jasnobrązowe, wyglądały prawie jak blond. Oczy - duże i piwne. Z profilu przypominała Jessie Brentwood, którą znał tylko ze zdjęć, ale jej twarz, pełniejsza, okrąglejsza, robiła wrażenie bardziej niewinnej, podczas gdy Jessie wydawała się pełna sekretów, z tym uśmiechem i zielonozłotymi oczami jak niespokojny ocean.

Wypytywał ją, maglował na wszystkie strony, ale Becca Ryan niewiele wiedziała, właściwie nic. Trzymała się z paczką Jessie i tyle.

- Nie prosiłem, żeby się tu zjawiała - powiedział teraz, obserwując, jak Becca wchodzi do jadalni.

- To jedna z nich? - zapytała Gretchen, z zainteresowaniem obracając głowę.

- Aha. Rebecca Sutcliff. Pewnie spotyka się z Hudsonem Walkerem. Czy Sutcliff, teraz wdowa, związała się z byłym facetem Jessie Brentwood?

W tej samej chwili wielki, zniszczony pikap wjechał na parking i zatrzymał się obok volkswagena. Mac oderwał wzrok od Becki, żeby popatrzeć, jak Hudson zatrzaskuje drzwi i idzie do wejścia jadalni.

Jak długo są razem - zastanawiał się.

Becca poczekała na Hudsona, ale nawet się nie dotknęli, wchodząc do lokalu. Mac zastanawiał się, jak poprowadzić rozmowę, kiedy Gretchen złapała byka za rogi i wskazała sąsiedni stolik.

- Siądźmy tam.

Złapała kubek z kawą, wstała z ławeczki przy stoliku i przesiadła się na krzesło obok. Mac zgadzał się, że tam będzie wygodniej niż w intymnym zakątku z ławkami, ale jej skłonność do podejmowania szybkich decyzji bez czekania na jego akceptację, choćby gest potwierdzenia, naprawdę wkurzała go jak diabli.

To ewidentne, że Walker i Becca Sutcliff są razem, uznał Mac, widząc, jak na siebie patrzą. Na pewno byli parą. Szybko przedstawił obecnych, a kiedy usiedli, kelnerka nałala kolejne dwa kubki kawy, a młodszy kelner wytarł stolik, który zwolnili.

Becca związała włosy w kucyk. Nosila szalik w czarno-białą kratę i skórzany płaszcz. Zdjęła szalik bardzo obszernym gestem, przynajmniej zdaniem Maca. Doskonale pamiętał, jaka była jako nastolatka: wielkooka, chuda, nieśmiała i wystarczająco bystra, żeby zachować swoje myśli dla siebie. Nie wpadł wtedy na to, że Hudson Walker mógł być bardziej zainteresowany nią niż własną dziewczyną, ale to tylko świeże przypuszczenie.

Hudson Walker zaokrąglił się przez te lata i dorobił kilku zmarszczek w kąciakach oczu, jakby często mrużył powieki na słońcu. Ubrał się zwyczajnie, w dżinsy, koszulę i lekką kurtkę - żadnego porównania z Christopherem Delacroix III w szytym na miarę wełnianym garniturze. Krawat tamtego gościa pewnie kosztował więcej niż tygodniowa wypłata Maca.

Hudson usiadł naprzeciwko Maca. Spojrzał na Gretchen, która mierzyła go wzrokiem.

- Pan jest Hudson Walker - stwierdziła. - Dwadzieścia lat temu chłopak ofiary?

- Ofiara to Jessie Brentwood? Chcecie powiedzieć, że zidentyfikowaliście ciało?

- zapytał Hudson.

- To nadal nie jest potwierdzone - odpowiedział policjant. - Czekamy na wyniki DNA.

Hudson spojrział na Gretchen.

- Zgadza się, chodziłem z Jessie.

Walker przybrał na wadze od czasów szkoły średniej, chociaż bardziej w zachowaniu niż w konkretnych kilogramach. I Mac zorientował się niemal natychmiast, że nie zamierza pomóc bardziej, niż kiedy był młodszy.

- Chciał się pan ze mną zobaczyć - oznajmił tonem, który wprost dowodził, co Hudson myśli o tej prośbie.

Mac otworzył usta, ale Gretchen znowu się wtrąciła:

- Wszyscy mówili, że Jessie Brentwood uciekła a teraz pojawiły się kości.

- Tyle że nadal nie jesteście pewni, czy to kości Jessie, więc chyba zbyt szybko wyciągacie wnioski.

- Sądzę, że potwierdzenie identyfikacji to tylko formalność - odezwał się Mac. - Przejrzeliśmy dane zaginionych osób. Udowodnimy, że to szczątki Jezebel Brentwood.

Becca zaczerpnęła powietrza. Pobladła. Właściwie to wyglądała, jakby miała się pochorować.

- Nic pani nie jest? - zapytał Mac. Hudson spojrział na nią.

- Becca?

- Nic mi nie jest.

- To ja coś powiedziałam? - zapytała cierpko Gretchen. Mac się skrzywił. Jego partnerka nie miała klasy.

- Na pewno nic...

- Przepraszam. - Becca nagle wstała z krzesła i poszła do toalety dla pań, na końcu sali.

Hudson już wstawał, ale ostatecznie pozostał na miejscu.

- Zawsze tak łatwo ją nastraszyć? - zapytała Gretchen odrobinę zaskoczona.

Hudson przesunął wzrok z Maca na jego partnerkę. Policjant z trudem powstrzymał rozbawiony uśmiech. Gretchen wkurzała Hudsona jak diabli. To jedna z jej ulubionych taktyk, ale Mac nie miał pojęcia, co z tego wyniknie dla sprawy. Nim Gretchen i Hudson przeszli na wyższy poziom, odezwał się:

- Chciałbym odtworzyć sekwencję wydarzeń poprzedzających zniknięcie Jessie Brentwood.

- Właśnie powiedział pan, że nie wiecie nawet, czy to szczątki Jessie.

- Ostatnio jest mało roboty w wydziale - odezwała się Gretchen. - Siedzimy po uszy w starych sprawach, zamiast zajmować się nowymi. - Napila się kawy, skrzywiła i dodała śmietanki. - Liczba przestępstw spada. Co ja poradzę?

- To żaden sekret, że już dwadzieścia lat temu uważałem, że coś jej się stało - wtrącił Mac. - Jest pan jedną z ostatnich osób, które ją widziały.

Hudson się zawahał. Mac obserwował, jak Walker podejmuje decyzję, postanawia zdusić rozdrażnienie i mieć to wszystko za sobą.

- Pokłóciliśmy się - powtórzył mechanicznie. - Uważała, że nie jestem wobec niej uczciwy. A ja sądziłem to samo o niej. Oboje mieliśmy rację.

- A na jaki temat pan ją okłamywał? - zapytała Gretchen.

- To raczej kwestia przemilczeń. Łączyła nas szkolna miłość, która miała dość naturalny przebieg.

- Podobał się panu ktoś inny - powiedział Mac, wędrując wzrokiem do toalety, w której zniknęła Becca.

- To był koniec. Po prostu.

- Nie poszedł pan za nią do labiryntu i jej nie zadzgał? - odezwała się jakby nigdy nic Gretchen.

- Zadzgano ją? - spytał Hudson. Spojrzał na Maca, szukając potwierdzenia. Mac oschle skinął głową.

- Tak uważa laboratorium.

Walker zastanawiał się chwilę, a Mac rzucił Gretchen ostrzegawcze spojrzenie, żeby trzymała na kłódkę swoją buzię, i zadał jeszcze kilka pytań na temat wydarzeń ostatniego wieczoru, kiedy Hudson widział się z Jessie. Usłyszał z grubsza to samo, co miał w notatkach sprzed dwudziestu lat, a nawet mniej, bo Hudson nie pamiętał już tak dobrze tamtych chwil.

- Powiedziała, że ma kłopoty - wyjawiał Hudson. - Coś jej zagrażało.

- Kłopoty? Co ma pan na myśli? Kłopoty z rodzicami? W szkole? Może była w ciąży? - Gretchen pochyliła się nieco do przodu.

Mac miał ochotę przydepnąć jej stopę. Najwyraźniej postanowiła wypaplać wszystkie aspekty sprawy, zanim on będzie na to gotowy. Niektóre informacje należało ukryć przed prasą, ludźmi w ogóle, żeby tylko policja i morderca Jezebel Brentwood znali prawdę.

Walker uniósł rękę i opuścił ją w bezsilnym rozdrażnieniu.

- To nie było nic określonego. Raczej coś mglistego, jakby te kłopoty miały same jażdździć. Myślę, że coś takiego powiedziała. „Kłopoty się zbliżają” albo coś w tym stylu. Nie pamiętam dokładnie jej słów, ale denerwowała się. Nie mogła usiedzieć w jednym miejscu.

Jego relacja brzmiała tak samo, jak dwadzieścia lat temu.

- Podejrzywał pan, że zamierza uciec? - zapytała Gretchen.

- Myślałem, że się tylko kłócimy. To nam się zdarzało. Raz tylko wspomniała, że chce uciec. Poprosiła wtedy, żebym urwał się z nią na weekend. - Parsknął i wziął kubek z kawą. - Jakby nasi rodzice mogli się na to zgodzić.

Coś dręczyło Maca, ale nie mógł tego określić. Więc Jessie chciała uciec na weekend, i co z tego? A jednak... przypomniał sobie, żeby zerknąć do notatek.

Walker znowu spojrzął w kierunku drzwi, za którymi zniknęła Rebecca, a Mac zauważył, że denerwuje się jej przeciągającą się nieobecnością. Ale wtedy drzwi toalety otworzyły się i Rebecca wróciła do stolika. Nie była już tak blada, policzki miała zaczerwienione i Mac doszedł do wniosku, że pewnie tarła je niemal do krwi.

- Wszystko w porządku? - zapytał Walker ewidentnie zmartwiony. Aha, zdecydowanie byli razem.

- Hm. Walczę z jakimś wirusem. Chyba próbował wygrać. - Uśmiechnęła się słabo.

Mac jej nie uwierzył.

- Da pani radę odpowiedzieć na kilka pytań? - zapytał. - Czy woli to pani przełożyć na później?

- Nie, śmiało. - Widać, że chciała to mieć za sobą. - Słyszałam, że chce pan rozmawiać z nami wszystkimi, więc skoro Hudson i tak jechał na spotkanie...

- Więc teraz jesteście parą? - Wskazał na nich palcem.

- Znamy się od szkoły średniej - powiedziała Becca. Teraz już patrzyła spokojnie. - Czasem się spotykamy.

Odpuścił sobie. Na razie. Potem zadał jej pytania na temat tego, co wydarzyło się w dniu przed zniknięciem Jessie.

Rebecca wiedziała jeszcze mniej niż Hudson. Nie była bliską przyjaciółką Jessie i pamiętała tylko, co sobie powiedziały w czasie ostatniego spotkania. Mac przypomniał jej wydarzenia z ostatnich dni, co się działo w szkole, ale Rebecca nie była w stanie dodać niczego sensownego.

Na szczęście Gretchen trzymała język za zębami.

Pod koniec Mac wiedział mniej więcej tyle samo, ile na początku rozmowy oraz to, że napięcie seksualne między Hudsonem Walkerem i Rebecca Sutcliff było wręcz namacalne.

To miało coś wspólnego z Jessie? Czy to coś całkiem nowego?

- Jeśli tych dwoje nie wskoczyło jeszcze do łóżka, to tylko kwestia czasu - zauważyła Gretchen, kiedy wychodzili z knajpki.

Becca i Hudson wsiadali do swoich samochodów, podczas gdy Mac i Gretchen pakowali się do służbowego wozu.

- Zachowują się, jakby byli tylko przyjaciółmi, ale coś między nimi jest.

- Może.

Mac wyjechał z parkingu i zerkając w lusterko wsteczne, zobaczył, że Rebecca i Hudson odjechali w różnych kierunkach.

- Co takiego powiedziałaś, że Rebecca poleciała do łazienki przepłukać twarz zimną wodą?

Mac popatrzył na Gretchen i włączył się do ruchu, jadąc na posterunek.

- Kto, ja? Nawet nie zdążyłem się odezwać.

- Więc co w takim razie? Mac pokręcił głową, ale rzekł:

- Wyglądała, jakby miała zemdleć.

- Coś ją przeraziło.

Mac odtworzył w myślach, co powiedziano, i odezwał się powoli:

- Była przerażona, już kiedy przyjechała. Dlaczego przyjechała?

- Bo wiedziała, że zadzwonisz, i chciała mieć to za sobą korzystając ze wsparcia kochasia. Który nawiasem mówiąc, jest tylko jej przyjacielem.

- Mówi się, że najłatwiej ożywić szkolne uczucia. To, co kiedyś pociągało, teraz naprawdę może rozpaść.

- No, patrzcie państwo, pan ekspert od życia miłosnego.

- Nie da się ukryć, cały ja.

- Ale możesz mieć rację. Byłam ze trzy lata temu na spotkaniu klasowym i widziałam, jak się tam spiknęło kilka par. Niektórzy się rozwiedli i zostali z nowymi partnerami. Nie mogłam w to uwierzyć. Mój szkolny chłopak to frajer i totalny nieudacznik, więc nic by z tego nie było. Za żadne skarby.

Mac prowadził, ledwie zauważając inne samochody.

- Założę się, że to ona była powodem małej sprzeczki między Brentwood i Wal-kerem. Wiesz, zgodnie z teorią, że „piekło nie zna takiej furii jak wzgardzona kobieta”?

Zastanowił się nad tym. Może coś było na rzeczy.

- Rebecca Ryan nie miała dużego udziału w dochodzeniach dwadzieścia lat temu, więc nie spodziewałem się, żeby teraz było inaczej. - Mac skręcił w zaułek, omijając śmietnik i samochód dostawczy.

- Lepiej dodajmy ją do listy podejrzanych.

- Albo przesuniemy Walkera nieco wyżej.
- Już i tak jest blisko *numero uno*, nie? Jako jej chłopak i w ogóle. No i jeszcze ciąża...

- Zgadza się.

- Może Rebecca Ryan też powinna tam wylądować - zasugerowała Gretchen.

Mac nie odpowiedział. Im więcej dowiadywał się na temat sprawy Jessie Brentwood, tym mocniejsze miał przeczucie, że zbliża się do jakiejś mrocznej i niespodziewanej prawdy.

Becca patrzyła, jak drżą jej palce, kiedy wkładała kluczyki do zamka drzwi do mieszkania. Ringo zeskoczył z kanapy, kiedy tylko weszła, i podbiegł do niej wesoło. Przykucnęła, podrapała go za uszami i tuliła przez kilka minut. Potem sprawdziła, czy zamknęła za sobą drzwi, i weszła do kuchni. Złapała szklanekę, nalała sobie wody i wypila ją duszkiem z zamkniętymi oczami. Serce waliło jej jak oszalałe.

Widziała Jessie w jadłodajni.

Przez okno. Jak na dłoni. Jej włosy unosiły się na porywistym wietrze. Przycisnęła palec do ust, prosząc Beccę, żeby milczała. Kolejna wizja. Podobna do tej w centrum handlowym. Becca spojrzała w oczy detektywowi McNally'emu, który przyglądał jej się w takim skupieniu, że jej dech zaparło.

Nie mogę zemdleć, nakazała sobie ostro, czując, że nadciąga znajomy ból głowy. Przeprosiła i szybko uciekła do łazienki. Nalała do umywalki zimnej wody i włożyła w nią twarz, odliczając powoli do dziesięciu. Zrobiła tak jeszcze dwa razy. Skóra jej poczerwieniała, ale dzwonienie w uszach ustało i otrzeźwiała, nie mdlejąc.

W tym czasie Jessie zniknęła. Kiedy Becca wróciła na miejsce przy stoliku i zerknęła przez okno, zobaczyła na parkingu tylko samochody.

Co to znaczyło? Czego miała nie mówić?

- Czyja oszalałam? - zapytała, pochylając się do psa, który polizał japo łydce i cicho zaszczekał.

Poszła do salonu i klapnęła ciężko na sofę. Ringo wskoczył obok niej i zwinął się w kłębek, obserwując ją ciemnymi, bystrzymi ślepiami. Co teraz się stanie? - martwiła się.

Renee czuła, że grozi im niebezpieczeństwo. Sądziła, że Jessie ostrzegła, że grozi im niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo, które ma już dwadzieścia lat...

Becca przeczeswała włosy palcami. Miała nadzieję, że już nie będzie musiała spotykać się z McNallym. Że przesłuchanie już się odbyło. Że nie będzie chciał rozmawiać z nią „na osobności”, bez Hudsona.

- Oprzytomniej - mruknęła do siebie.

Jeśli policja uważała, że ona albo Hudson są zamieszani w zniknięcie Jessie, w jej morderstwo, McNally wróci i nie będzie ważne, czego ona chce.

Miała nadzieję, że wrażenie nadciągającej katastrofy, które jej ciążyło, to tylko skutek wizji.

Ale wiedziała swoje. W głębi serca, wiedziała.

Przy nieustannym akompaniamencie jazzu Glenn przeglądał faktury leżące na biurku, zaścielające całą przestrzeń wiśniowego drewna, i zastanawiał się, co było grane. Blue Note nie powinna przynosić strat, a przynajmniej nie tak wielkie. Mieli klientów. Nie tylu, ilu kiedyś, ale według rachunków nie szło im najgorzej. Właściwie to do jakiegoś czasu szło im znakomicie. Od incydentu z dzieciakiem z college'u, który zmarł po tym, jak został obsłużony w Blue Note, sprawy przybrały zły obrót. To nie ich wina, że tuż przed przyjściem do restauracji dzieciak wziął dla zabawy jakiś narkotyk i źle na niego zareagował, ale Blue Note cieniutko przedła od tamtego czasu, więc...

Ale to nie tłumaczyło długów, w których tonęli, tu i w domu, gdzie ciągle zdarzały się jakieś wydatki.

Pomyślał o Gii. Przekłeta kobieta. Próbowwała zaciągnąć go do łóżka tuż przed pójściem do restauracji. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć jej o wierszyku, ale ona tylko chciała rozłożyć nogi i począć. A potrzebował dziecka równie mocno jak dziury w głowie.

- Glenn! - zawołała ze schodów. - Chodź tu, ty wielki, apetyczny mężczyzno!

Był w kuchni i właśnie szedł do frontowych drzwi domu. Glut świecił gołym tyłkiem i przywarł do słupka balustrady, potrząsając „wdziękami” w sposób, który przypominał o mdłości.

Uciekł, jakby ratował życie. Teraz siedział w restauracji, zegar na biurku przypominał mu, że jest siódma, minuty jego nędznego życia upływały, pora kolacji dawno się zaczęła. Może jednak nie tak dawno. A może w ogóle się nie zaczęła, pomyślał kwaśno, siedząc na finansowym dnie i zastanawiając się, czy nie pójść na długi spacer po krótkim moście. Kto by zauważył, że go zabrakło? Gia? Znalazłaby sobie kogoś innego. Scott? Jakby interesowało go coś poza ciężką harówką Glenna. Jego dobrzy przyjaciele ze szkoły średniej...?

Skoro byli tacy dobrzy, to gdzie się podziewali przez ostatnie dwadzieścia lat?

Kiedy gliniarz przyszedł do restauracji, dali wszystkim znać, że detektyw McNally złożył im wizytę. Ale o wierszyku Glenn nikomu nie wspomniał. Scott też nie. Większość chłopaków rozmawiała już z detektywem i wszyscy się z tego powodu denerwowali. Trzeci ostrzegł ich, żeby zachowali spokój. Nikt już nie chciał spekulować

na temat Jessie, a przynajmniej nie za wiele. Wszyscy chcieli mieć już z głowy śledztwo - może samą Jessie -i pozbyć się tego wszystkiego ze swojego życia raz na zawsze.

Glenn rozmasował skronie.

Jessie...

Naprawdę źle się czuł, kiedy o niej myślał. Szarpnął szufladę biurka i wyciągnął butelkę Bushmillsa. Nalał sobie pół szklaneczki. Miał wrażenie, że łyk czegoś mocniejszego to dobry pomysł. Cholernie dobry.

Był już przy drugiej szklaneczce, kiedy ktoś zapukał do drzwi biura.

- Proszę! - zawołał.

Nie chciał, żeby mu przeszkadzano.

- Glenn? - odezwał się kobiecy głos.

Przebiegł go dreszcz. Miał złe przeczucie. Otworzył usta. Prawie spodziewał się, że do pokoju wejdzie Jessie, ale weszła Renee, ciemnowłosa i brązowooka. Serce biło mu już jak oszalałe i teraz, kiedy adrenalina powoli opadała, ogarnęła go wściekłość. Siostra Hudsona Walkera - przepraszam, jego bliźniaczka - zawsze go denerwowała. Ciekawska i zarozumiała w szkole średniej, jakby była lepsza od wszystkich wokół.

- Co, do cholery? - mruknął.

- Przepraszam. Wiem, że jesteś zajęty. Chciałam zadzwonić, ale komórka mi padła, zapomniałam ją naładować. - Wzruszyła ramionami, ściskając nerwowo torebkę.

Pomimo przeprosin, nadal wyglądała na spiętą, wręcz zmartwioną.

- Posłuchaj, słyszałam od Hudsona, że rozmawiałeś z McNallym, i jestem pewna, że moje nazwisko jest następne na liście. Chciałam się tylko czegoś dowiedzieć. Co mu powiedziałeś?

Więc stąd ta wizyta. Dziwne. Zastanawiał się, czy Renee pracowała nad swoim „tekstem” o Jessie, czy chodziło o coś innego. Glenn egoistycznie nie zaproponował jej drinka. Miał nadzieję, że nie usiądzie, ale, niestety, właśnie to zrobiła - przysiadła na brzegu fotela, opierając łokcie na torebce, rozgarniając włosy palcami.

- Nic nie powiedziałem - odparł Glenn. - Nie mam nic do powiedzenia. Wyglądasz fatalnie.

- Dzięki. - Głos miała szorstki, ale dziwnie niepewny.

Zerknął na nią zastanawiając się, czy to efekt alkoholu, czy też coś ukrywa.

- Pogadaj ze Scottem. Był tu, kiedy pojawił się McNally.

- Jest w okolicy?

- Aha. Jutro wraca na wybrzeże. Wydawało mu się, czy lekko zeszywniała?

- A gdzie jest ta wasza restauracja? W której części wybrzeża?

- Lincoln City.

- Och, na południe.
- Na południe od czego? Zawahała się.
- Od Deception Bay. Jeżdżę tam czasem.
- Serio? Po co? To... dziura. Sprawdziliśmy wszystkie miasteczka przed otwarciem Blue Ocean, to znaczy, Scott sprawdził, i Deception Bay nie trafiło do pierwszej dziesiątki, właściwie to nawet do pierwszej pięćdziesiątki.

- To... dobre miejsce, żeby uciec. My, pisarze, potrzebujemy spokojnego miejsca. A wracając do policji...

- Tak?

- Gdybyś uważał, że coś wiesz, nic konkretnego, ale... coś, co mogłoby wpłynąć na śledztwo... powiedziałbyś detektywowi?

- Nic bym mu nie powiedział. Nic.

Pomyślał o wierszyku i zastanowił się, czy powinien o nim wspomnieć, ale nie widział powodu.

- Pracowałaś nad tą historią. Co myślisz? Dowiedziałaś się czegoś?

- Nie - odpowiedziała szybko.

- To mi brzmi jak kłamstwo.

- Ale to prawda - zapewniła go i wyglądało na to, że zaraz się wygada.

Boże, miał nadzieję, że nie chodzi o jej rozwód. Kobiety uwielbiały rozmawiać o związkach, dobrych czy złych, ale jego to po prostu nie interesowało. Miał własne problemy w domu.

- Więc o co chodzi?

- Byłam na wybrzeżu kilka dni temu. Wpadłam na pewnych ludzi... którzy, myślę, znali Jessie. - Renee odwróciła wzrok i spojrzała na zdjęcia na ścianach, fotografie Scotta i Glenna, kiedy otwierali restaurację.

- W Deception Bay, tak? - Glenn z trudem nadał. Usiadł prosto. Alkohol już uderzył mu do głowy.

- Rodzina Jessie miała tam dom, a mówiło się o pewnej sekcji w okolicy i...

- Czy to do czegoś zmierza? - zapytał Glenn, akurat gdy otworzyły się drzwi i wszedł Scott.

- Renee - zdziwił się.

Czy ktoś tu jeszcze, do cholery, potrafi pukać? Renee wstała.

- Cieszę się, że jesteś. Wpadłam do was, bo usłyszałam o spotkaniu z McNallym.

- To raczej on spotkał się z nami. - Marszcząc brwi, Scott zerknął na Glenna. - Spileś się?

- Pracuję nad tym - odparł Glenn, żalując, że nie mogą sobie pójść, żeby mógł pić dalej w spokoju.

Ale nie było mu to pisane.

Renee i Scott rozmawiali o McNallym chyba wieczność, nim wreszcie wyszli.

Kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Glenn wyciągnął butelkę i zafundował sobie solidną dolewkę. Chciał po prostu przestać myśleć.

Rozdział 14



Mac potarł twarz, siedząc przy biurku. Ślęczał nad szczegółami sprzed dwudziestu lat, próbując połączyć przeszłość z tym, co Nadęte Gnojki pamiętały teraz. Pracował nad tym cały dzień i powinien już sobie odpuścić. Ale na posterunku zrobiło się cicho i wreszcie miał czas dla siebie, czas na skupienie. Choć samotność wcale nie pomagała. Nie miał nic nowego. Nic, czego mógłby się chwycić. Wszystko wyglądało tak jak wtedy. Tylko rzeczy prawdopodobne. Możliwe. Drobniautkie tajemnice. Nic konkretnego i wiarygodnego.

Śluchał kaset, które nagrał w czasie przesłuchań dwadzieścia lat temu, i pomyślał, o ile młodsze wydawały się ich głosy, jak młodo brzmiał jego własny. Nie robił wtedy notatek audio, chociaż powinien był. Zamiast tego spisywał sążniste notatki z dzisiejszych rozmów i porównywał je z taśmami i bazgrołami z okresu zaraz po zniknięciu Jessie.

Spojrzał teraz na bardziej szczegółowy raport z laboratorium, który podrzucono mu dziś na biurko. Żadnych rezultatów DNA. Trochę więcej na temat resztek znalezionych na miejscu zbrodni. Malutki kawałek białego plastiku okazał się okruszkiem muszli ostrygi - bez żadnych odcisków palców.

Mac zastanawiał się nad tym intensywnie. Muszla... z plaży? Czy to miało znaczenie? Czy to w ogóle wiązało się z grobem ofiary?

A potem pojawiła się ta myśl, kiedy przesłuchiwał Hudsona, którą próbował uchwycić. Coś mu zaświtało, gdy przesłuchiwany wspomniał o weekendowym wypadzie. Macowi przyszła na myśl wyprawa na wybrzeże. A to przypomniało mu o pewnym gościu, mężczyźnie, który dwadzieścia lat temu zgłosił się po ogłoszeniu w wiadomościach, że Jezebel Brentwood zaginęła. Twierdził, że podwiózł ją kilka tygodni wcześniej. Wydawało się, że nie ma to żadnego związku ze zniknięciem, więc Mac przeszedł nad tym do porządku, uznając, że to nieistotny szczegół. Jej rodzice mieli chatkę w jakieś dziurze na wybrzeżu, więc zakładał, że Jessie stamtąd wracała.

Teraz metodycznie przeglądał notatki, aż znalazł informację, którą napisał na temat nieznanego. Przypomniał sobie, jaki był wtedy niecierpliwy.

Jak niewielką wagę przywiązywał do wszelkich informacji, które odciągały go od Nadętych Gnojków. Był taki w gorącej wodzie kąpany, taki zapatrzony w siebie. Młodziak, który postanowił sobie, że przygwoździ dzieciaki. Niech to szlag.

Przeczytał raz jeszcze notatkę. Nieznajomy nazywał się Calvin Gilbert, mieszkał pod Seaside i zarabiał, sprzedając drewno opałowe ze starej pół-ciężarówki. Jeździł wzdłuż Highway 26 od Astorii, Seaside, Cannon Beach i innych miasteczek nadmorskich przez Góry Nadbrzeżne, aż do North Plains i Laurelton. Akurat trafił w telewizji na wiadomości, w których mówiono o Jessie, i zadzwonił na policję w Laurelton. Przełączono go do Maca.

Kiedy przeglądał ponownie notatki, prawie słyszał głos tamtego faceta.

- Zabrałem ją sprzed Jewell and Mist, wie pan? Było ciemno, że oko wykol i lało jak z cebra. Ta mała po prostu szła drogą, więc opuściłem szybę i mówię: „Mogę być jednym z psychopatów albo po prostu facetem, który chce cię podwieźć”, a ona odpowiada: „Pan nie jest psychopata. Pewnie jest pan miłszy, niż ludzie myślą”, i wskazuje do wozu. Poprosiła, żeby ją podrzucić do szkoły. Do Świętej Teresy.

Mac wtrącił wtedy, że do Świętej Elżbiety, a facet mówił dalej:

- Możliwe. Więc wiozę ją tam, a nadal jest ciemno, że oko wykol, no to próbuję ją przekonać, żeby tam nie wysiadała, ale ona się uparła i powiedziała, że tam właśnie chce jechać. Żeby zmienić temat, zapytała, czy ścinam drzewo przy autostradzie numer 53. „Tak, panienko”, odpowiadam. „Skąd wiesz?” A ona rzuca z tym seksownym uśmiechem: „Wiem różne rzeczy” i wysiada. Trochę to było straszne, jak w tych cholernych filmach Stephena Kinga. W każdym razie zatrząskuje drzwi i nawet się nie odwraca. Ani razu. Mnie to odpowiada, bo wie pan, myślę sobie, że ona może mieć oczy węża, czy coś takiego, nie jest całkiem jak człowiek. Patrzę, jak odchodzi, aż znika mi z przednich świateł i wie pan, ginie w ciemnościach. Odjeżdżam, chociaż nie mam ochoty, odpalam silnik i ruszam. A potem zobaczyłem ją w wiadomościach i zadzwoniłem.

- Doceniam - odpowiedział Mac, chociaż wcale tak nie myślał.

- Wiesz, co jest najdziwniejsze, synu? Miałem wtedy pustą pół-ciężarówkę. Zrzuciłem ładunek i zamiotłem skrzynię ładunkową. Skąd ona wiedziała o drewnie?

Maca się nie odezwał, spodziewając się, że po pikapie bardziej było widać, co Calvin Gilbert wozi, niż mu się wydawało - trociny, piła, kawałki kory. Teraz pomyślał nad tą informacją i zastanawiał się, co Jessie Brentwood robiła w środku nocy na autostradzie. Dlaczego łapała autostop i prosiła o podwiezienie do Świętej Elżbiety.

Nie do domu.

Nie do przyjaciółki.
Tylko do szkoły.
Gdzie prawdopodobnie zmarła.
Cholera.

Jak się okazało, Calvin Gilbert sporo czasu spędzał w lokalnej melinie i częściej pił, niż trzeźwiał; dwa razy go zgarnięto za jazdę w stanie nietrzeźwym od czasu tego telefonu. Nie określił dokładnie, kiedy spotkał Jessie w górach. Czy to był dzień, w którym zniknęła? Trzy dni wcześniej? Mac próbował wtedy odtworzyć ostatnie dni życia Jessie, ale telefon od Gilberta uznał za kawał. Facet świetnie się bawił, udając, że coś wie.

Ale może mówił prawdę.

Może Calvin Gilbert był ostatnią osobą, która widziała Jessie żywą.

Przesuwając kawałeczek muszli w palcach, Mac zastanawiał się nad Jessie Brentwood. Była skryta, uciekała z domu kilka razy przed ostatnim zniknięciem, z tego co się mówi, przewidywała przyszłość, a wybrzeże ciągle powracało jak motyw przewodni jej życia. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak myślał. To coś więcej niż tylko fragment muszli, więcej niż fakt, że Jessie złapała autostop w połowie drogi między wybrzeżem a Laurelton. Ale jeśli rzeczywiście łapała autostop, a właściwie po prostu szła autostradą która prowadziła na zachód od wybrzeża, to skąd wracała? Co albo kogo widziała? Czego szukała?

Hudson powiedział, że czuła, że ścigają ją kłopoty. Jakiego rodzaju? Czy to miało coś wspólnego z ciążą? Hudson najwyraźniej nic o dziecku nie wiedział albo był aktorem godnym Oscara, bo nawet mu powieka nie drgnęła, kiedy Gretchen zapytała, czy podejrzewał, że Jessie jest w ciąży.

A Rebecca... Mac żałował, że nie porozmawiał z nią dłużej. Rzuciło mu się w oczy, że to kolejna osoba z sekretami, chociaż na razie nie potrafił nawet zgadnąć, co ukrywała.

Siedział przy biurku i myślał, a minuty przeciągały się w godziny. Wydział przeszedł na tryb nocny, jedynie garstka ludzi została na posterunku. Siedział i myślał, myślał i siedział, a kiedy wreszcie oprzytomniał, było już po północy i jedyne, co wynikało z jego rozmyślań, to fakt, że ta sprawa jest martwa. Ożyła nieco zaraz po odnalezieniu szczątków w szkole, a teraz znowu stygła. Nawet gdyby miał wyniki badań DNA, z czym by je porównał? Czy ten dwudziestoletni włos z resztkami cebulki wystarczy - miał nadzieję, że tak - żeby dało się wyciągnąć DNA? W przeciwnym wypadku jak udowodni, że to ciało Jessie?

- A może to nie jej ciało - powiedział na głos, po raz pierwszy godząc się z tą myślą w końcu dopuszczając taką możliwość. Kiedy wychodził, słyszał, jak dozorca rozgrzewa się, nucąc *Blue Hawaii*.

Glenn Stafford zalał się w trupa. Był pijany. Spity...

Popatrzył na płyn na dnie butelki i nie mógł uwierzyć, zwyczajnie nie mógł uwierzyć, że wszystko zniknęło i został mu jeszcze tylko łyeczek albo dwa. To on to wypił? Opróżnił całą cholerną butelkę aż do dna?

Mgliście przypominał sobie, jak kucharze szli do domu i kelnerzy zamykali restaurację. Kilka osób zajrzało do biura, meldując mu, jak się skończył wieczór, ale teraz już wszyscy wyszli i restauracja była zamknięta. Scott znowu zajrzał i rzucił Glennowi wściekłe spojrzenie.

Pieprz się, koleś. Jak mi się zachce, to spiję się w trupa. To też moja gorzała!

Teraz, zataczając się, podszedł do drzwi i chwycił się klamki, żeby złapać równowagę. W restauracji panowała cisza. Nieziemska cisza, pomyślał. Nieziemska. I tak się właśnie czuł: nieziemsko. Patrzył, jak stawia stopy - jedna przed drugą - kiedy brnął do wyjścia. Na dworze lampy parkingowe rzucały błękitne księżyce na chodniki. W środku nastrojowe światła rozświetlały fragmenty wykładziny na żółto.

Glenn zawrócił w stronę kuchni i baru. A co, do cholery! Zasłużył na jeszcze jedną butelkę. Pomyślał o Gii. Boże, ale się wścieknie. Pewnie leży nago w łóżku i czeka, mając nadzieję, że wróci, zaliczy ją i zrobi jej dziecko. To się nazywa zepsuć dobrą zabawę. Dzwoniła dwa razy - a może trzy? - ale kazał jej przekazać, że jest zajęty. Komórki też nie odbierał, pozwalając, żeby przełączała się prosto na pocztę głosową.

Teraz mrużąc oczy, patrzył na rzędy butelek z alkoholem. Zauważył swoje odbicie w wyłożonej lustrem ścianie za trunkami. Cholera, Stafford. Jesteś... zbyt... krępy.

- Krępy - powtórzył na głos i wyszczerzył zęby do odbicia jak idiota. Pieprzyć ich. Czas na następnego drinka.

Rozejrzał się i znalazł zamkniętą butelkę Bushmillsa. Brzdęk.

Wyciągnął głowę w stronę hałasu z ręką nad butelką. Przecież był sam? Luis powiedział chwilę temu: „Dobranoc, wszystko pozamykam, panie Stafford”, prawda?

Dźwięk dobiegał z kuchni.

Z kuchni?

Może przesunął jakąś butelkę, kiedy sprawdzał etykiety. Trochę się nawalił. Mogło mu się wydawać, że słyszy coś z kuchni. Aha, pewnie tak. Nasłuchiwał, ale nie wychwycił niczego poza irytującym jazzem, którego Luis nie wyłączył. A jednak...

- Ej! - zawołał, zataczając się i trzymając następną butelkę za szyjkę. Rety, może jednak nie powinien już pić.

Pociągnął nosem i zamarł. Chwileczkę. To dym? Ktoś palił w kuchni?

- Niech to szlag - mruknął.

Trzymając butelkę, ruszył wężykiem do kuchni. Jarzeniówki pod szafkami rozświetlały powierzchnie ze stali nierdzewnej i Glenn przez chwilę czuł niekłamana dumę. Dlaczego interesy w restauracji nie szły? Dlaczego...

Jego nozdrza się rozszerzyły. Zapach dymu przybrał na sile.

- Jest tu kto?! - wrzasnął. Bach!

Coś uderzyło o podłogę. Z łoskotem.

- Jezu! - Serce zaczęło mu kołatać. - Ej - powtórzył ostrożniej, podchodząc. Był bliski paniki.

Szu!

Ten dźwięk rozległ się tak głośno, jakby wiatr zahuczał w tunelu.

- Co jest, do cholery? Trach!

Tylne drzwi?

Glennowi zjeżyły się włosy na karku. Strach ścinał mu krew. Coś tu było nie tak, ale był zbyt pijany, żeby pojąć.

Zamrugał, gdy zorientował się, że dym bucha z szafki na tyłach, tej za kuchnią. Chciał się odsunąć, ale poślizgnął się i klapnął na tyłek akurat, kiedy złote płomienie strzeliły w górę. Nierdzewna stal zamieniła się w oślepiające zwierciadła.

- O Boże!!

Próbował się cofnąć, odpełznąć, ale było już za późno. Wytrzeszczył oczy, kiedy ściana ognia ruszyła na niego. Otworzył usta do krzyku. Buch!

Wybuch wstrząsnął restauracją. Glennem rzuciło o ścianę. Był w pułapce.

Płomienie strzeliły z trzaskiem. Żar przypiekał skórę. W płucach paliło go żywym ogniem.

- Gia! - wrzasnął, wiedząc, że zaraz umrze.

Rozdziawił usta ze strachu, kiedy kulił się i kaszłał; czarny dym wypełnił mu płuca, skóra płonęła.

Krzyczał i krzyczał. Ostatnia rzecz, jaką zapamiętał, to piekielny ryk wypalający mu uszy.

Pal się. Płoń w piekle, łajdaku.

Stoję w cieniu, obserwując, jak płomienie wspinają się przez dach i buchają na tle nocnego nieba. Złote. Wspaniałe. Bogate. Jak lśniące dłonie sięgające błagalnie ku niebiosom, pożerające wszystko w zasięgu wzroku. Czarny dym wypełnia powietrze.

Ogień jest idealny.

W oddali wyją syreny i już zatrzymuje się kilka samochodów, ludzie krzyczą. Narasta panika.

Chcę zostać, ale nie mogę znajdować się tak blisko. Może wmieszam się w tłum i będę obserwować spektakl jakby nigdy nic.

Muszę wtopić się z powrotem w mrok.

Na razie.

Telefon zadzwonił głośno na nocnej szafce Becki. Natychmiast się zerwała, serce zabiło jej szybciej. Namacała słuchawkę i zerknęła na zegarek. Ringo warknął w nogach łóżka. Pierwsza trzydzieści sześć? Kto dzwonił o tej porze. O Boże...

- Becca, mówi Hudson - usłyszała, gdy przycisnęła słuchawkę od ucha. - Przepraszam, że cię budzę. Pomyślałem, że powinnaś usłyszeć to ode mnie. Pali się restauracja Scotta i Glenna.

- Co?!

- Scott właśnie dzwonił. Myśli, że Glenn nadal jest w środku.

- Co? Co? - Becca bliska paniki zapaliła światło. Ringo stał już na łóżku z sierścią zjezoną na karku.

- Nie... Dopiero co tam byliśmy. - Przypomniała sobie przysadzistego Glenna z krótkimi, ciemnymi włosami. - To musi być jakaś pomyłka.

- Najwyraźniej coś wybuchło w kuchni. A przynajmniej tak myślą. Sąsiedzi usłyszeli huk i zobaczyli słup ognia strzelający przez dach. To się wydarzyło niecałe pół godziny temu.

- I Scott zadzwonił do ciebie? - Beccę zemdlilo.

- Panikował. Miał nadzieję, że może Glenn jest u mnie. Właśnie tam jadę.

- Spotkamy się na miejscu - powiedziała, wstając z łóżka. Natychmiast oprzytomniała.

- Nie, nie musisz przyjeżdżać. Chciałem tylko, żebyś wiedziała.

- Dzięki, ale i tak będę. Do zobaczenia.

- Uważaj na siebie - poprosił i się rozłączył. Uważaj na siebie...

Tak samo ostrzegła ją Renee w Java Man - jakby wiedziała, że może wydarzyć się coś strasznego.

Te słowa prześladowały ją kiedy potykając się, włożyła ubranie, pospiesznie uczesała włosy w kucyk i wybiegła z mieszkania. Była już w samochodzie i jechała na miejsce pożaru, kiedy zaczęła się zastanawiać, co naprawdę mogło się wydarzyć. Kuchnia wybuchła? Jak to się stało? Uszkodzony przewód gazowy czy ktoś nie dopilnował kuchenki? A może to podpalenie?

Becca odrzuciła tę myśl. Z pewnością dopóki popioły nie ostygną i inspektorzy pożarnictwa nie wykonają swojej roboty, nikt się niczego nie dowie. I może Scott się mylił. Może Glenna nie było w środku. Pomodliła się w duchu, dociskając pedał gazu i mknąc ciemnymi, opustoszałymi ulicami.

Dopiero w pobliżu Blue Note zaczęło się korkować. Okolicę zalewało migoczące czerwone i białe światło kilku wozów strażackich. Z węży lały się kaskady wody na jasne pomarańczowe i żółte płomienie, które rozświetlały nocne niebo i grzały rosnący tłum gapiów. Ludzie szczelnie owijali się kurtkami i szlafrokami, odwracali się do żaru plecami. Policja wzniosła zaporę i zmusiła tłum do cofnięcia się o kilka przecznic.

Becca zaparkowała na pustym parkingu przy banku niemal pięć przecznic dalej, a potem ruszyła piechotą w stronę piekła. Zjawiły się ekipy telewizyjne, ich furgonetki zaparkowały przy barykadzie, w górze krążyły helikoptery, wszędzie kręcili się reporterzy z mikrofonami i kamerzystami.

Hałas był ogłuszający. Strażacy przekrzykiwali ryk ognia i syk wody lanej na płomienie, a ludzie stali i gadali. Znalazła Hudsona z jednym ze strażaków, który stał przy wozie strażackim z drabiną, nie spuszczać pożaru z oczu.

Mrużąc powieki z powodu gęstego dymu, zaczęła do nich podchodzić, ale zatrzymał ją policjant i kazał poczekać. Hudsona też wypchnięto za barykadę. Znalazł Beccę. Zaciskał zęby, oczy miał pochmurne. Widząc jego minę, Becca zrozumiała, że stało się najgorsze, że ich obawy co do Glenna się sprawdziły.

Zamarła.

- Więc to prawda, tak?

Hudson skinął głową, opiekuńczo objął Beccę za ramiona i przyciągnął do siebie. Zapragnęła wtulić twarz w jego pierś. Ciepło przywołało wspomnienia krążące tuż pod powierzchnią, wspomnienia o ich bliskości. Poczuli się jak potwór, że skupia się na sobie, kiedy wokół dzieją się takie rzeczy. Ściana żaru płonęła na prawo od niej.

- Co z Glennem? - zapytała.

- Znaleźli kogoś w środku. Za późno. Nie zidentyfikowano jeszcze ciała, ale...

- Dobry Boże - szepnęła.

Powiedział jej, że wiedział o tym od strażaka, Dave'a. Znali się trochę, jak się później zorientowała, więc Hudson usłyszał to, czego w innym wypadku pewnie by się nie dowiedział.

Dave pozostał przy wozie; nadal patrzył na szalejące płomienie.

Hudson odciągnął Beccę od bariery, głębiej w tłum. Wystarczyło, żeby odsunęli się od piekącego żaru, aby jej rozpalone policzki zaczęły stygnąć na lodowatym nocnym powietrzu.

- Jak to się stało? - zapytała z suchym gardłem; w ustach czuła smak sadzy wypełniającej powietrze.

W tłumie dostrzegła Scotta, który zauważył Hudsona. Szybko do nich podszedł. Jego łysa głowa lśniła w gorącym świetle ognia. Wyglądał na wyczerpanego i wstrząśniętego. Zszokowanego.

- Cała restauracja - powiedział. - Wszystko. Jezu, wszystko spłonęło... i... Glenn... był pijany.

- Widziałeś go? - zapytał Hudson.

- Wcześniej. Pił w swoim biurze. Pewnie poszedł do domu... na pewno... - Rozejrzał się wokół. - Ale Gia... wpadła w histerię...

- Jest tutaj? - zapytała Becca. Przyłożył rękę do czoła.

- O mój Boże.

Podążyli za jego wzrokiem. Gię Stafford podtrzymywał strażak; złapał ją akurat, kiedy zaczęła upadać. Krzyczała, rwała sobie włosy. Miała na sobie puchową kurtkę, a spod niej wystawał rąbek koszuli nocnej ciągnącej się po wodzie z węży strażackich.

- Znaleźli ciało, Scott - odezwał się Hudson.

- Nie... - Pokręcił głową niezdolny się z tym pogodzić.

Tłum podsunął się bliżej i jeden ze strażaków warknął, żeby się cofnęli. Hudson i Becca stali przy sąsiednim budynku i obserwowali zajście w milczeniu, a Scott chwiejnym krokiem od nich odszedł. Stali tak długie minuty, nieruchomo, jak zahipnotyzowani. Becca często zerkała na Gię, która cicho łkała i czepiała się każdego, kto znalazł się w zasięgu jej rąk.

Miała wrażenie, że minęły wieki, nim zapanowano nad płomieniami i budynek zamienił się w dymiący, śmierdzący wrak, z miejscami lśnącymi jak żółte oczy w pokreconej, poczerniającej masie.

- Proszę się cofnąć - rzucił ponuro strażak do gapiów. - Natychmiast. Hudson wziął nerwowy oddech.

- Co? - Becca zerknęła na niego.

- Myślę, że wyniosą ciało. To dlatego chcą, żeby tłum się rozszedł.

Becca zerknęła za niego na nosze niesione przez dwóch ponurych strażaków. Czarny brezent zakrywał zawartość, ale spod niego wysunęła się szerniała kończyzna. Ręka.

Becca odwróciła się przerażona, jakby odór spalonego ludzkiego ciała ją zemdlił.

- Chodź - powiedział Hudson. - Zabiorę cię do domu.

- Nie... mam samochód...

Krzyki Gii zamieniły się w przeraźliwe wycie i dwóch strażaków zabrało ją sprzed zgliszcz, chociaż szarpała się, bo rozpaczliwie chciała zostać.

- Panie Walker?

Oboje odwrócili się i zobaczyli posepnego detektywa McNally'ego. Nie teraz. Na miłość boską, nie teraz! Czy ten cholerny gliniarz nie mógł ich zostawić w spokoju? Becca odwróciła twarz, zboląła. Chciała kochać się z Hudsonem. Chciała, żeby ich ciała się połączyły. Chciała odepchnąć to wszystko na bok. Chciała krzyczeć i wrzeszczeć, ale nie miała siły. Zamiast tego uczucia tylko kłębiły się w jej brzuchu i piersi. Zacisnęła powieki.

Jak spoza kokonu słyszała, jak Hudson rozmawia z McNallym o pożarze, czuła głos w jego piersi, gdy przyciskała do niej twarz. Po prostu dwóch mężczyzn wymieniało się uwagami. Ciała nadal nie zidentyfikowano, ale sądząc po zegarku na ręce, który rozpoznał Scott, to pewnie Glenn. Nikt nie poszedł zawiadomić Gii, którą trzymano z dala od makabrycznego widoku. Wszystko przewróciło się Becce w żołądku i utrzymała jego zawartość na miejscu tylko siłą woli.

I wtedy nadeszła fala. To uczucie tonięcia, które poprzedzało wizje. Chwyciła się Hudsona ze wszystkich sił.

- Becca? - Zerknął na nią.

- Ja...

Spadam - chciała powiedzieć, ale nie była w stanie. Skuliła się bezwładnie w jego ramionach i gdyby nie on, uderzyłaby o mokry chodnik. W głowie widziała pokój. Jakieś biuro. Wyciągnęła dłoń i zobaczyła, że coś trzyma. Białą kartkę i niebieską kopertę. Słowa pojawiły się przed jej oczami, zamazane i niewyraźne. Zawijasy, które może jednak nie były słowami... a może były, gdyby tylko zdołała je odczytać. Widziała czyjeś imię wypisane niepewną ręką: „Glenn”.

Kiedy obróciła kartkę, zmrużyła oczy, jakby potrzebowała okularów, i powoli zawijasy zamieniły się w słowa, a słowa w zdania.

„Z czego zrobieni są mali chłopcy? Z żab, ślimaków i psich ogonów. Z tego zrobieni są mali chłopcy”.

Serce jej się zacisnęło.

Wierszyk Jessie! Właśnie nim drażniła się z chłopcami. Becca zagapiła się na kartkę, która zaczęła się kurczyć i czernieć, i nagle słowa buchnęły płomieniem. Wypuściła płonący list. Palce ją zapiekły, dym wypełnił nozdrza, dusząc.

- Jessie! - wykrzyknęła. - Jessie! Hudson zamarł.

Jessie?

O czym Becca mówiła? Hudson prawie nie zauważył, kiedy nogi się pod nią ugięły, ale złapał ją zanim poleciała. Musiał ją przytrzymać całkiem bezwładną, bo inaczej wylądowałyby na ziemi.

Co, do cholery? Dlaczego wykrzykiwała imię Jessie? Trzymał ją mocno, na wpół ciągnąc, na wpół niosąc dalej od dymu i ogłuszającego ryku wody i silników.

- Becca - szepnął, tłumiąc własny niepokój, kiedy śmiertelnie pobiła. Nie wolno mu było pozwolić jej tu przyjeżdżać. Powinien był ją powstrzymać. Zmusić, żeby została w domu. Nie powinien był dzwonić.

Ale chciał ją znowu zobaczyć. Od pierwszej sekundy, gdy ją spotkał w Blue Note dwa tygodnie wcześniej, wrócił do szkolnych czasów, kiedy pożerały go myśli o niej, kiedy czuł się winny, bo pragnął jej towarzystwa bardziej niż towarzystwa swojej dziewczyny. Chciał ją tulić, przywierać do niej, kochać się z nią aż do nasycenia i utraty zmysłów. Chciał być z Beccą. Chciał wdychać jej zapach i schować się w niej. Zawsze tego pragnął.

- Nic jej nie jest? - zapytał Scott. Stał z dziesięć metrów dalej i patrzył na katastrofalny pożar.

Hudson nie odpowiedział. Becca oddychała. Wręcz dyszała, jakby biegła. Czuł przy piersi gwałtowne bicie jej serca. Jakby wpadła w trans, ale aktywny. Nie była biernym uczestnikiem tego, co się działo.

- Becca?

Trzymał ją mocno, odchylając jej głowę i opierając na ręce. Usta jej drżały, jakby próbowała coś powiedzieć. Oczy gwałtownie poruszały się pod powiekami. Był jednocześnie przerażony i podminowany. Mgliście przypominał sobie coś z przeszłości - jakieś plotki, że Becca Ryan mdleje i wygaduje brednie. Przypominał sobie dziewczyny ze szkoły, jak stały w grupkach i śmiały się z niej. Ale nie Jessie, chociaż była o nią zazdrosna; ona nie traktowała jej jak dziwadło. Mimo że Jessie też się czasem czuła jak dziwadło. I nie Tamara, która była przyjaciółką Becki. I nie sądził, żeby Renee się z niej śmiała. Ale Evangeline.. ? Może dlatego, że jej nie lubił, ale był pewien, że to ona podżegała, że to ona pierwsza wytykała palcem innych, bo sama była słaba i niepewna siebie.

- Jessie... - znowu mruknęła Becca i Hudsonowi zjeżyły się włosy na karku.

Powoli zamrugła i przez kilka sekund patrzyła na niego nieprzytomnie. A potem szarpnęła się w jego ramionach, jakby ktoś pociągnął za sznurki.

- Trzymam cię - powiedział. - Wszystko w porządku. Już w porządku.

- Ja... odpłynęłam.

Chwyciła się klap jego kurtki i przytuliła do niego. Zaciśnęła powieki, jakby z bólu.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. - Kilka razy z trudem przełknęła ślinę. - To czasem... mi się zdarza.

- Wiem.

Zmrużyła oczy, patrząc na niego. Wstrzymała oddech.

- Wiesz... że miałam... wizje?

- Wizje, sny... traciłaś przytomność - powiedział z ulgą bo oprzytomniała i wracaly jej kolory. - Na pewno nic ci nie jest?

- Tak, ale coś widziałam.

- Jessie?

Wyrwała się z jego uścisku i spojrzała na niego. Potem rozejrzała się, jakby powoli przypominała sobie, gdzie się znajduje i co się dzieje.

- Jessie? Nie. Dlaczego... dlaczego tak pomyślałeś?

- Powiedziałaś jej imię.

- Na głos? - To ją przeraziło i nagle pobladła, jakby znowu miała zemdleć.

- Pozwól, że cię odwiozę do domu.

Myślał, że będzie się z nim spierała, ale tylko skinęła głową i przyłożyła dłoń do czoła.

- Mam migreny - powiedziała.

- Gdzie stoi twój samochód?

- Hm... na parkingu. Przy Willamette Bank and Trust, czy jakoś tak. -Z trudem się koncentrowała.

- Wiem, gdzie to jest.

Pomógł jej dojść do samochodu i usadowił ją na siedzeniu pasażera. Oddał mu kluczyki. Odsunął fotel od kierownicy i wyjechał z parkingu.

- A co z półcieżarówką? - zapytała, opierając głowę o szybę. Źle wyglądała.

- Poczekaj do jutra.

- Nic mi nie jest. Serio.

- Uhm.

- To od dawna mi się nie zdarzało, ale teraz... wróciło. Wróciły. - Westchnęła ciężko i ściągnęła gumkę z włosów.

- Wizje?

Nie chciał powiedzieć tego z powątpiewaniem, ale sam usłyszał je w swoim głosie. Odwróciła się powoli, żeby na niego spojrzeć. Jej oczy wydawały się ogromne w słabej poświacie z deski rozdzielczej. Zapytał ją o drogę do mieszkania, chociaż z grubsza wiedział, w jakim kierunku jechać, bo znał adres i numer telefonu z listy, którą wszyscy się wymienili w Blue Note. Becca z roztargnieniem wskazała drogę.

Kiedy zatrzymał się u niej na parkingu, chciał jej pomóc wysiąść, ale próbowała go zbyć.

- Naprawdę nic mi nie jest. Dam sobie radę.

- Zrób mi tę przyjemność - uparł się, łapiąc ją za rękę, bo nie chciała się zgodzić na żadną pomoc.

Przy tylnych drzwiach do mieszkania oddał jej kluczyki, a ona otworzyła zamek. Kiedy tylko drzwi się uchyliły, Hudson usłyszał na wpół szczeknięcie, na wpół warczenie psa. Czarno-biała kudłata bestia piorunowała go wzrokiem, stojąc na sztywnych łapach. Becca pochyliła się do psa i wzięła go na ręce, chociaż Ringo chciał być psem obronnym. Zagruchała do niego, pogłaskała po uszach. Pies dalej piorunował Hudsona wzrokiem i warczał.

- Cicho, głupi szczeniaku - rozczuła się Becca.

- Masz tu prawdziwego psa obronnego. Chce cię chronić. Becca się uśmiechnęła.

- Nie usprawiedliwiał go, dopóki nie poznasz. Znany jest z uprzedzania się do ludzi.

Ruszyła prosto do kredensu i wyciągnęła buteleczkę z pigułkami.

- Aspiryna - wyjaśniła i jakby przeczuwała, co Hudson powie, odwróciła wzrok. W jej oczach malował się niepokój, którego nie umiała ukryć. -Przepraszam, że musiałeś to widzieć. Nie jestem... dziwadłem.

- Nie jesteś.

- W każdym razie nie całkiem. - Przełknęła pigułki i popiła je wodą. Hudson chciał jąznowu objąć i już wyciągał ręce, kiedy Becca stanowczo odstawiła szklanke na blat, wzięła oddech i odwróciła się do niego.

- Miałam wizje, kiedy byłam dzieckiem i jako nastolatka. Żadna nie zdarzyła mi się od wielu lat, ale nagle ostatnio, bach, wróciły.

- Nie musisz mi się tłumaczyć.

- Pewnie, że muszę. - Machnęła lekceważąco ręką, opędzając się od jego żalonych zaprzeczeń. - Pierwsza była z Jessie. Kilka tygodni temu. Zemdlałam w centrum handlowym. Tuż obok alejki z knajpkami! Upadłam przed grupą dzieciaków i nieźle je nastraszyłam. Jedno z nich zrobiło mi zdjęcie komórką.

Hudson burknął na to ze złością, zachęcając Beccę do dalszej opowieści.

- Wiem. Dzieciaki odreagowały.

- Zachowały się jak idioci. Niedouczone głupki.

- Śmiertelnie się przeraziłam. W każdym razie zobaczyłam Jessie. Powiedziała coś do mnie i położyła palec na ustach. Stała na skraju urwiska.

Oparł się biodrem o blat w kuchni, podczas gdy Ringo stał w progu i obserwował intruza.

- Te wizje różnią się od tych, które miałaś kiedyś?

- Tak, treścią. Kiedyś dotyczyły ludzi, których znam. Pokazywały, o czym myślałam. W głowie rozgrywał mi się jakby scenariusz, na przykład z moimi rodzicami. Kłócili się o coś, zwykle o mnie. Zawsze sprzeczały się, co dla mnie najlepsze, i czasem widziałam w głowie ich kłótnie. Myślę, że moje wizje były bardzo bliskie prawdy. A kiedy poszłam do szkoły średniej te epizody stały się bardziej intensywne i najczęściej dotyczyły chłopców, którzy mi się podobali... albo dziewczyn, które były wobec mnie podłe... - Odetchnęła. - Nigdy nie miały sensu. Bardziej przypominały sny. W jednej sekundzie wszystko było normalnie, a w drugiej budziłam się na podłodze na sali gimnastycznej albo na boisku, albo w pracowni. To było potwornie żenujące. Nie wiedziałeś?

- Pamiętam plotki na ten temat - przyznał Hudson. - Myślę, że Evangeline je rozpowiadała.

- Tak? - Becca się skrzywiła.

- Nigdy nie była szczególnie miłą osobą.

- Nie chce, żeby Jessie wróciła.

- Może myśli, że ukradłaby jej Zeke'a. Uśmiechnęła się słabo na te słowa.

- Zawsze tak uważała. A wracając do ostatnich czasów, nie potrafię wytłumaczyć tych wizji, ale pierwszą miałam tuż przed tym, gdy usłyszałam o ciele znalezionym w labiryncie.

- I to była Jessie.

- Tak.

- I nie miałaś innych wizji od szkoły średniej do teraz.

- Żadnych. Ani jednej w czasie trwania małżeństwa - przyznała ze zdziwieniem. - Zawsze wiązałam wizje ze stresem, a chociaż przeszłam naprawdę trudne chwile, kiedy byłam mężatką, to żadnej nie miałam.

- Więc może nie wynikają ze stresu.

- Może. Chociaż dzisiaj, przy pożarze... Ręce jej drżały. Rozprostowała palce.

- Chodźmy do salonu.

Szedł blisko niej, ale uznał, że trzymała się lepiej, niż na to wyglądała. Bez problemu doszła do kanapy. Pies usiadł obok niej i zwinął się w kłębek, nie spuszczać oczu z Hudsona, który usiadł naprzeciwko.

- Te wizje - odezwała się cicho - to przekleństwo.

- Może to twoja podświadomość próbuje cię przed czymś ostrzec. W ten sposób radzisz sobie z problemami. - Hudson wzruszył ramionami. - To nic wielkiego.

- Nic wielkiego - gorączkowała się Becca. - Nie wiem, śmiać się czy płakać. Ty-
le czasu spędziłam, wariując z ich powodu. Tak się bałam wyjść na idiotkę. Bałam się,
że ludzie mnie wyśmieją.

- Nie martw się - powiedział cicho.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

- A co z tą wizją przy pożarze? Też dotyczyła Jessie?

- Nie całkiem.

Becca zastanawiała się, ile mu powiedzieć. Jasne, że Hudson wspierał ją, jak
mógł, ale nie mogła sądzić, że tak pozostanie, kiedy mu odsłoni całość swojego sza-
leństwa.

Ale z drugiej strony, ta wizja była naprawdę dziwna.

- Zobaczyłam wierszyk - przyznała powoli. - W liście. Wierszyk Jessie. Ten, któ-
rym droczyła się z chłopcami. Myślę... myślę, że wysłała ją do Glenna. Na liście było
jego imię.

Hudson zamarł. Patrzyła, jak zmienia się jego twarz, i serce jej zamarło. Może
zastanawiał się nad własnymi uczuciami, rozważał, czy dalej ją wspierać, czy uznać,
że kompletnie jej odbiło. Ulga, którą czuła jeszcze chwilę temu, zniknęła i teraz Becca
szykowała się na to, co zaraz nadejdzie. Niezależnie od tego, co mówił, wiedziała, że
jego wsparcie może być bardziej kruche, niż myślał.

- Jaki wierszyk? - zapytał. Potarła ramiona.

- Ten, który powtarzała Jessie. Pamiętasz: „Z czego zrobieni są mali chłopcy? Z
żab, ślimaków i psich ogonów. Z tego*zrobieni są mali chłopcy”.

Hudson zaniknął na chwilę oczy, dotknął czoła, jakby podejmował naj-
poważniejszą decyzję.

Bece serce się zacisnęło.

- Hudson?

Chciała cofnąć swoje słowa. Za bardzo się zapędziła. Chciała, żeby uważał ją za
normalną ale jeśli wstanie i wyjdzie, nie będzie miała do niego pretensji.

- To ja dostałam ten list - powiedział powoli, patrząc jej w oczy.

- Nie... tam było napisane „Glenn”. Jestem... jestem pewna...

W odpowiedzi sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął białą kart-
kę, identyczną z tą z jej wizji i. Odwrócił ją, żeby mogła przeczytać.

Na papierze nierównym charakterem pisma nabazgrołono „Hudson”.

Rozdział 15



Patrzę, jak pożar zaczyna przygasać i tłum się rozchodzi. Jest późno i trzeba odpocząć, ale tyle zostało do zrobienia. Płomienie i bijący w niebo dym dodają mi energii.

Nikt mnie nie rozpoznał, chociaż widzę znajome twarze.

Rebecca...

Ach, tak...

Wyczułaś mnie? Wiedziałaś, że cię obserwuję? Ale odeszła, jeden z nich ją zabrał.

Ruszam za nimi, widzę, jak Rebecca siada na miejscu pasażera w niebieskim, małym samochodzie... jej samochodzie, ale to on będzie prowadził.

Noc zamyka się wokół mnie i zaczynam rozglądać się za własnym samochodem, kiedy wyczuwam ten specjalny zapach, który mnie wprawia w ruch.

Słaby, ledwie wyczuwalny na tle smrodu zwęglonego drewna, spalonego tynku i dymu. A jednak czuję go w powietrzu. Wabi mnie. Przyprawia o mdłości.

Zamykam oczy, skupiam się.

Drzę w środku... z napięcia.

Minęło tyle czasu...

Ale to pewne, jak przyływ zmieniający się z księżycem, że mój czas się zbliża.

Czas mojej misji. Niedługo... już niedługo...

Mac stał w deszczu przy samochodzie i gapił się na zgliszcza, które kiedyś były restauracją z barem. Woda z węży strażackich i nieustannych opadów stała w kałużach. Przedstawienie się skończyło; zniknął ogień, została tylko śmierdząca para. Stojąca woda jaśniała pod sodowymi lampami parkingu, a w powietrzu wisiał gęsty dym.

Miejsce wydawało się opuszczone, chociaż strażacy jeszcze zwijali węże, w pobliżu stały ich wozy z pracującymi silnikami. Ktoś odwiózł Gię Staf-ford do domu. Bogu dzięki. Jedyne osobę, którą Mac poznawał, to Scott Pascal. Siedział na mokrym krawężniku i gapił się zaczerwienionymi oczami na czarną mokrą bryłę restauracji. Mac, który rzadko pozwalał sobie na fantazje, nagle wyobraził sobie trębacza wydobywającego z instrumentu niemożliwie wysoką nutę, która wybrzmiewała pełnym smutku echem. Smutna nuta - Blue Note - nie da się ukryć.

- Rozmawiał pan z Gią? - Pascal nieco się odwrócił.

Mac spojrział na półprofil Scotta, zauważając ogromne zmęczenie. Jedną z rzeczy, jaką odkrył w ciągu lat przesłuchiwania ludzi, to to, że nigdy nie wiadomo, co powiedzą w chwilach największego stresu. Odkrył, że lepiej wtedy trzymać gębę na kłódkę. Zadać kilka pytań, ale potem poczekać - tego Gretchen musiała się dopiero nauczyć, o ile to możliwe.

- Wypadek czy podpalenie? - zapytał Mac. Pascal znieruchomiał.

- Kto mówi, że to podpalenie?

- Może nikt, ale w takich sytuacjach to zawsze wchodzi w rachubę.

- To znaczy w jakich? Nikt mi nic nie mówi. - Rzucił wściekle spojrzenie na odjeżdżających strażaków.

Złość sprawiła, że jego twarz zbrzydła.

- Niech pan da spokój. Traciliście pieniądze.

- Przeglądał pan moje finanse? Pascal wstał z krawężnika.

- Raczej zgaduję. Pańscy pracownicy niespecjalnie uważali, zgadując, ile czasu ich zdaniem restauracja jeszcze pociągnie.

Scott zastanowił się nad tym i usiadł z powrotem.

- Pięknie - rzucił kwaśno. Uniósł brew. - Ile nam dawali? - zapytał z nutką ironii.

- Tydzień, może dwa. Najwyżej miesiąc.

- Wie pan, że otwieramy Blue Ocean? Wszyscy mówili, że nie dotrzemy na wybrzeże, ale sam by się pan zdziwił.

- Na wybrzeże? - powtórzył Mac, myśląc o muszli ostrygi, o Jessie Brentwood, która przed swoim zniknięciem łąpała stopa przy drodze z wybrzeża.

- Aha, w Lincoln City.

Kawał na południe od miejsca, gdzie kiedyś Brentwoodowie mieli domek.

- Jasne, mieliśmy kłopoty z rozruchem, pewnie, ale to wspaniała lokalizacja i poszczęściło nam się z szefem kuchni. Nawet nie wie, jaki jest dobry, a to się po prostu nie zdarza. Glenn, niech to diabli... - Z trudem przełknął ślinę. - Nigdy nawet nie pojął, co mamy. Dla niego to było miejsce, do którego uciekał przed żoną. - Zaśmiał się gorzko. - I wreszcie mu się udało.

- Ich małżeństwo miało kłopoty?

- Dla Glenna wszystko było kłopotem.

- Aha.

Pascal przesunął ręką po resztkach włosów i westchnął.

- Boże, był jak wrzód na tyłku.

Mac uśmiechnął się słabo. Scott Pascal nigdy nie był z nim bardziej szczery.

Wszystkie bariery zniknęły. Szkoda, że zaraz znowu się pojawiają, ale taką miał robotę, musi zapytać.

Jednak Pascal go uprzedził. Zerknął i powiedział:

- Pewnie pan myśli, że to miało coś wspólnego z Jessie. Tak pan działa. Wszystko, co dotyczy moich przyjaciół, wiąże się z Jessie.

Mac uniósł ręce.

- Śmiało. Niech mnie pan pyta o Jessie. Jestem do dyspozycji... praktycznie wszystko straciłem... Może firma ubezpieczeniowa postawi mnie na nogi, ale Glenn odszedł i Bóg jeden wie, co będzie potem... ale pan... Pan chce się dowiedzieć czegoś o Jessie. Więc niech pan pyta, detektywie McNally. Śmiało.

- Naprawdę nie widzę, jak ten pożar i prawdopodobna śmierć Stafforda miałyby się wiązać z Jessie - przyznał Mac.

- Dostał od niej list.

- Glenn dostał od niej list? - Macowi serce zabiło szybciej. Zmarszczył brwi, nie chcąc się zdradzić. - Kiedy?

- Nie wiem, chyba kilka dni temu. To był wierszyk, który Jessie lubiła powtarzać.

Scott zanucił go wysokim, dziewczęcym głosikiem, od którego aż ciarki przeszły policjantowi po plecach. Maca drugi raz tego wieczoru poniosła wyobraźnia i zaczęła się zastanawiać, czy trochę mu nie odbija.

- Gdzie jest ten list?

- Może w jego biurze. Może spalił się razem z Glennem.

- Pewnie nie było adresu zwrotnego? Stempla?

- Stempel był z Portland. Zauważyłem. Kod gdzieś z okolic Sellwood, owszem, to też sprawdziłem.

To nie miało żadnego sensu, Sellwood znajdowało się po drugiej stronie Willamette River, w południowo-wschodnim Portland.

- Dlaczego Glenn go dostał?

- Niech pan sam mi to powie. Napalał się na Jessie, ale to dla niego typowe, zawsze ślinił się do ładnych dziewczyn. Nigdy się nie zmienił. Ale Jessie nie miała z nim nic wspólnego. Ona chciała Hudsona. Mogła wykorzystać faceta, żeby dorwać się do Hudsona, ale nic więcej.

- Mówi to pan z własnego doświadczenia?

Scott westchnął i spojrzał w niebo. Deszcz ustał, ale wiatr przybierał na sile, strząsając wodę z pokrytych sadzą liści sąsiedniego drzewa.

- Ona lubiła mrocznych facetów, tajemniczych.

- Jak Jarrett Erikson i może Zeke St. John?

- Zeke był najlepszym kumplem Hudsona - odpowiedział i jakby nagle coś do niego dotarło. - To mogło do niej przemawiać. Jessie była... - odwrócił wzrok, szukając właściwego słowa — ..trochę pokręcona.

- Więc dlaczego Glenn? - ponownie zapytał Mac. I jakim cudem ta dziewczyna wysłała list? Był absolutnie przekonany, że Jessie nie żyje od dwudziestu lat, więc trudno, żeby wysłała list.

- Lubiła się droczyć. To właśnie robiła.

- I komu jeszcze śpiewała tę piosenkę?

- Nam wszystkim. - Wstał i otrzepał tył spodni, kompletnie przemoczony. Zadrżał z zimna i odwrócił się w stronę samochodu.

- Wie pan, to ciało, które znaleźliśmy... jesteśmy niemal pewni, że to Jessie Brentwood, więc jeśli to nie jest duch z własną papeterią, nie sędzę, żeby wysłała list komukolwiek. Ani z Sellwood, ani skądinąd.

- Mówię tylko, że Glenn dostał list, anonim, w porządku? A w liście były słowa Jessie. - Scott popatrzył spokojnie. - Może ktoś wykręcił mu chory żart.

- Ktoś, kto wiedział o tym wierszyku.

- Wszyscy wiedzieliśmy.

- Myśli pan, że ktoś jeszcze dostał taki list? - zapytał Mac, zastanawiając się, czy ten palant nabija się z niego.

Nie byłby to pierwszy raz.

- Niech pan popyta - odparł Scott, a potem odbiegł ku drzewom, na parking przy pasażu handlowym. Tam wsiadł do grafitowej półciężarówki i odjechał.

- Popytam - powiedział do siebie Mac. - Niech to szlag, zapytam wszystkich.

- Zacznijmy od początku - powiedział Hudson do Becki. - Widziałaś obraz płonącego listu i myślisz, że został wysłany do Glenna.

Nadal trzymał ten przeklęty papierek w ręce i niczego nie rozumiał. Na razie ta noc była koszmarna. Najpierw pożar, potem śmierć Glenna i teraz wizje Becki - czy jak je nazwać - na temat listu, który dopiero co dostał.

- Nie - powiedziała, tracąc cierpliwość. - Nie myślę. Ja to wiem.

- W porządku. Więc były dwa.

- Co najmniej.

- Aha, co najmniej.

Chciał wiedzieć, co miała na myśli. Musiał.

Przyjrzała się listowi, a potem odłożyła go na stolik, wzdrygając się, jakby był zatruty. Jego też odrzucał ten list. Kto go przysłał? Jessie? Nie mógł w to uwierzyć. Nie wierzył.

- Dlaczego? - zapytał. Pokręciła głową i poszła do kuchni.

Ruszył za nią. Gotowała w mikrofalówce wodę na ziołową herbatkę czy coś równie nieszkodliwego. Pies doszedł do wniosku, że Hudson nie jest wart zainteresowania, i ułożył się na swoim legowisku w salonie. Pochrapywał teraz cicho.

- Musi istnieć jakiś powód, dla którego go dostałem... i Glenn też.

- Może Jessie chce, żeby niektórzy z nas wiedzieli, że żyje.

- Nie wierzysz w to tak samo jak ja.

- Wiem, ale... - Mikrofalówka się wyłączyła. Becca wyjęła kubek i wrzuciła do środka torebkę z aromatyczną herbatką. - Ale musi istnieć jakiś powód. To nie zaczęło się ni stąd, ni zowąd po dwudziestu latach. Wszystko musi się wiązać z kośćmi przy szkole.

- Więc dlaczego ja? Dlaczego Glenn?

- Może było ich więcej. - Spojrzała na niego. On też to czuł. Że ktoś nimi manipuluje.

- Ktoś ma chore poczucie humoru. Wyrzuciła torebkę do kosza.

- Kto?

Pomyślał o wszystkich choćby mgliście powiązanych z Jessie i nie potrafił wskazać nawet jednej podejrzaney osoby.

- I dlaczego? Po prostu nie wierzę, że ktoś ma ubaw z tego, że nas straszy.

- Może powinniśmy pójść na policję - powiedziała, próbując gorącego naparu.

- I co im powiesz? Ja dostałem jeden list, a ty „widziałaś” drugi, który miał być dla Glenna? Jeśli wciągniemy w to policję, oni nie przełkną tego, że po prostu „widziałaś”.

- Pomyślałam, że ja go napisałam - podsumowała Becca. Podeszła do kanapy i usiadła, zapadając się w poduszkach. Hudson pokręcił głową

- Nie wiem, co pomyślałam, ale skontaktowanie się teraz z McNallym może przysporzyć więcej kłopotów, niż to warte. Becca... - Urwał, czując się niezręcznie.

Zerknęła na niego.

- Mogłaś widzieć ten list do Glenna? W jakiś sposób? I po prostu przypomnieć to sobie?

I proszę. Niewiara. Odezwały się w niej złość i frustracja, chociaż wiedziała, że Hudson tak się zachowa. Co właściwie o niej wiedział? Jak mógł po prostu jej zaufać?

- Nie.

- Więc musisz wymyślić jakąś historię, zanim pójdziemy na policję. Jeśli pójdziemy. Powiedz, że widziałaś go na biurku albo coś takiego.

- Pięknie. Mam kłamać policji. Jakbym miała coś do ukrycia. - Becca klasnęła w ręce tak mocno, że zaboląły ją kostki. I po co powiedziała to Hudsonowi? Dlaczego mu zaufała? - Może Scott coś o tym wie.

- Myślisz, że Glenn pokazał mu list? Czekaj. Może Scott też taki dostał. Dlaczego tylko ja i Glenn mieliśmy go dostać? - Hudson natychmiast się ożywił. Wyszarpnął komórkę z kieszeni i zaczął przeglądać numery. - A Trzeci, Zeke?

- Jest trzecia nad ranem.

Zamknął komórkę, zanim skończyła zdanie.

- Masz rację. Jutro zadzwonię. - Przyjrzał jej się uważnie. - Może powinniśmy iść do łóżka.

Skinęła głową. Nie zdołała powstrzymać szerokiego uśmiechu.

- To twój pierwszy dobry pomysł tego wieczoru.

- Właściwie nocy - poprawił ją. - Chodź.

Pierwsza rzecz, jaka dotarła do Becki po przebudzeniu, to zapach dymu. Zerwała się, ale to były tylko resztki smrodu z nocy. Chociaż przebrała się z pośpiesznie narzuconego ubrania i kochała z Hudsonem prawie do czwartej nad ranem, zapach pozostał w jej włosach i przywarł do skóry. Ringo darował sobie czujność i opuścił głowę na łapy, ale zerwał się, gdy tylko Becca się poruszyła. Hudson zachrapał i obrócił się, nawet nie otwierając oczu.

Zerknęła na niego, na jego rozluźnioną we śnie twarz, ciemne rzęsy na policzkach. Boże, tak bardzo go kochała. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przestała.

- Przestań gapić się na mnie.

- Co? - spytała zaskoczona. - Nie śpisz? Uśmiech wypłynął na jego zarośniętą twarz.

- Już nie.

Sięgnął do niej i nim zdążyła zaprotestować, przyciągnął ją blisko i zaczął całować, jakby nie kochali się całą noc. Ale nie zaprotestowała. Nie potrafiła.

Za bardzo ją wszystko podniecało.

Później, kiedy znowu złapała oddech, sturlała się z łóżka, pobiegła pod prysznic i wysuszyła włosy w rekordowym tempie. Zrobiła szybki makijaż, wciągnęła dzinsy i po niecałych dwudziestu minutach zbiegła po schodach, starając się nie przewrócić o psa, który uparł się zbiec pierwszy.

- To nie jest wyścig, wiesz? - zbeształa go łagodnie, ale Ringo już stał przy drzwiach, czekając na wyjście.

- No dobrze, dobrze, ale wyjdziemy tylko na chwilę.

Zapięła smycz, włożyła klapki i zabrała psa na poranny obowiązkowy spacer, kiedy szare światło świtu sączyło się na ulice i zaułki, a samochody przejeżdżały, rozpryskując wodę z kałuż. Wysokie chmury odcinały słońce i było na tyle zimno, żeby

oddech zamieniał się w mgiełkę, ale przynajmniej, bogom niech będą dzięki, nie padało.

Wrócili, a kiedy otworzyła drzwi, powitał ich ciepły zapach kawy i Hudson wychodzący z łazienki na dole. Włosy miał mokre po prysznicu, szczęki nadal pokryte cieniem zarostu. Wczorajsze dżinsy wisiały mu nisko na biodrach. Wkładał koszulę, kiedy Becca zamykała drzwi i odwieszała smycz Ringa.

- Dzień dobry, słoneczko - rzucił przeciągle Hudson, kiedy zdejmowała kurtkę.

- Dzień dobry, mam nadzieję, że dobry. - Zadrżała. - Nadal słabo mi na myśl o Glennie.

- Mnie też. Już zadzwoniłem do paru chłopaków.

- I?

- Miałaś rację. Trzeci zlekceważył sprawę, ale dostał list.

- Tak? - Becca zamarła.

- Zeke nie. W każdym razie jeszcze nie. Nie dodzwoniłem się do Jarretta ani do Mitcha. Ani Scotta. Zobaczę się z nimi dziś rano.

- Chcę z tobą pojechać - powiedziała i naląła dwa kubki kawy. - Chcę zobaczyć pozostałe listy.

Hudson się zawahał. Podała mu kubek.

- Chcę wiedzieć coś więcej, nim pójdziemy z tym na policję.

- Jeśli Glenn dostał list, myślisz, że mógł go zostawić w domu?

- Chyba powiedziałaś, że spłonął.

- Spłonął... przynajmniej w mojej wizji.

Pokiwał głową ale wyczuwała, że z trudem przetyka jej wizje.

- Chcesz zapytać jego żonę? Gię? - spytał.

Becca skrzywiła się, próbując sobie wyobrazić, jak Gia Stafford czuje się dziś rano. Wczoraj w nocy przy pożarze płakała jak oszalała i łapała się każdego w zasięgu ręki. Nie chciałyby, żeby przychodzili do niej ludzie ze swoimi sprawami. Z drugiej strony, mogłyby interesować się wszystkim, co wiązało się ze śmiercią męża.

- Trudno powiedzieć, jak zareaguje. Na jej miejscu chciałabym wiedzieć

o każdym drobiazgu, który mógłby mi wyjaśnić, dlaczego nagle odebrano mi osobę, którą kocham. - Zamilkła na chwilę. - Dlaczego Glenn? Czy to wypadek? Podpalenie? Jak się mają do tego listy?

- A jeśli ogień podłożono specjalnie? - zasugerował Hudson, gapiąc się w kubek z kawą. - Może żeby pozbyć się Glenna? Spił się na umór i nikogo nie było w pobliżu. Doskonała okazja.

- To ten ktoś miał sporo szczęścia, że akurat miał przy sobie zestaw małego pirotechnika. Akurat w noc, kiedy Glenn postanowił się spać?

- Może to mu się często zdarzało.

Ringo tańczył koło jej nóg, skomląc i próbując zwrócić na siebie uwagę.

- Och, przepraszam, kolego. - Otworzyła szafkę, wygrzebała torbę z psim jedzeniem i odmierzyła porcję do miski.

Pies natychmiast rzucił się do jedzenia.

- Może to wcześniej zaplanowano - rzekł Hudson, gdy zamykała szafkę. - Zaplanował ktoś, kto znał nawyki Glenna i tylko czekał na właściwy moment. I wczorajsze-
go wieczoru taki się trafił.

- O kim myślisz? O Gii?

- Nie mogę sobie jej wyobrazić, jak planuje to tak dokładnie - przyznał.

- A listy?

- Nie mamy pewności, że Glenn dostał list - odparł ostrożnie Hudson. Becca wiedziała, że miał rację, ale skłonna była wierzyć swojej wizji.

- Może powinniśmy zapytać Gię. Bez wahania sięgnął po komórkę.

- Może nie być gotowa na wizyty.

- Sprawdźmy.

- Dokąd idziesz? - zapytała Gretchen, kiedy Mac zdjął płaszcz z krzesła i ruszył do najbliższego wyjścia z komisariatu.

Miała włosy ściągnięte do tyłu tak mocno, że uciskały jej skronie i naciągały oczy tak, że wyglądała jak kot syjamski. To nie mogło być wygodne i jak pomyślał Mac, pewnie nie poprawiało humoru Gretchen. Zamierzał zniknąć z pracy, zanim Gretchen zjawi się tego ranka, ale zasiedział się nad sprawą. Nagle zrobiła się ósma trzydzieści i Gretchen pojawiła się z pudełkiem pączków.

- Do domu, do łóżka - odparł. - Siedziałem całą noc.

- Nad czym?

- Był pożar. Spaliła się restauracja Glenna Stafforda i Scotta Pascala. Wygląda na to, że Stafford nie żyje.

- Mówisz serio?

Pokiwał głową, zakładając kaburę i marynarke.

- Dlaczego nikt po mnie nie zadzwonił?

- Bo specje od pożarnictwa nie uznali tego za podpalenie, więc nie było zabójstwa. To poza naszą jurysdykcją.

- Chrzanisz. To dotyczy naszej sprawy.

Trybiki już się kręciły w jej głowie; bezceremonialnie rzuciła pudełko z pączkami na jego biurko.

Mac ruszył do drzwi, z głową pełną obrazów z poprzedniej nocy. Zamierzał zrobić to, co zapowiedział Scottowi Pascalowi zeszłej nocy: zapytać wszystkich Nadejtych Gnojków o list. Już zadzwonił do kilku i miał przed sobą zadanie do wykonania.

Gretchen deptała mu po piętach; szła za nim szybko i ze złością.

- Masz beznadziejne podejście. Tyle mnie dzieli, by to zgłosić. - Podniosła dłoń, pokazując kciuk i palec wskazujący o milimetr od siebie.

- Komu? - zapytał Mac, siedząc już w prywatnym dżipie. Zaparkował na tyłach, bo schodził ze służby, przynajmniej oficjalnie.

- Na początek D'Annibalowi. A potem szefowi, jeśli będzie trzeba. Miał już jej dość.

- Nie wiem, o co się czepiasz, Sandler. Byłaś przy większości przesłuchań. Uważasz, że dochodzenie w sprawie Jessie Brentwood to strata czasu, mój prywatny biały wieloryb. Nie cierpisz ze mną pracować. Rób sobie, co chcesz, do cholery.

- Powinieneś być zadzwonić do mnie, kiedy zdecydowałeś się pojechać do poza-ru.

- Budzić cię o drugiej w nocy z powodu czegoś, co mogło nie być przestępstwem?

- To restauracja Pascala i Stafforda! Kluczowa dla naszego śledztwa!

- Jakiego śledztwa? - nie wytrzymał w końcu Mac. - Masz to wszystko w nosie. Tobie chodzi tylko o świeże trupy, a nie o trupa sprzed dwudziestu lat.

- Odpieprz się.

- Wzajemnie.

Zatrzasnął drzwi wozu i odjechał, żałując, że nie jedzie po zwirze, bo mógłby ją zostawić w chmurze kurzu. Założył zapomniane okulary przeciwsłoneczne, żeby odgrodzić się od promieni słonecznych, które odbijały się od mokrej nawierzchni.

Chryste, ale to była upierdliwa baba. Niepotrzebny mu taki ból głowy. Wystarczy obsesja na punkcie tej sprawy, inne przypadki, którymi się zajmował, i życie rodzinne, które skupiało się wokół syna - nie miał czasu na histerie Gretchen Sandler. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, z kim się przespała, że została detektywem. Gorzej, że miała sposoby, aby zmusić go do znizenia się do jej poziomu. To, że właśnie bezczelnie i radośnie ją okłamał, sprawiło mu przyjemność, której nie dało się wyjaśnić. Dojrzałość jest zdecydowanie przereklamowana, doszedł do wniosku, skręcając w przeciwną stronę niż dom i jadąc do warsztatu, gdzie spędzał dnie Mitch Bellotti.

Hudson sprawdził adres Glenna i bez trudu znalazł jego dom. To był budynek w stylu kolonialnym, z białymi kolumnami, morderczo stromym podjazdem i małymi gipsowymi krasnalami na rozległym dziedzińcu. Stary model chwoleta sedana stał

zaparkowany na zboczu. Hudson zostawił volkswage-na Becki na ulicy poniżej i weszli po schodach, które z powodu nieustannych opadów wiodły przez śliskie błoto.

Kiedy zapukali, otworzyła im siwa kobieta i spojrzała na nich podejrzliwie.

- Tak?

- Jesteśmy szkolnymi przyjaciółmi Glenna - powiedziała Becca. - Chcieliśmy zobaczyć się z Gią.

- Gia teraz śpi. To nie jest najlepszy moment. Dostała leki - rzuciła kobieta szorstko i zdecydowanie.

- Rozumiem. Powie jej pani, że odwiedzili ją Becca Sutcliff i Hudson Walker?

- Och, Glenn rzeczywiście wspominał o was. - Zerknęła na samochód Becki. - Jestem matką Gii. Nie sądzę, żebyście mieli po co czekać. Pośpi pewnie jeszcze chwilę, a nawet jeśli się budzi, to, dobry Boże, przez te leki jest trochę... nieprzytomna.

Becca spodziewała się, że nadopiekuńcza mamuśka zatrzaśnie im drzwi przed nosem, kiedy na schodach za nią pojawiła się Gia. Potargana, z zaczerwienionymi oczami, ściskając szlafrok jedną dłonią podeszła bosą do wejścia.

- Kto to?

Mamuśka nadal trzymała drzwi przymknięte, ale Hudson oparł o nie dłoń i pchnął. Kobieta spiorunowała go wzrokiem, ale Gia spojrzała na niego oczami pełnym żalości.

- Byliście tam wczoraj w nocy...? - zapytała słabym głosem.

- Jestem Hudson Walker. Zналиśmy się z Glennem ze szkoły średniej.

- Och! Tak! Hudson. - Łzy napłynęły jej do oczu.

Podbiegła i rzuciła mu się w ramiona, rycząc jak mały cielak. Mamuśka oszołomiona przebiegiem wydarzeń, odsunęła się, a Becca wykorzystała tę chwilę, żeby wcisnąć się za Hudsonem. Do żywego czuła ból Gii, chociaż nawet się nie dotknęły. Rozpacz wypełniała pomieszczenie i Becca poczuła się jak hochsztapler, gdy pomyślała o celu wizyty.

- Nie mogę uwierzyć, że nie żyje - powtarzała raz za razem Gia, kiedy stali pod ogromnym żyrandolem w holu. Była drobna i delikatna, a krągła figura sprawiała, że wyglądała jak cherubinek. - Chcieliśmy mieć dziecko. Planowaliśmy to. Co teraz zrobić? Co ja teraz zrobię! - Odsunęła się od Hudsona i wpadła w czekające ramiona matki.

Becca usłyszała słowo „dziecko” i serce jej się ścisnęło. Niewiele wiedziała o małżeństwie Staffordów, ale ta migawka z ich niespełnionych nadziei i marzeń głęboko wryła się w jej serce.

Matka objęła córkę, a zaczerwienione oczy Gii znowu napęłniły się łzami.

- Przepraszamy, że przeszkadzamy w takiej chwili - zaczął delikatnie Hudson.

- Nie przeszkadzacie. Byliście przyjaciółmi. Glenn mówił o was... o was wszystkich. - Podała rękę Becce. - Wiem, że martwiliście się tą martwą dziewczyną Jessie.

- Glenn uważał, że Jessie nie żyje? - spytał Hudson.

- Nie... nie wiem. Chyba tak założyłam. - Przełknęła ślinę, jakby się nad tym zastanawiała, ale znowu łzy napłynęły jej do oczu. - A teraz Glenn też nie żyje. O Boże, O Boże. Tak... mi... przykro... to wszystko takie świeże... i niespodziewane. Był moją bratnią duszą. Zostaliśmy małżeństwem na zawsze. - Głos jej się załamał, ale znowu wtuliła się w bezpieczne ramiona matki.

- Przepraszamy, że zawracamy głowę, ale zastanawialiśmy się, czy mogłaby pani odpowiedzieć nam na jedno pytanie.

- Nie teraz. - Matka najeżyła się, ale Gia spojrzała na nich pusto.

- Jakie?

- Czy Glenn dostał ostatnio jakiś list?

- Jaki list? - zapytała Gia.

- Z wierszykiem - wyjaśniła Becca.

- Jeśli to żart, to nie jest zabawny. Gia powoli odsunęła się od matki.

- To chyba trwa już wystarczająco długo - oznajmiła mamuska.

- Ja taki dostałem - powiedział Hudson. - Więc zastanawiamy się, czy Glenn też.

- Wierszyk. Proszę mi go pokazać. - Gia wyciągnęła rękę i Hudson po chwili wahania sięgnął do kieszeni i podał jej list w niebieskiej kopercie.

- Przyszedł pocztą. Gia pokręciła głową.

- Kto go wysłał?

- Nie wiemy.

- Myślicie, że to ta martwa dziewczyna - powiedziała, nagle pojmując, a jej matka zaczerpnęła tchu, rozglądając się, jakby złe duchy miały się wokół niej zmaterializować. - Glenn mówił coś o wierszyku i tej dziewczynie. Że się droczyła.

- Nawet nie wiemy, czy list do Glenna istnieje - powiedział Hudson. - Nasz przyjaciel, Christopher Delacroix, też taki dostał.

- Trzeci, znam go. Taki sam? - Zerknęła na kartkę, marszcząc nos.

- Tak przypuszczam, jeszcze go nie widziałem.

- I myślicie, że Glenn też taki dostał. Dlaczego?

- To tajemnicza sprawa - odparła Becca. - Próbujemy się zorientować, kto je dostał. Kto je wysłał i dlaczego.

- Cóż, jeśli dostał, nigdy go nie widziałam. - Po chwili dodała: - Mówiliście policji? Może to dlatego Glenn nie żyje... może to miało coś wspólnego z Jessie?

- Nie rozmawialiśmy z nikim prócz pani - wyjaśnił Hudson.

- Zabiła go - powiedziała nagle Gia, a jej matka pokręciła głową. - To właśnie zrobiła, suka jedna! Wyciągnęła rękę z grobu i spaliła go! - Gia zaczęła płakać i przez kilka niezręcznych chwil Becca i Hudson tylko stali, a matka Gii kołysała córkę w ramionach. W końcu wyrazili swoje kondolencje i wyszli.

- Zobaczymy się teraz z Trzecim? - zapytała Becca.
- Jest następny na liście.

Mitch Bellotti miał na sobie drelichy, które opinały mu się na brzuchu. Wycierał ręce w szmatę, kiedy Mac zatrzasnął drzwi wozu i ruszył asfaltem prowadzącym do warsztatu, zadziwiająco czystego, gdzie narzędzia wisiały na ścianach w precyzyjnych rzędach. Starszy model niebieskiego triumpha stał na podnośniku, a Mitch rozmawiał z chudym mężczyzną około sześćdziesiątki, którego twarz niemal zapadła się w sobie, tak pożłobiona była bruzdami.

Słyszając, jak Mac zatrzaskuje drzwi, Mitch spojrzał w jego stronę. Przez chwilę, może dwie, nie poznawał go. Nie podał mu ręki, tylko dalej wycierał dłonie w szmatę, z coraz bardziej ponurą miną. Mac przedstawił się, ale niepotrzebnie, bo Mitch odpowiedział:

- Wiedziałem, że pan się zjawi. Rozmawiał pan już z pozostałymi. Ale dobry Boże, żeby w taki dzień? Słyszał pan o Glennie?

- Byłem wczoraj na miejscu.
- Nie chcę z panem rozmawiać. Zwłaszcza teraz.

Zapach oleju i smarów wypełniał powietrze. Niedaleko na szmacie przy drzwiach na tyły leżał stary chart.

Mac zdał sobie sprawę, że Mitch z trudem powstrzymuje łzy, i nagle zrobiło mu się go żal. Nigdy tak naprawdę nie podejrzewał, że Mitch ma coś wspólnego ze zniknięciem Jessie, ani teraz, ani wtedy, ale czuł, że może coś wiedzieć - może nawet nie wie, że to wie.

- Przykro mi z powodu Glenna - szczerze przyznał Mac.
- Myśli pan, że to się jakoś wiąże z... Jessie? To dlatego tu pan jest?
- A pan tak myśli? - zaciekawiał się Mac.
- To chyba mógł być zbieg okoliczności. - Mitch powątpiewał tak samo jak Mac.
- Będziemy więcej wiedzieć po raporcie od inspektorów pożarnictwa.
- To musiało być podpalenie, prawda?
- Dlaczego tak pan myśli? Mitch spojrzał mu prosto w twarz.
- Takie rzeczy nie zdarzają się tak po prostu. Restauracja się spaliła. Jak? Wyciek gazu? Palnik kuchenki w pobliżu czegoś łatwopalnego? Tłuszcz się zapalił? Z tego co słyszałem, nic na to nie wskazywało.

- A co pan słyszał? Kto do pana dzwonił?

- Scott. Wariował z niepokoju. Powiedział tylko, że Glenn był w środku i że to nie powinno się wydarzyć. Powiedział, że nas przekleła.

- Jessie?

- Tak, Jessie. - Zarumienił się, słysząc, jak idiotycznie to zabrzmiało. - A kto inny?

- Co się wydarzyło lata temu? - cicho zapytał Mac.

Czuł, że serce bije mu trochę szybciej; zastanawiał się, czy nadeszła chwila, kiedy ktoś w końcu przed nim się otworzy.

Oczy Mitcha zabłyśły, kiedy łązy, z którymi walczył, w końcu zwyciężyły i spływały po policzkach.

- Nic a nic - odpowiedział zmęczonym tonem. - W tym rzecz, człowieku. Nic się jej nie stało. Po prostu uciekła, ale wróciła i to jeszcze bardziej niż za czasów szkoły średniej. Wysłała listy. Spaliła restaurację. Zabiła Glenna. Jeśli nie żyje, to robi to z za grobu. Nie wiem jak, ale ona stoi za tym wszystkim. Na pewno. Kiedyś ludzie uważali, że jest dziwna, wie pan. Jakby potrafiła odczytywać przyszłość albo coś w tym stylu. Myślałem, że to bzdury, ale teraz... kto tam, do cholery, wie?

Odruchowo sięgnął do kieszeni na piersi koszuli, ale akurat nie miał jej na sobie, więc opuścił rękę.

- Muszę zapalić - powiedział i ruszył do biura po paczkę papierosów z kurtki wiszącej na kołku. Wytrzasnął jednego, a potem tylnymi drzwiami wszedł na zaplecze. Mac poszedł za nim. Pies, którego wydłużony pysk już posiwiiał, nawet nie drgnął.

- Jakie listy? - zapytał cicho Mac.

Mitch osłonił ręką koniec papierosa i zaciągnął się mocno. Dłonie mu się trzęsły. Zauważył spojrzenie Maca, więc jedną zacisnął, a drugą wyjął papierosa z ust, chcąc ukryć drżenie.

- „Z czego zrobieni są mali chłopcy? Z żab, ślimaków i psich ogonów”. - Zaciągnął się, jakby rakotwórczy dym dawał mu życie, a nie odbierał. Zakaszłał. - Mówiła tak, a teraz pisze.

- Co ma pan na myśli?

- Tym samym cholernym wierszykiem droczyła się z nami. Mówiła to w taki sposób, że brzmiało nieprzyzwoicie. Seksownie. A teraz, niech to szlag, przysłała je nam!

- Dostał pan list z wierszykiem? - ostrożnie zapytał Mac.

- I to z tym cholernym wierszykiem. Z tym, który lubiła nucić. Tak, dostałem. Od niej. - Gwałtownie pokiwał głową i znowu się zaciągnął.

- Od Jessie.

- Tak właśnie powiedziałem. - Widać było, że mężczyzna jest roztrzęsiony.
- Przyszedł pocztą? Z adresem zwrotnym?
- Jasne... to znaczy tak, pocztą. Ale bez adresu zwrotnego.

Nagle wrócił do biura i wyszarpnął list z innej kieszeni kurtki. Podał kopertę Macowi i odsunął się o krok, patrząc na papier, jakby był zatruty.

- Niech pan go weźmie. Może to pomoże panu ją znaleźć, ale jak już pan to zrobi, to niech pan zadba, żeby się do mnie nawet nie zbliżała!

Rozdział 16



Biura Salchowa, Wendta i Delacroix znajdowały się w Pearl District w Portland, w budynku Grassie, monolicie z granitu i szkła, wznoszącym się na trzydzieści pięter. Dzisiaj nad budynkiem unosiło się czarno-szare niebo. Christopher Delacroix III patrzył na nie z ponurą twarzą, kiedy odkładał słuchawkę biurowego telefonu.

Właśnie dzwonił detektyw Samuel McNally znany jako „Mac”. Chciał wiedzieć, czy Trzeci dostał pocztą dziecięcy wierszyk.

Teraz Trzeci otworzył szufladę biurka i wyciągnął niebieską kopertę. Początkowo był bardziej zakłopotany niż zaniepokojony. To była dziecinada.

Robota jakiegoś amatora, który próbował podjudzać. Rozmawiał z Jarrettem i dowiedział się, że on też dostał taki list, więc zakładał, że reszta chłopaków także.

Ale jakoś miał nadzieję, że McNally nie dowie się o przesyłkach. To tylko dołało oliwy do ognia w sprawie Jessie, a Trzeci miał już serdecznie dość nawet myślenia o niej. Na miłość boską, w szkole średniej tylko ich podpuszczała. Żadnemu się z nianie poszczęściło. Z pewnością nie Jarrettowi, a już na pewno żadnemu z tych nieudaczników, Mitchowi i Glennowi.

Zamknął oczy ze smutkiem. We wszystkich wiadomościach mówiono o pożarze i znalezieniu zwłok w Blue Note. Oczywiście było, że to ciało Glenna, chociaż oficjalnie jeszcze tego nie stwierdzono. Glenn. Nudny, nieszczęśliwy Glenn. Przez całe lata uważał z Jarrettem, że Glenn i Mitch to jego prywatni chłopcy do bicia. Doskonale o tym wiedział. Zwykle niespecjalnie się tym przejmował. Ale dzisiaj...

- Niech cię szlag, Jezebel - powiedział cicho do kłębiących się grafitowych chmur za oknami.

Intercom zadzwonił cicho, stosownie do kosztownego wnętrza biura.

- Tak? - zapytał, przyciskając przełącznik.
- Pan Walker i pani Sutcliff chcieliby się z panem zobaczyć. Nie byli umówieni. Listy... i śmierć Glenna...
- Wprowadź ich.

Becca i Hudson jechali szklaną windą, w jednym z dwóch sześcianów, które śmigały w górę, oferując przyprawiający o zawrót głowy widok na centrum Portland i Willamette River. Becca poczuła się trochę niewyraźnie i nie było to zbyt przyjemne wrażenie - chętnie stanęłaby już na ciemnej wykładzinie dwudziestego trzeciego piętra.

Trzeci zajmował gabinet w rogu. Jego biurko stało tyłem do okien, wychodzących na budynek stojący kawałek na zachód, którego fasada wyglądała jak rzędy wiecznie wytrzeszczonych oczu. Cały gabinet urządzono w szkłe, chromie i czarnej skórze - zupełnie inaczej niż wyłożone drewnem biura, w których pracowała Becca. Nic dziwnego, że firma Trzeciego prezentowała się tak samo nienagannie jak on.

Trzeci miał na sobie granatowy garnitur i szkarłatny krawat. Kiedy weszli, machnął do nich, żeby siadali na czarno-chromowych fotelach przy jego biurku. Żadne z nich nie usiadło; woleli stać.

- Domyślam się, że chcecie zobaczyć list.

Trzeci otworzył szufladę, wyciągnął kartkę i podał ją Hudsonowi, który z kolei przekazał ją Becce. Po jednej stronie chwiejnym pismem napisano „Christopher”, a po drugiej znajdował się wierszyk.

- Taki sam jak mój - powiedział Hudson. Becce przeszedł dreszcz po kręgosłupie.

- Jessie mówiła na ciebie Christopher, a nie Trzeci?
- Nie mam pojęcia, nie pamiętam. - Wzruszył ramionami.
- Ja dostałem, ty dostałeś. Wspominałeś, że Jarrett też? - Hudson obrócił kartkę i przyjrzał się uważniej imieniu.
- Aha. I Glenn. I Mitch.
- Wyglądasz na pewnego siebie.
- Tak mi powiedział McNally.
- McNally? Rozmawiałeś z nim?
- Właśnie dzwonił. Do was też się pewnie odezwie. Będzie prawdopodobnie chciał pogadać ze wszystkimi. Powiedział, że Mitch dostał list, a Scott przyznał, że Glenn też.

Hudson potrzebował chwili, żeby to ogarnąć.

- A co ze Scottem?

- Nie pytałem. Po prostu założyłem, że też.

- Zeke jeszcze nie dostał.

- Może dziś dostanie. - Trzeci robił wrażenie wręcz znudzonego, ale zauważyli, że więcej w tym smutku niż zubożenia, kiedy dorzucił: -Cholera, nie mogę uwierzyć, że Stafford nie żyje. - Odetchnął głęboko i zapadł się bardziej w fotel, który pod nim zaskrzypiał. - Boże, co za dziwny świat.

- Masz jakiś pomysł, kto wysłał te listy? - zapytał Hudson.

- Bóg jeden wie. Ale raczej nie Jessie. - Kiedy ani Hudson, ani Becca nie zareagowali, zerknął na nich. - Nie możecie wierzyć, że ona nadal żyje.

- Nie. - Hudson był pewny swego.

- Ale lubiła się droczyć - przyznał Trzeci. - Uwielbiała takie zagrywki.

- Może ktoś o tym wie. Trzeci spojrzał na niego ostro.

- I wyciąga to głównie dla własnych celów.

- Może.

- Dlaczego? Kto? - spytała Becca.

- Żebyśmy uważali, że Jessie żyje? - zasugerował Trzeci. - Żeby zmylić psy gończe?

Hudson w zamyśleniu skinął głową.

- Cóż, Jessie jest teraz tylko duchem, a Glenn trupem. - Trzeci złapał się podłokietników i wstał. - Co z wami? Jesteście teraz razem? - Wskazał ich ręką. - Zorganizowaliście małą drużynę?

- Coś w tym stylu - zgodził się Hudson.

- Świetnie. Detektywi amatorzy. Niech to się wreszcie skończy, żebyśmy mogli wrócić do normalnego życia, zamiast szukać martwych dziewczyn, które nie istnieją. - Otworzył i zamknął szufladę, potem drugą, wyszarpując kluczyki z portfela. - Która godzina? Jedenasta? Mam spotkanie w porze lunchu o dwunastej i chcę tam dojechać wcześniej, żeby się czegoś napić. Przepraszam, że was wypraszam, ale nie ma już o czym gadać. Jakby co, gadajcie z McNallym.

Odsunął fotel i wyszedł z pokoju, a Hudson i Becca ruszyli jego śladem.

W sobotę Becca pojechała na nabożeństwo żałobne za Glenna do małej, bezwyznaniowej kaplicy z wieżyczką strzelającą w stalowo-szare chmury na niebie. Zatrzymała się na parkingu i zobaczyła, że Hudson stoi na zewnątrz z Renee, Zekiem i Evangeline. Wiatr podwiewał kobietom spódnice do kolan i targał im włosy. Evangeline założyła czarny kapelusz z szerokim rondem, który podtrzymywała na głowie jedną dłonią. Renee nie zwracała uwagi na pogodę; stała odwrócona od budynku i pa-

trzymała nieprzytomnie w dal. Wiatr szarpał jej włosami, które smagały ją w kości policzkowe.

Zeke trzymał ręce w kieszeniach, stał z pochyloną głową i kamienną twarzą, ale Becca uważała, że po prostu desperacko stara się ukryć uczucia.

- Dlaczego ja nie dostałem listu? - Podchodząc, usłyszała, jak Zeke pyta Hudsona.

- Na razie nie dostałeś - poprawił go Hudson.

- Och, kogo to obchodzi. - Evangeline miała zaczerwieniony nos i oczy; pociągała nosem. - Ciesz się, że Jessie żadnego ci nie wysłała.

- Jessie nie wysyłała tych listów - oznajmiła drewnianym głosem Renee, jakby powtarzała te słowa po raz tysięczny. Policzki miała zapadnięte jak po głodówce. - Nie żyje. Zapomniałaś?

Hudson zmarszczył brwi, patrząc na siostrę.

- Dobrze się czujesz?

- Zdecydowanie - warknęła. - Cały czas ci powtarzam.

- Myślicie, że powinniśmy wejść? - zapytała Evangeline, rozglądając się wokół. Ludzie wchodzili po schodach do środka.

- Gryziesz się czymś? - spytał siostrę Hudson. - Tekstem o Jessie?

- Między innymi. Przechodzę rozwód, wiesz. - Zmarszczyła brwi; jej twarz się ściągnęła. - Nie widać tu nigdzie Tima, prawda?

- Myślałem, że tego właśnie chcesz.

- Kto wie, czego chcę.

- Chodź - powiedziała Evangeline, łapiąc Zeke'a za rękę i ciągnąc go po schodach.

Renee zacisnęła usta, spojrzała na brata, jakby chciała coś powiedzieć, a potem rzuciła spojrzenie Becce i zrezygnowała. Po chwili nerwowego milczenia powiedziała:

- Czasem historia to tylko historia, a czasem to coś o całe niebo większego. Jessie uciekała przed czymś i nie wiem, przed czym. Mam kilka odpowiedzi, ale jeszcze więcej pytań.

Zerknęła przez ramię, jakby się spodziewała, że ktoś ją podsłuchuje.

- Nadal masz wrażenie, że ktoś cię śledzi - zauważyła Becca. Wzruszyła ramionami.

- Kto cię śledzi? - zapytał Hudson.

- Nikt. Ktoś. Widmo. Cholerny duch. Nie wiem.

- Co się, do diabła, z tobą dzieje?

- Nic.

- Może powinnaś pomieszkać u mnie - zaproponował, kiedy szli po schodach.

- Nie sędzę. Potrafię o siebie zadbać.
- Czyżby?
- Robiłam to całe lata - odpowiedziała, kiedy wchodzili do przedsionka.

Becca z roztagnieniem wzięła program ze zdjęciem Glenna i usiadła w ławce z tyłu. Muzyka organowa rozbrzmiała i Gia zaczęła cicho płakać gdzieś z przodu. Becca podniosła wzrok na sklepienie z wygiętymi belkami i żałowała, że nie znajduje pocieszenia. Zamknęła oczy i przełknęła ślinę, a kiedy je otworzyła, zobaczyła detektywa Sama McNally'ego, który dyskretnie wszedł i usiadł w tylnej ławce po drugiej stronie nawy.

Poczuła, że Hudson zeszywniał, chociaż patrzył prosto przed siebie. To dziwne, że gliniarz pojawił się na nabożeństwie - człowiek, który dręczył Glenna i jego przyjaciół w szkole średniej.

Kiedy pastor zaczął mówić o życiu zmarłego, Becca zauważyła innych członków ich paczki. Trzy ławki przed McNallym siedział Mitch, nadal nieświadomy obecności policjanta. Widziała, że kołysze nogą, jak zawsze, gdy się denerwował. Widać też było napięcie w jego ramionach. Jarrett, dwa rzędy przed nią i Hudsonem, odwrócił na chwilę głowę i spojrzał zimno na McNally'ego. Wyraziste brwi i ponure usta nadawały jego twarzy wrogi wyraz. Bliżej frontu siedzieli Trzeci i Tamara.

Gdy pastor skończył mówić o Glennie, Scott Pascal wstał z pierwszej ławki i sztywno podszedł od podium. Wygłosił krótką mowę o przyjacielu, opisując, jak postanowili zostać współnikami. Widać było, że Scotta ponoszą emocje związane z chwilą, bo jąkał się i niejedną raz wahał, nim znowu podejmował wątek.

Potem poderwał się Mitch i stanął na podium. Rozejrzał się po ludziach; jego krągłe policzki były zaczerwienione i lśniące od potu. Wyglądał, jakby mu było gorąco i źle się czuł w ciemnym garniturze; Becca już się zastanawiała, czy nie dostanie ataku serca albo czegoś w tym stylu. Fatalnie wyglądał.

- Od dawna byliśmy z Glennem przyjaciółmi. To był porządny facet. - Mitch spojrzał na Gię, która nie spuszczała z niego oczu. Trzymała się sztywno, jakby była połączona z Mitchem napiętą, niewidzialną liną. - Dzieliliśmy się wieloma rzeczami. Dobrymi i złymi. Teraz, kiedy odszedł, nie wiem, z kim będę rozmawiał. - Jakby w odpowiedzi na to, jego wzrok przesunął się po tłumie i zatrzymał na McNallym. Mitch zamrugał, a potem dokończył chrapliwie: - Będzie nam ciebie brakować, stary.

Zacisnął dłonie, kiedy wracał na miejsce.

Następnie na podwyższeniu stanęła młoda kobieta, której piękny alt wypełnił kaplicę dźwiękami *Amazing Grace*. Nim tylne drzwi się otworzyły, Becca czuła się ciężka od dławionych łez i smutku. Z trudem łapała powietrze, gdy schodziła na parking.

Hudson szedł tuż za nią. Położył dłoń na jej ramieniu.

- EJ-

- Nic mi nie jest, serio. Tym razem żadnych wizji, którymi trzeba by się martwić. Uśmiechnęła się lekko na pocieszenie, ale nadal patrzył poważnie.

- Chodźmy stąd.

Złapał ją za rękę, a ona uściśnęła jego dłoń mocno, czując, że emocje biorą górę. Jakby to sobie zaplanowali, każde z nich poszło do swojego samochodu, a potem Becca pojechała za Hudsonem na jego farmę.

Na miejscu nie marnowali czasu. Becca natychmiast wylądowała w jego objęciach. Rozbierał ją ściągał z niej bluzkę, gdy ona zrzucała buty i rozpięła mu koszulę. Komórka Hudsona dzwoniła, ale zignorowali to, zostawiając telefon w kuchni i pośpiesznie idąc na górę. Rzucili rzeczy na podłogę, całując się, dotykając, jakby nie mogli się sobą nasycić. Kochali się wygłodniałe, jakby ten akt mógł na nowo zdefiniować życie, odsunąć skazę śmierci, strach przed nieznanym.

Parę godzin później Hudson leniwie sięgnął po komórkę i z niechęcią ją włączył. Pocałował Beccę w ramię, a ona skuliła się, gdy odsłuchiwał wiadomość. Patrzył na porzucone ubrania: jego spodnie leżały obok drzwi sypialni, jej stanik zwisał z łóżka, jedna z jego skarpetek leżała na telewizorze w kącie przy łóżku.

Obserwowała go spod zmrużonych powiek, bojąc się, że jeśli je otworzy, Hudson zobaczy w jej oczach miłość. Nie mogła tak się odsłaniać. Jeszcze nie, a wiedziała, że łatwo ją rozszyfrować. Nigdy nie przestało jej na nim zależeć. Przez wszystkie te lata. To żałosne. Owszem. Ale prawdziwe. Gdyby wiedział...

Nagle Hudson zeszywniał. Na wpół uniósł się, dociskając telefon do ucha.

.— Co? - zaniepokoiła się Becca.

Rozłączył się i położył obok niej, patrząc w sufit.

- Kto to był?

- Trzeci. McNally rozmawiał z nimi po nabożeństwie i powiedział, że chce od nas wszystkich próbki DNA. Od wszystkich. Facetów i dziewczyn.

- Co? - Usiadła. - Dlaczego?

- Pracuje nad sprawą Jessie i chce wykluczyć pewne rzeczy. Powiedział, że czasem z badania DNA wyskakują najdziwniejsze rzeczy. Trzeci zapytał go, czy kości rzeczywiście należą do Jessie, ale odparł, że nadal nie mają pewności.

- Czekaj no... to po co prosiłby o próbki? Nie znam się na kryminalistyce, ale bierze się DNA tylko wtedy, kiedy można je z czymś porównać.

- Może znaleźli coś więcej, niż mówią. Broń, krew, fragmenty skóry pod paznokciami. Chce też DNA od kobiet, więc to oznacza, że coś pochowano razem z

Jessie, jakiś ślad. Może walczyła z napastnikiem i zostały jakaś krew albo fragment ciała. Nie wiem. Trzeci nic nie powiedział.

- Wszyscy zgodzili się na badania?

- Trzeci właśnie jedzie na komisariat, żeby pobrali próbkę z wnętrza policzka.

Powiedział, że nie ma nic do ukrycia i nie zamierza czekać.

Całe ciepło i zadowolenie, które czuła w objęciach Hudsona, zniknęło.

- To były dwa telefony? Kto potem dzwonił?

- Renee. - Pokręcił głową. - Powiedziała, że jedzie na komisariat po południu, a potem na wybrzeże. Robiła wrażenie, jakby czuła się... lepiej, mocniej, jakby podjęła decyzję.

- Dobrze.

- Chyba powinniśmy oddać próbki DNA. Becca się skrzywiła.

- Chyba tak.

- Ale później - powiedział, obejmując ją.

- Później - mruknęła, nim ją pocałował.

Zrobiło się ciemno, nim wsiedli do wozu Hudsona i pojechali na komisariat w Laurelton, gdzie laborant pobrał próbki, każdą opisując precyzyjnie. Becca nie rozumiała, w czym jej DNA może pomóc. Nie ma mowy, żeby zachowały się jakiegokolwiek próbki DNA tego, kto zabił tę dziewczynę, czy to była Jessie, czy kto inny. Nie po tylu latach. Ale dobra, skoro tego chciał McNally, w porządku.

Kiedy wyszli z pomieszczenia, wpadli na McNally'ego, który stał przy frontowych drzwiach i patrzył na kogoś, kto wychodził na parking: Renee.

- Ej ! - zawołał Hudson, biegnąc za siostrą. Becca poszłaby za nim, ale McNally poprosił cicho:

- Ma pani chwilkę, pani Suteliff?

Nie, pomyślała, ale zawahała się, patrząc, jak Hudson podchodzi do siostry. Sądząc po postawie Renee, śpieszyła się i nie chciała czekać. Becca spojrzała niechętnie na policjanta i poszła za nim do jego biurka w wielkim, otwartym pomieszczeniu, gdzie siedzieli inni detektywi, rozmawiając przez telefony i pisząc raporty.

Usiadła ostrożnie na krześle naprzeciwko zagraconego biurka. Zauważyła zdjęcie jasnowłosego chłopca, sześciolatka albo coś koło tego. W szerokim uśmiechu brakowało mleczaków. Szkolne zdjęcie. McNally miał dziecko. To ją zaskoczyło.

Detektyw przyglądał jej się przez dłuższą chwilę i Becca poczuła się niewyraźnie. Zastanawiała się, czy to jedna z policyjnych taktyk, mających zastraszać kryminalistów. Miała wrażenie, że choć nie zadał jej nawet jednego pytania, ona zaczęła pleść byle co.

- Czy Jessie była w ciąży, kiedy zginęła? - zapytał wreszcie.
- W ciąży? - Becca zrobiła wielkie oczy i rozdziawiła usta.
- Znalezione kości płodu obok szczątków dziewczyny.

Becca poczuła, jak krew bucha jej do głowy, słyszała szum w uszach. W ciąży? Jessie?

- Nie... nie wiem - usłyszała własne słowa.

Czy to właśnie Jessie próbowała jej powiedzieć? To był ten sekret, którego Becca miała nie zdradzać?

Zrobiło jej się słabo. Oderwała wzrok od policjanta i spojrzała na Hudsona, który jak na zawołanie stanął właśnie w drzwiach pomieszczenia. Ruszył zdecydowane w jej stronę. Z trudem przełknęła ślinę, myśląc, że dziecko, o którym wspomniał McNally, na pewno było Hudsona.

Co tam się, do cholery, dzieje? - zastanawiał się Hudson, widząc bladą jak ściana Becę, która odwróciła się od detektywa, jakby chciała się od niego odciąć.

- Dam ci znać, kiedy wrócę z wybrzeża! - zawołała za nim Renee. Hudson się zawahał. Poprosił, żeby przełożyła wyjazd. Z powodu tych

dziwnych listów z wierszykami i nagłej śmierci Glenna oraz tego że miała wrażenie, iż ktoś ją śledzi, wołał, żeby została w mieście. Ale ona miała swoją misję i nie zamierzała słuchać ani jego, ani przeczucia, że dzieje się coś bardzo, bardzo złego.

Grupa ludzi wychodziła z komisariatu i Hudson czuł, że płynie pod prąd, próbując dotrzeć do Becki i McNally'ego. Znalazł ich, siedzących przy biurku detektywa w wydziale zabójstw.

- W czym mogę pomóc? - Wysoki Murzyn z identyfikatorem, na którym napisano „Detektyw Pelligree”, zastąpił mu drogę.

- Szukam McNally'ego. I już go znalazłem.

Pelligree patrzył, jak Hudson idzie do biurka Maca, gdzie siedziała Becca, biała jak ściana, z wytrzeszczonymi oczami. Niech to diabli, znowu miała jedną z wizji.

- Dobrze się pani czuje?

- Tak - odpowiedziała detektywowi, kręcąc głową, ale Hudson widział, że jej zacisnięte w pięści dłonie drżą.

- Co jest grane? - Spojrzał pytająco na Maca.

- Zapytał, czy Jessie była w ciąży - wyjaśniła. - Znaleźli dziecko... kości nienarodzonego dziecka... były tam, w labiryncie.

Hudson zagapił się na Maca.

- Myśli pan, że Jessie była w ciąży?

- Dziewczyna w labiryncie była.

- Więc to dlatego zbiera pan próbki DNA - powiedział powoli. - Jeśli jestem ojcem dziecka, to można spokojnie zakładać, że matką jest Jessie.

McNally skinął głową.

- Jezu Chryste. - Nie mógł w to uwierzyć. To musiała być pomyłka. Musiała. -
Więc... więc te szczątki to nie Jessie.

Ale kiedy to powiedział, zorientował się, że można go źle zrozumieć.

- To o tych kłopotach mówiła? - zapytała cicho Becca.

- Powiedziałyby mi.

- Czyżby, panie Walker? - spytał McNally, a Hudson nie wiedział, co odpowiedzieć.

Gretchen szła w stronę Maca jak wściekła puma. Dopadła go przy drzwiach frontowych komisariatu, kiedy wracał po odprowadzeniu Hudsona Walkera i Rebecki Sutcliff. Byli parą, bez cienia wątpliwości, i oboje dali próbki DNA. Właściwie nie napotkał żadnych oporów, nawet ze strony tego łajdaka, prawnika Delacroix.

Co było ciekawe.

Ale nie miał czasu, żeby się nad tym zastanowić, kiedy zobaczył tę kocicę, zjezoną, z wysuniętymi pazurami, odsłoniętymi kłami. Boże, ależ ta baba była męcząca.

Dołączyła do niego przy drzwiach i ruszyła za nim do biurka.

- Zostawiasz mnie z technikami, a sam przesłuchujesz? Jej niebieskie oczy błyszczały ze złości.

- Mogłaś przyjść na nabożeństwo żałobne.

- Pamiętasz Johnny'ego Raya? Tego, co pichcił metę? I ciało znalezione w jego laboratorium?

- To nie było zabójstwo, tylko wypadek przy wybuchu. Johnny Ray miał wypadek w kuchni. Nie sądziłem, że jeszcze mnie tam potrzebujecie.

- Powinieneś tam być, a nie ganiać za tymi bogatymi chłopaczkami, których tak strasznie chcesz przyskrzynić. Nadętych Gnojków - warknęła. - Módl się, żeby prasa tego nie zwęszyła, bo cię ukrzyżują.

Niespecjalnie się tym przejmował.

- A co do twojego chłopaczka od mety, biuro szeryfa chce przejąć sprawę, ale mieszkanie Johnny'ego Raya znajduje się idealnie w obrębie granic miasta Laurelton.

Gretchen kpiła sobie, bo Johnny Ray - ich lokalny problem z metą - miał dom na obrzeżach miasta, gdzie tory kolejowe rywalizowały z chwastami i wychudzonymi sosenkami. Idealne miejsce na wytwórnię, której wiodło się całkiem dobrze, dopóki Johnny Ray nie zaczął robić kostek na kilogramy, zamiast tylko po parę gramów na własny użytek. Znalazł się w zasięgu radaru policji, kiedy sąsiedzi coraz bardziej nie-

pokoili się zapachami. Johnny Ray był tak nieostrożny, że pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy straci czujność i wysadzi całą chałupę.

Mac po prostu się tym nie interesował. Narkotyki i znęcanie się stanowiły znaczny procent zabójstw, które badał, ale nie skrywały żadnych tajemnic. Jasne były metody, środki i motywy. To raczej przypominało ćwiczenie dla systemu prawnego: chodziło o morderstwo, zabójstwo albo zwyczajnie głupotę i jedyne pytanie, jakie stawiano, kiedy już aresztowano winnych, to na jak długo należy ich zamknąć.

- Pytałeś o listy? - odezwała się Gretchen, wyglądając przez okno na parking i widząc, jak odjeżdża gruchot Hudsona.

- Dzwoniłem do wszystkich. Tylko Zeke St. John nie dostał listu, ale może jeszcze dostanie; Scott Pascal otrzymał swój dzień później.

- I wszyscy dali próbki DNA.

- Aha.

- Wszystkie listy wysłano z tej samej poczty, zgadza się? W Sellwood. Może nadawano je w różnym czasie. - Gretchen patrzyła gdzieś w dal, roztargniona. Miała w nosie listy, chociaż Mac był zafascynowany umysłem, który je stworzył.

- Po co te listy? - zapytał na głos, zastanawiając się nad reakcją Mitcha Bellottiego.

Facet, przekonany, że to listy od Jessie, był roztrzęsiony. Pozwolił tylko, żeby pobrano próbkę, i natychmiast wyskoczył na dwór na papierosa. Odpalał jeden od drugiego - tylko na tyle było go stać. Wiedział o czymś, o czym nie mówił? Czy coś zostało przegapione podczas śledztwa?

- Może twoja widmowa panienka po prostu zapomniała o St. Johnie - zasugerowała Gretchen, po raz kolejny próbując sprowokować go do kłótni.

- Może.

Tym razem nie połknął haczyka.

Sześć dni później Hudson leżał na wznak, gapiąc się w ciemny sufit sypialni, jedną ręką obejmując Beccę za biodro, gdy tuliła się do niego plecami. Niemal cały czas spędzał wyłącznie z nią, Czasem w jej mieszkaniu, zwykle na jego ranczu. Poprzedniego wieczoru przywiozła psa, żeby nie zrywać się o świcie do wyjścia. Ringo spał na dole na swoim posłaniu; po wielu godzinach wycia pogodził się, że nie zostanie w sypialni z Beccą.

Wszystkie uczucia z czasów szkoły średniej, które Hudson zdławił z takim wysiłkiem, powróciły teraz z całą siłą. Nie potrafił wytrzymać nawet chwili bez niej, ale na szczęście Becca czuła dokładnie to samo.

Nie rozmawiali o Jessie. Ani o Glennie, jego śmierci czy pożarze. Nie drażyli dalej tematu wierszyków - jak powiedział Trzeci, niech McNally docieka, kto i dlaczego

je wysyłał. Hudson miał to w głębokim poważaniu. Nie chciał myśleć o Jessie ani o Glennie, ani o nikim z ich paczki - o sekretach, kłamstwach, układach. Jeśli Renee chciała grzebać w tym i pisać, to droga wolna. On chciał tylko wdychać zapach Becki, czuć jedwabistość jej skóry, słuchać dźwięcznego śmiechu.

I kochać się z nią.

Raz za razem.

Teraz gładził jej gładką skórę. Kochali się tej nocy dwa razy i nadal nie mieli dość. Po ich pierwszym związku nie pozostawał przez cały czas w celibacie, ale też nie szukał specjalnie seksu, związku i kobiecego towarzystwa.

Jakby czekał.

Może i czekał.

Słońce wstawało i po raz pierwszy nie wiadomo od jak dawna promienie, chociaż chłodne tak wczesnym świtem, nie przebijały się przez szarą mgiełkę deszczu. Hudson widział ciemny zarys chmur za oknem, ledwie widoczny w pierwszym świetle, ale przynajmniej na razie opady ustały.

Ostrożnie wstał. Zatrzymał się, żeby spojrzeć na kobietę na zmiętych kocach. Miała zamknięte oczy, rzęsy ocieniały jej policzki; oddychała równo i spokojnie. Miał wrażenie, że wie o niej wszystko, a jednak nadal pozostawała tajemnicza i skomplikowana. Było w tym coś uzależniającego i niebezpiecznego. Zbyt wiele się działo, zbyt wiele pytań było bez odpowiedzi, aby zacząć związek. Ale nic go to nie obchodziło.

A Jessie Brentwood mogła być w ciąży, kiedy zginęła, kiedy ktoś ją zabił.

Mógłbyś być ojcem, gdyby nie przydarzyło jej się coś strasznego w labiryncie przed posagiem Madonny.

Jego życie byłoby całkiem inne. Nie przebywałby na ranczu z Beccą, to oczywiste. Pewnie nawet nie wiedziałby, jakie to uczucie, dotykać ją albo całować. Byłby związany z Jessie, dziką, tajemniczą, niebezpieczną Jessie.

Ale dziecko... dzieciak miałby teraz dziewiętnaście lat. Cholera, to nie do uwierzenia.

Włożył bokserki i dzinsy. Zszedł i natknął się na Ringa, którego niskie powarkowanie zdradzało, że nie jest pewny ani nowego otoczenia, ani intencji nieznajomego. Hudson uśmiechnął się lekko, robiąc kawę. Słońce podniosło się, złocąc budynki widoczne z kuchennego okna. Wiedział, że niedługo pojawi się Rodriguez. Zastępca Grandy'ego był tak rzetelny, jak mu obiecano, ale Hudson wolałby, żeby wrócił pomocnik, który od lat pracował dla jego rodziny.

Było za wcześnie na rozmowę, ale Hudson wypiął komórkę z ładowarki i wybrał numer do siostry. Renee nie odebrała, więc postanowił, że nie będzie zostawiał trze-

ciej wiadomości z prośbą, aby oddzwoniła. Chyba już lepiej się czuła. Pewnie był nadopiekuńczy. Wcześniej w tym tygodniu zadzwonił do jej męża, Tima Trudeau, ale nie był to najlepszy pomysł.

Tim zachowywał się, jakby kompletnie nie interesowało go cokolwiek, co wiązało się z Renee. Powiedział tylko: „Jak będziesz nią rozmawiał, powiedz, że wystawiam dom na sprzedaż. Dzisiaj przyjdzie agent od nieruchomości i ustalimy cenę. Potrzebuję tylko jej podpisu”.

Jasne, stary, na pewno jej to przekażę.

Renee i Tim mieli dom na wschodnim brzegu Willamette River, w okolicy nazywanej Westmoreland. Hudson trzymał się z dala od wszystkich ich małżeńskich kłótni, ale ponieważ Renee ostatnio dziwnie się zachowywała, chciał się dowiedzieć, co się dzieje.

Telefon zadzwonił mu w dłoni. Zdziwił się, widząc, że to Renee. Odebrał.

- Wreszcie - powitał ją wychodząc na ganek, żeby nie obudzić Becki. - Gdzie się podziewałaś?

- Mówiłam, że jadę na wybrzeże.

- No dobra, ale co, do licha, tam robisz? Zostawiałem wiadomości.

- Pochłonęło mnie pisanie. - Jej głos napływał i odpływał, bo odbiór na wybrzeżu bywał kiepski. Ale i tak słyszał w jej głosie podniecenie. A może strach?

- O Jessie?

- Myślisz czasem, że to koniec... Zniknęła na zdanie albo dwa.

- Renee? Słyszysz mnie?

- ... a ludzie zakładali osady wzdłuż klifów, które przeważnie stawały się miastami. To jak lekcja historii. Ale bardzo dziwna. Robiłam wywiad z...

- Wywiad? - Hudson nasłuchiwał, ale pojawiły się zakłócenia na linii. - Renee? Renee?

- .. .jesteś tam?

- Tak, tak, jestem.

- Pamiętasz? Jessie... to wszystko o sprawiedliwości?... Teraz już wiem...

- Co wiesz?

- .. Jessie... Odezwę się, jak już... Do usłyszenia, dobra? Muszę zmykać. Jeśli mnie słyszysz, do widzenia! Całuję!

- Renee!

Usłyszał, że się rozłączyła. Wyłączył komórkę i zachnął się, sfrustrowany. Przy najmniej wracała. Postanowił, że wypyta, co ją tak nakreca, niezależnie, czy chodzi o tę historię, czy jakieś zmartwienia albo strach, którego na razie nie chciała nazwać.

Boso wszedł po schodach zajrzeć do Becki. Zobaczył, że ma otwarte oczy. Delikatny seksowny uśmiech pojawił się na jej ustach. Wyciągnęła do niego ręce. Myśli o Renee odpłynęły. Szybko się rozebrał i wrócił do łóżka.

Renee wrzuciła komórkę do torebki. Jechała na północ. To cholerstwo będzie bezużyteczne przez następnych kilka kilometrów. Na wybrzeżu w wielu miejscach zasięg był bardzo słaby, a w górach momentami zanikał całkowicie. Ale już za kilka godzin wróci do domu.

Dobrze! Miała już dość wybrzeża. Nawet schludny hotelik, w którym wynajęła pokój, w Pacific Beach, osiemnaście kilometrów od Deception Bay, był męczący. Nie wróciła do domku, gdzie wydawało jej się, że widziała człowieka o martwych oczach i gdzie „zniknął” nóż rzeźnicki. Za żadne skarby. Nie czuła się aż tak bezpiecznie. Nie, wynajęła pokój w hotelu, w którym mogła pisać i spokojnie spać.

Teraz rozprostowała palce na kierownicy i uśmiechnęła się do siebie. Wcześniej wiedziała, że coś jest nie tak, że coś nie pasuje. Ale nie wiedziała dokładnie, co.

Ani jakie to może mieć konsekwencje.

A teraz już wiedziała. O wiele więcej niż mogła się spodziewać. Ona i jej przyjaciele widzieli tylko czubek góry lodowej, nie całą masę sekretów i kłamstw, które pływały niżej. Ale ona ruszyła ścieżką Jessie i była niemal pewna, że dowiedziała się tego, co jej przyjaciółka.

- Sprawiedliwość - powiedziała na głos i się wzdrygnęła.

Groziło jej niebezpieczeństwo, bo dowiedziała się wystarczająco dużo, aby poskładać kawałki w całość. Wiedziała kto i w pewnym sensie dlaczego. Była pewna, że kości w labiryncie należały do Jessie, ale nie rozumiała, czemu miała służyć śmierć Glenna. Nadal nad tym pracowała, musiała się zorientować, czy został zamordowany, czy po prostu stał się niewinną ofiarą tragicznego wypadku.

I potrzebowała więcej informacji o Pieśni Syreny, chociaż niełatwo było je zdobyć.

Sekty, pomyślała. Ta sekta pławała się w tajemnicy i starej wiedzy. Właśnie taka, jakie czytelnicy uwielbiają!

Ale Jessie zginęła z powodu tego, czego się dowiedziała. Renee była tego pewna.

I madame Madeline, Szalona Maddie, ostrzegła Renee, że jej też grozi niebezpieczeństwo.

Odsunęła na bok lęki. Nie będzie o tym myślała, odjeżdżając z Deception Bay. Ani o nieznanym o lodowatych oczach, który się na nią gapił. Dosłownie zmroził jej duszę.

A teraz... teraz miała historię, a przynajmniej znaczną jej część.

- Mój Boże - szepnęła, jadąc autostradą 101 na północ wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. Ocean był szary i niespokojny, jego powierzchnię; daleko poniżej klifów po jej lewej, rozświetlały promienie słońca i ocieniały ciemne chmury. Cieszyła się, że pas prowadzący na południe oddzielał ją od przepaści, kiedy zbliżała się do skrzyżowania na autostradę 26, która prowadziła do Laurelton i Portland. Czuła, że potrzebuje bezpiecznego miejsca. Że musi uważać na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa, bo trzasnęła potwora kijem, a on uniósł zimne oczy i spojrzał na nią.

Znowu przeszedł ją dreszcz.

Musiała dotrzeć do domu. Wrócić. Do Hudsona i normalności. Przycisnęła pedał gazu nieco mocniej. Pospiesz się, powiedziała do siebie.

Zerknęła w tylne lusterko i zobaczyła szybko zbliżający się pojazd. Półciężarówka. Skąd się wzięła? Od świtu była sama na drodze. Nie martw się. To tylko kolejny kierowca.

A jednak docisnęła jeszcze odrobinę gaz, mimo że droga wiła się zakolami wokół brunatnych klifów po prawej - klifów, które zamieniają się w podnóża porośniętych jodłami Gór Nabrzeżnych, kiedy skręci na wschód. Po lewej wzdłuż przeciwnieległego pasa ciągnęła się metalowa poręcz. Co to za barierka? Nie chroniła tak naprawdę przez upadkiem w burzące się fale.

Półciężarówka z przodem osłoniętym metalowymi prętami zbliżała się szybko. Renee się zaniepokoiła. Może powinna zwolnić, dać się wyprzedzić. Żałowała, że nie zdecydowała się jechać później w ciągu dnia, kiedy panuje większy ruch.

Przed nią był niebezpieczny zakręt. Występ skalny od strony Pacyfiku wznosił się gwałtownie. Ostatnia zaporą, nim droga przejdzie w dwa przerażające zakręty, zabezpieczone tylko barierką. Żadnego miejsca na postój, nie miała gdzie zjechać. Żadnej pomocy.

Renee wcisnęła nieco hamulec, gdy występ śmignął obok niej i weszła w pierwszy zakręt. Promienie słońca lśniły na kłębiących się chmurach i rozbłyskiwały na falach.

Bach!

Jej głowa odskoczyła do tyłu; Renee straciła panowanie nad kierownicą. Desperacko próbowała przejąć kontrolę nad samochodem. Półciężarówka uderzyła w nią z impetem.

I znowu się zbliżała. Rozpędzona!

- Przestań! - krzyknęła Renee. - Przestań! Docisnęła gaz.

Samochód skoczył naprzód.

Za późno!

Bum!

Kolejne uderzenie w jej samochód; Renee przestała panować nad toyotą. Szarpnęła autem, skręcając ostro w stronę klifów. Bach!

Ze zgrzytem metalu pojazd zawirował, odwracając się od klifów na prawo w stronę barierki. Serce Renee waliło, strach wypełnił jej ciało. Szarpnęła kierownicą i samochód zatańczył. Teraz stała tyłem do barierki, a przodem do jasnej półciężarówki.

Pikap jechał przed siebie, spychając Renee w stronę urwiska.

- Nie!

O Boże, nie!

Wrzeszcząc, docisnęła gaz do dechy. Koła zakręciły się wściekle, ale nic jej to nie dało. Większy wóz cały czas przesuwiał ją do tyłu. Coraz bliżej i bliżej urwiska, barierki, która była raptem paskiem stali.

- Proszę, Boże, nie, nie teraz.

Spojrzała przez przednią szybę i zobaczyła twarz kierowcy. To on!

Mężczyzna, którego widziała w oknie. On!

O Boże, te martwe, zimne oczy! Silnik półciężarówki zawył. Potwór w postaci maszyny. Toyota nie miała szans i sunęła do tyłu; dym buchał z opon, żwir tryskał spod kół.

Renee szarpnęła kierownicą. Za późno.

Ze zgrzytem metalu tył samochodu przerwał barierkę i zsunął się w przepaść. Krzyk Renee rozległ się echem wśród klifów, kiedy toyota spadła w chciwe, łapczywe wody daleko w dół.

Rozdział 17



Ona wie!

Nasze oczy się spotykają. Widzę, że mnie rozpoznaje. Rozumie.

Serce mi wali, kołacze w podnieceniu; zaciskam palce na kierownicy i przydepniję pedał gazu.

Jej twarz jest maską przerażenia. Prawie słyszę jej krzyk.

Bóg dał mi ją w darze. Nie jest Rebeccą. Nie jest Jezebel. Żadną z nich. To tylko głupia kobieta, która zagraża misji.

Nie czuję jej zapachu, tylko przyprawiający o zawrót głowy aromat morza rozbi-
jającego się o skały w dole.

A jednak ona musi zginąć, bo wie.

Bach! Moja półciężarówka wali w jej samochód po raz ostatni, toyota uderza w nadwierzoną barierkę i spada. Wirując i koziółkując, wpada do morza.

Cały drzę. Cofam auto, wrzucam bieg i uciekam. Mimo że o tej godzinie pod koniec zimy droga jest pusta, muszę uważać.

Jeśli ktokolwiek mnie zobaczy, moja misja, dzieło całego życia, zostanie zniszczona.

Nadal jest tyle do zrobienia, a w powietrzu unosi się zapach, smród, którego nie było od dawna, bardzo dawna.

Uśmiecham się do siebie, jadąc na północ, a potem na wschód. Do niej.

Hudson zgarnął komórkę ze stołu kuchennego, kiedy wychodzili z Beccą do jego wozu. Ringo na smyczy biegł zygzakiem podjazdem. Becca wsiadła, wzięła psa na kolana, a Hudson wysupłał kluczyki z kieszeni.

Było wczesne popołudnie. Spędzili ranek u niego w domu. Wstali późno, wypili kawę, zajęli się zwierzętami, zjedli drugie śniadanie w jadłodajni w Laurelton i wrócili na farmę. Dzień był ładny. Konie kłusowały po pastwisku z zadartymi ogonami. Ciężarna Boston z wielkim brzuchem ocierała się bokiem o dąb, rżąc z zadowoleniem; oddech buchał jej z nozdrzy dwoma obłoczkami. Becca głaskała japo szyi i mrucała ciepło.

Hudson uśmiechnął się do siebie. Kto by pomyślał, że odnajdzie takie zadowolenie, taki spokój, jakich nie zaznał, zajmując się nieruchomościami? Powodziło mu się zupełnie nieźle, ale ciągle odczuwał niepokój.

Cholera, za młody jesteś na emeryturę, powtarzał sobie często, ale i tak został na ranczu, zajmując się nieruchomościami na odległość, zadowolony z życia, wręcz szczęśliwy.

Od chwili, kiedy zobaczył ją w Blue Note, wiedział, że mu nie przeszło.

Połączyła ich Jessie, co sprawiło, że prawie czuł się winny, bo znowu się zakochał.

Zamarł. Zakochał się? Jezu, ty idioto. Miłość? To śmieszne. Ale gdy zerknął na Beccę gramolącą się do samochodu, coś w nim złagodniało. Niepokój, który towarzyszył mu przez lata, zaczął zanikać.

Telefon zadzwonił, gdy tłukli się podjazdem. Spojrzał na ekran.

- Hrabstwo Tillamook? - przeczytał na głos i przycisnął guzik. - Słucham?

Becca wzruszyła ramionami, gdy powiedział:

- Tak, Tim. Co jest? - Jego twarz natychmiast skamieniała. - Czekał no... zwolnij.

Gdzie?... Aha, wiem, że Renee pojechała na wybrzeże. Co?!

Serce Becki zamarło.

- Chwileczkę... w którym szpitalu?

Szpital? Becca zacisnęła palce na pasku torebki. Zastygła z przerażenia.

- Hudson?

Z jego twarzy odpłynęła cała krew. Zatrzymał samochód na końcu podjazdu, ścisnąc telefon.

- Hudson? - powtórzyła zaniepokojona Becca.

- Żyje? - spytał do telefonu. Becca przycisnęła rękę do ust.

- Już jadę. - Rozłączył się. Oddychał płytko i szybko. - To był Tim. Renee miała wypadek. Zadzwonili do niego z biura szeryfa, powiedzieli, że jest w szpitalu Ocean Park.

- Nic jej nie jest?

- Nie wiem. Cholera. Wrzucił bieg.

- Ale żyje.

- Chyba.

Becca dygotała. Kolejny „wypadek”, tak szybko po śmierci Glenna. Mało prawdopodobne?

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnęła, ale kłamała.

Przez chwilę myślała o Renee, która czuła, że ktoś jej zagraża, o jej powrocie do Deception Bay, determinacji, z jaką chciała wyjaśnić, co się stało z Jessi o marzeniu, żeby opisać jej historię.

- Pojadę prosto do szpitala, jak tylko cię odwiozę.

- Jadę z tobą.

Nie było mowy, żeby została.

- To...

- ...wybrzeże. Ocean Park. Słyszałam.

- A co z psem?

- Też pojedzie. Ringo uwielbia jazdę samochodem. - Spojrzała na psa. - Leż spokojnie.

- Jesteś pewna? - Stali na końcu pasa, czekając, aż przejedzie samochód z przyczepą. - To nie wygląda najlepiej.

- Chcę być z tobą.

- Szpital znajduje się dwie godziny stąd. - Wyrżał przez przednią szybę na pola, ale Becca podejrzewała, że nie patrzy na ściernisko. - Więc lepiej nie marnujmy czasu.

- W porządku.

Wjechał na autostradę 26 i ruszył na zachód, gdzie słońce otulone chmurami już opadało za góry oddzielające dolinę Willamette od Pacyfiku.

Becca posłała modlitwę prosto w szare niebo. Renee nie mogła umrzeć. Po prostu nie mogła. Już i tak zbyt wiele stracili.

Ale kiedy patrzyła się przed siebie, pomyślała o Jessie i jej ostrzeżeniu...

Co próbowała jej powiedzieć. Dwie sylaby? Może jedno słowo? Samochód Hudsona jechał ku wzgórzom porośniętym jodłami i dębina. Becce przeszedł dreszcz.

Szpital Ocean Park znany był z wykrzywionych sosen, które rosły po obu stronach wejścia. Drzewa, których konary przez lata dręczył wiatr, drżały i pochylały się, kiedy jechali między nimi. Kierował się do niskiego, betonowego budynku, stworzonego z myślą o funkcjonalności, nie urodzie.

Hudson zadzwonił do biura szeryfa, ale niczego się nie dowiedział. Zatelefonował do Tima, który wydawał się kompletnie przybity. Wkrótce były mąż Renee też wyruszył do szpitala, ale robił wrażenie oszołomionego i zagubionego, jakby nie wiedział, co powinien robić.

Becca czuła się kompletnie odrętwiała. Męczył ją wymuszony bezruch. Izolowała się od wszystkiego, co mogło się wydarzyć. Dręczyło ją wiele pytań związanych z wypadkiem Renee, ale ani ona, ani Hudson nie dowiedzieli się niczego więcej po przyjeździe na miejsce.

Ringo rozszczękał się, kiedy wysiadali z samochodu.

- Nic ci nie będzie - uspokajała mechanicznie psa, ale myślami błądziła gdzie indziej. Nie była pewna, czy „nic im nie będzie”. Nawet psu.

Hudson miał twarz spokojną, chociaż Zmartwioną. Złapał Becce za rękę, kiedy weszli na izbę przyjęć przez automatycznie rozsuwające się drzwi.

- Renee Trudeau? - zapytał kobietę w okienku przyjęć. - Powiedziano mi, że została tu dziś przyjęta. Ofiara wypadku samochodowego. Jestem jej bratem, nazywam się Hudson Walker.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedziała recepcjonistka, wskazując ręką przyległą poczekalnię ze sztucznymi fikusami i rzędem podniszczonych krzeseł. Zacytane czasopisma z pozaginanymi rogami zaśmiecały niski stolik. Starszy mężczyzna siedział z łokciami na kolanach, przesuwał guzowatymi palcami po nieogolonej brodzie. - Dam znać lekarzowi, że pan przyjechał.

- Chciałbym zobaczyć siostrę. - Hudson spojrzał w głąb korytarza za jej plecami.

- Dam mu znać.

Kobieta, pewnie około pięćdziesiątki, nosiła nowiutki aparat na zębach.

Uśmiechnęła się cierpliwie, ale w jej spojrzeniu coś ostrzegało, że sytuacja może nie być tak radosna, jakby sugerował jej uśmiech.

Becca przysiadła na brzegu krzesła, ale Hudson krążył jak lew w klatce. To wyglądał przez okno, to zerkał do pokojów za szklaną ścianą i okienkiem przyjąc, to spoglądał na Beccę.

Przyszedł do nich nie lekarz, ale mężczyzna w sztywnym, jasnobrązowym mundurze z odznakami na piersi i ramionach. Warren Burghsmith, zastępca szeryfa hrabstwa Tiłlamook, jak przedstawił się Hudsonowi, którego wskazała mu kobieta z aparatem na zębach.

Becca przygotowała się na najgorsze. To nie mogły być dobre wieści.

- Pan jest bratem Renee Trudeau?

- Zgadza się. Jak się czuje moja siostra?

- Żyje, ale jest w ciężkim stanie. Ma szczęście, że nie zginęła od siły uderzenia.

Wyjaśnił, że samochód Renee przeleciał przez barierkę do oceanu. Ktoś zadzwonił i Straż Przybrzeżna wydobyła samochód. Zastępca był spokojny, poważny i ostrożny. Zadał Hudsonowi kilka pytań, głównie o to, dokąd Renee jechała i co robiła. Nie trzeba było geniusza, żeby zorientować się, że coś w tym wypadku zaniepokoiło władze, chociaż nie było to oczywiste, dopóki zastępca nie przyznał, że wiele wskazuje na to, że toyotę Renee prawdopodobnie zepchnięto - zrzuciono - z urwiska.

- Dlaczego? - dopytywał Hudson.

- Nie wiemy.

- Mogę się z nią zobaczyć?

- To zależy od doktora Millaya, ale zobaczę, co da się zrobić. Zastępca wyszedł drzwiami z napisem „Nie wchodzić”.

Kilka minut później lekarz w białym stroju chirurga wyszedł tymi samymi drzwiami i chociaż starszy mężczyzna spojrzał wyczekująco, lekarz, zdejmując rękawiczki, podszedł prosto do Hudsona i Becki.

- Jestem doktor Millay - przedstawił się. Był wysoki, około sześćdziesiątki i miał sylwetkę biegacza. - Domyślam się, że jest pan bratem Renee Trudeau?

- Hudson Walker. Tak. Jak się czuje moja siostra? - zapytał Hudson, ale poważna twarz lekarza wszystko wyjaśniała.

- Przykro mi. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Pod Beccą ugięły się kolana. Co? Co on mówi?!

Krew odpłynęła z twarzy Hudsona, a lekarz mówił dalej:

- Pańska siostra odniosła rozległe obrażenia. Połamane obojczyki, zmiażdżona miednica, przebite płuca... - W terminach medycznych opisał ciało zmiażdżone podczas upadku, ale tylko kilka fraz utkwilo w umyśle Becki. -... głębokie obrażenia piersi i brzucha... uszkodzone serce i wątroba... nie byliśmy w stanie zatrzymać wewnętrznego krwotoku... cały czas nieprzytomna... niewielki ból, o ile w ogóle... żadnej

reakcji... - A potem skończył słowami: - Pani Trudeau zmarła na stole operacyjnym. Śmierć nastąpiła o dziewiątej dwadzieścia trzy.

Hudson nadal gapił się na niego.

- Śmierć?

Becca mocno ścisnęła jego dłoń. Serce biło jej tak głośno, że ledwo cokolwiek słyszała.

Hudson wydawał się znajdować w innym świecie. Becca pociągnęła go na krzesło; przysiadł na brzegu, patrząc w pomarszczoną twarz doktora Mil-laya i szukając odpowiedzi. Chirurg, który przekazał im wiadomość spokojnie i bez emocji, dotknął jego ramienia i powiedział uprzejmie:

- Może ją pan zobaczyć, jeśli jest gotowy.

Hudson wstał jak automat. Becca również, ale odwrócił się do niej i powiedział:

- Chcę iść sam.

- Na pewno?

Skinął głową i poszedł z lekarzem. Becca patrzyła za nimi. Miała wrażenie, że wpadła w wir. Od chwili odkrycia kości przy szkole, towarzyszyła im śmierć i tragedia. Jak to możliwe? Renee była taka pełna życia. Taka twarda. A teraz... teraz nie żyła?

Oczami wyobraźni zobaczyła znowu Jessie, stojącą na urwisku, nad oceanem, tym samym oceanem, do którego wpadł samochód Renee.

Ocean...

Szklistymi oczami obserwowała Burghsmitha, jak czeka przed drzwiami. Zdała sobie sprawę, że wkrótce ciało Renee zostanie przeniesione do kostnicy.

Dziwny dźwięk wyrwał jej się z gardła. Okrzyk gniewu i niedowierzania. Zastępca szeryfa podszedł do niej.

- Nic pani nie jest?

- Samochód spadł z urwiska - powiedziała Becca, jakby uczyła się tego na pamięć. - Samochód Renee.

Zastępca zmarszczył brwi.

- Tak.

- Na autostradzie 101.1 wpadł do oceanu?

- Tak, proszę pani. Pani znajoma została przetransportowana do szpitala helikopterem.

- Straciła panowanie nad samochodem, bo... ktoś ją specjalnie zepchnął z klifu?

- Nie znamy wszystkich okoliczności. Nadal odtwarzamy przebieg wypadku. -

Zerknął na zegarek. - Pewnie już skończyli.

- Uważacie, że ktoś zepchnął ją z drogi - powtórzyła, chociaż sama nie wiedziała, czy mówi do siebie, czy do zastępcy szeryfa.

Zagubiła się we wspomnieniach innego wypadku, kiedy to ją zepchnięto z drogi, i to jej samochód wpadł do głębokiego rowu, uderzając o wielkie kamienie. Przód auta zgniół się jak kartonowe pudełko. Siedziała uwięziona w aucie długie godziny. Uwolniono ją dopiero dzięki specjalnym nożycom, chociaż sama nic z tego nie pamiętała. Przypominała sobie tylko przerażającą świadomość, że straciła dziecko. Była pusta. Później przez całe tygodnie zasypiała, płacząc, i tylko leki pozwalały jej uśmieryć ból.

A teraz ktoś zepchnął Renee z drogi, przez co straciła życie. Umarła. Becca nie mogła tego ogarnąć. Siostra Hudsona, jedyna rodzina, jaka mu została, zginęła. Żywiołowa reporterka, która czuła, że coś jej zagraża.

Już miała iść za Hudsonem, niezależnie od tego, co powiedział, ale w tej samej chwili wrócił. Był blady. Chciała go objąć i przytulić, ale wydawał się taki odległy. Najwyraźniej nie mógł w tak krótkim czasie przetrwać tego, co się stało.

- Zadzwoń do Zeke'a - powiedział dziwnym głosem. - Jedyna osoba, która przyszła mi do głowy.

- Tak strasznie mi przykro. - Beccę piekły oczy.

- Nie wierzę, że ona nie żyje. Widziałem ją. Widziałem... ciało. Ale nadal nie wierzę.

Wtedy objęła go, a on przycisnął czoło do jej czoła. Czuła, jak przebiega go dreszcz. Zaciśnęła powieki, żeby powstrzymać łzy. Chciała być silna ze względu na niego. Chciała mu pomóc.

- Jadę na miejsce wypadku - mruknął, odsuwając się. - Chcę zobaczyć, gdzie to się stało.

- Na pewno chcesz?

- Tak.

Poszła za nim do samochodu.

- Dasz radę prowadzić?

Potwierdził. Siadł za kierownicą i wyjechał na autostradę. Ruszył na południe, minął skręt na Dwudziestkę w głąb lądu. Nie mijali tego miejsca, jadąc do szpitala; z całą pewnością znajdowało się po drodze do Deception Bay, miasteczka, w pobliżu którego zatrzymała się Renee.

To była przedziwna podróż. Ani Becca, ani Hudson nie odzywali się zbyt wiele. Dzień zrobił się zaskakująco ładny, słońce przeważało nad chmurami. Pierwsze wieczorne cienie ciągnęły się już w głąb lądu, a słońce opadało ku oceanowi.

Dotarli na miejsce. Fragment barierki był wygięty, jej część wisiała nad urwiskiem. Ziejąca dziura. Żwir spryskano różnymi kolorami farby w spreju - ślady pozostawione przez ekipę odtwarzającą wypadek.

Hudson zatrzymał wóz. Siedzieli z Beccą i gapili się na przerwę w zardzewiałej barierce nad oceanem. Wysiedli. Hudson podszedł do brzegu urwiska, ale Becca trzymała się z tyłu, czując lekkie zawroty głowy. Stała przy wozie, jedną dłonią opierając się o przedni błotnik. Hudson spojrzał w dół. Wiatr mierzwił mu włosy, przyklejał rękawy dzinsowej koszuli do rąk.

Becca nie była w stanie zrobić kroku naprzód. Wiedziała, że wystarczy postawić jedną stopę przed drugą ale jakaś niedostrzegalna siła trzymała ją w miejscu. A potem usłyszała stłumiony ryk, zapowiedź wizji, i pojawiły się nagle ślepotą i narastający ból głowy.

- Nie... - poprosiła, a może tylko tak pomyślała.

Ringo zaskomlał do niej z samochodu. Z jedną ręką na masce, skupiła wszystkie siły, żeby odwrócić się do samochodu i oprzeć o niego, nim kompletnie zawładnie ją wizja.

Spodziewała się zobaczyć Jessie, ale ujrzała siebie w samochodzie, kręcącą kierownicą, krzyczącą desperacko próbującą zachować panowanie nad pojazdem. Drzewa i krzaki rozbłyskiwały obok samochodu, który wylatywał z drogi i zjeżdżał z nasypu. Jej samochód. To był jej samochód! Jej wypadek. Odruchowo złapała się za brzuch, osłaniając dziecko. Słyszała warkot silnika w samochodzie za sobą tym, który ją zepchnął. Spanikowana obejrzała się. Zobaczyła, jak napastnik odjeżdża, uciekając z miejsca zbrodni jak wariat.

A potem ciemność. Nic, tylko ciemność.

Hudson przyjrzał się miejscu wypadku. Było mu słabo z rozpaczy, zmęczenie przenikało go do szpiku kości, ale nie mógł się powstrzymać. Nie mógł pozwolić, aby ten potworny horror stał się rzeczywistością.

- Kto to zrobił? - szepnął.

Nie wierzył, że to wypadek. Ktoś celowo zepchnął Renee z drogi. A kolorowe ślady na asfalcie i żwirze mówiły mu, że biuro szeryfa myśli podobnie. Dlaczego?

Oderwał wzrok od stromych skał, które prowadziły do białych pióropuszy fal w dole. Rozejrzał się i zobaczył ślady opon. Widział, w którym miejscu siostra przycisnęła hamulec, ale nic to nie dało. Ślady po prostu urywały się, kiedy koła zablokowały się i samochód sunął prosto do krawędzi, przez barierkę, i spadł z urwiska.

Zepchnięta!

Celowo zepchnięta z urwiska. Zabita.

- Cholerny łajdak.

Przemarzył do kości. Zastępca szeryfa coś tam sugerował, ale nie powiedział wszystkiego; Hudson wyczuł to w szpitalu, ale był zbyt zaabsorbowany własnym bólem, żeby odczytać sygnały. Ktoś celowo zepchnął Renee z drogi.

Żalność wypełniła mu pierś. Nie potrafił płakać i nie wiedział dlaczego. Żałował, że nie może. To byłby sposób, żeby zrzucić z siebie część dławiącego bólu.

Becca jęknęła, więc Hudson spojrzał na nią. Zobaczył, że chwyta się samochodu i osuwa na żwir. Skoczył ku niej czterema wielkimi susami i złapał ją kiedy leciała na ziemię.

- Becca! - Słyszał drzenie we własnym głosie. Prawdziwy strach. Oddychała. Jej oczy się poruszały.

Ucieszył się, że to jedna z jej „wizji”, a nie coś śmiertelnie niebezpiecznego. Zbyt wiele tego było ostatnio.

Trzymał jej głowę i kołysał. Oczy go piekły. Nie zwracał uwagi na burzące się morze i wiatr we włosach. Samochody przejeżdżały obok, zwalniając, a potem przyspieszały w stronę krętego odcinka, a on trzymał Beccę. W głowie miał chaos, strach mieszał się z wściekłością. Coś się działo z ich paczką. Coś im groziło. Nie tak właśnie mówiła Renee?

Co to było?

Upłynęło kilka minut, podczas których Becca leżała w jego ramionach, drżąc, jakby zwalczała jakiś atak. A potem powoli otworzyła oczy i patrzyła na niego przez chwilę zdezorientowana.

- Jezu, Becca, śmiertelnie mnie przeraziłaś. Zamrugowała kilka razy i nerwowo nabrała powietrza.

- Renee - mruknęła.

- Miałaś wizję.

To nie było pytanie.

- Aha.

Powoli wstała, wyraźnie zmęczona.

- Co zobaczyłaś? - zapytał niespokojnie. - Coś o Renee?

Spojrzała w jego zatrwożone niebieskie oczy. W jakimś stopniu wierzył w jej wizje, ale to była niewielka pociecha wobec tak ogromnej straty.

- Widziałam wypadek - powiedziała ostrożnie. - W którym jeden samochód zepchnął drugi z drogi. Ale to nie był wypadek Renee.

Spojrzał na nią, nic nie rozumiejąc.

- Co masz na myśli?

- Myślę... to byłam ja. Mój wypadek. Z przeszłości.

- Jessie brała w tym udział?

- Nie...

- Więc to raczej wspomnienie? - Zamknął oczy. Czują jego walące jak młotem serce, kiedy próbował zrozumieć. - Ktoś celowo zabił Renee - powiedział napiętym głosem. - Nie wiem na razie, dlaczego. Ani kto. Ale z pewnością się dowiem!

Zeke złapał wielką butelkę wody stojącą na stole kuchennym i wypił jeszcze kilka sporych łyków. Zamierzał wypić wszystko, jeśli to go powstrzyma od sięgnięcia po burbona, na którego tak naprawdę miał ochotę. Ale to nie był czas, żeby się urząnąć.

Renee nie żyła.

Jessie ją zabiła.

Był tego pewien.

Przygarbiona Evangeline stała w przejściu między kuchnią a korytarzem. Obję mowała się ramionami. Była blada i drżała.

- To żart. To okrutny żart. Hudson próbuje coś ci powiedzieć, żebyś przyznał się do czegoś.

- Zamknij się, Vangie! - Zeke złapał butelkę wody, odkręcił ją i cisnął nią z całej siły o ścianę. Butelka upadła na ziemię i woda rozlała się w kałużę. - Przestań tak mówić!

- Renee żyje. To nieprawda.

- To prawda! Hudson nie pogrywa w takie chore gierki. To jego siostra. Bliźniaczka. Co ci, do cholery, odbija?

- To nieprawda. Nie bądź taki zły. Potrafisz ranić.

Jeszcze mocniej się objęła, a jej wielkie oczy błagały go, żeby podszedł i ją przytulił, kochał, pomógł jej.

Zerwał się z krzesła, podniósł butelkę i wrzucił do zlewu. Oparł się o brzeg zlewu i patrzył na strumyki wody spływające odpływem.

- Tamara przyjedzie? - spytała Evangeline.

- Chyba pojechała zobaczyć się z Trzecim. Nie wiem. Płakała.

- Więc teraz wszyscy myślą, że to prawda. - Pociągnęła nosem.

- Bo to prawda!

Zeke wypadł z kuchni i domu, rozglądając się za swoim samochodem. Zaparkował przy krawężniku, nie? Gdzie on jest?! Evangeline nagle złapała go za rękę.

- Dokąd idziesz? Dokąd?

- Zjeżdżam od ciebie. Ona nie żyje, Vangie. Nie żyje! Renee nie żyje. Glenn nie żyje. Jessie nie żyje. Oni wszyscy odeszli!

- Nie...

- Niech to szlag! - Strząsnął jej rękę i zbiegł po schodach.

Nigdzie nie było samochodu, więc zaczął biec i biegł, aż w jego ciele nie pozostał nawet gram energii, a wtedy rzucił się na trawiasty wał dziedzińca pobliskiej szkoły.

- Jessie - wyszeptał łamiącym się głosem i zaczął płakać.

- Co takiego powiedziała Renee, kiedy spotkałyście się z dziewczynami? - zapytał Beccę Hudson, przytrzymując zimną szmatkę na jej głowie, gdy leżała w łóżku.

Zameldowali się w motelu w pobliżu biura szeryfa, najzwyczajszym i podniszczonym, za to gotowym przyjąć psa. W pobliżu znajdował się mały ciąg handlowy i kilka miejsc, gdzie można coś przekąsić. Żadne z nich nie czuło ładu na siłach jechać do domu, a Hudson i tak musiał podjąć decyzję, co zrobić z ciałem Renee.

Weszli więc do cuchnącego stęchłą pokój. Hudson uparł się, że Becca ma się położyć, a on się nią zajmie. Dał jej aspirynę i szklankę wody, podczas gdy Ringo kręcił się po łóżku, od czasu do czasu piorunując wzrokiem Hudsona, jakby to była jego wina, że pani się źle czuje.

Becca nie wzięła aspiryny, upierając się, że nic jej nie jest, chociaż ból głowy nie ustępował. Hudson w tym czasie rozważał wszystko, co mogłoby wyjaśnić, co się wydarzyło. W kółko klepał swoją litanie, która nie wymagała od Becki żadnego udziału. Rozumiała, że w ten sposób próbuje uporać się ze śmiercią siostry. Leżała cicho, głaszcząc psa, a Hudson kręcił się po pokoju, jakby energia go roznosiła. Nie mógł przestać.

- Co Renee powiedziała, kiedy spotkałyście się z dziewczynami?

- Uważała, że coś jej zagraża. Nam. Wygrzebywała rzeczy związane z Jessie i coś obudziła.

- Coś.

- Nie potrafiła wyjaśnić swoich uczuć. Tamara uważała, że zbyt poważnie potraktowała wróżbę z kart tarota, ale to było coś więcej. Była zdeterminowana napisać historię, jakby to mogło nas wszystkich uratować. Sama nie wiem. Nie powiedziała tego. Po prostu tak to odebrałam.

Zmrużył oczy, jakby z bólu.

- Coś, co ją zabiło.

- Dlaczego ktoś miałby ją zabić?

- Z powodu historii na temat Jessie. Boże, nie wiem. - Sfrustrowany Hudson pokręcił głową.

Becca westchnęła, czując taką samą frustrację.

- Mówiłeś, że Renee dzwoniła. Co powiedziała?

- Nie słyszałem jej. Połączenie było fatalne.

- Nic nie słyszałeś?

- Ekscytowała się tą historią. O Jessie. Mówiła coś o sprawiedliwości i o... o ludziach mieszkających na klifach. O osadach na klifach - poprawił się.

Becca pokręciła głową, nic nie rozumiejąc.

- Twoje wizje - powiedział Hudson. - Mówiłaś, że miałaś ich kilka, odkąd znaleziono szczątki Jessie.

Chwytał się tego jak tonący brzytwy. Spojrzała na jego napiętą twarz. Zmarszczki troski formowały się w kącikach oczu. Podejrzewała, że sama nie wygląda lepiej.

- Jak mówiłam, pierwszą miałam w centrum handlowym. Jessie stała na urwisku nad oceanem. Położyła palec na ustach, a potem coś do mnie powiedziała. Nie mogłam zrozumieć. Potem zobaczyłam ją przed jadłodajnią.

- Kiedy spotkaliśmy się z McNallym i jego partnerką? Skinęła głową.

- To dlatego poszłam do toalety. Bałam się, że zemdleję. Potem zobaczyłam list z wierszykiem do Glenna. A w ostatniej mój samochód został zepchnięty z drogi.

- Myślisz, że przypomniałaś sobie o nim z powodu wypadku Renee?

- Możliwe.

Ale to było bardziej realistyczne niż wspomnienie. To była wizja. Hudson wrócił do łóżka i położył się obok niej, przesuwając opornego psa.

- Nie mogę tego zrozumieć.

- Ja też.

Objął ją i przytulił. Mijały chwile, a oni leżeli zamyśleni. Becca w końcu usłyszała, jak oddech Hudsona wyrównuje się, ale jej własne myśli krążyły w labiryncie zaułków, szukając odpowiedzi, które zawsze kryły się gdzieś za rogiem, tuż poza jej zasięgiem.

Gretchen już czekała na Maca, kiedy wszedł do biura. Nie marnowała czasu na powitania, czy choćby pytania, gdzie się podziewał całe popołudnie.

- Raporty masz na biurku. Pożar to podpalenie, specjalnie uszkodzono przewód gazowy. Wróciły wyniki badań DNA Nadętych Gnojków. I mamy rekonstrukcję twarzy.

- Jezu. - Mac złapał papiery i przejrzał. - Szczęścia naprawdę chodzą trójkami.

- To nieszczęścia. I parami.

- Hm. Niech sprawdzą, czy DNA Hudsona Walkera odpowiada DNA dziecka.

- Już im powiedziałam. Niedługo powinni zadzwonić.

- I reszty Nadętych Gnojków - dodał po namyśle.

- Sprawdzają wszystkich - rzuciła niecierpliwie Gretchen. - Co o tym myślisz? - Wyjęła ze stosu rysunek z rekonstrukcją twarzy ofiary i podsunęła Macowi. Przyjrzał się uważnie. - To twoja mała?

- Widziałem ją tylko na zdjęciach.

- Ja też. No więc?

- Myślę, że to bardzo możliwe - odparł powoli.

Serce waliło mu jak młotem, kiedy patrzył na seksowne, spoglądające znacząco oczy, i idealne usta, które wyobrażał sobie, jak wyginają się w porozumiewawczym, prowokacyjnym uśmiešku. „Z czego zrobieni są mali chłopcy?” Prawie słyszał, jak ten wierszyk sączy się ze zmysłowych warg.

- Nie baw się przy mnie w ostrożność - zachnęła się ostrzegawczo Gretchen. - Cały czas to powtarzałeś i teraz wreszcie ci wierzę. Ten rysunek to skóra zdjęta z Jezebel Brentwood. To kości Jessie i jej dziecka. DNA to potwierdzi.

Zadzwonił telefon na biurku Maca.

- McNally - rzucił do słuchawki.

Gretchen uniosła pytająco brwi, a Mac pokiwał głową że to rzeczywiście z laboratorium.

- Dzięki - powiedział w zadumie, odkładając słuchawkę.

- No i? - dopytywała się Gretchen.

- To Jessie. A DNA dziecka dopasowano do DNA ojca.

- Walker?

- Zeke St. John.

Gretchen skrzywiła się z niedowierzaniem.

- Najlepszy kumpel Walkera?

- Mac! - zawołał Pelligree z drugiego końca pokoju. - Biuro szeryfa hrabstwa Tillamook zgłosiło wypadek na autostradzie 101. Ofiara nazywa się Renee Walker Trudeau.

- Co?! - Mac zerwał się na równe nogi.

- Jezu Chryste - mruknęła Gretchen. Pelligree był całkiem poważny.

- Jej brat zidentyfikował ciało.

- Jadę tam - powiedział Mac. Złapał płaszcz i ruszył do drzwi. Chociaż raz Gretchen została w tyle, opadając powoli na krzesło. Ona i Pelligree spojrzeli po sobie.

- Miał rację - powiedziała z nutką podziwu. - Ta sprawa jest o niebo bardziej skomplikowana, niż ktokolwiek z nas podejrzewał.

Rozdział 18



Cicha muzyka. Jakiś mgliście znajomy hymn szemrał w salonie pogrzebowym. Becca siedziała i gapiała się pustym wzrokiem na otoczoną bukietami kwiatów zamkniętą trumnę, świadectwo tego, jak bardzo ucierpiało ciało Renee w „wypadku”. Świece jasno płonęły, ale pochmurny, szary dzień sączył się przez okna, niosąc ze sobą ponurą zimę. Tykowały kaznodzieja z fatalną pożyczką i w okularach bez oprawek stanął na podwyższeniu, a kiedy muzyka ucichła, poprowadził modlitwę. Becca nie mogła się skupić.

Ponieważ zajmowała miejsce obok ponurego Hudsona, a kilka krzeseł dalej siedział szlochający Tim Trudeau, zachowała swoje myśli dla siebie. Żałobników było więcej, niż mógł pomieścić mały pokój w zakładzie pogrzebowym, więc otworzono drzwi na zadaszony obszar, gdzie rozstawiono namioty i *ogrzewacze*. Albo Renee zdobyła niewiarygodną liczbę przyjaciół w ciągu niecałych czterdziestu lat, albo większość z tych, którzy przyszli się pożegnać, po prostu przygnała ciekawość.

O śmierci Renee Trudeau pisano w ogólnokrajowej i lokalnej gazetach, mówiono też o niej w wiadomościach. Jej związki ze szkołą Świętej Elżbiety - już wcześniej kojarzoną ze skandalem i morderstwem, a teraz także z odkryciem kości, co do których podejrzewano, że należą do Jessie Brentwood - sprawiły, że stała się sławna. Policja nie wydała jeszcze oświadczenia, ale Becca była przekonana, że niedługo się pojawi. Widziała zaparkowany wóz telewizyjny i zauważyła, że zjawił się detektyw Sam McNally. Stanął w tylnym rzędzie, tuż przy drzwiach.

- ...tragiczna strata... zaufajmy Panu... zawsze będziemy o niej pamiętać jako o żonie, przyjaciółce, siostrze...

Becca wsunęła dłoń w rękę Hudsona, ale on patrzył przed siebie, myślami błądząc daleko. Ze wzrokiem utkwionym w kaznodziei, tak naprawdę skupił się na wspomnieniach o siostrze.

Czy Renee nadał by żyła, gdyby nie była tak zafascynowana zniknięciem Jessie? Niezależnie od tego, czy jej samochód celowo zepchnięto z drogi, czy też uderzył w nią przypadkowy kierowca, który uciekł z miejsca wypadku - co wydawało się coraz mniej prawdopodobne - jej śmierć można było bezpośrednio powiązać z jej poszukiwaniem prawdy na temat Jessie.

Becca pomyślała o swoich wizjach i poczuła, że Hudson mocniej ściska jej dłoń. Zwalczyła łzy i pochyliła głowę, kiedy polecono im się pomodlić. Usłyszała Tima, lamentującego i szlochającego, jakby stracił miłość swego życia.

Może udałoby im się z Renee naprawić małżeństwo. Teraz nikt się nie przekona. Becca też nie będzie miała szansy zbliżyć się do niej, jedynej rodziny, jaka została Hudsonowi.

Odeszła...

Zabita. Jak Jessie. Jak Glenn...

Zjawili się wszyscy ze szkolnej paczki, wszyscy zrozpaczeni i smutni; nikt nie powiedział, co myśli: „Kto następny?” Becca zauważyła Trzeciego, który w milczeniu dotykał broszurki na temat pogrzebu, widziała też Mitcha, który palił jednego papierosa za drugim na ganku przed ceremonią i wyglądał na kompletnie zdruzgotanego. Tamara w długiej, czarnej spódnicy i swetrze siedziała kilka rzędów dalej, niedaleko Zeke'a i Evangeline. Zeke był ponury, a Vangie wyglądała jak zajęta zahipnotyzowany przez światła samochodu.

Żadne z nich nie potrafiło uwierzyć, że kolejny członek ich paczki - żywiółowa, silna siostra Hudsona - rzeczywiście nie żyje.

Na samą myśl ścisnęło jej się serce. Walczyła ze łzami, kiedy kaznodzieja wymieniał najważniejsze chwile z życia Renee. Kiedy przypominał ojej edukacji i ukończeniu szkoły średniej, poczuła, jak Hudson sztywnieje. Kątem oka zauważyła Tamarę, która ze smutkiem kręciła głową.

Boże, to było straszne. Nawet za milion lat Becca nie pomyślałaby, że będzie na pogrzebie Renee w tak młodym wieku. Ale z drugiej strony - mnóstwa rzeczy sobie nie wyobrażała. Dostrzegła Scotta Pascala, który siedział z rękoma wciśniętymi między kolana, w brązowym, opiętym garniturze. Odwrócił wzrok i wtedy Becca poczuła, że ktoś się w nią wpatruje. Wbija wzrok jak nóż między jej łopatki.

Zesztywniała i zerknęła za siebie, ale w tej samej chwili kaznodzieja poprosił, aby się pomodlili, więc pochyliła głowę.

Ktoś ją obserwował. Czowała jego spojrzenie na sobie. Ktokolwiek przyglądał jej się w takim skupieniu, nie był przyjacielem. Tuż przed końcem modlitwy zaryzykowała i zerknęła przez ramię, ale zobaczyła tylko morze pochylonych głów i patrzącego na nią McNally'ego. Zadał jej i Hudsonowi tonę pytań na temat wypadku Renee, ale nie mieli dla niego żadnych odpowiedzi. Teraz patrzył na nią, więc szybko odwróciła się, szepcząc pospiesznie „amen”, gdy kaznodzieja zakończył ceremonię.

Nie mogła się doczekać, żeby wyjść, oddalić od trumny, od brzemienia śmierci. Potem wszyscy mieli spotykać się przy grobie. Tam przyszło już mniej ludzi, ale za to wszyscy przyjaciele; ruszyli na wzgórze cmentarne na obrzeżach Laurelton.

Wypielegnowane hektary trawy, usiane kamiennymi nagrobkami i otoczone przez stare, omszałe, wyciągające się do niskich chmur drzewa, wydawały się smętne i ponure. Kolejne modlitwy, szeptane kondolencje; wysokie obcasy zapadały się w rozmięktłą glinę. Tim rzucił różę, zanim trumnę złożono w gładko wyciętym dole. Kil-kaset metrów dalej mężczyzna siedział w wielkim, żółtym spychaczu do ziemi. Kiedy tylko tłum się rozejdzie, odwali krótką robotę, zasypując dół z trumną Renee.

Przy grobie spotkali się nie tylko najbliżsi przyjaciele rodziny. W samochodzie z widokiem na pogrzeb siedział detektyw Sam McNally, ich Nemezis, dostatecznie daleko, żeby nie być częścią pogrzebu, wystarczająco blisko, żeby obserwować. Teraz, patrząc na nich przez szybę, rozmawiał przez komórkę. Nigdy się nie poddawał. Nawet po cholernych dwudziestu latach.

- To obsesja - powiedział o nim kiedyś Trzeci. Niewiele się mylił.

Teraz pojawił się na pogrzebie Renee, dwadzieścia lat później. Cała ceremonia była niepokojąca.

Kiedy tłum się rozszedł, Hudson przemówił do starych przyjaciół rodziny, podczas gdy Becca podeszła do Tamary i Trzeciego; zwykle oboje byli krzykliwi, ale dzisiaj stali cisi i zgaszeni.

- To robota Jessie - powiedział Mitch. Odpalał papierosa od poprzedniego.

- To nie jest właściwa chwila, stary - upomniał go Trzeci. Mitch wydmuchnął dym.

- Wszyscy to wiecie, tylko nie chcecie się przyznać.

- Nie mów jak wariat. - Tamara pokręciła głową. - Daj spokój, wynośmy się stąd.

- To jeszcze nie koniec, sami wiecie. Wszyscy tak skończymy - obwieścił Mitch, zerkając na ciemne drzewa otaczające cmentarz. - Jak dobrze znacie swoich przyjaciół?! - krzyknął do całej grupy. - Ktoś tu jest mordercą!

- Zamknij się! - Tamara grzebała w torebce, szukając kluczy.

Becca zauważyła, że detektyw wysiadł z samochodu i podszedł do Hudsona.

- Boże, Mitch, có z tobą?

- Za dużo wiem - mruknął. - Nie to co wy.

Tamara wyciągnęła podzwaniające kluczyki i zamknęła z trzaskiem torebkę.

- Tamara ma rację, stary, weź się w garść - rzekł Trzeci. Hudson rozmawiał z policjantem.

- Wszyscy powinniście uważać - powiedział Mitch.

- Słuchaj, muszę uciekać - odezwał się Trzeci, nie zwracając na niego uwagi. Podeszedł do swojego bmw.

- Możesz być następny! - zawołał za nim Mitch. - Ty też dostałeś list! Bmw odjechało.

- Więc to o to chodzi? O te głupie wierszyki? - dopytywała się Tamara. - Potwornie wyglądasz, Mitch. Serio. Prześpij się.

- To coś więcej. Gliniarz ciągle się tu kręci, nie? I rozmawia z Hudsonem.

- Prowadzi śledztwo - odparła krótko. - Taka jego robota.

Zerknął przez ramię w miejsce, gdzie samotne drzewo rosnęło kawałek od jodeł w otaczających lasach, a potem zaciągnął się, jakby dym ratował mu życie.

- Och, do diabła, zapomnij.

Zostawił je i ruszył do swojego samochodu, nadal spięty.

- Myślę, że znowu bierze - szepnęła Tamara do Becki. - Miesza leki na receptę. Miał już z tym drobne kłopoty. - Owinęła się ciasniej płaszczem, obserwując odjeżdżający wóz Mitcha. - Wariuje.

Jak my wszyscy, pomyślała Becca. Niektórzy z nas po prostu lepiej to ukrywają. Zagapiła się na las, patrząc w to samo miejsce, co przed chwilą Mitch. Drzewa skrywały się we mgle, paprociach i cieniach. Przez moment miała wrażenie, że kogoś tam widzi, ale kiedy wiatr się zmienił i mgła nieco uniosła, nikt nie stał przy sękatym, starym dębie.

Tak jak Mitch, ona też miała zwidy.

A jednak...

Podszedł do nich Hudson.

- Gotowa? - zapytał Beccę.

- Jasne. - Zdobyła się na słaby uśmiech.

- Podwieźć cię? - zapytał Tamarę, ale ona pokręciła głową.

- Mam samochód.

Pomachała do nich i poszła przez wilgotną trawę do zaparkowanej mazdy. Z siedzenia pasażera w półciężarówce Becca patrzyła, jak przyjaciółka odjeżdża. Hudson wrzucił bieg i powiedział:

- Zeke powiedział mi, że McNally chce rozmawiać z nim na komisariacie. Co o tym myślisz?

Becca wyjrzała przez okno.

- Nie dostał listu.

- To musi być coś więcej - odparł zmęczonym tonem, włączając się w powolny ruch w stronę miasta. - Dochodzę do momentu, kiedy już nawet nie chcę wiedzieć.

Becca nadal miała to nieprzyjemne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Zerknęła w stronę drzew, patrząc, jak ich konary kołyszą się na wietrze.

- Ja też - odparła stanowczo.

Zapach zdrady, plugawej żądzы unosi się w powietrzu, drażniąc moje nozdrza, przypominając mi, że nie mogę zawieść. Ona patrzy w moją stronę.

Przez mgłę widzę w jej oczach niepokój; jak u Jezebel.

Nie możesz mnie zobaczyć, ty diablico. Dla ciebie jestem niewidzialny. Wiesz, że idę po ciebie. Wyczuwam twój strach.

Bóg każe ci zapłacić za twój pakt z Szatanem, Rebecca, jestem jego wysłannikiem.

I idę po ciebie...

- Proszę usiąść - powiedział detektyw McNally do Zeke'a, wskazując na krzesło po drugiej stronie biurka.

Zeke zrobił, co mu kazano. Ciało miał napięte jak struna. Oparł szczękę na dłoni, ramiona skrzyżował blisko ciała - pozycja obronna.

Mac dał mu chwilę na rozluźnienie i sam wziął głębszy oddech. Spędził pół tygodnia w hrabstwie Tillamook, poszukując jak najwięcej informacji na temat wypadku, w którym zginęła Renee Trudeau. Drugą połowę spędził w Laurelton, zajmując się podwójnym morderstwem, w którym jedyny świadek - trzydziestoletni ćpun Harold Washington — twierdził, że zabici (mężczyzna i kobieta ze śmiertelnymi ranami postrzałowymi) strzelili do niego pierwsi. Wszyscy brali metę - cudowna paczka klientów Johnny'ego Ra-ya - i trudno było powiedzieć, co się właściwie stało w wynajętym domku na ranchu we wschodniej części miasta. Gretchen była w swoim żywiole; uwielbiała przesłuchiwać takie szumowiny jak Washington. Mac miał tego dość. A kiedy usiadł przy biurku naprzeciwko Zeke'a St. Johna, zastanawiał się, czy tak zaczyna się wypalenie, o które już wszyscy go podejrzewali.

- Wie pan, czemu go tu zaprosiłem? - zapytał Mac.

- Jestem ojcem - wypalił. - To dlatego pan mnie wezwał. Jestem ojcem dziecka.

Mac odłożył kwestię ojcostwa na bok po śmierci Renee Trudeau; zbyt pochłoneńy go ostatnie wydarzenia, żeby chociaż zastanowić się nad tym. Skupił się na Renee. Dlaczego ktoś zepchnął jej samochód z klifu? Czy to miało coś wspólnego z zamordowaniem Jessie? Niezależnie od tego wszystkiego całe biuro szeryfa polowało na samochód ze zniszczonym przodem.

Więc kiedy Zeke rzucił się na głęboką wodę i od razu nazwał rzeczy po imieniu, Mac był lekko zaskoczony.

- Zgadza się - przyznał. - Jest pan ojcem dziecka. Spał pan z Jessie. Przytaknął.

- Kilka razy. Próbowwała odgryźć się na Hudsonie, drażniła się z nim jak wariatka. Była taka dzika i przerażająca. Nie sądzę, żeby spała z kimś jeszcze, chociaż tak się zachowywała. Wybrała mnie.

- Bo był pan najlepszym przyjacielem Walkera.
- Wtedy myślałem, że zależy jej na mnie. - Zeke wyglądał na nieco zawstydzonego.

- Walker miał o tym pojęcie?
- Nie sędzę.
- Będzie musiał się dowiedzieć.
- No tak, rozumiem, jasne...

Mac zastanawiał się nad kilkoma rzeczami i na chwilę zapadła cisza. Zeke zaczął się denerwować. Rozglądał się po pomieszczeniu, jakby teraz, kiedy się przyznał, zamierzał uciec.

- Myśli pan, że to ma coś wspólnego z tym, że nie dostał pan listu z wierzykiem? - zapytał w końcu Mac.

Zeke się stropił.

- Co ma pan na myśli?
- Czy ktoś jeszcze wie o pana związku z Jessie?
- Nie... skąd. Nie rozumiem, do czego pan zmierza.
- Jest pan ojcem dziecka Jessie i jedynym facetem, który nie dostał listu. Rozumie pan? To pewna różnica. Coś, co pana wyróżnia.

Zeke zamilkł, przetrawiając słowa detektywa. Wyglądał coraz smętniej.

- To połączenie faktów nie ma sensu. Chyba że... - Spojrzał spode łba na Maca.
- Że ktoś próbuje odwrócić od pana uwagę?

Zeke nie odpowiedział, ale wyglądało na to, że zebrał wszystkie siły, aby zachować milczenie, więc Mac naciskał dalej:

- Ktoś, kto wie, że jest pan ojcem. Ktoś, kto myśli, że zabił pan Jessie?
- Nie.
- To mi wygląda na pomysł kobiety. Z trudem przełknął ślinę.
- Teraz powie mi pan, że Jessie żyje!
- Nie sędzę, żeby to była Jessie.

Zeke posłał mu takie spojrzenie, jak zobaczył piekło.

- Vangie nie zabiła Jessie! Nie mogłaby! Nie ma takiej siły. - Oddychał gwałtownie. - A Renee? I Glenn? Co się stało z nimi?

Gretchen siedziała przy swoim biurku, kiedy Zeke wszedł, ale przysunęła się bliżej, żeby słyszeć rozmowę. Mac wyczuwał, że stoi za nim, i cieszył się, że postanowiła siedzieć cicho, zamiast się z czymś wyrywać.

Zeke wyglądał, jakby miał się rozkleić. Mac powiedział mu, że śledztwa dotyczące śmierci Glenna i Renee trwają, ale on jakby nie słuchał. Zagubił się we wła-

snych myślach, a kiedy przesłuchanie się skończyło, wstał jak zamroczony. Mac i Gretchen patrzyli, jak wychodzi z komisariatu.

- Myśli, że to jego narzeczona napisała listy - zauważyła Gretchen.
- Myślał o tym już od pewnego czasu - podsumował Mac.
- Pozwolisz mu, żeby wyskoczył z tym na nią? Mac wzruszył ramionami.
- Widzisz Evangeline Adamson jako zabójczynię Jezebel Brentwood? Jak idzie za nią do labiryntu i dźga ją w żebra? Morduje ją i jej dziecko?
- I dziecko Zeke'a.
- Zgadza się z nim, nie sądzę, żeby miała tyle siły. Wysłanie listów jest bardziej w jej stylu, podstępne i anonimowe. Próbowwała chronić Zeke'a, a w gruncie rzeczy wskazała wprost na niego.

Gretchen zmrużyła oczy i uśmiechnęła się cierpko.

- Co? - zapytał Mac.
- Lepiej przestań, bo zacznę myśleć, że jednak porządny z ciebie detektyw.

Mac odchrząknął i się odwrócił. On też nie chciał jej polubić. Była wrzodem na tyłku, teraz i na zawsze.

Hudson odjechał z domu Tima i Renee i starał się nie czuć nienawiści do szwagra. Chciał tylko dbać o laptopa Renee i jej notatki do tekstu, nad którym pracowała, ale Tim ich nie miał. Oszłamiony odejściem żony, był jak chodzący robot. Zachowywał się, jakby nie słyszał pytań Hudsona, gadał i gadał bez końca, jaki cudowny związek tworzyli z Renee, jak bardzo ją kochał, jak samotny czuje się teraz, jak żalony. Najwyraźniej ułatwił sobie życie, zapominając o wszelkich napięciach, od których roilo się ostatnio w ich związku. Hudson miał ochotę nawrzeszczeć na niego, ale powstrzymał się całą siłą woli i w końcu Tim skupił się na tyle, żeby odpowiedzieć mu, że nie znaleziono laptopa po wyciągnięciu toyoty z morza. Wszystko, co Renee wiozła ze sobą, zaginęło. Zresztą komputer, który wpadł do oceanu, niewiele by pomógł.

- Będę musiał to dodać do raportu dla firmy ubezpieczeniowej - powiedział Tim.
- Dzięki, że mi przypomniałeś.

Jadąc do domu, Hudson odsunął od siebie myśli o Timie, i bez tego był w fatalnym nastroju. Zignorował telefony od dziennikarzy, którzy nagrywali mu się na sekretarkę, resztę dnia spędził, zajmując się zwierzętami i naprawianiem bramy. Wysilek fizyczny przy nakładaniu siana do żłobów, uprzątnięciu gnoju z boksów, wymianie zawiasów i połamanych desek dał mu czas na myślenie i porządkowanie spraw w głowie.

Próbował przypomnieć sobie coś więcej z tego, co powiedziała mu Renee w ostatniej rozmowie przez telefon, ale miał wrażenie, że nic z tego nie miało specjalnego znaczenia. Wiedział, jakiej tożsamości używała, i znał hasła, więc włączył swój komputer i przejrzał nieprzeczytane i nowe e-maile. Nie było tego wiele. Żaden nie dotyczył historii, nad którą pracowała. Po niecałej godzinie wylogował się, sfrustrowany.

Może jedyny sposób, żeby się czegoś dowiedzieć, to ruszyć jej ścieżką, tak jak ona podążała śladami Jessie.

Komórka zadzwoniła w tej samej chwili, gdy usłyszał zgrzyt opon na podjeździe. Odebrał telefon i zerknął na górę, gdzie Becca pracowała przy swoim laptopie, nadrabiając zaległą robotę.

- Słucham?

- Cześć, Hudson, mówi Zeke. Właśnie do ciebie podjeżdżam.

- Tak? A co cię sprowadza?

- Chciałem pogadać.

- Wchodź, drzwi otwarte. - Rozłączył się i krzyknął: - Przyjechał Zeke!

Kiedy nie odpowiedziała, poszedł na górę i przyłapał ją wychodzącą z łazienki. Ocierała usta grzbietem dłoni.

- Dobrze się czujesz? Zeke właśnie przyjechał. Chce ze mną porozmawiać.

Becca się skrzywiła.

- Zjadłam coś, co mi zaszkodziło. Zaraz przyjdę.

- W porządku.

Hudson zszedł na dół, a Becca patrzyła na niego, stojąc przy poręczu. Właśnie wyrzuciła z siebie kolację. Zatrucie pokarmowe czy... ciąża?

Za wcześnie, żeby się zorientować, powiedziała do siebie i żołądek znowu jej się zacisnął. Nie mogła o tym myśleć. Nie mogła żywić nadziei. A jednak narastało w niej podniecenie, nagła, oślepiająca pewność, która poraziła jej nerwy jak prąd.

Nie. Nie. Och, proszę... tak!

Potrzebowała kilku minut, żeby zebrać się w sobie, zdusić narastające podniecenie i nabrać dystansu. Jeszcze zdecydowanie zbyt wcześnie. Nawet jeśli to prawda, była dopiero w pierwszym miesiącu. Choć z drugiej strony, kiedy ostatnim razem była w ciąży, też natychmiast się zorientowała.

O Boże, niech to będzie prawda!

Zanim do nich dołączyła, Hudson i Zeke przeszli do kuchni. Hudson siedział na krześle, Zeke stał. Becca miała mętlik w głowie i zdołała tylko się zdziwić nagłymi odwiedzinami.

- Właśnie jadę z komisariatu, rozmawiałem z McNallym. Wróciłem do domu, ale nie mogłem tam usiedzieć.

- Co się stało? - Hudson ściągnął brwi.

Zeke zawahał się, zacisnął palce na oparciu wolnego krzesła i zakołysał się na piętach.

- Badania DNA wykazały, że jestem ojcem dziecka Jessie.

- Co? - zapytała cicho Becca, a Hudson gapił się na niego, jakby mówił w obcym języku.

- Ciało musi należeć do Jessie - ciągnął niepewnie Zeke. - Musi, ponieważ nie spałem z nikim innym... poza Jessie... w tamtym czasie...

- Spałeś z Jessie - powtórzył Hudson.

Zeke patrzył na niego błagalnie, ale Hudson nie mógł się pozbierać.

- Możesz mnie nienawidzić, stary. Nie miałbym ci tego za złe! Ona tylko próbowała odgryźć się na tobie, a ja byłem kompletnym idiotą. Sam nie wiem. Nie mam żadnego usprawiedliwienia. Była po prostu seksowna i pragnąłem jej. Przepraszam. Naprawdę przepraszam!

Tętno Becki oszalało. W jej mózgu kołatały się strzępki informacji. Dziecko Jessie nie było dzieckiem Hudsona. Zeke z nią sypiał. Najlepszy przyjaciel Hudsona spał z jego dziewczyną. Dziecko Jessie nie było Hudsona!

- Kto ją zabił? - zapytał zduszonym głosem Hudson.

- Nie wiem, stary. Nie ja.

- Wiedziałaś o dziecku?

- Skąd! - Zeke pokręcił głową. - Myślałem, że uciekła, może dlatego, że spapraliśmy sprawę. Była pokrecona. Mnie też odważyło. Przepraszam.

- Myślisz, że wiedziała?

- O dziecku? Minęło kilka miesięcy. Tak powiedział McNally. - Spojrzał na Beccę. - Dziewczyny wiedzą takie rzeczy, nie?

- Tak - odpowiedziała słabo.

- Nie sądzę, żeby uważała, że jestem ojcem. No bo ty i ona... - Zeke szukał słów, patrząc na Hudsona, który siedział nienaturalnie cicho. - Byliście razem w tym czasie?

Zapadła cisza. Niepokój Zeke'a, który zamartwiał się, co myśli Hudson, wypełnił kuchnię. Becce zakręciło się w głowie. Opadła na krzesło. Przeszłość pożerała teraźniejszość. Nie jesteś w ciąży, powiedziała sobie. Po prostu tak bardzo tego chcesz, że twoja podświadomość każe ci w to wierzyć.

Ale nie stosowałaś żadnej antykoncepcji, prawda? Nawet o tym nie pomyślałaś!

Zadzwoiła komórka Hudsona; Zeke i Becca dosłownie podskoczyli. Wyciągnęła ją z kieszeni i sprawdził numer.

- To Mitch.
- Może powinienem pójść.

Zeke spojrzał pytająco na Hudsona, ale ten skupił się na telefonie. Becca pokiwała do niego głową. Niewiele więcej można było powiedzieć, a Hudson najwyraźniej nadal przetrawiał nowinę.

Zeke zawahał się, ale wyszedł zgarbiony, kiedy usłyszał, jak Hudson mówi:

- Cześć, Mitch. Co jest?

Becca rozejrzała się i zobaczyła pustą miskę na wodę Bookera T. Zastanawiała się, kiedy Hudson zdecyduje się ją wyrzucić. Pies już nie wróci. Ale może będzie dziecko...

Hudson słuchał przez chwilę, a potem powiedział do telefonu:

- Czemu mi po prostu tego nie powiesz? Chyba już nic mnie nie zaskoczy. Jeśli wiesz, kto zabił Glenna, powiedz to. I nie mów mi, że to Jessie, bo właśnie dowiedziałem się, że kości na pewno należą do niej. Tak. Na pewno. - Spojrzał na Beccę i dodał: - Zgadza się, Jessie nie wysłała tych listów, bo nie żyje. - Słuchał jeszcze chwilę, a potem westchnął i spytał: - Jesteś w warsztacie? Jak długo zamierzasz tam być? - Pauza. - Jasne, zajrzę. - Wzruszył ramionami do Becki i się rozłączył. - Mitch pracuje do późna w warsztacie i chce, żebym do niego zajrzał. Chce pogadać o tym, kto zabił Glenna.

- Twoim kumplom nagle zebrało się na zwierzenia - mruknęła.
- Źle się czujesz czy chcesz jechać ze mną?
- Nic mi nie jest, mogę jechać. Myślisz, że Mitchowi nie będzie to przeszkadzało? Może chce się z tobą zobaczyć sam na sam?
- Do diabła z tym. Chcę być z tobą.

Objął ją. Uściskała go tak mocno, że zaczął się śmiać.

- Dobrze się czujesz? - zapytała z twarzą przyciśniętą do jego piersi. -Po tym, co Zeke powiedział?

Nabrał powietrza.

- Wiesz, prawie mi ulżyło. Myśl, że to moje dziecko, a ja nigdy się nie dowiedziałem... wkurzała mnie. Naprawdę byłem wściekły na Jessie, a ona nie żyje od dwudziestu lat! Nigdy mi nie powiedziała. Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale byłem na nią wściekły jak diabli.

- Rozumiem. - Przeszedł ją dreszcz strachu. Sama miała taką samą tajemnicę.
- Nie jestem zły na Zeke'a. Wtedy byłbym, ale mnóstwo się wydarzyło i tamto nic mnie nie obchodzi. - Pogłaskał ją po włosach. - I wierzę mu. Nie wiedział, że była w ciąży. Nie wiem, czemu została zabita, może wpadła na niewłaściwą osobę, ale nie sądzę, żeby to miało cokolwiek wspólnego z ciążą.

- Ja też.
- Gotowa jesteś spotkać się z Mitchem? Zaciśnęła pięści na jego koszuli.
- To będzie bardzo złe z mojej strony, jeśli powiem „jeszcze nie”?
- A chodzi ci coś innego po głowie?

Usłyszała cień rozbawienia w jego głosie. W odpowiedzi wzięła go za rękę i zaprowadziła na górę.

Warsztat był przesycony wonią oleju, brudu i dymu papierosowego, chociaż w środku obowiązywał zakaz palenia. Mitch otarł pot z czoła czerwoną, poplamioną smarem szmatką. Pocił się jak prosię i bardzo starał się nie wariować ze strachu. List, który dostał, śmiertelnie go przeraził, ale teraz co innego zaprzętało mu głowę. Miał kłopoty z żołądkiem, odkąd Glenn zginął w pożarze w Blue Note. Zmusił się, żeby odsunąć od siebie obraz współnika uwięzionego w piekielnej pułapce, ale brakowało mu kumpla. Byli dobrymi przyjaciółmi. Zawsze słuchał, jak Glenn wścieka się i narzeka na Blue Note albo Gię. Zawsze był przy nim.

Zbliżyli się do siebie, bo Trzeci i Jarrett wiecznie skopywali im tyłki. Jezu, te łajdaki potrafiły zamienić życie w piekło, jeśli miało się kilka zbędnych kilogramów albo inną słabość.

Dobry, stary Glenn.

Czuł kwas palący go w gardło.

- To te leki - powiedział i zamknął maskę samochodu.

Nie chciał, żeby Mike, właściciel garażu, choćby podejrzewał, że bierze leki. Mike, były ćpun, podchodził ostro do wszystkiego, co trafia do ludzkiego krwiobiegu, nawet jeśli były to tabletki przepisane przez lekarza.

Dlatego Mitch krył się z lekarstwami. Nikt poza lekarzem nie wiedział, co znajduje się w jego nocnej szafce albo w organizmie, ale ostatnio nowe antydepresanty w połączeniu z proszkami nasennymi płały mu figle. Miał halucynacje.

A przynajmniej tak podejrzewał. Kto tam, do licha, wie?

- Ej. - Phil, chudy mechanik po sześćdziesiątce, którego pomarszczoną twarzą można by straszyć małe dzieci, uniósł rękę, gdy wychodził z warsztatu. - Ty zamykasz, nie?

- Jak skończę z pontakiem.

Mitch zerknął na zegarek. Potrzebował jeszcze trochę czasu na ten samochód, a poza tym Hudson zgodził się wpaść. Nie był pewien, ile mu powie. Nie cierpiał plotkować, zwłaszcza jeśli mógł się mylić. No i w pewnym sensie była to zdrada, ale Glenn odszedł... i Renee też, chociaż o to ostatnie nadal winił Jessie.

- Ona nie żyje - przypomniał sobie na głos. Hudson to potwierdził.

Ale Mitch miał zupełnie inne wrażenie.

- Do mnie mówisz? - odezwał się Phil.
- Ej, przełącz z powrotem na country i zamknij za sobą drzwi, dobra?
- Patrzcie go, nowy szef.
- Chcesz pracować przy tym diabelnym pontiacu?
- Dobra, już dobra.

Phil przełączył radio ze stacji z pogadankami, przy której zawsze upierał się Mike, i głos Randy'ego Tralisa zadudnił w warsztacie.

- Do jutra! - zawołał Phil, przyciskając guzik drzwi, które z brzękiem zaczęły się opuszczać.

Zanim całkiem się zamknęły, Mitch dostrzegł, że Phil wspiął się do pika-pa na wielkich kołach, wysokich na ponad pół metra.

Mitch został zupełnie sam. Wszyscy, łącznie z Elszą, starym psem, którego przygarnął Mike i który stał się nieoficjalną maskotką warsztatu, już wyszli. Ostatnimi czasy Mitch nie lubił zostawać sam.

Z pewnym wysiłkiem skupił się na pontiacu na podnośnikach. Coś było nie tak z przegubem pędnym. Sporo roboty, do licha. Wjechał pod samochód na wózku, przesunął we właściwe miejsce i zaczął pracować. Podwiesił lampę na osi i zmarszczył brwi, patrząc na podwozie. Będzie ciężko, ale zawsze lubił pracować przy samochodach, od pierwszej klasy w Świętej Elżbiecie, zanim jeszcze mógł sam prowadzić. Zaczął nucić kawałek Brooks and Dunn, kiedy zauważył coś, co wyglądało na jeszcze jeden wyciek oleju - kolejne problemy - i wtedy coś usłyszał... Jakby skrzyp podeszwy buta? A może po prostu trzaski w radiu?

Nikogo tu nie było.

Mike wyszedł o drugiej.

Phil wyszedł niecałe dwadzieścia minut temu.

Mitch nadstawił uszu, żeby usłyszeć coś poza piosenką country i gitarowymi akordami.

To te leki, przez nie dostawał paranoi. Wszystkie te dziwaczne wydarzenia wokół kości i te listy, i pożar, Glenn... a potem śmierć Renee. Zaczynał przez to wariować.

Nadal podenerwowany wysunął się spod pontiaca, uderzając głową tarczą koła. Wyszedł na zewnątrz zapalić. Schował się pod daszek w miejscu, w którym kiedyś nalewano benzynę. Teraz stare zbiorniki były puste i Mike zajmował się tylko naprawami. Parking pod daszkiem służył samochodom, które czekały na części. Znowu zaczęło padać; krople uderzały o stary, smołowany dach.

Dopalił papierosa, zapalił następnego. Zastanawiał się, co zatrzymało Hudsona. Może nie powinien był do niego dzwonić. Może powinien zadzwonić do tego glinia-

rza. Ale co właściwie wiedział? Nie miał dowodów, o których zawsze rozprawiają w filmach w telewizji. Raczej podejrzenia.

I nic nie wiedział na temat Renee. Nic a nic. Cokolwiek przydarzyło się jej na wybrzeżu, to pewnie tylko dziwny zbieg okoliczności. Robota jakiegoś szukającego dreszczyku gościa, który zepchnął ją z drogi. Nie widział, jak to miałoby się wiązać z Jessie.

Może to jej mąż ją załatwił. Co za dupek.

No i Glenn... Boże, szkoda, że Hudson jeszcze nie przyjechał.

Mitch zaciągnął się po raz ostatni i wszedł z powrotem do garażu. Nawet nie zwrócił uwagi, że drzwi były uchylone. Wsunął się na wózku pod samochód i wrócił do pracy. Wiedział, że skończyłyby te cholerną robotę, gdyby po prostu miał przegub uniwersalny...

Skrzyp.

Ktoś rzeczywiście był w środku.

- Ej!-wrzasnął Mitch. Żadnej odpowiedzi.

Tylko zakłócenia i dźwięki gitary.

- Phil? To ty?

Zjeżyły mu się wszystkie włoski na karku.

- Słuchaj, kutasie, jeśli sobie pogrywasz... Światła w warsztacie zgasły.

Niech to szlag!

Mało nie dostał zawału.

Zaczął wytaczać się spod samochodu, kiedy pontiac nad nim jęknął.

Wyciągnął rękę, chcąc się czegoś złapać, desperacko próbując wydostać się spod samochodu. Zanim zdążył się wysunąć, usłyszał trzask zwalnianego lewarka.

- Do diabła - stęknął.

Rozdziawił z przerażeniem usta, kiedy półtorej tony metalu produkcji General Motors przyszpiliło go do wózka, który jakimś cudem się nie złamał. Coś przebiło mu pierś. Ciężar samochodu zmiażdżył go, łamiąc kości. Nigdy w życiu nie czuł większego bólu. W płucach go paliło. Walczył o oddech. Słyszał syk w piersiach. Serce pompowało wściekle. Poczul krew wypływającą z połamanego, obolałego ciała.

Oczy uciekły mu w głąb czaszki, ale starał się nie stracić przytomności. I wtedy zobaczył ją... jak sprzed dwudziestu lat - piękną, seksowną, prowokacyjną.

- „Z czego zrobieni są mali chłopcy?” - powiedziała.

- Jessie! - krzyknął zduszonym głosem. - Jessie...

Rozdział 19



Wóz Hudsona włókł się autostradą 217, skręcił w Canyon Boulevard i ruszył na wschód w stronę miasta. Warsztat Mike'a, miejsce pracy Mitcha, znajdował się jakieś dwa kilometry dalej.

Hudson zerknął na Beccę. Odkąd wyszli z łóżka, stała się niesamowicie cicha, więc zastanawiał się, czy zrobił coś nie tak.

- O co chodzi? - zapytał znowu, czując się jak jeden z idiotów, którzy pytają raz po raz „Co się stało?”, chociaż druga osoba ewidentnie nie chce powiedzieć.

- Po prostu jestem zmęczona.

Mijali jeden komis samochodowy za drugim, stłoczone obok siebie przy drodze, która wcinała się wąwozem w zachodnie wzgórza wokół Portland. Becca zerknęła na zegarek.

- Zrobiło się późno. Nie powinien już wyjść z pracy?

- Powiedział, że posiedzi do późna, a to było nieco ponad godzinę temu. Jeśli go tam nie będzie, pojedziemy do jego mieszkania, a jak tam też go nie zastaniemy, wrócimy do domu.

Hudson przejechał na żółtym i dojechał do przecznicy, przy której znajdował się warsztat Mike'a.

Niski, płaski budynek, który kiedyś był stacją benzynową, wyglądał na pusty. Światła były pogaszone, wisiał napis „Zamknięte”, nigdzie żywej duszy. Ale czarny Chevrolet tahoe Mitcha nadal stał obok budynku.

- Pewnie wyszedł i ktoś go podwiózł - powiedziała Becca, kiedy Hudson zatrzymał się przy wielkim aucie, zaparkował i wyłączył silnik.

- Może.

- Warsztat jest zamknięty.

- Wiem.

Hudson otworzył schowek na rękawiczki, wyjął latarkę i wysiadł, zostawiając otwarte drzwi. Wybrał numer na komórce i ruszył w stronę warsztatu nasłuchując.

- Dzwoni. - Skinął głową w stronę budynku. - W środku. Becca usłyszała słabe dźwięki melodyjki.

- Może Mitch zostawił ją przez pomyłkę.

- Zostawił wóz i komórkę?

Hudson już szedł na tyły, kiedy Becca wyskoczyła z samochodu. Dogoniła go. Gdy dotarli do uchylonych tylnych drzwi, komórka nadal wygrywała piosenkę z lat osiemdziesiątych.

- Mitch? - zawołał Hudson. Głos rozległ się słabym echem. - Mitch?

- Nie ma go tutaj - powtórzyła Becca, ale kiedy tylko przekroczyła próg, poczuła, że coś jest nie tak. Nie paliły się żadne światła, muzyka country sączyła się cicho z głośników, ale poza tym w warsztacie panowała dziwna, niesamowita cisza, która przyprawiała ją o gęsią skórę. Żołądek jej się skurczył, kiedy szła za Hudsonem. Ruszyli ku zaparkowanym samochodom w różnym stanie zniszczenia. Zapach gumy i smarów mieszał się z kurzem. Światło latarki Hudsona przesuwano się po otwartych maskach i wozach na podnośnikach.

- Mitch, jesteś tu? - powtórzył Hudson, a Becca zadrżała. I wtedy usłyszała cichy, ledwie słyszalny jęk.

Serce jej zamarło. Zatrzymała się. w pół kroku.

- Mitch!

Hudson poświecił w stronę dźwięku. Promień padł na popękany, poplamiony beton i nogi wystające spod czerwonego samochodu miażdżącego pierś mężczyźni.

- Cholera!

Podbiegli do mechanika - do Mitcha.

- Musi żyć. Musi - szepnęła Becca, próbując przekonać samą siebie. Kiedy zerknęła pod samochód, dostrzegła twarz Mitcha, maskę śmierci, z zamkniętymi oczami. Tylko chrapliwy oddech świadczył, że resztki życia kołają się jeszcze w jego ciele. Hudson klęknął obok niego.

- Zapal światło! - polecił Beccę, oświetlając latarką ścianę, gdzie znajdował się włącznik. - Dzwon po pogotowie.

Becca już wstała i grzebała w torebce. Wyjęła komórkę i wybrała numer pogotowia. Popędziła do ściany, prawie wywracając się przy ścieku, i w końcu włączyła światło. Natychmiast rozbłysły świetlówki, zalewając potworną scenę błękitnym światłem.

- Żyje! - powiedział Hudson, kiedy połączyła się z pogotowiem. Becca nie marnowała czasu.

- Potrzebuję karetki, natychmiast.

- Proszę podać nazwisko i wyjaśnić, co się stało.

- Rebecca Sutcliff, jestem w warsztacie Mike'a przy Canyon Boulevard. Miał miejsce straszny wypadek, Mitch Bellotti... jest pod samochodem, krwawi i... i... przyślijcie kogoś na... - Spojrzała niespokojnie na Hudsona.

- Osiemdziesiąta szósta albo osiemdziesiąta siódma przecznica! - Hudson zerwał się, sięgając do lewarka.

- Słyszała pani?! Osiemdziesiąta szósta albo osiemdziesiąta siódma, róg Canyon! Przyślijcie szybko pomoc.

- Ofiara żyje?

- Ledwo! Przyślijcie karetkę!

- W okolicy jest radiowóz, gdyby mogła się pani nie rozłączać. Proszę się nie rozłączać i...

Pieprzyć to! Becca włączyła głośnik w telefonie i zostawiła komórkę na masce forda escape. Nie mogła marnować czasu na gadanie.

Hudson złapał lewarek i gwałtownym ruchem zaczął pompować. Powoli samochód unosił się ze zmiażdżonej piersi Mitcha. We dwoje złapali wózek i wyciągnęli go spod wozu.

Krew zalała przód kombinezonu Mitcha i zamazała imię, kiedy metal przebił skórę. Cały brzuch jakby zapadł się w sobie.

Dźwięk syren rozdarł powietrze. Becca nigdy w życiu tak nie ulżyło, jak teraz, kiedy uwolnili z Hudsonem Mitcha spod samochodu. Hudson znalazł guzik do otwierania drzwi i go przycisnął. Drzwi ze zgrzytem zaczęły się unosić, kiedy podjechał radiowóz na sygnale. Kierowca zahamował, a ze środka wyskoczyło dwoje policjantów.

- Co tu się, do cholery, stało? - zapytał wyższy. Rozbrzmiała kolejna syrena - Bogu dzięki, tym razem karetka!

- Znaleźliśmy go w takim stanie - odparł ponuro Hudson.

- Żyje? - zapytała policjantka z blond włosami spiętymi w kucyk. Spojrzała na Hudsona spod daszku.

- Chyba tak, ale jest w kiepskim stanie.

Jej partner przyklęknął obok Mitcha, a ona sama rzucała rozkazy przez telefon, rozmawiała z sanitariuszami, kiedy na podjazd wjechała karetka. Zaczął się zbierać tłum, ulica zakorkowała się przy warsztacie. W ciągu kilku minut podjechał następny radiowóz i podczas gdy pierwsza dwójka policjantów przesłuchiwała Beccę i Hudsona, a sanitariusze pomagali Mitchowi, nowo przybyli powstrzymywali tłum i pilnowali ruchu na ulicy.

Beccę i Hudsona poproszono, żeby poczekali, aż Mitcha umieszczono na noszach i zabrano. Wezwano właściciela warsztatu, który opasano taśmą jako miejsce zbrodni.

Hudson i Becca stali pod daszkiem, zasypywani kolejnymi pytaniami. Kiedy w końcu policjanci dali im spokój, pojechali prosto do szpitala. A po drodze Becca zadzwoniła do tyłu przyjaciół, do ilu zdążyła. Sanitariusze nie podali im diagnozy, ale

oboje zdawali sobie sprawę, że życie Mitcha wisi na włosku. Hudson nie powiedział tego na głos, ale Becca wyczytała to w jego oczach. Nie sądził, żeby Mitch przeżył do rana.

- Glenn... Renee... a teraz Mitch? - szepnęła.
 - To żaden spisek - rzekł, ale wiedziała, że próbuje przekonać sam siebie.
 - Więc co? - zapytała.
- Nie potrafił jej odpowiedzieć.

Mac rozmawiał przez telefon, kiedy do Gretchen, która właśnie wkładała kurtkę i gotowa była do wyjścia, ktoś zadzwonił na komórkę. Była w połowie drogi do drzwi, ale zamarła i odwróciła się do Maca.

Uciekł wzrokiem, chcąc się skupić na prowadzonej rozmowie. Ale Gretchen nie dała się zbyć. Usłyszał, jak rzuciła ponuro:

- Dzięki, że daliście znać.

Podeszła do biurka Maca i stanęła przed nim. Machnął na nią niecierpliwie. Do diabła, chociaż raz mogła poczekać.

- Mitch Bellotti zmarł tej nocy - oznajmiła głośno. Pozostali policjanci spojrzeli w jej kierunku. Kompletnie zaskoczyła Maca.

- Coś mi wypadło - powiedział do telefonu. - Oddzwonię. Mitch Bellotti zmarł? - zapytał, gdy tylko się rozłączył. - Jak?

- W pracy. Zmiażdżony przez samochód, który spadł z podnośnika. Nie zdążył się wyslizgnąć. Wóz zleciał prosto na jego klatkę piersiową i połamał żebra. - Podawała dalsze szczegóły, które otrzymała od zaprzyjaźnionego policjanta z Beaverton.

Mac dowiedział się, że Mitcha znaleźli - mniej więcej godzinę po wypadku - Hudson Walker i Becca Sutcliff, którzy wezwali pogotowie. Sanitariusze zabrali go do szpitala, ale zmarł pięć minut po przywiezieniu. Połamane żebra przebiły organy wewnętrzne. Uszkodzenia były zbyt rozległe; wykrwawił się, nim zdążyli mu pomóc.

- Przez cały czas był nieprzytomny - zakończyła Gretchen. - Ostatnia osoba, która widziała go przytomnego, to jego kumpel z pracy, Phil Reece. Według policji z Beaverton wszystkie zeznania pasują do siebie.

- Uznano to za wypadek?
- Na razie tak. - Jej ton sugerował, że to kwestia czasu, nim usłyszą coś innego.
- Jezu.

Mac z trudem to ogarniał.

- Ktoś zabija twoich podejrzanych.
- Możliwe.
- A ty coś wiesz. - Spojrzała z ukosa.

Pokręcił głową, żałując, że wyrwał się przedwcześnie.

- Ty masz przyjaciół z Beaverton, ja w Portland.

- Mów.

- Jak dostanę potwierdzenie.

- Mówisz o podpaleniu w Blue Note. Wiesz, kto to zrobił?

- To nic pewnego.

- Daj spokój, McNally. Tyle już zrobiliśmy. Przysiadła na biurku i spojrzała na niego spod rzęs.

Mac wyszarpnął spod jej biodra garść papierów, które przygniotła.

- Idź do domu, Sandler - warknął.

- Zaczynasz mnie lubić, widzę. Co robisz? - zapytała, kiedy zaczął przeszukiwać grube akta z napisem „Brentwood”.

Zignorował ją. Musiał poukładać informacje, które napływały ze wszystkich stron, słabo powiązane ze sobą. Potrzebował samotności. Spokoju.

- Uwielbiasz dostawać kary - stwierdziła. - Jak nabierzesz ochoty na rozmowę, pamiętaj, że dzieli nas tylko telefon.

Pomachała komórką, idąc do drzwi.

Mac zerknął za nią i pokręcił głową. Stała się aktywnym partnerem, a nie tylko kulą u nogi. Niedługo posunie się dalej.

- Akurat kiedy zacząłem ją lubić - rzucił sucho i skupił się z powrotem na notatkach.

Mitch Bellotti: były futbolista, przeciętny uczeń, ożenił się i rozwiódł, pracował w warsztacie Mike'a od dziesięciu lat. Dwa mandaty w ciągu ostatnich dziesięciu lat, bezdzietny. Nie najbystrzejszy facet, ale też nikt, kogo ktoś musiałby zabić.

Co, do licha, się działo? Miał parę fragmentów układanki, ale wielu brakowało. Więcej niż przypuszczał.

Na komisariacie panowała cisza. Prawie wszyscy już wyszli. Odchylił się w krześle i pomyślał o zmarłym. Ignorując komputer, narysował kolumny i podpisał je: Jezebel Brentwood, Glenn Stafford, Renee Walker Trudeau, Mitchell Bellotti. Zano-tował płeć, datę śmierci, miejsce śmierci, stan cywilny, najbliższych przyjaciół, spadkobierców - o ile miał na ten temat informacje - i wszystko, co tylko przyszło mu do głowy.

Najbardziej oczywisty fakt, który ich łączył, to że znali się wzajemnie, razem chodzili do szkoły średniej. I w jakiś sposób zniknięcie Jessie wszystko to zapoczątkowało. Zakreślił jej imię. Zginęła dwadzieścia lat wcześniej, więc co wywołało pozostałe trzy, niedawne zgony? Miał pewien pomysł co do Glenna Stafforda; policja w

Portland była na tropie podpalacza. Ale nie wiedział, jak odnieść się do Renee Trudeau i Mitcha Bellottiego.

Mitch i Glenn byli dobrymi przyjaciółmi, ale Renee...? No i pozostawała jeszcze Jessie.

Renee pracowała nad historią Jessie i znalazła jakieś powiązania z wybrzeżem Oregonu. Glenn miał restaurację ze Scottem w Lincoln City, na południe od Deception Bay. Rodzice Jessie mieli domek na plaży w tym miasteczku, ale Mitcha nic nie łączyło z wybrzeżem, przynajmniej Mac o tym nie wiedział. Wyciągi z karty kredytowej pokazywały, że Tim Trudeau bywał w Seaside i Deception Bay w ciągu ostatnich pięciu miesięcy, do czego nie bardzo chciał się przyznać. Mieli z Renee problemy, więc może jej śmierć w ogóle nie wiązała się ze sprawą?

Jęknął i wstał, przeczesując włosy palcami. Zerknął na zdjęcie syna i podszedł do okien wychodzących na południe. Widać z nich było parking, ale on dostrzegał tylko obrazy w swojej głowie.

Samochód Renee Trudeau nadal przeszukiwano i badano, ale na razie nie udało się znaleźć żadnych śladów, niczego nadzwyczajnego, a biuro szeryfa nie zlokalizowało żadnego warsztatu, naprawiającego samochód, który mógł ją zepchnąć z klifu.

Wyciąg z komórki Renee też niewiele pomógł. Kilka telefonów do brata i znajomych, ale nic znaczącego. Mac zastanawiał się, czy kolejny wyjazd na wybrzeże mógłby wnieść coś nowego.

Podszedł do biurka i przejrzał akta, aż znalazł raport z rozmowy z mężczyzną, który podwiózł Jessie Brentwood na autostradzie 53. Wracala z wybrzeża albo okolic. Była w domu Brentwoodów? Czemu wracała stopem? Czy wydarzyło się coś, co przyspieszyło jej śmierć? A Renee się tego dowiedziała?

I co z dzisiejszą śmiercią Mitcha? Czy to naprawdę mógł być wypadek? Mógł? Biedny skurczybyk miał po prostu pecha? Pontiac sam ześlizgnął się z podnośnika?

- W życiu... - mruknął pod nosem Mac.

Nie, kiedy wszyscy znajomi z paczki Nadętych Gnojzków padali po kolei jak muchy.

Spojrzał na swoje notatki. Wszystko tam było, gigantyczna układanka, którą musiał poskładać do kupy.

Becca miała wrażenie, jakby połknęła kamień, który jej teraz ciążył w żołądku. Cała rosnąca radość, że może jest w ciąży, została zduszona przez porażającą rozpacz. Ktoś ich zabijał. Jedno po drugim.

Rozejrzała się po pokoju. Było późno, ale nie była sama. Większość przyjaciół zebrała się w jej mieszkaniu, po tym jak wcześniej popędzili do szpitala na wieść o

Mitchu. Teraz stali w półkolu przed kominkiem. Tamara, Scott, Jarrett po jednej stronie, Zeke i Evangeline po drugiej. Trzeci klapnął na krzesło, a Hudson stał obok Becki. Pili kawę i wino, ale większość po prostu stała i gapiała się na pozostałych. Nawet Ringo leżał przygaszony w legowisku, obserwując grupę. Płomienie gazowe syczały głośno, a na zewnątrz gęstniała mgła.

- Po prostu nie rozumiem - powiedziała Tamara, przysiadając na stołku barowym przy kuchennym blacie. - Uważacie, że Mitch został zabity, że to nie był wypadek.

- Nie tylko Mitch - dorzucił Hudson. Rozległ się zgodny pomruk.

- To kolejne morderstwo - przyznał Jarrett.

- O, nie. - Evangeline kręciła głową, potrząsając blond włosami. Sięgnęła po rękę Zeke'a, ale on trzymał dłonie w kieszeniach. Stał ze spuszczoną głową, tak oddalony, jakby znalazł się na innej planecie. - Nie wierzę w to - ciągnęła roztrzęsiona. - Nikt nie chciałby zabić Mitcha ani Glenna... ani Renee.

- A jednak ktoś ich zabił - stwierdził Trzeci, bez krztyny typowej dla niego pewności siebie. Twarz miał pomarszczoną, włosy, zwykle schludnie uczesane, dzisiaj opadały mu na oczy. - Coś się dzieje. A zaczęło się, kiedy te dzieciaki znalazły ciało. Ktoś nas wykańcza. I to musi mieć związek z Jessie.

- Mitch nie został zamordowany - upierał się Scott, drząc.

- Ktoś spuścił lewarek - powiedział Hudson. - Samochód sam nie spadł.

Powiedziałeś to policji? - spytał Scott.

- Pewnie. Chciałem wyłożyć kawę na ławę. Koniec sekretów. Hudson spojrzał na Zeke'a, który się zarumienił. Jeżeli Zeke nie złapał

od razu za telefon i nie obdzwonił całej grupy, nadal nie wiedzieli, że był ojcem dziecka i kości musiały należeć do Jessie. A jego skrępowanie mówiło, że nadal ukrywa sekret.

Nie mógł znieść wzroku przyjaciela.

- Kto wysłał te listy? - zapytał go Hudson.

Vangie zauważyła napięcie między nimi i szybko się wtrąciła:

- Chyba nie myślisz, że Zeke?

- Zgadza się? - zapytał Hudson Zeke'a wprost.

- Nie - odpowiedział Zeke z pełnym przekonaniem.

- Jessie ich nie wysłała. Jessie nie żyje. Kości są jej, DNA to potwierdziło.

- Jak? - zdziwił się Scott. - Myślałem, że nie mają nic do porównania.

- DNA dziecka odpowiadało DNA ojca - odparł Hudson. - A ojcem jest jeden z nas. Oczywiście jest, że kości należą do Jessie.

- Jesteś ojcem? - Jarrett zmarszczył brwi i spojrzał na Hudsona, po czym powoli przeniósł wzrok na Zeke'a.

- Ja jestem - odparł beznamiętnie Zeke.

To był szok dla całej grupy: wszyscy odwrócili się i spojrzeli na niego.

- O mój Boże... - westchnęła Tamara.

Evangeline zamrugała kilka razy, jakby jej mózg nie mógł przetrawić tak potwornej informacji.

- To dziecko Hudsona - wykrztusiła w końcu. - Ona była jego dziewczyną.

- Sypiałem z Jessie - odparł Zeke. - Spotykaliśmy się za plecami Hudsona.

Becca zadrżała, żałując, że nie może objąć Hudsona, ale on tylko cofnął się o pół kroku, obserwując dramat rozgrywający się między przyjaciółmi.

- Nieprawda - stwierdziła z pełnym przekonaniem Vangie.

- Nie jestem z tego dumny. A Jessie i tak zależało tylko na Hudsonie. Pragnąłem jej. Chciałem ją mieć. Wiedziałaś, że się z nią widuję - oskarżył nagle Evangeline, która tak wytrzeszczyła oczy, że prawie wyszły jej z orbit. - Jessie powiedziała mi, że ci się zwierzyła.

- Nie! Nie!

- Co jest z tobą, do diabła? Dlaczego tak się boisz prawdy?

- Nie uwierzyłam jej. Zawsze mówiła różne rzeczy, żeby zranić ludzi. Nie byliśmy najlepszymi przyjaciółkami!

- O mój Boże - powtórzyła znowu Tamara, gapiąc się na Evangeline z fascynacją w oczach. - Jessie powiedziała prawdę, ale ty nie mogłaś tego znieść, bo wiesz, że miałaś obsesję na punkcie Zeke'a!

- To wszystko robota Jessie. - Evangeline cała się trzęsła.

- Jessie nie żyje - rzucił oschle Zeke.

- Tak samo jak Glenn, Renee i Mitch - zauważył Hudson.

- Nie wierzę, że zrobiłbyś coś takiego Hudsonowi - sprzeciwiła się Vangie. - Nie zrobiłbyś tego za jego plecami.

- Po prostu jej pragnąłem. - Zeke zacisnął zęby.

- Niech to szlag, jak my wszyscy - rzucił Trzeci, próbując rozładować atmosferę.

- Ale najwyraźniej tylko Zeke zaliczył. - Jarrett zaczynał widzieć zabawny aspekt tej sprawy. - W życiu bym nie pomyślał.

- Zeke, proszę - błagała Vangie. Objęła go, ale on zeszywniał. - Pobieramy się.

- No dobra, to kto ją zabił? - zapytał Trzeci. - Zeke? To chcemy powiedzieć?

- Stul dziób - warknął Zeke.

- Jeśli już, to ktoś z was. - Zarumieniona Evangeline powiodła wzrokiem po mężczyznach w pokoju. - A Jessie wysłała te wierszyki, żeby wytknąć was palcem!

- Ile razy mam to powtarzać?! - krzyknął Zeke. - Jessie nie żyje. Nie żyje od dwudziestu lat!

- Dlaczego Zeke nie dostał wierszyka? - spytał Scott.
- No właśnie. - Jarrett w zamyśleniu spojrział na Vangie.
- Bo to Evangeline je wysłała - odpowiedział cicho Hudson. - Żeby wskazać na

nas.

- Jesteście tacy... nienawistni! - Evangeline miała łzy w oczach. Becca popatrzyła na roztrzęsioną blondynkę i zrozumiała, że Hudson ma rację.

- Usłyszałaś w Blue Note, jak Mitch i Glenn o nich wspomnieli. Bałaś się, że Zeke naprawdę zabił Jessie. Dlatego tak się upierałaś, że ona żyje.

- Nie... - Uniosła dłoń, jakby chciała osłonić się przed słowami Becki.

- Nigdy tak naprawdę w to nie wierzyłaś - ciągnęła Becca. - Od początku uważałaś, że nie żyje.

- Jessie była wiedźmą! Potrafiła widzieć przyszłość, mówię wam! Wiedziała, że umrze! Ale to nie Zeke!

- Ty ją zabiłaś? - zapytała Tamara.

Głęboki szloch wyrwał się z piersi Vangie. Oparła się o Zeke'a. Becca odwróciła się do Hudsona, który szybko podszedł ją objąć.

- Ty ją zabiłaś - powiedział zadziwiony Scott.

- Nie! Nie mogłabym! To ktoś inny. Ktoś zły. Renee miała rację. Jessie uważała, że ktoś jej zagraża. Że ktoś na nią poluje. Pojechała na wybrzeże, żeby zbadać swoją przeszłość. I to coś... coś... ją znalazło!

- Kłopoty - powiedziała Becca.

- No śmiało, wymyślaj historyjki. - Trzeci wstał i spiorunował Vangie wzrokiem.

- Całe to mistyczne gładzenie. Ty ją zabiłaś. Ścigałaś ją i zabiłaś, bo była w ciąży z Zekiem.

- Zeke - błagała Evangeline. - Powiedz im, że to nieprawda. - Policzki miała mokre od łez.

- Znalazłem koperty w niszczarce. Niebieskie paski. Zachowałem je dla policji.

- Co? - Odsunęła się od niego. Na jej twarzy malowało się czyste przerażenie.

- McNally się domyślił. Kiedy poinformował mnie, że moje DNA odpowiada DNA dziecka, to praktycznie powiedział mi, kto wysłał listy. On wie.

- Więc dlaczego jej nie zgarnął? - dopytywał się Scott.

- Bo nie sądzę, żeby Vangie zabiła Jessie.

- Nie zabiłam. - W jej głosie pojawiła się nutka nadziei.

- Wysłała listy. Bała się, że zabiłam Jessie. Ale śmierć Jessie, sam nie wiem... i Glenna, Renee i Mitcha... - Zeke zamknął oczy i zmęczony pokręcił głową. Kiedy Evangeline znowu próbowała go objąć, szarpnął się jak oparzony. - To koniec, Vangie.

- Dobrze, dobrze, wierzę, że Jessie nie żyje. I to ja wysłałam listy... ale nie dlatego, że myślałam, że ją zabiłeś. Chciałam, żeby policja dała nam spokój. Kocham cię, Zeke - błagała. - Tak bardzo cię kocham.

Spojrzał na nią trochę bezradnie.

- Ale ja ciebie nie. Nigdy cię nie kochałem.

Rozdział 20



Zadała sobie sporo trudu - zauważył Mac, oglądając list z wierszykiem i imieniem Hudsona na odwrocie, który przywieźli Hudson z Beccą.

Mac wyjął ten, który dostał od Mitcha, i obejrzał obydwa.

Becca wyczuwała, że detektyw nie traktuje ich do końca poważnie i posłała Hudsonowi pytające spojrzenie, ale on nie odrywał oczu od policjanta. Minęły trzy dni od śmierci Mitcha i spotkania w mieszkaniu Becki. Zastanawiali się z Hudsonem, czy Zeke i Evangeline skontaktują się z policją gdy Mac zadzwonił i uprzejmie zapytał, czy mogliby znowu się spotkać. Powiedzieli, że wpadną na komisariat. McNally zapewnił ich, że to tylko nieformalna rozmowa, więc Hudson i Becca postanowili uprzedzić Zeke'a i Evangeline, żeby śledztwo szybciej objęło wypadek Renee.

W drzwiach prowadzących w głąb komisariatu pojawiła się pani detektyw z czterema papierowymi kubkami kawy. Rozdała napój, po czym zajęła się swoimi sprawami.

- Dzięki-rzucił jej McNally.

W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

- Zeke powiedział, że pewnie już pan wie, kto wysłał listy - zaczął Hudson. - Wygląda na to, że pozwolił mu pan sam wyciągnąć wnioski.

Mac skinął.

- Podejrzewałem, że to kobieta. A kiedy zbadano DNA Zeke'a, wydawało się to dość prawdopodobne.

- Najwyraźniej nie uważa pan, że Evangeline zabiła, bo inaczej już by ją pan przymknął.

- Mamy kogoś innego na haczyku - nie wytrzymała Gretchen.

W Macu zawrzało, ale się powstrzymał. Powiedział Gretchen, czego dowiedział się od policji w Portland, lecz nadal miała tendencję wyrywać się jak filip z konopi, co doprowadzało go do białej gorączki.

- Kogo? - zapytał Hudson. Detektywi zawahali się, co go wkurzyło.

- Jeśli macie jakieś informacje na temat tego, kto zabił moją siostrę, chcę wiedzieć.

- Zajmujemy się zabójstwem i podpaleniem z Blue Note - odpowiedział Mac. - Ktoś z waszej grupy wylądował na przesłuchaniu w Portland.

- Kto?

- Scott Pascal.

Becca prawie wylała kawę z kubka.

- Co?

- Scott był współnikiem Glenna - rzekł Hudson.

- Tonęli w długach. Policja w Portland ma dowody, że tamtej nocy znajdował się w okolicy. Myślimy, że podłożył ogień.

- Ale byli z Glennem przyjaciółmi! - zaprotestowała Becca.

- Pieniądze robią dziwne rzeczy z ludźmi - odparł Mac.

- Spotykał się kiedykolwiek z pana siostrą? - zapytała pani detektyw.

- Nie.

- Miał coś do niej? Nie życzył jej śmierci? Beccę aż zatkało.

- Nie! - Żyłka pulsowała na szyi Walkera, jego gniew był wręcz namacalny.

Mac rzucił Gretchen gaszące spojrzenie, a sam powiedział:

- Zamierzam przedstawić policji z Portland wszelkie informacje, jakie wyjaśniąby, dlaczego Scott Pascal zabił Glenna Stafforda, Renee Trudeau i Mitcha Bellottiego. Dlatego prosiłem o spotkanie. Przychodzą panu na myśl jakieś powiązania, które nam umknęły?

Becca i Hudson spojrzeli po sobie, a potem na Maca.

- Mitch był nieszkodliwy - stwierdziła Becca.

- Może nie, jeśli Stafford powiedział Mitchowi Bellottiemu, że jego zdaniem Scott Pascal sprzeniewierza pieniądze. Potem Bellotti dodał dwa do dwóch i uznał, że Pascal więcej zyskiwał, podpalając restaurację niż próbując ją ratować.

- Nie zabiłby Glenna - upierała się Becca.

- To mogła być pomyłka. Jeśli Pascal myślał, że będzie mógł kontrolować Stafforda, jak już restauracja spłonie, to może nie zamierzał go zabijać.

- A co z Renee? - zapytał Walker ponuro.

- To właśnie próbujemy ustalić - westchnął Mac.

- Nie spotykała się ze Scottem.

- Oboje często wyjeżdżali na wybrzeże.

- Do pracy.

- I może na małe popołudniowe schadzki - wtrąciła policjantka. Telefon na biurku McNally'ego zadzwonił. Zawahał się, nim odebrał.

Wszyscy siedzieli w napięciu, podczas gdy detektyw słuchał i odpowiadał monosylabami. Kiedy się rozłączył, powiedział:

- Dziękuję za przyście.

- To wszystko? - zdziwił się Hudson.

- Na razie.

- Myli się pan co do mojej siostry i Scotta - oświadczył. Włożyli z Beccą płaszcze i ruszyli do wyjścia.

Mac nie odpowiedział, tylko patrzył, jak wychodzą. Gretchen uniosła brwi.

- Zaproszono nas, żebyśmy byli przy przesłuchaniu Pascala - powiedział Mac. - Może poznamy kilka odpowiedzi.

- Renee nie spotykała się ze Scottem - stanowczo oznajmił Hudson, przyciskając pedał gazu; samochód śmignął z parkingu przy komisariacie.

- Zgadza się - przytaknęła Becca.

W głowie miała zbyt wiele informacji, ale w uszach cały czas dzwoniła jej ostatnia uwaga detektywa Sandler.

„I może na małe popołudniowe schadzki”.

To jej przywiodło na myśl wszystkie popołudnia, dni i noce, które spędziła w łóżku z Hudsonem, oraz to, że nadal nie dostała okresu.

Hudson skreślił do Becki. Słońce wznosiło się ponad wał chmur, zapowiadając ładny dzień. Jechał za dwoma motocyklistami sunącymi obok siebie.

- Renee i Scott byli tylko znajomymi.

- A co, jeśli odkryła coś w Deception Bay albo może w Lincoln City, co wiązało go z morderstwami, więc uznał, że musi się jej pozbyć...

- Wierzysz w to? - zapytał Hudson.

- Nie bardzo. Policja zawsze potrafi mnie ogłupić.

- Renee szukała informacji do reportażu - warknął Hudson. - To nie miało nic wspólnego ze Scottem.

- Ale wszystko z Jessie. - Nagle żołądek Becki się zbuntował i gwałtownie wciągnęła powietrze. - Mógłbyś zjechać na pobocze? Napiłabym się czegoś.

- Znowu ci niedobrze?

- Tak jakby.

Skreślił na parking, a ona złapała się klamki tak, że jej kostki zbieleły. Wahala się chwilę, nim wzięła się w garść.

- Nie jesteś w ciąży, co? - zapytał żartobliwie.

Becca o ułamek sekundy zbyt długo wahała się z odpowiedzią. Hudson zagapił się na nią.

- Jesteś? Jesteś w ciąży?

- Może. Nie wiem jeszcze.

- Myślałem, że bierzesz pigułki - wybąkał.

- Nawet o tym nie myślałam. Nie stosowałam antykoncepcji od czasów małżeństwa. Po prostu... - Nie wiedziała, jak to wyjaśnić. Nawet sobie nie umiała tego wytłumaczyć.

- Ale jeszcze nie masz pewności.

- Nie. To tylko przypuszczenie. Myślałam o zrobieniu testu ciążowego, ale tyle się działo. A może nie jestem w ciąży. Może tylko mam mdłości. - Odwróciła wzrok. - Boję się dowiedzieć. Boję się, że to może nie być prawda - przyznała się z rozpędu.

- Chcesz być w ciąży?

- Tak - odpowiedziała z uczuciem. - Tak, zawsze chciałam mieć dziecko. Nie planowałam tego. Nie myślałam. To się wydarzyło pod wpływem uczuć... pragnęłam cię... - Usłyszała nutę podniecenia i błagania w swoim głosie i musiała się odwrócić. Jeśli on tego nie chce, to ona zrozumie. Tak. Postara się.

- Cóż... - powiedział powoli.

- Cóż - powtórzyła.

- To lepiej sprawdźmy. Nie mogła go rozgryźć.

- Nie masz nic przeciwko temu?

- Po prostu... przyjmuję do wiadomości. Usłyszała w jego głosie zdziwienie.

- Tak? - zapytała niepewnie.

- Uhm.

- No dobra. - Przyjrzała mu się uważnie. Dzieciak, pomyślał.

Mógłby naprawdę mieć dzieciaka.

Wychować go na farmie, gdzie sam dorastał. Nie planował tego, nawet nie rozważał, ale teraz postawiony przed możliwością ojcostwa poczuł zadziwiającą lekkość, otuchę.

- Dzieciak - powiedział na głos. - Nasze dziecko.

- To jeszcze nic pewnego. Moje okresy nie są regularne jak w zegarku.

- Sprzedają tu te testy, co? - Wskazał na sklep.

- Mają tu dział apteczny.

Złapała klamkę, ale odwróciła się, uśmiechając niepewnie.

- A jeśli to prawda?

- A jeśli to prawda - powtórzył z uśmiechem.

Becca wzruszona przesunęła się na siedzeniu, objęła go i pocałowała ze wszystkich sił, aż poczuła, że Hudson śmieje się, obejmując ją mocno.

Przesłuchanie Scotta Pascala odbywało się w pustym, wąskim pokoju z dwoma prostokątnymi stołami otoczonymi ośmioma metalowymi krzesłami. Zgodnie z przewidywaniami Pascal wezwał adwokata. Mac i Gretchen przyjechali do komisariatu, spodziewając się po części, że będzie już po wszystkim, ale adwokat Pascala spóźnił się, więc mogli obserwować całe wydarzenie zza lustra weneckiego. Zaproszono ich, bo sprawa, którą prowadzili, wiązała się z zabójstwem i podpaleniem restauracji. Asystent prokuratora okręgowego i jeszcze jeden policjant dołączyli do nich, dając w sumie czwórkę obserwatorów przesłuchania, które oczywiście było poza tym nagrywane.

Facet pocił się, denerwował i nieustannie słuchał adwokata, nim cokolwiek powiedział. Ale nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego w czasie wybuchu jego samochód widziano w centrum handlowym trzy przecznice dalej -a ujawniły to nagrania z kamer ochrony. Kolejna kamera - drogówki - przyłapała Scotta, jak niemal przejechał na czerwonym świetle, a pracownica, która zostawiła samochód przy Blue Note, bo wybierała się na drinka ze znajomym, przyznała, że widziała Scotta wchodzącego przez drzwi kuchenne, kiedy odjeżdżała. Fakt, że według straży przyczyną pożaru było podpalenie, tylko pogłębił kłopoty Pascala.

Przygwoździli drania.

Wiedział to.

Policja wiedziała.

Jego nadęty adwokat wiedział.

A kiedy położono przed nim dowody, Scott załamał się i położył głowę na stole.

- Gdybym mógł przez chwilę porozmawiać z klientem - powiedział prawnik.

Po drugiej stronie szyby asystent prokuratora okręgowego, elegancko ubrany czarnoskóry mężczyzna, o krótko przyciętych włosach i w okularach bez oprawek, skinął głową.

- Przyzna się, żeby wytargować niższy wyrok.

- Najwyższy czas - westchnął McNally. Wreszcie przełom w sprawie. - Kiedy to zrobi, sprawdzicie, co wie. Podłożył ogień i zabił współnika. Chcę usłyszeć, co z pozostałymi ofiarami. Myślę, że zabił Mitcha Bellottiego, żeby się nie wygadał.

- Zajmiemy się tym - zapewnił go asystent. -1 sprawdzimy, czy wie cokolwiek na temat sprawy Jezebel Brentwood.

Mac wątpił, czy Pascal przyzna się do zabicia dziewczyny, ale zawsze to jakiś początek.

Wreszcie sprawa zaczynała nabierać rozpędu. Z wyjątkiem śmierci Renee Trudeau. Pascal był w Portland w dniu, kiedy toyotę camry zepchnięto z klifu do Pacyfiku.

Ale mógł mieć współnika. Albo, jak zaczynał podejrzewać Mac, był jeszcze drugi zabójca.

W pokoju odezwał się prawnik Scotta:

- Chcę porozmawiać z prokuratorem okręgowym. Mój klient skłonny jest powiedzieć wam wszystko, co wie, ale zważywszy na jego oświadczenie...

- .. .przyznanie się - poprawił go jeden z policjantów.

- .. .pan Pascal chciałby wiedzieć, czego może się spodziewać.

- Chce się układać - stwierdził jeden z oficerów i spojrzał w stronę okna.

- No dobra, czas zacząć przedstawienie.

Asystent prokuratora okręgowego wyszedł z pokoju obserwacyjnego i po kilku minutach Scott, zapewniony, że nie czeka go kara śmierci, przyznał, że podłożył ogień pod Blue Note, a także zabił Mitcha Bellottiego.

- Wiedziałem. Skurczybyk - szepnął Mac, patrząc na Scotta, który spocony tłumaczył, wyciągając ręce, jakby ktokolwiek mający choćby pół mózgu mógł zrozumieć jego argumenty.

- Restauracja tonęła w długach. Nie dało się uratować Blue Note, a Glenn nie chciał w to uwierzyć.

- Bo fałszowałaś księgi i zabierałaś część pieniędzy do kasyna w Lincoln City. To też odkryliśmy - rzekł policjant i Pascal całkiem oklapł. - Lepiej bądź z nami szczerzy, Pascal, bo inaczej nici z umowy.

- No dobra, dobra, „pożyczyłem” trochę z funduszków firmowych. Nie tak dużo. Jezu Chryste, w końcu jestem właścicielem tej cholernejsz budy. Byłem mózgiem przedsięwzięcia. Glenn ze swoimi małżeńskimi przysięgami był kompletnie bezużyteczny. - Poczzerwieniał na twarzy i wściekł się.

- Więc zdecydowałaś się go pozbyć.

- Nie... to nie tak. Zamierzałem tylko spalić restaurację. Nie wiedziałem, że Glenn jest w środku. To był czysty przypadek.

- Ten przypadek zdecydowanie ci pomógł - stwierdził policjant. - Już nie trzeba było martwić się Glennem Stafifordem.

- Nie powinno go tam być! To jego wina, nie moja!

- Och, bracie - mruknął Mac, gapiąc się przez szybę.

- A Bellotti?

Scott nerwowo potarł czoło.

- Przykro mi z jego powodu. Sprawy po prostu wymknęły się spod kontroli. Najpierw Glenn, a potem Mitch zaczęli zadawać pytania. Nic do niego nie miałem. Był

niezbyt bystry, ale w porządku. Ale Glenn mówił mu różne rzeczy i zorientowałem się, że Mitch zaczyna składać wszystko do kupy. Więc...

Trzeba było przyznać, że Pascal wyglądał na pełnego wyrzutów sumienia.

- Znalezione ciało w labiryncie, dostaliśmy listy i na początku pomyślałem, że lepiej nie mówić, że też taki dostałem... ale kiedy dostali wszyscy prócz Zeke'a, wyglądało, że dobrze się złożyło, nie? Głupia Evangeline próbowała go ratować, ale przez nią wydawał się jeszcze bardziej podejrzany.

- Ale to ty jesteś winny zabicia czworga ludzi.

- Czworga? W życiu! - Scott zerwał się z krzesła, ale prawnik złapał go za rękę i przytrzymał.

- Pan Pascal mówi wszystko, co wie. Na temat śmierci Glenna Stafforda i Mitchella Bellottiego.

- A co z Renee Trudeau i Jezebel Brentwood? Scott nie czekał na prawnika.

- Nie miałem z tym nic wspólnego. Nie byłem nawet w pobliżu wybrzeża, kiedy Renee miała wypadek. Jezu, mam alibi. Spotykałem się z bankierami w sprawie dofinansowania Blue Ocean. Spotkanie odbyło się w Portland w banku Second Community. Zapytajcie Davisa Sheena, to mój bankier.

- Zapytamy.

- I nie zabiłem Jessie. Ledwo ją znałem. - Był niemal przekonujący ze łzami błyszczącymi w oczach. - Musicie mi wierzyć. - Odwrócił się i przerażonym wzrokiem spojrzał na beznamietnego prawnika. - To prawda. Nie zabiłem Renee i nie zabiłem Jessie. I nie wiem, kto to zrobił.

Siedząc na brzegu wanny, Becca patrzyła na patyczek w dłoni z dwiema różowymi kreskami wskazującymi, że rzeczywiście jest w ciąży.

- O mój Boże - westchnęła, gapiąc się z zadziwieniem na dwie kreski. Mam dziecko. Dziecko Hudsona!

Znowu.

Zamrugła, gdy łzy napłynęły jej do oczu. Powiedziała sobie, że musi teraz tylko wyjść i powiedzieć Hudsonowi, który czekał na dole. Życzył jej powodzenia, gdy szła na górę, ściskając test ciążowy.

Jeśli dobrze sobie wyliczyła, dziecko urodzi się pod koniec listopada albo na początku grudnia. Bożonarodzeniowe dziecko!

- Przestań - powiedziała do siebie, nie chcąc dać się ponieść bajkowym marzeniom. Za wcześnie na to. Swoje już przeszła, jeśli idzie o ciążę.

Ale czas powiedzieć Hudsonowi, że pod koniec roku zostanie ojcem.

Wstała szybko, a wtedy podłoga jakby wygięła jej się pod nogami. Ściany pochylały się nad nią. Wizja... Miała wrażenie, że głowa jej pęknie na dwoje.

O Boże! Nie teraz!

Wzrok jej się zamglił i miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Złapała się umywalki, upuściła test. Głowa jej pękała. Dostrzegła swoje odbicie w lustrze, ale obraz rozplynął się w falach na wodzie. Zapach morza wypełnił powietrze, a w lustrze pojawiła się ta sama nastolatka, którą widziała wcześniej. Znowu na skalistym urwisku, z wiatrem rozwiewającym włosy; oczy, tak podobne do oczu Becki, miała szeroko otwarte ze strachu, jej skóra była niemal przezroczysta.

Ciemne chmury przesuwały się nad nią morze kłębiło się daleko w dole.

- Jessie - szepnęła Becca, kiedy dziewczyna spojrzała na nią i położyła palec na ustach.

Ale tym razem Jessie nie była sama. Tym razem był ktoś jeszcze, ciemna postać bez twarzy, diaboliczna obecność, której Jessie najwyraźniej nie była świadoma. Becca krzyknęła i demon spojrzał prosto na nią, chociaż oczy miał ukryte; poruszał nosem, jakby wietrzył zapach.

Chociaż nie widziała jego rysów, Becca w głębi serca wiedziała, że to jest potwór, którego bała się Jessie.

Kolana ugięły się pod nią ale chwyciła się umywalki i zdała sobie sprawę, że było w tej postaci coś znajomego, coś do szpiku kości złego złem równie ciemnym jak Hades.

- Jessie! - próbowała krzyknąć raz jeszcze, ostrzec ją, ale głos jej się załamał i poleciała w dół.

Jessie już nie żyła. Wiedziała to... prawda? Ale ta dziewczyna... wyglądała całym jak Jessie.

Ta straszna postać, ta złowroga siła już ją zabiła. Dziewczyna na urwisku to tylko duch, widmo dziewczyny zamordowanej i pochowanej w labiryncie przy szkole Świętej Elżbiety. Becca to wiedziała.

Więc dlaczego ta dziewczyna tam była? Dlaczego Jessie powróciła, aby ją straszyc? Nie straszyc... tylko ostrzec...

Czy ta myśl pochodziła z jej własnego umysłu, czy to Jessie ją wypowiedziała?

Nie umiała rozstrzygnąć, ale złowieszcza postać w czarnym kapturze zbliżyła się z nosem wysoko w powietrzu tak bardzo, że Jessie ją dostrzegła. Czuła na karku gorąco cuchnącego oddechu, a jednak nie poruszyła się, nawet nie uniosła ręki.

Uważaj! Jessie, uciekaj! Uciekaj co sił w nogach!

Powiedziała coś do Becki, a potem odwróciła się do potwora.

Serce Becki waliło jak młotem, strach krążył jej w żyłach, ale Jessie, stając twarzą do wiatru, znieruchomiała. Nie próbowała uciec.

Nie!

Potwór się zatrzymał. Uniósł rękę, wyciągnął nóż spomiędzy fałd płaszcza i spojrzął ponad ramieniem Jessie prosto na Beccę. Zatkło ją. To coś zabiło Jessie. I teraz szło do niej.

Rozdział 21



Becca?

Usłyszała swoje imię jakby z oddali. Odbiło się w jej głowie głośnym echem.

- Becca!

Hudson? To głos Hudsona?

- Wchodzę.

Zamrugła i otworzyła oczy w jasnym świetle własnej łazienki. W głowie czuła tępy ból. Leżała na zimnych kafelkach ze stopami tuż obok wanny, z głową kilka centymetrów od niej. Pamiętała demona z wizji, niemal czuła zapach słonej wody, który przywarł do niego. Czy on istniał naprawdę?

- Dobry Boże - szepnęła, myśląc o nienarodzonym dziecku.

Leżała nieruchomo, próbując zebrać się w sobie, nie drzeć z zimna i ze strachu.

Drzwi łazienki uchyliły się i wszedł Hudson. Widząc ją na podłodze, pobałdł śmiertelnie.

- Co się stało? - Natychmiast przyklęknął obok niej. - Nic ci nie jest? Becca! - Przyjrzał się jej zaniepokojony, łapiąc ją w mocne ramiona.

Krzywiąc się z bólu, przypomniała sobie o teście ciążowym. Gdzie, do diabła, upadł?

- Miałaś następną wizję - odezwał się Hudson z troską w głosie.

- Tak. - Potarła potylicę, którą uderzyła o podłogę. Boże, ależ to bolało. - Ale nic mi nie jest.

- Musisz pójść do lekarza.

- Żadnych lekarzy. Nic mi nie jest.

Zauważyła test z dwiema kreskami oznaczającymi ciążę. Bez słowa podała go Hudsonowi.

Spojrzał na dwie różowe linie.

- To znaczy.

- Wynik pozytywny. Nadal ci to nie przeszkadza? - zaniepokoiła się.

- Byłbym spokojniejszy, gdybyś dała się zawieźć do lekarza. Jesteś w ciąży - powiedział, jakby trzeba było jej o tym przypominać. - I te wizje... nie podobają mi się.

- Wiem, wiem. - Becca próbowała wstać. - Ale nie masz nic przeciwko dziecku?

Muszę wiedzieć.

- Tak. Więcej nawet. Jedziemy na ostry dyżur do szpitala w Laurel-ton. - Pociągnął ją mimo protestów. - Chcę mieć pewność, że ani tobie, ani dziecku nic nie jest. Później umówimy się na wizytę u lekarza. - Spojrzał na nią poważnie. - Masz swojego lekarza?

- Tak, ale...

- Chodź.

Zagnał ją do samochodu, chociaż cały czas upierała się, że nic jej nie jest. Pojechali do szpitala, który przysiadł na szczycie wzgórza, przez co piętro z jednej strony było parterem z drugiej, gdzie wjeżdżały karetki.

Zdziwiła się, kiedy Hudson uparł się, że wejdzie razem z nią.

- Sama dam sobie radę - zapewniała z uśmiechem.

- Chcę porozmawiać z lekarzem o twoich wizjach.

- Przechodziłam przez to z rodzicami. Nigdy niczego nie wykryto.

- Nigdy wcześniej nie byłaś w ciąży - powiedział, a jej serce się ścisnęło. - Wygląda na to, że teraz masz ich więcej. Może to jest powiązane. Sam nie wiem.

Lekarzem okazała się młoda kobieta z włosami związanymi w kucyk i surowym wyrazem twarzy, sugerującym, że nigdy w życiu nie zaznała radości.

- Przyjechała pani po test ciążowy?

- I na badania - powiedział Hudson. - Miała poważne bóle głowy, które prowadziły do halucynacji.

Lekarka spojrzała na Beccę.

- Boli panią głowa w tej chwili?

- Chcę tylko potwierdzić ciążę - odrzekła Becca. - Później umówię się z moim lekarzem.

- Mogę panią przebadać, to wygląda na problem neurologiczny. Może będzie chciała pani zapisać się na dalsze badania.

- Zapiszę się - stanowczo stwierdziła Becca.

Rzuciła Hudsonowi znaczące spojrzenie. Wyglądał, jakby chciał się uprzeć przy swoim, ale odpuścił.

- Będę w poczekalni - stwierdził.

Dwadzieścia minut później Becca wyszła z gabinetu z drżącym uśmiechem na ustach. Zaczęła się śmiać, kiedy Hudson zerwał się i stanął obok niej przy drzwiach prowadzących na ostry dyżur.

- Będziemy rodzicami - oznajmiła, a on przyciągnął ją do siebie i pocałował mocno przy zdawkowych oklaskach pozostałych osób siedzących w poczekalni.

- Kocham cię - wyznał, a ona zacisnęła powieki, chcąc zatrzymać tę chwilę.

- Kocham cię - odparła.

Łzy napłynęły jej do oczu, ale zbyła je śmiechem. Nie wypowiedziała słów, które miała na końcu języka: „I zawsze cię kochałam”.

Mac powinien być zachwycony, że wreszcie pewne fragmenty układanki znalazły swoje miejsce. Policja w Portland zatrzymała Scotta Pascala, zeznanie podpisano. Dwa morderstwa zostały wyjaśnione, kiedy zabójca przyznał się do winy.

Ale dwa pozostałe nadal trzeba było rozgryźć, a on nie zbliżył się do odkrycia, kto za nimi stał ani nawet czy były powiązane, jak to się wydawało. Renee pracowała nad historią Jessie i ktoś ją zabił. Można przypuszczać, że dowiedziała się czegoś, co wskazywałoby na zabójcę, który czekał dwadzieścia lat.

Siedział w komisariacie przy biurku. Telefony dzwoniły, faksy brzęczały i po-brzmiewały rozmowy między przegródkami, ale Mac ledwo zauważał cokolwiek. Nie mógł też się skupić na raporcie, który powinien pisać na temat barowej bójki ze skutkiem śmiertelnym. Ani o przypadku przemocy w rodzinie, kiedy dzieciak zastrzelił ojca, zamiast po raz kolejny zebrać od niego lanie. Obie rzeczy miał już w komputerze gotowe do ostatnich poprawek.

Ale czego Renee się dowiedziała?

A może źle obstawiał, próbując znaleźć powiązanie, które zwyczajnie nie istniało, bo chciał rozwiązać sprawę Brentwood? Tim Trudeau był pewną odpowiedzią. Jego alibi - zeznanie sprzątaczkki, która powiedziała, że z pewnością był w domu w dniu wypadku Renee - mogło okazać się fałszywe. Kiedy ją przesłuchiwano, Aida Hernandez chowała się za barierą językową która -jak był przekonany Mac - w ogóle nie istniała. Ale jej tłumaczka, sierżant Delgado, była absolutnie pewna, że Hernandez mówi prawdę.

- Boi się, ale nie Tima - zapewniła go Anna Maria Delgado. - Aida jest bardzo religijna. Kłamstwo nie przyszło jej łatwo.

Delgado, której rodzice urodzili się w Meksyku, była równie mądra jak piękna. Zwykle Mac przyjmował jej słowa za dobrą monetę, ale sprawdził co nieco na temat Trudeau i nie był całkowicie przekonany o niewinności faceta.

Trudeau miał motyw finansowy. Rozwodzili się, a Renee nie zdążyła przed śmiercią zmienić testamentu. Jej były mąż nadal miał otrzymać wypłatę z polisy na życie wartą sto tysięcy dolarów, dostęp do wspólnych kont bankowych zawierających dwadzieścia trzy tysiące dolarów i małego funduszu emerytalnego Renee oraz dom kupiony z pieniędzy, którymi Hudson spłacił jej część rancza po rodzicach. W sumie ponad pół miliona, prawie siedemset pięćdziesiąt tysięcy.

Niezły motyw zbrodni.

- Do diabła. - W zamyśleniu pogłaskał zarost na brodzie.

Ciężka sprawa. Dlaczego miał wrażenie, że coś mu umyka? Coś tuż pod powierzchnią myśli... Zerknął na monitor komputera. Mógł porównać zdjęcia żywej Jessie Brentwood, kiedy miała szesnaście lat, z jej komputerowo wygenerowanym obrazem. Martwej.

Nie... to nie był tylko zbieg okoliczności, że Renee Walker i Jezebel Brentwood nie żyły. Nie mógł w to uwierzyć. Na logikę te morderstwa musiały się wiązać.

I wierzył Scottowi Pascalowi. Facet wychodził ze skóry, żeby przekonać ich, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią Jessie Brentwood i Renee Trudeau. Żywo zaprzeczał i czuło się w tym prawdę oraz szczere oburzenie, jakby to miało sens, że czuł się w porządku, ponieważ nie zabił dwóch kobiet, chociaż jednocześnie przyznał się do zamordowania dwóch mężczyzn - dwóch najlepszych przyjaciół. I to z jakiego powodu? Dla pieniędzy. Przez długi.

Zamyślony podniósł gładki kawałek muszli, który znaleziono w pobliżu grobu Jessie. Kawałek muszli ostrygi, jakie znajdowano w zatokach północnego wybrzeża Oregonu.

Wszystko prowadziło na wybrzeże.

Rodzice Jessie Brentwood mieli domek z widokiem na ocean w Deception Bay.

Wiadomo było, że Jessie skorzystała z autostopu na drodze prowadzącej znad oceanu w głąb lądu, i to wkrótce przed swoim zniknięciem.

Renee Trudeau robiła badania do tekstu o Jessie i została zabita w drodze powrotnej z Deception Bay.

Zerknął na stojące na biurku zdjęcie Leviego. A może by tak pojechać na wybrzeże, pokręcić się trochę, zobaczyć, co wyniknie. Mógłby zabrać Leviego na weekend, spędzić trochę czasu jak ojciec z synem, przy okazji badając Deception Bay. Zajrzałyby do biura szeryfa hrabstwa Tillamook, zobaczył, czy mają coś nowego w związku z poszukiwaniami samochodu, który zepchnął Renee. Największą trudnością w

tym planie będzie Connie, jego była. Uważała, że jako ojciec powinien spędzać z synem czas na zaplanowanych, uporządkowanych zajęciach kręcących się wokół zadań szkolnych. Nic dziwnego, że dziecko ma problemy. Naciskała też, żeby nie przechodził na emeryturę, ale ona w ogóle miała dużo pomysłów na to, jak powinien żyć; zwłaszcza kiedy szło o wychowywanie ich chłopca, który, o czym czasem pozwalała sobie zapomnieć, był w równym stopniu jego synem, jak jej.

Chrzanić szkołę, w ten weekend on i Levi pojedą nad ocean. Może połowią kraby w porcie Deception Bay, pooglądają bejsbol, pograją w karty, spędzą trochę czasu razem.

No i owszem, przy okazji Mac trochę powęszy.

Musiał wreszcie zamknąć sprawę morderstwa Jezebel Brentwood.

I tak po prostu moje życie zmieniło się nieodwołalnie, myślał Hudson w duchu, kiedy jechał na rancho następnego ranka. Stracił siostrę i dowiedział się, że zostanie ojcem. Jedno życie się skończyło, drugie zaczęło. Dziwaczne uczucie.

Właściwie nigdy nie myślał, że zostanie ojcem. Ale ta nieoczekiwana ciąża była szokiem i czymś absolutnie niesamowitym. Nie zasugerował Becce, żeby wyszła za niego, nie popędził kupić pierścionka z brylantem, to wszystko działo się zbyt szybko. Ale nie potrafił sobie wyobrazić życia bez niej. Chciał razem z nią wychowywać ich syna albo córkę i spędzić z nią resztę życia.

Więc zdecydowanie należało pomyśleć o małżeństwie. Musiał tylko wszystko sobie poukładać.

Mrużąc oczy z powodu ostrych promieni słońca sączących się spomiędzy chmur, skręcił na długi podjazd do domu. Zapowiadano kolejne burze nadciągające z zachodu. Był już koniec marca, a zima jeszcze nie popuściła.

Ale on będzie ojcem!

Rozmawiali z Beccą. Całe wczorajsze popołudnie aż do wieczora. A po spędzeniu reszty dnia i nocy wspólnie, ustalili, jak będą wychowywać dziecko, ale było trochę za wcześnie, aby poprosić ją o przeniesienie rzeczy na rancho. Do diabła, nawet jej mały psiak wciąż nie był pewny, czy Hudson nie jest wrogiem. I zostawało coś jeszcze - coś, czego nie tak naprawdę nie rozumiał. „Przecucie”, że Becca nie jest z nim do końca szczerą - nie w kwestii ciąży, tu jej ufał, ale coś się nie zgadzało w jej wizjach. Czuł, że coś ukrywa. Bał się, że chodzi o coś namacalnego i fizycznego, a ona zwyczajnie zaprzecza istnieniu problemu, chociaż tak naprawdę musiała być konkretna przyczyna jej urojeń.

A jednak... jej wizje były dziwnie prorocze.

Zaparkował koło garażu i przyjrzał się starej farmie z omszałym dachem i ciągle naprawianymi rynnami. Okna wymagały wymiany, trzeba było dodać salon i trzecią łazienkę. Plany miał gotowe od roku, ale jeszcze nie zaczął odnawiania. Teraz pokaże je Becce, żeby powiedziała, co o tym myśli, i mogła odpowiednio je zmodyfikować.

O ile zechce się wprowadzić do ciebie. Nie była w stu procentach przekonana, nie?

Poruszyli temat, ale każde zatrzymało się tuż przed powiedzeniem „zamieszkajmy razem”. Uznał, że kiedy nadejdzie właściwy moment, zamieszkają razem albo się pobiorą nieistotne, w jakiej kolejności. Mieli niejedną emocjonalną przeszkodę do przeskoczenia, jeśli chcą odnaleźć szczęście, a mnóstwo tych przeszkód wiązało się z Jessie Brentwood i powodami jej śmierci.

Słabe słońce grzało go w plecy, kiedy wysiadał z dżipa. O mały włos odruchowo nie zagwizdał na Bookera T, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Pies dawno zdechł, a Hudson naprawdę nie wyobrażał sobie, żeby Ringo jeździł z nim wozem albo biegł do stodoły towarzyszyć mu przy karmieniu zwierząt. Z drugiej strony - nigdy nic nie wiadomo.

Ruszył samotnie ścieżką koło szopy ze starą pompą i wierzby. Był pewien, że siostra widziała go z Beccą, jak kochali się tu wiele lat temu. Na myśl o Renee ogarnęły go żal i złość. Brakowało mu jej.

Bez dwóch zdań.

Pojawił się smutek, ale Hudson go zdusił, decydując, że lepiej patrzeć w przyszłość, a kiedy tak zrobił, na usta wypłynął mu półuśmiešek. Za kilka lat będzie szedł tą ścieżką z synkiem albo córką u boku.

Powinnaś była mu powiedzieć o pierwszej ciąży w szpitalu. Miałaś okazję. Dlaczego jej nie wykorzystawaś?

I dlaczego nie powiedziałaś mu o wizji? Nie wyśmiałby cię. Martwi się o ciebie. Musisz mu powiedzieć, że zepchnięto cię z drogi tak jak Renee, że z tego powodu straciłaś pierwsze dziecko - jego dziecko!

Becca besztła się w myślach, wysyłając do biura e-mailem zmiany w najnowszej stercie dokumentów związanych z trwającym sporem o powiernictwo nieruchomości. W kącie salonu migał włączony telewizor ze ściszym dźwiękiem. Pracując, z roztargnieniem słuchała prognozy pogody. Dowiedziała się, że nowa burza formuje się nad Pacyfikiem i kieruje w głąb lądu.

- Świetnie - mruknęła, ale kiedy tylko prognoza się skończyła, padło nazwisko Scotta Pascala.

Gwałtownie podniosła głowę i zobaczyła Scotta w kajdankach, z twarzą odwróconą od kamery, kiedy wyprowadzano go wśród tłumu reporterów i pomagano mu wsiąść do radiowozu. Trudno było w to uwierzyć. Wszystko, co się działo, wydawało się absolutnie abstrakcyjne. Reporterka wiadomości, poważna kobieta z ciemnymi włosami i oczami, sugerowała, że Scott, który przyznał się do dwóch zabójstw, może być powiązany jeszcze z innymi morderstwami. Natychmiast zamiast Scotta pojawiły się zdjęcia Jessie i Renee - Jessie ze szkoły średniej i nowszy portret Renee.

Becca rozejrzała się za pilotem, wzięła go ze stolika i wyłączyła telewizor. Zniknęło zdjęcie siostry Hudsona.

Opadła na kanapę i westchnęła.

Czy to się kiedyś skończy?

Trudno jej było przełknąć, że Scott zabił Glenna i Mitcha, ale już naprawdę nie mogła uwierzyć, że zamordował Jessie albo Renee. Więc kto?

Dotykając brzucha, przywołała ostatnią wizję, a potem pomyślała o dziecku i, rzecz jasna, Hudsonie. Najwyższy czas porozmawiać z nim szczerze. Wiedziała to. Jeśli mają stworzyć jakiś związek, muszą sobie całkowicie ufać. Żadnych kłamstw. Żadnych dwuznaczności. Żadnych sekretów.

- Chodź - powiedziała do psa i przypięła mu smycz.

Robiło się ciemno, wodniste marcowe słońce gasło. Pozwoliła Ringowi obwąchać każdy pień i gałązkę, a z odległej o raptem kilka przecznic autostrady dobiegał ją hałas ruchu w godzinach szczytu.

Spojrzała w stronę domu. Czy to nie za szybko? Mieszkała tu z Benem, miała nadzieję stworzyć z nim rodzinę, ale z drugiej strony, ten związek opierał się na kłamstwach. Nie powinna popełnić tego samego błędu z Hudsonem. Może wreszcie nadszedł czas, żeby oderwać się od przeszłości i sprzedać mieszkanie. Czas na nowy początek. Z Hudsonem Walkerem.

Powiedział, że ją kocha. Pewnie, że to była chwila radości zaraz po tym, gdy dowiedzieli się, że zostaną rodzicami, ale mówił szczerze. I ona też była szczerą, kiedy mu odpowiedziała tym samym. Ale więcej tego nie powtórzył. Okazywał jej uczucie na wiele innych sposobów. A gdyby dowiedzieli się, co naprawdę się stało z Jessie, czuła, że wszystkie problemy między nimi zostałyby rozwiązane.

Wyjmując pocztę ze skrzynki - garść rachunków, oferty kart kredytowych i reklam - czekała, aż Ringo załatwi swoje sprawy, a potem wróciła do mieszkania. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, dlaczego jej wizje z Jessie miały w tle ocean - sztormowy, rozwścieczony ocean; słyszała ryk fal, czuła uderzenia przyboju o brzeg, smak soli na języku.

Odpowiedź znajdowała się gdzieś na klifach nad wściekłym oceanem i Jessie upierała się, żeby Becca nikomu o tym nie mówiła. W ostatniej wizji Jessie ostrzegała ją, uciszała. Nie powinna nikomu mówić o wizjach, to jasne. Ale już się zwierzyła Hudsonowi.

To pewnie był błąd. Nie tylko robiła z siebie wariatkę, ale niechcący mogła narażać jego życie na niebezpieczeństwo. Istniała możliwość, że Jessie ostrzegała ją żeby była cicho ze względu na Hudsona.

Albo na dziecko.

Tak czy inaczej czuła, że odpowiedź na wszystkie pytania nie znajduje się w ziemi, w szczątkach ani kościach z labiryntu Świętej Elżbiety. Odpowiedzi kryją się gdzieś na wybrzeżu Oregonu, najprawdopodobniej w Deception Bay.

Stała przez chwilę w gasnącym świetle, uderzona tą myślą. Czemu potrzebowała tyle czasu, żeby na to wpaść? Tam właśnie Renee szukała informacji na temat Jessie. Tam musiało tkwić rozwiązanie zagadki.

Popędziła psa, żeby szybciej wrócili do mieszkania. Teraz, kiedy podjęła decyzję, chciała jechać od razu. Wieczór był wczesny, a dotrze na miejsce w dwie godziny. O siódmej, najdalej o ósmej, jeśli pakowanie zajmie jej chwilę.

- Gotowy na przejażdżkę? - zapytała Ringa, który kręcił się za nią niespokojnie, wyczuwając jej determinację.

Wyciągnęła komórkę i zadzwoniła do Hudsona.

Czekając, aż odbierze, spakowała kilka rzeczy do torby, a kiedy przełączyła się na pocztę głosową zostawiła krótką wiadomość, że wybiera się do miasteczka na wybrzeżu.

Oddzwonił niemal natychmiast.

- Też jadę. Podjedź po mnie. Będę gotowy za dwadzieścia minut.

- Chcesz jechać?

- Muszę poznać odpowiedź, Becca. I masz rację, Renee szukała informacji o Jessie, podążyła jej śladem. Coś się stało i dowiem się, co takiego.

- No dobrze, wsadź Ringa do samochodu i będę u ciebie za jakieś pół godziny, zależnie od ruchu.

- Nie mogę się doczekać.

Kocham cię, pomyślała, ale tego nie powiedziała.

- Tchórz ze mnie - rzekła do psa, wpuszczając go do samochodu. Ringo spojrzał na nią i zamerdał ogonem.

Zanim samochód Becki wjechał na podjazd, Hudson zajął się końmi i paroma sztukami bydła, zadzwonił do Emile'a Rodrigueza, żeby następnego dnia przyjechał i napoił zwierzęta, zarezerwował przez Internet nocleg na wybrzeżu, wziął prysznic i

się przebrał. Właśnie wrzucał zmianę ubrań do torby, kiedy dostrzegł światła samochodu Becki na pniach dębów i jodeł rosnących przy skrzynce pocztowej.

Zbiegł na dół i zamknął za sobą drzwi, akurat kiedy zatrzymała się przed frontowym gankiem. Ringo - w pełni formy - mało nie odszcekał sobie głupiego łba i nie był szczęśliwy, gdy go przeniesiono na tylne siedzenie, a na przednim miejscu ulokował się Hudson.

- Przykro mi, stary - powiedział do psa, który zaszczekał po raz ostatni i ułożył się na posłaniu, które Becca zabrała dla niego.

Rozmawiała przez telefon i uniosła palec, kiedy wsiadał.

- Aha... jasne... zadzwonię, jeśli będę wiedziała coś więcej, ale masz rację, to całkowity szok. - Spojrzała na Hudsona i bezgłośnie powiedziała do niego: - Tamara.

Hudson skinął głową. Odebrał już telefony od Trzeciego i Jarretta. Nikt nie widział w Scotcie mordercy. Wszyscy byli wstrząśnięci. Jarrett chciał wierzyć, że Scott zabił też Jessie i Renee. Christopher Delacroix III nie myślał tak, bo policja od razu przymknęłaby Pascala za wszystkie morderstwa.

- To straszne - oznajmił Trzeci, kiedy dzwonił wcześniej tego dnia. - Prawdziwy szok. Człowiek zaczyna się zastanawiać, nie? Jak dobrze znasz drugą osobę.

- Nigdy nie wie się wszystkiego - stwierdził Hudson. - Widzisz tylko to, co się pokazuje ludziom, a nie prywatną stronę.

- Myślisz, że teraz jesteśmy bezpieczni?

- Bezpieczni?

- Że już nie grozi nam ten, kto to zrobił. Jeśli Scott naprawdę nie zabił twojej siostry i Jessie, to kto? Kończą nam się znajomi. W każdym razie trzymam przy łóżku magnum. Żaden łotr nie zadrze ze mną bezkarnie. Odstrzelę mu pieprzony łeb. Mam drugi telefon. Muszę kończyć.

- Jasne, zadzwonię. - Becca wolną ręką zapaliła silnik i rzuciła spojrzenie Hudsonowi. - Tak, wiem... Dziwne. Jak wrócę do miasta, to się spotkamy, trzymaj się. - Rozłączyła się i znowu zerknęła na Hudsona. - Tamara nie radzi sobie z tym wszystkim.

Hudson nagle pochylił się i pocałował ją mocno w usta. Uśmiechnął się, czując jej smak i zapach. Boże, chciał ją od razu wyciągnąć z samochodu i zabrać na górę. Zatracić się w niej na kilka godzin. Zapomnieć o piekle, jakie przeżywali przez ostatnie miesiące. Ale tak samo jak ona, chciał wreszcie zakończyć pewne sprawy.

Becca zawróciła, wyjechała na drogę stanową i skręciła na zachód w stronę podnóży Gór Nabrzeżnych. Hudson grzebał przy radiu i znalazł stację country, o której wiedział, że dobrze odbiera na większości odcinków przez góry. Chmury szybko prze-

słoniły ogryzek księżycy i było widać tylko kilka gwiazd, w miarę jak niebo ciemniało. Hudson opadł na oparcie siedzenia.

- Zadzwoiłem do właściciela domku, w którym zwykle zatrzymywała się Renee. To przyjaciel rodziny. Policja już obejrzała miejsce, więc facet powiedział, że możemy tam przenocować, jeśli chcemy. Podziękowałem mu.

Becca zadrżała.

Hudson wziął głęboki oddech.

- Zrobiłem rezerwację w Cliffside, zajeździe w Deception Bay. Wspaniały widok na ocean i przyjmują psy. Ale myślę, że powinniśmy pójść do domu Renee i się rozejrzeć.

- Zdecydowanie.

Zerknęła we wsteczne lusterko, zmarszczyła brwi i dodała gazu, kiedy droga rozszerzyła się do czterech pasów i mogła wyprzedzić białą ciężarówkę, która zwalniała pod górkę.

Kilka minut później znowu zerknęła we wsteczne lusterko i Hudson wykręcił się na siedzeniu, zerkając przez zamgloną tylną szybę.

- Coś nie tak?

- Nie.

- Renee myślała, że ktoś ją śledzi - przypomniał jej Hudson.

- A nie miała nawet wizji - mruknęła Becca. Hudson rzucił jej przeciągłe spojrzenie.

- Co widziałaś? W ostatniej wizji?

- Nie chciałam o tym z tobą rozmawiać.

- Tyle to wiem.

Becca próbowała po prostu zapomnieć i Hudson pozwolił jej na to przez chwilę. Nie chciała, żeby myślał o tym, co zobaczyła - o zakapturzonej istocie ze złymi zamiarami. Nie była nawet przekonana, czy ta istota naprawdę istnieje. Ale znaleźli się na tej samej drodze, którą obrała Jessie, a Jessie była przyczyną jej wizji. Martwiła się, co to oznacza dla niej samej, dla Hudsona i teraz jeszcze dla nienarodzonego dziecka.

- Myślę, że wizje muszą coś znaczyć. Może mają jakąś fizyczną przyczynę, której nikt nie wykrył - zgodziła się, zerkając na Hudsona - ale wierzę, że to jakaś forma porozumiewania się, nawet jeśli tylko z moją podświadomością.

- Widziałaś płonący list Glenna - przypomniał Hudson.

- Zgadza się. I kiedyś miałam też inne wizje. Ale te, w których pojawia się Jessie? Te, które zdarzają się coraz częściej? To ostrzeżenie. Jessie jest na wybrzeżu i próbuje mnie ostrzec przed czymś albo przed kimś, kto chce zrobić mi krzywdę. Cały

czas coś powtarza, a potem kładzie palec na ustach. A w ostatniej wizji coś pojawiło się za nią. W kapturze. Mroczne. Wściekłe. Czułam, jak bardzo nienawidzi mnie i mojego dziecka! - dodała drżącym głosem. - To było... prawdziwe. Wierzę w to. Renee wpadła na tego potwora i on ją zabił.

Hudson przetrwał to przez kilka kilometrów.

- Jesteś pewna, że to on?

- Całkowicie. Westchnął.

- Może rzeczywiście widzisz pewne rzeczy. Jak Jessie. Wszyscy mówili, że widziała przyszłość.

- Wiedziała, że coś jej zagraża - potwierdziła, znowu zerkając w lusterko. - A ja wiem, że coś zagraża mnie.

Rozdział 22



Becca strasznie się denerwowała, jadąc długą drogą przez kaniony i grzbiety gór. Wysokie wiecznie zielone drzewa były jak armia wartowników, wznoszących się na tle ciemnego nieba. Śnieg z deszczem i mgła sprawiały, że kręta, śliska droga wydawała się jeszcze bardziej pusta i zdradziecka niż zwykle.

Cokolwiek ją ścigało, wydawało się znajdować bardzo blisko.

Ale była bezpieczna.

Hudson siedział obok niej.

Nawet Ringo jechał w tym cholernym samochodzie. Spał na tylnym siedzeniu.

Niemniej, chociaż w myślach dodawała sobie otuchy, czuła, że mrok nocnego lasu zamyka się wokół niej. A kiedy jechała, słuchając piosenek country zagłuszanych przez trzaski, myślała o Jessie, która tyle razy podążała tą samą drogą.

Miała wrażenie, że ten fragment drogi przesiąknął duchem Jessie.

Powiedziała sobie, że ponosi ją wyobraźnia, że nie może „czuć” Jessie ani jej ducha wędrującego wśród deszczu, omszałych, starych drzew i spadzistych kanionów. Umysł płatał jej figle.

Zerknęła na Hudsona, który nie spuszczał oczu z drogi. Zaciskał zęby i minę miał ponurą w słabym świetle tablicy rozdzielczej. On też zagubił się we własnych myślach.

Jechała przez oblodzony most spinający głęboką rozpadlinę i serce jej stanęło, gdy rozpoznała okolicę. Czy to nie tu została zepchnięta z drogi, gdy szesnaście lat temu wracała z Seaside?

Ostatnim razem, gdy byłaś w ciąży.

Zerknęła raz jeszcze na Hudsona, a potem spojrzała przez przednią szybę, na której ścinała się para. Poczowała lodowate zimno, kiedy minęła słupek milowy koło miejsca, gdzie zepchnięto ją z drogi.

Nerwowo zerknęła we wsteczne lusterko, ale samochód, który jechał za nią dłuższą chwilę, został w tyle, nie widać było nawet świateł. Nic, tylko zimna, czarna noc. Zaszczekała zębami. Żadne podkręcanie ogrzewania w samochodzie nie mogło jej rozgrzać.

- Zimno ci? - zapytał Hudson, otrząsając się z zamyślenia. Uśmiechnęła się słabo, zaciskając palce na kierownicy.

- Powinno tu być ze dwadzieścia pięć stopni.

- I jest, co najmniej.

Serio? Boże, a przemarzła do szpiku kości.

- Więc to pewnie ja.

- Możemy zawrócić - powiedział niechętnie. Pokręciła głową. Chciał to zakończyć tak samo jak ona.

Powinna przyznać, dlaczego ten odcinek drogi przyprawia ją o dreszcz? Wskazać miejsce, gdzie została zepchnięta z drogi? Przyznać, że była wtedy z nim w ciąży i nie miała odwagi powiedzieć mu o tym?

Teraz dłonie jej się pocily. Chociaż marzła, ręce miała mokre.

Niezły z ciebie czubek. Powiedz mu po prostu. I niech się dzieje, co chce.

Rozbłysk przyciągnął jej uwagę i w lusterku wstecznym dostrzegła przednie światła tnące mrok. Albo samochód, który jechał za nią, dogonił ją, albo ktoś go wyprzedził i doganiał teraz ich.

Hudson zajęty był radiem.

- Chyba powinniśmy móc złapać jakąś przyzwoitą stację z Asterii albo Seaside.

Becca nie spuszczała wzroku z lusterka. Dlaczego tu? Tyle czasu jechali sami autostradą dlaczego właśnie tu pojawił się samochód na krętej drodze, tak blisko miejsca, gdzie...

- Odbiło mu? - powiedziała, kiedy światła drugiego samochodu niemal się w nią wwiercały.

Tuż za następnym zakrętem autostrada rozszerzała się, ale jadący za nimi samochód - jakaś półciężarówka - nie czekał. W pędzie śmignął obok Becki, z lekkim po-

ślizgiem wpadając na jezdnię przeciwnego pasa. Nikogo nie było widać za zaparowanymi szybami.

Hudson gwałtownie podniósł wzrok.

- Cholerny idiota.

Becca przyhamowała, robiąc miejsce wyprzedzającemu. Wielka półciężarówka minęła ich, wjechała na właściwy pas jezdni i pognęła z hukiem dalej, w noc, a tylne światła zniknęły wkrótce we mgle. Serce Becki waliło jak oszalałe, płuca pękały, nerwy miała w strzępach. Hudson patrzył wściekły na drogę.

- Ten dureń mógł nas zabić. Wiesz, jedna rzecz, to grać w rosyjską ruletkę o własne życie, druga, kiedy naraża się moją rodzinę.

Jego rodzinę.

Na tylnym siedzeniu Ringo szczechnął, stając na tylnych łapach i przyciskając nos do tylnej szyby.

- Nagadaj im - zachęcała psa Becca, wreszcie trochę spokojniejsza. Klnąc pod nosem na bezmózgich kretyńców z prawem jazdy, Hudson dalej

szukał stacji w radiu. Miał wybór między wieczornym kazaniem a piosenkami z „Niesamowitych lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych”. Wybrał muzykę i Gloria Gaynor w *I Will Survive* huknęła z głośników. Ściszył nieco, ale rozmowa i tak kręciła się wokół stanu drogi i odległości, jaka im została do przejechania.

Becca kilka razy złapała lód kołami, ale opony ładnie się trzymały. Mimo to, kiedy samochód zjeżdżał zachodnimi zboczami gór, nie mogła się pozbyć ściskania w piersi, dziwnego i przerażającego wrażenia, że nadciąga katastrofa.

Ktokolwiek to był, potrafił obudzić w niej strach.

I wcale jej nie przeszło, kiedy skręcili na południe na krętą autostradę 101 ciągnącą się wzdłuż wybrzeża. Jechali przez miasteczka, ponad głębokimi rozpadlinami i zwieszającymi się nad oceanem klifami, walcząc z wiatrem i deszczem zacinającym od strony Pacyfiku.

Kilka kilometrów na północ od Deception Bay Hudson wyciągnął szyję, żeby wyjrzeć przez okno. To było urwisko, z którego spadł samochód Renee.

- Chcesz się zatrzymać? - zapytała ostrożnie.

- Nie, już to widziałem.

Przejechali pozostały odcinek do Deception Bay w milczeniu. Było ciemno i od czasu do czasu zawiewał porywisty wiatr, kiedy wjechali do małej nadmorskiej wioski, która rozciągała się wokół półkolistego zakrzywionego brzegu. Samo miasteczko leżało wciśnięte między ocean i góry rozdzielone autostradą. Na południe znajdowała się zatoka, której wody umożliwiały łodziom rybackim wyjście na otwarte morze.

Serce Becki zaczęło bić szybciej. Poczowała się dziwnie. Wiedziała, że nigdy nie postawiła stopy w tym miasteczku, a jednak, gdy wchodziła w jeden zakręt za drugim, miała budynki oświetlone wodnistym światłem kilku lamp ulicznych, miała wrażenie, jakby już chodziła tymi wąskimi uliczkami. Dziwaczne wrażenie déjà vu było tak realne, że chłód znowu przeniknął ją do szpiku kości i musiała się wysilić, żeby nie szcząkać zębami. Nawet gdy mgła się podnosiła, wysłużone fronty sklepów i łodzie rybackie zacumowane w zatoce wydawały się jak obrazki z dzieciństwa, chociaż to było niemożliwe.

To nie twoje dzieciństwo. Tylko Jessie.

Dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie. Z trudem przełknęła strach. To wszystko siedzi w twojej głowie. Nigdy wcześniej tu nie byłaś. Dajesz się ponieść wyobraźni.

- Becca? - odezwał się Hudson i wyrwał ją z rozmyślań.

- Co? Och! - Zdała sobie sprawę, że zwołniła i stanęła na skrzyżowaniu na czerwonym świetle, ale nie ruszyła, chociaż żaden inny samochód nie czekał. - Przepraszam.

- Byłaś daleko stąd.

- Myślałam o... Jessie... i o tym mieście.

- Deception Bay?

Zupełnie jakby tu już kiedyś była; nie raz, ale wielokrotnie. Śniła o tym miejscu, miała wizje z maleńkiej rybackiej wioski, których nie pamiętała?

- Zjedźmy gdzieś, dopóki wszystkiego nie pozamykają- zaproponował, wskazując na lokal z jaśniejącym napisem „Otwarte” w oknie.

Becca podjechała na parking. Wybrała miejsce przed restauracją z fasadą z lat pięćdziesiątych. Cały budynek wyglądał, jakby nie przebudowano go od początku lat trzydziestych; miał kamienny front i rdzewiejącą kotwicę na drzwiach.

Ogrzewanie dmuchało ciepłym powietrzem w niemal pustym, mrocznym pomieszczeniu o suficie i podłodze z belek, z sieciami rybackimi z zakurzonymi szklanymi kulami i sztucznymi rybami udrapowanymi na ścianach obitych boazerią z surowego drewna.

Kilku dwudziestoparolatków w wełnianych czapkach grało w bilard, stary mężczyzna z siwą brodą, w kurtce narciarskiej, popijał drinka na końcu długiego, wiekowego baru, para w średnim wieku siedziała w kącie, sącząc piwo i gapiąc się na wielki ekran umieszczony nad miejscem, które, jak Becca przypuszczała, czasem pełniło funkcję parkietu tanecznego.

Becca i Hudson usiedli naprzeciwko siebie przy stoliku w pobliżu ogromnego, kamiennego kominka. Rozpalono ogień i teraz głodne płomienie trzaskały i syczały na omszałych kawałkach dębiny i jędriny. Blaknący wypchany marlin przeżył się w sko-

ku nad kominkiem, dym z drewna zabijał zapach smażonego jedzenia i papierosów napływający przy każdym otwarciu bocznych drzwi.

Becca zrzuciła okruszki z przymocowanego do ściany stołu, który lekko się przechylał. Cicha muzyka - nieokreślony jazz - sączyła się z głośników na ścianach, bile uderzały o siebie, skwierczała smażenina, zapach oleju unosił się ponad dźwiękami dobiegającymi z kuchni.

Hudson zamówił lokalne piwo do krabowych ciasteczek, a Becca zadowolila się wodą gazowaną żeby spłukać pikantną zupę z małży. Wzięli na spółkę mały bochenek chleba na zakwasie z masłem czosnkowym, ale Becca ledwie tknęła jedzenie.

Co takiego było w tym mieście, że czuła, jakby je znała? Na pewno nie chodziło tylko o to, że Jessie spędziła tu trochę czasu. I nie o wizyty Renee. Coś... coś, czego nie rozumiała, wpływało na nią, kazało jej myśleć, że rozglądała się już po kątach w Deception Bay.

W restauracji było wystarczająco ciepło, żeby zdjęła płaszcz, ale w ciągu godziny, którą spędzili przy kolacji, rozmawiając i patrząc, jak czasem ktoś wchodzi albo wychodzi, nie pozbyła się chłodu w głębi duszy.

Hudson zostawił należność na stole, pomógł Becce włożyć płaszcz i zbiegli po schodkach do samochodu wśród zacinającego deszczu. Włączyła wycieraczki, chociaż przy takiej ulewie niewiele dawały, i ruszyła powoli, pełzną pod górkę do zajazdu, piętrowego stuletniego dworku z ośmioma sypialniami i panoramicznym widokiem na ocean, teraz czarny jak węgiel.

Hudson zaniósł torby, a ona zagoniła Ringa do szerokiego holu z zabytkowym zyrandolem wiszącym wysoko ponad krętymi schodami. Hudson już zapłacił za wszystko, klucz czekał w zamku. Ringo ruszył przodem; weszli na piętro, do przytulnego pokoju z płonącym gazowym kominkiem, łóżkiem z baldachimem i wiktoriańskimi antykami. Szlafroki dla obojga leżały obok wanny za parawanem.

- Ładnie - mruknęła.
- Tylko to, co najlepsze.
- Albo tylko to, co dało się załatwić z tak niewielkim wyprzedzeniem.

Hudson się uśmiechnął, a ona nieco rozluźniła. Stała w oknie i wyjrzała w kierunku, w którym powinien znajdować się Pacyfik. Kiedy ocean był tak ciemny, księżyc nie świecił, a deszcz walił w szyby, widziała tylko własne blade odbicie - twarz zmartwionej kobiety obserwującej burzę.

Kiedy gapiała się na swoje odbicie, poczuła na sobie spojrzenie, ale nie Hudsona, który otworzył laptopa i walczył ze słabym połączeniem Wi-Fi. Ani nie Ringa, który obwąchiwał sąsiednie pokoje, ledwo zwracając na nią uwagę. Ktokolwiek patrzył na

nią, na pewno znajdował się po drugiej stronie szyby. Obserwował ją poprzez burzę, śledził każdy jej ruch, czytał w myślach.

Zaciągnęła żaluzje i odwróciła się od okna.

Hudson odstawił komputer i obszedł biurko, żeby wziąć ją w objęcia. Przytuliła się do niego z wdzięcznością.

- Przy tobie czuję się bezpieczna.

Pocałował ją w czubek głowy. Obrócił jej twarz, ujmując ją za podbródek.

- A ja przy tobie czuję się... inaczej - dokończył znacząco.

- Ach... - Rozpogodziła się.

Kiedy pocałował ją znowu, tym razem bardziej namiętnie, odpowiedziała z całą miłością i pożądaniem.

Nic nie mogło zranić jej ani dziecka, kiedy była z Hudsonem.

Z mojej latarni patrzę na brzeg, ledwie widoczny w nocy. Ale ona tam jest. Becca. Blisko. W rui, jak suka!

Krzywię usta w niesmaku, chociaż nie ma się czemu dziwić.

Przecież taka właśnie jest, one wszystkie takie są, czyż nie? Jezebel była cudzołożnicą. Rebecca wcale się od niej nie różni.

Dotykam noża skradzionego z domku i dławię w sobie furię. Oczywiście wiadomo było, że się zjawi, czuję, jak morze ją przyciąga. Ale powinna była zjawić się sama.

Kim jest ten mężczyzna? Ten byczek?

Otwieram drzwi, które nawałnica prawie wrywa z zawiasów. Stary metal przeżarła rdza. Wychodzę na zewnątrz, nagi. Czuję uderzenia wiatru, słyszę jego wycie i gwizd, kiedy ubija przybój na pianę.

Musiałem wyprzedzić ją w górach, zaryzykować, żeby zdążyć przed sztormem i dostać się do latarni. Ledwie udało mi się tu dotrzeć, gdy fale obmywały moją łódź, grożąc, że zatopią ją i pociągną na dno oceanu.

Trzeba będzie zabić ich oboje.

Znowu przykręcę orurowanie do samochodu: dwie śruby, żeby zamocować je na przodzie półciężarówki. Ich też zmiotę z drogi. Mój wóz wróci nienaruszony, a rury bezpiecznie schowam.

Przesuwam palcem po nożu i żałuję, że nie mogę się nim posłużyć. Poczuć, jak krew tryska z ciała Rebecki. Tak jak to było z Jezebel. Z uśmiechem przypominam sobie jej okrągłe oczy w świetle księżyca, jak zaparło jej dech z zaskoczenia. Ona też była ciekawską i głupią dziewczyną, myślała, że jest lepsza ode mnie, że mnie skusi i powstrzyma przed wypełnieniem misji.

Że mnie odwiedzie od celu?

Przekona, że moja droga jest grzeszna?

Zaproponuje usługi seksualne, żebym zignorował swoje obowiązki? Czy może naprawdę myślała, że zabije mnie swoim nożykiem, tym, który wbiłem w jej pierś?

Była tak zszokowana, gdy zrozumiała, że przegrała.

Jezebel zawsze wygrywała.

A teraz nadszedł czas na następną.

Rebecca musi umrzeć.

I umrze już wkrótce.

- Więc chcesz obejrzeć film? Cały wieczór leci dziś maraton *Gwiezdnych wojen* - powiedział Mac do syna.

Levi siedział na brzegu krzasiastej kanapy, bosa stopy opierając o brzeg szklanego stolika, pochylony nad grą komputerową.

- Straciliśmy już pierwszą część, ale druga zaczyna się za dwadzieścia minut.

- Dobra. - Nie wyczuwało się entuzjazmu.

- Kupiłem popcorn do mikrofalówki i lukrecję.

Levi skrzywił się, ale to dlatego, że coś mu się nie powiodło w grze. Nie słyszał nawet słowa z tego, co Mac powiedział. Cały czas tylko potakiwał. Ugrzęźli w małym domu na wybrzeżu, w dziurze zabitej dechami, i Sam McNally zdał sobie sprawę, jak słabo zna syna.

- Wstawię pizzę.

- Aha.

Levi się zawahał i Mac już myślał, że chociaż raz zwrócił na siebie jego uwagę, ale chłopak wziął komórkę, przeczytał coś na ekranie i zaaferowany zaczął odpisywać. Mac nawet nie usłyszał, że to draństwo zadzwoniło.

- Ktoś dzwonił do ciebie? - Włączył piekarnik, żeby go rozgrzać.

- Nie.

- Ale dostałeś wiadomość.

- Napisałem do Setha, nic wielkiego.

Telefon zawibrował albo wydał z siebie jakiś niesłyszalny dźwięk i Levi natychmiast zerknął na ekranik. Znowu zaczął pisać.

- Seth musi mieć naprawdę coś ważnego do powiedzenia.

- Teraz to nie Seth. Ktoś inny.

- Możesz pisać do dwóch osób naraz? - zapytał Mac, wachając stary tłuszcz przypalający się w piekarniku.

Ta nora była pierwszym miejscem, do którego zadzwonił, szukając noclegu. Teraz żałował wyboru. Gdy tylko podjechał i zobaczył stawki za dzień, tydzień i mie-

siąc, zorientował się, że to nie będzie pięciogwiazdkowy hotel. Ale pomyślał, że kominiek i chatka będą przyjemniejsze i bardziej relaksujące niż sterylny pokój w motelu z dwoma łózkami, telewizorem w szafie, dzbankiem na kawę i pokojówką walącą z rana do drzwi.

Teraz patrząc na zużyte, podrapane meble i starą boazerię, nie był już taki pewien. Nawet rury wydawały się podejrzone.

- Łatwo pisać do kilku osób - odparł lekceważąco Levi.
- Skoro tak mówisz.

Mac wyjął zamrożoną pizzę z pudełka. Cholera, można było policzyć kawałki pepperoni i kiełbasy na palcach jednej ręki. Uznał, że to i tak nie ma znaczenia. Pie-karnik się nagrzał, więc włożył pizzę do środka.

Levi całkiem porzucił grę i pisał wiadomości szybciej niż najlepsza maszynistka w wydziale u Maca.

- Z iloma ludźmi rozmawiasz?
- Nie wiem, a co? Och. Nie martw się, mam SMS-y bez ograniczeń. Nic za to nie płacę... eee, znaczy mama i Tom nic nie płacą.
- Tom? Kto to jest Tom? - zapytał Mac, nim zdał sobie sprawę, co mówi.
- Aktualny facet mamy. - Levi po raz pierwszy spojrzał na ojca.
- Nie lubisz go. Wzruszył ramionami.
- Jestwporzo.
- I płaci twoje rachunki za komórkę? - To była nowina dla Maca, ale z drugiej strony, Connie mówiła mu tylko to, co chciała i kiedy chciała.
- Dodał mnie do swojej taryfy. Niewiele go to kosztuje.
- Ale...
- Mama też w niej jest. Tom się wprowadza.
- I co o tym myślisz?

Telefon Leviego znowu zadzwonił i chłopak skupił się na ekranie.

- Nie ma problemu.

Znowu zaczął pisać, a Mac wyczuł, że rozmowa się skończyła. Wiedział, że Connie „spotyka się” z kimś, ale nigdy nie słyszał jego imienia i uznał, że to przelotne. W ciągu wielu lat, które upłynęły od separacji i rozvodu, spotykała się z wieloma facetami. Jeden z nich, Laddie, wprowadzał się do niej dwa razy i dwa razy wykopywała obiboka z domu. Teraz wyglądało na to, że zajęła się nowym.

Mac nie był zazdrosny o nowego mężczyznę w jej życiu. Był tylko wściekły, że wciąga w to wszystko Leviego.

- Mógłbyś wprowadzić się do mnie — zaproponował i Levi poderwał głowę, jakby ktoś pociągnął za niewidzialny sznurek.

- Mówisz serio.
- Myślę o emeryturze. Levi ściągnął brwi.
- Na pewno?
- Aha, czemu nie?
- Sam nie wiem... - Levi pokręcił głową. - Mamie by się to nie spodobało.
- Coś byśmy wymyślili.
- Nie sądzę. Mama mówi, że zamieszkają razem z Tomem i się pobiorą. Tom ma dwie córki. Potrzebują miejsca, więc na razie zajmą pokój dzienny.

- Ile mają lat?
- Nie wiem. - Levi zamyślił się, podrapał po brodzie i Mac zauważył pierwsze ślady zarostu, kilka włosków.

W wieku dwunastu lat? Chłopak dorastał. I to szybko.

- Chyba pięć i osiem. Dzieciaki.

- A ty, co o tym myślisz?

Levi już miał rzucić coś wymijającego, skłamać i zbyć ojca, mówiąc „w porządku” albo „nieźle”, ale zamiast tego skrzywił się i ściągnął czapkę.

- Będzie do bani. I to jak diabli.

- Więc powinniśmy porozmawiać o twojej przeprowadzce do mnie. Zawahał się, a potem przyznał:

- Już rozmawialiśmy o tym z mamą.

- Serio?

Mac pierwszy raz słyszał o czymś takim.

- Mama powiedziała mi, żebym dał im szansę, że z Tomem będzie nam... lepiej. Moglibyśmy wreszcie mieć większy dom, no wiesz, mógłbym chodzić do lepszej szkoły. Przygotować się do college'u. - Levi zmusił się do uśmiechu i powiedział fałszem, parodiując matkę: - Staniemy się jedną wielką szczęśliwą rodziną i wszystko będzie po prostu idealnie.

- Tego właśnie chcesz? - zapytał Mac, zaskoczony tym, że dzieciak się otworzył.

Connie nie powiedziała słowa na temat nowego faceta, mówiła tylko, że się z kimś widuje i że Levi ma dziewczynę. Mac nie mógł sobie przypomnieć jej imienia, ale założyłby się o swoją odznakę, że to ona ciągle do niego pisała.

- Chcę, żeby wszyscy dali mi spokój - mruknął Levi i znowu wziął telefon.

Tego się nie doczekasz, pomyślał Mac. Pizza zaraz się upiecze. Kiedy budzik zadzwonił, znalazł starą ścierkę i wyciągnął bulgocące, na wpół spalone cienkie ciasto z piekarnika. Pokroił pizzę na kawałki. Levi zjadł i natychmiast wrócił do gry. Zamiast męczyć dzieciaka, Mac skupił się na sprawie. Zamierzał rano zajrzeć do biura szeryfa,

zobaczyć, czy coś nowego pojawiło się w sprawie wypadku Renee, a potem zrobić mały rekonesans w okolicach domu Brentwoodów.

Później, jeśli pogoda pozwoli, zabierze Leviego na kraby w zatoce i pogadają jeszcze trochę.

Może uda mu się poznać chłopaka nieco lepiej.

- Hej, Śpiąca Królewno.

Becca otworzyła zaspane oczy. Po seksie z Hudsonem zasnęła kamiennym snem, tymczasem nocą sztorm się skończył. Z trudem się uniosła. Hudson siedział w nogach łóżka, ubrany tylko w dżinsy. Włosy miał mokre po prysznicu.

- Pogoda się poprawiła - powiedziała Becca, widząc słońce wpadające przez odsłonięte okna.

- Nie liczyłbym na to, że się utrzyma. Prawdopodobnie znowu się ochłodzi. Może nawet spadnie śnieg.

Becca jęknęła.

- Która godzina?

- Prawie dziesiąta.

- Serio?

Nie pamiętała już, kiedy spała tak długo. Zamrugła i przeciągnęła się, a Hudson poszedł nalać jej kawy.

- Masz, tylko tyle zostało, ale do jedenastej podają śniadanie, więc...

- Już wstaję!

Sturlała się z łóżka i pobiegła do łazienki, gdzie zerknęła na siebie i się skrzywiła. Włosy miała potargane, twarz nadal opuchniętą od snu, cały makijaż spłynął. Jak nazwał ją Hudson? Śpiącą Królewną? Kiepski żart, delikatnie mówiąc.

Wzięła prysznic, zebrała włosy w kucyk, nałożyła odrobinę szminki i tuszu do rzęs, a potem wciągnęła dżinsy i bluzę. Hudson już wyprowadził Ringa, więc razem z drugą parą około siedemdziesiątki zjedli śniadanie składające się z zapiekanki szpinakowej, babeczek z owocami i bułeczek cynamonowych, pieczonych, jak zwierzył się im właściciel zajazdu, w miejscowej piekarni.

- Od jak dawna jest pan właścicielem? - Hudson zapytał wysokiego, chudego mężczyznę, który przyniósł im świeży dzbanek kawy.

- Będzie dwadzieścia pięć lat we wrześniu. Zdecydowaliśmy się z żoną porzucić wyścig szczurów i przeprowadziliśmy się tutaj z Chicago. Ten stary dom był na sprzedaż, więc przerobiliśmy go na zajazd. Nigdy tego nie żalowaliśmy.

Przy drugim stoliku kobieta pomachała do niego:

- Jest jeszcze sok pomarańczowy? - zapytała. Właściciel i kelner w jednej sobie pospieszył do kuchni.

Becca wyjrzała przez okno na ocean, teraz spokojny; promienie słońca odbijały się od szarej wody.

Na plaży daleko w dole walały się śmieci: kawałki drewna wyrzucone przez fale, wodorosty, muszle martwych małży i krabów. Mewy krążyły i wrzeszczały nad pasmami piasku. Fale przychodziły i odchodziły, uderzając o brzeg i zostawiając gęstą pianę.

Skończyli jeść. Hudson otworzył ciężkie przesuwane drzwi i wyszli na taras ciągnący się wzdłuż budynku. Mimo słońca powietrze było rześkie i zimne, a chociaż nie wiało, słychać było rozbijające się o urwiska fale. Na południu znajdowała się zatoka, kilka odważnych łódek rybackich już wymknęło się na otwarte morze. Z kolei na północy ciągnął się skalisty i porośnięty drzewami półwysep, wąski cypel wchodzący w morze jak zagięty pazur. Kilka czarnych skał, swoistych wysepek, chroniło jego brzeg. Dalej, na skalistym wzgórku stała latarnia, wysoka wieża wnosząca się ku niebu. Jeszcze dalej na horyzoncie, jakiś kilometr od brzegu, znajdowała się otoczona mgłą wyspa.

Becca zagapiła się na latarnię i zadrżała od nagłego powiewu zimnego powietrza. Wróciła do środka.

Wymeldowali się z zajazdu, spakowali do samochodu i poszli spacerem do miasteczka. Dochodziło południe, ale na ulicach było niewielu ludzi.

Hudson miał adres i wiedział, gdzie zostawiono im klucz do domu, w którym zatrzymywała się Renee. Podwórze było zarośnięte, wiata samochodowa trochę osiadła, ale w środku dom był przytulny, chociaż Becca miała wrażenie, jakby cofnęła się w czasie o dwadzieścia lat. Sofa musiała pochodzić z lat siedemdziesiątych, telewizor przypominał ten, który kupili jej rodzice, gdy była w szkole podstawowej.

Zauważyła biurko i wyobraziła sobie Renee pracującą przy nim, jej niemal czarne włosy lśniące w świetle lampy.

Niespodziewanie gardło jej się zacisnęło i łyzy zapiekły ją w oczach. Nie mogła w to uwierzyć. Renee odeszła. Na zawsze. Pomyślała o niej i zastanowiła się, co mogłaby teraz robić.

- Dziwne uczucie - powiedział Hudson, w podobnym nastroju. Zajrzał do kilku pokoi. Stare deski skrzypiały pod nogami.

- Aha.

Becca zauważyła na ścianie wyblakłe zdjęcia rodziny w żółtych sztormiakach na pokładzie kutra rybackiego na otwartym, wzburzonym morzu.

- Dobra, myślę, że już dość zobaczyłem - powiedział Hudson.

Zamknęli dom i poszli do centrum miasteczka, gdzie - chociaż to nieprawdopodobne - Becca poczuła ten sam dreszcz, co wczoraj przy wjeździe. Kilko przechodniów kręciło się po ulicach, jakiś mężczyzna wyprowadzał psa, kobieta biegła, pchając wózek, dzieciaki na deskorolkach śmigały chodnikiem, kaptury bluz niemal całkowicie skrywały ich twarze.

W cukierni Sands of Thyme pełno było klientów - kolejka po cyrulkowe ciasto prosto z pieca. Pachniało przyprawami. W pizzerii wisiała tabliczka, że zamknięto ją na zimę, sklep z latawcami też był zamknięty.

Kupili sobie kawę i ruszyli nabrzeżem, gdzie na plaży ludzie szukali wyrzuconych przez burzę skarbów.

W drodze powrotnej do samochodu, kiedy Hudson wiązał Ringa do słupka, Becca zajrzała do sklepu, w którym pachniało mydłem i świecami. Na antykach - komódkach, stołach i szafach - wystawiono różne drobiazgi. Wszystko, łącznie z powieszonymi lampami, miało metki z cenami.

Sprzedawczyni, sztywna kobieta około sześćdziesiątki z prostymi, siwymi włosami sięgającymi podbródka i baczynym spojrzeniem, siedziała na taborecie przy za-
bytkowej kasie. Na parapecie okna leżała na wpół skończona robótka na drutach, obok siedział łaciaty kot, wygrzewając się w promieniach słońca.

W sklepie była jeszcze jedna klientka, przygarbiona kobieta o stalowo-siwych włosach i sękatych dłoniach, którą zaciekawiła skrzynka ze starymi guzikami.

Zapomniawszy o robótce, sztywna sprzedawczyni obserwowała kobietę jastrzębim wzrokiem, jakby podejrzewała, że próbuje coś ukraść.

Starsza klientka nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Prawda, że śliczny? - powiedziała i spojrzała na Beccę matowymi oczami.

Oglądała guzik z macicy perłowej, który zalśnił w świetle.

Becca przyjrzała się błyszczącemu guzikowi.

- Tak. Bardzo.

- Ale tylko jeden... a ja potrzebuję dwóch.

- Mogę w czymś pomóc, Madeline? - Ewidentnie niezadowolona sprzedawczyni westchnęła ciężko i niechętnie wstała ze stołka, który zazgrzytał o podłogę. Zaniepokojony kot skoczył na szyfonierę i władczo zerkał w dół.

Madeline? Becca zagapiła się na starszą kobietę, która odpowiedziała spojrzeniem.

- Wyglądasz jak jedna z nich - szepnęła staruszka.

- Madeline - zganiała ją sprzedawczyni.

- Jak kto? - Hudson wszedł do sklepu.

Madeline poderwała głowę i spojrzała ukradkowo na Hudsona, kiedy szedł między meblami w stronę Becki.

- Jak kobieta z Pieśni Syreny - szepnęła.
- Pani jest madame Madeline? - spytała Becca.
- Maddie! - Sprzedawczyni szła do nich.

Zamiast odpowiedzieć, Madeline położyła pokrzywioną dłoń na brzuchu Becki, a potem cofnęła ją gwałtownie, szybko przeżegnała się i podreptała do drzwi.

- Wzięła ten guzik? Niech to! - Sprzedawczyni tupnęła drobną stopą. -Zawsze tak robi!

Ruszyła do drzwi, ale Madeline już wyszła.

- Powinnam wezwać policję, ale zwykle jest całkiem nieszkodliwa. Becca zdenerwowała się, bo staruszka dotknęła jej brzucha.

- Kim ona jest?

- No tak, mówi na siebie madame Madeline. Udaje, że jest jasnowidzką. Tutejsza atrakcja, mieszka w tym mieście całe swoje życie.

- A co miała na myśli, mówiąc o Pieśni Syreny? - zapytał Hudson.

- To kawałek ziemi, który zajmują... miejscowi. Z reguły trzymają się na uboczu. Ziemia jest cenna, ciągnie się od gór po wschodniej stronie drogi numer 101 i przez autostradę po ocean. To coś jak klan, jakby osada, niektórzy nawet mówią, że sekta. Różnie to bywa, wiadomo. Wszyscy spokrewnieni.

- Osada?

Sprzedawczyni uśmiechnęła się, a potem przyjrzała Becce.

- Widzę, o co Maddie chodziło, chociaż nie przypomina ich pani... aż tak bardzo.

- Ich? - Pod Beccą kolana zaczynały się uginać.

Co to, u diabła, było? Maddie położyła rękę na jej brzuchu, jakby wiedziała, że jest w ciąży, a teraz ta rozmowa, że przypomina członków... sekty?

- Nie jestem z nimi spokrewniona - oznajmiła stanowczo. Kobieta nie sprzeczała się z nią, ale dodała:

- To już drugi raz w ciągu ostatnich kilku miesięcy, kiedy ktoś pyta mnie o Pieśń Syreny. A mam ten sklep od szczęściu i pół roku. Wcześniej pracowałam w jednym ze spa, które zamknięto. Zwykle mijają miesiące, a nawet lata i nikt nawet nie wspomina o Pieśni Syreny, a ostatnio... Cóż. - Poprawiła skrzynkę z guzikami, w której grzebała Madeline.

- Kto pytał o Pieśń Syreny? - dopytywał Hudson.

- Przyjezdna. Nie pamiętam nazwiska. - Właścicielka zmarszczyła brwi, zastanawiając się; jej dłoń zamarła na guzikach. - Ach tak, to była młoda, ciemnowłosa kobieta. Ta, która zginęła, kiedy jej samochód spadł z urwiska kawałek stąd na północ.

- Renee Trudeau? - spytał Hudson, a Becce serce się zacisnęło.
- Tak. - Kobieta rozpromieniła się, zadowolona z siebie. - Tak właśnie się nazywała!

Mac miał już dość wybrzeża. Cały dzień spędził, próbując wymyślić coś „ciekawego”, czym mogliby się zająć z synem. Próbowali łowić kraby, ale Leviego to nie wciągnęło. Teraz słońce chowało się za horyzontem i za chwilę burzowe chmury całkiem je przesłonią. Lodowaty wiatr robił, co mógł, żeby zerwać z Maca płaszcz. Levi naciągnął czapkę i zawinął się w kurtkę. Widać mu było tylko nos i usta. Obaj zmarzli na kość i udawali, że świetnie się bawią.

W biurze szeryfa nie wiedzieli nic ponad to, co powiedziano mu przy pierwszej wizycie. Mac miał wrażenie, że chcieli, żeby zniknął i dał im zająć się śledztwem po swoim. Nie miał do nich pretensji. On też nie lubił, gdy mu przeszkadzano.

Pojmując aluzję, zabrał Leviego do Deception Bay, myśląc, że spędzi z synem trochę czasu, ale pogoda była fatalna i pomysł wypadł średnio. Próbował wymyślić jakąś rozrywkę, która sprawiłaby im obu przyjemność, kiedy zadzwoniła jego komórka. Zobaczył, że to Gretchen, i prawie się ucieszył, że mu przeszkadza.

- Co jest?
- Od groma rzeczy. Może częściej powinieneś wyjeżdżać, żebyśmy mogli spokojnie odwalić twoją robotę.
- Jasne. Więc o co chodzi?
- Pamiętasz próbki DNA od Nadętych Gnojków? I od ich dziewczyn?
- Potwierdziły ojcostwo Zeke'a, pewnie. - Mac starał się zachować cierpliwość, ale z trudem panował nad głosem.
- Prosiłeś tylko o określenie ojcostwa dziecka.
- No i?
- W laboratorium znaleźli w DNA jeszcze jedną, nieoczekiwaną informację. Laborant zadzwonił dziś rano, żeby przekazać ci informację. Odebrałam za ciebie.
- Jak długo będziesz budować napięcie?
- Już kończę, marudo. DNA twojej panienki pasuje do jeszcze jednej próbki. To stuprocentowe rodzeństwo.
- Co?
- Rebecca Ryan Sutcliff to siostra Jezebel Brentwood - oznajmiła z zadowoleniem Gretchen.

Rozdział 23



Becca stała z Hudsonem przed samochodem. Wiatr zdmuchiwał jej włosy na twarz. Zaczęli jechać w stronę pasma ziemi, które miejscowi nazywali Pieśnią Syreny, kiedy nagle Becca uparła się, żeby pojechali do sąsiedniego miasteczka na południe. Hudson nie zapytał jej wtedy po co, ale kiedy połowę popołudnia zmarnowała, milcząc i ściskając psa, zainteresował się, co się stało. Nie potrafiła mu powiedzieć, że nie chce tam jechać. Po tym wszystkim naprawdę nie chciała. To było śmiechu warte, zwłaszcza że tak się upierała, by poznać prawdę i dowiedzieć się, dlatego wylądowali na wybrzeżu. Ale teraz, kiedy znalazła się o krok od jej odkrycia, sparaliżował ją strach i nie wiedziała, jak to wyjaśnić.

- Co się dzieje? - zapytał w końcu sfrustrowany Hudson, kiedy zawrócili w stronę Deception Bay.

Becca pokręciła głową i nie odrywała oczu od drogi, nie umiejąc wyrazić swoich uczuć.

- Może ja powinienem prowadzić - zaproponował po raz piąty.
- Nic mi nie jest.
- A wygląda to całkiem inaczej.
- Po prostu... myślę.
- A zechciałabyś podzielić się tymi myślami?

Wściekła się i nie miała o to do niego pretensji, ale naprawdę sama nie potrafiła tego wyjaśnić. Kierowała się uczuciami i instynktem, najwyraźniej opanował ją głęboki lęk o życie dziecka.

On chce cię zabić. Chce zabić twoje dziecko. Zdusiła ostatnią wizję, ale kiedy dowiedziała się od sprzedawczyni, że Renee pytała o Pieśń Syreny, wspomnienie powróciło i znowu ją przeraziło. Potwornie bała się o dziecko. O Hudsona. O siebie.

Teraz stali w punkcie widokowym, patrzyli na ciemniejący ocean, zbierali myśli. Latarnia wznosiła się na skalistym kopcu na południu, a mroczna wyspa za nią zniknęła we mgle. Niedługo zapadnie noc.

- Madame Madeline wiedziała, że jestem w ciąży - powiedziała na głos Becca. Powtórzyła to kilka razy w ciągu popołudnia.

- Wygląda bardziej na kogoś cierpiącego na demencję niż na jasnowidzkę - odparł Hudson.

On też powtórzył to już kilka razy.

- Wiem, że chcesz jechać do Pieśni Syreny.

- Jeśli najpierw chcesz zobaczyć się z Szaloną Maddie, to nie ma sprawy, ale musimy podjąć jakąś decyzję. - Hudson przyglądał się horyzontowi.

- Uważasz, że to nic ważnego - rzuciła oskarżycielsko Becca.

- Nastraszyła Renee - zgodził się. - Ale Renee niczego tak naprawdę się od niej nie dowiedziała.

- Poza tym, że umrze.

Hudson pokręcił głową i zacisnął zęby.

- Ktoś zabił moją siostrę, spychając ją z drogi. Ktoś, kogo odnajdę. Nawet przez minutę nie uwierzyłem, że Szalona Maddie to przewidziała. To było morderstwo z premedytacją, bo Renee zadawała pytania i komuś to się nie podobało.

Becca zamknęła oczy. Wiatr uderzał w nią kroplami deszczu. Było lodowato zimno, ale w pewien sposób to ją oczyszczało. Słyszała Ringa szczekającego z samochodu, psioczącego na nich, że zostawili go w środku.

- Nie chcę jechać do Pieśni Syreny - przyznała.

- Co cię tak przeraża?

On tu jest, pomyślała. Chciała to powiedzieć, ale nie potrafiła.

- Myślę, że Renee właśnie stamtąd do mnie dzwoniła - powiedział Hudson. - Może rozmawiała z nimi.

- Z członkami sekty. Skinął głową.

- Powiedziała coś o osadach. Była podekscytowana. Miała na myśli Pieśń Syreny.

- Wyglądam jak oni - powiedziała ponuro Becca.

- Tak, ale to nie musi nic znaczyć. Chcę po prostu z nimi porozmawiać. Sprawdzić, czy Renee pytała ich o Jessie albo o coś innego.

Becca czuła się idiotycznie, odpowiadając, chociaż wcześniej była taka entuzjastyczna. Ale cały czas miała przed oczami ostrzeżenie od Jessie. To właśnie próbowała jej powiedzieć? Pieśń Syreny? Ale to za dużo słów. Dwa zamiast jednego. Więc Jessie próbowała powiedzieć coś innego. Becca była pewna, że miało to coś wspólnego z nim.

Hudson ją objął.

- Mogę tam pojechać sam.

Pokręciła głową, nie potrafiąc wyjaśnić, jak bardzo się boi. Też chciała poznać odpowiedzi, ale teraz nagle nie mogła zrobić kilku ostatnich kroków. Była śmiertelnie przerażona.

- Nie chcę, żeby cokolwiek się stało naszemu dziecku - szepnęła.

- Nie pozwolę na to.

Nie powiedziała tego, ale nie była pewna, czy zdołałby powstrzymać kataklizm, który przeczuwała.

- Zatrzymajmy się na jeszcze jedną noc w zajeździe - zaproponował. - Zabiorę cię tam, a potem pojedę zobaczyć się z ludźmi z Pieśni Syreny.

- Nie, chcę być z tobą. Nie zostawiaj mnie samej.

- Czułabyś się bezpieczniej w Portland albo Laurelton?

- Tak. Nie. Nie wiem. - Odwróciła się i schowała twarz w jego kurtce, łapiąc się skórzanych klap. - Pojadę. Ja też chcę wiedzieć. Pojadę.

- Co jest? - zapytał, obejmując ją. - Dlaczego teraz?

- Nie potrafię tego wyjaśnić. - Nie wiedziała, śmiać się czy płakać. - Gdybym nie wiedziała, że jestem w ciąży, sama bym się dziwiła, że mam taką huśtawkę nastrojów. Czuję, że stanie się coś złego. Jakbyśmy drażnili bestię. I chociaż chcę znać odpowiedzi tak samo jak ty, boję się.

- Może powinniśmy na razie zapomnieć o tym.

- Nie, musisz popytać o Renee. - Zebrała się na odwagę. - Chcę wiedzieć, czy Jessie spotkała się z nimi i czy Renee poszła jej śladem.

Odsunął się i spojrzał jej w twarz, odgarniając włosy z oczu.

- Na pewno? Skinęła głową.

- Więc zawiozę nas tam i dowiem się, co i jak. Jeśli nie będziesz się czuła bezpiecznie, odjedziemy.

- Dobrze.

- Mam prowadzić?

- Nie trzeba.

Becca zawróciła do samochodu. Ringo stał na przednim siedzeniu, opierając łapy o tablicę rozdzielczą. Zaszczekał na panią i podrapał pazurami w tablicę.

- Na pewno? Przytaknęła nerwowo.

- Na pewno.

Mac schował komórkę do kieszeni i warknął sfrustrowany.

- Nadal nie możesz jej złapać? - zapytał Levi.

Mac dzwonił już kilka razy do Becki na komórkę i do domu, ale nikt nie odbierał. Levi wiedział tylko, że ojciec się denerwuje, że nie może się skontaktować z kobietą, do której dzwonił przez ostatnią godzinę z powodu czegoś, co wyskoczyło w pracy.

- Miałem nadzieję, że odbierze, zanim pojedziemy w stronę gór i stracę zasięg - mruknął Mac.

Levi wyglądał na zniecierpliwionego.

- Głodny jestem. Można tu gdzieś zjeść? Mają tu Subway?

- Wątpię.

- AMcDonalda?

- Musimy pojechać do większego miasta.

- No to jedźmy.

Mac się zastanowił. Mogą pojechać do Seaside, gdzie było kilka fast foodów, ale nadłożą bite pół godziny drogi. Z drugiej strony - może to wystarczy, żeby skontaktować się z Rebecca Sutcliff, zanim wjadą w góry.

I co, do cholery, jej powie? A tak przy okazji, Becca, wiedziałaś, że Jezebel Brentwood była twoją siostrą? Albo kochani staruszkowie oddali ją do adopcji i zatrzymali ciebie, albo ciebie też adoptowano.

Czy taką wiadomość - z gatunku tych, które rodzą więcej pytań, niż dają odpowiedzi - przekazuje się przez telefon?

- Jedźmy do Seaside - burknął i obaj wsiedli do dżipa.

Becca znalazła skręt do Pieśni Syreny, kiedy przegapiła zjazd dwa razy. To był wąski przesmyk między żywopłotami z wawrzynu. Prowadziły nim dwie wyżwirowane koleiny, między którymi rosły chwasty. Mżyło i wiało, przez co wjazd wyglądał ponuro i lodowato. Można było uwierzyć, że od miesiący nikt tędy nie jeździł. Może Renee była ostatnim gościem w osadzie.

Kiedy tylko skręcili z autostrady na wyboistą drogę, Becca ścisnęła kierownicę tak, że kostki jej pobielały; koła samochodu zapadały się w kałużach pełnych wody. Nie robiło to dobrego pierwszego wrażenia, ale samo domostwo Pieśni Syreny było wielkie i widziane z autostrady wyglądało imponująco. Ukryta, ponura droga nie prezentowała się najlepiej, ale może tego właśnie życzyli sobie tajemniczy mieszkańcy.

- To musi być to - mruknął Hudson.

- Z tego co widzę, żadną inną drogą nie dostaniemy się do domu.
- Przydałaby się im jakaś tabliczka.

Podskakiwali i kołysali się pół kilometra, nim droga się rozszerzyła i otworzył widok na wysoki, kamienny mur ciągnący się ze wschodu na zachód, z kutą żelazną bramą zwieńczoną kolcami. Za bramą na trawiastym polu stała Pieśń Syreny. W blednym świetle dnia cedrowy gont i ciemne okna wydawały się gapić na przybyszów.

Becca zatrzymała samochód, nie wyłączając silnika. Oboje z Hudsonem patrzyli przez bramę w milczeniu. Burzowy mrok pogłębił cienie. Z kilku okien na parterze i pierwszym piętrze pobłyskiwało słabe światło. Z oddali usłyszeli trzask zamykanych drzwi.

- Ktoś tu jest - zauważył Hudson, sięgając do klamki.

Becca zaczęła się trząść i nie mogła nad tym zapanować, ale Hudson niczego nie zauważył i wysiadł z samochodu. Podszedł do bramy, żeby zerknąć między prętami. Ringo zaskomlał na tylnym siedzeniu.

Kim jesteście? - zapytała w myślach Becca.

Nie było odpowiedzi. Nawet mglistego wrażenia, że ktoś usłyszał jej pytanie.

Hudson odwrócił się i zerknął na nią ponagląco, więc powoli wysiadła z volkswagena; sygnał powiadamiający o uchylonych drzwiach zadźwięczał kilka razy. Dźwięki były stłumione przez wiatr, który głośno trząsał drzewami, a gdzieś za bramą jakaś niezamknięta okiennica łomotała z zadziwiającą zaciekłością.

Becca stanęła obok Hudsona i zaszokowana zobaczyła, co przyciągnęło jego uwagę. Młoda kobieta w długiej sukience stała pod parasolem. Patrzyła na nich. Becca rozdziawiła usta w niemym krzyku. Dziewczyna wyglądała całkiem jak Jessie!

Hudson złapał Beccę za rękę, kiedy zaczęła lecieć na ziemię. Przytrzymał ją, zanim wylądowała w ciemnej kałuży, i przyciągnął rozdygotaną do siebie. Zerknął za siebie i tylko mignęła mu kobieca spódnica, kiedy dziewczyna weszła bocznymi drzwiami do budynku, a potem usłyszał odległy trzask zamykanej zasuwki.

- Musimy jechać - powtarzała Becca. - Musimy jechać.
- Czekaj.
- Nie!
- No dobra, dobra.
- Musimy jechać.
- Dobra. Ja prowadzę.

Pomógł jej usiąść w fotelu pasażera, zaniepokojony bledością. Ringo z tylnego siedzenia podskakiwał wściekle, próbując dostać się do Becki, ale Hudson podniósł rękę i powiedział:

- Siad.

- To była Jessie - szepnęła Becca. - Widziałeś. To była Jessie, prawda? Teraz jest w naszym wieku.

Z przerażeniem spojrzała przez przednią szybę, zalaną nagłym deszczem. Dom ledwo było widać. I blade plamy światła.

- To nie była Jessie - odrzekł Hudson, chociaż sam przeżył szok. - Była młodsza od nas.

- Kim są ci ludzie? Nie wyglądam jak oni. - Spanikowana spojrzała na Hudsona.
- Prawda?

- Nie... nie aż tak.

- Nie jak Jessie, chciałeś powiedzieć?

- Nie wiemy, jak Jessie wyglądałaby teraz.

- Tak właśnie by wyglądała! - Becca machnęła ręką w stronę dziewczyny. - Proszę, chcę już jechać. Ruszaj.

Hudson nie wahał się dłużej. Szarpnął kierownicą i zawrócił w wąskim miejscu. Gałęzie drapały boki samochodu.

- Szybciej.

Zachowanie Becki martwiło go. Wolałby zostać i spróbować trochę popytać, ale kobieta w sukni ewidentnie nie miała ochoty na rozmowę. To nie była Jessie. Wiedział to.

Ale wyglądała jak skóra zdarta z Jessie.

Samochód podskakiwał i trząsał się, kiedy jechał szybciej, niż powinien, po wyboistej drodze. Kiedy dotarli do autostrady 101, skręcił na północ. Opony zapiszczały, gdy śmignął po mokrej nawierzchni do skrętu na autostradę 26.

Becca przez kilka kilometrów siedziała spięta, zanim odezwała się głosem tak cichym, że ledwie ją usłyszał:

- W mojej wizji stał za Jessie z nożem. Zamierzał ją dźgnąć, a wtedy spojrzał na mnie. Hudson, on wie, że jestem w ciąży!

- Był w Pieśni Syreny? - zapytał ostrożnie.

Nie bardzo wierzył w jej zdolność widzenia mężczyzny, który chciał ją skrzywdzić, ale jej strach był zaraźliwy. Ona uwierzyła, że go widziała, i tylko to się teraz liczyło.

- Nie wiem - powiedziała. - Tak myślałam. Zanim tam pojechaliśmy. Ale kiedy zobaczyłam tę dziewczynę...

- Kobietę.

- Tak, kobietę. - Becca nabrała powietrza. - Jessie adoptowano. Czy ci ludzie... czy ona pochodziła z tej sekty? Jeśli ta kobieta nie była nią, to może jej siostrą?

- Może jakąś krewną.

Hudson nie chciał wyciągać pochopnych wniosków, ale na Boga, naprawdę były podobne. Zerknął na Beccę. Z profilu też wydawała się uderzająco podobna. Zawsze była, do pewnego stopnia, ale dopóki nie zobaczył sobowtóra Jessie, nigdy nie traktował tego podobieństwa poważnie.

- Jessie przyjechała ich odnaleźć, ale napotkała jego - mruknęła Becca, obserwując strumyki deszczu na bocznej szybie.

- Kim on jest?

- Jednym z nich? Nie wiem. Ale mnie nienawidzi. Czuję to, naprawdę.

- Jedziemy do domu - rzucił ponuro Hudson. - Zadbamy, żebyś była bezpieczna z dzieckiem.

Coś w jego głosie podpowiedziało Becce, o czym Hudson myśli.

- Zamierzasz wrócić tu beze mnie!

- Nie dziś. Chcę wracać do domu. Bezpiecznie. Zjeść późną kolację. I zastanowić się, co dalej.

- Nie chcę, żebyś tu wracał.

- Muszę wiedzieć, czego dowiedziała się Renee.

- To niebezpieczne.

- Nie wierzę, że jest nam pisana śmierć. Szalona Maddie to stara, ogłupiała kobieta, która wierzy w swoje nieistniejące umiejętności jasnowidzenia.

- Wiem, wiem.

Nie brzmiało to przekonująco.

- Poczuję się lepiej, gdy znajdziesz się w Portland, cała i zdrowa, z dala od tego, kto zabił moją siostrę.

Becca nie odpowiedziała. Chciała wracać do domu i chciała, żeby zostali z nią Hudson i Ringo.

Skęcili w autostradę 26. niemal bez słowa, każde pogrążone we własnych myślach. Kiedy zaczęli jechać w kierunku Gór Nabrzeżnych, mżawka zmieniła się w śnieg z deszczem.

- Może powinniśmy zadzwonić do McNally'ego - przerwała milczenie Becca, obserwując hipnotyzujące ruchy wycieraczek. - Wysłać go do Pieśni Syreny. Niech on podejmie trop. - Nie czekając na odpowiedź, wyjęła z torebki komórkę i mruknęła ze złością: - Wyłączyłam wczoraj telefon i zapomniałam włączyć.

- Nie będziesz miała teraz zasięgu - zauważył Hudson

Becca przycisnęła zielony guzik, nie tracąc nadziei. Komórka zaczęła się włączać, ale zaraz potem na ekranie pojawiła się informacja o braku zasięgu.

- No, to jak przejdziemy przez góry - rzekła i postanowiła czekać z komórką w ręku.

Śnieżyło całkiem mocno, kiedy dojechali na szczyt i zaczęli zjeżdżać na drugą stronę po śliskim stoku. Jednak niemal natychmiast za przełęczą śnieg przeszedł w śnieg z deszczem, a potem w mżawkę. Było zupełnie ciemno. Żadnego oświetlenia poza ich reflektorami.

Becca zdała sobie sprawę, że znajdują się zaledwie parę kilometrów od miejsca, gdzie przed laty miała wypadek, i mocniej zacisnęła dłoń na komórce. Hudson skupił się na drodze. Widoczność była daleka od doskonałości.

Kiedy zjechali na dłuższą prostą, a las odsunął się od jezdni, za nimi pojawiły się światła. Wynurzyły się zza zakrętu. Ich blask zalał volkswagena, wydobywając profil Hudsona.

Przestraszona Becca zerknęła za siebie. To nie on. Nie on. To tylko irracjonalny strach.

- Jest strasznie blisko.

- Jak na te warunki zdecydowanie za blisko. Pojazd się zbliżał. Półciężarówka.

- Jezu - mruknął Hudson.

Nie było pobocza. Jechali skrajem drogi, asfalt kończył się gwałtownie i stok opadał stromo. Becca знаła doskonale ten kawałek autostrady. Serce to waliło jej mocno, to prawie ustawało.

- Wyprzedź nas, kretynie!

Półciężarówka głośno warczała, ryk silnika rozdzierał noc. Hudson szarpnął kierownicą, próbując zjechać na bok, ale nie miał gdzie. Telefon wyleciał Becce z ręki. Usiłowała się czegoś chwycić.

Bach!

Półciężarówka uderzyła ich od tyłu, a Becca poleciała do przodu.

- Cholera! - krzyknął Hudson.

Pasy ściągnęły Becce z powrotem do tyłu. Ringo zaszczekał, szukając łapami oparcia, gdy uderzył w oparcie przednich siedzeń.

- Chryste! - mruknął Hudson.

Zakręcił kierownicą w drugą stronę, starając się ze wszystkich sił utrzymać samochód na drodze.

- To on - jęknęła Becca. - To on.

Spojrzała do tyłu. Blask reflektorów zalał jej twarz. Widziała kratę oruro-wania na pojeździe. Na półciężarówce.

Hudson docisnął pedał gazu i volkswagen wystrzelił do przodu, ślizgając się na drodze, zjeżdżając na chwilę na przeciwny pas ruchu.

Bach!

Półciężarówka uderzyła w volkswagena od strony kierowcy, obracając go do tyłu. Hudson nie czekał. Nie było sensu próbować się zatrzymać, szukać miejsca. Musiał uciec skurczybykowi.

Docisnął pedał gazu. Koła samochodu złapały nawierzchnię i volkswagen pomknął do przodu. Kierowca półciężarówki z głośnym zgrzytem wrzucił bieg, szykując się do następnego uderzenia. Hudson dodał jeszcze gazu i samochód przyspieszył, bujając się na wszystkie strony.

- Oś - mruknął Hudson. - Do diabła.

- Nadjeżdża!

- Drań!

Przyspieszył. Straszliwie roztrzęsiony volkswagen pędził jak kulawy biegacz.

Przyszpiliły ich reflektory. Klakson wydał z siebie okrzyk wojenny, a potem półciężarówka uderzyła w nich z siłą, która zrzuciła volkswagena z jezdni. W jednej chwili jechali środkiem autostrady, w następnej lecieli przez obwałowanie w czarną nicość.

Becca krzyknęła. W wyobraźni zobaczyła Hudsona zimnego i zakrwawionego. Z oczami zamkniętymi przez śmierć.

Bach! Volkswagen uderzył o ziemię z taką siłą, że oś pękła zupełnie. Zęby Becki zadzwoniły. Samochód, kołysząc się, leciał przez krzaki. Ringo sko-wyczał. Hudson kłął. Nagle zobaczyli zbliżający się pień drzewa.

Samochód uderzył w drzewo z lewej, od strony kierowcy. Beccą znowu szarpnęło w pasach. Przednia szyba się roztrzaskała. Do środka wpadło zimne powietrze i szkło.

- Hudson! Hudson!

Nie od razu się zorientowała, że wykrzykuje jego imię. Oprzytomniała i zobaczyła, że coś przyczepiło się do rękawa jej kurtki. Ostry kawałek drewna. Sięgnęła, żeby go wyciągnąć, gdy poczuła piekący ból. Wbił jej się w biceps. Bez namysłu wyszarpnęła drewno z ręki i poczuła krew tryskającą na skórę.

Pospiesz się, mówiła sobie. Pospiesz się!

Spojrzała na Hudsona. Leżał na kierownicy. Skórę nad prawym uchem miał ciemną od krwi. Kierownica przygwoździła go do siedzenia.

- Hudson-jęknęła.

Para syczała pośród zimnej nocy. Deszcz wlewał się przez stłuczoną przednią szybę.

- Hudson-szepnęła raz jeszcze.

Próbowała przesunąć się do przodu, ale pas trzymał ją mocno. Pies skomlał. Obejrzała się. Ringo był uwięziony na tylnym siedzeniu. Po stronie kierowcy samochód złożył się jak harmonia i pies nie mógł wyskoczyć do przodu, ale najwyraźniej nic mu się nie stało.

Szybciej! On wraca!

Zdrętwiałymi palcami odpięła pasy. Zwinęły się, jakby samochód był w idealnym stanie. Z trudem narzucała sobie pośpiech.

Pchnęła drzwi, które otworzyły się ze zgrzytem. Lodowaty deszcz uderzył ją w twarz.

Komórka.

Znowu zerknęła na Hudsona. Był blady i oddychał z wysiłkiem. To przez miążdzącą go kierownicę? Proszę, Boże, niech mu nic nie będzie. Myśl.

Komórka, tak.

Odrętwiała pomacała podłogę wokół siedzenia. Gdzie ona jest? Nie mogła jej znaleźć.

Hudson nosił komórkę w kurtce.

Delikatnie sięgnęła do jego prawej kieszeni, ale była pusta. Jęcząc z przerażenia, sięgnęła ponad nim, patrząc z gniewem na kierownicę i opierając się o nią ramieniem, jakbymogła ją odsunąć.

Wetknęła rękę do drugiej kieszeni i pociągnęła - była ciężka od telefonu. Z trudem wyjęła komórkę i natychmiast otworzyła.

Brak zasięgu.

Łzy napłynęły jej do oczu. Ringo wył i wył. Spojrzała na niego.

- Siedź spokojnie, mały. Nic się nie stało. Wszystko będzie dobrze. Nic nam nie jest.

Rozejrzała się i poczuła ból w karku. Coś sobie naciągnęła. Ból mięśnia. Natychmiast dotknęła brzucha, ale nic jej nie było. Dziecku nic nie było.

Ogarnęła ją gwałtowna wściekłość, wypalająca wszelkie odrętwienie. Łajdak. Cholerny, niebezpieczny skurczybyk.

Z nową siłą wygramoliła się z samochodu, ślizgając na błocie, kawałkach drewna i jodłowych igłach. Dźwięczące szkło osypało się jej z ubrania, kiedy oparła się o samochód. Czuła ból w lewej ręce. Naciągnięcie w szyi. I coś w lewym biodrze, głębokie stłuczenie.

Ale w głowie natychmiast jej się przejaśniło. Przynajmniej do tego przydał się deszcz. Zamrugła i nadstawiła uszu. Nie słychać było niczego poza deszczem i wyciem wiatru.

Żadnego silnika. Pojechał dalej. Odjechał daleko.

Tak jak ostatnim razem.

Zaczęła szcząkać zębami. Czuła narastający ból głowy. Po wypadku? Nie! To wizja. Po raz pierwszy się ucieszyła. Proszę. Proszę, Jessie.

I nagle ją zobaczyła. Stała niebezpiecznie blisko skraju urwiska. Sama. A gdzie był on?

Jessie wypowiedziała słowo. Kilka sylab. Ostrzeżenie. Becce chciało się krzy-
czeć z niemocy.

- Co mówisz?! - krzyknęła na głos.

- Sprawiedliwość - odpowiedziała Jessie.

Becca wróciła do siebie w jednej chwili, jakby ktoś pstryknął przełącznikiem. Spojrzała w niebo i wrzasnęła, pragnąc odpowiedzi, nie zagadek. A Hudson?

Musiała znaleźć pomoc.

Z trudem, chwytając się wystających korzeni drzew wspięła się po nasypie i wróciła na drogę. Cieszyła się, że ma na sobie ubranie z wybrzeża trampki, dżinsy i kurtkę - ale mimo to ledwie utrzymywała równowagę na śliskim błocie.

Dysząc, wspięła się wreszcie na górę i drżącymi rękoma podciągnęła na asfalt. Spojrzała w kierunku, z którego nadjechali. Żadnego dźwięku samochodu. Spojrzała na wschód. Droga zakręcała w prawo. Stamtąd też nikt nie jechał.

Miała ochotę się położyć i oprzeć głowę na mokrej drodze. Marzyła o... odpoczynku.

Ale Hudson potrzebował pomocy.

Z trudem wstała. Nie jesteś ranna, powiedziała do siebie. Nic ci nie jest.

Znajdowała się dosłownie kilka kilometrów od miejsca pierwszego wypadku. Od miejsca, w którym ktoś zepchnął ją z drogi. W którym straciła dziecko. Znowu objęła brzuch ręką.

Gdzie pójść, żeby złapać zasięg? W kierunku Portland czy w stronę wybrzeża?

Rzut monetą.

Wybrała Portland. Pokuśtykała na wschód. Wkrótce nadjedzie jakiś samochód. Dobry samarytanin. Hudsonowi nic nie jest. Nie groziło mu natychmiastowe niebezpieczeństwo. Nic mu nie było. Ale łzy napłynęły jej do oczu, kiedy w duchu modliła się za niego.

Doszła do kolejnego zakrętu i spojrzała przed siebie poprzez deszcz. Czy to samochód się tam zatrzymał? Ku jej przerażeniu przednie światła nagle oślepiły ją jasnym blaskiem. Zobaczyła kratę.

Przez ułamek sekundy stała jak sparaliżowana. A potem usłyszała trzask drzwi i zobaczyła wysoką postać podświetloną przez światła. Trzymał coś w rękach. Nóż.

Odwróciła się i popędziła jak sprinter olimpijski najdalej od napastnika. Jego kroki rozbrzmiewały za nią.

Tylko nie w stronę Hudsona, pomyślała. Musiała go odciągnąć. Na drugą stronę drogi.

Przebiegła przez środkową linię i zygzakiem pognała na stok naprzeciwko, celowo ześlizgnęła się z nasypu, ocierając o niskie gałęzie jodeł, drapiąc o korzenie.

Był blisko. Oddychał ciężko. Skoczył ku niej.

Myślała zadziwiająco trzeźwo. Musiała go odciągnąć. Jak najdalej. Daleko. Od Hudsona i Ringa. Od siebie i dziecka.

- Siostro! - zawołał cicho. - Nie schowasz się. Siostro?

Potknęła się i prawie upadła.

- Szatański pomiot.

Brnęła przed siebie z wyciągniętymi rękoma, przedzierając się na tyle szybko, na ile pozwalała jej odwaga, przez gęste krzewy i między drzewami. Ale on ją doganiał. Był silny.

Kim był?

Doszła do polany. Po lewej i w górę ciągnęła się autostrada. Dokładnie przed nią otwierał się zleb. Po prawej ciągnęły się lasy i Bóg jeden wie co jeszcze.

Musiała wrócić na autostradę. Mogła nadejść pomoc.

Poruszając się ostrożniej, obchodziła krzewy i drzewa, idąc głębiej w las. Jej kroki rozbrzmiewały głośno, ale deszcz i wiatr wszystko zagłuszały. On też zwolnił. Nasłuchiwał. Starał się jej nie zgubić.

I wtedy zobaczyła brzeg autostrady, dziesięć metrów nad sobą. Zawahała się, nie chcąc wystawić na cel. Ale nie miała czasu. Nie miała chwili do stracenia!

Ostatnim wysiłkiem wspięła się na obwałowanie, drapiąc paznokciami korę na pniach, chwytając się pnączy. Słyszała jego oddech za sobą.

Szlochając z wysiłku, rzuciła się na pustą drogę. Zacisnęła dłoń na kamieniu wielkości pięści. Podniosła go, z trudem wstała i pobiegła na zachód.

- Czuję twój smród! - ryknął, wychodząc za nią na drogę.

W płucach ją paliło, nogi miała jak z gumy. Biegł za nią. Jego oddech rwał się z podniecenia. Wyciągnął ręce, złapał ją za włosy. Wyszarpnęła się i wrzasnęła na całe gardło.

I wtedy pojawiła się Jessie. Przywoływała ją. Płacząc, Becca pobiegła do niej. Potrzebowała kilku sekund, aby zdać sobie sprawę, że napastnik zwolnił.

Zerknęła za siebie i zobaczyła jego twarz. Przebiegł ją dreszcz. Tę samą twarz widziała, kiedy straciła dziecko. Gapił się martwymi oczami na... na Jessie. Oderwała od niego wzrok i spojrzała na Jessie, która zniknęła jej z oczu.

- Sprawiedliwość - powtórzyła.

Becca ze strachem zerknęła za siebie, kiedy napastnik odchylił głowę i ryknął. Rzucił się na nią ze zdwojoną szybkością.

- Jezebel! - wrzasnął. - Rebecca!

Kamień leżał ciężko w jej dłoni. Zatrzymała się, gdy napastnik skoczył na nią, wzięła zamach i cisnęła kamieniem z całej siły. Trafiła go w czoło, aż się zachwiał.

- Jestem wysłannikiem Boga! - ryknął, zataczając się.

Odwróciła się i pobiegła z nową energią po jezdni. W płucach miała ogień, mięśnie nóg jej płonęły.

Dojrzała słaby blask reflektorów daleko przed sobą, gdzieś między drzewami. Krzyknęła zdesperowana, zataczając się, niemal padając. Biegła w stronę nadjeżdżającego samochodu, wymachując rękoma, modląc się w duchu, żeby to nie było wsparcie dla chorego potwora, który ją ścigał.

Samochód - dżip - zwolnił gwałtownie i wyskoczył z niego kierowca. Mężczyzna. Becca, ubłocona, zakrwawiona, chora ze strachu, wzdrygnęła się w blasku światła. Kiedy mężczyzna ruszył do niej biegiem, jej tętno gwałtownie przyspieszyło i potknęła się o własne nogi.

- Becca? - zawołał czyjś głos. - O mój Boże, nic pani nie jest?

Znała go. Znała ten głos. Odwróciła się i spojrzała za siebie. Autostrada parowała w światłach samochodu. Nigdzie nie było widać pościgu. Nikogo nie było.

Kierowca stał już obok niej. Rozpoznała go. Jej rozdygotany głos wydał się obcy nawet dla niej, gdy powiedziała:

- Detektyw McNally?

- Próbowałem się do pani dodzwonić. Co się stało?

Załamała się, padła bezwładnie, ale zareagował szybko i złapał ją, nim uderzyła kolanami o asfalt.

- Levi! - krzyknął przez ramię. - Chodź tu!

Drzwi po stronie pasażera otworzyły się i wysiadł drugi mężczyzna. Na wpół biegł, na wpół szedł, a potem zatrzymał się z tyłu. To jeszcze chłopiec, zdała sobie sprawę Becca. Ledwie mogła zebrać myśli. W głowie jej się mąciło.

- Hudson jest ranny - wybełkotała. - Mielśmy wypadek. - Wskazała krzaki. - Tam, dalej. Zepchnął nas z jezdni. W półciężarówce z kratą. Próbował nas zabić!

- Gdzie?

McNally pomógł jej stanąć, a ona wskazała miejsce, gdzie volkswagen zjechał z drogi. Detektyw nie marnował czasu. Krzyknął na chłopca, żeby przyniósł latarkę, a Beccę zapytał, czy da radę przez chwilę ustać o własnych siłach. Skinęła głową, więc popędził do samochodu i zjechał na pobocze, zostawiając włączone światła.

Wrócił i pomógł jej zaprowadzić całą ich trójkę we właściwe miejsce. Nie było to trudne. Samochód połamał gałęzie, zdarł korę, a odsłonięte białe drewno lśniło widmowo w świetle latarki.

Widząc tył volkswagena, McNally zaczął schodzić zboczem, a chłopcu, który szedł odrobinę za nim, kazał świecić przed siebie. Becca ześlizgnęła się na drżących nogach, drapiąc ręce i nabierając błota do butów.

Kiedy tylko McNally zobaczył Hudsona, spróbował otworzyć drzwi po stronie kierowcy. Potrzebował kilku prób i mnóstwa przekleństw, nim udało mu się wyszarpanąć drzwi. Ringo szczekał jak opętany. Przód samochodu zgniótł się pod kątem, solidnie blokując Hudsona. McNally przekręcił kluczyki w stacyjce. Silnik zakaszłał i prychnął, ale nie zaskoczył. Detektyw złapał za dźwignię siedzenia i odsunął je do tyłu o kilka centymetrów. Ciało Hudsona przesunęło się do przodu na kierownicę. Był wolny, ale nieprzytomny. McNally położył palce na jego gardle.

- Mocny puls. - Sprawdził komórkę i zaklął cicho. - Ktoś zepchnął was z drogi?
- Tak.
- Myśli pani, że to ten sam facet, który zrzucił z klifu Renee Trudeau?
- Tak.
- Musimy złapać zasięg.

Zamknął komórkę i spojrzał ostro na chłopca, który rozmawiał przez okno z Ringiem.

Psiak nie wiedział, czy spróbować sięgnąć i polizać Hudsona, czy wygrzebać się przez okno. McNally pogrzebał przy guziku tylnego okna i szyba opadła. Ringo wysunął łebek. Levi głaskał go i uspokajał.

- Ktoś musi pojechać z powrotem i wezwać pomoc. Potrzebujemy karetki. - McNally patrzył na Beccę.

- Nie mogę zostawić Hudsona - wykrztusiła.
- Ja z nimi zostanę - oznajmił poważnie Levi. - Ty jedź.

McNally chciał zaprotestować, ale Becca wiedziała, że musi to zrobić, żeby wezwać pomoc. Nie miał wyboru. Ona nie mogła jechać, Levi był za młody, żeby prowadzić.

- Jak tylko się z kimś skontaktuję, wracam tutaj - powiedział nerwowo.

Wahał się chwilę, a potem wyciągnął broń z płaszcza. Jakby to zaplanowali, Levi podszedł i wziął ją od niego. McNally już chciał się sprzeciwić, ale rzucił spojrzenie Becce i powiedział:

- Nie wahaj się.

Po czym w rekordowym tempie wspiał się z powrotem po zboczu. Levi wyłączył latarkę i wyjął kluczyki z samochodu, cicho głaszcząc po głowie Ringa, który wyglądał przez okno.

- Nie ma co się chwalić, że tu jesteśmy - powiedział w nagłych ciemnościach.

Wyczerpana Becca usiadła na siedzeniu pasażera obok Hudsona. Znalazła jego rękę i zacisnęła na niej dłoń.

„Szatański pomiot”. „Jestem wysłannikiem Boga”. „Siostr...” Widział Jessie. Dzielił z Beccą wizję. Znał je obie.

- On nadal tam jest - powiedziała. - Ścigał mnie. Przez las.

Levi przysunął się do Becki. Zobaczyła, że trzyma broń. Usłyszała kliknięcie i zdała sobie sprawę, że odbezpieczył pistolet.

- Znasz się na broni? - zapytała.

- Nie.

- Nie jesteś... synem McNally'ego?

- Jestem. Ale nie znam go aż tak dobrze.

- I nie znasz się na broni. Patrzył w mrok, nie na nią.

- Znam się na grach komputerowych - odpowiedział, i to z jakiegoś powodu uspokoiło Beccę.

Deszcz osłabł i w końcu ustał. Becca cały czas badała puls Hudsona, ale był mocny i równy. W końcu usłyszeli nadjeżdżający samochód i zobaczyli dzipa McNally'ego. Detektyw zszedł po stoku i wziął broń od syna. Przesunął bezpiecznik. Uspokoił ich, że karetka już jedzie. Zabiorą Hudsona do szpitala Ocean Park. Uważał, że Beccę też powinni zbadać, więc dzwoniąc na pogotowie, powiedział, że są dwie ofiary.

Ringo, który aż do teraz czekał cierpliwie, znowu zaczął skomleć i podskakiwać na tylnym siedzeniu, więc Levi wyciągnął go z samochodu i trzymał, podczas gdy pies próbował polizać Beccę. Pochyliła się do niego, nadstawiając twarz i mocno go obejmując.

- Mogę go zabrać do domu? - zapytał ją Levi. - Dobrze się nim zaopiekuję.

Becca rozplakała się serdecznie. Nie mogła przestać. Pokiwała głową, roztrzęsiona. W oddali rozległy się syreny.

Spojrzała w przeciwnym kierunku. Zastanawiała się, co się stało z napastnikiem.

- Zaparkował półciężarówkę za zakrętem - powiedziała McNally'emu.

- Znajdę go - zapewnił ją.

Becca odwróciła się do Hudsona. Proszę, niech ci nic nie będzie, modliła się. Proszę, proszę.

Wtedy nadjechała karetka z wyjąca syreną i oślepiającymi, migającymi białymi i czerwonymi światłami.

Rozdział 24



Siostro.

Słowo jak syk przewiercało się przez umysł Becki. - Sssssiosstro. O Boże, nie! Otworzyła oczy, ale syk nadal rozbrzmiewał w jej uszach. Serce łomotało jak oszalałe, tętno przyspieszyło z powodu potwornego koszmaru. W mrocznym śnie biegła przez deszcz i błoto, na próżno szukając Hudsona, widząc przy każdym zakręcie ducha Jessie, czując na karku gorący oddech bezimiennego, pokręconego psychopaty.

Siostro.

Zamrugła, ale refleksy mrocznego koszmaru uporczywie powracały -krzywe ogrodzenie z kutego żelaza, które oddzielało ją od setek kobiet o tej samej twarzy. Twarzy Jessie! I słychać było płacz dziecka, żalosne, przerażone kwilenie niemal zagłuszone przez ryk morza i szum wiatru. Spanikowana, wiedząc, że na każdym kroku grozi jej niebezpieczeństwo, biegła coraz szybciej i szybciej przez las, wzdłuż ciągle zmieniającej się linii ogrodzenia, na próżno szukając dziecka i Hudsona...

Zadrzała.

Siłą woli odegnała sen i spróbowała pomyśleć przytomnie.

Leżała w szpitalnym łóżku, w pokoju ze stolikiem i stalowymi sprzętami. Pojedyncze wąskie okno wychodziło na niemal pusty parking, słabo oświetlony lampami stojącymi w ulewie; pokrzywione sosny gięły się na wietrze.

Wypadek. Wszystko powróciło w rozbłysku obrazów.

Ale to nie był wypadek. To było celowe działanie. Ktoś zepchnął ich z drogi. Ledwo pamiętała jazdę karetką do szpitala Ocean Park. Co powiedział lekarz na temat Hudsona? „Wstrząśnienie mózgu. Lekkie obrażenia. Żadnych złamań...” To dobrze, prawda? Pamiętała tylko urywki, ale przypominała sobie, że powiedziała lekarzom o dziecku. Nie zastanawiając się, położyła obronnym gestem rękę na brzuchu i przypominała sobie, jak lekarz powiedział, że nic nie wskazuje na poronienie. Ale gdzie był teraz Hudson?

Serce biło jej nierówno, adrenalina i strach krążyły we krwi. Dobrze pamiętała uczucie nadciągającej katastrofy. Renee zabito z tego samego powodu, dla którego zepchnięto z drogi ją i Hudsona.

Kim on jest? Jak jestem z nim powiązana?

Nie mogła tak po prostu leżeć w łóżku.

Nic go nie powstrzyma. Nie, jeśli ona się tym nie zajmie.

Chociaż nie była mięczakiem, nie była też nigdy specjalnie odważna, ale teraz czuła narastający głęboki gniew. Chciała pokrzyżować mu plany. Powstrzymać go. Powstrzymać jego mordercze zamiary, bo inaczej on w końcu wygra - tak jak wygrał z Jessie.

Odpowiedź znajduje się w Pieśni Syreny. Wiesz o tym. Czujesz to. Dlatego nie chciałaś tam jechać.

Zegar na ścianie mówił, że było dwadzieścia po szóstej rano, a sądząc po brzęku tac, wózków i noszy, w szpitalu panował ruch. Nie ma co czekać.

Zrzuciła przykrycie, usiadła, wyjęła z nadgarstka igłę kroplówki, której wcześniej nie zauważyła. Głowa jej pękała.

- Dzień dobry.

Kobięcy głos przyciągnął jej uwagę. Spojrzała w stronę drzwi. Pielęgniarka ze stetoskopem i termometrem wchodziła do pokoju. Nazywała się Nina Perez, sądząc po plakietce. Chociaż miała miłe, ciemne oczy, jej postawa zdradzała, że lubi rządzić.

- Jak się pani dzisiaj czuje?

- Bywało lepiej.

- Trochę obolała? Bardziej niż trochę.

- Nic mi nie jest. - Wstała z łóżka, stawiając bose stopy na zimnym linoleum. - Muszę znaleźć Hudsona Walkera - wyjaśniła. - Myślę... że tu jest. Jako pacjent. - Chyba że zabrano go do innego szpitala. - Musiała go znaleźć. - Mieliśmy wypadek. To dlatego tu jestem...

- Jest tutaj. Dochodzi do siebie. - Siostra Perez uśmiechnęła się spokojnie i szczerze, a Becce odrobinę ulżyło. - Niedługo będzie go mogła pani zobaczyć.

- Ale muszę z nim porozmawiać już teraz.

Zobaczyć na własne oczy, że naprawdę nic mu nie jest, że niezależnie od tego, na jakie niebezpieczeństwo go naraziłam, teraz jest bezpieczny.

- Później. Najpierw panią zbadamy.

- Nie! - warknęła Becca. - Naprawdę muszę go zobaczyć.

- Nie ma sprawy. - Ale wbrew swoim słowom, siostra Perez nawet nie drgnęła. - Muszę zmierzyć pani temperaturę i ciśnienie. Sprawdzić, czy tętno jest prawidłowe.

Oczywiście, że nie jest prawidłowe! Przeszłam piekło. Ktoś próbuje mnie zabić, zabić moje dziecko, zabić Hudsona. Nie ma tu nic normalnego. Nic anie!

- A... moje dziecko? - Potrzebowała zapewnienia.

- Nadal jest pani w ciąży. Nie ma żadnych oznak urazu. Pani ręka to najpoważniejsze obrażenie.

Becca zerknęła na bandaż na bicepsie. Ręka ją bolała.

- Musimy monitorować pani stan - oznajmiła Perez, stanowczo prowadząc Beccę do łóżka i wkładając jej termometr pod język.

Becca się nie sprzeciwiała. Nie zamierzała ryzykować życia dziecka, ale się niepokoiła. Denerwowała.

- Muszę zobaczyć Hudsona - upierała się, kiedy już pielęgniarka odczytała temperaturę i zmierzyła puls.

- Zobacz go pani. - Nałożyła jej rękaw do mierzenia ciśnienia na zdrową rękę. Kiedy już z zadowoleniem stwierdziła, że Becca nie zamierza dostać zawału, zdjęła rękaw, wyjęła igłę kroplówki i powiedziała: - Dobra. Zobaczę, co da się zrobić. Ale musi być pani ostrożna. Wstrząśnienia mózgu nie należy lekceważyć.

Becca skinęła głową, ale zaczęła szukać butów, gdy tylko pielęgniarka wyszła.

Potrzeba, żeby odwiedzić Hudsona, sprawdzić osobiście, że nic mu nie jest, nie dawała jej spokoju. Zmarszczyła brwi, widząc stan swoich ubrań wiszących w maleńkiej szafie, nadal mokrych, zabłoconych i zakrwawionych. Zdjęła szpitalną koszulę i ostrożnie naciągnęła brudne dżinsy.

Ale nie miała torebki.

Ani kosmetyków.

Dowodu tożsamości.

Kart kredytowych.

Pieniądzy.

Niczego nie miała.

Siostra Perez zajrzała do niej przez otwarte drzwi.

- Pan Walker jest w pokoju 212. - Obrzuciła strój Becki spojrzeniem i zmarszczyła brwi. - Nie było żadnych innych ubrań...

- Nie szkodzi. Ale przydałaby się torebka...

- Chyba mamy ją w szafce. Dostaliśmy ją samego rana z biura szeryfa. Nie może pani opuścić szpitala, dopóki nie zostanie wypisana. Właśnie rozmawiałam z lekarzem i zajrzy do pani za godzinę, ale wygląda na to, że pani już będzie wtedy w drodze. Od razu poprosiłam o przygotowanie wypisu.

- Dzięki. Pokój 212? - powtórzyła Becca, a pielęgniarka skinęła głową.

Wyszła pospiesznym, chociaż trochę sztywnym krokiem. Dwóch sanitariuszy pchających pacjentów na wózkach zajęło windę, więc wybrała schody. Skręciła w wyłożony wykładziną korytarz i wreszcie znalazła pokój Hudsona. Weszła do środka i zobaczyła go śpiącego na łóżku. Głowę miał zabandażowaną twarz posiniaczoną; podłączono mu kroplówkę i jakiś monitor; różne rurki wiły się w kilku kierunkach naraz.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał wysoki, tykowany pielęgniarz.

Przedstawiła się i wyjaśniła, że uczestniczyła w wypadku razem z Hudsonem. Uwierzył jej na słowo i podał kilka podstawowych informacji. Żadne z obrażeń Hudsona nie zagrażało jego życiu, ale nadal był pod wpływem środków uspokajających i spał. Poza potłuczonymi żebrami, lekkim wstrząśnieniem mózgu spowodowanym uderzeniem ponad uchem i wybitym ramieniem, którym już się zajęto, Hudsonowi nic nie było.

- Najlepiej, jeśli będzie odpoczywał - podsumował pielęgniarz, więc Becca tylko uściśniła dłoń Hudsona i wyszła. - Proszę wrócić za kilka godzin.

- Dobrze - obiecała.

Ignorując ból głowy, pospieszyła do sali wypisów, gdzie odzyskała torebkę. Kiedy zapytała o ubrania, wyjaśniono jej, że wszystko, co znajdowało się w samochodzie, z wyjątkiem torebki, którą policja już przejrzała, zatrzymano jako dowody.

- Na pewno niedługo je pani zwrócą. Becca nie zamierzała czekać. Nie mogła.

I nie zamierzała opuszczać Hudsona. Wyciągnęła komórkę, zdała sobie sprawę, że była wyłączona, więc sprawdziła wiadomości. Było ich sześć. Wszystkie od detektywa Sama McNally'ego; w każdej prosił o kontakt. Mgliście przypominała sobie, że wspomniał, że próbował się do niej dodzwonić. Od razu do niego zatelefonowała, ale połączyła się z pocztą głosową. Zostawiła wiadomość, podając mu nazwę motelu, w którym zatrzymali się z Hudsonem ostatnim razem, kiedy byli w szpitalu, żeby wiedział, gdzie jej szukać. Teraz już mu ufała. Całkowicie.

Zabawne, jak kilka tygodni i parę morderstw zmienia postrzeżenie.

Wykonała jeszcze kilka telefonów, między innymi do miejscowej wypożyczalni samochodów, reklamującej się hasłem „Tanie, nieco zużyte samochody”, do firmy ubezpieczeniowej oraz na własną automatyczną sekretarkę w domu. Mac dzwonił tam raz, a Tamara zostawiła wiadomość: „Tylko sprawdzam, co u ciebie, zadzwoń”.

Nie teraz, pomyślała Becca.

Na szczęście podstawiono jej samochód z wypożyczalni, starego, poobijanego chevroleta, więc pojechała do motelu zarezerwować pokój, a potem do centrum handlowego, gdzie kupiła sobie świeże ubranie, parę kosmetyków, batoniki energetyczne i sześciopak soków. W motelu wzięła prysznic, przebrała się w czyste ubranie, zjadła jeden batonik i wstawiła dzbanek kawy bezkofeinowej z pakieciku zapewnianego

przez motel. Pokrzepiona wróciła do szpitala, zdecydowana dorwać wreszcie lekarza Hudsona, ale uprzedziło ją dwoje policjantów z biura szeryfa, którzy też chcieli z nim rozmawiać.

Hudson nadal spał, ale detektywi, którzy czekali przy jego drzwiach, zorientowali się, kim jest Becca, i postanowili najpierw ją przesłuchać. Zdobyli trochę informacji poprzedniego wieczoru, ale chcieli więcej, żeby dowiedzieć się, kto ją zepchnął z drogi, a potem ścigał przez las.

Usiedli w poczekalni niedaleko stanowiska pielęgniarek na pierwszym piętrze i pokoju Hudsona. Nie licząc kilku zniszczonych plastikowych krzeseł, sztucznej roślinki i stolika zawalonego starymi pisemkami, w poczekalni było pusto. Kiedy policjantka, która przedstawiła się jako detektyw Marcia Kirkpatrick, notowała i zadawała pytania, jej partner, siwy mężczyzna około pięćdziesiątki, Fred Clausen, przeglądał się uważnie Becce. Wtrącił się tylko z kilkoma pytaniami, gdy coś było dla niego niejasne.

- Widziała pani napastnika? - zapytała Kirkpatrick.

Była szczupłą, wysportowaną kobietą o ostrych rysach i wąskich, nieumalowanych ustach.

- Widziałam go, a właściwie jego sylwetkę, ale w lesie było ciemno i padało, nie świecił nawet księżyc. Widziałam go przez chwilę w światłach samochodu, ale był ubrany na czarno albo granatowo i nosił kaptur.

Pomyślała o obrazie z wizji, połączyła to z mężczyzną, który ścigał ją poprzedniego wieczoru, i uznała, że to ten sam napastnik. Ale obraz pozostawał tylko w niej i nie było z niego żadnej korzyści. Nie czuła się na tyle swobodnie przy policjantach, żeby przyznać, że „widziała” różne rzeczy. Uznaliby, że jest wariatką. Wsuwając ręce między kolana, dodała:

- Pozostały mi tylko wrażenia.

- Ile miał wzrostu? - zapytała Kirkpatrick.

- Metr osiemdziesiąt, może metr osiemdziesiąt pięć. Wysoki.

- Mocno zbudowany? Szczupły? - Policjantka uniosła rudawe brwi, świdrując Becce wzrokiem.

- Ani to, ani to. Wiem, że był wysportowany. Nie tracił tchu... - Przypomniała sobie pościg i zimny strach, który ją pożerał. - Miało się wrażenie, że jest w formie. Nie mogę powiedzieć, ile miał lat, ale to nie był ani dzieciak, ani staruszek. Poruszał się zbyt szybko. Był silny. - Przypomniała sobie czystą nienawiść, jaką emanował. - Chciał mojej śmierci.

- Skąd pani wie? - zapytał Clausen.

Żołądek jej się przewrócił i pomyślała, że zaraz z wymiotuje.

- Bo jestem celem. Może uznacie, że przesadzam, ale coś podobnego wydarzyło się dawno temu. Jakies szesnaście lat temu, niedaleko tego miejsca. Zostałam zepchnięta z drogi... Myślę, że to był ten sam człowiek.

- Myśli pani, że ten sam facet ścigał panią wtedy, niemal dwadzieścia lat temu, ale chociaż od tego czasu mieszkała pani w okolicy Portland, ani razu pani nie zagroził? - Sceptycyzm Kirkpatrick był zrozumiały.

- Za pierwszym razem mu się nie udało.

Para detektywów spojrzała na siebie. Kirkpatrick obracała długopis w palcach, kilka razy nim pstryknęła.

- Ale od tamtego czasu nie zaczepiał pani?

- Nie, aż do ostatniej nocy. Ale to z powodu Jessie.

- Jakiej Jessie? - zapytał Clausen.

- Jezebel Brentwood. Była moją przyjaciółką w szkole średniej.

- Dziewczyna, której kości znaleziono. - W Clausenie obudziła się ciekawość. - Ta, o którą pytał gliniarz z Laurelton, McNally. - Pokiwał głową. - Uważał, że istnieje związek między jej śmiercią i śmiercią Renee Trudeau.

Teraz szybko zaczęli łąpać.

- Renee jest... była siostrą Hudsona. - Becca wskazała brodą drzwi do jego pokoju.

- Skoro pani jest celem, to dlaczego zabił ją?

- Nie wiem. Myślę... myślę, że to ma coś wspólnego z morderstwem Jessie. - Becca zaczęła tłumaczyć związek, tak jak go rozumiała: że Renee grzebała w przeszłości i przestraszyła mordercę, który wtedy skupił się na niej.

To brzmiało o wiele lepiej, dopóki nie wypowiedziała tego na głos. Nie sposób było to wyjaśnić.

- A wracając do ostatniej nocy... - podjęła Kirkpatrick, mrużąc oczy. - Ten facet, który panią gonił, mówił coś do pani?

- Nazwał mnie „siostrą”. Powiedział, że jest wysłannikiem Boga.

- Hm. Może „siostra” w takim rozumieniu: jak „wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami”? - zasugerowała policjantka.

- To brzmiało jak coś bardziej osobistego, ale... - Becca wzruszyła ramionami.

- Powiedział coś jeszcze? - spytał Clausen. Zamknęła oczy i przypomniała sobie.

- Nazwał mnie chyba „szatańskim pomiotem”, a potem powiedział: „Jezebel i Rebecca”.

- To ma dla pani jakiś sens? - zapytała Kirkpatrick. Kiedy Becca pokręciła głową, odezwał się Clausen:

- Wygląda na to, że facet rozmawia z Bogiem albo wypełnia jego rozkazy.

Jego twarz niczego nie wyrażała. Kirkpatrick nadal patrzyła na Becę.

- Rozpoznałaby pani jego głos?

- Nie wiem - odpowiedziała, ale kiedy przypomniała sobie swoją panikę i wysiłek, skinęła głową. - Nie rozpoznałabym go, gdybym miała wskazać go z grupy, ale myślę, że jego głos bym poznała.

Na samą myśl przeszedł ją dreszcz. Modliła się, żeby nigdy więcej go nie zobaczyć, nigdy więcej nie słyszeć tego wstrętnego węzowego syku, kiedy szeptał przekleństwa.

- Ale nie pamięta pani niczego, co pozwoliłoby go zidentyfikować? Żadnych tatuaży, blizn czy charakterystycznych znaków?

Becca pokręciła głową.

- Nie widziałam go, ale wiem, że solidnie oberwał ode mnie kamieniem. Zatoczył się i zyskałam na czasie. Mógł zostać ślad. Podbite oko, posiniaczone czoło, coś takiego.

- Mógłby szukać pomocy lekarskiej? - zapytała z nadzieją kobieta.

- Nie.

- Nie wygląda mi na faceta, który szukałby lekarza, nawet gdyby go potrzebował - zgodził się Clausen.

Po kilku następnych pytaniach, które zadawali, mając nadzieję dowiedzieć się czegoś o napastniku, poddali się. Clausen obiecał wrócić i porozmawiać z Hudsonem, kiedy się obudzi.

- Jeśli coś sobie pani przypomni, proszę zadzwonić - nalegał i podał jej wizytówkę.

- Lepiej zobacz to - powiedziała Gretchen łagodnym jak na siebie tonem i gestem przywołała Maca do swojego biurka.

- Chwileczkę.

Poszedł po kawę i wrócił do Gretchen, idąc wśród labiryntu biur, przy których policjanci już rozmawiali przez telefony, rejestrowali podejrzanych, przeglądali notatki, odwalali papierkową robotę.

Nawet w wydziale zabójstw było roboty do diabła. Poza typową dawką spraw, w jednej z lokalnych melin miała miejsce bójka. Kolejny handlarz prochami źle skończył, jeden dwudziestotrzylatek dostał nożem i zmarł w drodze do szpitala. Poza tym dzieciaki urządziły sobie wyścigi na autostradzie 26. Wypadek śmiertelny, jeden dzieciak w szpitalu, bez nadziei na to, że z tego wyjdzie, drugi nie żyje. Kierowca, rzecz jasna, wyszedł z tego cało, z kilkoma rozcięciami i złamaną nogą.

Gretchen siedziała przy biurku, z wydrukami schludnie rozłożonymi przed sobą, przy włączonym monitorze.

- Nie zabawię tu długo - powiedział Mac, ziewając.

Podszedł na tyle blisko, żeby zerknąć jej przez ramię. Po pospiesznej wizycie na komisariacie wrócił na wybrzeże. Nie przespał pół nocy, zajmując się wypadkiem Hudsona i Becki, a potem krążył między telefonem, rozmawiając z biurem szeryfa w hrabstwie Tillamook, a notatkami, które jeszcze raz przeglądał.

Tego ranka w drodze do pracy podrzucił Leviego i Ringa do Connie, która z typowym dla niej wdziękiem oznajmiła:

- To emocjonalny szantaż, mówić Levieciu, że może trzymać tu psa, skoro wiesz, że to ja będę się nim zajmować.

- To tylko na jeden dzień. Wieczorem powinienem wrócić.

- Powinieneś - powtórzyła. - Znam cię, Sam. Sprawa cię wciągnie, ta sama cholerna sprawa małej Brentwood, stracisz poczucie czasu albo będziesz musiał wyjechać... coś gdzieś sprawdzić i znowu zostawisz mnie ze wszystkim.

- Jeden dzień. Jeden. To wszystko.

Nad jej ramieniem widział wnętrze domu, ciepłe, delikatne światło, brzeg nowoczesnej, zielonej kanapy; poczuł zapach cynamonu i jakichś innych przypraw, płynący z kuchni.

- Musisz tylko zająć się psem przez jeden dzień. Należy do ofiary. Jak tylko wyjdzie ze szpitala, będzie chciała go odebrać.

- Nigdy nie słyszałeś o cholernych schroniskach? Nie tam zwykle trzyma się bezpieczne kundły?

- On nie jest bezpieczny. - Mac tracił cierpliwość.

- Tak czy inaczej, to ja wyjdę na tego złego. Źle, jeśli się zgodzę, źle, jeśli nie. - Z każdą sekundą twarz Connie robiła się coraz bardziej czerwona.

- Wrócę wieczorem.

- Tom ma alergię - powiedziała, krzyżując ręce na piersi i patrząc władczo z progu, ale Mac już był w połowie drogi do samochodu.

Wiedział, że zatrzyma psa. Zrobi to nie dla niego, ale dla Leviego. Teraz Gretchen wskazała na kopię jednego z dokumentów, który wygrzebała.

- Powiedziałaś Rebecce Sutcliff, że Jessie Brentwood była jej siostrą?

- Nie miałem okazji. Zachnęła się.

- Popatrz na to. Rebecca Sutcliff... poszperałam trochę na jej temat. Pamiętasz ten kostny wyrostek, który miał szkielet Jessie Brentwood?

- Aha. - Zainteresował się.

- Rebecca Sutcliff też taki ma.

- Masz jej karty medyczne?

- Hm. Słyszałaś, jak mówiła sanitariuszom, że miała wypadek szesnaście lat temu? Taka sama sprawa, zepchnięto ją z drogi. Zgadnij, z której. -Spojrzała na niego. Podnosił kubek do ust, ale się zawahał.

- Jaja sobie robisz.

Wiedział, co Gretchen powie, zanim otworzyła usta.

- W żadnym razie. Została zepchnięta z drogi niedaleko Elsie przy autostradzie 26, ale zabrano ją do szpitala w Portland.

- Ocean Park był wtedy mały - powiedział Mac, poruszony nowymi informacjami. Przyjrzał się dokładniej, gdy Gretchen przeskoczyła na monitorze z jednego dokumentu na drugi.

- W każdym razie mam raport lekarski. Wyszła względnie cało, ale była w ciąży i straciła dziecko.

- Cholera.

- I jest adnotacja o wyrostku kostnym... w tym samym miejscu, co u Jezebel Brentwood. Więc poszukałam trochę, wyciągnęłam zapiski wojskowe na temat jej ojca, dane medyczne jej matki i oto niespodzianka. Obydwoje mają grupę 0 plus, a Becca ma B minus.

- Nie są jej rodzicami - stwierdził beznamiętnie.

- Nie biologicznymi.

- Więc ona i Jessie miały tych samych rodziców, ale nie Ryanów.

- Obie musiały być z tej samej agencji adopcyjnej, mieć tego samego prawnika, coś w tym stylu.

- W Portland? Jakim cudem obie wylądowały w Świętej Elżbiecie? - zastanawiał się Mac.

- Może to przypadek. Jessie lubiła uciekać z domu i przeszła przez wiele szkół, zanim wysłali ją do Elżbiety.

- Brentwoodowie nie lubią o niej mówić. Nie chcą wspominać o jej adopcji ani o niczym takim.

Gretchen spojrzała na niego, mrużąc oczy syjamskiego kota.

- Myślisz, że ten dupek, który zepchnął Sutcliff i Walkera z drogi, wie coś na ten temat?

Mac wyszczerzył do niej zęby.

- Zaczynasz myśleć jak ja, Sandler. Widzisz związki tam, gdzie ich nie ma.

- Wcale nie. Uważasz, że to ten sam facet, który zadźgał Jessie.

- Ten gość zdecydowanie mnie interesuje. Kiedy ruszył w stronę drzwi, krzyknęła za nim:

- Przywieź mi tym razem trochę słonego toffi, sknero!

Becca kręciła się po szpitalu i czekała. Właśnie zdążyła kupić kubek kawy bezkofeinowej i gazetę w budce przy wejściu, kiedy zadzwonił jej telefon. Zauważyła zły wzrok starszej kobiety o wysoko upiętych siwych włosach, która prowokacyjnie spojrzała na znak informujący, że w szpitalu obowiązuje zakaz używania komórek. Becca pojęła aluzję. Sprawdziła, kto dzwoni. Widząc numer Sama McNally'ego, odebrała, idąc korytarzem do głównego wyjścia.

Nie była sama. Jakiś mężczyzna niemal krzyczał do telefonu, chodząc w kółko i paląc papierosa.

- Słucham, detektywie?

- Jak się pani czuje?

- W porządku, biorąc pod uwagę sytuację.

- A Hudson?

- Wyjdzie z tego. Jak się ma Ringo? I pański syn?

McNally pokrótce powiedział jej, gdzie jest Ringo, i że Levi zaskoczył go, tak szybko biorąc na siebie odpowiedzialność za psa. Obaj byli u byłej żony McNally'ego. Przynajmniej Ringo jest bezpieczny, pomyślała. Zaczęło padać i mężczyzna, który prawie krzyczał do telefonu, wrócił do szpitala.

- Gdzie pani jest?

- Nadal w szpitalu.

- Proszę na mnie poczekać. Jadę do pani. Będę za jakiś kwadrans.

- Jasne.

Rozłączyła się i poszła znowu sprawdzić, co u Hudsona, który powoli dochodził od siebie. Zdołał uśmiechnąć się słabo na jej widok.

- Nic ci nie jest?

- Nic.

- A...? - Spojrzał na jej brzuch.

- Dziecku też nic nie jest.

Z jego twarzy zniknęła część napięcia. Zastanawiała się, jakby mu to powiedziała, gdyby straciła dziecko. Jak poprzednio. W jaki sposób powiesz mu o pierwszym dziecku? O wypadku, tak podobnym do poprzedniego, który spowodował poronienie?

Spojrzał mu w oczy. Powieki miał ciężkie z bólu i strachu; zarost na policzkach z trudem ukrywał siniaki. To nie był dobry dzień na przywoływanie dawnego smutku.

- Hej - powiedziała, pochylając się i muskając ustami jego czoło. Wyciągnął rękę i przytrzymał ją blisko siebie.

- Znaleźli go?
- Nie sądzę. Jeszcze nie. McNally był tam.
- Gdzie?
- Wracał z wybrzeża i gdyby się nie pojawił, nie wiem, co by się stało.

Opowiedziała mu o wydarzeniach z poprzedniej nocy, o których nie wiedział. Nie wspominała za wiele o własnym przerażeniu, ale sposób, w jaki świdrował ją spojrzeniem, mówił jej, że go nie oszuka.

- Zabiję tego łajdaka. Jak znowu z nami zadrze, oderwę mu parszywy łeb.

- Myślę, że Jessie zgodziłaby się z tobą - rzuciła od niechcienia. - To właśnie próbowała mi powiedzieć: sprawiedliwość. Ona chce sprawiedliwości.

- Widziałaś ją?
- I on też. Wołał nas po imieniu, Jezebel i Rebecca.
- Co to, do diabła, znaczy?

Usłyszała, że ktoś kaszle za jej plecami. Odwróciła się i zobaczyła w progu dwoje detektywów od szeryfa.

- Wygląda na to, że chcą z tobą pogadać. Wrócę później.

Kiedy policjanci weszli do sali, ona ruszyła do schodów. Zadzwoiła jej komórka, więc odebrała i usłyszała zmartwiony głos Tamary.

- Nic ci nie jest? Co z Hudsonem? Mój Boże, właśnie usłyszałam w wiadomościach o waszym wypadku. Że zepchnięto was z drogi. Zupełnie jak Renee!

- Nic nam nie jest - zapewniła ją Becca i zatrzymała się w korytarzu przy bocznych drzwiach. - To znaczy mnie nic nie jest, z Hudsona chwilowo nie będzie pożytku.

Opisała dokładnie, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, ale pominęła wątek z Pieśnią Syreny. Nie było potrzeby go poruszać. Sama nie wiedziała, co znaczy.

Tamara przerywała jej opowieść różnymi uwagami:

- Żartujesz sobie... Ale kto ci zagrażał... Myślisz, że to ma coś wspólnego z Jessie... Wiesz, miała rację, wygląda na to, że to naprawdę klątwa... Nie potrzebujesz czegoś w stylu, no wiesz, ochrony policyjnej?

- Po prostu muszę się zorientować, co jest grane - odparła Rebecca i pomyślała o Pieśni Syreny.

Jej wcześniejszy strach i odrazę zastąpił przemożny gniew. Tak jak Hudson chciała przyskrzyńić tego skurczybyka.

- Nie uważasz, że powinnaś wracać do domu?
- Nie bez Hudsona - odparła i tak to zostawiła.

Nie mogła się zwierzyć Tamarze, nie mogła się zwierzyć nikomu. Nie, dopóki nie pozna więcej odpowiedzi.

Wyszła bocznymi drzwiami. Wiatr szarpał kapturem jej nowej bluzy, a powietrze było ciężkie od wilgoci. Właśnie zastanawiała się, co zatrzymało McNally'ego, kiedy zobaczyła go idącego w stronę frontowych drzwi szpitala. Skręcił w jej stronę i spotkali się na betonowej ścieżce prowadzącej do sąsiedniego budynku z innymi oddziałami.

- Cieszę się, że się pan pojawił zeszłej nocy - rzekła z powagą. Trzymał ręce w kieszeniach i wyglądał, jakby zestarzał się o dziesięć lat

w dziesięć godzin. Nieogolony, rozczochrany, szpakowaty, z ciemnymi workami pod oczami - widać było, że nie spał za wiele. Ale z drugiej strony, ona też. Nie miała ochoty patrzeć w lustro.

- Moglibyśmy usiąść gdzieś i porozmawiać na osobności?

- W holu jest budka z kawą i paroma stolikami. Nie wiem, na ile to zapewni nam prywatność...

- Wystarczy.

Weszli przez szklane drzwi automatyczne za kilkoma zagadanymi pielęgniarzkami w uniformach wystających spod płaszczy. Kobiety chowały głowy przed wiatrem.

- Ja stawiam - powiedział McNally i Becca poprosiła o czarną bezko-feinową.

Kilka minut później usiadł obok niej przy stoliku, który wybrała, bo stał nieco bardziej na uboczu od reszty. Podał jej papierowy kubek i spojrzał poważnie.

- Co chciał mi pan powiedzieć? - zapytała nagle przestraszona. - O Boże, ktoś umarł? Kolejny wypadek?

- Nic takiego, proszę mi zaufać. Pani psu też nic nie jest. Znajduje się pod doskonałą opieką. - McNally zawiesił głos. - Proszę mi opowiedzieć o swoich rodzicach.

- Moi rodzice? - zdziwiła się. - Co pan chce wiedzieć? Zmarszczył brwi. Zawahał się, a potem spojrzał jej prosto w oczy.

- Pani grupa krwi nie odpowiada grupie krwi ani Barbary Metzger Ryan, ani Jamesa Ryana. To niemożliwe, żeby była pani ich biologicznym dzieckiem.

Zagapiła się na niego.

- Dokąd to zmierza?

Ale wiedziała. Po prostu wiedziała. Należała do tamtych ludzi tak samo jak Jessie. Były powiązane. Obie. Powiązane z nim!

Powróciła myślami do poprzedniej nocy. „Siostra” - tak nazwał ją ten potwór. Siostra. Czy to było... dosłowne?

Zadrzała.

„Wyglądasz jak jedna z nich - powiedziała stara kobieta, kładąc sękatą dłoń na jej płaskim brzuchu. - Jak kobiety z Pieśni Syreny”.

Rozdział 25



Pani Sutcliff? Becca? - odezwał się McNally, widząc, jak kobieta blednie, skupiona na własnych myślach.

Z trudem powróciła do rzeczywistości.

- Mówi pan, że zostałam adoptowana.

- Tak.

Była spokrewniona z członkami osady w Pieśni Syreny. Spokrewniona z dziewczyną, która wyglądała całkiem jak Jessie. Miała pytanie na końcu języka. Chciała zapytać o coś bardzo dziwnego, co jednak miało pewien sens.

Zanim jednak zdążyła spytać, McNally ciągnął:

- Mamy wyniki badań DNA. - Opowiedział jej o wynikach i wyrostku kostnym, identycznym z wyrostkiem Jessie. - Jest pani siostrą Jessie Brentwood.

- DNA pasuje - powtórzyła.

- Pani rodzice i rodzice Jessie to ci sami ludzie - dodał w ramach potwierdzenia.

- Jak to możliwe? - mruknęła cicho, ale wszystko zaczynało się układać w całość.

Pod pewnymi względami wyglądała jak Jessie. Każda z nich miała dziwną i kłopotliwą zdolność - ona wizje, Jessie dar jasnowidzenia. Jessie pojawiała się w jej wizjach, które były tak realistyczne, że mogły być przekazem.

McNally opowiadał. Mówił, że Jessie mogła szukać Becki; że uciekała z domu i chodziła do wielu szkół, nie tylko w okolicach Portland; że może uciekała do czegoś, a nie od czegoś.

- Nie - przerwała mu Becca. - Ona uciekała od niego.

- Od niego? Od faceta, który wczoraj zepchnął was z drogi?

- Tak.

Pokiwał głową przyglądając się Becce uważnie, jakby podejrzewał, że się rozpadnie.

- Rozmawiałem z Brentwoodami kilka razy. Nigdy nie chcieli mówić o adopcji Jessie.

- Moi rodzice w ogóle mi nie powiedzieli.

Mruknęła z niedowierzaniem, a potem znowu zamilkła na dłużej, w myślach przestawiając kawałki własnego życia jak układankę, próbując dopasować je na różne sposoby, odrzucając jeden, sięgając po drugi.

- Pani ją przypomina - zauważył McNally.

To dlatego Hudson mnie „kocha”? To właśnie we mnie widzi? Zawsze się zastanawiała, a teraz wyglądało na to, że miała rację.

DNA to niepodważalny argument. Wierzyła McNally'emu.

Spojrzała na nietknięty kubek kawy i poczuła, jakby jej życie, wszystko, co kiedykolwiek uważała za prawdziwe, rozpadało się u jej stóp. Dlaczego rodzice ją oklamywali?

- Jessie nie wiedziała - powiedziała. Dopiero po śmierci...

McNally skinął głową.

Becca przełknęła ślinę. Przecież zawsze wiedziała, że jest inna, prawda? Z powodu wizji podejrzewała, że istniało w jej przeszłości coś, czego nie знаła albo nie rozumiała?

Zacisnęła dłoń na kubku. Całe jej życie zbudowano na kłamstwach i z tego powodu nie potrafiła przewidzieć, że ten potwór będzie ją nieustępliwie ścigał.

- On ją zabił - powiedziała z pełnym przekonaniem. - Wczoraj w nocy miał nóż. Chciał mnie zabić, ale wtedy zobaczył ją, i to go powstrzymało.

- Kogo zobaczył?

- Jessie. W wizji. Mówiłam panu, że mam wizje? Że widzę Jessie stojącą na krawędzi urwiska, szepczącą do mnie? Ona chce sprawiedliwości, tak myślę. Chce, żeby to się skończyło raz na zawsze z tym demonem, który nie pozwala nam żyć!

- To robota dla policji - odparł szybko McNally, najwyraźniej myśląc, że Becca zamierza sama stanąć do walki.

A nie zamierzała? Nie o tym właśnie myślała? Nie czuła w piersi pragnienia, które było jak wściekła żywa istota?

- Szukamy go. Odjechał, ale jego samochód został poważnie uszkodzony. Mówiła pani, że był biały czy beżowy?

- Orurowanie - odezwała się nagle Becca. - Półciężarówka miała z przodu kratę.

- Przednie orurowanie - powiedział McNally. - Być może zdejmowane, jeśli posłużył się tym samym wozem, spychając Renee Trudeau.

- Było uszkodzone, porysowane.

- Pamięta pani coś jeszcze? Coś jeszcze, co mogłoby pomóc? Choćby drobiazg?

Przyglądała mu się dłuższą chwilę. McNally czekał, zastanawiając się, co tym razem wyskoczy. W końcu rzekła:

- Podejrzewam, że odpowiedź znajduje się w Deception Bay. Myślę, że on tam mieszka.

- A skąd to przypuszczenie?

Prawie mu powiedziała o Pieśni Syreny. Nie mrugnął nawet, gdy wspomniała o swoich wizjach, ale to tylko oznaczało, że przetrwał informację, a nie że jej uwierzył. Mógł sobie pomyśleć, że jest kompletną wariatką.

- Jest jeszcze jedno - odezwał się, przypominając jej o tu i teraz. - Mówiła pani, że już jej się to przydarzyło. Że zepchnięto panią z drogi, kiedy poprzednio była w ciąży.

Natychmiast się wyprostowała. Wiedział?

- Powiedziała pani sanitariuszom, a ja usłyszałem - wyjaśnił, słusznie zgadując jej odczucia. - Wypadek miał miejsce szesnaście lat temu, na tym samym odcinku drogi. Moja partnerka to sprawdziła. Czy to Walker był ojcem?

Poczuła się tak, jakby ktoś wycisnął z niej całe życie.

- Tak - szepnęła, kiwając głową - ale nigdy mu nie powiedziałam. Jeśli zamierza pan o tym mówić, powinnam pierwsza z nim porozmawiać.

- Jeśli istnieje jakaś prawidłowość, powinien wiedzieć.

- Istnieje.

- Więc należałoby powiedzieć mu o tym teraz.

Przez chwilę nie mogła się ruszyć. Jakby nagle cały ból po obrażeniach zeszedł nocy powrócił z dziesięciokrotnie zwiększoną siłą. Z energią staruszki podniosła się i ruszyła do sali Hudsona.

Hudson był obolały.

Kiedy przesunął się na łóżku, miał wrażenie, że bolał go każdy centymetr ciała. Spojrzał na tabliczkę przy łóżku. Ciąg „wesołych” i „nie całkiem wesołych” buziek wskazywał, w jakim miejscu powinny plasować go leki przeciwbólowe. Powinien znajdować się w strefie szczęśliwej, ale zdecydowanie tam nie dotarł. Ale pielęgniarka była już u niego i zmieniała coś przy kroplówce, więc wkrótce powinno być lepiej. Detektywi z biura szeryfa też wyszli.

To było frustrujące przesłuchanie. Niewiele się od nich dowiedział i podejrzewał, że oni od niego jeszcze mniej. To taka sytuacja, w której obie strony przegrywają, więc i policjanci, i on poczuli zniechęcenie.

Nie mógł się doczekać, kiedy stąd wyjdzie, zacznie szukać tego chorego palanta, który zepchnął ich z drogi i najprawdopodobniej zabił Renee. Ale chociaż starał się, nie potrafił przekonać lekarza, by został wypisany. Za każdym razem, gdy pytał pielęgniarkę albo lekarza, kiedy go wypiszą, słyszał „niedługo”, „być może jeszcze dzisiaj”

albo „pewnie jutro”. Chciał wyjść, i to już, teraz, zaraz. Martwił się, że Becca nadal tu czeka, w miejscu, w którym zaczęły się wszystkie kłopoty, gdzie Renee badała sprawę, zanim ją zabito, gdzie napastnik już raz próbował ich zamordować. Co go teraz powstrzyma?

Co to oznaczało, że i Becca, i napastnik widzieli Jessie?

Zaklął, kiedy spróbował się poruszyć i ostry ból przeszył mu ramię. Zmusił się do zamknięcia oczu, żeby zebrać myśli i coś zaplanować. Jakoś musiał przyskrzynić tego skurczybyka, który ich zaatakował, zanim ten wariat będzie miał drugą okazję.

Leki właśnie zaczęły działać, kiedy drzwi otworzyły się i weszła Becca. Nigdy w życiu nie ucieszył się tak na czyjś widok.

- Cześć - powiedział, przesuwając się, na ile mógł. - Myślę, że znajdzie się tu miejsce dla dwojga.

- Jasne - odparła, zmuszając się do słabego uśmiechu.

- Zobaczysz, że warto.

- Widać, że jesteś na prochach.

- Poważnie mówię.

- Cóż, ja wiem swoje. - Przestała się uśmiechać. - Chcę z tobą porozmawiać. Poważnie.

Zobaczył, że cień przepłynął przez jej twarz. O co chodzi? Coś się stało! Znowu zginął ktoś z ich przyjaciół? Ktoś znajomy?

Widząc niepokój w jego oczach, złapała go za zdrową rękę i uspokajała:

- To nie takie straszne. Uspokój się.

A potem powiedziała mu o wyrostku kostnym, o DNA oraz o tym, że wygląda na to, że została adoptowana, nigdy wcześniej nie powiedziano jej prawdy i nie ma pojęcia, kim są jej biologiczni rodzice.

Wyjaśniła, że były z Jessie siostrami.

- Co takiego? - Hudson oniemiał.

- Obie jesteśmy z Pieśni Syreny. Obie. To są nasi ludzie, i jego też.

- Nie wierzę - oznajmił, ale kłamał.

- Jest coś jeszcze.

- Coś jeszcze? - zapytał z niedowierzaniem. Wzięła głębszy oddech.

- Coś, o czym powinnam była powiedzieć ci dawno, dawno temu.

- No dobrze... - Jej ton przyciągnął jego uwagę.

- Pamiętasz, jak poprzednio się spotykaliśmy? Po szkole?

- Aha.

Widziała, jak kiwa głową i zauważyła błysk w jego oczach. Łzy?

- Byliśmy razem cały czas - rzuciła ochryplym głosem. Przytaknął.

Zawahala się.

Miał wrażenie, jakby ściany sali zamykały się wokół niego, hałasy z korytarza przycichły.

- Co jest, Becca? - zapytał i zdał sobie sprawę, że ściska jego rękę tak mocno, że czuł to mimo mgiełki, jaką otaczały go leki przeciwbólowe w kroplówce.

- Byłam w ciąży - wyznała blada, z wykrzywioną twarzą.

- Co?

- Nosiłam twoje dziecko. Tylko kilka miesięcy, ale niewątpliwie byłam w ciąży. Słyszał bicie własnego serca. Zauważył, że jej zaciśnięte palce wilgotnieją.

- Więc co się z nim stało? - zapytał, chociaż wiedział, jakby już usłyszał odpowiedź.

Dziecko nie przeżyło. Zagapił się na nią i poczuł ból wgrzający się w jego trzewia. Nawet przez sekundę nie zwątpił w prawdziwość jej słów - widział emocje, jakby je wytrawiono na jej skórze.

- Tak mi przykro - szepnęła, pociągając czerwonym nosem. - Dziecko zginęło w strasznym wypadku samochodowym. Właściwie to była napaść. Poroniłam. - Odchrząknęła i zamrugęła, powstrzymując łzy. - Powinnam była ci powiedzieć - szeptała gorączkowo. Wcześniej. Później... to już nie miało specjalnego sensu.

- Nie uważałaś, że chciałbym wiedzieć?

- Nie byłam pewna, czego chciałeś - przyznała, gapiąc się w sufit i mrugając. - Byłeś taki... zimny. Myślałam, że nie chcesz mnie, i byłam przekonana, że nie życzylibyś sobie dziecka.

Hudson zamknął oczy. Kolejka górską, jaką były ostatnie miesiące, znowu gwałtownie zjechała. Myślał, że Jessie była z nim w ciąży, a potem dowiedział się, że to nieprawda. A teraz usłyszał, że Becca była... i nie ufała mu na tyle, żeby powiedzieć.

Nie byłeś wtedy godny zaufania, Walker.

Ale jego dziecko - jego dzieciak - miałby teraz szesnaście lat, prawie kończyłby szkołę średnią, a on i Becca... kto wie? To prawda, że nie wiedział wtedy, czego chce od życia, nadal nie poradził sobie ze sprawą Jessie. Nadal gryzło go sumienie, że pragnął Becki, kiedy Jessie zniknęła z powierzchni ziemi.

- Zostałaś zepchnięta z drogi, tak jak my wczoraj?

- Tak.

- I myślisz, że to nie jest zbieg okoliczności.

- Zgadza się. - Zobaczyła, że Hudson zaciska zęby. - On nie przestanie. Przepraszam, powinnam była ci powiedzieć, ale on...

Bach, bach, bach!

Becca odwróciła się do drzwi, które otworzyły się, a za jej spojrzeniem powędrował wzrok Hudsona. Był zły. Chciał z nią porozmawiać, a jego frustracja wzrosła, gdy zobaczył, że do pokoju wchodzi jego przyjaciele - Jarrett i Trzeci.

- Myślałem, że skoro Scott jest w więzieniu, nic nam już nie zagraża - obwieścił Trzeci. - Co się, u diabła, stało?

- Próbuje się zorientować - odparł Hudson, patrząc na Beccę. Wiedziała, że Hudson chce jeszcze z nią porozmawiać, ale kiedy Zeke

wszedł do pokoju - a wyglądał, jakby stracił pięć kilo i zestarzał się z dziesięć lat - rozmowa zdecydowanie się urwała.

Skorzystała z okazji, żeby uciec. Dała Hudsonowi sporo do przemyślenia, a i sama też chciała się zastanowić, co dalej, nie skupiając się na nim.

- Wrócę później - obiecała.

- Kiedy?

- Niedługo.

- I pozwolisz McNally'emu zająć się wszystkim?

- Tak.

Wyszła z sali, nim zdążył zaprotestować, zostawiając go z kumplami i chmurną miną.

Przebiegła przez parking do poobijanego wypożyczonego samochodu, ścigana przez milion pytań. Rodzina Jessie tam mieszkała. Jessie wiedziała, że jest adoptowana. Rodzice adopcyjni mieli drugi dom w Deception Bay. Ludzie z Pieśni Syreny byli do niej podobni i trzymali się na uboczu. Renee została zabita, bo czegoś się dowiedziała.

Wsiadła do samochodu, włożyła kluczyki do stacyjki i ruszyła przez kałuże na parkingu. Przestało padać, ale chmury przesłaniały niebo, łącząc się z oceanem i przesłaniając horyzont. Pojechała w stronę Deception Bay. Tam zaczęły się wszystkie oszustwa, podstępny i morderstwa. W sennym nadmorskim miasteczku, okrytym sekretami i kłamstwami.

Skreśliła z autostrady 101 i pojechała opustoszałą główną ulicą miasteczka. Naprawdę urodziła się tutaj? Nawet mieszkała w tej rybackiej miejscinie? Była częścią Pieśni Syreny. Rzeczywiście miała wrażenie, że to miejsce jest znajome.

Zaparkowała w pobliżu cukierni Sands of Thyme, która, jak wiele innych sklepów w mieście, była zamknięta. Gdy wysiadała z samochodu, zauważyła, że po raz pierwszy nawet najłżejszy powiew nie poruszał po wietrzem nad ulicami; wał mgły napływał powoli znad morza na grzbietach fal.

Drżąc w środku, otuliła się ciaśniej bluzą. Cisza przed burzą.

Zimne przerażenie wspinało jej się po kręgosłupie. Zastanawiała się, czy naprawdę chce odkryć prawdę, zdjęć kolejne, cieniutkie jak łupinki na cebuli warstwy kłamstwa. Ilu ludzi próbowało uniemożliwić jej poznanie okoliczności jej narodzin i dlaczego to sprawiło, że jeden wariat gotów był zabijać raz za razem?

Była z nim spokrewniona? Chciał zabić i Jessie, i ją? Obie były szatańskim pomiotem?

Poszła nad ocean i powróciło do niej wrażenie déjà vu. Naprawdę tu mieszkała?

Tu właśnie znajdowały się wszystkie odpowiedzi: w Pieśni Syreny. Tam powinna ich poszukać.

Nagle poczuła lodowaty oddech na karku i zerknęła przez ramię. On tu był.

Mroczny, ukryty w cieniach, stał z szeroko rozstawionymi stopami i patrzył prosto w jej umysł.

- Ej! - rozległ się męski głos. Odwróciła się. - Proszę uważać! Półciężarówka zatrzymała się na skrzyżowaniu, gotowa jechać dalej, tyle że Becca stała na środku ulicy, blokując przejazd. - Nic pani nie jest? Otrząsnęła się.

- Przepraszam.

- Cholerni miejscowi. Banda pochranionych świrów - mruknął pod nosem facet w samochodzie i pojechał dalej.

Gdybyś tylko wiedział, pomyślała Becca, nadal trzęsąc się w środku, zerkając w zaułek, gdzie rósł świerk i gdzie zobaczyła mężczyznę, który jej zdaniem próbował odebrać jej życie.

- Bracie - powiedziała, a słowo to zostawiło w ustach obrzydliwy smak.

Widziała go? Naprawdę? Z pewnością wyczuwała jego obecność, ale czy to oznaczało, że naprawdę tu był?

Odetchnęła głębiej i się otrząsnęła. Nie było czasu do stracenia. Musiała jechać do Pieśni Syreny i znaleźć odpowiedzi. Teraz.

Lekarz nie zamierzał go wypuścić, ale Hudson nie mógł znieść siedzenia w zamknięciu nawet minuty dłużej. Postanowił podpisać wszystko, co trzeba, żeby go wypisali, zwolnić od wszelkiej odpowiedzialności szpital, lekarza i wszystkich innych pracowników tej instytucji, którzy choćby przez chwilę do niego zajrzeli, i wyjść stąd o własnych siłach.

Już przekonał Zeke'a, żeby pożyczył mu wóz.

Zeke się wahał. Hudson nie mógł mieć o to pretensji, ale musiał działać. I owszem, wykorzystał poczucie winy Zeke'a, więc jego niegdyś najlepszy kumpel oddał kluczyki do klasycznego mustanga człowiekowi z jedną sprawną ręką, wściekłemu

i nabuzowanemu lekami przeciwbólowymi. Trzeci powiedział Zeke'owi, że oszalał, ale tamten tylko warknął:

- Po prostu podwieź mnie z powrotem do domu, w porządku?
- Vangie na ciebie czeka? - zapytał złośliwie Jarrett.
- Nie.

Hudson nie chciał, żeby znowu zaczęli przepychanki jak w szkole średniej, więc stanowczo oznajmił:

- Zeke i Vangie rozstali się. Nie ma co więcej o tym gadać. - A potem posunął się jeszcze dalej, prosząc Zeke'a o komórkę. - Straciłem swoją czasie wypadku - wyjaśnił, a Zeke włożył mu telefon w dłoń i spojrzał w oczy.

- Jesteśmy kwita?

Hudson mógł powiedzieć wiele rzeczy, rzucić wiele innych oskarżeń, ale tak jak w wypadku Zeke'a i Vangie, nadszedł czas, żeby po prostu pójść dalej.

- Jesteśmy kwita.

Kiedy tylko wyszli, wstał z łóżka. Ból przeszył jego ramię, a głowa mu pękała, jakby młot uderzał w kowadło umieszczone gdzieś za oczami. Kiepski pomysł. Ale jedyny. Nie obchodziło go, ile to go będzie kosztowało, musiał wyjść. Musiał dowiedzieć się, czy Becca naprawdę polega na McNallym, czy raczej wzięła sprawy w swoje ręce.

Obstawiał to drugie.

Przebrzydła suka!

Widzę ją. Stoi na drodze. Teraz odwraca się i gniew się we mnie gotuje! Musi umrzeć. Teraz! Zamierzałem poczekać, ale ta stara, głupia kobieta wszystko przyspieszyła.

Nie mogę już dłużej czekać. Rebecca...

Ból pulsuje mi w głowie od twojego uderzenia. Za to też mi zapłacisz.

Suka. Zła matka. Zabiję ciebie i twój diabelski pomiot. Widzę, jak wsiadasz do samochodu, ale nie uciekniesz przed swoim przeznaczeniem.

Muszę zastawić pułapkę. Przyjdiesz do mnie. Już niedługo.

Becca pojechała do Pieśni Syreny. Nie miała specjalnego planu działania, ale widok prześladowcy - prawdziwy czy tylko wyobrażony - zachęcił ją do akcji. Stawi czoło temu skurczybykowi. Znajdzie go. Nadszedł czas, żeby myśliwy stał się ofiarą.

Szkoda, że nie było przy niej Hudsona - ale nie chciała go wciągać w swoją walkę. Już i tak naraziła jego życie. Przez nią wylądował w szpitalu.

Popołudnie było ciemne jak późny wieczór. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić do McNally'ego. Sięgnęła po torebkę i komórkę, ale się zawahała.

Co mu powiesz? Że wyczuwasz tamtego?

Wyjdzie na taką samą wariatkę jak Szalona Maddie. Albo gorszą.

Zgrzytając zębami, jechała po wertepach do bramy Pieśni Syreny.

Do miejsca, gdzie Renee szukała informacji na temat przeszłości Jessie.

Gdzie wszystko się zaczęło.

Brama z kutego żelaza była, rzecz jasna, zamknięta, a ponieważ zrobiło się ciemno, Becca nie widziała niczego poza zarysem domu. Wysiadła z samochodu i podeszła do bramy.

- Halo! - zawołała. - Jest tam kto?

Czekała, krzyknęła znowu, poczekała jeszcze chwilę. Po dwudziestu minutach wróciła do samochodu. Nie zostało już nic z dziennego światła, więc włączyła reflektory, które rozświetliły podnoszącą się za ciemną bramą mgłę. Oświetliła boczne drzwi, kamienną ścieżkę i konary drzew, które wyciągały się w górę jak długie palce.

Zatrąbiła. Klakson zabrzmiał jak żalosne beczenie zdychającego jagnięcia na tle ryku oceanu, który doskonale było słycać.

Powinna spróbować wspiać się po ogrodzeniu? Zatrąbiła raz jeszcze i tym razem na chwilę w światłach samochodu rozblysnął kolor.

A co, jeśli to on?

Nie pomyślałaś o tym, co?

A jeśli wciągnął cię w pułapkę? Nie masz broni, nic, żeby się bronić.

Zapaliła silnik, ale wtedy zobaczyła tę samą dziewczynę, która pojawiła się przy bramie poprzednim razem. Dzisiaj miała na sobie długi płaszcz z kapturem. Spojrzała na Beccę wielkimi oczami. Oczami Jessie.

Becca wysiadła z samochodu i podeszła do bramy.

- Musisz odjechać - powiedziała cicho dziewczyna.

- Nie mogę.

- Odjedź. Natychmiast.

- Jessie Brentwood zjawiała się tutaj wiele lat temu. Niedawno przyjechała druga osoba, dziennikarka. Miała ciemne, krótkie włosy. Renee Trudeau. Szukała informacji na temat Jessie.

- Nie weszła do nas.

- Nie wpuściliście jej.

- To nie było bezpieczne.

- Ale ona wiedziała, że Jessie pochodziła stąd. Ja chyba też. Dziewczyna spojrzała na Beccę przejmująco. Becca nie miała pojęcia, co tamta sobie myśli.

- Nie mogę wejść? - błagała. - Mam tyle pytań.

- Dla ciebie to też nie jest bezpieczne.

- Nie wiesz, kim jestem?

Dziewczyna zerknęła za siebie, a potem pod nogi.

- Rebecca...

Becca serce zabiło szybciej.

- Posłuchaj, myślę... myślę, że mogę być z kimś tutaj spokrewniona, i to bardzo ważne, żebym go odnalazła.

Jessie zauważyła, jak rozszerzają się źrenice dziewczyny. Jej oczy wyglądały jak dwa czarne koła z odrobiną koloru wokół.

- Nie znajdziesz go tutaj.

- Wiesz, o kim mówię? Dziewczyna się zawahała.

- Spotkałaś Madeline?

- Tak. - Beccę zaskoczyło to pytanie bez związku. - Ale szukam kogoś innego, i to bardzo ważne. Ludzie umierają. Muszę go znaleźć.

Dziewczyna się odwróciła.

- Poczekaj! - zawołała Becca, ale tamta już odchodziła. Zatrzymała się, kiedy była jakieś dziesięć metrów dalej.

- Kimkolwiek on jest, tutaj go nie ma.

- Skąd wiesz?

- Bo zapytałaś o „niego” - odparła tamta. - W Pieśni Syreny nie ma mężczyzn.

Rozdział 26



Hudson gapił się na przyszczatego chłopaka po drugiej stronie kontuaru ze sztucznego drewna w podniszczonym motelu, w którym on, Becca i Ringo zatrzymali się zaledwie kilka tygodni temu. Pasiasty rudy kocur obserwował rozmowę z krańcową pogardą leżąc na zniszczonej kanapie, podczas gdy chłopak, który może miał ze czternaście lat, patrzył na Hudsona skonsternowany.

- Nie mogę mówić o naszych gościach. To kwestia... prywatności.

Dzieciak cały czas oglądał się przez ramię, mając nadzieję, że ktoś mu przyjdzie z pomocą, podczas gdy kot ziewnął i się przeciągnął.

- Jestem jej narzeczonym - nalegał Hudson.

Może trochę przeholował, ale nie tak bardzo, a następnym razem, gdy ją zobaczy, poprosi o rękę. Zbyt wiele godzin spędził w szpitalu, myśląc o niej, martwiąc się o nią, kochając ją żeby znowu pozwolić jej odejść.

- Ma pan jakiś, no nie wiem, dowód na to?

Dzieciak spojrział na temblak, na którym przybyły opierał lewą rękę. Hudson zdał sobie sprawę, że wygląda strasznie w brudnym ubraniu, z potarganymi włosami i zarostem. Pewnie chłopak uznał go za jednego z tych wariatów, morderczych typów z filmów. Ale Walker był zbyt spanikowany, zbyt zdenerwowany, żeby wszystko tłumaczyć. Czas uciekał.

- Po prostu powiedz mi, w którym pokoju mieszka.

- Dziadku? - zawołał nerwowo chłopak przez ramię w stronę otwartych drzwi na zaplecze.

- Co?! - ryknął w odpowiedzi męski głos.

- Przydałoby mi się tu... trochę pomocy.

Z ciężkim westchnieniem pojawił się „dziadek”, wielki mężczyzna zbudowany jak Humpty Dumpty. Szelki zwisały mu z wyblakłych dżinsów. Na cienki T-shirt narzucił flanelową koszulę. Zerknął sponad okularów.

- W czym kłopot?

Poirytowany Hudson powtórzył prośbę.

- Moja narzeczona zameldowała się tu wcześniej. Miałem się z nią spotkać, ale nie wiem, w którym jest pokoju.

Facet przesunął dłonią po siwiejącym zarostcie i już miał odmówić, ale powiedział:

- A niech tam. Kobieta zameldowała się w pokoju numer 7. Nie wpuszczę tam pana, ale mogę sam zajrzeć. Może pan pójść ze mną. - Zerknął przez okno. - Ale załóżę się o Butterfingera, że jej nie ma. - Skinął głową na rudego kocura. - Nie ma samochodu. Nie pali się światło. Ani telewizor.

Dzieciak podszedł do kota i pogłaskał go po głowie.

Kocur ocierał się i wymachiwał ogonem, zerkając ze złością na dziadka Humpty Dumpty. Mężczyzna wziął kurtkę i czapkę z daszkiem, a potem po-dzwaniając pękiem kluczy, ruszył do pokoju numer 7.

Hudson z trudem się powstrzymał, żeby nie pobiec przodem. Fakt, że Becki nie było w motelu, doprowadzał go do szału. Gdzie się podziewała? Boże, co ona robiła? W głębi duszy obawiał się, że pojechała sprowokować szaleńca. Kiedy przeszli przez parking, jeszcze raz zadzwonił do niej na komórkę.

Humpty rzucił mu spojrzenie.

- Zasięg bywa tu kiepski.

Więc przenieście się do XXI wieku! Ale facet miał rację. Nie mógł się połączyć. Ani z Beccą, ani z McNallym, bo nie miał numeru detektywa na komórce Zeke'a.

Humpty zapukał do drzwi, a kiedy nie było odpowiedzi, zapukał raz jeszcze, wołając:

- Halo? Pani Sutcliff?

Otworzył drzwi, a Hudson natychmiast zorientował się, że Becki nie było w pokoju już od dłuższego czasu. Paczki walały się na łóżku, torby z miejscowego centrum handlowego. Brudne ubrania z poprzedniej nocy leżały na krześle przed telewizorem. Dziadek Humpty pokiwał głową jakby poczuł się detektywem.

- A nie mówiłem? - Zerknął przez ramię na Hudsona. - Może powinien pan sobie znaleźć nową narzeczoną.

Hudson nie zamierzał stać i słuchać. Już biegł przez parking z obolałą ręką i zaciśniętymi zębami. W mustangu Zeke'a znalazł tabletki przeciwbólowe, wrzucił kilka do ust i przełknął na sucho. Znalazł wizytówkę do detektywów z biura szeryfa i wybrał numer. Będą mieli telefon do Maca, a jeśli nie, niech ich szlag.

Nie miał żadnego dowodu.

Będą musieli uwierzyć mu na słowo.

Był przekonany, że Becca pakuje się w kłopoty.

Kłopoty... Wyraz ze słownika Jessie.

Ta myśl zmroziła mu krew w żyłach.

Czym była Pieśń Syreny? Becca zadawała sobie to pytanie, jadąc w stronę Deception Bay. Miejscem jej narodzin? Sektą?

Jechała starym chevroletem po sennych ulicach miasteczka, na których prawie nie było ruchu. Wiatr, który ucichł całkowicie kilka godzin temu, zaczynał przybierać na sile. Ostre podmuchy poruszały gałęziami drzew, pchały śmieci i resztki w głąb łądu. Noc już zapadła na dobre i kilka lamp ulicznych rzucało błękitnawe plamy światła na głównej ulicy.

Ale Becca jechała do Szalonej Maddie. Młoda kobieta z Pieśni Syreny wspominała jej imię, prawie jakby kierowała Beccę ku temu, czego szukała. I Renee mówiła o tej jasnowidzce, która ostrzegła ją, że grozi jej śmierć. Becca sama chciała się z nią zobaczyć, ale skupiła się na sekcje z Pieśni Syreny.

Skreśliła na północ. Jechała niemal instynktownie, kierując się w stronę klifów i okolicy, w której podejrzewała, że znajdował się dom starej kobiety. Nigdy wcześniej nie była u Maddie, ale wiedziała, że mieszka nad morzem, więc po prostu jechała dro-

gą wzdłuż wybrzeża. Droga na chwilę skręciła w głąb lądu, prowadząc do piaszczystego sierpa, który łączył się z zatoką na południowym krańcu miasta.

Rozpoznała stary motel, kiedy tylko wynurzyła się z za zakrętu, więc wjechała na zwirowy parking. Kilka świateł paliło się w długim, niskim budynku, znajdującym się na grzbiecie ponad ciemnym, spienionym oceanem. Znowu zaczął się sztorm, wiatr wył, padało.

Nie wiedziała, co powie starej kobiecie. Coś jej nie pasowało w tej Szalonej Maddie. Ale właśnie o niej wspomniano w Pieśni Syreny, więc istniało jakieś powiązanie między nią a członkami sekty.

Na drugim końcu budynku paliło się światło. A może to była łuna od telewizora? Srebrzystobłękitna, migocząca plama światła w oknie w ostatnim pokoju. W mieszkaniu kierownika, jeśli wierzyć podniszczonej tabliczce. Pozostałe pokoje - osiem albo dziesięć „chatek z telewizją kablową” - były połączone z pustymi, zdewastowanymi wiatami samochodowymi. Szara farba obłaziła z pordzewiałych rynien, które obluzowały się, zwisały i jęczały na wietrze. Motel był zaniedbany. Wysoka trawa morska i winorośl zakradły się na posesję; beton popękał, w żwirze porobiły się dziury, żałosne ogrodzenie z palików nadgniło i pokrzywiło się ze starości.

Ale to nie zniszczone budynki przyciągnęły uwagę Becki. Nie. Kiedy siedziała w samochodzie, a wycieraczki zmiatały skraplającą się mgłę, spojrzała przez wilgotną szybę na klif.

Tak znajomy.

Zupełnie jak skaliste urwisko, na którym widziała Jessie w swoich wizjach, gdzie zobaczyła wcielone zło, mordercę, który czaił się za Jessie. To było miejsce z jej wizji, nie Pieśń Syreny.

- Dobry Boże - szepnęła z zaciśniętym gardłem.

Komórka zabrzęczała i Becca podskoczyła, zanim zdała sobie sprawę, że to tylko wiadomość zostawiona na poczcie głosowej. Odsłuchiwała ją i ponad ryczącym w dole oceanem usłyszała zmartwiony głos Hudsona. Prosił ją żeby zadzwoniła, spotkała się z nim w motelu, bo wypisał się ze szpitala. Miała dzwonić na numer Zeke'a, bo pożyczyl od przyjaciela komórkę. Zakończył krótkim „kocham cię”, po którym prawie się popłakała. Wybaczył jej, że nie powiedziała o dziecku. Może naprawdę ją kochał. Może nie chodziło tylko o Jessie.

Próbowała oddzwonić do niego raz, drugi, trzeci, ale jej się nie udało.

- Do licha - szepnęła, wysiadając z samochodu.

Wiatr szarpał jej ubraniem i włosami. Zastanawiała się, czy nie odjechać, nie złapać zasięgu i nie odezwać się do Hudsona, ale nie chciała marnować czasu. Ogarnęło

ją przytłaczające wrażenie, że czas ucieka, coraz szybciej i szybciej, jak ziarenka piasku przesypujące się w klepsydrze jej życia.

Jeszcze raz spróbowała dodzwonić się do Hudsona, ale znowu się nie udało. Klnąc pod nosem, wsadziła telefon do kieszeni i ruszyła po splekany chodniku do „biura”. Zerkając na otwarte morze za budynkiem, zawahała się. W mroku trudno było dostrzec przesuające się szare wody Pacyfiku, ale słyszała fale uderzające o podnóże klifów, rozpryskujące się na wyjącym wietrze.

Dostała gęziej skórki, gdy powoli zaczynała rozumieć.

Była tu już wcześniej. Z pewnością. Co takiego czaiło się w tym miejscu? Niepokojna szła wzdłuż podupadłego motelu, ledwo zauważając, że niektóre szyby zastąpiono sklejką która z upływem lat poszarzała i wypaczyła się. Kiedy doszła do końca, zamarła.

- Jessie - szepnęła. Włosy opadły jej na twarz.

Wąskie pasmo lądu, na którym teraz stała, to urwisko z wizji, a na nim Jessie ponad wściekłym, wzburzonym morzem. To musiało być to miejsce. Wydawało się znajome i przez chwilę myślała, że dziewczyna, którą widziała w transie, to wcale nie Jessie, tylko ona sama. Ludzie przecież mówili, że były do siebie podobne, prawda?

Ale nie, dziewczyna, którą widziała, to jednak Jessie. Jessie, która próbowała jej powiedzieć, że czas wymierzyć sprawiedliwość mężczyźnie, który ją zamordował. Becca przypomniała sobie nagle, że Jessie powiedziała Renee, kiedy miała szesnaście lat, że „chodzi tylko o sprawiedliwość”. Czyżby przewidziała swoją zbliżającą się śmierć?

Zadrzała, a potem spojrzała ponad klifem na ciemny kształt latarni na skalistym kopcu i wyspę w oddali, ledwie widoczną w odcieniach czerni i szarości.

Ile razy widziała ten widok? Ile razy ją przeraził?

- Już nigdy więcej - przysięgła sobie. - Jessie? - zawołała. - Powiedz mi, co mam robić.

Zamknęła oczy, siłą woli przywołując zmarłą dziewczynę, niedawno odnaniezoną siostrę, żeby pojawiła się w jej umyśle. Jeśli ciemna postać, obraz mordercy, ma się przyłączyć do ducha Jessie, to niech i tak będzie.

- No chodź! - przywoływała, czując na skórze zimną wilgoć wiecznie niespokojnego Pacyfiku i ciężar na sercu.

Ale nic się nie pojawiło.

Tak samo jak w życiu, Jezebel Brentwood grała według własnych reguł, uparcie nie ulegając kaprysom innych,

Becca otworzyła oczy. Ciemność wokół i ona sama. Sama i zdana tylko na siebie.

Wróciła przed motel, weszła po schodkach na zapadający się ganek i przycisnęła dzwonek. Ponad wyciem wiatru usłyszała słabe brzęczenie. Żadnych kroków. Może staruszka zasnęła przed telewizorem. Może nie było jej w domu. Zadzwoiła jeszcze raz, usłyszała brzęczyk, ale żadnego innego dźwięku.

- Maddie? - zawołała na głos. - Madame Madeline? To ja, Rebecca Sutcliff. Ryan. Spotkałyśmy się w sklepie z antykami. - Zaczęła walić do drzwi, które się uchylały. Zamarła z uniesioną ręką. - Maddie?

Z wnętrza dobiegł cichy, pełen bólu jęk.

Serce Becki zamarło i poczuła, jakby zapadła się pod spróchniałe deski ganku. Otworzyła drzwi i weszła do wnętrza pachnącego smażoną rybą po piołami z kuchni na drewno i czymś jeszcze. Czymś metalicznym i niepasującym do reszty.

- Maddie?

Wyjęła z kieszeni komórkę. Salonik z włączonym telewizorem był pusty, na stole stała taca z niedokończonym jedzeniem - smażone ziemniaki, sałatka, paluszki rybne. Widelec z kawałkiem białej masy na ząbkach upadł z brzękiem na podłogę. Papieros palił się w popielniczce.

A te plamy na podłodze? Ciemnoczerwone plamy. Krew...?

Dobry Boże, co to znaczy?

Włosy zjeżyły się jej na karku. Wybrała numer do Maca, ale nie uzyskała połączenia. Powinna była zawrócić, pojechać do miasta, wezwać policję...

Znowu rozległ się jęk zza drzwi na tyłach domu.

Ostrożnie, z bijącym sercem i nerwami napiętymi jak postronki, wyjrzała zza rogu do sypialni, gdzie na podłodze leżała Madeline. Krwawiła z brzucha, a w rękę trzymała pistolet.

- Maddie! - powiedziała Becca, starając się zachować spokój, nie wiedząc, co szalona, ranna kobieta gotowa zrobić.

Maddie spojrzała na nią zaciskając palce na broni.

- Sprawiedliwość - szepnęła i wymierzyła z pistoletu prosto w serce Becki.

Mac odebrał telefon, przekaz z biura szeryfa, ale niewiele zrozumiał, głównie słyszał zakłócenia i detektywi wszystko musieli powtarzać. Chodziło o to, że Hudson Walker wypisał się ze szpitala wbrew zaleceniom lekarza i teraz zamartwiał się tym, że Rebecca Sutcliff mogła pojechać szukać zabójcy - tego samego wariata, który na razie wymykał się władzom hrabstwa Tillamook. Hudson był pewien, że Becca pojechała z powrotem do Pieśni Syreny, miejsca, które - jak poinformował Maca detektyw Clausen - zamieszkiwała sekta.

- Co ona, do diabła, wyprawia? - warknął Mac, akurat gdy zauważył zakręt. - Niech to szlag.

- Nie strzelaj - poprosiła Becca spokojnie, chociaż jej serce biło w szaleńczym tempie. - Nie strzelaj. Proszę...

- Sprawiedliwość! - wykrzyknęła znowu Maddie. Twarz jej spopieliała, oczy miała okrągłe z przerażenia, broń trzęsła się w jej dłoniach.

- Dostaniesz swoją sprawiedliwość, przysięgam, ale teraz musimy zabrać cię do szpitala. Rzuć broń - mówiła śmiertelnie przerażona Becca.

Pomyślała o Hudsonie, o ich nienarodzonym dziecku i wiedziała, że nie może umrzeć. Z bijącym sercem zeszła z linii strzału. Na szczęście staruszka nie próbowała trzymać jej na muszce i nadal celowała w wejście.

- Już w porządku - skłamała Becca, nie spuszczać broni z oka i zaciśniętych na niej palców. - Wszystko w porządku - powtórzyła cicho.

Podeszła do Maddie z boku i wyjęła pistolet z jej odrętwiałej dłoni. Szybko drugą ręką sięgnęła po telefon i znowu zadzwoniła do detektywa. Maddie miała zamknięte oczy. Obficie krwawiła z rany w brzuchu. Sama to sobie zrobiła? Bo jeśli nie... to kto...? Odłożyła broń, włączyła głośnik w komórce i spróbowała zatamować upływ ciemnej krwi jakimiś ubraniami.

- Nie ruszaj się. Wezwę pomoc. Ale było tyle krwi, tyle krwi.

- Trzymaj się.

Tym razem połączyła się od razu z pocztą głosową. Złapała telefon, szybko powiedziała, gdzie jest, że potrzebuje karetki i że zaraz zadzwoni na pogotowie, kiedy z cieni w korytarzu wynurzył się mężczyzna.

Becca zamarła, wytrzeszczając oczy. Po raz pierwszy mogła się dobrze przyjrzeć psychopacie, który ją ścigał, bo to właśnie on się pojawił. Niemal się załamała, widząc jego rysy, tak podobne do Jessie, tak podobne do niej. Był starszą, silniejszą, męską wersją Jezebel Brentwood. I był też jakoś spokrewniony z nią Beccą.

- Siostro - warknął, uśmiechając się i odsłaniając mocne, białe zęby, kiedy zdał sobie sprawę, że rozpoznała w nim potwora, mordercę, który jest jej krewnym.

Uniósł rękę. Trzymał długi nóż. Krew ściekała z ostrza.

- Dlaczego? - szepnęła, wskazując skuloną Maddie.

- Nadszedł jej czas.

Zobaczyła mordercze zamiary w jego piwnych oczach. Wiatr powiał nad klifami, trzęsąc dachem, zagłuszając huk fal.

- Dlaczego? Dlaczego robisz to wszystko?

- Jesteś szatańskim pomiotem, więdźmo. - Jego nozdrza się rozszerzyły. -1 nosisz w sobie nowe zło.

- Łajdak! - krzyknęła.

Jego beznamiętne spojrzenie zmroziło ją do szpiku kości.

- Gdybyś tylko wiedziała...

Broń leżała dosłownie o krok od niej. Gdyby skoczyła w lewo...

- Wreszcie twoja krew zostanie przelana - szydził. - Twój czas też nadszedł.

- Justice - szepnęła Maddie, piorunując go wzrokiem. Łzy płynęły po jej pomarszczonych policzkach. - Uciekaj, dziewczyno.

Justice - sprawiedliwość. Tak miał na imię. Zaatakował Maddie i schował się, gdy usłyszał, że Becca przyjechała. Staruszka broniła się i dlatego celowała z broni, a Becca odebrała jej pistolet.

A teraz wrócił dokończyć robotę.

Odebrać życie nie tylko Madeline, ale też Becce.

Nigdy!

Rzuciła się po broń, ale on był szybszy, przewidział to. Nóż śmignął w powietrzu i ciał ją w rękę. Krzyknęła, ale złapała pistolet. Obróciła się w jego stronę z palcem na cynglu.

Wrzasnął w tej samej chwili, kiedy ona krzyknęła.

Bum!

Spodziewał się strzału. Rzucił się w bok i przeturlał. Becca próbowała strzelić drugi raz. Bum!

Kula trafiła w ścianę; poleciały kawałki kamienia i drewna. Uskoczył, a potem szybko schował się za rogiem. Becce ogłuszało bicie własnego serca.

- Uciekaj, zanim cię sprzątnę! - wrzasnęła, ale słyszała tylko własny rwany oddech, wycie wiatru i zamierające jęki Maddie.

Ręce jej się trzęsły, ale zapanowała nad tym, celując w drzwi. Jeśli ten skurczybyk choćby postawi tu nogę, ona pociągnie za spust. Ręką ją bolała i widziała krew przesączającą się przez rękaw. Bezużyteczna komórka nadal leżała w zasięgu ręki, ale w tym podłym motelu na pewno mieli telefon stacjonarny... Rozejrzała się, szukając aparatu. Cień przemknął za oknem.

Był na zewnątrz!

Odwróciła się do okna. Szyby brzęknęły i zimne powietrze wpadło do pokoju. Ale pomyliła się. Ruch nie zdradził potwora, to tylko gałąź na wietrze. Kątem oka zobaczyła ruch w korytarzu.

Co?

Obróciła się gwałtownie, kiedy wpadł do pokoju z uniesionym nożem. Strzeliła raz jeszcze, ale kula przeleciała nad jego ramieniem. Znowu! Zaciśnęła mocniej palce

na spuście, ale on już ją dopadł, całym ciężarem ciała przygwoździł do podłogi. Krzyknęła, kiedy wpadli na bliską śmierci kobietę; Becca jęknęła boleśnie.

Omiótł ją gorący oddech potwora. Kiedy się siłowali, czuła, że jego ciało składa się z samych mięśni i ścięgien. Uderzyła go, próbowała mu wbić paznokcie w twarz, strzelić z pistoletu, ale odgiął jej rękę za plecy.

Poczuła ból w ramieniu i upuściła broń, która uderzyła o podłogę. Nie! Boże, tylko nie to!

- Wreszcie, siostró - warknął. - Wreszcie.

- Za żadne skarby.

Rzuciła się na niego, a on wygiął mocniej jej rękę. Krzyknęła z bólu. Leżąc na niej, przyszpilając ją do podłogi, powiedział:

- Krzycz, ile chcesz. Nikt cię tu nie usłyszy.

Miał rację. Nawet w ciągu dnia, kiedy wiatr słabł i fale łagodniały, ludzie omijali tę starą ruinę i nikt nie usłyszałby krzyku.

- Na światło księżycy - szepnęła Maddie. - Kiedy powstaną demony ziemi, zostaniesz zabrany, synu, do świata, z którego przyszedłeś. Przeklinam ten dzień, dzień twoich narodzin. Ty, Justice, jesteś prawdziwym nasieniem Lucyfera.

Becca poczuła, że mężczyzna nad nią zamiera. Ten potwór był synem Szalonej Maddie?

- Przeklinasz mnie? - zapytał, piorunując wzrokiem umierającą matkę. - Ty mnie przeklinasz? Kiedy jestem posłańcem Boga? Zesłanym tu, żeby naprawić złe uczynki Pieśni Syreny?

Becca nie poruszyła się, nie chciała go rozpraszać. Klęczał teraz, całkiem skupiony na kobiecie, która go urodziła.

- Tylko dzięki mnie nie ma ich więcej. Tylko ja mogę oczyścić ziemię z tego plugastwa. - Przesuwał się teraz do matki, nie walcząc już z Beccą.

Potrzebowała całej siły woli, żeby się nie poruszyć, udawać, że jest nieprzytomna, nie zwrócić na siebie uwagi.

- Jesteś tak samo zła jak reszta, stara wiedźmo.

- Idź do diabła - wycharczała Maddie. Becca rozejrzała się po pokoju. Okno.

Nie czekała. Jednym ruchem wstała i rzuciła się przez gnijącą framugę, przetańczając się, kiedy szkło pękało i sypało się wokół niej. Uderzyła o piaszczystą ziemię na zewnątrz, zerwała się i krzyząc, rzuciła do ucieczki.

- Dziwka! - ryczę, skacząc do okna.

Za mną stara kobieta krzyczy z radości. Obracam się do niej.

- Nie dasz rady zabić ich wszystkich - mówi.

- Dam. I zabiję.

- Bóg je ocali...

Z trudem powstrzymuję się, żeby nie udusić jej od razu. Ale tego właśnie chce. Oderwać mnie od celu. Zatrzymać przy sobie. Chce ich bronić!

- Wrócę po ciebie - szepczę. - Poczekaj.

Widzę przerażenie w jej oczach. Szczęzę zęby i wyskakuję przez okno za plugawstwem. Jest tuż przede mną. Zraniłem ją. Traci krew i już wkrótce będę ją miał.

Mac włókł się do Pieśni Syreny. Z lokalnego sklepu zabrał Hudsona Walkera, który zwięźle opisał mu drogę. Walker był gotowy staranować bramę sekty, ale Mac zdołał go uspokoić, uparł się, żeby zostawił sportowy wóz i zabrał się razem z nim.

- ...ale kiedy tam dojedziemy, zostanie pan w samochodzie. I tak musimy poczekać na nakaz przeszukania, ale biuro szeryfa uważa, że uda się to załatwić.

- Nie mamy tyle czasu.

Walker był blady jak płótno, poruszał nerwowo nogą. Miał rękę na temblaku i pewnie był na jakichś lekach przeciwbólowych. Do niczego się nie nadaje, uznał Mac. Gorzej nawet. Stanowi ciężar.

- Więc tak to załatwimy. Poczekamy, aż się odezwą, a potem pan zostanie w samochodzie, podczas gdy ja...

- Nie zostanę w samochodzie.

- Zostanie pan albo nigdzie nie pojedziemy.

- Nie mogę, przecież pan wie.

- A ja nie mogę... chwileczkę.

Dzwoniła jego komórka, a sygnał oznaczał wiadomość w poczcie.

- Telefon w ogóle nie zadzwonił. Przeklęte wybrzeże, zero zasięgu. Odsłuchał przerażającą wiadomość od Becki Sutcliff. Serce zaczęło mu bić szybciej i w pierwszym szerszym miejscu zawrócił.

Hudson złapał się tablicy rozdzielczej. Pas się napiął, a jego przeszył gwałtowny ból.

- Nie ma jej w Pieśni Syreny - rzucił zwięźle Mac, gdy się rozłączył.

- A gdzie jest?

- W motelu Szalonej Maddie. Wie pan, gdzie to jest? Powiedziała, że to na północ od Deception Bay, przy klifie.

- Mam pewne pojęcie.

- Niech pan mówi, którądy jechać - mruknął Mac, dzwoniąc po wsparcie i modląc się, żeby cholerna komórka złapała zasięg.

Nie mając po co krzyczeć, Becca pędziła jak najszybciej do samochodu, okrążając budynek. Kluczyki nadal były w stacyjce i jeśli...

O Boże, usłyszała jego kroki za sobą. Biegł szybko i ją doganiał. Ciężkie kroki tuż za nią Coraz bliżej. Coraz szybsze.

Och, dobry Boże, pomóż mi! Pomóż mojemu dziecku!

Zmusiła nogi do większego wysiłku, ale traciła przewagę. Zwariowała, że go szukała, powinna była wiedzieć, że nie ma z nim szans. Jeszcze nie umarłaś, powiedziała do siebie i zobaczyła przed sobą ogrodzenie. Nawet mimo brakujących palików, ogrodzenie - jak szczerbaty uśmiech - nadal stanowiło przeszkodę. Powinna je przeskoczyć czy szukać bramy? Gdzie ona była?

Zobaczyła przerwę między szarymi palikami i skręciła.

Za późno!

Skoczył, łapiąc ją i powalając ciężarem ciała. Uderzyła mocno o ziemię, ryjąc szczęką w piasek, czując żwir w ustach i na języku.

- Głupia kobieto - warknął i szarpnięciem postawił ją na nogi.

W jego rękach była jak szmaciana lalka; głowa jej opadała, krew farbowała rękaw na ciemną czerwień.

Potrząsnął nią. Mocno. Odsłonił zęby w triumfalnym uśmiechu.

- Wreszcie. Nareszcie cię mam!

Nie mogła się ruszyć. Była wycieńczona. Wykończona. Wyczerpana. Wpatrywała się w nią okrutna twarz.

- Nie masz nic do powiedzenia, suko? - Zamachnął się prawą ręką i uderzył ją w twarz.

Moje dziecko, pomyślała. Moje dziecko. Muszę ratować dziecko... Jakby czytając jej w myślach, warknął:

- Ta ohyda umrze, zanim się narodzi. Wszystkie umrzecie. Czekałem. Czekałem! A teraz nadszedł właściwy czas.

- Proszę...

- O tak, błagaj. Nic ci to nie da. Pomiot diabła wróci do niego. Teraz!

Nie było mowy, żeby Hudson siedział w samochodzie jak dobrze ułożony pies, gdy Becca groziło niebezpieczeństwo. Mowy nie ma!

Tak samo Mac nie czekał na wsparcie. Zaparkował dżipa przy drodze, niecałe pół kilometra od motelu. Przykazał Hudsonowi poczekać na ludzi od szeryfa, po czym wysiadł.

Hudson dał mu jakieś trzydzieści sekund, a potem zajrzał do schowka na rękawiczki i - proszę, co za niespodzianka - znalazł tam broń detektywa. Idealnie. Sprawdził magazynek. Naładowany.

Nie zamierzał czekać na wsparcie.

Nie wtedy, kiedy Becce groziło niebezpieczeństwo.

Kiedy groziło niebezpieczeństwo jego nienarodzonemu dziecku.

Wsunął ciężki pistolet za pasek i zanurzył się w noc, okrążając motel od północnej strony, śledząc Maca, ledwie widocznego w światłach przy ganku.

Przykucnął przy połamanym ogrodzeniu, z palcem na cynglu. Dziś wieczór ten skurczybyk, który groził Becce, zginie.

Musiała się ruszyć. Musiała! Wciąż trzymał nóż, ale najpierw zamierzał wycisnąć z niej prawdę.

Piorunował ją wzrokiem, rozkoszując się przewagą.

- Nie masz nic do powiedzenia? - szepnął.

Rzuciła się w przód, żeby go ugryźć, ale przytrzymał ją, obrócił brutalnie, przycisnął plecami do siebie i przyłożył jej nóż do gardła.

- Nie mogłaś się powstrzymać, co, ty zdiro? Wiedziałem, że przyjdiesz. Jak Jezebel. Jesteście takie same.

Przerażona próbowała wymyślić sposób ucieczki, cokolwiek, co pozwoli jej się uwolnić.

- Poznałaś już prawdę? - syknął jej do ucha. - Jak ona? Że była owocem kazirodztwa. Ojciec i córka! Ty też, ty pieprzona dziwko!

Becca próbowała się odezwać, ale poczuła, jak nóż rozcina skórę. Cieniutka strużka krwi spłynęła jej po szyi.

Trzymał ją mocno, jego tors przyciskał się do jej pleców. Ledwo odważyła się oddychać, drgnąć, kiedy stali na skraju urwiska; przejmujący wiatr gwizdał i wył wokół nich, czarny ocean kłębił się i burzył w dole. Właśnie tak, jak to było w wizjach. Jakby takie było przeznaczenie.

- Była w ciąży, nosiła ohydne dziecko tak jak ty - szepnął.

Jego radość wzbudziła w niej wściekłość, ale musiała pozwolić mu mówić.

- Renee? - wykrztusiła.

- Ta suka zadawała pytania w mieście, pisała o zepsuciu w Pieśni Syreny.

- Jakim zepsuciu? - Poczowała zimne ostrze na gardle.

- Wiesz, dziwko. Dobrze wiesz.

Wzdrygnęła się. Zupełnie, jakby trzymał ją sam diabeł.

- Nie... naprawdę... nie wiem.

- Jezebel i Rebecca są najbardziej zepsute - zaintonował, jakby to była litania, którą często sobie powtarzał. - Nigdy nie wolno im pozwolić się rozmnażać, kontynuować cyklu. Jezebel pojawiła się w Pieśni Syreny i dowiedziała się. Tak ją znalazłem. Wyczułem w niej płód. Dlatego musiała umrzeć.

Becca cała się trzęsła; uderzał w nich wiatr, sól z powietrza kleiła się do jej skóry.

- Zabiłeś ją w labiryncie - powiedziała niepewnie.

- Myślała, że mnie dorwała, ale już wcześniej zamierzałem ją zabić i zostawić u stóp posągu, który nosi imię jej nikczemnej matki.

- Maria?

- Potrafiła widzieć różne rzeczy. - W jego głosie pojawił się cień podziwu. - Ty też.

- I ty - dodała Becca, przypominając sobie, jak zobaczył wizję z Jessie na drodze.

- To się nie uda - rzucił nagle. Pochylił się i polizal ją w ucho. - To się nigdy nie udaje. Zawsze wygrywam.

Żołądek podszedł jej do gardła, prawie zwymiotowała.

Ale wtedy lekko się przesunął i nóż się oddalił. Wściekłość Becki wzięła górę. Kopnęła do tyłu z całej siły, a potem sięgnęła i zacisnęła dłonie jak imadło na jego jądrach.

- Suka! - zawył zaskoczony, rozluźniając chwyt. Zgiął się wpół z bólu.

Hudson odliczał sekundy. Jeden... dwa... trzy... Pot spływał mu po plecach pod kurtką. Musiał dotrzeć do Becki. Musiał ratować ją i dziecko. To wszystko, co miał. Wszystko, czego pragnął, i jeśli przez tego kutasa spadnie jej choćby włos z głowy...

Ale był śmiertelnie przerażony. Ten szaleniec był nieubłagany i musiał dopaść Beccę.

- Suka!

Krzyk rozległ się wśród nocy.

Mac wrzasnął coś, ale Hudson nie słyszał. Skoczył na równe nogi i rzucił się na oślepe przed siebie, ściskając broń. Zastrzeli tego drania.

Becca próbowała powstrzymać Justice'a, który okładał ją pięściami. Nie mogła oddychać. Musiała go puścić. Klął i młócił rękoma. Zadał cios nożem i ostrze wbiło się w jej udo. Krzyknęła.

Bach!

Strzał rozdarł noc.

Justice zawył głośniejsz niż wiatr i wijąc się, padł na ziemię. Co? Dobry Boże, co tu się dzieje?

Becca obróciła się mimo palącego bólu w nodze i zobaczyła Hudsona, z lewą ręką na temblaku, i wielkim pistoletem w prawej. Podszedł szybko, celując prosto w zwijającego się z bólu Justice'a. Twarz Hudsona wyrażała wściekłą furję, oczy mu pociemniały żądzą mordu, jakby zamierzał opróżnić cały magazynek w łajdaka, który niemal zabił Beccę.

- Nie! - krzyknęła ostrzegawczo, kiedy wiatr przyniósł dźwięk syren, a Mac wyskoczył z ostatniego pokoju motelu. - Hudson, nie!

- Odłóż broń, Walker! Natychmiast! - wrzasnął Mac. Celował nie w Hudsona, ale w rannego. - Chcemy wziąć tego zbrodniarza żywcem. Ma mnóstwo do wyjaśnienia, a może zacząć od Jessie Brentwood.

Hudson opuścił rękę, a Becca rzuciła się do niego.

- To już koniec - szepnęła, kiedy objął ją mocno zdrową ręką. - Wreszcie koniec.

Ludzie szeryfa pojawili się jak za sprawą czarów. W jednej chwili Hudson trzymał Beccę, a Mac mierzył w pierś wijącego się na ziemi potwora, a w następnej tłum uzbrojonych mężczyzn biegł przez teren motelu.

Becca przycisnęła twarz do piersi Hudsona. Słyszała, jak cicho klnie.

- Musimy zabrać cię z powrotem do szpitala - powiedział.

- Nie chcę tam nigdy więcej wracać.

- Jesteś ranna.

- Ale żyję. Nie zranił naszego dziecka. Choć chciał. Chciał skrzywdzić nasze dziecko.

- Jest chory.

- To ma coś wspólnego z Pieśnią Syreny. Chciał zabić wszystkich pochodzących z tego miejsca.

Szcząkała zębami. Hudson dłużej nie czekał. Poprowadził ją do samochodu Maca.

- Musimy zawieźć cię do lekarza - mruknął. Mac wynurzył się z ciemności.

- Zadzwońię po karetkę - oznajmił, zerkając na Beccę. - Wezwaliśmy już jedną dla kobiety z motelu.

- Madeline? Żyje? - Becca spojrzała na niego.

- Ledwo, ledwo. Ale oddycha.

- Mogę jechać dżipem - zapewniła go.

- Jeśli chce pan zostać, mogę prowadzić - powiedział Hudson do Maca. Detektyw skinął głową i podał mu kluczyki.

- Dziękuję - powiedziała Becca z głębi serca. Mac się zatrzymał.

- To ja powinienem podziękować. Wszystkich was zadreczęłem przez długi, długi czas. A żadne z was nie było odpowiedzialne za śmierć Jessie.

- Becca i moje dziecko żyją po części dzięki panu - odezwał się Hudson, pomagając Becce wsiąść do samochodu. - Jesteśmy kwita.

To powiedziawszy, usiadł za kierownicą i pojechał w stronę szpitala Ocean Park.

- Kocham cię - rzucił nagle. - Bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham.

- Nie musisz odpowiadać teraz, ale chcę, żebyś wiedziała, że zamierzam się z tobą ożenić.

Niemal się uśmiechnęła.

- Co? - zapytał, zerkając na nią kątem oka.

- Chciałam wyjść za ciebie już w szkole średniej. Nie sądziłam tylko, że do tego dojdzie. - Poczuła, że Hudson nieco się rozluźnia. - Na pewno mnie chcesz? Z wizjami, anatomicznymi anomaliami i prawdopodobnymi powiązaniem z sektą?

- Chcę - powiedział i sprawa została zamknięta.

Rozdział 27

Becca stała w gorącym lipcowym słońcu, gapiąc się przez bramę z kutego żelaza na Pieśń Syreny. Czuwała trzeci dzień z rzędu, wiedziała, że trzymający się z dala od ludzi mieszkańcy Pieśni ją widzą. Odgarnęła włosy z twarzy, czując, jak słońce pali ją w głowę. Za ciepło na plażę. Żar dosłownie lał się nieba.

Jej brzuch urósł. Nie dało się ukryć, że jest w ciąży, i radość z tego widoczna była na jej twarzy. Promieniała jak każda przyszła matka. Jej blask oślepiał.

Hudson powiedział jej to rano, kiedy wybierała się tutaj.

- Kocham cię - rzekł. - Nigdy nie wyglądałaś pięknie.

Przytuliła się do niego, pocałowała go mocno, czując, jak to uczucie ją rozpiera; kochała go całą sobą.

Stali przed stodołą, patrząc na brykającego żrebaka. Biegał z jednego końca pola na drugi, zygzakiem wokół matki, nigdy zbyt blisko się nie oddalając.

Nowe życie. Nowa miłość. Cztery miesiące temu wydawało się to niemożliwe.

Złapała się prętów bramy. Były niemal zbyt gorące, żeby je trzymać. Nie zamierzała się poddać. Miała pytania. Zasługiwała na odpowiedzi, a kiedy powiedziała

Hudsonowi, co zamierza zrobić - chociaż wiedziała, że wolałby trzymać ją bezpiecznie przy sobie - niechętnie się zgodził.

- Pojadę z tobą - zaproponował, ale pokręciła głową.

- Sama mam większe szanse. Są bardzo zamknięci i podejrzliwi, ale jestem jedną z nich.

Gotów był się spierać, ale zwróciła uwagę na to, co już wiedział: członkowie osady w Pieśni Syreny nie stanowili dla niej zagrożenia. To Justice Turn-bull - syn Madeline Turnbull - był niebezpieczny, ale teraz siedział w areszcie, pod kluczem, i czekał na transport do zakładu dla psychicznie chorych. Swoją paplaniną zapracował na wyrok.

W efekcie wydarzeń w motelu Szalonej Maddie władze zainteresowały się jego życiem. W dziwacznej kryjówce w latarni znaleziono porwane notatki, bazgroły odsłaniające jego obsesję na punkcie osady. Odkryto skrytkę z bronią (głównie nożami) i beżową półciężarówkę ze zdjętym przednim oru-rowaniem, zaparkowaną przy motelu pod ciemnym brezentem. Podejrzewano, że zabił też inne osoby oprócz Jessie, ale bez współpracy osady można było tylko snuć przypuszczenia, a kobiety z Pieśni Syreny były bardzo mało pomocne. McNally próbował je przesłuchać, ale nie chciały otworzyć bramy. Bełkot Justice'a nie dostarczył wystarczających dowodów, żeby dostać nakaz przeszukania. Połowa z tego, co powiedział, to urojenia. Upierał się, że Jessie i Becca to szatańskie pomioty i trzeba je odesłać do piekła. To była jego misja.

Dzięki dalszym poszukiwaniom natrafiono na historię spisana przez jednego z pseudohistoryków z Deception Bay, który zostawił po sobie nieudokumentowane zapiski na temat założycieli osady. Trafiły one do rąk doktora Parnella Lomana, który zginął piętnaście lat temu: spadł do Pacyfiku z klifu przy domu. To był ten sam doktor, który podpisał akty urodzenia Jessie i Becki oraz zorganizował ich adopcję.

Zapiski mówiły o pierwszych mieszkańcach okolicy i wspominały o kobietach, które przybyły ze wschodu - wiedźmach. Związały się z miejscowymi Indianami i razem stworzyli osadę. Jedną z nich „poślubił” szaman. Dzieci z tego związku miały niezwykle wyczulone zmysły, chociaż, jak pisano, postrzegały rzeczy „dziwne i odrażające”. Z niewiadomych powodów przeżywały głównie dziewczynki. Nieliczni chłopcy umierali młodo.

Nie bardzo wiadomo, jak się miał do tego wszystkiego Justice. Zapiski kończyły się na narodzinach Mary Durant i Catherine Rutledge, sióstr, których matka, Grace Fitzhugh, wyszła najpierw za Richarda Duranta, a potem za Johna Rutledge'a. Z każdym z nich miała córkę. Doktor Loman dodał kilka akapitów, które wskazywały, że Madeline Abernathy Turnbull też należała do rodziny, była daleką krewną Mary i Catherine, które według zapisków doktora Lomana nadal mieszkały w Pieśni Syreny.

Jedno było pewne: Justice wierzył w swoją misję. Musiał oczyścić świat z przeklętego potomstwa członków osady. Czy Becca był córka Mary? Justice najwyraźniej tak uważał. Czy to wszystko jedynie wymysł jego wypaczonego umysłu? Jego oskarżeń o kazirodztwo nie można było potwierdzić, ale czuł, że kobiety z osady nim pogardzały. Kierując się zawiłym systemem przekonań, łączącym czary, tradycję indiańską i lęk przed Bożym gniewem, postanowił odesłać ich jak najwięcej z powrotem w głąbiny piekieł, skąd przybyły. Były dziećmi żądzy, kazirodztwa i dziełem diabła. Musiały zginąć.

Becca zadrzała mimo słońca. Chciało jej się pić. Jeśli nie zjawią się wkrótce, jeśli nie uda jej się nawiązać kontaktu, może na razie sobie daruje. Puściła pręty i spojrzała na wyblakłe niebo i białe, palące słońce.

Ruch przyciągnął jej uwagę. Ku swojemu zdziwieniu zobaczyła kobietę w średnim wieku w długiej, szarej sukni. Szła w jej stronę. Wreszcie!

Becca się wyprostowała. Włosy kobiety było stalowoszare i upięte w kok nas karkiem. Jej suknia pochodziła z innej epoki.

Podeszła prosto do bramy i Becca cofnęła się o krok. Popatrzyły na siebie.

- Nie otworzę bramy.

Pewnie mogłabym się wślizgnąć. Widziałam ciężarówkę, która jeździ do miasta po potrzebne rzeczy.

- Czego chcesz?

- Nazywam się Rebecca. Adoptowała mnie rodzina Ryanów. Doktor Lo-man podpisał papiery. Moja zmarła siostra nazywała się Jezebel. Ją również adoptowano. Uważam, że jesteśmy spokrewnione i dlatego Justice zabił ją i ścigał mnie.

Kobieta spojrzała na brzuch Becki. Pod wpływem nagłych emocji powiedziała:

- Nosisz dziewczynkę.

- Tak. - Beccę na chwilę zatkało, ale postanowiła zdobyć tyle informacji, ile się da. - Pani jest Catherine? Czy Mary?

- Catherine. Mary nie żyje.

- Och. Mary była moją matką?

Catherine rozejrzała się po wzgórzach wokół posiadłości, jakby tam szukała odpowiedzi. Minęła dłuższa chwila, nim odparła:

- Nie chcieliśmy, żebyście wiedziały. Wysłałyśmy was, bo chciałyśmy chronić, Justice już nas atakował. Zmuszone byłyśmy wybudować mur, ale i tak znalazł Jezebel, prawda? Przyszła szukać odpowiedzi i chętnie ich udzieliłyśmy. Powitałyśmy ją i w ten sposób przypieczętowałyśmy jej śmierć. Chcemy, żebyś trzymała się od nas z daleka.

- Widziałam kobietę... - Becca pokazała na dom. - Kogoś w moim wieku.

- Im mniej wiesz, tym jesteś bezpieczniejsza.
- Justice siedzi w areszcie. Już nie może mnie skrzywdzić.
- Jesteś tego pewna?

Becca spojrzała w bladoniebieskie oczy Catherine - oczy koloru nieba -i poczuła lodowate zimno strachu spływające jej po plecach.

- Wracaj do męża.
- Jeszcze za niego nie wyszłam.
- Ale wyjdiesz. Będziesz żyła na jego farmie, hodowała konie i wychowywała dzieci. Ale bądź czujna, moja droga. Bądź czujna.
- Skąd znasz moją przyszłość?
- Widzę różne rzeczy. Jak Jezebel. Odwróciła się i odeszła.

Epilog



Furgonetka podskakiwała. Wyboista droga. Justice siedział na jednej z ławek i chłodno przyglądał się pozostałym pasażerom. Sami przestępcy. Zwierzęta. On był wysłannikiem Boga.

Kajdanki na jego nadgarstkach jaśniały jak srebrne pierścienie. Głupcy. Nie mogli go wiecznie trzymać. Jego misja się nie skończyła. Odnalazł Jes-sie wiele lat temu, a jego zdolności doprowadziły go do Rebecki, dwa razy. Catherine, obrzydliwa wiedźma, pilnowała dziwek schowanych za murami Pieśni Syreny. Może dostać się do nich tylko wtedy, gdy Catherine popełni błąd.

Ale on był wysłannikiem Boga, a Bóg żądał kary. To osada dziwek obdarzonych mrocznymi i niebezpiecznymi zdolnościami i Bóg chce, żeby je powstrzymać! Złapał trop Jessie dwadzieścia lat temu, kiedy pojawiła się w Pieśni Syreny. Kiedy ją powitały w domu, z inkubem w brzuchu. Znalazł ją i zakończył jej życie. Teraz Rebecca wie o nich. Nie będzie potrafiła trzymać się z dala.

Jej los jest przypieczętowany. Tak jak los siostry.

Poruszając nadgarstkami, pomyślał, jak łatwo byłoby udusić człowieka tym łańcuchem. Pewnie, że przepleciono go przez pętlę w pasie, ale i tak dałby radę. Błady uśmiezek wypłynął na jego usta. Strażnicy byli głupi i leniwi. Odwalali robotę rutynowo. Nie mieli mózgów.

Te kajdanki zatrzymają go tylko na chwilę. Wkrótce znowu będzie wolny. I dopadnie Rebeccę. Znalazł ją już raz, dawno temu, kiedy była w ciąży, prawda? Czy nie

zajął się tą nienarodzoną zmorą? Był wściekły, że przeżyła wypadek. Przeżyła! I stracił jej trop na szesnaście długich lat.

Ale teraz znowu była w ciąży.

A kiedy są w ciąży, łatwo je zwęszyć.

Otrzymał taki dar.

Był tropicielem. I w końcu odnajdzie je wszystkie. Jedną po drugiej. A kiedy ucieknie - a na pewno ucieknie - będzie je ścigał i odeśle ich dusze z powrotem w piekielne płomienie.

Miał misję.

RS